

Długie pożegnanie

Chandler Raymond



calibre 0.9.27

Raymond

Chandler

Długie pożegnanie

tłumaczył Krzysztof Klinger

„KB”

Rozdział pierwszy

Po raz pierwszy zobaczyłem Terry’ego Lennox’a pijanego w Rolls-Roycie Silver Wraith obok tarasu „The Dancers”. Dozorca parkingu właśnie przyprowadził tego Rollsa, nie był jednak w stanie zatrzaskać drzwi, bowiem lewa noga Terry’ego zwisała na zewnątrz, sprawiając wrażenie jakby o niej całkowicie zapomniał. Twarz miał młodą, ale włosy śnieżnobiałe. Tylko z wyrazu oczu można było poznać, że był mocno podcięty.

Poza tym wyglądał tak jak każdy młody facet w wieczorowym ubraniu, który wydał dużo pieniędzy w knajpie; istnieją one przecież głównie w tym celu.

Obok niego siedziała dziewczyna o pięknych, ciemnorudych włosach, ze sztucznym uśmiechem, jakby przyklejonym do twarzy. Na ramionach miała etolę z nerek, przy której Rolls-Royce sprawiał wrażenie niemalże przeciętnego wozu. No, może niezupełnie. Z Rolls-Royce’em jest rzeczywiście trudno konkurować.

Dozorca, ubrany w biały fartuch z nazwą restauracji wyszytą czerwoną nitką, był typowym przedstawicielem swego gatunku - taki na pół twardy cwaniak. Widać było, że go trzęsie ze złości.

- Hej, szefie - zwrócił się do Lennox’a - czy nie sprawia oby panu kłopotu, gdyby pan wciągnął nogę do środka pozwolił mi zatrzaskać drzwi? Czy też mam otworzyć je la oścież i pozwolić panu wypaść z wozu?

Dziewczyna spojrzała na niego”, jakby go chciała przebić nożem. Nie wywołało to większego wrażenia. W „The Dancers” zatrudniano personel, na który obcowanie nawet z dużą ilością zamożnych ludzi bynajmniej nie wpływało dodatnio.

W tym momencie na parking zajechał nisko zawieszony wóz sportowy, zagranicznej marki. Wysiadł z niego jakiś

mężczyzna i wyciągnął z tablicy rozdzielczej zapalniczkę, by przypalić bardzo długiego papierosa. Miał na sobie koszulkę polo w kratkę, żółte szorty i buty do konnej jazdy. Odszedł wolnym krokiem, ciągnąc za sobą smugę kadzidlanego dymu, zupełnie nie zwracając uwagi na Rolls-Royce'a. Sądził zapewne, że ktoś dla kawału zmontował taką gablotę. Przystanął przy schodach na taras i założył monokl.

Z nagłym przyplywem wdzięku dziewczyna odezwała się do swego towarzysza: - Mam świetny pomysł, kochanie. Pojedziemy do ciebie taksówką i przesiądziemy się w twój wóz. Noc jest taka cudowna, moglibyśmy się przejechać wzdłuż wybrzeża do Montecito. Znam tam ludzi, którzy dziś urządzają wieczorek taneczny koło swego basenu.

Siwowłosy gość odparł grzecznie: - Strasznie mi przykro, ale nie mam już wozu. Musiałem go sprzedać. - Sądząc z jego głosu i sposobu wysławiania się można by mniemać, że nie pił nic mocniejszego niż sok pomarańczowy.

- Sprzedałeś go, kochanie? Co chcesz przez to powiedzieć? - Odsunęła się od niego nieco, a w głosie jej zabrzmiał chłód.
- Po prostu musiałem - odparł siwowłosy. - Potrzebowałem forsy na jedzenie.
- - Ach, tak. - Wyraźnie powiało od niej chłodem: - Dozorca szybko zaliczył siwowłosego do grupy nisko uposażonych. - Słuchaj, cwaniaku - zwrócił się do niego - muszę zaparkować w tym miejscu inny wóz. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. A na razie nie mam czasu.
- Otworzył szeroko przednie drzwi. Siwowłosy natychmiast zsunął się i wylądował na asfalcie. Podszedłem do nich i wrzuciłem monetę do automatu. Nigdy nie należy zajmować się pijakami, to błąd. Nawet jeśli cię zna i lubi, to i tak można się spodziewać, iż znajdzie dogodny moment, żeby cię strzelić w zęby. Chwyciłem go pod ramiona i postawiłem na nogi.
- - Ogromnie jestem panu wdzięczny - podziękował mi niezmiernie uprzejmie.
- Dziewczyna wśliznęła się za kierownicę. Jak się wleje, to się robi taki cholernie angielski - rzuciła głosem, w którym dźwięczała stal. - Dziękuję, że pan go złapał.
- Wsadzę go na tylne siedzenie - zaproponowałem.
- Bardzo mi przykro - odparła - ale jestem już spóźniona na spotkanie. - Wcisnęła sprzęgło i Rolls ruszył wolno. - To taki zagubiony pies - dodała z zimnym uśmiechem. - Może się panu uda znaleźć dom dla niego.
- Rolls wyjechał z podjazdu na Sunset Boulevard, skręcił w prawo i zniknął. Kiedy wrócił dozorca, spoglądałem jeszcze w tym kierunku, podtrzymując siwowłosego, który zdążył już mocno zasnąć.

- No, można i tak - rzuciłem.
- Jasne-odparł cynicznie.-Po co marnować znakomite warunki na takiego gnojka.
- Pan go zna?
- Słyszałem, jak ta babka mówiła do niego: „Terry”. Poza tym nie mam pojęcia, co to za gość. Pracuję tu dopiero od dwóch tygodni.
- Niech pan przyprowadzi mój wóz - powiedziałem, wręczając mu kwitek. Miałem wrażenie, że podtrzymuję worek z ołowiem. Dozorca podjechał moim Oldsem i pomógł mi wsadzić siwowłosego na przednie siedzenie. Terry otworzył jedno oko, podziękował nam i znów zasnął.
- To najgrzeczniejszy pijak, jakiego kiedykolwiek spotkałem.
- Jest ich pełno - dużych, małych, grubych, chudych, zachowują się też różnie, ale to wszystko hołota - odparł. - Zdaje się, że temu zrobili kiedyś operację plastyczną,
- Tak. - Dałem mu dolara i usłyszałem: „dziękuję”.
-
- Miał rację co do tej operacji. Prawa strona twarzy mojego nowego przyjaciela - biaława, o martwym wyglądzie, była porysowana cienkimi, delikatnymi liniami. Wzdłuż blizn skóra miała połyskliwy wygląd. Musiała to być poważna operacja.
-
- No i co ma pan zamiar z nim zrobić?
- Zabiorę go do swego domu i spróbuję otrzeźwić na tyle, by mi powiedział, gdzie mieszka.
- Dozorca wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu. - Pańska sprawa. Ja bym po prostu zostawił go w ryszotku i ruszył w swoją stronę. Ci pijacy przysparzają człowiekowi tylko masę kłopotów, bez żadnej korzyści. Ja mam własne podejście do takich spraw. Przy dzisiejszej konkurencji człowiek musi oszczędzać siły, by móc się bronić w zwarciach. - Wygląda na to, że odnosi pan duże sukcesy w tych zmaganiach. W pierwszej chwili nie bardzo to chwycił, ale kiedy wreszcie pojął, zatrzęsł się ze złości. Ja jednak zdążyłem już wsiąść do wozu i ruszyć. Miał naturalnie sporo racji. Terry Lennox rzeczywiście sprawił mi wiele kłopotu, ale w moim zawodzie to była normalka. Tego roku mieszkałem na Yucca Avenue, ślepej uliczce w dzielnicy Laurel Canyon. Wynająłem tu mały, umeblowany dom na zboczu pagórka, przed którym rosła kępa drzew eukaliptusowych. Do wejścia prowadziły długie schody z sekwojowego drzewa. Dom należał do pewnej pani, która wyjechała do Idaho, gdzie miała jakiś czas; pozostawać ze swą owdowiałą córką. Czynn był niski, częściowo ponieważ właścicielka zastrzegła sobie moż-j ność powrotu bez dłuższego uprzedzenia, a częściowo
- z powodu tych męczących schodów. Była już za stara, by się wspinać na nie. Jakoś udało mi się wtaszczyć Terry’ego po tych sekwojowych schodach. Starał mi się w tym pomóc, ale nogi miał jak z gumy, i przepraszał mnie za kłopoty, które z nim miałem, w połowie każdego

zdania zapadał w sen. Otworzyłem drzwi, wciągnąłem go na kanapę, przykryłem kocem i ułożyłem do snu. Przez godzinę chrapał jak koń, potem nagle przebudził się i powędrował do łazienki. Kiedy wrócił, zaczął mi się przyglądać zmrużonymi oczyma i spytał, gdzie się, u licha, znajduje. Wyjaśniłem mu. Oświadczył, że nazywa się Terry Lennox, mieszka w Westwood i nikt na niego nie czeka. Mówił wyraźnie i z sensem. Dodał, że chętnie by się napił kawy. Kiedy ją przyniosłem, pił z przyjemnością, trzymając spodek tuż pod filiżanką.

- Jak się tu znalazłem? - spytał, rozglądając się dokoła.
 - Wysiadł ci film w Rollsie koło „The Dancers”. Znajoma zostawiła cię na pastwę losu.
 - Rozumiem - odparł. - Zrobiła niewątpliwie słusznie.
 - Jesteś Anglikiem?
 - Mieszkalem w Anglii, ale nie pochodzę stamtąd. Jeśli pozwolisz, to zadzwonię po taksówkę i wyniosę się.
 - Czeka na ciebie na dole.
-
- Zszedł po schodach o własnych siłach. Po drodze do Westwood prawie nie odzywał się, wyraził jedynie swoją wdzięczność i powiedział, że mu bardzo przykro, iż sprawia mi tyle kłopotu. Zapewne powtarzał te przeprosiny już tyle razy i tylu różnym ludziom, że zabrzmiały nieco zdawkowo. Mieszkanie było małe, duszne i całkowicie pozbawione indywidualności. Wyglądało tak, jakby sprowadził się do niego przed chwilą. Na stoliku przed zieloną kanapą stała opróżniona do połowy butelka Scotcha, miseczka z roztopionym lodem, trzy puste butelki po wodzie sodowej, dwie szklaneczki i popielniczka pełna niedopałków, z których część nosiła ślady szminki. Nigdzie nie było żadnej fotografii czy jakiegokolwiek przedmiotu o bardziej osobistym charakterze. Pokój wyglądał jakby był wynajęty na jakieś zebranie bądź pożegnalne spotkanie - rozmowę przy paru kieliszkach czy też na schadzkę. Nie odnosiło się wrażenia, by tu ktokolwiek mieszkał. Terry zapytał mnie, czy się nie napiję, ale podziękowałem i, nie siadając nawet, ruszyłem do wyjścia. Zaczął mi ponownie dziękować w sposób naturalny, bez zbytej przesady. Widać było, iż nie czuje się dobrze i jest trochę speszony, ale stara się być nadzwyczaj uprzejmy. Stał w otwartych drzwiach pokoju, dopóki nie wsiadłem do windy. Może i zbywało mu na wielu rzeczach, ale na pewno nie na manierach. Przez cały czas nie wspomniał ani razu o dziewczynie. Nie odezwał się też słowem na temat tego, że nie ma pracy ani widoków na przyszłość. A wydał przecież ostatniego dolara na zapłacenie rachunku w „The Dancers” za lepszej klasy podfruwajkę, która nie miała nawet na tyle przyzwoitości, by przypilnować, żeby wóz patrolowy nie zgarnął go do żłobka bądź nie obrobił i wyrzucił na miejskim śmietniku jakiś taksówkarz. Podczas jazdy windą przyszło mi do głowy, by wrócić i zabrać mu butelkę Scotcha. Ale w końcu nie była to moja sprawa, a poza tym i tak nic bym nie zdziałał. Jeśli pijak rzeczywiście chce się napić, to nie ma sposobu, by mu w tym przeszkodzić. Jechałem do domu, przygryzając wargę. Podobno jestem twardy, ale było w tym gościu coś, co mnie wzięło. Nie potrafiłem tego bliżej sprecyzować, może to były te siwe włosy, porysowana bliznami twarz, miły głos i grzeczności. To zapewne wystarczyło. Trudno było przypuszczać, bym miał się z nim jeszcze kiedykolwiek spotkać. Terry był - tak jak go określiła ta dziewczyna - zagubionym psem.

Rozdział drugi

Gdzieś pod koniec listopada znów go zobaczyłem. Magazyny przy Hollywood Boulevard napelniały się już bożonarodzeniową tandetą po zawyżonych cenach, a gazety zaczęły przepowiadać okropne trudności, o ile nie dokona się wcześniej zakupów. Oczywiście dla nikogo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że i tak będziemy świadkami okropnych trudności, bo są one nieodłączną częścią naszej egzystencji. Gdzieś o trzy przecznice od mojego biura spostrzegłem wóz policyjny stojący przy krawężniku. Dwie siedzące w nim gliny przypatrywały się czemuś, co tkwiło przy oknie wystawowym po drugiej stronie chodnika. Tym czymś był Terry Lennox, a raczej to, co z niego zostało; nie wyglądał specjalnie atrakcyjnie. Opierał się o wejście do sklepu; to podparcie było mu absolutnie niezbędne. Brudna, rozpięta na piersiach koszula wychodziła mu ze spodni: Widać było, że nie golił się od paru dni. Nos miał zaczerwieniony, a skórę tak bladą, że te długie, cienkie blizny były prawie że niedostrzegalne, a oczy sprawiały wrażenie otworów w kuli ze śniegu. Nie ulegało wątpliwości, że gliny z wozu patrolowego za chwilę się nim zajmą. Podszedłem więc szybko i wziąłem go pod ramię. - Wyprostuj się i rusz się ze mną - rzuciłem krótko, jednocześnie mrugając do niego porozumiewawczo. - Dasz radę? Czy też jesteś wlany w trupa? - Popatrzył na mnie

- bez specjalnego zainteresowania i lekko się uśmiechnął połową twarzy. - Byłem - odparł cicho. - Ale w tej chwili mam po prostu pusty żołądek.
- - Dobra, ale musisz przebierać nogami. Jeszcze chwila, a już by ciebie zabrali do żłobka.
- Zmobilizował się i jakoś dotarliśmy do taksówki na najbliższym postoju.
- Otworzyłem drzwi, a kierowca, nie odwracając głowy, wskazał kciukiem na stojący przed nim wóz. - On jest pierwszy ~ mruknął. Kiedy się obrócił i zobaczył Terry'ego, dodał: - O ile w ogóle będzie chciał pojechać.
- To jest wypadek. Mój przyjaciel źle się czuje.
- Nie wątpię, ale niech się źle czuje gdzie indziej.
- Dostaniesz pan piątkę - obiecałem. - I niech na pańskim obliczu zakwitnie uśmiech prawdziwej życzliwości.
- Wsiadaj pan. - Wetknął za lusterko magazyn z Marsjaninem na okładce. Kiedy wreszcie usadowiłem Terry'e-go, zobaczyłem przez tylną szybę wóz patrolowy. Wynurzył się z niego starszy policjant i ruszył w naszym kierunku. Wsiadłem z taksówki i podszedłem do niego.
- Hej, Mac - zwrócił się do mnie. - A cóż tu takiego mamy? Czy ten dżentelmen w zabrudzonej koszulce jest pańskim serdecznym przyjacielem?
- - Dostatecznie bliskim, by wiedzieć, że potrzebuje pomocy. Nie jest pijany.

- Zapewne mamy tu do czynienia z kalkulacjami typu finansowego - skomentował policjant. Podałem mu moją licencję. Popatrzył na nią i oddał mi ją z powrotem. - Oho, to ciekawe - powiedział. - Prywatny detektyw pracuje nad pozyskaniem sobie klienta. - Jego głos nabrał ostrzejszego tonu. - No, panie Marlowe, dowiedziałem się czegoś o panu. A kto to jest ten facet?
- Nazywa się Terry Lennox. Pracuje w filmie.
-
- To wspaniale - zauważył z sarkazmem. Wsadził głowę do taksówki i przypatrywał się siedzącemu wrogu Terry'emu. - Nie wydaje mi się, żeby ostatnimi czasy pracował. Nie wydaje mi się również, żeby ostatnimi czasy sypiał pod dachem. Powiem nawet więcej, to jest włóczęga, którego zapewne powinniśmy zabrać.
- Nie chce mi się wierzyć – odparłem - by pańska liczba zatrzymań była tak niska. To chyba niemożliwe w Hollywood.
- Glina ciągle przyglądał się Terry'emu. - Jak się nazywa pański przyjaciel, kolego? - spytał go.
- - Filip Marlowe - wolno odpowiedział Terry. – Mieszka na Yucca Avenue w Laurel Canyon.
- Policjant obrócił się i wykonał ruch ręką. - Mógł pan mu to przed chwilą powiedzieć.
- - Mogłem, ale nie powiedziałem.
- Wpatrywał się we mnie przez chwilę. - Tym razem uwierzę - oświadczył. - Ale niech go pan zabierze z ulicy. - Zawrócił do wozu policyjnego. Wsiadłem do taksówki i ruszyliśmy do miejsca, gdzie parkowałem swój wóz. Wręczyłem kierowcy obiecany pięciodolarowy banknot. Rzucił na mnie wzrokiem i pokiwał głową.
- Tylko tyle, co na liczniku, bracie. Jeśli ma pan ochotę, to może być równy dolar. Mnie też kiedyś przycisnęło. We Frisco. Nie zdarzyło mi się wtedy, by mnie ktoś zabrał taksówką. To miasto bez serca.
- San Francisco - powtórzyłem machinalnie.
- Nazywam je Frisco. - Wziął dolara, powiedział: - Dziękuję - i odjechał.
- Przenieśliśmy się do mojego wozu. Podjechałem do knajpki, w której hamburgery były jadalne. Gdzie indziej smakowały jak to, co kotka przyniosła z ogrodu. Zamówiłem parę hamburgerów i butelkę piwa dla Terry'ego, a później pojechaliśmy do mnie. Schody ciągle mu jeszcze
- sprawiały trudność, ale dysząc i uśmiechając się dał w końcu radę. Godzinę później, kiedy

się ogolił i wykapał, wygłądał całkiem po ludzku. Dałem mu drinka.

- Na szczęście zapamiętałeś moje nazwisko - powiedziałem.
 - Staralem się je zapamiętać - odparł. - Odszukałem ciebie w książce telefonicznej.
 - No, to dlaczego nie zatelefonowałeś? Mieszkam tu stale. Tu też mam swoje biuro.
 - Nie chciałem ci zawracać głowy.
 - Powinieneś to zrobić.” Nie wygląda na to, byś miał za dużo przyjaciół.
-
- - No, mam przyjaciół - odparł. - Dość specyficznego rodzaju. - Pokręcił stojącą na stole szklanką. - Prośenie o pomoc to niełatwa sprawa - zwłaszcza kiedy to wszystko jest z mojej własnej winy. - Spojrzał na mnie ze zmęczonym uśmiechem. - Może uda mi się kiedyś przestać pić. Pewnie tak mówią wszyscy pijacy?
-
- Kuracja trwa trzy lata.
 - Trzy lata? - To nim wstrząsnęło.
 - Zazwyczaj tyle. Wchodzi się w inny świat. Trzeba się przyzwyczaić do jaśniejszych kolorów, cichszych dźwięków. Mogą też być nawroty. Wszyscy ludzie, których się dobrze znało, zaczynają się wydawać nieco dziwni. Większości z nich nawet się nie lubi, a oni też nie obdarzają człowieka zbytnią sympatią.
 - To nie byłoby nic specjalnie nowego. - Odwrócił się i spojrzał na zegar. - W przechowalni bagażu na stacji autobusowej w Hollywood mam walizkę wartą dwieście dolarów. Gdybym ją odebrał i zastawił, to za uzyskaną sumę mógłbym kupić tanią walizkę oraz bilet autobusowy do Vegas, gdzie mogę dostać pracę.
-
- Nic na to nie odrzekłem. Pokiwałem tylko głową, obracając szklankę w rękę.
-
- Myślisz pewnie, że na ten pomysł mogłem wpaść. znacznie wcześniej?
 - Myślę, że za tym wszystkim kryją się sprawy, które nie należą do mnie. Czy ta praca to coś pewnego, czy tylko nadzieja?
 - To murowane. Gość, którego dobrze znałem w wojsku, prowadzi tam duży lokal pod nazwą „Terrapin Club”. Oczywiście jest w jakimś stopniu - tak jak oni wszyscy - lewy, ale to sympatyczny facet.
 - Mogę ci dać na bilet autobusowy i jeszcze trochę ekstra. Ale chciałbym, żebyś za te pieniądze kupił sobie coś, co naprawdę byłoby ci potrzebne. Może rzeczywiście warto, abyś do niego zatelefonował.
 - Dziękuję, ale to niepotrzebne. Randy Starr nigdy mnie jeszcze nie zawiódł. A walizkę mogę zastawić za pięćdziesiąt dolarów. Wiem z doświadczenia.

- Słuchaj - odparłem. - Dam ci tyle, ile potrzebujesz. Nie należę do sentymentalnych naiwniaków. Bierz to, co daję, i sprawuj się dobrze. Mam jakieś dziwne przeczucie, jeśli chodzi o ciebie, nie chciałbym, żeby się sprawdziło.
- Co też mówisz. - Wpatrywał się w swoją szklanę, z której popijał małymi łydkami. - Spotkaliśmy się tylko dwukrotnie i za każdym razem zachowałeś się w stosunku do mnie bardziej niż przyjacielsko. Cóż to za przeczucie?
- Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że następnym razem znajdziesz się w takich tarapatach, z których nie będę w stanie ciebie wydobyć.

- Delikatnie dotknął końcami palców prawej strony twarzy. - Może właśnie z tego powodu. Te blizny nadają mi nieco podejrzany wygląd. Ale to honorowa rana, a właściwie jej rezultaty.
- - Nie w tym rzecz. Takie sprawy mało mnie obchodzą. Jestem prywatnym detektywem. Stanowisz problem, którego nie muszę rozwiązywać. Ale problem istnieje. Możemy to nawet nazwać orientacją co do twojego usposobienia. Być może ta dziewczyna nie zostawiła cię pod „The Dancers” tylko dlatego, że byłeś pijany. Może też miała jakieś przeczucie.
- Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. - Kiedyś była moją żoną - powiedział. - Nazywa się Sylwia Lennox. Ożeniłem się z nią dla pieniędzy. Wstałem i spojrzałem na niego z ukosa. - Zrobię ci jajecznicę - zaproponowałem. - Musisz coś zjeść.

- Zapewne dziwi cię, że kiedy byłem bez grosza, a Sylwia miała pełno forsy, nie poprosiłem jej o parę dolarów. Czy słowo duma nic ci nie wyjaśnia?
- Dobijasz mnie.
- Doprawdy? Mój rodzaj dumy jest inny. To duma człowieka, któremu poza nią nie pozostało nic innego. Przykro mi, jeśli cię irytuję.

- Poszedłem do kuchni i przygotowałem posiłek składający się z kanadyjskiego bekonu, jajecznicy, tostów i kawy. Zjedliśmy to we wnęce śniadaniowej, dom pochodził bowiem z okresu, kiedy były one w modzie. ^ Kiedy zjedliśmy, powiedziałem, że muszę iść do biura, a wracając odbiorę walizkę.. Lennox wręczył mi pokwitowanie. Jego twarz nabrała trochę koloru, a oczy nie tkwiły już tak głęboko w oczodołach. Nim wyszedłem, postawiłem butelkę whisky na stoliku przed kanapą. - Możesz teraz dać upust swej dumie - powiedziałem. - i zadzwoń do Vegas, ot tak, żeby zrobić mi po prostu przyjemność. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Schodząc po schodach byłem jeszcze ciągle zły. Nie wiedziałem dlaczego, tak samo jak nie rozumiałem, dlaczego ktoś wolał głodować i włóczyć się po ulicach, niż zastawić walizkę. Nie wchodząc jednak w jego zasady, trzeba było przyznać, że trzymał się ich twardo. Jak żyję, nie widziałem takiej walizki. Zrobiona była ze świńskiej skóry, która kiedyś musiała mieć jasnokremowy kolor. Okucia miała ze złota. Typowa angielska robota wysokiej klasy. Gdyby była do kupienia w Stanach, kosztowałyby nie dwieście, a raczej osiemset dolarów. Postawiłem walizkę przed nim. Przy okazji przyjrzałem się butelce na stoliku. Nie ruszył jej nawet. Był tak trzeźwy jak ja. Palił papierosa, ale widać było, że nie bardzo mu smakuje.

- Zatelefonowałem do Randy'ego - powiedział. - Miał mi za złe, że tak długo się do niego nie odzywałem.
- Myślę, że tylko nieznajomi mogą ci pomóc - rzuciłem. - To prezent od Sylwii? - spytałem, wskazując na walizkę.
- Popatrzył przez okno. - Nie. Otrzymałem ją w Anglii, na długo przedtem, nim poznałem Sylwię. Bardzo dawno temu. Zostawiłbym ją tutaj, gdybyś mógł mi pożyczyć jakąś starą. Wyjąłem z portfela pięć banknotów dwudziestodolarowych i położyłem przed nim. - Nie potrzebuję zastawu.
- Wcale nie to miałem na myśli. Po prostu nie chcę mieć jej z sobą w Vegas. A poza tym nie potrzebuję takiej sumy.
- W porządku. Weź więc tę forszę, a ja przechowam walizkę. Obawiam się jednak, że do tego domu łatwo się włamać.
- To nie ma znaczenia - powiedział obojętnie. - Najmniejszego znaczenia.
- Przebrał - się i gdzieś koło wpół do szóstej zjedliśmy kolację u „Musso”. Nie zamówiłem nic do picia. Następnie wsiadł do autobusu na Cahuenga, a ja pojechałem do domu, rozmyślając po drodze o tym i o owym. Jego pusta walizka leżała na moim łóżku, gdzie ją rozpakowywał, by przełożyć rzeczy do mojej, znacznie lżejszej. W zamku tkwił złoty kluczyk. Przekręciłem go, przywiązałem do rączki i postawiłem walizkę na górnej półce w schowku na ubrania. Wydawało mi się, że coś w niej zostało, ale nie była to moja sprawa.
- Wieczór był niezwykle cichy i dom wydawał się bardziej pusty niż normalnie. Rozstawiłem szachownicę i zacząłem rozgrywać obronę francuską przeciwko atakowi Steinitza. Wygrał w czterdziestu czterech posunięciach, ale parę razy musiał się dobrze napocić. G dziesiętej trzydzięci odezwał się telefon. Głos, który się odezwał, był mi znany.
- Czy mówię z panem Filipem Marlowem?
- Tak, Marlowe, słucham.
- Tu mówi Sylwia Lennox. Poznaliśmy się w zeszłym miesiącu przed „The Dancers”. Dowiedziałam się później, że pan był taki miły i odwiózł Terry'ego do domu.
- Zgadza się.
- Pewnie pan wie, że nie jesteśmy już małżeństwem, ale trochę się o niego niepokoję. Wyprowadził się z mieszkania na Westwood i nikt nie wie, gdzie się znajduje.

- Zauważyłem już wtedy, jak pani się o niego martwiła.
- Proszę pana, ja nie jestem już jego żoną. Nie mam specjalnej sympatii do pijaków. Być może, nie okazałam wtedy należytego zrozumienia dla jego sytuacji, ale miałam coś bardzo ważnego do załatwienia. Pan jest prywatnym detektywem i - jeśli pan sobie tego życzy - możemy potraktować całą sprawę na bazie zawodowej.
- Nie ma potrzeby traktowania tej sprawy na jakiegokolwiek bazie, bowiem Terry znajduje się w tej chwili w autobusie jadącym do Las Vegas. Ma tam przyjaciela, który obiecał mu pracę.
- Ucieszyła się niespodziewanie. ~ Och... do Las Vegas? Jakież to wzruszające! Tam się właśnie pobraliśmy.
- - Przypuszczam, że zapomniał o tym, bo na pewno wybrałby się gdzie indziej.
- Zamiast odłożyć słuchawkę, zachichotała. Był to kokieteryjny chichocik. - Czy pan zawsze jest taki niegrzeczny dla swoich klientów?
- - Pani nie jest moim klientem.
- - Ale mogę nim zostać. Któż to może wiedzieć? No powiedzmy, że dla znajomych kobiet, - Odpowiedz będzie ta sama. Facet był w ciężkiej sytuacji, głodny, brudny i bez grosza. Można go było odszukać, gdyby pani na tym zależało. Przecież on od pani nigdy nic nie chce. - Na ten temat - powiedziała chłodno - nie może pan wiele wiedzieć. Dobranoc. - Odłożyła słuchawkę.
- Miała absolutnie rację, a ja zachowałem się niewłaściwie. Ale jakoś nie odczuwałem z tego powodu wyrzutów. Po prostu byłem zły.

Rozdział trzeci

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem otrzymałem czek na 100 dolarów, wystawiony na bank w Las Vegas. W załączonym liście napisanym na hotelowej papeterii Terry dziękował mi, życzył Wesołych Świąt i wszelkiej pomyślności oraz wyrażał przekonanie, że się wkrótce ze mną zobaczy. Najlepsze było jednak postscriptum: „Rozpoczynamy z Sylwią drugi miesiąc miodowy. Ma nadzieję, że nie masz jej za złe, że chce jeszcze raz spróbować”. Reszty się dowiedziałem ze snobistycznej rubryki w gazecie poświęconej życiu towarzyskiemu. Czytam te bzdury zupełnie wyjątkowo, kiedy nie ma już nic innego, co by mnie bardziej irytowało. „Podniecony tą wiadomością, wasz korespondent spieszy was poinformować, iż Terry i Sylwia Lennox zeszli się ponownie w Las Vegas. Jak wszyscy wiedzą, Sylwia jest młodszą córką multimilionera Harlana Pottera z San Francisco i Pebble Beach. Z okazji tego ślubu Marceli

- i Jeanne Duhaux mają zmienić w rezydencji w Encino całą dekorację od dołu do góry, w naj-, ale to najmodniejszym stylu. Absolutny dernier cri. Może sobie przypominacie, że to Curt Westerheim, Sylwii przedostatni, ofiarował jej ten osiemnastopokojowy domek na prezent

ślubny? Zapewne chcecie wiedzieć, co się dzieje z Curtem? Szczegółowej odpowiedzi może udzielić St Tropez oraz pewna bardzo, ale to bardzo niebieskooka księżna z dwojgiem rozkosznych dzieci. A co o tym powtórnym małżeństwie - jesteście ciekawi - myśli Harlan Potter? Można się tylko domyślać. Pan Potter jest jednym z tych, którzy nigdy nie udzielają wywiadów. Kochani, czy można być bardziej ekskluzywnym?" Rzuciłem gazetę w kąt i włączyłem telewizję. Po tych kocich wymiotach z kolumny towarzyskiej nawet walki zapaśników wydały mi się lepsze. No, ale fakty były najprawdopodobniej prawdziwe. Kolumna towarzyska nie może sobie pozwolić na pomyłki w takich sprawach. Mogłem sobie doskonale wyobrazić ten osiemnastopokojowy domek z załączonymi do niego paroma milionami Pottera, nie wspominając już o wnętrzach zaprojektowanych przez Marcelego i Jeanne Duhaux w symbolicznie subfallicznym stylu. Jakoś jednak nie widziałem w tym wszystkim Terry'ego Lennox, kręcącego się koło jednego z basenów w kolorowych szortach i dzwoniącego do lokaja przez radiotelefon, by zamroził szampan i zaczął opiekać kuropatwy. Zresztą, cóż mnie to wszystko mogło obchodzić? Jeśli facet miał ochotę być czymś pluszowym misiem, to jego sprawa. Po prostu odeszła mnie ochota, by się z nim jeszcze zobaczyć. Wiedziałem jednak, że będzie to musiało nastąpić, choćby tylko z powodu tej przeklętej walizki ze złotymi okuciami. O piątej po południu w marcowy, deszczowy dzień Terry wkroczył do mego nędznego biura. Zmienił się – wyglądał starzej, był skupiony, poważny i spokojny. Sprawiał wrażenie człowieka, który nauczył się unikać ciosów. Był ubrany w perlisty deszczowiec i rękawiczki; jego włosy, ułożone gładko na siwej głowie, sprawiały wrażenie piór na piersi ptaka.

- - Chodźmy na kieliszek do jakiegoś cichego baru - zaproponował. - Oczywiście, o ile masz trochę czasu.
- Nie uścisnęliśmy sobie rąk. Nigdy tego nie robiliśmy. Anglicy nie fundują sobie bez przerwy łapy, tak jak Amerykanie. I choć nie był Anglikiem, to przejął od nich i ten obyczaj.
- - Dobrze, ale zajdźmy wpierw do mego mieszkania - odparłem - żeby zabrać twoją elegancką walizkę. Trochę mnie denerwuje.
- Potrząsnął głową. - Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał ją nadal przechowywać.

- Dlaczego?
- Bardzo mi na tym zależy. Czy sprawiłoby to ci dużo kłopotu? To pamiątka z czasów, kiedy nie byłem bezwartościowym nicponiem.
- No, proszę. Ale zostawmy te sprawy.
- Jeśli się niepokoisz, że mogą ją skraść...

- - To też twoja sprawa. No, chodźmy się napić. Poszliśmy do „Wiktora”. Zabrał mnie swoim rudawym
- Jowett Jupiterem, który był obity jasną skórą, a metalowe okucia miał chyba ze srebra. Pod jego brezentowym dachem starczyło miejsca akurat na nas dwóch. Nie przykładam jakiejś specjalnej wagi do wozów, ale ta cholerna gabłota wywołała we mnie lekkie uczucie zazdrości. Terry powiedział, że w ciągu sekundy dochodzi do stu kilometrów. Miała małą, zgrabną dźwignię przekładni biegów, sięgającą mu zaledwie do kolan.
- - Cztery biegi - wyjaśnił. - Nie wynaleźli jeszcze automatycznej przekładni, która by

nadawała się do tego wozu.

- W gruncie rzeczy jest niepotrzebna. Można ruszyć z trzeciego biegu nawet pod górę, a w ruchu czwórka jest i tak nieprzydatna.
- To prezent ślubny?
- Nie. To upominek z gatunku: „Przechodząc dostrzegłem to na wystawie”. Jestem facetem, którego bardzo rozpieszczają.
- To przyjemnie - odparłem. - O ile nie pociąga to za sobą jakichś specjalnych zobowiązań.
- Spojrzał na mnie, a następnie spuścił wzrok na mokrą jezdnię. Podwójne wycieraczki przecierały szybę z delikatnym szumem. - Zobowiązań? Zawsze są zobowiązania, przyjacielu. Może sądzisz, że nie jestem szczęśliwy?
- Przepraszam. Przyznam się, że myślałem o czymś innym.
- Jestem bogaty. Któż, do diabła, chce być szczęśliwy? - W jego głosie zabrzmiała gorycz, której nigdy przedtem nie słyszałem.
- No, a jak tam z piciem?.
- Wszystko w porządku. Z przyczyn nie całkiem dla mnie jasnych w pełni nad tym panuję. Oczywiście człowiek nigdy nie wie na pewno, co mu się jeszcze może zdarzyć.
- Pewnie nie byłeś nigdy naprawdę urzędnym.
- Siedzieliśmy w kącie baru, pijąc gimlety.
- Nie umiem tego przyrządzać - oświadczył. - To, co nazywają gimletem, to po prostu sok cytrynowy i dżin z dodatkiem cukru i angostury. Prawdziwy gimlet to dżin pół na pół z sokiem cytrynowym Rose’a i nic więcej. Wysiada przy tym martini.
- Nigdy nie przykładam zbyt dużego znaczenia do tego, co piję. Jak ci poszło z Randym Starrem? Moi znajomi mówią, że to lepszy numer.
-
- Oparł się plecami o siedzenie i trwał tak przez chwilę zamyślony. - To pewnie prawda - odparł. - Ale oni wszyscy są tacy. Nie odbija się to jednak na jego zachowaniu. Mógłbym ci wymienić paru facetów z tej samej branży w Hollywood, którzy bardzo się zgrywają. Randy nic

nie udaje. W Las Vegas jest normalnym biznesmenem. Odwiedź go przy okazji. Przyjmie cię bardzo serdecznie.

- Bardzo w to wątpię. Nie lubię mętów.
- To słowo nic nie znaczy. Taki jest nasz świat. Spowodowały to dwie wojny, i tak już pozostanie. Randy, ja i jeszcze jeden gość znaleźliśmy się kiedyś w dużych opałach. To wytworzyło między nami pewnego rodzaju więź.
- Dlaczego więc nie zwróciłeś się do niego o pomoc, kiedy jej potrzebowałeś?
- Dopił i skinął na kelnera. - Ponieważ - odparł - nie mógłby mi odmówić. Kelner przyniósł dwa następne gimlety. - To tylko takie gadanie - powiedziałem. - Gdyby się tak złożyło, że miałby wobec ciebie dług wdzięczności, to na pewno chciałby choć częściowo się zrewanżować. Trzeba na sprawę spojrzeć i od jego strony. Pokiwał wolno głową. - Naturalnie masz rację. Ale przecież poprosiłem go o pracę. I wywiązywałem się z niej bez zarzutu tak długo, jak byłem u niego. Ale zwracanie się o pomoc czy wsparcie - to inna sprawa.
- - Od obcego jednak ją przyjąłeś.
- Spojrzał mi prosto w oczy. - Obcy może zawsze pójść swoją drogą, udając, że nie słyszy. Wypiliśmy jeszcze trzy gimlety. Normalnie taka ilość to dobry wstęp. Ale na tym się skończyło. Może więc rzeczywiście się wyleczył. Odwiózł mnie z powrotem do biura.
- - Jemy kolację o ósmej piętnaście - powiedział. - Na to mogą sobie pozwolić tylko milionerzy. I w naszych czasach tylko służba milionerów przystanie na taką godzinę. Bywa u nas masa ludzi z najlepszego towarzystwa.
- Od tego momentu nabrał zwyczaju, by wpadać do mnie około piątej. Nie zawsze chodziliśmy do tego samego baru, ale najczęściej był to jednak „Wiktor”. Być może kojarzyło mu się to z czymś, o czym nie wiedziałem. Nigdy nie pił zbyt dużo, co go samego dziwiło.
- To tak, jak okresowa gorączka - zauważył kiedyś. - Kiedy przychodzi, człowiek czuje się bardzo źle, a kiedy jej nie ma, to tak, jakby jej nigdy nie było:
- Nie mogę jednak zrozumieć, jak facet, tak ustawiony jak ty, ma ochotę pić z takim nędznym prywatnym detektywem jak ja.
- Czy to skromność przemawia przez ciebie?
- Nie. Jestem po prostu zdziwiony. Należę do ludzi o dość przyjacielskim usposobieniu, ale my się obracamy w różnych światach. Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz, poza tym, iż jest to Encino. Przypuszczam, że nie masz kłopotów w życiu rodzinnym?
- Nie mam żadnego życia rodzinnego.
- Piliśmy znów gimlety. Lokal był prawie pusty. Znajdowało się w nim tylko paru nałogowych pijaków, którzy właśnie zaczynali urzędowanie przy barze. Należeli do kategorii tych, co to wolno sięgają po pierwszy kieliszek, bacznie obserwując swoje ręce, żeby czegoś

nie przewrócić.

- Nie chwytam tego. A pewnie powinienem?
- Wiesz, jak mówią filmowcy? Wielka inscenizacja na temat niczego. Przypuszczam, że Sylwia jest całkiem szczęśliwa, choć niekoniecznie ze mną. W naszym środowisku to nie ma znaczenia. Zawsze można się czymś zająć, jeśli człowiek nie musi pracować i liczyć się z tym, ile co' kosztuje. Nie daje to prawdziwego zadowolenia, ale bogaci o tym nie wiedzą. Nigdy go przecież nie zaznali. Zresztą, nie dążą do niczego usilnie, chyba iż jest to przespanie się z czyjąś żoną, ale i to pragnienie jest blade w porównaniu z tym, jak żona hydraulika marzy o nowych zasłonach do jadalnego pokoju.

- Nic się nie odezwałem. Pozwoliłem mu mówić.

- Przeważnie staram się zabić czas, ale czas umiera powoli. Trochę tenisa, trochę golfa, trochę pływania i jazdy konnej, no i ta wysokiej klasy przyjemność przypatrywania się przyjaciołom Sylwii czyniącym rozpaczliwe wysiłki, by wytrzymać do lunchu i móc następnie zacząć walkę z kacem.
- Tego wieczoru, kiedy pojechałeś do Vegas, powiedziała mi, że nie lubi pijaków.

- Jedna strona twarzy wykrzywiła się mu w sardonicznym uśmiechu. Byłem już tak do niego przyzwyczajony, że zauważałem blizny tylko wtedy, kiedy jakieś silniejsze przeżycie powodowało różnicę w wyglądzie dwóch stron jego twarzy.

- Miała na myśli pijaków bez pieniędzy. Jeśli mają pieniądze, to po prostu mówi się, że dużo piją. Kiedy zwymiotują w toalecie, to jest to jedynie sprawa lokaja.
- Sam przecież tego chciałeś.

- Dopił duszkiem swój gimlet i wstał. - Muszę już iść. Zresztą, zanudzam cię i - Bóg mi świadkiem - zanudzam sam siebie.
- - Wcale mnie nie nudzisz. Mam dużą praktykę w słuchaniu. Prędzej czy później dojdę do tego, dlaczego odpowiada ci rola pudła na utrzymaniu.
- Końcem palca dotknął delikatnie blizn na policzku. Uśmiechnął się leciutko. - Chyba raczej powinno cię zaciekawić, dlaczego ona chce, bym z nią był, a nie dlaczego ja się tam znajduję, czekając cierpliwie na satynowej poduszce, by mnie pogładzono po głowie.
- - Bo lubisz satynowe poduszki - odparłem wstając, by wyjść razem z nim. - Lubisz

jedwabne prześcieradła, dzwonki na służbę i lokaja, który przychodzi z uniżonym uśmiechem.

- - Możliwe. Wychowałem się w sierocińcu w Salt Lake City. Wyszliśmy w mrok wieczoru. Powiedział, że ma ochotę się przejść. Przyjechaliśmy moim wozem i udało mi się tym razem uprzedzić go przy rachunku. Patrzyłem, jak odchodził. Nim zniknął we mgle, światło z okna wystawowego przez chwilę oświetlało jego siwe włosy. Czułem do niego większą sympatię, gdy był pijany, bez grosza, głodny, przegrany i - dumny. Czy jednak naprawdę tak było? Może po prostu sprawiało mi satysfakcję, że to ja byłem tym „lepszym”. Motywy jego postępowania były trudne do zrozumienia. W moim zawodzie trzeba wiedzieć, kiedy można zadawać pytania, a kiedy należy pozwolić człowiekowi, by sam „doszedł” i zaczął mówić. Wie o tym każdy dobry policjant. To przypomina trochę szachy lub boks. Niektórych ludzi trzeba mocno przycisnąć i wyprowadzić z równowagi, a innych wystarczy lekko popchnąć - a później już ich nie można powstrzymać. Pewno opowiedziałby mi historię swego życia, gdybym go o nią zapytał. Ale ja nie zainteresowałem się nigdy, jak doszło do tego, że miał tak zmasakrowaną twarz. A szkoda, bo gdybym się dowiedział, to być może parę osób żyłoby do dzisiaj.

Rozdział czwarty

Po raz ostatni wybraliśmy się do „Wiktora” w maju; ruszyliśmy wcześniej niż zwykle, *tui* po czwartej. Terry schudł i wyglądał na zmęczonego, ale rozglądał się po lokalu z wyraźnym uśmiechem zadowolenia na twarzy.

- -Lubię bary tuż po otwarciu - oświadczył. - Kiedy powietrze w środku jest jeszcze chłodne i świeże, a wszystko dokoła błyszczy od czystości. Barman przegląda się po raz ostatni w lustrze, by sprawdzić, czy krawat mu się nie przekrzywił i czy ma gładko zaczesane włosy. Lubię ten zgrabny rząd butelek z tyłu za ladą, błyszczące szklaneczki i nastrój oczekiwania. Lubię patrzeć, jak barman przyjmuje pierwsze zamówienie, stawia szklaneczkę na świeżej podkładce i kładzie obok niej małą, złożoną na pół serwetkę. Lubię wolno popijać ten pierwszy drink wieczoru w cichym, spokojnym barze. To cudowne uczucie.
- Przytaknąłem mu.
- Alkohol jest jak miłość - ciągnął. - Pierwszy pocałunek to magia, drugi jest intymny, a trzeci już trochę odruchowy. Potem dziewczynę po prostu się rozbiera.
- Czy to coś złego?
- To na pewno duże przeżycie, ale uczuciowo nieczyste - nieczyste w sensie estetycznym. Nie szydę z seksu. Jest potrzebny i nie musi być nieestetyczny. Ale zawsze wymaga zabiegów. Wydaje się biliony dolarów, by uczynić seks powabnym, no i trzeba przyznać, że pieniądze te nie idą na marne.’.

- Rozejrzał się dokoła i ziewnął. - Złe sypiam ostatnio. Tu jest przyjemnie. Ale za chwilę zwałą się te pijaczki, będą się śmiać i głośno rozmawiać, a przekłete baby zaczną przekrzywiać twarze, brzęczeć bransoletami i czarować swą urodą z puderniczki. A później do tej urody dołączy się lekki, ale całkiem wyraźny zapach potu.
- - Czego chcesz? Kobiety są też ludźmi - brudzą się i pocą, muszą chodzić do łazienki. Czego oczekujesz?
Złotych motyli fruujących w różowej mgłę?
- Dopił, obrócił szklaneczkę do góry dnem i patrzył, jak na jej krawędzi formuje się wolno kropla, drży i spada.
- - Żal mi jej - powiedział wolno. - Puszczą się tak beznadziejnie. Może nawet mam dla niej coś w rodzaju
- uczucia. Nadejdzie dzień, kiedy będzie mnie potrzebowała, bo jestem jedynym facetem, który jej nie wykorzystuje. A ja się właśnie wtedy pewnie wyniosę. Popatrzyłem na niego. - Umiesz świetnie opowiadać o swoich sprawach - powiedziałem po chwili.
- Tak, wiem. Mam słaby charakter, jestem mięczak bez ambicji. Taki facet jak ja ma jeden wielki moment w karierze, jeden wspaniały występ na trapezie. A później przez resztę życia stara się, by nie upaść z chodnika w rynsztok.
- Co mi chcesz powiedzieć? - spytałem go. Wyjąłem fajkę i zacząłem ją napełniać.
- Ona się okropnie czegoś boi.
- Ale czego?
- Nie wiem. Ostatnimi czasy niewiele z sobą rozmawiamy. Może boi się starego. Harlan Potter to drań o kamiennym sercu. Na pozór jest pełen wiktoriańskiej godności, a w rzeczywistości jest tak bezwzględny jak gestapowiec. Sylwia lubi chłopców. Potter wie o tym i wścieka się, ale nie może nic na to poradzić. Obserwuje ją i czeka. Jeśli kiedykolwiek wpakuje się w jakiś wielki skandal, to zniszczy ją bezlitośnie.
- - Jesteś jej mężem.
- Podniósł pustą szklaneczkę i z trzaskiem postawił ją na „brzegu stołu. Pękła i głośno zabrzęczała. Barman spojrzął w naszą stronę, ale nie odezwał się.
- - No, oczywiście. Jestem jej mężem, nie ma wątpliwości, jest na to dokument. Idzie się po trzech białych stopniach do wielkich, zielonych drzwi z mosiężną kołatką. Stuka się najpierw długo, a potem dwa razy krótko i służąca wpuszcza cię do studolarowego burdelu.
- Położyłem pieniądze na stole i wstałem. - Cholernie dużo gadasz - rzuciłem - i to ciągle o sobie. Do zobaczenia. Wyszedłem, zostawiając go. O ile mogłem dostrzec w niewyraźnym świetle, to zbladł i wyglądał na zaskoczonego. Zawołał coś za mną, ale się nie zatrzymałem.
- Dziesięć minut później było mi przykro. Ale znajdowałem się już gdzie indziej. Nigdy

więcej nie pojawił się w moim biurze. Musiałem go dotknąć bardzo boleśnie. Przez cały miesiąc nie widziałem go. Kiedy znów go zobaczyłem, była piąta rano i zaczęło się właśnie rozwidniać. Z łóżka wyciągnął mnie natarczywy dzwonek. Przed drzwiami stał Terry. Wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia. Miał na sobie lekki prochowiec z postawionym kołnierzem i ciemny kapelusz nasunięty na oczy. Wydawało mi się, że drży. W ręku miał pistolet.

Rozdział piąty

Broń nie była jednak wymierzona we mnie. Po prostu trzymał w ręku pistolet średniego kalibru, jakiejś zagranicznej, marki, ale nie był to ani Colt, ani Savage. Z tą białą twarzą, bliznami, podniesionym kołnierzem, opuszczonym na oczy kapeluszem i pistoletem w dłoni wyglądał jak żywcem wyjęty ze starego gangsterskiego filmu.

- - Zawieziesz mnie do Tijuana, bo chcę złapać samolot o dziesiątej piętnaście - powiedział.
- Mam wszystko co trzeba - paszport, wizę, nie mam tylko czym dojechać. Tak się składa, że nie mogę skorzystać z pociągu, autobusu ani samolotu z Los Angeles. Czy pięćset dolarów pokryje koszt taksówki?
- Stałem w drzwiach, nie wpuszczając go.
- Pięćset plus ta spluwa? - spytałem.
- To się może przydać - odparł. - Tobie, nie mnie.
- Wejdz. - Zrobiłem mu miejsce. Wszedł zmęczonym krokiem i opadł w fotel.
- W living-roomie było jeszcze ciemno. Właścicielka domu pozwoliła, by gęste krzewy przesłoniły okna. Zapaliłem światło i wziąłem papierosa. Zacząłem mu się przypatrywać. Twarz wykrzywiłem w swój normalny, mocno już zgrany uśmiech.
- Nie wiem, co się ze mną dzieje, przesypiam taki piękny poranek. Chcesz lecieć o dziesiątej piętnaście? No, to mamy jeszcze masę czasu. Chodźmy do kuchni, zaparzę kawę.
- Mam cholerne kłopoty - powiedział zmienionym głosem.
- To będzie cudowny dzień, z lekkim wiatrem - ciągnąłem. - Słyszysz, jak szumią te stare drzewa eukaliptusowe po drugiej stronie ulicy? Wspominają zapewne dawne czasy w Australii, kiedy kangury skakały po ich gałęziach, a niedźwiadki koala nosiły jeden drugiego na grzbiecie. Tak, doszło mnie, że znajdujesz się w jakichś tarapatach. Pomówimy o tym, jak wypijesz kawę. Z rana jestem zawsze w takim niefrasobliwym nastroju. Naradźmy się więc z panem Hugginsem i panem Youngiem.
- Słuchaj, to nie pora...
- Nie obawiaj się. Panowie Huggins i Young reprezentują wysoką klasę. Z ich rąk otrzymuję kawę Hugginsa-Younga. Tym żyją, w tym znajdują dumę i radość. Pragnę, by cieszyli się

uznaniem, na które w pełni zasługują. Do tej pory robili tylko pieniądze. Trudno się spodziewać, by mogło to ich zadowolić.

- Przerwałem tę paplaninę i udałem się do kuchni, która znajdowała się w głębi mieszkania. Zdjąłem maszynkę z półki i zacząłem przyrządzać kawę. Po chwili pojawił się Terry. Przystanął w drzwiach, po czym ruszył w stronę niszy śniadaniowej i usiadł. Ciągle drżał. Zdjąłem z półki butelkę Old Grand-dada i nalałem mu dobrą miarkę. Wyraźnie tego potrzebował. Ale i tak musiał podnosić szklankę obydwoma rękami. Wypił, odstawił ją z hałasem i opadł na oparcie.
- - Myślałem że jestem już skończony - mruknął. – Czuję się tak, jakbym od tygodnia nie widział łóżka. Zeszłej nocy w ogóle nie spałem.
- Kawa była niemal gotowa. Zmniejszyłem płomień i patrzyłem, jak woda podchodzi do góry. Przez chwilę zatrzymała się na dnie szklanej rurki. Podkręciłem płomień na tyle, by mogła przejść przez wybrzuszenie, i znów go szybko zmniejszyłem. Zamieszałem kawę i przykryłem ją. Nastawiłem czasomierz na trzy minuty. Marlowe to bardzo metodyczny facet. Nie dopuszczał, by cokolwiek mogło mu zakłócić rytuał zaparzania kawy. Nawet desperat z pistoletem w dłoni. Nalałem Terry'emu jeszcze jednego. - Siedź spokojnie - powiedziałem - i nie odzywaj się ani słowem. Drugiego drinka podniósł już jedną ręką. Szybko umyłem się w łazience i wróciłem do kuchni; w tym momencie zadzwonił czasomierz. Zgasilem gaz i postawiłem maszynkę na słomianej macie na stole. Dlaczego wspominam o tym tak szczegółowo? Ponieważ napięta atmosfera powodowała, iż każda czynność nabierała swoistej wagi. W takiej chwili wszystkie automatyczne ruchy człowieka, pomimo to, że powtarza je od tak dawna, iż weszły mu w nałóg, stają się jakby odrębnymi aktami woli. Przypomina to naukę chodzenia po chorobie Heinego-Medina. Niczego, absolutnie niczego człowiek nie jest wtedy pewien. Kawa opadła na dół i do środka weszło ze świstem powietrze. Przez chwilę jeszcze słychać było bulgotanie. Kiedy się uspokoiło, zdjąłem górną część maszynki i wlałem kawę na sitko w szyjce.
- - Czarna jest dla ciebie. - Zaprawiłem mu ją alkoholem. Do swojej wrzuciłem dwie kostki cukru i dodałem trochę śmietanki. To dziwaczne uczucie zaczęło mi przechodzić. Nie mogłem sobie jednak uprzytomnić, kiedy otworzyłem lodówkę i wyjąłem karton ze śmietanką.
- Usiadłem naprzeciwko niego. Nie uczynił nawet najmniejszego ruchu. Siedział w kącie niszy, sztywno podparty. Nagle opuścił głowę na stół i zaczął płakać. Nie zareagował zupełnie, kiedy nachyliłem się i wyciągnąłem mu z kieszeni pistolet. Był to mauzer 7.65, piękna sztuka. Powąchałem go. Nie strzelano z niego. Wyjąłem magazynek. Był pełen. W zamku nie tkwił pocisk. Podniósł głowę, spostrzegł kawę i napił się trochę, nie patrząc na mnie. - Nie zastrzeliłem nikogo - oświadczył.
- - W każdym razie - nie ostatnio. Pistolet nie był czyszczony. Nie wydaje mi się, żebyś kogo z tej broni zastrzelił.
- ~ Opowiem ci, co się zdarzyło.
- - Poczekaj z tym trochę. ~ Wypiłem gorącą kawę, jak mogłem najszybciej i nalałem sobie następną filiżankę. - Pomyśl dobrze, co mi pragniesz zakomunikować. Jeśli rzeczywiście chcesz, żebym cię zawiózł do Tijuana, nie wolno ci powiedzieć dwóch rzeczy. Po pierwsze, że... czy

mnie słuchasz?

- Kiwnął niedostrzegalnie głową. Wpatrywał się pustym wzrokiem w ścianę nad moją głową. Tego ranka blizny na jego białej jak kreda twarzy były bardzo widoczne.
- - Po pierwsze - powtórzyłem wolno - jeśli sam popełniłeś zbrodnię albo to, co przez prawo jest określane jako zbrodnia, mam na myśli poważną zbrodnię, nie możesz mi o tym powiedzieć. Po drugie, jeśli jesteś w posiadaniu istotnych informacji na temat jakiejś popełnionej zbrodni, również nie możesz mi ich przekazać. O ile chcesz, oczywiście, żebym cię zawiózł do Tijuana. Czy to jasne?
- Spojrzał mi w oczy, wzrok miał całkiem martwy. Wypił już kawę i choć był jeszcze ciągle blady, przestał dygotać. Dolałem mu kawy i zaprawiłem ją tak, jak poprzednio. - Powiedziałem ci, że mam kłopoty.
- - Tak, słyszałem. Nie chcę jednak nic na ten temat wiedzieć. Muszę zarabiać na życie i dbać, by nie stracić licencji.

- - Mógłbym cię zmusić do zawiezienia mnie pod groźbą użycia broni.
- Lekko się uśmiechnąłem i położyłem przed nim jego pistolet. Rzucił na niego okiem, ale go nie ruszył.

- No, do Tijuany na pewno byś mnie nie utrzymał, Terry. Nie dałbyś też rady przez granicę czy nawet na schodach do samolotu. Jestem człowiekiem, który od czasu do czasu ma do czynienia z bronią. Zostawmy ten pomysł z pistoletem w spokoju. Ładnie bym wyglądał opowiadając glinom, że byłem tak przerażony, iż robiłem posłusznie to, co mi kazałeś. Oczywiście zakładając - do czego nie mam żadnych podstaw - że miałbym im coś do powiedzenia.
- Zapukają do jej drzwi koło południa, może trochę później. Służba wie dobrze, iż nie wolno jej przeszkadzać, kiedy długo śpi rano. Ale około południa pokojówka wejdzie. A jej nie będzie.

- Popijałem kawę i nie odzywałem się.
- - Zorientuje się, że w łóżku nikt nie spał - ciągnął. - Pomyśli, że pewno jest gdzie indziej. W sporej odległości od głównego budynku znajduje się dom dla gości. Ma własny wjazd, garaż i tak dalej. Sylwia spędziła w nim noc i pokojówka ją tam w końcu znajdzie.
- Zmarszczyłem się. - Muszę bardzo ostrożnie formułować pytania, które ci teraz zadam, Terry. Czy Sylwia nie mogła spędzić nocy poza domem?

- Jej ubranie byłoby porzucane po całym pokoju. Nigdy nie używa wieszaków. Pokojówka od razu by się domyśliła, że włożyła szlafrok na piżamę i wyszła do domu dla gości.
- Dlaczego akurat tam?
- Oczywiście, że tam. Do cholery, myślisz, że nie wiedzą, co się tam wyrabia. Służba

jest.zawsze doskonale zorientowana.

-
- -Zostawmy to.
- Pociągnął palcem po zdrowym policzku, zostawiając na nim czerwony ślad. - A w domu dla gości pokojówka zastała...
- Sylwię spałą, kompletnie zalaną, pijaną w trupa - przerwałem mu ostro.
- Może. - Zaczął się nad tym intensywnie zastanawiać. - Na pewno tak było. Sylwia nie jest alkoholiczką, ale kiedy już idzie w gaz, to na całego.
- To koniec twego opowiadania - oświadczyłem. - A teraz ja dopowiem ci resztę. Ostatnim razem, kiedy poszliśmy się napić, byłem, jak pamiętasz, trochę szorstki w stosunku do ciebie. Tak mnie zirytowałaś, iż wyszedłem z baru. Rozmyślając o tym później, doszedłem do wniosku, że liczyłeś się z tym, że stanie się coś niedobrego, i chciałeś się wygadać. Powiadasz, że masz paszport i wizę. Wizę do Meksyku nie jest tak łatwo dostać. Nie dają jej od ręki każdemu. To znaczy, iż od pewnego czasu nosiłeś się z zamiarem odejścia. Nieraz się zastanawiałem, jak długo będziesz w stanie to wytrzymać.
- Wydawało mi się, że powinienem być przy niej, że mogę być jej potrzebny nie tylko po to, by stary nie zainteresował się zbyt blisko jej sprawami. A przy okazji, wiesz, że tej nocy dzwoniłem do ciebie?
- Nic nie słyszałem, śpię bardzo twardo.
- Wybrałem się później do łaźni tureckiej. Spędziłem tam parę godzin, siedziałem pod parą i moczyłem się w basenie, a później wziąłem tusz szkocki i masaż i zatelefonowałem do paru osób. Zostawiłem wóz przy La Brea and Fountain. Stamtąd ruszyłem piechotą. Nikt nie widział, jak skręcałem w twoją ulicę.
- Czy te rozmowy telefoniczne miały jakiś związek ze mną?
- Chciałem porozmawiać z Harlanem Potterem. Nie było go jednak w domu, poleciał do Pasadeny w interesach.
-
- Miałem duże trudności w odnalezieniu go, ale w końcu się udało. Oświadczyłem, iż jest mi przyro, ale odchodzę. - Mówiąc to obrócił twarz w stronę okna, o którego kraty ocierały się gałęzie drzewa tekowego.
- A jak Potter to przyjął?
- Powiedział, że jest mu przykro. Życzył mi powodzenia. Zapytał, czy nie potrzebuję pieniędzy. - Pieniądze - Terry gorzko się uśmiechnął. - Pieniądze - powtórzył. - To najważniejsze słowo w jego słowniku. Odparłem, że mam dość. Później zadzwoniłem do siostry

Sylwii. Rozmowa miała podobny przebieg. To wszystko.

- Chcę się ciebie o coś zapytać. Czy kiedykolwiek przyłapałeś ją z mężczyzną w tym domu gościnnym?
- Zaprzeczył ruchem głowy. - Nigdy się nie starałem. Nie wymagałoby to zresztą większego zachodu. Ciągłe powtarzało się to samo.
- Stygnie ci kawa.
- Nie będę już pił więcej.
- Miała dużo mężczyzn, co? A ty jednak wróciłeś do niej i ponownie się ożeniłeś. Rozumiem, że to piękna kobieta, ale mimo wszystko...
- Powiedziałem ci już kiedyś, że mam słaby charakter. Dlaczego odszedłem od niej za pierwszym razem? Dlaczego wolałem raczej leżeć w rynsztoku, niż poprosić ją o pieniądze? Miała pięciu mężów przede mną. I każdy z nich wróciłby do niej natychmiast, gdyby tylko kiwnęła palcem. I to nie dla tego miliona dolarów.
- Tak, to na pewno bardzo piękna kobieta. - Spojrzałem na zegarek. - A właściwie dlaczego chcesz lecieć z Tijuany tym o dziesiątej piętnaście?
- Bo na tym samolocie jest zawsze miejsce. Nikt z Los Angeles nie ma ochoty lecieć DC-3 nad górami, kiedy może wsiąść do Constellation i w siedem godzin być w Mexico City. Poza tym Convairy nie zatrzymują się w miejscowości, do której chcę się udać.
-
- Wstałem i oparłem się plecami o zlewozmywak. - Podsumujmy to teraz, ale nie przerywaj mi. Pojawiłeś się u mnie rano w stanie wielkiego podniecenia i chciałeś, żebym cię zawiózł do Tijuany, skąd planowałeś polecieć wczesnym samolotem. W kieszeni miałeś pistolet, ale ja go przecież nie musiałem widzieć. Powiedziałeś, że znosiłeś to wszystko tak długo, jak mogłeś, ale ostatniej nocy miarka się wreszcie przebrała. Stwierdziłeś, że twoja żona była kompletnie pijana i że był z nią jakiś mężczyzna. Wyszedłeś z domu i udałeś się do łaźni tureckiej, gdzie przesiedziałeś do rana. Zadzwoiłeś stamtąd do dwojga najbliższych krewnych twojej żony, by zawiadomić ich o swym kroku. Nie interesowało mnie, dokąd się udawałeś, miałeś bowiem dokumenty potrzebne do wjazdu do Meksyku. Nic mnie też nie obchodziło, w jaki sposób chcesz się tam dostać. Zrobiłem to, o co mnie prosiłeś, bez zastanawiania się. Dlaczego miałbym postąpić inaczej? Nie brałem przecież za to pieniędzy. Miałeś swój wóz, ale byłeś za bardzo podniecony, by samemu go prowadzić. Ta decyzja należała do ciebie. Jesteś bardzo nerwowym gościem, byłeś ciężko ranny w czasie wojny. Myślę, że powinienem zabrać twój wóz i zostawić go w jakimś garażu na przechowanie. Podał mi skórzany pokrowiec z kluczem.
- Czy myślisz, że ta historia trzyma się kupy? - spytał.

- To zależy, kto będzie jej słuchał. Ale jeszcze nie skończyłem. Nie wzięłaś z sobą nic, poza ubraniem, które miałaś na sobie, i pieniędzmi od teścia. Zostawiłaś wszystko, co otrzymałaś od niej, łącznie z tym fantastycznym wozem, który zaparkowałaś w La Brea and Fountain. Chciałaś odejść bez jakichkolwiek długów i zobowiązań. W porządku. Mogę przyjąć tę wersję.
- Dlaczego to robisz?
- - Nalej sobie kieliszek, a ja pójdę się ogolić. Wyszedłem. Siedział przygarbiony w kącie niszy, ciągle jeszcze w kapeluszu i prochowcu, wyglądał jednak już znacznie lepiej.
- Ogoliłem się w łazience, a następnie poszedłem do sypialni. Zacząłem zawiązywać sobie krawat, gdy nadszedł i zatrzymał się w drzwiach. - Na wszelki wypadek umyłem filiżanki - powiedział. - Myślę, że mimo wszystko byłoby lepiej, gdybyś wezwał policję.
- Wezwij ich sam. Ja nie mam im nic do powiedzenia.
- Chcesz, żebym to zrobił?
- Obróciłem się gwałtownie i spojrzałem ostro na niego.
- Do jasnej cholery! - rzuciłem z irytacją. - Czy możesz się wreszcie uspokoić.
- Przepraszam. Żałuję, że to powiedziałem.
- - Tacy faceci jak ty ciągle żałują. Z reguły za późno. Odwrócił się i ruszył przez hall do living-roomu.
Skończyłem się ubierać i zamknąłem tylne wejście.
- Kiedy wszedłem do living-roomu, zastałem go śpiącego w krześle, z głową zwieszoną na bok. Twarz miał bardzo bladą, a leżące bezwładnie ciało wskazywało na wielkie wyczerpanie. Wzbudzał uczucie litości. Kiedy dotknąłem jego ramienia, zaczął wolno otwierać oczy. Sprawiało to wrażenie, jakby miejsce, w którym przebywał, dzieliła wielka odległość od miejsca, w którym ja się znajdowałem. Kiedy przyszedł do siebie, spytałem: - A co z tą walizką? Ciągle leży na górnej półce w schowku na ubrania.
- Nic w niej nie ma - odparł obojętnie. - Poza tym za bardzo rzuca się w oczy.

- Jeśli polecisz bez bagażu, to będziesz zwracał uwagę.
- Wróciłem do sypialni i wyciągnąłem walizkę ze schowka. Obok w suficie znajdował się kwadratowy otwór stanowiący wejście na strych. Uniosłem przykrywę, wsadziłem rękę jak tylko mogłem najgłębiej i wrzuciłem skórzany pokrowiec z kluczami za zakurzoną, drewnianą belkę. Wytarłem walizkę i włożyłem do niej trochę rzeczy:
 - nową piżamę, szczoteczkę i pastę do zębów, parę tanich ręczników, kilka bawełnianych chusteczek, piętnastocen-tową tubę kremu do golenia i jedną z tych maszynek, które dodają do paczki żyletek. Nic używanego, oznakowanego bądź wyróżniającego się w jakikolwiek sposób. Jego własne rzeczy byłyby na pewno lepszego gatunku. Dodałem do tego butelkę bourbonu, zawiniętą w papier, w którym ją kupiłem. Zamknąłem walizkę, nie wyjmując kluczyka z zamku, i zabrałem ją do living-roomu. Znów spał. Otworzyłem drzwi i nie budząc go zaniósłem walizkę do garażu. Wstawiłem ją za przednie siedzenie Oldsa, wyprowadziłem wóz, zamknąłem garaż i poszedłem obudzić Terry'ego. Pozamykałem wszystko i ruszyliśmy. Jechałem szybko, nie przekraczając jednak dozwolonej szybkości. W drodze prawie nie odzywaliśmy się do siebie. Nie zatrzymaliśmy się też, by coś zjeść. Nie było już na to czasu. Na granicy w ogóle z nami nie rozmawiano. Kiedy wjechaliśmy na wietrzną mesę, na której znajduje się Tijuana, zaparkowałem w pobliżu kasy lotniska i zostałem w wozie, a Terry poszedł kupić bilet. Podgrzewano już motory i śmigła DC-3 obracały się z wolna. Wysoki, bardzo przystojny pilot w szarym mundurze rozmawiał z grupą ' ludzi, złożoną z dwóch mężczyzn i dwóch kobiet. Jeden z mężczyzn, mający chyba ponad dwa metry, trzymał futerał ze strzelbą. Obok niego stała dziewczyna w szortach oraz niski mężczyzna w średnim wieku i siwa pani, tak wysoka, iż wydawał się przy niej karzełkiem. Kręciło się jeszcze trzech czy czterech Meksykanów. Poza tym nie było nikogo. Schodki stały już przy samolocie, ale nikt się nie kwapił do wsiadania. Po chwili w drzwiach do samolotu ukazał się meksykański steward, zszedł i stanął na płycie. Nie wyglądało na to, „by mieli zainstalowane na lotnisku głośniki. Meksykanie weszli do samolotu, lecz pilot nadal rozmawiał z Amerykanami. Obok mnie stał zaparkowany wielki Packard. Wysiadłem i rzuciłem okiem na jego numer rejestracyjny. Może przyjdzie czas, że nauczę się nie wtrącać nosa w nie swoje sprawy. Kiedy się obróciłem, zauważyłem, iż wysoka kobieta patrzy w moją stronę. Po zakurzonym, zwirowanym parkingu nadchodził Terry.
 - - Jestem gotów - powiedział. - Czas się pożegnać. Podał mi rękę. Uścisnąłem ją. Wyglądał zupełnie nieźle,
 - tyle że był zmęczony, piekielnie zmęczony. Wyciągnąłem walizkę ze świńskiej skóry z Oldsa i postawiłem na ziemi. Spojrzał na nią wściekły.
 - Mówiłem ci, że jej nie chcę - powiedział zirytowanym tonem.
 - Wsadziłem do niej butelkę ognistej wody, piżamę i parę drobiazgów. Nic, co by można zidentyfikować. Jeśli nie jest ci potrzebna, to daj ją na przechowanie albo wyrzuć.
 - Mam swoje powody - odparł sztywno.

- Ja też.
- Nagle się uśmiechnął. Wziął walizkę, a drugą ręką ścisnął mnie za ramię. - W porządku, przyjacielu. Ty decydujesz. I pamiętaj, jeśli będą jakieś kłopoty, masz wolną rękę. Nie czuj się w jakikolwiek sposób zobowiązany w stosunku do mnie. Parę razy spotkaliśmy się na drinku i zaprzyjaźnili. Za dużo mówiłem o sobie. Zostawiłem ci pięć stów w puszcze od kawy. Nie miej mi tego za złe.
- Niepotrzebnie to zrobiłeś.
- Nigdy nie wydam nawet połowy tego, co mam.
- Powodzenia, Terry.
- Dwóch Amerykanów wchodziło już po schodkach. Przysadkowaty facet o szerokiej, ciemnej twarzy ukazał się w drzwiach portu lotniczego i wskazał ręką na samolot.
- - Wsiadaj - powiedziałem. - Wiem, że jej nie zabiłeś. Dlatego cię tu przywiozłem.
- Cały zeszywniał. - Przykro mi odparł powoli - ale się
- mylisz. Pójdę wolno do samolotu. Będziesz miał dość' czasu, by mnie zatrzymać. Gość w wejściu do portu lotniczego spokojnie czekał, Meksykanie są na ogół cierpliwi. Nachylił się, poklepał walizkę ze świńskiej skóry, uśmiechnął się do Terry'ego i wpuścił go do środka. Terry wyszedł drzwiami po drugiej stronie budynku, tam gdzie urzędują celnicy, jak się przylatuje. Ruszył wolno po żwirze w kierunku samolotu. Przy schodkach zatrzymał się, obrócił i popatrzył w moją stronę. Nie dał mi żadnego znaku ani nie pomachał ręką. Ja również nie uczyniłem najmniejszego gestu. Wszedł do samolotu, a schodki zostały od razu wciągnięte. Wsiadłem do Oldsa, włączyłem motor, cofnąłem się kawałek, zawróciłem i podjechałem do połowy parkingu. Na płycie znajdowali się ciągle niski mężczyzna i wysoka kobieta, która wyciągnęła chusteczkę i zaczęła nią powiewać. Samolot pokołował, wznosząc tumany pyłu, w stronę końca lotniska i tam zawrócił. Kiedy motory zaczęły ryczeć na zwiększonych obrotach, ruszył do przodu, z wolna nabierając szybkości. Z tyłu za nim unosiły się kłęby kurzu. Po chwili był już w powietrzu. Patrzyłem, jak wznosił się wolno i zniknął na czystym błękitnie nieba, odlatując w południowo-wschodnim kierunku. Ruszyłem. Na granicy nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, tak jakbym w ogóle nie istniał.

Rozdział szósty

Z Tijuany jest kawał drogi, i to najmodniejszej chyba w całej Kalifornii. Sama miejscowość to beznadziejna dziura - interesują się tu tylko dolarem. Chłopiec, który i

- podchodzi do wozu i patrząc na ciebie wielkimi, rozmarzonymi oczyma prosi: „Niech mi pan da dziesięć centów”, w następnym momencie próbuje zaoferować ci swoją siostrę. Tijuana to nie Meksyk. Każde przygraniczne miasto jest takie samo. Podobnie ma się zresztą z miejscowościami na wybrzeżu. Weźmy takie San Diego. Chyba jeden z najpiękniejszych portów na świecie; wieczorem wygląda jak kraina z baśni. A przecież nie ma w nim nic oprócz okrętów marynarki wojennej i paru rybackich łodzi. Droga na północ jest tak monotonna jak piosenka marynarska. Przejeżdżasz miasteczko, zjeżdżasz z pagórka, jedziesz wzdłuż plaży i znów przez miasteczko, z pagórka i wzdłuż plaży. Do domu dotarłem o drugiej w nocy. Czekali już na mnie w ciemnym sedanie bez czerwonego światła i oznakowań policyjnych. Mieli tylko podwójną antenę, którą posiadają przecież nie tylko wozy policyjne. Byłem w połowie schodów, kiedy wyszli z wozu i zawołali do mnie. Było to dwóch typowych facetów. Poruszali się z wolna” z kamiennym spokojem, jakby spodziewając się, że wszyscy będą w napięciu oczekiwali na ich polecenia.
- Pan się nazywa Marlowe? Chcemy z panem porozmawiać. - Błysnął mi przed oczyma swoim znaczkiem. Tyle zobaczyłem, że z równym powodzeniem mogłem przyjąć, iż przyszli ze stacji sanitarno-epidemiologicznej. Pierwszy, płowy blondyn, sprawiał wrażenie trudnego faceta. Jego partner był wysoki, przystojny i starannie ubrany; wyrażał się z precyzją, ale w bardzo agresywny sposób - taki drań z wyższym wykształceniem. Mieli czujne, wyczekujące, cierpliwe i bystre oczy, zimne i pogardliwe - oczy glin. Z takimi oczyma wypuścili ich po promocji w szkole policyjnej.
- Ja jestem sierżant Green z Centralnego Wydziału Zabójstw, a to jest detektyw Dayton.
- Wszedłem na górę i otworzyłem drzwi. Z glinami z dużych miast nie należy się witać przy pomocy podawania rąk. Uważają to za zbędną serdeczność. Usiedli w living-roomie. Otworzyłem okna, w krzewach rosnących przy domu szumiał wiatr.
- Zna pan gościa o nazwisku Terry Lennox?
- Spotykamy się od czasu do czasu na drinku. Mieszka w Encino, ożenił się bogato. Nigdy u niego nie byłem.
- Od czasu do czasu - przerwał mi Green - to znaczy jak często?
- To rzeczywiście niezbyt precyzyjne określenie. Użyłem go celowo. Czasem raz na tydzień, czasem raz na dwa miesiące.
- Zna pan jego żonę?
- Kiedyś się z nią zetknąłem przelotnie, nim jeszcze zostali małżeństwem.
- - Kiedy i gdzie widział się pan z nim po raz ostatni? Wziąłem ze stołu fajkę i zacząłem ją

napępniać. Green pochylił się w moją stronę, a wysoki facet trzymał długopis zawieszony nad czerwono obrzeżonym notatnikiem.

- - W tym momencie powinienem zapytać: „O co tu właściwie chodzi?”, a panowie powinni powiedzieć: „To my jesteśmy od zadawania pytań”. - No, to niech pan na nie odpowiada. Próbowałem zapalić fajkę, ale tytoń był trochę wilgotny.
- Zużyłem trzy zapaliki, nim mi się to wreszcie udało.

- Mam czas - powiedział Green - ale już go sporo zużyłem na czekanie. Więc niech się pan pośpieszy. My wiemy, kim pan jest, a pan się orientuje, że nie przyszliśmy tu, żeby pooddychać świeżym powietrzem przed snem.
- Myślę właśnie. Chodziliśmy dość często do „Wiktora” i rzadziej do „The Green Lantern” oraz” „The Buli and Bear” - to ten lokal na końcu Strip, który usiłuje naśladować angielską gospodę...
- Chce pan zyskać na czasie.
- Kto nie żyje? - spytałem..
-

- Do rozmowy włączył się detektyw Dayton. Z jego dobitnego, autorytatywnego głosu należało wnosić, że jest to człowiek, z którym nie ma żartów. - Niech pan odpowiada na pytania, Marlowe. Prowadzimy normalne dochodzenie. To powinno panu wystarczyć. Pewnie byłem zmęczony i podenerwowany. Może też byłem świadom, że nie jestem całkiem w porządku. Dość, że miałem piekielną ochotę, by strzelić go w zęby. Nie znałem tego gliny bliżej, ale czułem wzbierającą we mnie wściekłość. Wystarczyło, że patrzyłem na niego, jak siedział po drugiej stronie stołu.
- - Wie pan, co pan może zrobić z taką gadką? - odparłem. - To dobre w Wydziale dla Młodocianych. Ale nawet te chłoptasie, kiedy słyszą coś takiego, to dostają w ustach zajadów od śmiechu.
- Green parsknął. Wyraz twarzy Daytona pozornie nie zmienił się, ale nagle rysy mu stwardniały, jakby się postarzał o dziesięć lat. Oddychał przez nos z lekkim świstem.
- - Zdał egzamin prawniczy - wyjaśnił Green. - Z Daytonem nie ma żartów.
- Wstałem wolno i podszedłem do półki z książkami. Zdjąłem Kodeks karny Kalifornii. Wyciągnąłem go w stronę Daytona.
- - Może pan mi uprzejmie znajdzie ten rozdział, w którym jest mowa, że jestem zobowiązany do odpowiadania na tego rodzaju pytania.
- Stał absolutnie spokojnie, ale byłem przekonany, że chce mnie uderzyć. Czekał tylko na odpowiedni moment. Oznaczało to, iż nie jest pewny, czy Green go poprze, jeśli pozwoli sobie na taki numer.
- - Każdy obywatel ma obowiązek współpracowania z policją - powiedział. - Wszystkimi sposobami, nawet fizycznie, zwłaszcza zaś poprzez udzielanie odpowiedzi na pytania, które nie mogą go obciążyć, a które policja pragnie zadać. -+ Powiedział to twardym, równym głosem.

- Tak to się odbywa w praktyce - odparłem. - Głównie przy pomocy bezpośredniego lub pośredniego nacisku. W prawie taki obowiązek nie istnieje. Nikt nie jest zobowiązany mówić policji czegokolwiek, kiedykolwiek, w jakimkolwiek miejscu.
- Dość tego - odezwał się zniecierpliwiony Green. - Sam pan wie, że próbuje pan nas zagadać. Niech pan siada. Żona Lennox została zamordowana. Znalezione ją w domu gościnnym w ich rezydencji w Encino. Lennox zwiął. W każdym razie nie można go znaleźć. Szukamy więc podejrzanego w sprawie o morderstwo. To panu wystarczy?
- Rzuciłem książkę na krzesło i siadłem z powrotem na kanapie po drugiej stronie stołu. - Dlaczego akurat do mnie przychodzicie z tym? Nigdy nie byłem w pobliżu tego domu. Już wam to przecież mówiłem. Green, lekko uśmiechnięty, zaczął się klepać po udach. Dayton siedział bez ruchu i wpatrywał się we mnie złym wzrokiem.
- Z tej przyczyny, iż pański numer telefoniczny został zanotowany w ciągu ubiegłej doby w kalendarzu, który znaleźliśmy w jego pokoju - odparł. - Kartka z wczorajszego dnia została wydarta, ale numer odcisnął się na dzisiejszej. Nie wiemy, kiedy do pana dzwonił. Nie wiemy też, dokąd się udał, ani dlaczego, ani kiedy. No i stąd te pytania.
- Ale cóż ona robiła w domu dla gości? - zapytałem, nie spodziewając się, że mi odpowie.
- Ale rumieniąc się lekko, wyjaśnił: ~ Okazuje się, że bywała tam często. W nocy. Miewała gości. Kiedy tam ktoś przebywał, to..służąca mogła dostrzec światło przez drzewa. Czasem późno, czasem nawet bardzo późno przyjeżdżały i odjeżdżały stamtąd różne wozy. W końcu miarka musiała się przebrać. To mógł być tylko Lennox. Poszedł
- tam około pierwszej w nocy. Lokaj go zauważył. Jakies dwadzieścia minut później wrócił sam. Później nic się nie działo. W oknach nadal paliły się światła. Rano Lennox nie było. Lokaj udał się do domu dla gości. Babka leżała na łóżku tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Nie mógł rozpoznać jej po twarzy, bo niewiele z niej zostało. Ktoś ją zmiażdżył brązową figurką małpy.
- Terry Lennox nie jest zdolny do czegoś takiego - powiedziałem. - Zdradzała go, co do tego nie ma wątpliwości. To nic nowego. Robiła to zawsze. Na pewno nie sprawiało mu to przyjemności. Wzięli rozwód, ale znów się zeszli. Dlaczego akurat teraz miałby wpaść w szal?
- Na to nie ma reguły - odparł cierpliwie Green. - Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Facet to znosi i znosi, aż któregoś dnia ma nagle dość. Sam prawdopodobnie nie wie, dlaczego w pewnym momencie dostaje szału. No, i ktoś ginie. A my mamy zajęcie. A teraz zadajemy panu proste pytanie. Albo przestanie pan udawać Greka, albo zabierzemy pana ze sobą.

- On panu nie odpowie, sierżancie. Przeczytał książkę prawniczą - złośliwie wtrącił się Dayton. - Tak jak wielu ludzi, którzy czytają książki prawnicze, sądzi, że w nich jest zawarte prawo.
- Rób notatki - powiedział Green - i daj odpocząć swemu intelektowi. - Jeśli okaże się, że jesteś coś wart, to pozwolimy ci zaśpiewać „My Bonnie is Over the Ocean” na towarzyskim wieczorku policyjnym.
- Idź pan do cholery, sierżancie, mówię to oczywiście z całym szacunkiem dla pańskiego stopnia^ rzucił wściekły Dayton.
- A nie chcielibyście zobaczyć, kto lepiej potrafi uderzyć? - zwróciłem się do Greena. - Ja się zajmę tym pańskim pomocnikiem, kiedy będzie miał dość.

- Dayton bardzo starannie odłożył na bok notes i długopis, podniósł się i z niebezpiecznym błyskiem w oku podszedł do mnie.
- - Wstawaj, cwaniaku. Myślisz, że ponieważ chodziłem do college’u, to muszę teraz wysłuchiwać bredni od każdego durnia.
- Zacząłem się podnosić. Jeszcze nie zdążyłem stanąć dobrze na nogach, kiedy rąbnął mnie z lewej i dołożył z prawej. Zadzwońło mi w uszach, ale nie był to dzwonek na kolację. Usiadłem i potrząsnąłem głową. Dayton stał ciągle przede mną z uśmiechem na twarzy.
- - Spróbujmy jeszcze raz - powiedział. - Nie byłeś całkiem gotów. To nie było tak jak w college’u.
- Spojrzałem na Greena. Wpatrywał się w kciuk, jakby sprawdzał, czy mu wrasta paznokieć. Siedziałem bez słowa, czekając, by uniósł głowę. Gdybym wstał, Dayton by mnie znów palnął. Z zadanych umiejętnie ciosów było widać, że umie boksować. Musiałoby ich być jednak grubo więcej, by mnie załatwić. Mógł oczywiście spróbować jeszcze raz, ale rozniósłbym go wtedy na kawałki. Green mruknął: - No, proszę, jak to ładnie zrobiłeś, Billy. Tego mu właśnie było potrzeba. Trochę zachęty do rozmowy. Po czym podniósł głowę i odezwał się spokojnym głosem: - Pytam się pana ponownie, Marlowe, kiedy ostatnio widział się pan z Terryem Lennoxem, gdzie to było, jak do tego doszło i o czym rozmawialiście? Oraz - skąd pan przed chwilą przyjechał? Odpowiada pan czy nie? Dayton stał rozluźniony, na rozstawionych nogach, a z oczu promieniowało mu głębokie wewnętrzne zadowolenie.

- A co z tym drugim facetem? - zapytałem, nie zwracając na niego uwagi.
- Jakim drugim facetem?
- Tam musiał być drugi facet. Była przecież rozebrana.
-
- Nie powie pan, że poszła do domu dla gości, by układać nago pasjansa.

- Tym się zajmiemy później, kiedy już będziemy mieli męża.
- Znakomicie. Nie męczcie się tylko za bardzo, przecież wszystko jest już jasne.
- Nie będzie pan mówił, to zabierzemy pana.
- Jako świadka dowodowego?
- Świadka dowodowego? To dobre! Jako podejrzanego o współudział po fakcie. Konkretnie - o udzielenie podejrzanemu pomocy w ucieczce. Myślę, że pan gdzieś go wywiózł. W tej chwili to mi wystarczy. Ostatnimi czasy nasz szef jest twardy. Zna przepisy, ale nie zawsze dopisuje mu pamięć. Ta sprawa mogłaby panu napytać dużo biedy. Tak czy inaczej będziemy mieli od pana zeznanie. Im trudniej będzie go nam uzyskać, tym będziemy pewniejsi, że jest ono nam potrzebne.
- Dla niego to tylko zawracanie głowy - powiedział Dayton. - On zna prawo.
- To jest zawracanie głowy dla nas wszystkich - stwierdził spokojnie Green. - Ale to daje wyniki. Niech pan zaczyna. Ostrzegam pana.
- Dobra, słyszałem. Terry Lennox jest moim przyjacielem. To wystarczy, bym nie miał ochoty udzielać informacji tylko dlatego, iż jakiś policjant tego sobie życzy. Być może macie znacznie poważniejsze dowody przeciwko niemu niż to, co do tej pory usłyszałem - motyw, sposobność, no i to, że zniknął. Motyw to stara sprawa, która dawno straciła na ostrości. Mieli rodzaj niepisanego układu. Mnie osobiście taka umowa się nie podoba. Ale to tego rodzaju gość. Ma słaby charakter, ale jest bardzo łagodny. Reszta nie ma żadnego znaczenia, poza tym, że o ile wiedział, iż ją zabito, to musiał sobie zdawać sprawę, w jakim kierunku pójść podejrzeń. Na wstępnej rozpra-
-
- wie, o ile oczywiście się odbędzie i o ile zostanę wezwany na świadka, będę musiał zeznawać. Ale nie mam obowiązku odpowiadać na wasze pytania. Pan jest sympatycznym gościem, Green, ale pański kolega to jeszcze jeden zakicha-ny ważniak z kompleksem władzy, wymachujący swym znaczkim. Jeśli pan chce, żebym się rzeczywiście znalazł w kłopotach, to niech pan mu pozwoli, by mnie jeszcze raz uderzył. Na pewno złamię mu ten jego ołóweczek. Green wstał i smętnie na niego popatrzył. Dayton sienie ruszył. Należał do tych twardziel!, którym starcza pary tylko na jeden występ. Potrzebował czasu, by nacieszyć się swym triumfem. - Zadzwoń teraz do kapitana - powiedział Green - ale wiem z góry, jaką usłyszę odpowiedź. Marlowe, pan się upiera, by wsadzić palce między drzwi. Nie kręć mi się tu pod nogami - zwrócił się do swego kolegi. Dayton odwrócił się i wziął z krzesła swój notes. Green podszedł do telefonu i wolno podniósł słuchawkę. Miał prostą, pobrużdżoną twarz, świadczącą o długich latach męczącej, niewdzięcznej pracy. Tak bywa z glinami. Człowiek gotów jest ich nienawidzić, a niespodziewanie natyka się na takiego, który jest ludzki. Kapitan rozkazał, by mnie doprowadzili bez żadnych ceregieli. Założyli mi kajdanki. Nie przeszukali jednak mieszkania, co było błędem. Pewnie myśleli, że jestem zbyt doświadczony, by trzymać w domu cokolwiek obciążającego. Ale tu się mylili. Fachowo przeprowadzona rewizja doprowadziłaby do odnalezienia kluczyków wozu. A kiedy by znaleziono wóz, co musiałyby nastąpić wcześniej czy później, stwierdzono by natychmiast, że kluczyki pasują do niego, co oznaczałoby, iż Terry musiał się ze mną spotkać. Okazało się zresztą później, iż nie miałyby to żadnego znaczenia. Policja nigdy nie odnalazła wozu. Został bowiem ukradziony jeszcze tej samej nocy.

- zabrano go do El Paso, gdzie mu wymieniono zamki i wystawiono nowe, fałszywe papiery. Został sprzedany w końcu w Mexico City. To normalna sprawa. Zarobione w ten sposób pieniądze przyjeżdżają do Stanów przeważnie w postaci heroiny. Tak wygląda polityka dobrego sąsiedztwa w wykonaniu przestępczego podziemia.

Rozdział siódmy

Tego roku szefem Wydziału Zabójstw był kapitan Gregorius, typ policjanta, który na szczęście staje się coraz rzadszy, ale ciągle się go jeszcze spotyka. Rozwiązuje on zbrodnie przy pomocy światła w oczy, kopniaka w nerki, uderzenia kolaniem w miękkie partie, ciosu w splot słoneczny czy walnięcia kijem w podstawę kręgosłupa w czasie nocnego przesłuchania. Sześć miesięcy później Gregorius został skazany za krzywoprzysięstwo przez ławę przysięgłych, wyrzucony z policji bez sądu, a następnie strатовany na śmierć przez wielkiego ogiera na własnej farmie w Wyoming. W tej chwili chciał mnie zjeść na przekąskę. Siedział za biurkiem w samej koszuli, z rękawami zawiniętymi prawie po barki. Był łysy jak kolano i tęgi w pasie, jak wszyscy muskularni mężczyźni w średnim wieku. Oczy miał rybio-szarego koloru. Na wielkim nosie siatkę czerwonych żyłek. Pił kawę w sposób, który można by określić jako dość głośny. Masywne dłonie, o tępo zakończonych palcach, były porośnięte gęstymi włosami. Kępki kręconych włosów wyrastały mu również z uszu. Bawił się czymś, co leżało na biurku, i patrzył na Greena. Green mówił: - Właściwie jedyna rzecz, którą możemy mu zarzucić, szefie, to to, że nic nie chce nam powiedzieć.

- Naprowadził, nas na niego ten numer telefoniczny. Zna dobrze Lennox, ale odmawia odpowiedzi na pytanie, kiedy go widział ostatni raz. Jeździł gdzieś wozem, ale też nie chce ujawnić, gdzie był.
- - Pewnie mu się wydaje, że jest twardy - skomentował Gregorius znudzonym głosem. - Można by go wyprowadzić z błędu. - Powiedział to takim tonem, jakby chodziło o zupełną drobnostkę. Prawdopodobnie tak było. Nikt dla niego nie był twardy. - Rzecz w tym, iż prokurator jest przekonany, że prasa bardzo się tym zainteresuje. Nie można mu się dziwić, pamiętając, kim jest ojciec tej dziewczyny. Będziemy chyba musieli utrzyć trochę nosa temu gościowi.
- Popatrzył na mnie, jakbym był niedopałkiem papierosa albo wyplutą pestką ze śliwki. W każdym razie czymś, co go zupełnie nie interesowało, a znalazło się przypadkowo w polu jego widzenia. Dayton odezwał się z szacunkiem w głosie: - Nie ulega wątpliwości, że całe zachowanie tego faceta zmierzało do tego, by doprowadzić do sytuacji, w której mógłby odmówić złożenia zeznań. Powoływał się na przepisy prawne i tak mnie zirytował, że dołożyłem mu. Przyznaję, panie kapitanie, że trochę się wychyliłem. Gregorius popatrzył na niego bezbarwnym wzrokiem.

- - Pana widocznie łatwo zirytować - powiedział - jeśli takiemu gówniarzowi to się udało. Kto mu zdjął kajdanki?
- Green powiedział, że on. ~ Niech pan je z powrotem założy - rozkazał Gregorius. - Ciasno. Ten facet potrzebuje czegoś, co by go ożywiło. Sierżant zaczął mi zakładać kajdanki. - Na plecach - warknął Gregorius. Siedziałem na twardym krześle z rękami skutymi z tyłu.
- - Ściągnij je dobrze - rzekł Gregorius. - Tak, żeby poczuł.
- Zaczęły mi drętwieć ręce.
- - No, gadaj pan, byle szybko.
- Milczałem. Patrzył na mnie z uśmiechem. Wolno wyciągnął rękę w stronę filiżanki z kawą i objął ją dłonią. Pochylił się lekko do przodu. Kawa poleciała w moim kierunku, ale uchyliłem się. Upadłem całym ciężarem na ramię, przekręciłem się i wolno wstałem. Ręce miałem całkowicie zdrętwiałe. Zaczęły mnie boleć ramiona ponad kajdankami. Green pomógł mi usiąść. Oparcie i część siedzenia były zalane kawą, lecz większość płynu znalazła się na podłodze.
- - Widać nie lubi kawy - powiedział Gregorius. - To przytomniak, szybko się porusza. Ma dobry refleks.
- Nikt się nie odezwał. Gregorius przypatrywał mi się swymi rybimi oczyma.
- U nas licencja prywatnego detektywa znaczy tyle co bilet wizytowy. No, a teraz jazda, niech pan składa zeznania, najpierw ustnie. Później je zaprotokołujemy. To ma być szczegółowe zeznanie na temat tego, co pan robił wczoraj, powiedzmy, od dziesiątej wieczorem. Szczegółowe, rozumie pan. Nasz urząd prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, a główny podejrzany gdzieś znikł. Pan jest z nim powiązany. Facet nakrył swoją żonę, jak się puszczała, i rozwalil jej głowę na miazgę brązową statuetką. Niezbyt oryginalne, ale daje wyniki. Jeśli pan myśli, że panu się uda w tej sprawie zasłonić prawem, to czekają pana cholernie przykre chwile. Żaden wydział policji w tym kraju nie jest w stanie działać w oparciu o przepisy prawa. Pan jest w posiadaniu informacji, których ja potrzebuję. Mógł się pan wyprzeć wszystkiego. Ja bym panu zapewne nie uwierzył, ale pan nawet tego nie zrobił. Niech pan nie myśli, że uda się panu wykręcić milczeniem. Nie ma takiej możliwości. Zaczynajmy.
- Panie kapitanie, czy zdjąłby mi pan kajdanki, gdybym złożył oświadczenie?
-
- Może. Niech pan mówi, ale szybko.
- Czy wystarczy panu, jeśli powiem, że w czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin nie widziałem Lennox, nie rozmawiałem z nim ani nie wiedziałem, gdzie się znajduje?
- To mogłoby wystarczyć, gdybym panu uwierzył.
- A gdybym panu powiedział, że go widziałem, gdzie i kiedy, lecz nie miałem pojęcia, że kogokolwiek zamordował i że została popełniona jakaś zbrodnia oraz że nie wiem, gdzie się w tej chwili znajduje, to by pana pewnie w ogóle nie zadowoliło, co?
- Mogłoby mnie to zainteresować, pod warunkiem, że doszłyby do tego dalsze szczegóły.

Gdzie, kiedy, jak wyglądał, o czym była mowa, dokąd się wybierał. Byłby to obiecujący początek.

- Przy pańskich metodach - powiedziałem - doprowadziłoby to prawdopodobnie do tego, iż zostałbym uznany za współnika po fakcie.
- Zacisnęły mu się mięśnie szczęk. Oczy miał koloru brudnego lodu. - No i co? - rzucił.
- - Nie wiem - odparłem. - Chciałbym naturalnie pomóc w śledztwie, ale potrzebuję porady prawnej. Czy nie byłoby dobrze, gdyby tutaj przyszedł ktoś z prokuratury?
- Parsknął szyderczym śmiechem. Wstał i wolno wyszedł zza biurka. Nachylił się nade mną, oparł wielkie łapsko o blat. Nie zmieniając wyrazu twarzy, uderzył mnie z boku w szyję pięścią twardą jak żelazo. Cios był zadany z odległości nie większej niż jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć centymetrów. Miałem wrażenie, że oberwał mi głowę. W ustach poczułem żółć zmieszaną z krwią. W głowie tak mi huczało, że prawie nic nie słyszałem. Ciągle się uśmiechając, Gregorius nachylił się nade mną jeszcze raz, w dalszym ciągu trzymając lewą rękę wspartą o biurko. Wydawało mi się, jakby jego głos dochodził z wielkiej odległości.
- Byłem kiedyś rzeczywiście twardy, ale teraz już się starzeję. Dostał pan ode mnie jedno dobre uderzenie - i tyle. W Miejskim Więzieniu mamy” chłopców, którzy powinni pracować jako tragarze. Może nie powinniśmy ich byli zatrudnić, ponieważ nie są to mili, czysto bijący faceci jak Dayton. Nie mają też czworga dzieci i ogrodu z różami jak Green. Bawi ich co innego. Różni są ludzie na świecie, a my odczuwamy brak personelu. Czy ma pan jeszcze coś zabawnego do powiedzenia, oczywiście, gdyby się pan ewentualnie na to zdecydował?
- Być może, ale bez kajdanków, panie kapitanie. - Nawet powiedzenie tych paru słów sprawiło mi ból.
- Nachylił się jeszcze bliżej nade mną. Poczułem zapach potu i - odór korupcji. Wyprostował się, wrócił do swojej strony biurka i usadowił swe potężne pośladki na krześle. Wziął do ręki ekierkę i pociągnął kciukiem po jednym z brzegów, jakby to było ostrze noża. Spojrzał na Greena.
- Na co pan czeka, sierżancie?
- Na rozkazy, sir - Green wypluł te słowa, jakby dźwięk własnego głosu sprawił mu przykrość.
- Wszystko trzeba panu mówić? Jest pan doświadczonym policjantem. Chciałbym mieć szczegółowe zeznanie obejmujące wszystko, co ten facet robił w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Może trzeba będzie cofnąć się dalej, ale na razie tyle. I żeby tam nie było najmniejszej luki. Chcę, żeby to zostało podpisane w obecności świadka i sprawdzone. Ma pan na to dwie godziny czasu. Później przyprowadzi go pan tu czystego, schludnego - i nie mającego na ciele żadnych śladów. I jeszcze jedna sprawa, sierżancie...

- Przerwał na chwilę i rzucił Greenowi spojrzenie, które by mogło zmrozić na lód szaszłyk z różną.
- - ... kiedy w przyszłości będę zadawał jakiemuś podejrzanemu parę zwykłych pytań, nie chcę, by pan miał taką minę, jakbym mu obrywał ucho.
- -Tak jest, sir - Green obrócił się ku mnie. - Ruszamy - rzekł szorstko.
- Gregorius wykrzywił usta w uśmiechu, obnażając poczerwiałe zęby, wyraźnie potrzebujące czyszczenia. - No, przyjacielu, a co usłyszę od pana na pożegnanie?
- - Nie miał pan prawdopodobnie tego zamiaru, panie kapitanie - odparłem grzecznie - ale wyświadczył mi pan przysługę. Z pomocą detektywa Daytona. Ten problem mam już z głowy. Nikt nie chce zdradzić przyjaciela, ale ja bym nie wydał w wasze ręce nawet wroga. Pan jest nie tylko gorylem, ale i nieudolnym ignorantem. Nie umie pan przeprowadzić prostego dochodzenia. Byłem w rozterce i od pana zależało, na co się zdecyduję! Ale musiał mnie pan zelżyć, chlusnąć mi kawą w twarz i użyć pięści w sytuacji, w której nie mogłem na to zareagować. Od tej chwili nie powiem panu nawet, która jest godzina na zegarze w pańskim pokoju.
- Z jakiejś niewiadomej przyczyny siedział zupełnie bez ruchu i pozwolił mi wygłosić tych parę zdań. Po czym się uśmiechnął. - Pan nienawidzi policjantów, przyjacielu. Po prostu nienawidzi pan policjantów.
- - Są takie miejscowości, gdzie policjantów nie otacza nienawiść. Ale pan nie byłby tam policjantem.
- I to przyjął ze spokojem. Prawdopodobnie słyszał nieraz dużo gorsze rzeczy. W tym momencie odezwał się telefon na jego biurku. Gregorius wykonał ruch ręką. Dayton podszedł sprężystym krokiem i podniósł słuchawkę.
- - Biuro kapitana Gregoriusa. Mówi detektyw Dayton.
- Słuchał chwilę. Między jego pięknie zrosniętymi brwiami pojawiła się maleńka zmarszczka. - Chwileczkę, sir - odezwał się ugrzecznionym głosem. Podał słuchawkę Gregoriusowi. - To komisarz Allbright, sir. Gregorius wykrzywił się. - Tak. No i czego ten zarozumiały sukinsyn chce? - Trzymał słuchawkę przez jakiś czas
- w ręku, nadając swej twarzy urzędowy wyraz. - Tu Gregorius, komisarzu - odezwał się wreszcie.. Przez chwilę słuchał. - Tak, jest u mnie w biurze. Zadałem mu parę pytań. Nie idzie nam na rękę. Zupełnie nie chce iść nam na rękę... Słucham, słucham? - Krew uderzyła mu do głowy. Nagły przyływ wściekłości pokrył mu twarz ciemnymi plamami. Głosu jednak nie zmienił ani na jotę. - Jeśli to jest bezpośredni rozkaz, komisarzu, to powinien on być przekazany przez szefa Biura Detektywów... Naturalnie dostosuję się do niego i bez potwierdzenia. Naturalnie... Nie, skądże. Nikt go nawet nie dotknął... Tak jest, sir. Natychmiast. Odłożył słuchawkę na widelki. Miałem wrażenie, że lekko mu drżała ręka. Spojrzał na mnie, a następnie na Greena. - Niech pan mu zdejmie kajdanki - powiedział bezbarwnym głosem. Green wykonał

polecenie. Roztarłem dłonie, w oczekiwaniu na pierwsze ukłucia powracającego krwiobiegu.

- - Zabierzcie go do Więzienia Okręgowego. Jako podejrzanego w sprawie o morderstwo. Prokurator okręgowy odebrał nam tę sprawę. Niezłe tu panują porządki.
- Nikt się nie ruszył. Green stał blisko mnie, oddychając chrapliwie. Gregorius spojrzął na Daytona. *r* - Na co czekasz, lalko? Zęby ci kupić lodu z kremem, co? Dayton o mało się nie udławił. - Pan mi nie dał żadnych rozkazów, szefie.
- Masz do mnie mówić „sir”, do cholery! Jestem szefem dla sierżantów i wyższych stopniem, ale nie dla ciebie, chłoptasiu. Zrozumiano?! Odmaszerować.
- Tak jest, sir. - Dayton wyszedł. Gregorius uniósł się ciężko, podszedł do okna i stanął, przed nim, plecami obrócony do pokoju.
- Zmywajmy się - Green mruknął mi do ucha.
- Zabierz go pan stąd, bo mu przemebluję facjatę - Gregorius powiedział to w stronę okna.
-
- Green otworzył drzwi. Ruszyłem. - Chwileczkę. Zamknij pan te drzwi - ryknął nagle Gregorius. - Chodź no pan tu! - warknął do mnie. Nie ruszyłem się. Stałem i patrzyłem na niego. Green również nie drgnął. Przez chwilę trwało ponure milczenie. Wreszcie Gregorius bardzo wolno przeszedł pokój i stanął na wprost mnie. Wsadził swoje wielkie łapska do kieszeni i zakolysał się na nogach. - Nawet go nie dotknąłem - powiedział pod nosem, jakby mówił sam do siebie. Oczy miał puste i zupełnie bez wyrazu. Usta drżały mu konwulsyjnie. Splunął mi w twarz. Odwrócił się i odszedł w kierunku okna. - To tyle na dzisiaj, dziękuję. Wycierając chusteczką twarz wyszedłem przez drzwi, które otworzył Green.

Rozdział ósmy

Cela nr 3 w bloku aresztanckim miała dwie prycze, jedna nad drugą, jak w wagonie pullmanowskim, ale ponieważ więźniów było niewielu, znalazłem się w niej sam. W tym bloku traktowanie było całkiem dobre. Dostałem dwa koce, ani czyste, ani brudne, oraz parocentymetrowej grubości wygnieciony materac, który kładzie się na metalową siatkę. Był też ustęp, umywalka, papierowe ręczniki i szare, szorstkie mydło. Blok był czysty i nie śmierdział środkami dezynfekcyjnymi. Obsługiwali go zaufani więźniowie, którzy chętnie tu pracowali. Strażnicy o bystrych oczach dokładnie się człowiekowi przyglądali. O ile nie było się, bądź nie próbowało się udawać pijaka czy psychopaty, można było zatrzymać

- zapałki i papierosy. Do czasu wstępnego przesłuchania pozwalali nosić własne ubranie. Później dostawało się ubiór więzienny, bez krawata, paska do spodni i sznurowadeł. Człowiek

siedział na pryczy i czekał. Nie było nic innego do roboty. W bloku dla pijaków wyglądało to znacznie gorzej. Nie było prycz, krzesel, koców, właściwie niczego. Siedziało się na ustępie, wymiotując na własne kolana, spało na cementowej podłodze. Zupełne dno. Judasz w stalowych drzwiach celi zabezpieczony był osłoną z prętów. Chociaż był dzień, stale paliło się światło. Kontakt znajdował się na zewnątrz. Światło gaszono o dziewiątej wieczorem, bez żadnej zapowiedzi. Nagle, niespodziewanie zapadała ciemność. I w niej się zostawało aż do letniego ranka, nie mając nic do roboty poza spaniem - o ile można było spać, paleniem - o ile było co palić, i myśleniem - o ile można było o czymś myśleć, co było lepsze niż niemyślenie w ogóle. W więzieniu człowiek nie posiada osobowości. Stanowi zupełnie błahy problem dla administracji i jawi się jedynie jako cyfra w paru sprawozdawczych zestawieniach. Nikt się nie interesuje tym, kto go kocha, a kto nienawidzi, jak wygląda, co zrobił ze swoim życiem. O ile nie sprawia kłopotu, nikt się nim nie zajmuje, nie stara mu się w jakikolwiek sposób dokuczyć. Wymaga się tylko, by poszedł do właściwej celi i grzecznie tam siedział. Personel więzienny to spokojni, nie okazujący wrogości ludzie, nie żadni sadyści. To, co się czyta o krzyczących i wrzeszczących więźniach, targających kratami czy walących w nie łyżkami, o strażnikach wpadających z kijami do cel - to wszystko zdarza się w wielkich zakładach penitencjarnych. Dobre więzienie to jedno z najspokojniejszych miejsc na świecie. Gdyby przejść nocą przez blok, zaglądając przez kraty do cel, to można by dostrzec jedynie wygniecione brązowe koce, czasem wystającą spod nich głowę bądź czyjś wzrok zawieszony w przestrzeni. Można by też usłyszeć chrapanie i czasem jęczenie kogoś przeżywającego koszmarny sen. Gdzie indziej można by znów zobaczyć człowieka, który nie jest w stanie i nawet nie próbuje spać. Siedzi na brzegu pryczy i nie robi nic. Może na ciebie spojrzeć lub nie. Ani on, ani ty nie mówicie nic. Bo nie ma nic do powiedzenia. Życie więzienne trwa w zawieszeniu, nie ma w nim ani sensu, ani celu. W rogu bloku więziennego zazwyczaj znajduje się pomieszczenie, w którym odbywają się konfrontacje. Jest ono przegrodzone drucianą, czarno malowaną siatką. Na tylnej ścianie znajdują się linie określające wzrost. Nad głową umieszczone są reflektory. Zabierają tam człowieka zwykle rano, nim jeszcze zejdzie dowódca nocnej zmiany. Staje się pod tymi liniami w pełnym, świetle reflektorów, podczas gdy za siatką panuje ciemność. Ale w tym mroku znajduje się pełno ludzi: policjantów, detektywów oraz obywateli, którzy zostali obrabowani, pobici, oszukani, wykopani ze swych wozów pod lufą rewolweru bądź takich, od których wyłudzone oszczędności całego życia. Nie można ich ani zobaczyć, ani usłyszeć. Dochodzi tylko wyraźnie i silnie głos dowódcy nocnej zmiany. Jest on cyniczny, zmęczony, ale i sprawny. Każe ci wykonywać różne czynności, jakbyś był tresowanym pudlem. Spełnia rolę kierownika sceny w sztuce, która pobiła rekordy powodzenia, ale przestała go interesować. - No, ty tam, stój prosto. Wciągnij brzuch. Nie wystawiaj tak brody. Ściągnij ramiona do tyłu. Trzymaj prosto głowę. Obróć się w lewo. A teraz w prawo. Stań z powrotem twarzą do przodu i wyciągnij ręce. Pokaż dłonie z wierzchu. Teraz od spodu. Podciągnij rękawy. Nie posiada żadnych widocznych blizn. Ma ciemne, miejscami siwe włosy. Wzrost:... Waga około:... Nazwisko: Filip Marlo we. Zawód: prywatny detektyw. Proszę, proszę, kogo my tu mamy. To wszystko. Następny.

- Jestem bardzo zobowiązany. Dziękuję, że pan mi poświęcił tyle czasu, panie kapitanie. Ale chyba zapomniał pan powiedzieć mi, żebym otworzył usta. Mam parę ładnych plomb i wysokiej

klasy porcelanową koronkę. Kosztowała bagatelkę - osiemdziesiąt siedem dolarów. Zapomniał pan też zajrzeć mi do nosa. Mam tam dużo zmasakrowanej tkanki. Przeszedłem operację przegrody nosowej i trzeba przyznać, że ten chirurg to był prawdziwy rzeźnik! Zabrało mu to dwie godziny. Słyszę, że dziś załatwia się takie sprawy w dwadzieścia minut. Trzeciego dnia około dziesiątej rano strażnik wszedł do mojej celi.

- - Przyszedł twój adwokat. Zgaś papierosa, tylko nie na podłodze.
- Wrzuciłem niedopałek do ustępu. Strażnik zaorał mnie do pokoju konferencyjnego. Stał tam wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o bladej cerze i wyglądał przez okno. Na stole leżała gruba, brązowa teczka. Mężczyzna obrócił się, poczekał, aż się zamkną drzwi za strażnikiem, i usiadł obok swej teczki po drugiej stronie dębowego, mocno porysowanego stołu, który pochodził zapewne z Arki. Był już używany, kiedy Noe go kupił. Adwokat położył przed sobą papierośnicę z kutego srebra i starannie mnie zlustrował.
- - Niech pan siada, Marlowe. Zapali pan? Nazywam się Endicott. Sewell Endicott. Otrzymałem polecenie, by pana reprezentować. Nie będzie pan z tego tytułu ponosił jakichkolwiek wydatków. Sądzę, że nie ma pan ochoty tu siedzieć, nieprawdaż?
- Usiadłem i wziąłem papierosa. Dał mi ognia.
- - Miło mi, że znów się z panem spotykam, panie Endicott. Zetknęliśmy się uprzednio, kiedy był pan prokuratorem okręgowym.
- Kiwnął głową. - Nie przypominam sobie, ale to całkiem możliwe. - Uśmiechnął się lekko. - To stanowisko niezbyt
- mi odpowiadało. Zapewne za mało mam w sobie krwiożerczości.
- Kto pana przysłał?
- Nie mogę tego panu powiedzieć. Jeśli pan wyrazi zgodę, bym pana reprezentował, to o moje honorarium proszę się nie kłopotać.
- - To zapewne oznacza, że go złapali? Popatrzył na mnie bez słowa.
- Zaciągnąłem się papierosem. Był z filtrem i smakował jak śnieg przesączony przez watę.
- Jeśli pan ma na myśli Lennox, bo któż inny mógłby wchodzić w grę... to nie, nie złapali go.
- Ale po cóż te tajemnice? Ktoś przecież musiał pana przysłać.
- Mój pryncypał nie życzy sobie, by ujawniać jego nazwisko. Ma do tego prawo. Czy pan się zgadza na mnie?
- Muszę się nad tym zastanowić. Jeśli nie złapali Terry'ego, to dlaczego mnie trzymają? Nikt się mnie o nic nie pytał, nikt się mną nie interesował.

- Endicott zmarszczył się i popatrzył na swoje białe, długie i wypielęgnowane palce. - Prokurator okręgowy Springer osobiście przejął tę sprawę. Być może nie miał jeszcze czasu, by pana przesłuchać. Ma pan jednak prawo domagać się wstępnego przesłuchania i sprecyzowania wysuwanych przeciw panu zarzutów. Mogę też uzyskać pańskie zwolnienie za kaucją na mocy procedury habeas corpus. Zresztą pan zapewne sam się orientuje w przepisach prawnych.
- - Zostałem aresztowany jako podejrzany o morderstwo.
- Endicott ruszył ramionami ze zniecierpliwieniem. - Potrzebowali jakiejś formalnej podstawy. Mogli pana aresztować pod piętnastu innymi zarzutami. Naprawdę to chodzi im o współudział po fakcie. Pan przecież zabrał dokądś Lennox, nieprawdaż?
- Nie odpowiedziałem. Rzuciłem papierosa na podłogę i rozgniotłem go nogą. Endicott skrzywił się i znów wzruszył ramionami robiąc grymas.
- Przyjmijmy więc hipotetycznie, że tak się stało. Żeby udowodnić panu współudział po fakcie, muszą udowodnić zamiar. W tym wypadku oznaczałoby to, iż pan wiedział, że została popełniona zbrodnia i że Lennox ukrywał się przed prawem. Tak czy owak, przysługuje panu zwolnienie za kaucją. W gruncie rzeczy jest pan po prostu świadkiem dowodowym. Lecz w naszym stanie nie można trzymać człowieka w więzieniu jako świadka dowodowego bez nakazu sądu. Sędzia musi zdecydować, czy jest on świadkiem dowodowym, czy nie. Organa ścigania zawsze jednak potrafią znaleźć sposób, by przeprowadzić to, czego chcą.
- To prawda - oparłem. - Detektyw o nazwisku Dayton uderzył mnie. Kapitan Gregorius, szef Wydziału Zabójstw, wylał na mnie filiżankę kawy, rąbnął mnie w szyję z taką siłą, że o mało nie pękła mi arteria - ciągle jest jeszcze spuchnięta, a kiedy na skutek telefonu komisarza policji Allbrighta nie mógł mnie przekazać specjalistom od fizycznej obróbki, napłuł mi w twarz. Ma pan niewątpliwie rację, panie Endicott, chłopcy z organów ścigania zawsze mogą zrobić to, czego chcą.
- Popatrzył znacząco na swój zegarek. - Chce pan wyjść za kaucją czy nie?
- Dziękuję. Myślę, że nie. W opinii publicznej facet, który wychodzi za kaucją, jest już w pięćdziesięciu procentach winny. Nawet jeśli go później uniewinnią, to się mówi, że to dlatego, iż miał sprytnego adwokata.
- To głupie - odparł zniecierpliwiony.
- Być może, że głupie. Sam jestem głupi. Bo inaczej nie byłbym tutaj. Jeśli jest pan w kontakcie z Lennoxem, to niech mu pan powie, żeby się o mnie nie martwił. Znajduję się tutaj nie z jego powodu, ale na własny rachunek. Nie mam żadnych pretensji. To się mieści w ramach zawodowego ryzyka. Moja praca polega na tym, że ludzie przychodzą do mnie ze swymi

kłopotami. Dużymi i małymi kłopotami, ale zawsze z takimi, z którymi nie chcą się zwrócić do policji. Myśli pan, że przychodziliby do mnie, gdyby pierwszy z brzegu goryl w policyjnym mundurze, który poddał mnie obróbce, mógł natychmiast wszystko ze mnie wydusić?

- - Rozumiem pański punkt widzenia - powiedział wolno Endicott. - Ale niech pan pozwoli, że wyprowadzę pana z błędu w jednej sprawie. Nie pozostaję w kontakcie z Lennoxem. Znam go zresztą bardzo słabo. Tak jak wszyscy prawnicy reprezentuję wymiar sprawiedliwości. Gdybym wiedział, gdzie Lennox się znajduje, musiałbym te informacje przekazać prokuratorowi okręgowemu wolno byłoby mi najwyżej uzgodnić miejsce i czas przekazania go organom ścigania po odbyciu z nim rozmowy.
- - Któż inny mógłby tu pana przysłać, by mi dopomóc? - Czy chce pan przez to powiedzieć, że jestem kłamcą? - Wygasił papierosa o spód stołu. - O ile mnie pamięć nie myli, to pochodzi pan z Wirginii? W tym kraju istnieje coś w rodzaju historycznej obsesji na temat ludzi z tamtych stron. Uważamy ich za uosobienie południowego honoru i rycerskości.
- Endicott uśmiechnął się. - To było ładnie powiedziane - Chciałbym, żeby to była prawda. Ale tracimy tylko na próżno czas. Gdyby pan miał krztynę rozsądku, to powiedziałby pan policji, że od tygodnia nie widział pan Lennox. Nie musiałyby to być prawda. Pod przysięgą w sądzie mógłby pan zeznać tak, jak rzeczywiście było. Nie istnieje prawo zabraniające kłamania policji. Oni nawet oczekują, że będzie im się kłamać. Wolą, by im kłamano niż odmawiano odpowiedzi. Uważają, że odmowa odpowiedzi podważa ich autorytet. Co pan chciał przez to osiągnąć? Nie odezwałem się. Nie miałem nic. do powiedzenia' 1
- Wstał, wziął kapelusz, zatrasnął papierośnicę i schował ją do kieszeni.
- Widocznie zależało panu, by móc odegrać swoją wielką scenę - powiedział zimno. - Domagać się swych praw, powoływać na ustawodawstwo. Cóż jeszcze mądrzejszego mógł pan wymyślić? I to człowiek taki jak pan, który jest przecież dobrze zorientowany. Prawo to nie sprawiedliwość. Zawsze było pewnego rodzaju mechanizmem. I do tego bardzo niedoskonałym mechanizmem. Jeśli naciśnie się właściwy guzik i jeszcze przy tym dopisuje szczęście, to w odpowiedzi może pojawić się sprawiedliwość. Odnoszę wrażenie, że pan nie życzy sobie, by panu pomóc. Pójdę więc już. Gdyby pan zmienił zdanie, to proszę się ze mną skontaktować.
- Jeszcze wytrzymam tu dzień czy dwa. Jeśli złapią Terry'ego, nie zainteresują się specjalnie tym, w jaki sposób zniknął. Skoncentrują się na cyrku, który będą starali się zaaranżować wokół procesu. Morderstwo córki pana Harlana Pottera to materiał na czołówki gazet w całym kraju. Taki szukający popularności człowiek, jak Springer, mógłby wyjechać na tym procesie na stanowisko prokuratora generalnego, a stamtąd ha urząd gubernatora, a stamtąd... - przerwałem nie dopowiadając reszty.
- Endicott uśmiechnął się szyderczo. - Nie wydaje mi się, by pan wiedział zbyt wiele o panu

Potterze - powiedział.

- A jeśli nie znajdą Lennox, to nie będzie im zależało, by dowiedzieć się, w jaki sposób zniknął. Zapragną jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.
- Wszystko pan sobie przemyślał, Marlowe, co?
- Miałem dosyć czasu. O panu Potterze wiem jedynie to, że obliczają go na sto milionów dolarów i że jest właścicielem dziewięciu czy dziesięciu gazet. Ciekaw jestem, czy piszą one dużo o tej sprawie?
- O tej sprawie? - powtórzył lodowatym tonem.
-
- -Tak. Żaden dziennikarz nie przeprowadził jeszcze ze mną wywiadu. Spodziewałem się, że w związku z tą sprawą dużo będzie o mnie w prasie. Wie pan - prywatny detektyw idzie do więzienia, bo nie chce wydać przyjaciela. No i że przysporzy mi to klientów.
- Z ręką na klamce obrócił się. - Pan mnie bawi, Marlowe. Jest pan dziwnie dziecinny. Mając sto milionów dolarów można każdej sprawie nadać bardzo duży rozgłos. Ale można też, drogi przyjacielu, o ile się tych pieniędzy zręcznie używa, kupić za nie całkowite milczenie. Nacisnął klamkę i wyszedł. Po chwili pojawił się strażnik i zabrał mnie z powrotem do celi.
-
- Mając Endicotta, długo pan nie posiedzi - rzucił, zamykając drzwi.
- Oby pan miał rację - odparłem.
-

Rozdział dziewiąty

Drzwi się otworzyły i wszedł strażnik z pierwszej zmiany nocnej. Był to potężnie zbudowany blondyn o masyw-nych barach i przyjacielskim uśmiechu. Minęła mu czterdziestka i dawno zapomniał o takich uczuciach, jak współczucie czy gniew. Swoje osiem godzin chciał odwalać jak najspokojniej i sprawiał wrażenie człowieka, z którym łatwo się dogadać we wszystkich sprawach.

- Przyszedł do pana jakiś facet z Prokuratury. Widzę, żej pan nie śpi.
- Jeszcze za wcześnie dla mnie. A która to właściwie godzina?
- Czternaście po dziesiątej. - Stał w progu i lustrował moją celę. Jeden koc leżał rozłożony na dolnej pryczy, a drugi, zwinięty, spełniał rolę poduszki. Parę zużytych

- papierowych ręczników znajdowało się w kubie na śmieci, a na brzegu umywalki stała niewielka rolka papieru toaletowego. Pokiwał głową z aprobatą. - Ma pan tu jakieś osobiste rzeczy?
- - Nic poza sobą.
- Zostawił drzwi celi otwarte. Przeszliśmy korytarzem do windy i zjechali na dół do dyżurki. Przy biurku sterczał gruby mężczyzna w szarym ubraniu i palił tanie cygaro. Miał brudne paznokcie i czuć go było potem.
- - Nazywam się Spranklin i jestem z Prokuratury - poinformował mnie stanowczym głosem. - Pan Grenz chce, żebym pana zaprowadził do niego na górę. - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął parę kajdanków. - Spróbujmy, czy to dobry rozmiar.
- Twarze strażnika i dyżurnego przybrały wyraz rozbawienia. - Co z tobą, Sprank? Boisz się, że ci dołoży w windzie?
- - Nie chcę ryzykować - warknął w odpowiedzi. - Kiedyś facet dał mi dyla. Cholernie mnie za to opieprzyli. - Ruszajmy, chłopie.
- Z rozmachem złożył podpis na formularzu, który podsunął mu dyżurny. - Nigdy nie ryzykuję bez potrzeby. Policjant z wozu patrolowego wprowadził pijaka z rozkrwawionym uchem. Ruszyliśmy w stronę windy. - Mama sprawa, niedobrze z tobą, chłopie - Spranklin zwrócił się do mnie w windzie. Wydawało się, że sprawiło mu to pewnego rodzaju przyjemność. - W tym mieście człowiek może się łatwo wpakować w okropne tarapaty. Windziarz obrócił się i mrugnął do mnie okiem. Uśmiechnąłem się.
- Niczego nie próbuj, chłopie - Spranklin ostrzegł mnie surowo. - Kiedyś zastrzeliłem faceta. Próbował uciec. Dostałem cholerny opieprz.
- Opieprzają za wszystko, co?
- Chwilę się nad tym zadumał. - Tak - odparł. - Tak czy
- siak, zawsze się człowiekowi dostanie. To wredne miasto. Nie ma poszanowania dla człowieka. Winda stanęła i przez podwójne drzwi ruszyliśmy do Prokuratury. Centralka telefoniczna była nieczynna, włączone były tylko nocne linie. W poczekalni nie było nikogo. W paru pokojach paliło się światło. Spranklin otworzył drzwi do małego, oświetlonego pokoju, w którym znajdowało się biurko, podręczna kartoteka, dwa twarde krzesła i tego zbudowany mężczyzna o czerwonej twarzy, z mocno zarysowanym podbródkiem i oczami głupca. Właśnie wpychał coś do szuflady.

- Mógłbyś pukać - warknął do Spranklina.
- przepraszam, panie Grenz - wymamrotał Spranklin. Wepchnął mnie do środka. - Panie Grenz, czy mam zdjąć kajdanki?
- Po jaką cholere w ogóle je nakładałeś - rzucił zirytowany Grenz. Przypatrywał się, jak Spranklin ślamazarnie szuka klucza, który miał zawieszony z masą innych na kółku wielkości grapefruita.
- Okey, zmywaj się. Poczekaj na zewnątrz, aż z nim skończę.
- Panie Grenz, ja już właściwie zakończyłem służbę.
- - Zakończysz służbę wtedy, kiedy cię zwolnię. Spranklin poczerwieniał i wycofał się. Grenz patrzył za nim z wściekłością, a kiedy drzwi się zamknęły, przeniósł wzrok na mnie. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem. - Nie powiedziałem panu, żeby pan usiadł - warknął. Wyciągnąłem papierosa z kieszeni i włożyłem do ust.
- I nie dałem panu zezwolenia na palenie! - ryknął.
- Wolno mi palić w celi, więc nie rozumiem, dlaczego tu miałoby być inaczej.
- Ponieważ tu jest moje biuro i ja decyduję o tym, co wolno, a co nie. - Znad biurka powiało whisky.
- Golnij pan sobie jeszcze jednego - powiedziałem. - To pana uspokoi. Zdaje się, że przeszkadziliśmy panu w pracy.
- Ciężko oparł się o krzesło. Na jego twarzy pojawiły się ciemnoczerwone wypieki. Zapaliłem papierosa. Po dłuższej chwili powiedział: - Dobra, pan jest z tych twardych. Taki mocny mężczyzna, nie? Powiem panu coś - przychodzą tu różni goście, więksi i mniejsi, ale jak wychodzą stąd, wszyscy są malutcy.
- Panie Grenz, w jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć? I niech się pan mną nie krępuje, jeśli ma pan ochotę kropnąć sobie jeszcze jednego. Ja sam lubię sobie pociągnąć, kiedy jestem zmęczony, zdenerwowany i przepracowany.
- Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z pańskiej sytuacji?
- Nie sądzę, żebym był w jakiegokolwiek sytuacji.
- No, to się jeszcze okaże. Na razie chcę, żeby pan złożył wyczerpujące zeznanie. - Wskazał palcem na magnetofon stojący na stoliku obok biurka. - Nagramy to teraz, a jutro się przepisze. Jeśli zastępca prokuratora będzie zadowolony z pańskiego zeznania, to może pana zwolni, pod warunkiem, że złoży pan zobowiązanie, iż nie opuści pan miasta. Zaczynajmy. - Włączył magnetofon. Mówił zimnym, zdecydowanym i najbardziej antypatycznym tonem, na jaki mógł się

zdobyć. Prawą rękę ciągle jednak trzymał w pobliżu szuflady biurka. Był jeszcze całkiem młody, a już miał nos w żyłkach. Również białka jego oczu miały niezdrowy kolor.

- Mam tego już całkiem dość - powiedziałem.
- Czego mianowicie?
- Małych, twardych ludzi w małych, twardych biurach, rzucających małe, twarde słowa, które nic nie oznaczają. Przesiedziałem pięćdziesiąt sześć godzin w bloku aresztanckim. Nikt nie próbował tam dawać mi szkoły ani demonstrować swojej władzy. Nie było to potrzebne. Zawsze
-
- przecież można jej użyć, kiedy zajdzie konieczność. Powstaje jednak pytanie, dlaczego ja się tam w ogóle znalazłem? Zostałem wsadzony na zasadzie podejrzenia. A cóż to za system prawny, który pozwala, by zapakować człowieka do więzienia, ponieważ jakiś policjant nie otrzymał odpowiedzi na jakieś pytanie? Cóż on miał za dowody? Numer telefoniczny w notesie. A co chciał osiągnąć zamykając mnie? Absolutnie nic, poza tym, by pokazać, że ma dostateczną władzę, by to zrobić. A teraz pan próbuje tego samego - chce pan, żebym odczuł, ile władzy mieści się w tym pudełku od zapalek, które pan nazywa swoim biurem. Wysłała pan późnym wieczorem tę wystraszoną męską niańkę, żeby mnie przyprowadziła. Może pan myśli, że siedzenie w samotności przez pięćdziesiąt sześć godzin zamieniło mi mózg w kaszkę z mlekiem? Że się wypłaczę panu w marynarkę i będę prosił, by pan mnie pogładził po głowie, bo czuję się okropnie w tym wielkim, strasznym więzieniu? Daj pan spokój, Grenz. Niech pan sobie łyknie i zacznie wreszcie rozmawiać jak normalny człowiek. Rozumiem, że pan po prostu spełnia swoje obowiązki. Ale niech pan da spokój z tą metodą szpadryny. Jeśli pan jest facetem odpowiedniego kalibru, to nie ma potrzeby, by pan tak się zachowywał, a jeśli to panu potrzebne, to pański kaliber jest za mały, by mnie zastraszyć. Patrzył na mnie i słuchał. Po czym kwaśno się uśmiechnął.
- Ładne przemówienie - skomentował. - A teraz, kiedy już pan powiedział, co pan chciał, zabierzmy się do pańskiego zeznania. Chce pan udzielać odpowiedzi na konkretne pytania czy opowie pan wszystko sam?
- Mówiłem do ptaków - odparłem. - Po prostu, by usłyszeć szum wiatru. Nie mam zamiaru składać żadnego oświadczenia. Jest pan prawnikiem i wie pan dobrze, że nie muszę.
- To prawda - przyznał ze spokojem. - Znam prawo.
-
- Wiem też, jak pracuje policja. Chcę dać panu szansę, by mógł się pan oczyścić. Jeśli pan z niej nie skorzysta, to pańska sprawa. Jutro o dziesiątej rano mogę przedstawić zarzuty przeciw panu i wyznaczyć datę wstępnego przesłuchania. Może się pan starać wyjść za kaucją, ale będę się temu sprzeciwiał. Nawet jeśli pan wyjdzie, to kaucja będzie wysoka. To też jest jakieś rozwiązanie. Popatrzył na pismo leżące na biurku, przeczytał je i odwrócił na drugą stronę.

- Pod jakim zarzutem? - zapytałem.
- Rozdział trzydziesty drugi. Współudział po fakcie. Przesłstwo. Można za to dostać do pięciu lat w Gjuentin.
- Złapałibycie najpierw Lennox - powiedziałem ostrożnie. Niewątpliwie Grenz miał coś w zanadrzu, wyczuwałem to' z jego zachowania. Nie domyślałem się jednak, co.
- Oparł się o poręcz krzesła, wziął pióro i zaczął je powoli obracać między palcami. Po czym się uśmiechnął. Wyglądał na zadowolonego.
- Lennox trudno ukryć, Marlowe. Z reguły potrzebna jest fotografia, i to dobra, wyraźna fotografia. Ale nie w wypadku faceta, który ma jedną połowę twarzy w bliznach. Już nie mówiąc o jego siwych włosach, choć nie skończył jeszcze trzydziestu pięciu lat. Mamy czterech świadków, może nawet więcej.
- Świadców czego? - Czułem w ustach gorzki smak, podobny do smaku żółci, kiedy kapitan Gregorius mnie uderzył. To przypomniało mi, że ciągle mnie boli spuchnięta szyja. Delikatnie ją roztarłem.
- Marlowe, niech pan nie będzie frajerem. Sędzia z San Diego i jego żona odprowadzali swego syna i synową na ten samolot. Wszyscy czworo widzieli Lennox, a żona sędziego pamięta samochód, w którym przyjechał, i człowieka, który przybył z nim razem. Może pan zmówić pacierz.
- To miłe - powiedziałem. - Jak pan do nich dotarł?
-
- Nadaliśmy przez radio i telewizję specjalny apel z dokładnym opisem, Sędzia sam się zgłosił.
- To brzmi zachęcająco ~ oświadczyłem ostrożnie. - Ale to jeszcze za mało. Musicie go złapać i udowodnić, że popełnił zbrodnię. A później musicie udowodnić, że ja o tym wiedziałem.
- Pstryknął palcem w leżący przed nim telegram. - Chyba się jednak napiję. Za dużo ostatnio pracowałem wieczorami. - Otworzył szufladę i wyjął z niej butelkę i szklankę. Nalał do pełna i wypił duszkiem. - Czuję się lepiej, znacznie lepiej. Przykro mi, że panu jako więźniowi nie mogę zaproponować drinka. - Zakorkował butelkę i odsunął od siebie, ale tak, że pozostawała w zasięgu jego ręki. - No tak, pan zdaje się mówić, że musimy coś udowodnić. A co by było, gdyby się okazało, że mamy dokument z przyznaniem się do winy? To przykre, co? Czułem, jak mi po krzyżu przebiegł zimny dreszcz.
- - To po co wam moje zeznanie?

- Uśmiechnął się. - Lubimy, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Lennox zostanie sprowadzony i postawiony przed sąd. Chcemy, aby materiały dowodowe były możliwie pełne. Nie tyle jest ważne to, co możemy uzyskać od pana, ile to, na co możemy przymknąć oczy - o ile pań zechce z nami współpracować. Przyglądałem mu się uważnie. Pogrzebał trochę w papierach, obrócił się w krzesło, popatrzył na butelkę i widać było wyraźnie, że musi się powstrzymać, by jej nie wziąć do ręki. - A może ma pan ochotę usłyszeć cały scenariusz? - spytał nagle z sarkastycznym uśmiechem. - Z pana duży cwaniak, ale żeby panu udowodnić, że nie żartuję, powiem panu, jak to będzie wyglądało. Kiedy nachyliłem się nad biurkiem, pomyślał, że sięgam po jego butelkę. Chwycił ją i schował szybko do szuflady. A ja chciałem po prostu wrzucić niedopałek do popielniczki. Usiadłem i zapaliłem następnego papierosa, a on zaczął szybko mówić:
- Lennox wysiadł z samolotu w Mazatlan, mieście o trzydziestu pięciu tysiącach mieszkańców, gdzie się przesiadają pasażerowie linii lotniczych. Zniknął na dwie czy trzy godziny. Następnie wysoki brunet o ciemnej skórze i dużej ilości blizn, które mogły pochodzić od rań zadanych nożem, zarezerwował miejsce do Torreon pod nazwiskiem Silvano Rodriguez. Mówił dobrze po hiszpańsku, ale nie tak, jak powinien był mówić człowiek o takim nazwisku. Był za wysoki na Meksykanina o tak ciemnej skórze. Pilot złożył o tym meldunek. Ale policjanci w Torreon byli zbyt powolni. Nasi meksykańscy koledzy to nie błyskawice. Kiedy się wreszcie wzięli do sprawy, mężczyzna wynajął samolot do Otatoclan, mało znanej letniej miejscowości wypoczynkowej, położonej nad jeziorem w górach. Pilot samolotu przeszedł przeszkolenie bojowe w Teksasie i mówi dobrze po angielsku. Lennox udawał, że go nie rozumie.
- Jeśli to był Lennox - wtrąciłem.
- Chwileczkę, kolego. To był bez wątpienia Lennox. No więc, wysiadł w Otatoclan i wynajął pokój w miejscowym hotelu, tym razem pod nazwiskiem Mario de Cerva. Miał przy sobie rewolwer, mauzera 7.65, co oczywiście niewiele znaczy w Meksyku. Pilotowi jednak facet wydał się podejrzany i zameldował o nim miejscowym władzom. Wzięli Lennox pod obserwację, a następnie porozumieli się z Mexico City i aresztowali go.
- . Grenz wziął do ręki linijkę i podniósł ją do oka. Gest ten nie miał żadnego znaczenia, ale pozwalał mu nie patrzeć na mnie.
- - To sprytny chłopak, ten pilot - powiedziałem. – Musi mieć sympatyczny stosunek do klientów. Ta historyjka śmierdzi.
- Rzucił mi szybkie spojrzenie. - Pragniemy, by proces szybko się zakończył. Wystarczy nam

przyznanie się do morderstwa w afekcie. Są pewne aspekty tej sprawy, których nie chcielibyśmy poruszać. To bardzo wpływowa rodzina.

- - Ma pan na myśli Harlana Pottera?
- Kiwnął głową. - Według mnie cały ten pomysł nie ma najmniejszego sensu - ciągnął. - Springer mógłby mieć galówkę. Jest w tym wszystko - seks, skandal, pieniądze, piękna a niewierna żona, mąż - bohaterski weteran, ranny w czasie wojny... Przypuszczam, że to właśnie z tego okresu pochodzą jego blizny... To by szło na pierwszych stronach całymi tygodniami. Rozpisywałyby się o tym każdy szmatławiec w kraju. A my ustawiamy to na szybkiej zakończenie. - Wzruszył ramionami. - Dobra, jeśli szef tego sobie życzy, to jego sprawa. No, więc złoży mi pan to zeznanie czy nie? - Obrócił się w stronę magnetofonu,; który przez cały czas cicho szumiał; widać było kontrolne światelko.
- - Niech go pan wyłączy.
- Rzucił mi mordercze spojrzenie. - Pan się dobrze czuje w areszcie?
- - Można wytrzymać. Nie obraca się tam człowiek w najlepszych sferach, ale kto, do cholery, ma na to ochotę?

Niech pan będzie rozsądny, Grenz. Chce pan zrobić za mnie donosiciela. Być może jestem uparty, nawet sentymentalny, ale również i praktyczny. Przypuśćmy, że musiałby pan zaangażować prywatnego detektywa - wiem, wiem, panu by taka myśl nawet przez głowę nie przeszła - lecz przypuśćmy, iż nie miałby pan innego wyjścia. Czy zwróciłby się pan do takiego, który donosi na swych przyjaciół?

- Patrzył na mnie z nienawiścią.
- - No i jeszcze parę innych spraw. Czy nie zwróciło pańskiej uwagi to, iż zabiegi Lennox, by zatrzeć za sobą ślady, były cokolwiek zbyt przejrzyste? Jeśli chciał, by go złapano, to nie musiał zadawać sobie tyle trudu. A jeśli nie chciał, to miał dość inteligencji, by nie udawać Meksykanina w Meksyku.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - warknął Grenz.
- To, że zapewne naopowiadał mi pan różnych bzdur, że nie było żadnego Rodrigueza z ufarbowanymi włosami ani Mario de Cerva w Otatoclan i że nie ma pan pojęcia, gdzie się Lennox znajduje.

- Wyjął znów butelkę. Nalał i - tak jak poprzednio - szybko wypił. Powoli obrócił się w krzesło i wyłączył magnetofon.
- - Z przyjemnością zobaczyłbym pana na ławie oskarżonych. Chętnie się biorę do takich cwaniaków, jak pan. Ta sprawa będzie długo, bardzo długo wisiła nad panem, przyjemniaczku. Będzie pan o niej stale myślał - pracując, jedząc, śpiąc. A następnym razem, kiedy się pan wychyli, będzie nam łatwiej pana wykończyć. W tej chwili na myśl o tym, co muszę wykonać, wszystko się we mnie wywraca do góry nogami.
- Pogrzebał wśród papierów leżących na biurku, wyciągnął dokument, który miał uprzednio w ręku, i podpisał go. Z reguły można poznać, kiedy człowiek pisze własne nazwisko. Ruch ręką jest wtedy bardzo charakterystyczny. Wstał, obszedł biurko, otworzył drzwi od swojej klitki, zawołał na Spranklina i wręczył mu dokument. - Właśnie podpisałem nakaz pańskiego

zwolnienia - powiedział. - Jestem urzędnikiem państwowym i czasem muszę spełniać również przykre obowiązki. Czy chciałby pan wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? Wstałem. - Jeśli ma pan ochotę mi powiedzieć.

- - Sprawa Lennox jest zamknięta. Koniec. Dziś po południu napisał w hotelu list, w którym przyznaje się do winy - i zastrzelił się. W Otatoclan, tak jak panu mówiłem.
- Stałem bez słowa, jak zamurowany. Kątem oka zauważyłem, jak Grenz powoli się cofa, tak jakby się spodziewał, że go uderzę. Musiałem przez chwilę wyglądać dość groźnie. Siadł z powrotem za biurkiem, a Spranklin chwycił mnie za ramię. - Chodź pan, ruszajmy - zajęczał. - Od czasu do czasu człowiek chciałby spędzić wieczór we własnym domu. Wyszedłem z nim razem i zamknąłem drzwi. Tak cicho, jakby był to pokój, w którym ktoś przed chwilą zmarł.

Rozdział dziesiąty

W kancelarii więziennej wręczyłem kopię pokwitowania na moje rzeczy i podpisałem odbiór na oryginale. Wsadziłem swoje drobiazgi z powrotem do kieszeni. P mad dwumetrowy facet, chudy jak patyk, stał oparty o kontuar. Kiedy zabierałem się do wyjścia; wyprostował się i zaproponował: - Podwieźć pana do domu? W kancelarii było ciemnowo i trudno było zorientować się, ile ma lat; miał cyniczny wyraz twarzy i wyglądał na zmęczonego, ale nie sprawiał wrażenia kombinatora.

- Ile to ma kosztować? - zapytałem.
- Darmo. Nazywam się Lonnie Morgan, pracuję w „Journalu”. Kończę na dzisiaj.
- Rozumiem, pan robi sprawy policyjne.
- Tylko w tym tygodniu. Normalnie zajmuję się magistratem.
- Wyszliśmy razem i odszukali jego wóz na parkingu. Wieczór był piękny, z przyjemnością wdychałem chłodne powietrze. Spojrzałem na niebo. Widniały na nim gwiazdy, ale niełatwo je było dostrzec ze względu na dużą ilość świateł naokoło. Po chwili odjechaliśmy.
- _ Mieszkam w. Laurel Canyon, to dobry kawałek drogi stąd - Niech pan mnie wysadzi gdziekolwiek.

- Przywieźć, to przywiozą, ale zupełnie ich nie obchodzi, jak się człowiek ma dostać z powrotem do domu. Ta sprawa interesuje mnie w jakiś niezdrowy sposób.
 - Nie ma żadnej sprawy. Terry Lennox zastrzelił się tego popołudnia. Tak przynajmniej twierdzą.
 - To bardzo wygodny zbieg okoliczności - odparł Morgan, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Prowadził spokojnie wóz bocznymi ulicami. - Pomoże im to w zatuszowaniu sprawy.
 - Zatuszowaniu sprawy?
 - Ktoś stara się zatuszować sprawę Lennox. Jest pan przecież dość sprytny, Marlowe, by to zauważyć. Nie zajmują się nią w taki sposób, na jaki zasługuje. Prokurator okręgowy wyleciał dziś wieczorem do Waszyngtonu. Podobno na jakąś konferencję. Nie skorzystał z najlepszej okazji do zdobycia rozgłosu, jaka mu się nadarzyła od lat. Dlaczego?
 - Mnie nie ma co pytać. Siedziałem w mamrze.
 - Ponieważ musiało mu się to opłacić. Nie mam na myśli nic tak przyziemnego jak paczkę banknotów. Ktoś musiał mu obiecać coś, na czym mu bardzo zależy. Jest tylko jeden człowiek związany z tą sprawą, który ma takie możliwości - ojciec tej dziewczyny.
- Oparłem głowę o poręcz siedzenia. - To nie wydaje mi się zbyt prawdopodobne. A co z prasą? Harlan Potter jest co prawda właścicielem paru gazet, ale istnieje przecież konkurencja. Spojrzał na mnie ubawiony. - Był pan kiedyś dziennikarzem?
- Nie.
 - Właścicielami i wydawcami gazet są bogaci ludzie. Wszyscy bogaci ludzie należą do tego samego klubu. Na pewno konkurencyjne pisma walczą twardo i bezwzględnie o nakład, o dostęp do źródeł informacji i wyłączność. Ale nie dopuszcza się, by walka ta mogła się odbić ujemnie na prestiżu i Uprzywilejowanej pozycji właścicieli. Jeśli tak się dzieje, to przykręca się śrubę. Została ona właśnie przykręcona w sprawie Lennox. Ta sprawa, przyjacielu, gdyby została odpowiednio rozdmuchana podniosłaby nakłady bardzo dużej ilości gazet. Są w niej wszystkie potrzebne elementy. Proces ściągnąłby reporterów z całego kraju. Ale procesu nie będzie. Bowiem Lennox wyniósł się z tego świata, nim śledztwo zdążyło wejść na bardziej interesujące tory. To jest oczywiście bardzo wygodne, jak już wspominałem, dla Pottera i jego rodziny.
- Uniosłem się na siedzeniu i spojrzałem na niego uważnie.
 - - Pan sądzi, że to wszystko jest ukartowane? Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - A może Lennoxowi ktoś pomógł w popełnieniu samobójstwa? Mógł na przykład opierać się przy aresztowaniu. Meksykańskim policjantom łatwo się zginają palce na spuście. Mogę się z panem założyć, że nie dopuszczają nikogo, by policzyć, ile miał w ciele dziur od pocisków.
 - - Myślę, że pan się myli - powiedziałem. - Znałem Terry'ego Lennox'a dość dobrze. On już

od dawna miał wszystkiego dość. Gdyby go sprowadzili żywego, to na pewno wyraziłby zgodę na ich propozycję, by przyznać się do zabójstwa. Morgan potrząsnął głową. Wiedziałem, co powie. - To wykluczone. Gdyby ją zastrzelił lub walnął czymś w głowę, to może tak. Ale to było zbyt brutalne. Miała całkiem zmasakrowaną twarz. W najlepszym wypadku mogliby to uznać za morderstwo w afekcie, ale i tak byłoby dużo nieprzychylnych komentarzy.

- - Może ma pan i rację.
- Znow spoglądał na mnie. - Mówi pan, że pan znał tego faceta. Czy pan akceptuje oficjalną wersję wydarzeń?

- - Jestem zmęczony. Nie chce mi się dzisiaj myśleć. Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Morgan powiedział
- spokojnie: - Gdybym był naprawdę bystrym gościem, a nie zwykłym dziennikarzyną, to może doszedłbym do wniosku, że on jej w ogóle nie zabił.
- - To jest godne rozważenia.
- Włożył sobie papierosa w usta i pociągnął zapałką po tablicy rozdzielczej. Palił bez słowa; na jego chudej twarzy malowało się zamyślenie. Dojechaliśmy do Laurel Canyon i powiedziałem mu, gdzie ma skręcić z bulwaru i wjechać w moją ulicę. Znaleźliśmy się na pagórku i stanęli przed schodami z sekwojowego drzewa. Wsiadłem. - Dziękuję, Morgan - powiedziałem. - Może ma pan ochotę na drinka?

- Pojadę już. Jestem pewien, że pan chce być sam.
- Na to będzie dość czasu. O wiele za dużo.

- Będzie się pan chciał pożegnać ze swoim przyjacielem. To przecież musiał być przyjaciel, skoro z jego powodu dał się pan zamknąć.
- Skąd pan wie?

- Uśmiechnął się lekko. - To, że nie mogę tego wydrukować, nie znaczy, że o tym nie wiedziałem, przyjacielu. Cześć. Do zobaczenia. Zawrócił i zjechał z pagórka. Kiedy tylne światła jego wozu zniknęły za rogiem, ruszyłem schodami, zabrałem listy i gazety i wszedłem do pustego domu. Zapaliłem wszystkie światła i pootwierałem okna. Było duszno. Zrobiłem sobie kawy. Przy okazji wyjąłem pięć studolarowych banknotów z puszk. Były zwinięte i schowane z boku. Zacząłem się przechadzać z filiżanką w ręku, włączyłem telewizję, wyłączyłem ją, usiadłem, wstałem, znow usiadłem. Wreszcie wziąłem się za gazety. Sprawa Lennox zaczęła się - z wielkim szumem, ale tego ranka zamieniła się już w wiadomość z ostatniej strony. Zamieszczono fotografię Sylwii, ale żadnego zdjęcia Terry'ego.

- Znalazła się nawet, nie wiadomo skąd, moja podobizna. „Prywatny detektyw z Los Angeles zatrzymany do wyjaśnienia”. Było też duże zdjęcie posiadłości Lennox w Encino. Musiała mieć prawie hektar, co w okolicy Los Angeles jest czymś wyjątkowym. Sam dom o dużym, spadzistym dachu posiadał pseudoangielski charakter. Umycie okien kosztowałoby pewnie nie mniej niż sto dolarów. Na innym zdjęciu widać było dom dla gości, stanowiący miniaturę głównego budynku. Naokoło niego rosły drzewa. Obydwa zdjęcia, wykonane ze sporej odległości, zostały powiększone, a następnie wykadrowane. Nie zauważyłem jednak nigdzie fotografii „pomieszczenia, w którym nastąpiła śmierć”, jak to się zwykle w prasie określa. Materiały te widziałem już uprzednio w więzieniu, ale teraz popatrzyłem na nie innymi oczyma. Nie można się było z tego dowiedzieć nic więcej ponad to, że bogata i piękna dziewczyna została zamordowana. Widać było, że prasę udało się dość skutecznie utrzymać z daleka od sprawy. Czyli że manipulacje za kulisami zaczęły się dość wcześnie. Reporterzy kryminalni musieli zgrzytać zębami - i to na próżno. Wszystko się zgadzało. Jeśli Terry rozmawiał ze swym teściem w Pasadenie tej nocy, kiedy Sylwia została zabita, to w posiadłości pojawiło się przynajmniej dziesięciu strażników, nim zawiadomiono policję. Jedna rzecz jednak mi nie pasowała - sposób, w jaki dziewczyna została zmasakrowana. Nikt nie byłby w stanie mi wmówić, że tego dokonał Terry. Zgasilem wszystkie światła i usiadłem przy otwartym oknie. W jakimś krzaki pełen zadowolenia przedrzeźniacz wyśpiewywał swoje nocne trele. Bolała mnie szyja. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i położyłem do łóżka. Leżałem na wznak nasłuchując, jakby skądś z głębi nocy miał przyjść ten spokojny i cierpliwy głos, który wszystko w głowie rozjaśnia. Nie słyszałem go i wiedziałem, że nie mogę go usłyszeć. Nikt nie miał zamiaru wyjaśnić mi sprawy Lennox. Wyjaśnienia nie były potrzebne - Morderca przyznał się do winy i zmarł. Nie będzie nawet dochodzenia prokuratorskiego. To było - jak stwierdził Lonnie Morgan - bardzo wygodne. Jeśli Lennox rzeczywiście zabił żonę, to wszystko w porządku. Nie było potrzeby, by stawiać go przed sądem i wywlekać różne nieprzyjemne sprawy. A jeśli jej nie zabił, to też świetnie. Zmarły jest najlepszym kozłem ofiarnym na świecie. Nie może przecież nic powiedzieć.

Rozdział jedenasty

Rano ogoliłem się ponownie i pojechałem do swego, biura. Wóz zaparkowałem w tym samym miejscu, co zwykle. Poszedłem na górę i kiedy zacząłem wyciągać klucz, aby otworzyć drzwi, zauważyłem, że przygląda mi się, przylepiony do ściany, jakiś ciemnowłosy facet o bystrym spojrzeniu.

- Pan się nazywa Marlowe? - spytał.
- Bo co?
- - Niech się pan stąd nie rusza - powiedział. - Jeden gość chce się z panem zobaczyć. - Oderwał się od ściany i odszedł niedbałym krokiem. Wszedłem do środka i wziąłem pocztę.

Drugi stos leżał na biurku, gdzie go położyła nocna sprzątaczką. Otworzyłem okna, rozciąłem koperty i wyrzuciłem to, czego nie potrzebowałem - czyli prawie wszystko. Włączyłem dzwonek do wewnętrznych drzwi, zapaliłem fajkę i rozsiadłem się czekając, aż ktoś zacznie wzywać pomocy. Zacząłem rozmyślać o Terrym Lennoxie jakby z pewnego dystansu. Zaczął mi się już zamazywać w pamięci - siwe włosy, twarz z bliznami, wdzięk miękkiego charakteru, no i ten jego szczególny rodzaj dumy. Nie próbowałem go oceniać ani analizować, tak jak nigdy nie pytałem go o okoliczności, w jakich został ranny, ani jak doszło do tego, że ożenił się z kimś takim, jak Sylwia. Był jak ktoś, z kim się człowiek zaprzyjaźnia na statku, ale kogo właściwie zupełnie nie zna. Zniknął też, jak taki znajomy ze statku, który żegna się na molo i powiada: „Bądźmy w kontakcie, stary”, a obydwaj wiemy, że nic z tego nie będzie. Najprawdopodobniej już nigdy w życiu człowiek się z tym facetem nie zetknie. A jeśli nawet się zobaczymy, to będzie to już właściwie ktoś inny. Jak idą interesy? Nie najgorzej. Dobrze pan wygląda. Pan też. Za bardzo przytyłem. Wszyscy tyjemy., Pamięta pan tę wycieczkę „Franconią” (czy jak się ten statek nazywał)? To była wspaniała wycieczka, co? Wspaniała wycieczka. Akurat. Człowiek się cholernie wynudził. Rozmawiało się z tym gościem, bo nie było nikogo, do kogo byłoby warto otworzyć usta. Może z Lennoxem i ze raną było tak samo? Nie, niezupełnie. Miałem coś, co należało do niego. Zainwestowałem w niego czas i pieniądze oraz trzy dni spędzone w mamrze, nie licząc już ciosu w szczękę i uderzenia w szyję, które odczuwałem przy każdym przełknięciu. A teraz nie żył i nie mogłem mu oddać jego pięciuset dolarów. To mnie irytowało. Te drobne sprawy zawsze człowieka najbardziej złością. Dzwonek do drzwi i telefon odezwały się jednocześnie. Najpierw zająłem się telefonem, ponieważ dzwonek oznaczał jedynie, że ktoś wszedł do mojej mikroskopijnej poczekalni.

- Czy to pan Marlowe? Będzie mówił pan Endicott. Proszę chwilkę poczekać.
- Mówi Sewel Endicott - powtórzył swoje nazwisko, jakby nie zdawał sobie sprawy, że musiałem je już usłyszeć od jego sekretarki.
-
- Dzień dobry.
- Cieszę się, że pana wypuścili. To bardzo dobrze, że pan się zdecydował nie drażnić ich.
- Ja ich nie drażniłem. Jestem po prostu uparty z natury.
- Myślę, że pan więcej na ten temat nie usłyszysz. Ale gdyby się stało inaczej i potrzebował pan pomocy, proszę się ze mną skontaktować.
- Nie sądzę, aby miało to być potrzebne. Lennox przecież nie żyje. Mieliby wielkie kłopoty z udowodnieniem, że kiedykolwiek miałem z nim coś wspólnego. Następnie musieliby udowodnić, że byłem w posiadaniu istotnych dla sprawy informacji. A w końcu, że to on popełnił zbrodnię i ukrywał się przed prawem.
- Odchrząknął. - Być może pan nie wie, że zostawił list, w którym przyznaje się całkowicie do winy.

- Powiedziano mi o tym. Ponieważ jest pan prawnikiem, pragnę pana zapytać, czy mam rację twierdząc, że autentyczność tego dokumentu musiano by udowodnić, a następnie stwierdzić, że jego treść jest zgodna z ustalonymi faktami?
- Nie mam, niestety, czasu na prawniczą dyskusję - odparł sucho. - Lecę do Meksyku, gdzie mam do spełnienia smutny obowiązek. Domyśla się pan zapewne, co mam na myśli?
- Owszem. To zależy od tego, kogo pan reprezentuje. O ile sobie przypominam, nie powiedział mi pan tego.
- To się zgadza. No, to do widzenia. Podtrzymuję swoją ofertę pomocy. A przy okazji niech mi będzie wolno udzielić panu pewnej rady. Niech pan nie będzie taki pewny, że wszystko już minęło. Pracuje pan w zawodzie pełnym niebezpieczeństw. - Rozłączył się.

- Wolno odłożyłem słuchawkę na widełki. Siedziałem zamyślony, z ręką na aparacie. Po chwili przybrałem zwykły wyraz twarzy, wstałem i otworzyłem drzwi do poczekalni. Przy oknie siedział, przeglądając magazyn, jakiś ciemno opalony mężczyzna. Ubrany był w szaroniebieski garnitur w bardzo delikatną, prawie niewidoczną kratę. Skrzyżowane nogi miał obute w czarne mokasyny o dwóch dziurkach, które są tak wygodne jak sandały i nie drą skarpetek po przejściu paruset metrów. Zza kremowej, złożonej w kwadrat chusteczki wystawały słoneczne okulary. Na śnieżnobiałej koszuli widniała wiśniowa muszka. Włosy miał gęste, ciemne i kręcone. Spojrzał na mnie jasnymi, ptasimi oczyma, a pod wąziutkimi wąsikami pojawił mu się uśmiech. Odłożył na bok magazyn. - Cóż za bzdury wypisują te szmaty - zauważył. - Zacząłem czytać o Costello. Wiedzą o nim akurat tyle, ile ja o Helenie trojańskiej.
- - Czym mogę panu służyć?
- Popatrzył się na mnie bez zbytniego pośpiechu.

- Tarzan na dużym, czerwonym skuterze - powiedział.
- Co takiego?
- To pan. Tarzan na dużym, czerwonym skuterze. Przyłożyli panu trochę, co?
- No, trochę. Ale cóż to właściwie pana obchodzi?
- To miało miejsce po rozmowie Allbrighta z Gregoriusem?
- Nie, przedtem.

- Kiwnął głową. - No, nie zawahał się pan prosić Allbrighta o interwencję w stosunku do tej świni.
- - Już pytałem, co to właściwie pana obchodzi? A jeśli chodzi o komisarza Allbrighta, to go nie znam i o nic go nie prosiłem. Dlaczego miałby coś dla mnie robić?
- Popatrzył na mnie pośepnie i powoli wstał. Ruszał się z wdziękiem pantery. Przeszedł przez poczekalnię i zajrzał do mego pokoju. Kiwnął głową w moim kierunku i wszedł do środka. Tego rodzaju facet gdziekolwiek się znajdzie,

- zachowuje się jak właściciel. Podeszedłem do drzwi i zamknąłem je. Stał przy biurku, rozglądając się dokoła z ubawionym wyrazem twarzy.
- Pan jest zero, zupełne zero. Milczałem i czekałem.
- Ile pan wyciąga miesięcznie? Nie odezwałem się i zapaliłem fajkę.
- Góra siedemset pięćdziesiąt.
- Wrzuciłem zapalniczkę do popielniczki i zaciągnąłem się.
- - Pan jest płotką. Żywi się pan okruszynami. Jest pan taki maleńki, że zobaczyć pana można tylko przez szkło powiększające.
- W dalszym ciągu nie odzywałem się.
- - Żyje pan tanimi wzruszeniami. Pan sam jest tani. Zaprzyjaźnia się pan z facetem, wypija z nim parę kieliszków, opowiada parę kawałów i podrzuca trochę forsy, kiedy jest bez grosza, no i zaraz oddaje mu pan swoją duszę. Tak jak uczeń, który się naczytał o dozgonnej przyjaźni. Nie ma pan charakteru, inteligencji, stosunków ani sprytu, więc próbuje pan się zgrywać i oczekuje, że ludzie będą się nad panem rozczulać. Tarzan na dużym, czerwonym skuterze. - Na twarzy błąkał mu się uśmieszek znudzenia. - W mojej ocenie pańska wartość równa się zero.
- Nachylił się nad biurkiem i niedbale, pogardliwie, trzepnął mnie wierzchem dłoni po twarzy, bez zamiaru sprawienia mi bólu; na twarzy miał ciągle przyklejony ten uśmieszek. A kiedy nie zareagowałem nawet na to, usiadł powoli i oparł brązowy podbródek na zgiętym łokciu. Jasne, ptasie oczy patrzyły na mnie bez żadnego wyrazu.
- Wie pan, kim jestem, tandeciarzu?
- Nazywa się pan Menendez. Chłopcy mówią o panu Mendy. Działa pan, zdaje się, na Stripie?
- Nie może być! No i jak doszedłem do tego, co mam?
-
- - Nie mam pojęcia. Ale prawdopodobnie rozpoczął pan jako alfons w jakimś meksykańskim burdelu.
- Wyjął z kieszeni złotą papierośnicę i złotą zapalniczką zapalił brunatnego papierosa. Wydmuchał kłęb gryzącego dymu i kiwnął głową. Po czym położył papierośnicę na biurku i zaczął ją gładzić końcami palców.
- Jestem przysłowiowym czarnym charakterem. Wyciągam kupę forsy. Muszę wyciągać

dużo, żeby smarować facetów, których muszę smarować, żeby zarobić dużo forsy, by móc smarować facetów, których muszę smarować. Mam dom w Bel-Air, który kosztował dziewięćdziesiąt tysięcy. Już w tej chwili, choć nie wszystko jeszcze gotowe, wydałem więcej, by go urządzić. Mam żonę, śliczną platynową blondynkę, i dwoje dzieci pobierających naukę w prywatnych szkołach na Wschodzie. Moja żona ma sto pięćdziesiąt tysięcy w brylantach i siedemdziesiąt pięć w futrach i strojach. Posiadam lokaja, dwie pokojówki, kucharza i szofera, nie licząc goryla, który mnie ochrania. Gdzie się tylko pojawię, jestem witany z otwartymi ramionami. Korzystam tylko z tego, co najlepsze - z najlepszego jedzenia, najlepszych alkoholi, najlepszych ubrań, najlepszych apartamentów hotelowych. Mam dom na Florydzie i jacht z pięćoosobową załogą. Mam Bentleya, dwa Cadillaki, combi Chryslera i MG dla mojego chłopca. Za parę lat moja córka też dostanie wóz. A co pan ma?

- Niewiele - odparłem. - Obecnie mieszkam w domu, który jest cały do mojej dyspozycji.
- Bez kobiety?
- Tylko ja. Oprócz tego należy do mnie to, co pan tu widzi, tysiąc dwieście dolarów w banku i parę tysięcy w papierach wartościowych. Czy zadowala pana ta odpowiedź?
- Ile wynosiło najwyższe honorarium zarobione przez pana?
-
- Osiemset pięćdziesiąt.
- Chryste Panie, to za takie pieniądze można pracować?
- Niech się pan przestanie zgrywać i powie mi wreszcie, o co panu chodzi.
- Wygasił do połowy tylko wypalonego papierosa i natychmiast zapalił następnego. Oparł się o poręcz krzesła. Skrzywił usta.
- - Siedzieliśmy we trójkę w okopie i coś przegryzaliśmy - rozpoczął. - Było zimno, jak cholera, i pełno śniegu dookoła. Jedliśmy zimne żarcie z puszek. Trochę pukała artyleria, ale więcej moździerze. Byliśmy zsiniali z zimna, dosłownie zsiniali - Randy Starr, ja i ten Terry Lennox. Nagle wpadł między nas pocisk z moździerza i z jakiejś przyczyny nie wybuchł od razu. Te Szwaby robiły różne kawały. Mieli specyficzne poczucie humoru. Czasami człowiek myślał, że to niewypał, a trzy sekundy później okazywało się, że to nieprawda. Więc Terry chwycił ten pocisk i wyskoczył z okopu, nim Randy i ja zdążyliśmy się ruszyć. Zrobił to błyskawicznie. Cisnął pocisk, a sam rzucił się na ziemię. Pocisk wybuchł w powietrzu - większość odłamków poszła górą nad jego głową, ale jeden rąbnął go w twarz. W tym momencie Szwaby przypuściły atak, a my daliśmy dyla, aż się zakurzyło.
- Menendez przestał mówić i spojrzał na mnie swymi jasnymi, ptasimi oczyma.
-
- Dziękuję, że mi to pan powiedział.
- Niełatwo wyprowadzić pana z równowagi, Marlowe. Pan jest równy gość. Randy i ja rozmawialiśmy o tej sprawie i doszliśmy do wniosku, że to, co się przydarzyło Terry'emu, mogło każdemu facetowi pomieścić w głowie. Przez długi czas myśleliśmy, że nie żyje, ale on ocalał.

Wpadł w ręce Szwabom. Pracowali nad nim przez półtora roku. Nawet im to nieźle wyszło, ale za bardzo go wymęczyli.

-
- Wydaliśmy sporo pieniędzy, żeby zebrać te informacje i i odszukać go. Ale zarobiliśmy po wojnie kupę pieniędzy na czarnym rynku. Stać nas było na to. A Terry za uratowanie nam życia zyskał nową połowę twarzy, siwe włosy i postrzępione nerwy. Na Wschodzie zaczął pić, miał kłopoty z policją i w ogóle się rozkleił. Coś go dręczyło, ale nie wiedzieliśmy co. Nagle dowiedzieliśmy się, że się ożenił z tą bogatą babką i świetnie mu się powodzi. Później się rozwiódł, znów się rozkleił, ożenił z nią jeszcze raz, no a teraz - została zabita. Randy i ja nie mogliśmy mu. w niczym pomóc. Nie pozwalał nam, poza tym krótkim okresem, kiedy pracował w Vegas. A kiedy popadł w prawdziwe tarapaty, nie przyszedł do nas, lecz zwrócił się do takiego tandeciarza jak pan, z którym policja może robić, co jej się żywnie podoba. No i zginął bez pożegnania się z nami, bez dania nam możliwości spłacenia długu, jaki mieliśmy wobec niego. Znam ludzi w Meksyku, którzy mogliby zamelinować go do końca życia. Mogłem go być wysłać z kraju błyskawicznie, ale on poszedł ze swymi kłopotami do pana. Do takiego tandeciarza, z którym policja robi, co jej się żywnie podoba.
- Z każdym mogą tak postąpić. A co, pańskim zdaniem, powinienem być zrobić?
- Niech pan da temu spokój.
- Da czemu spokój?
- Tym próbom, by zarobić pieniądze bądź zdobyć sobie popularność sprawą Lennox. To jest zakończone, zamknięte. Terry nie żyje i chcemy, żeby już mu dać spokój. Za dużo się wycierpiał.
- Sentymentalny oprych. Pęknię ze śmiechu.
- Uważaj, co mówisz, tandeciarzu! Uważaj, co mówisz! Mandy Menendez nie potrzebuje dyskutować z gośćmi. Po prostu mówi im, co mają robić. Znajdź sobie inny sposób, by zarobić parę groszy. Rozumiesz?
- Wstał. Rozmowa była zakończona. Wziął swoje śnieżno-białe rękawiczki ze świńskiej

skóry. Sprawiały wrażenie, jakby ich nigdy nie miał na rękach. Pan Menendez był niewątpliwie elegantem. Za tym wszystkim krył się jednak bardzo twardy gość.

- Nie szukam popularności - odparłem. - I nikt mi nie oferował pieniędzy. Dlaczego mieliby dawać mi pieniądze i za co?
- Nie zwracaj mi głowy, Marlowe. Nie spędziłeś trzech dni w mamrze ze względu na słodycz swego charakteru. Zapłacono ci za to. Nie wiem kto, ale mogę się domyślać. Ta osoba nie cierpi na brak gotówki. Sprawa Lennox jest i pozostanie zamknięta nawet... ** urwał w pół zdania i trzepnął rękawiczkami o kant biurka.
- Nawet gdyby się okazało, że Terry jej nie zabił.

- Jego zdumienie było tak fałszywe, jak złoto w pierścionku sprzedawanym na jarmarku. - Chciałbym, żebyś miał rację, tandeciarzu. Ale to nie trzyma się kupy. Ale nawet gdyby był w tym jakiś sens - a Terry nie życzyłby sobie przecież, aby rozgrzebywać jego osobiste sprawy - to i tak nie można nic na to poradzić. Nie odezwałem się. Jego twarz zaczęła się z wolna wykrzywiać w uśmiechu. - Tarzan na wielkim, czerwonym skuterze.. Twarda sztuka. Pozwala, żebym tu przyszedł i mówił o nim, co mi się tylko podoba. Facet, którego się wynajmuje za parę groszy i którego każdy może obrabiać, jak chce. Bez pieniędzy, bez rodziny, bez żadnych perspektyw, słowem, zero. Do zobaczenia, tandeciarzu. Siedziałem bez ruchu, ze ściśniętymi szczękami, wpatrzony w jego błyszczącą, złotą papierośnicę, która leżała na rogu biurka. Czułem się stary i zmęczony. Wstałem wolno i sięgnąłem po papierośnicę. - Zapomniałeś tego - powiedziałem, wychodząc zza biurka.
- - Mam ich kilka - rzucił szyderczo.
- Kiedy zbliżyłem się do niego, wyciągnąłem rękę z papierośnicą. Sięgnął po nią niedbale. - A może przydałoby ci się kilka takich? - spytałem i uderzyłem go z całej siły w sam środek brzucha. Zgiął się wpół, jęcząc. Papierośnica upadła na podłogę. Oparł się o ścianę i zaczęły mu konwulsyjnie drgać ręce. Z trudem łapał powietrze, pocił się. Po chwili zaczął się wyprostowywać - bardzo wolno i z ogromnym wysiłkiem; staliśmy znów oko w oko. Pociągnąłem palcem po jego szczękę. Zupełnie na to nie zareagował. W końcu udało mu się wypracować uśmiech na brązowej twarzy.

- Nie spodziewałem się, że będzie cię na to stać.
- Następnym razem weź ze sobą rewolwer albo nie nazywaj mnie tandeciarzem.
- Mam człowieka, który za mnie nosi rewolwer.
- Przeprowadź go ze sobą, będzie ci potrzebny.

- - Ciebie trudno zdenerwować, Marlowe. Przysunąłem nogą złotą papierośnicę, schyliłem się i podałem mu ją. Wpuścił ją do kieszeni. - Nie mogłem cię rozszyfrować - powiedziałem. - Zastanawiałem się, po co tu przyszedłeś i nabijałeś się ze mnie. Po pewnym czasie stało się to dość monotonne. Wszyscy twardzi goście są monotoni. Tak jak gra w karty talią, w której są same asy. Ty masz wszystko, a jednocześnie nie masz nic. Cały czas przyglądasz się sobie z zachwytem. Nie dziwię się, że Terry nie chciał się zwrócić do ciebie o pomoc. To byłoby tak jak pożyczanie pieniędzy od prostytutki.
- Delikatnie pomacał żołądek dwoma palcami.
- - Żałuję, że to powiedziałeś, tandeciarzu. To może być ten jeden żart za dużo - warknął Menendez.
- Otworzył drzwi. Ciemnowłosy facet z zaciśniętymi ustami, który był jego obstawą, oderwał się od ściany. Menendez zrobił ruch głową. Facet wszedł do środka, stanął i zaczął mi się przyglądać oczyma bez wyrazu.
- - Dobrze mu się przyjrzyj, Chick - rozkazał. - Musisz go zapamiętać, to się może przydać. Ty i on możecie mieć jeszcze z sobą do czynienia w przyszłości.
- Już mu się przyjrzałem, szefie - wycedził przez zęby głosem, którym wszystkie tego rodzaju typy zazwyczaj mówią. - Nie sądzę, by mógł mi sprawić kłopot.
- Nie pozwól, by cię uderzył w brzuch - dodał Menendez z kwaśnym uśmiechem. - Bije hakiem z prawej, który jest dość nieprzyjemny.
- Facet zaśmiał się szyderczo. - Wątpię, by doszedł na odpowiednią odległość.
- No, to do zobaczenia, tandeciarzu - pożegnał mnie Menendez i wyszedł.
- Jeszcze się spotkamy - rzucił chłodno facet. - Nazywam się Chick Agostino. Jestem pewny, że mnie poznasz.
- Tak jak magazyn porno. Przypomnij mi, żebym nie wrzucił cię do kubła ze śmieciami.
- Napięły mu się mięśnie szczęk. Gwałtownie się obrócił i ruszył za swoim szefem. Automat wolno zamykał drzwi. Nasłuchiwałem, lecz z korytarza nie dochodził odgłos ich kroków. Poruszali się tak cicho, jak koty. Po jakimś czasie, żeby się upewnić, otworzyłem drzwi i wyjrzałem. Korytarz był pusty. Usiadłem za biurkiem i zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak znany miejscowy męt, jak Menendez, doszedł do wniosku, że musi mnie osobiście odwiedzić w biurze i przestrzec, żebym się do niczego nie wtrącał. A wszystko to ma miejsce w parę minut po otrzymaniu podobnego, acz inaczej wyrażonego, ostrzeżenia od Sewella Endicotta. Ponieważ nic nie wymyśliłem, postanowiłem, że przynajmniej coś sobie sprawdzę. Podniosłem słuchawkę i zamówiłem „Terrapin Club” w Las Vegas, z przywołaniem Filip Marlowe chce mówić z panem Randy Starrem. Pan Starr wyjechał z miasta, ale może chciałbym pomówić z kim innym? Nie chciałem. Nawet ze Starrem za bardzo nie chciałem rozmawiać. Ot, tak mi coś przyszło do

głowy. Był przecie za daleko, żeby mnie uderzyć. W ciągu trzech następnych dni nic się nie zdarzyło. Nikt mnie nie uderzył, nikt nie strzelał ani nawet nie telefonował, by mnie przestrzec, żebym się do niczego nie mieszał. Nikt mnie też nie wynajął, by odszukać zaginioną córkę, niewierną żonę, skradzioną kulię pereł czy zaginiony testament. Siedziałem i wpatrywałem się w ścianę. Sprawa Lennox zakończyła się tak samo szybko, jak i wybuchła. Na wstępną rozprawę nie zostałem wezwany. Odbyła się o nieoczekiwanej porze, bez uprzedniego zawiadomienia i ławy przysięgłych. Koroner sam orzekł, że śmierć Sylwii Potter Westerheim di Giorgio Lennox nastąpiła w wyniku morderstwa popełnionego na niej przez jej męża Terence'a Williama Lennox, który zmarł następnie na terenie pozostającym poza jurysdykcją sądu. Do dokumentów prawdopodobnie dołączono list, w którym Lennox przyznawał się do winy. Widocznie został on uwierzytelniony w sposób, który nie wzbudził zastrzeżeń koronera. Ciało zwolniono. Zostało przewiezione samolotem na północ i pochowane w rodzinnym grobie. Prasa nie została zaproszona na pogrzeb. Nie udzielono żadnych wywiadów. Można się było tego spodziewać po panu Harlanie Potterze, który przecież nigdy nie udzielał wywiadów. Skala trudności przy uzyskaniu spotkania z nim była mniej więcej taka, jak w wypadku dalajlamy. Faceci, którzy mają sto milionów dolarów, prowadzą dość specyficzny tryb życia za zasłoną złożoną ze służby, obstawy, sekretarek, prawników i różnych administratorów. Najprawdopodobniej jedzą, śpią, chodzą do fryzjera i noszą ubrania, jak my wszyscy. Ale tego człowiek nigdy nie jest pewny. Wszystko to, co się o nich czyta czy słyszy, zostało odpowiednio spreparowane przez facetów od kontaktów z prasą, którzy dostają grubą forszę za to, żeby stworzyć i utrzymywać w opinii publicznej obraz osobowości pros-

- tej, wyraźnie zarysowanej, czystej jak sterylizowana igia. Nie musi być on oczywiście prawdziwy. Musi się tylko pokrywać ze znanymi faktami, a te można policzyć na palcach jednej ręki. Pod wieczór następnego dnia zadzwonił telefon. Odezwał się jakiś mężczyzna, który się przedstawił jako Howard Spencer i powiedział, że jest przedstawicielem nowojorskiego domu wydawniczego i że przyjechał na krótko do Kalifornii. Chciał przedyskutować ze mną pewną sprawę. Czy mógłbym się z nim spotkać w barze hotelu „Ritz-Beverly” o jedenastej następnego ranka? Zapytałem go, jaka to sprawa.
- Dość delikatna - odparł - ale całkowicie etyczna. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, to naturalnie jestem gotów wynagrodzić panu stracony czas.
- Dziękuję, ale to niepotrzebne. Czy to ktoś z moich znajomych skierował pana do mnie?
- Ktoś, kto słyszał o panu - łącznie z tym ostatnim starciem z policją. Przyznam się panu, że to mnie właśnie zainteresowało. Sprawa, o której chciałem z panem pomówić, nie dotyczy jednak tego. Po prostu - no, będzie chyba najlepiej, jeśli porozmawiamy przy drinku, a nie przez telefon.
- Jest pan pewien, że chce się pan zadawać z gościem, który siedział w kryminale?
- Zaśmiał się. Śmiech i głos miał przyjemny. Mówił tak, jak rozmawiali nowojorczyki, nim

zaczęli się posługiwać językiem buszu.

- - Z mojego punktu widzenia stanowi to dodatkową rekomendację. Nie fakt, że był pan, jak pan to określił.
w kryminale, lecz że nawet pod silną presją potrafi pan zachować milczenie.
- Zdania tego faceta były pełne przecinków, jak nudna powieść. Przynajmniej tak mówił przez telefon.
- - Dobrze, jesteśmy więc umówieni na jutro rano.

- Podziękował mi i odwiesił słuchawkę. Byłem ciekaw, kto mu mnie polecił. Przyszło mi na myśl, że mógł to być Sewell Endicott, więc zadzwoniłem do niego, by sprawdzić. Okazało się jednak, że od tygodnia nie ma go w mieście. Nie miało to większego znaczenia. Nawet i w moim zawodzie zdarzają się od czasu do czasu zadowoleni klienci. A mnie potrzebna była jakaś praca, bo było już krucho z pieniędzmi - w każdym razie tak mi się wydawało, dopóki po przyjeździe wieczorem do domu nie znalazłem listu z portretem Madisona.

Rozdział dwunasty

Znajdował się w czerwono-białej skrzynce na pocztę, przypominającej domek dla ptaków, która była umieszczona przy wejściu na schody. Kłapa z dzięciołem na wierzchu skrzynki była podniesiona, ale nie zajrzałem do środka, bo nie dostaję poczty do domu, gdyby nie to, że ptak miał odłamany czubek dziobu. Sądząc z wyglądu drewna, musiało to nastąpić niedawno. Pewnie jakiś dzieciak odstrzelił go z atomowego pistoletu. List miał nalepkę Correo Aereo i masę meksykańskich znaczków. Charakteru pisma może nawet bym nie rozpoznał, gdyby nie to, iż ostatnio ciągle rozmyślałem o Meksyku. Nie mogłem odczytać bardzo słabo odbitego kasownika pocztowego. Zasiadłem w living-roomie, by go przeczytać. Nic nie zakłócało ciszy wieczoru. Być może, list od nieżyjącego człowieka przynosi z sobą własną ciszę. Nie miał daty i rozpoczynał się bez żadnego wstępu. „Siedzę przy oknie na drugim piętrze w niezbyt czystym hotelu w Otatoclan, miejscowości położonej nad jeziorem w górach. Pod oknem znajduje się skrzynka na listy i kiedy przyjdzie mozo z zamówioną przeze mnie kawą, zabierze ten list i pokaże mi go przed wrzuceniem do otworu. Ma ze to obiecany banknot stupensowy, co stanowi dla niego ogromny majątek. Po co te wszystkie sztuczki? Moich drzwi pilnuje facel o ciemnej skórze, spiczastych butach i brudnej koszuli, Czeka na coś. Nie wiem na co, ale nie chce mnie wypuścić. To nie ma zbyt wielkiego znaczenia, pod warunkiem, że list zostanie nadany. Chcę, żebyś wziął te pieniądze, bo ja ich nie potrzebuję, a miejscowa żandarmeria z pewnością je rąbanie. Nie są one przeznaczone na jakikolwiek cel. Przyjmij je po prostu jako przeprosiny za te wszystkie kłopoty, które Ci sprawiłem, i wyraz uznania dla Ciebie jako równego faceta. Jak zwykle, wszystko zrobiłem nie tak, jak trzeba, ale ciągle mam ten rewolwer. Przypuszczam, że masz wyrobione zdanie co do pewnej sprawy. Mogłem ją zabić i być może nawet to zrobiłem, ale nigdy nie potrafiłbym dokonać tych innych rzeczy. Brutalność tego rodzaju nie leży w mojej naturze. Coś tu więc nie jest w porządku. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Najważniejsze teraz to nie dopuścić do zbędnego, nikomu niepotrzebnego skandalu. Ojciec i siostra Sylwii nigdy nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Mają swoje życie do przeżycia, a moje własne

obrzydziłem sobie do reszty. To nie Sylwia uczyniła ze mnie bezwartościowego nicponia. Byłem nim już przedtem. Trudno mi powiedzieć, dlaczego właściwie wyszła za mnie. Przypuszczam, że był to po prostu kaprys. Przynajmniej umarła piękna i młoda. Mówią, że żąda postarza mężczyznę, a kobietę utrzymuje w młodości. To bzdura. Mówią, że bogaci mogą zawsze obronić się przed wszystkim i że w ich świecie zawsze panuje wiosna. Żyłem wśród nich i wiem, iż są to znudzeni i samotni ludzie. Napisałem oświadczenie, w którym przyznaję się do winy. Czuję się marnie i odczuwam okropny lęk. Czyta się o takich sytuacjach w książkach, ale nie piszą tam prawdy.

- Kiedy się to zdarza człowiekowi, kiedy pozostaje Ci jedynie rewolwer w kieszeni, kiedy jesteś osaczony w mafym, t brudnym hoteliku w obcym kraju i zostaje tylko jednadroga przed Tobą - wierz mi, przyjacielu, nie ma w tym nic wzniosłego ani dramatycznego. Jest to obrzydliwe i poniżające. Zapomnij więc o tej sprawie i o mnie. A przedtem strzel sobie jeszcze kielicha u «Wiktora ». A kiedy będziesz robił kawę, nalej i dla mnie filiżankę, dolej trochę bourbonu, zapal papierosa i połóż go koło filiżanki. A potem zapomnij o wszystkim. Koniec z Terrym Lennoxem. Kropka. Zegnaj. Ktoś puka do drzwi. Przypuszczam, że jest to mozo z kawą. Jeśli nie, to będzie strzelanina. Bo choć lubię Meksykanów, to ich więzień - nie. Trzymaj się. Terry”. To było wszystko. Złożyłem list i wsadziłem go z powrotem do koperty. Niewątpliwie był to mozo z kawą. Inaczej nie dostałbym tego listu. W każdym razie nie z portretem Madisona. Znajduje się on na 5000-dolarowym banknocie. Leżał przede mną na stole, zielony i sztywny. Nigdy takiego nie widziałem. Wielu ludzi pracujących w bankach też go nie widziało. Prawdopodobnie takie typy, jak Randy Starr czy Menendez, noszą go przy sobie w charakterze kieszonkowych pieniędzy. Gdyby się zwrócić do banku z prośbą o taki banknot, toby go nie mieli. Musieliby gościącać z Federal Reserve, co zapewne potrwałoby parę dni. Na terenie całych Stanów jest tych banknotów w obie-i gu nie więcej niż tysiąc. Mój miał bardzo przyjemny blask, Tkwiło w nim trochę, jemu tylko właściwego, prywatnego słońca. Długo się weń wpatrywałem. W końcu schowałem go dd| teczki na listy i poszedłem do kuchni, by zrobić tę kawę i Postąpiłem tak, jak sobie tego życzył, choć był to bardzo’ sentymentalny gest. Nalałem dwie filiżanki kawy, do jego dolałem bourbonu i ustawiłem po tej stronie stołu, pol której siedział tego ranka, kiedy go zabrałem na lotnisko!
- Zapaliłem mu papierosa i położyłem na popielniczce obok. Patrzyłem, jak z filiżanki paruje kawa, a z papierosa unosi się dym. Na dworze jakiś ptak szeleścił w gałęziach drzewa tekowego; od czasu do czasu dochodził trzepot jego skrzydeł i cichy ćwierkot, jakby rozmawiał sam z sobą. Po jakimś czasie z filiżanki przestało parować, a papieros zgasł i zamienił się w niedopałek na brzegu popielniczki. Wrzuciłem go do kubła pod zlewem. Wylałem kawę, umyłem filiżankę i odstawiłem ją na miejsce. To było tyle. Chyba nie za dużo, jak na pięć tysięcy dolarów? Wybrałem się na nocny seans do kina. Film jednak do mnie nie docierał. Nie byłem w stanie powiedzieć, o co tam idzie. Słyszałem tylko hałas i widziałem nieznanome twarze. Wróciłem do domu i położyłem się do łóżka. Nie mogłem jednak zasnąć. O trzeciej nad ranem ciągle jeszcze chodziłem po mieszkaniu i słuchałem Chaczaturiana. Do diabła z tym. Biała noc u mnie to cośrównie rzadkiego jak gruby listonosz. Gdyby nie spotkanie z panem Howardem

Spencerem w „Ritz-Beverly”, wypiłbym butelkę i wyłączył się z obiegu. Postanowiłem, że jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę sympatycznie wyglądającego gościa w Rolls-Roysie Silver Wraith, to zniknę ze sceny z szybkością pustynnego wiatru. Nie ma gorszej pułapki niż ta, którą człowiek sam zastawi na siebie.

Rozdział trzynasty

O jedenastej zająłem miejsce przy trzecim stoliku po prawej stronie, jak się wchodzi oszklonym przejściem do sali restauracyjnej. Siedziałem plecami do ściany i mogłem obserwować wchodzących i wychodzących. Ranek był piękny, bez smogu czy mgły, i słońce odbijało się w basenie kąpielowym, który znajdował się tuż za szklaną ścianą baru i rozciągał się aż do drugiego końca sali. Dziewczyna o wspaniałej figurze, ubrana w kostium z białej skóry rekina, wspinała się po drabince na trampolinę. Przypatrywałem się pasowi białej skóry widocznemu na udach pod kostiumem. Był to wzrok samca. Przez moment zniknęła mi z pola widzenia zasłonięta wystającym dachem. Po chwili zobaczyłem, jak robiła półtorej śruby. Bryzgi frunęły tak wysoko do góry, iż sięgnęły promieni słonecznych i załśniły kolorami tęczy; było to nie mniej ładne niż dziewczyna. Wyszła teraz z basenu, odpięła biały hełm i potrząsnęła utlenionymi włosami. Kręcąc tyłkiem zbliżyła się do białego stolika i usiadła koło jakiegoś małpoluda w białych gimnastycznych spodniach, który dyżurował przy basenie. Poklepał ją po udzie. Zaśmiała się szeroko. Na tym zakończyło się moje zainteresowanie jej osobą. Smocza jama, którą zobaczyłem, gdy otworzyła usta, załatwiła tę sprawę. Bar był dość pusty. Trzy stoliki dalej paru ciemnowłosych facetów o ostrych rysach sprzedawało sobie produkty Twentieth Century Fox bez pieniędzy, jedynie przy pomocy gestów obu rąk. Na stoliku stał telefon, którego używali co dwie, trzy minuty, uprzednio ciągnąc zapałki, by ustalić, kto ma zadzwonić do Zanucka z jakimś nowym pomysłem. Byli młodzi, pełni życia i entuzjazmu. W każdą rozmowę telefoniczną wkładali tyle energii, jakby brali udział w lekkoatletycznych zawodach. Z boku jakiś grubas w średnim wieku, siedzący przy barze, zagajał do wycierającego szklanki barmana, który słuchał jego wywodów z przyklepionym do warg uśmiechem, jaki zwykle mają ludzie, kiedy mają ochotę wrzasnąć. Facet był dobrze ubrany i - kompletnie urżnięty. Miał melodię do gadania i nie byłby w stanie przestać, nawet gdyby nie miał nic do powiedzenia. Zachowywał się grzecznie, nawet przyjacielsko i mówił zupełnie wyraźnie, ale wyczuwało się, że poprzedniego wieczoru musiał tankować do upadłego. Można było być pewnym, że taki już pozostanie do śmierci, bowiem tak mu się układało życie. Nie było sposobu, by dowiedzieć się, jak się doprowadził do takiego stanu, bowiem cokolwiek by powiedział na ten temat, to i tak nic nie odpowiadałoby prawdzie. W każdym barze, jak świat długi i szeroki, znajdziecie takiego smutnego faceta. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że nowojorski ważniak był już spóźniony dwadzieścia minut. Postanowiłem, że poczekam jeszcze trochę, poczekam - ale niedługo. Nie wolno, by klient zachowywał się tak, jak mu się tylko podoba. W tej chwili nie potrzebowałem aż tak zarobku, by jakiś cymbał ze Wschodu miał mnie traktować jak chłopca na posyłki. Taki facet, który ma, wykładany boazerią gabinet na osiemdziesiątym piątym piętrze, z baterią przełączników i interkomem oraz modnie ubraną sekretarkę z wielkimi, pięknymi i obiecującymi oczyma, mówi ci, byś był punktualnie o dziewiątej. A jeśli nie siedzisz spokojnie, z pogodnym uśmiechem, kiedy się pojawia dwie godziny później, pachnąc podwójną whisky,

dostaje paroksyzmów na myśl o wyrządzonej mu zniewadze. A później spędza pięć tygodni w Acapulco, by odzyskać równowagę psychiczną. Stary, siwy kelner z baru podszedł i spojrzał wymownie na mój mocno rozcieńczony wodą Scotch. Potrząsnąłem głową, że nie, kelner skłonił się i właśnie w tym momencie na salę weszło zjawisko. Wydawało się, jakby w barze przez chwilę wszystko zamarło: filmowcy przestali gestykulować, a rozgadany pijak zamilkł. Wyglądało to jak w momencie, kiedy dyrygent uderza pałeczką w pulpit, podnosi ją do góry i przez chwilę tak trzyma. Szczupła i wysoka, miała na sobie szytą na miarę sukienkę z białego płótna, a na szyi - czarno-białą chustkę w kropki. Jej włosy były koloru jasnego złota, jak u księżniczki z bajki. W umieszczonym na czubku głowy małym kapelusiku te jasnozłote włosy układały się jak ptak w gnieździe. Niebieskie oczy, o bardzo rzadkim, chabrowym odcieniu, ocieniały długie, może nawet trochę zbyt jasne rzęsy. Podeszła do stolika po przeciwnej stronie i zaczęła ściągać długie, białe rękawiczki. Stary kelner zaczął ustawiać jej stolik z takim przejęciem, jakby celebrował mszę. Usiadła, wsunęła rękawiczki pod pasek torby i podziękowała mu tak czarującym i łagodnym uśmiechem, że o mało nie rozpląnął się z wrażenia; powiedziała coś do niego bardzo cicho. Zgięty wpół, ruszył prawie biegiem. Wyglądał jak człowiek, któremu zlecono ważną misję. Wpatrywałem się w nią. Złapała mnie na tym. Po czym nieznacznie przeniosła wzrok i już było tak, jakbym w ogóle nie istniał. Ale istniałem, tyle tylko, że zupełnie mnie zatkało. Jest dużo rodzajów blondynek i dziś to określenie jest prawie żartem. Wszystkie mają swoje zalety, może z wyjątkiem tych metalicznych, które są blondynkami w tym samym stopniu, co Zulus z utlenionymi włosami i mają tak łagodne usposobienie jak buldog ciągnięty za ogon. Mamy też na przykład tę małą rozkoszną blondynkę, która papple i szczebioce, oraz tę wielką, postawną blondynkę, która trzyma cię na odległość ramienia lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu. Jest także ta blondynka, która rzuca ci spojrzenie jakby z głębin oceanu, ślicznie pachnie, coś tam nadaje uwieszona u twego ramienia i jest zawsze bardzo, ale to bardzo zmęczona, kiedy ją odwozisz do domu. Bezradnie rozkłada ręce, że niby ma taki okropny ból głowy, a ty byś jej chętnie przyłożył, gdyby nie to, że w gruncie rzeczy jesteś zadowolony, iż dowiedziałeś się o tym bólu głowy, nim zdążyłeś zainwestować w nią niepotrzebnie dużo czasu, pieniędzy i nadziei. Bo ten ból głowy będzie zawsze na podorędziu, jak niezniszczalna broń, a przy tym tak skuteczna jak rapier kondotiera czy flaszeczka z trucizną Lukrecji Borgii. Jest jeszcze ta miękka, chętna, alkoholiczna blondynka, której wszystko jedno, w co się ubiera, pod warunkiem, że są to norki, i dokąd idzie, o ile to jest „Starlight Roof” i zamówiłeś dużo wytrawnego szampana. Jest i ta mała blondynka z zadartym noskiem, trochę blada, która chce płacić za siebie, jest pełna pogody i zdrowego rozsądku oraz ma znakomicie opanowane judo i może przerzucić ponad barkiem kierowcę ciężarówki, nie gubiąc przy tym ani jednego zdania ze wstępniaka w „Saturday Review”. Jest też ta blada, bardzo blada blondynka z nieuleczalną, ale nie śmiertelną anemią. Wygląda jak gałązka wikliny, mówi ledwie dosłyszalnym głosem i człowiek nie dotknie jej nawet palcem, bo po pierwsze, nie ma na to ochoty, a po drugie, bo jest zajęta czytaniem „Ziemi jałowej” albo Dantego w oryginale, bądź Kafki czy Kierkegaarda; ewentualnie może studiować prowansalski. Uwielbia przy tym muzykę i kiedy Nowojorska Orkiestra Filharmoniczna gra Hindemitha, może ci powiedzieć, które z sześciu drugich skrzypiec spóźniają się o ćwierć taktu. Mówią, że Toscanini też to potrafił. Jest więc ich dwoje. No i wreszcie jest ta cudowna, reprezentacyjna blondynka, która przetrzyma trzech królów podziemia, a następnie wyjdzie za mąż za paru milionerów - po milionie od łebka - by w końcu wylądować z jasnorożową willą w Cap d'Antibes, Alfa-Romeo z dwoma szoferami oraz stajnią nieco przechodzonych arystokratów, których traktuje przyjacielsko, ale z

roztargnieniem, przypominając w tym podstarzałego księcia mówiącego dobranoc do swego lokaja. Ale zjawisko po drugiej stronie sali nie pasowało do żadnej z tych kategorii, nie należało nawet do tego świata pojęć. Nie poddawało się w ogóle żadnej klasyfikacji i było tak własne i czyste jak woda w górskim potoku i tak wymykające się określeniu jak kolor tej wody. Ciągle byłem - jeszcze zapatrzony, kiedy z boku odezwał się męski głos:

- - Skandalicznie się spóźniłem. Proszę mi wybaczyć. Ale to właśnie z powodu tego - poklepał podniszczoną teczkę.
- Nazywam się Howard Spencer. Mówię naturalnie z panem Marlowe?
- Obróciłem głowę, by mu się przyjrzeć. Był to mężczyzna w średnim wieku, raczej tęgawy, noszący okulary bez oprawy; nie wydawało się, by przykładął większą wagę do swego ubioru, natomiast twarz miał czysto ogoloną, a rzadkie włosy starannie przyczesane do tyłu. Między uszami jego głowa robiła wrażenie szerszej. Był ubrany w elegancką dwurzędową marynarkę, którą w Kalifornii można tylko zobaczyć na przyjeźdnym bostończyku.
- - Trzy nowe maszynopisy. Beletrystyka. Nie chciałem przegapić szansy, bo a nuż coś się tu znajdzie. - Kiwnął ręką do starego kelnera, który właśnie zdążył postawić przed zjawiskiem smukły kieliszek napelnięny czymś zielonym. - Mam słabość do dżinu z sokiem pomarańczowym. W gruncie rzeczy to śmieszny drink. Może pan ma na to ochotę? Świetnie.
- Powiedziałem, że chętnie, i stary kelner oddalił się.

- Gdyby były naprawdę dobre, to autorzy nie przynieśliby ich osobiście do hotelu. Już by je miał jakiś nowojorski agent.
- To po cóż pan je przyjął?
- Głównie dlatego, by ich nie urazić. A trochę i ze względu na ten fuks, o którym marzą wszyscy wydawcy. Wie pan, jak to bywa, jest pan na cocktailu i poznaje pan masę różnych ludzi. Zawsze się znajdują wśród nich tacy, co popełnili jakąś powieść, a człowiek napił się i jest w dobrym nastroju, pełen życzliwości dla ludzi. No i mówi się wtedy: „Bardzo bym chciał zobaczyć ten maszynopis”. Przynoszą to wtedy do hotelu z tak przerażającą szybkością, iż człowiek jest zmuszony się z tym zapoznać. Ale pana na pewno nie interesują problemy wydawców.

- Kelner przyniósł nam drinki. Spencer wziął swój i zdrowo pociągnął. Tak był zajęty rozmową ze mną, że nie zwracał uwagi na siedzącą po drugiej stronie sali złotowłosą. Niewątpliwie umiał robić dobre wrażenie na rozmówcy.

- Jeśli to ma stanowić część mojego zadania - powiedziałem - to nie mam nic przeciwko temu, by od czasu do czasu przeczytać jakąś książkę.
- Jeden z naszych najpoczytniejszych autorów, Roger Wade, mieszka w tych stronach. Może czytał pan coś z jego rzeczy?
- Hm.
- Rozumiem pana. - Uśmiechnął się melancholijnie. - Nie lubi pan historycznych romansów.

Idą jednak jak woda.

- Nie miałem nic specjalnego na myśli. Kiedyś wpadła mi do ręki jakaś jego książka. Wydawało mi się, że jest nic niewarta. Może nie powinienem tego mówić?
- Uśmiechnął się. - Nie, dlaczego? Wielu ludzi zgadza się z panem. Rzecz polega jednak na tym, że cokolwiek teraz napisze, to staje się to od razu bestsellerem. Przy obecnych kosztach druku każdy wydawca musi mieć paru takich autorów. Spojrzałem na złotowłosą dziewczynę. Dopita drinka i patrzyła na swój małe zegarek. Bar z wolna się napełniał, ale nie było jeszcze hałaśliwie. Dwaj filmowcy ciągle gestykulowali zawzięcie, a samotny pijak przy barze zgromadził koło siebie paru przyjaciół.
- - Czy on się jakoś wiąże z pańskimi kłopotami? - zwróciłem się do Spencera. - Myślę o tym Wade.
- Potaknął. Przyglądał mi się bardzo uważnie. - Niech pan mi powie coś więcej o sobie, panie Marlowe. O ile oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.
- Co by pan chciał wiedzieć? Od dłuższego czasu zarabiam na życie jako prywatny, licencjonowany detektyw. Jestem kawalerem, pracuję samotnie, mam koło czterdziestki i nie opływam w dostatki. Nie zajmuję się sprawami rozwodowymi. Siedziałem parokrotnie w więzieniu. Lubię alkohol, kobiety, szachy i jeszcze parę innych rzeczy. Policjanci nie przepadają za mną, ale z kilkoma łączą mnie całkiem dobre stosunki. Pochodzę z tych stron, urodziłem się w Santa Rosa, moi rodzice nie żyją, nie mam braci ani sióstr. I jeśli kiedyś załatwią mnie odmownie w jakiejś ciemnej ulicy, co może się zdarzyć każdemu w moim zawodzie, jak również wielu innym facetom zarówno z zawodem, jak i bez, to nikt nie będzie miał poczucia, że życie straciło sens.
- Rozumiem. To wszystko jednak nie mówi mi tego, co chcę wiedzieć.
- Skończyłem dzin z sokiem pomarańczowym. Nie smakował mi. Uśmiechnąłem się do niego. - Nie powiedziałem panu jeszcze jednej rzeczy. Noszę w kieszeni portret Madisona.
- Portret Madisona? Obawiam się, że...
- Banknot opiewający na pięć tysięcy dolarów. Zawsze noszę go przy sobie. To mój szczęśliwy amulet.
- Mój Boże - odezwał się zmienionym głosem - ależ to jest chyba bardzo niebezpieczne?
- Kto to powiedział, że po osiągnięciu pewnego punktu wszystkie niebezpieczeństwa są mniej więcej takie same?
- O ile pamiętam, to Walter Bagehot. Chodziło o tych, co reperują kominy fabryczne. - Uśmiechnął się. - Wie pan, jestem w końcu wydawcą. Pan jest równy gość. Więc zaryzykuję. Gdybym tego nie zrobił, to pan na pewno by mi powiedział, żebym panu nie zawracał... co?

- Uśmiechnąłem się do niego. Przywołał kelnera i zamówił następną kolejkę. Sprawa wygląda tak. Mamy poważne kłopoty z Rogerem Wadem. Nie może skończyć książki. Z jakiejś nie znanej nam przyczyny jest niezdolny do pisania. J)zieje się z nim coś niedobrego. Ma alkoholiczne napady, a później urządza piekielne awantury. Odczasu do czasu znika na dłuższy okres. Nie tak' dawno zrzucił swoją żonę ze schodów, a później odwiózł ją do szpitala z pięcioma pękniętymi żebrami. Na ogół żyją ze sobą zgodnie, nie wchodzi tu więc w grę jakieś małżeńskie kłótnie. Po prostu kiedy się napije, dostaje szału. - Spencer poprawił się w krześle i popatrzył na mnie ponuro. - Chcemy, żeby skończył tę książkę. Bardzo jej potrzebujemy. Moja posada jest w jakimś stopniu uzależniona od tej sprawy. Ale to nie wszystko. Chcemy uratować bardzo zdolnego pisarza, który jest w stanie napisać rzeczy znacznie lepsze od tych, które spłodził do tej pory. Ale coś tu jest bardzo nie w porządku. Tym razem nie chciał się nawet ze mną zobaczyć. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi jak sprawa kwalifikująca się dla psychiatry. Pani Wadę jest jednak innego zdania. Uważa, że mąż jest całkowicie zdrowy psychicznie, lecz coś go potwornie dręczy. Może w grę wchodzi szantaż, na przykład. Są małżeństwem od pięciu lat. Mogło coś wypłynąć z jego przeszłości. Może - to na niczym nie oparty domysł - napadli go kiedyś i zdobyli przypadkowo jakieś kompromitujące dokumenty. Po prostu nie mamy pojęcia i chcemy się dowiedzieć. Jesteśmy gotowi dobrze zapłacić, by usunąć źródło tych kłopotów. Jeśli się okaże, że jest to sprawa lekarska, to trudno. Jeśli jednak nie - to jakaś przyczyna musi być. Musimy się też zająć panią Wadę. Następnym razem może ją zabić. Wszystko jest, możliwe. Przed nami pojawiła się następna kolejka. Nie ruszyłem drinka; Spencer jednym haustem wypił połowę swojego. Zapaliłem papierosa. - Panu jest potrzebny cudotwórca, a nie detektyw - powiedziałem. - Cóż mogę w tej sprawie zrobić? Gdybym się znalazł w odpowiednim momencie na miejscu i gdyby Wadę nie okazał się za mocny dla mnie, mógłbym go znokautować i położyć do łóżka. Ale musiałbym być akurat pod ręką. To szansa jedna na tysiąc. Pan przecież rozumie.

- On jest mniej więcej pańskiego wzrostu - odparł Spencer - ale daleko mu do pańskiej kondycji. A poza tym mógłby pan być na miejscu cały czas.
- To raczej wykluczone. Pijacy są zresztą bardzo przebiegli. Z pewnością urządziłyby awanturę wtedy, kiedy by mnie nie było. Ja nie marzę o pracy pielęgniarskiej.
- Pielęgniarskiej byłby nieprzydatny. Roger Wadę nie jest facetem, który by się na to zgodził. To bardzo utalentowany człowiek, którego coś wytrąciło z równowagi. Zarobił zbyt dużo pieniędzy pisaniem śmieci dla półinteligentów. Ale dla pisarza jedynym ratunkiem jest pisanie. Jeśli w nim naprawdę coś jest, to będzie pisał.
- Dobra, mam obraz tej znakomitości - powiedziałem ze znużeniem. - Jest fantastyczny. A jednocześnie okropnie niebezpieczny. Ukrywa jakąś tajemnicę i próbuje swoje zmartwienie utopić w alkoholu. To nie jest sprawa dla mnie.
- Tak pan sądzi - spojrział na zegarek, a jego zmartwiona twarz zrobiła się jakby mniejsza i postarzała. - Mam nadzieję, że nie ma pan mi za złe, że zwróciłem się z tym do pana?

- Sięgnął po swoją wypchaną teczkę, a ja zwróciłem wzrok na złotowłosą dziewczynę. Zbierała się właśnie do wyjścia. Siwy kelner stał nad nią z rachunkiem. Wręczyła mu pieniądze i czarująco się uśmiechnęła. Sprawiał wrażenie, jakby obcował z Panem Bogiem. Poprawiła szminkę wargi i nałożyła rękawiczki, a kelner odsunął jej stolik na pół sali, żeby mogła swobodnie wyjść. Spojrzałem na Spencera. Wpatrywał się zmarszczony w pustą szklaneczkę stojącą-na brzegu stołu. Teczke trzymał na kolanach, - Wie pan co? Jeśli pan rzeczywiście tego tak pragnie, to spróbuję się przyjrzeć temu człowiekowi i zorientować się, o co chodzi. Porozmawiam też z jego żoną. Ale myślę, że wadę mnie po prostu wyrzuci z domu. W tym momencie usłyszałem kobiecy głos: - Nie, panie Marlowe, na pewno tak nie postąpi. Wprost przeciwnie, myślę, że może pana polubić. Spojrzałem w parę chabrowych oczu. Stała przy końcu stolika. Uniosłem się i stałem oparty o ścianę w pozycji, w jakiej człowiek się znajduje, kiedy nie może wydostać się zza stolika.
- - Niech pan nie wstaje - powiedziała głosem jak płynny miód. - Winna jestem panu przeprosiny-, ale chciałam się panu wpierw przypatrzeć, a dopiero później przedstawić. Nazywam się Eileen Wadę.
- Spencer powiedział z przekąsem: - Jego to nie interesuje. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Chyba się mylisz. Wziąłem się do kupy. Stałem w śmiesznej pozycji, z otwartymi ustami, oddychając jak studentka przy promocji. To była rzeczywiście cudowna dziewczyna. Z bliska po prostu zapierała oddech.
- - Nie stwierdziłem, proszę pani, że mnie to nie interesuje. Chciałem tylko powiedzieć, że wątpię, bym się mógł na coś przydać. Moja ingerencja mogłaby się okazać wielkim błędem i przynieść dużo szkody.
- Wyglądała teraz bardzo poważnie. Z jej twarzy zniknął uśmiech.
- - Pan zbyt szybko podejmuje decyzję. Nie trzeba oceniać ludzi według tego, jak się zachowują. Jeśli ich już sądzić w ogóle, to na podstawie tego, jacy są.
- Potaknąłem lekko głową. Zgadzało to się z tym, co myślałem o Terryem Lennoxie. W świetle faktów nie przedstawiał się zbyt zachęcająco, poza tym jednym wspaniałym wyczynem w czasie wojny - o ile to, co powiedział Menendez, było prawdą - ale fakty nie zawierały pełnej prawdy o nim. Był człowiekiem, którego trudno było nie lubić. O ilu ludziach spotkanych w życiu można to powiedzieć?
- - A żeby się o tym przekonać, trzeba ich poznać - dodała łagodnie. - Do widzenia, panie Marlowe. Gdyby pan zmienił zdanie... - otworzyła szybko torebkę i dała mi swój bilet wizytowy. - Dziękuję panu, że zechciał pan przyjść.
- Kiwnęła głową Spencerowi i ruszyła ku wyjściu. Patrzyłem, jak przechodziła przez bar i mijała oszklone przejście do sali restauracyjnej. Poruszała się niezwykle zgrabnie i elegancko. Kiedy skręcała w stronę hallu, mignęła jeszcze jej biała, płócienna sukienka. Usiadłem i wziąłem się za dżin z sokiem pomarańczowym. Spencer obserwował mnie. W jego oczach pojawił się jakiś nowy błysk.
- Pięknie rozegrane - powiedziałem. - Powinien par był jednak od czasu do czasu na nią popatrzeć. To nieprawdopodobne, by takie cudo mogło siedzieć na przeciwko pana przez dwadzieścia minut, a pan nie zwrócił na nit najmniejszej uwagi.
- To nie było inteligentne, co? - starał się uśmiechnąć, ale było widać, że przychodzi mu to z

wysiłkiem. Wyraźnie nie podobał mu się sposób, w jaki się jej przyglądałem. - Ludzie mają takie dziwne wyobrażenia o prywatnych detektywach - powiedział. - Kiedy się pomyśli, że taki facet mógłby się pojawić u człowieka w domu...

- Myślę, że pańskiemu domowi nic nie grozi. Tak czy owak, powinien pan być wymyślić lepszą historyjkę. Czy rzeczywiście wyobrażał pan sobie, że uwierzę, iż ktokolwiek, na trzeźwo czy nawet po pijanemu, mógł tę cudowną kobietę zrzucić ze schodów i złamać jej pięć żeber?

- Poczerwieniał. Ręce zacisnęły mu się na teczce. - Myśli pan, że jestem kłamcą?
- - To bez znaczenia. Odegrał pan swój numer. A może pan sam jest zainteresowany tą panią?
- Podniósł się gwałtownie. - Nie podoba mi się pański ton - powiedział. - I w ogóle nie jestem pewny, czy pan mi się podoba. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan zapomniał o całej tej sprawie. To powinno wynagrodzić panu stracony czas. Rzucił na stół dwudziestodolarowy banknot i dorzucił parę dolarów dla kelnera. Przez chwilę jeszcze stał i wpatrywał się we mnie. Oczy mu błyszczały i ciągle miał czerwoną twarz. - Jestem żonaty i mam czworo dzieci - oświadczył nagle.
- - Gratuluję.
- Coś mu zagrało w gardle, obrócił się i odszedł szybkim krokiem. Spoglądałem za nim przez dłuższą chwilę, po czym dopiłem mego drinka i zapaliłem papierosa. Stary kelner podszedł do mnie i popatrzył na leżące na stole pieniądze.

- Czy mogę coś jeszcze panu podać, sir?
- Dziękuję. Te pieniądze są dla pana.

- Wolno wziął je do ręki. - To jest dwudziestodolarowy banknot, sir. Ten pan musiał się pomylić.

- Umie czytać. Już powiedziałem, że te pieniądze są dla pana.
- Bardzo dziękuję. O ile jest pan zupełnie pewien...
- Jestem zupełnie pewien.

- Ukłonił się i odszedł, ciągle pełen wątpliwości. Bar zaczął się napełniać. Para zabójczo ubranych półdziewic przeszła obok, szczebiocząc i gestykulując rękami. Pozdrowiły dwóch podrywaczy siedzących nieco dalej. W powietrzu zaczęły migotać szkarłatne paznokcie i ciągle było słychać: kochanie to, kochanie tamto. Zirytowany nie wiadomo czym, wypaliłem papierosa do połowy i zacząłem się zbierać do wyjścia. Sięgałem po papierosy, kiedy z tyłu wpadł na

mnie z całą siłą jakiś facet. Tego mi właśnie brakowało. Obróciłem się i zobaczyłem z profilu rozanieloną twarz etatowej „duszy towarzystwa”. Facet był ubrany we flanelowy garnitur i stał z wyciągniętą ręką, sprawiając wrażenie amanta ze szkolnego przedstawienia; twarz miał całą w uśmiechu dwa na sześć, jak facet licytujący zeszloroczne kalosze. Złapałem go za to wyciągnięte ramię i wykręciłem.

- - Co z tobą, Wacusi? Twoja osobowość nie może się zmieścić między stolikami?
- Wyrwał rękę i zaczął się stawiać. - Nie podskakuj, chojraku. Bo mogę ci obluzować szczękę.
- - Cha, cha. Musieliby mnie przedtem związać. Zacisnął mięsistą pięść.
- - Kochanie - rzuciłem mu - uważaj na swój manicure. Opanował się. - Wypchaj się, cwaniaku. Zajmę się tobą innym razem, kiedy będę mniej zajęty. - Łapaniem złotych rybek?
- - Zmywaj się - warknął. - Jeszcze jeden podskok, a będziesz musiał sprawić sobie nowy mostek.
- Zaśmiałem mu się w nos. - Zgłoś się do mnie, ale z lepszym dialogiem. Zmienił mu się wyraz twarzy. Parsknął śmiechem. - Pracujesz w filmie, stary?

- Tak, ale gram tylko we własnych scenariuszach.
- No, to zgrywaj się dalej - rzucił i odszedł, rozbawiony.

- Było to wszystko bardzo głupie, ale pomogło mi wyładować złość. Ruszyłem przez oszklone przejście i hall w kierunku głównego wejścia do hotelu. Na chwilę zatrzymałem się, by nałożyć okulary słoneczne, ale dopiero kiedy znalazłem się w. wozie, rzuciłem okiem na wyłaczany bilet wizytowy, który dała mi Eileen Wade: Mrs Roger Stearns Wade, 1247 Idle Vallef Road. Tel. Idle Valley-5-6324. Wiedziałem sporo o Idle Valley i orientowałem się, iż zmieniło się w niej dużo od czasu, kiedy wjeżdżało się tam przez bramę pilnowaną przez prywatną straż, a na jeziorze było kasyno gry wraz z panienkami do towarzystwa po pięćdziesiąt dolarów. Ale po jego zamknięciu Idle Valley przejęli ludzie innego pokroju, którzy byli zainteresowani w parcelacji całego terenu, lecz tylko wśród klientów odpowiedniego typu. Jakiś wytworny klub nabył jezioro i okalający je brzeg i obecnie, jeśli ktoś był źle w nim widziany, nie mógł korzystać z kąpieli. Klub był rzeczywiście ekskluzywny, w tym jedynie autentycznym sensie słowa, który nie oznacza po prostu kosztowny. Pasowałem tak do Idle Valley jak marynowana cebulka do bananowego cocktailu. Późnym popołudniem zadzwonił do mnie Howard Spencer. Minęła mu już złość i pragnął mnie przeprosić; zdawał sobie sprawę, iż zachował się nieodpowiednio; był ciekaw, czy przypadkiem nie zmieniłem decyzji.

- - Spotkam się z Wade'em tylko pod warunkiem, iż sam wyrazi na to ochotę - odparłem.
- - Rozumiem. Oczywiście otrzymałby pan sporą sumę... - Proszę pana - powiedziałem zniecierpliwiony – niech pan spróbuje zrozumieć, przeznaczenia nie można wynająć. Jeśli pani Wade boi się swego męża, to może się wyprowadzić. To jest zależne tylko od niej. Nikt nie jest w stanie zapewnić jej ochrony przed nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po prostu niema takiej możliwości. Ale to jeszcze nie wszystko. Pan również chce wiedzieć, dlaczego, jak i kiedy Wade'owi odbiło, no i tak go ustawić, żeby już więcej nie wyczyniał podobnych numerów - przynajmniej, dopóki nie skończy książki. A to przecież zależy jedynie od niego.

Jeśli rzeczywiście ma ochotę napisać tę zakichaną książkę, to nie będzie tankował, dopóki jej nie skończy. Żąda pan grubo za dużo.

- - Te wszystkie sprawy się ze sobą łączą - odparł. - To jest jeden i ten sam problem. Ale rozumiem pana. Wymaga to zbyt dużej subtelności, jak na pańskie możliwości. No to do widzenia. Dziś wieczorem odlatuję do Nowego Jorku.
- - Szczęśliwej podróży. Podziękował mi i odłożył słuchawkę. Zapomniałem mu powiedzieć, że jego dwadzieścia dolarów dałem kelnerowi. Przyszło mi do głowy, by połączyć się z nim i powiedzieć mu o tym, ale później pomyślałem sobie, że i tak musi się marnie czuć. Zamknąłem biuro i ruszyłem w kierunku baru „Wiktor”, gdzie zgodnie z życzeniem wyrażonym przez Terry’ego w jego liście chciałem strzelić sobie kielicha. W drodze zmieniłem jednak zamiar. Po prostu nie miałem odpowiedniego nastroju. Zamiast tego udałem się do „Lowry’s”, gdzie wypłem Martini, a następnie zjadłem żeberka i Yorkshire pudding. Po powrocie do domu włączyłem telewizję i zacząłem oglądać walki. Były do niczego. Faceci zachowywali się jak baletmistrze, którzy na ringu znaleźli się przez pomyłkę. Opukiwali się lewą, robili uniki i zwody i z okropnego wysiłku o mało się nie poprzewracali. Żaden z nich nie był w stanie zadać ciosu dostatecznie silnego, by zbudzić własną babcinę z popołudniowej drzemki. Widownia gwizdała, a sędzia ringowy bez przerwy zachęcał ich do walki. Zmieniłem więc kanał i zacząłem oglądać jakiś kryminał. Akcja rozgrywała się w szafie na ubrania, twarze aktorów, znajome do znudzenia, były zmęczone i zgoła nieatrakcyjne, a od dialogów mogły rozboleć zęby. Detektyw posiadał kolorowego służącego, którego zadaniem miało być wprowadzanie humorystycznych akcentów. Było to zupełnie zbędne, bo sam był dostatecznie humorystyczny. A reklamy mogły struć kożę wychowaną na kolczastym drucie i tłuczonym szkłe z butelek od piwa. Wyłączyłem odbiornik i zapaliłem długiego, wonnego papierosa, którym można się było z przyjemnością zaciągać. Moje gardło zareagowało na niego dobrze. Był to rzeczywiście doskonały tytoń. Jakoś nie zwróciłem uwagi na firmę. Miałem już właśnie pójść do łóżka, kiedy zadzwonił sierżant detektyw Green z Wydziału Zabójstw.

- Pomyślałem sobie, że pewno zainteresuje pana wiadomość, że pański przyjaciel Lennox został parę dni temu pochowany w tym meksykańskim mieście, w którym umarł. Prawnik reprezentujący rodzinę był obecny przy pogrzebie. Tym razem panu się upiekło, Marlowe. Następnym razem, kiedy przyjdzie panu ochota, by pomóc przyjacielowi, niech pan nawiewa z kraju.
- A ile miał w sobie dziur od pocisków?
- Co takiego? - warknął, a potem przez dłuższą chwilę milczał. Wreszcie wycedził sztucznym głosem: - Wydaje się, że jedną. To zwykle wystarcza, kiedy gość ma prawie że oderwaną głowę. Prawnik ma przywieźć odciski daktyloskopijne oraz to, co zostało znalezione w jego kieszeniach. Czy jeszcze jest coś, co pana interesuje?
- Owszem, ale w tej sprawie nie jest pan w stanie zaspokoić mojej ciekawości. Chciałbym się mianowicie dowiedzieć, kto zabił żonę Lennox.
- Daj pan spokój, czyż Grenz nie powiedział panu, że Lennox zostawił oświadczenie, w którym przyznaje się do winy? Przecież podawała to prasa. Przestał pan czytać gazety czy co?
- Dziękuję, że pan do mnie zadzwonił, sierżancie. To bardzo ładnie z pańskiej strony.
- Słuchaj pan - rzucił Green ostrzegawczym tonem - jeśli przychodzą panu do głowy jakieś

zabawne pomysły w związku z tą całą sprawą, to może pan sobie napytać dużo biedy. Ta sprawa jest zamknięta, definitywnie zakończona. I pańskie szczęście, że tak się stało. Za współudział po fakcie można w tym stanie dostać pięć lat. I niech mi wolno będzie coś jeszcze panu powiedzieć. Jestem gliną od bardzo dawna i wiem, że człowiek nie zawsze łapie odsiadkę za to, co zrobił. Ważne jest to, jak w sądzie można daną sprawę przedstawić. Dobranoc.

- Nie czekając na odpowiedź, odwiesił słuchawkę. Uczciwy policjant, któremu sumienie nie daje spokoju, zawsze reaguje bardzo ostro. Tak samo zresztą jak nieuczciwy policjant. I jak prawie wszyscy, włączając w to i mnie.

Rozdział czternasty

Następnego ranka dzwonek u drzwi odezwał się akurat w momencie, kiedy wycierałem sobie talk z ucha. Po otwarciu drzwi ujrzałem parę chabrowych oczu. Tym razem miała na sobie lnianą sukienkę; nie nosiła kolczyków ani kapelusza; jedyną ozdobę stanowiła oliwkowa chustka na szyi. Miała lekko przybladłą twarz, ale nie wyglądało na to, by ją ktoś ostatnio zrzucił ze schodów. Uśmiechnęła się do mnie niepewnie.

- Wiem, że nie powinnam była przychodzić tu, by zawracać panu głowę. Pan pewnie nie zdążył jeszcze zjeść śniadania. Nie mogłam jednak zdobyć się na to, by wybrać się do pańskiego biura, a nie znoszę omawiania osobistych spraw przez telefon.
- Nic nie szkodzi. Proszę, niech pani wejdzie. Czy napije się pani kawy?
- Weszła do living-roomu i usiadła na kanapie, nie zwracając na nic uwagi. Położyła torebkę na zsuniętych kolanach. Zachowywała się raczej z rezerwą. Pootwierałem okna i podciągnąłem weneckie żaluzje; zabrałem brudne popielniczkę ze stojącego przed kanapką stolika cocktailowego.
- - Dziękuję. Bez mleka i bez cukru. Pomaszerowałem do kuchni, postawiłem na tacy dwie filiżanki z serwisu „Doser Rose”, naląłem kawę i zaniósłem tacę do pokoju. Zaczęła pić. - Doskonała - stwierdziła. - Pan robi dobrą kawę.
- - Ostatnim razem piłem z kimś kawę tuż przedtem, nim mnie zabrano do więzienia - powiedziałem. - Pani chyba wie, że siedziałem w kryminale?
- Kiwnęła głową. - Naturalnie. Zdaje się, iż podejrzewano, że pan pomógł Lennoxowi w ucieczce?
- - Tego mi nie powiedzieli. Znaleźli u niego w pokoju notesik, w którym był numer mojego

telefonu. Zadawali

mi różne pytania, na które nie odpowiadałem - głównie ze względu na sposób, w jaki były zadawane. Nie przypuszczam, by mogło to panią interesować.

- Ostrożnie odstawiła filiżankę i popatrzyła na mnie z uśmiechem. Poczęstowałem ją papierosem.
- - Dziękuję, nie palę. Naturalnie, że jestem zainteresowana. Jeden z naszych sąsiadów znał Lennoxów. On musiał chyba dostać ataku szału. Z tego, co o nim słyszałam, trudno było przypuścić, by mógł być zdolny do czegoś podobnego.
- Nabiłem fajkę i zapaliłem.
- - Też tak sądzę - odparłem. - Chyba coś takiego musiało mieć miejsce. Był ciężko ranny w czasie wojny. Nie żyje już i nie warto się tym zajmować. A poza tym nie wydaje mi się, by pani tu przyszła, aby o tym rozmawiać.
- Wolno pokiwała głową. - Był pańskim przyjacielem. Pan musi mieć na tę sprawę wyrobiony pogląd. Myślę też, iż jest pan na wszystko zdecydowanym człowiekiem. Ugmiotłem tytoń w fajce i ponownie zapaliłem. Robiłem to wolno, cały czas patrząc na nią.
- - Proszę pani - odezwałem się w końcu - moje zdanie nie ma znaczenia. Tego rodzaju historie zdarzają się każdego dnia. Najbardziej nieprawdopodobni ludzie dokonują najbardziej nieprawdopodobnych zbrodni. Przemięte starsze panie wytruwają całe rodziny. Sympatyczni młodzieńcy urządzają serie napadów z bronią w rękę i strzelają do ludzi bez najmniejszych skrupułów. Dyrektorzy banków o nieskazitelnym stażu pracy okazują się działającymi od lat defraudantami. A wylansowani, popularni i rzekomo szczęśliwi powieściopisarze upijają się i zachowują tak, że ich żony muszą być zabierane do szpitala. Wiemy diabelnie mało o tym, co siedzi w środku człowieka, nawet jeśli chodzi o naszych najbliższych przyjaciół.
- Byłem pewien, że to ją rozdrażni, ale zacisnęła tylko usta i przymrużyła oczy.
- Howard Spencer nie powinien był panu tego mówić - powiedziała. - To była moja wina. Powinnam się była trzymać z daleka od Rogera. Zdołałam już do tej pory zrozumieć, że nie ma sposobu, by powstrzymać mężczyznę, który za dużo pije. Ale na tym to pan się lepiej zna niż ja.
- No, na pewno nie można pijaka powstrzymać przy pomocy słów - odparłem. - Jeśli ma się szczęście - i siłę, można czasem powstrzymać go od zrobienia krzywdy sobie albo komuś innemu. Ale i to jest wątpliwe.
- Sięgnęła spokojnie po kawę. Jej ręce były tak piękne, jak i ona cała. Miała ślicznie uformowane i utrzymane paznokcie, pociągnięte tylko bezbarwnym lakierem.
- A czy Howard powiedział panu, iż tym razem nie widział się z moim mężem?

- Owszem.
- Dopiła kawę i delikatnie odstawiła filiżankę. Przez parę sekund bawiła się łyżeczką, po czym powiedziała nie podnosząc głowy:
 - - Nie mówił panu dlaczego, ponieważ nie wiedział. Bardzo lubię Howarda, ale on zawsze chce wszystkim kierować. Wydaje mu się, że jest stworzony po to, by wydawać polecenia.
- Czekałem, nie odzywając się ani słowem. Znów zapanowała cisza. Rzuciła mi szybkie spojrzenie, by po sekundzie odwrócić wzrok. Wreszcie cichym głosem zaczęła: - Mój mąż zaginął trzy dni temu. Nie wiem, gdzie się znajduje. Przyszłam tu, by poprosić pana o odnalezienie go i sprowadzenie do domu. Och, zdarzało się to już uprzednio. Kiedyś pojechał aż do Portland, zrobiło mu się niedobrze w hotelu i musiał wzywać doktora, by się nim zajął. Zdumiewające, że udało mu się dotrzeć tak daleko bez wypadku. Nie jadł nic przez trzy dni. Przy innej okazji odnalazł się w łaźni tureckiej w Long Beach. A ostatnim razem to było jakieś małe prywatne sanatorium, nie cieszące się dobrą sławą. Wydarzyło się to jakieś trzy tygodnie temu. Nie chciał mi powiedzieć, ani jak to sanatorium się nazywa, ani gdzie się znajduje, oświadczył jedynie, że przechodził kurację i czuje się dobrze. Ale wyglądał okropnie i był bardzo osłabiony. Zdołałam się jednak przyjrzeć człowiekowi, który go przywiózł. Był to wysoki mężczyzna wyglądający jak kowboj z teatru czy z musicalu. Wysadził Rogera na podjeździe, zawrócił i natychmiast odjechał.
 - - To mogło być takie lipne ranczo - powiedziałem. - Niektórzy z tych miejskich kowboi wydają każdy zarobiony grosz na tego rodzaju rozrywki. Kobiety szaleją za tym. Po to zresztą zakłada się takie rancza.
- Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kawałek papieru złożony w czworo.
 - - Proszę pana - odezwała się - przyniosłam czek na pięćset dolarów. Czy przyjmie go pan jako zadatek?
- Położyła złożony czek na stole. Popatrzyłem na niego, ale go nie wziąłem.
- Po cóż miałbym to robić? - spytałem. - Mówi pani, że zniknął trzy dni temu. Przecież trzeba trzech albo czterech dni, aby mężczyzna otrzeźwiał i zaczął jeść. Dlaczego nie miałby wrócić tym razem, tak samo jak poprzednio? Czy istnieje jakaś specjalna przyczyna?
 - Nie wytrzyma tego trybu życia i szybko się wykończy. Przerwy stają się coraz krótsze. Jestem okropnie zmartwiona. Więcej niż zmartwiona, przerażona. To nie jest normalne. Pobraliśmy się pięć lat temu. Roger zawsze lubił się napić, ale nie był psychopatycznym pijakiem. Dzieje się tu coś bardzo złego. Chcę go odnaleźć.* Ostatniej nocy spałam nie więcej niż godzinę.
- - A dlaczego on pije, pani zdaniem?
- Chabrowe oczy patrzyły na mnie ze spokojem. Wydawała się tego ranka zmęczona, ale na pewno nie bezradna. Zagryzła dolną wargę i pokiwała głową. - Niewykluczone, że jestem przyczyną - wyszeptała w końcu. - Mężczyznom przecież zdarza się, że przestają kochać swoje

żony.

- Jestem, proszę pani, tylko psychologiem amatorem. W moim zawodzie jest to po prostu konieczność. Sądzę, iż jest bardziej prawdopodobne, że przestało mu się podobać to, co pisze.
- To całkiem możliwe - odparła cicho. - Wyobrażam sobie, że wszyscy pisarze mają takie okresy. To prawda, że nie może skończyć książki, nad którą pracuje. Ale sytuacja nie wygląda tak, by musiał ją skończyć, bo nie ma pieniędzy na mieszkanie. Nie wydaje mi się, by to była dostateczna przyczyna.

- - Jak się zachowuje, kiedy jest trzeźwy? Uśmiechnęła się. - No, wie pan, jestem raczej nieobiektywna. Myślę, że jest bardzo miły.

- A po pijanemu?

- Jest okropny. Gadatliwy, bezwzględny, nie liczący się z nikim i niczym. Wydaje mu się, że jest dowcipny, a on po prostu staje się bardzo nieprzyjemny.

- - Nie wspomniała pani o tym, że bywa gwałtowny. Uniosła brązowe brwi. - Miało to miejsce tylko raz.
- Zrobiono wokół tego zbyt dużo hałasu. Nigdy bym sama nie wspomniała nic na ten temat Howardowi. Roger sam mu o tym powiedział. Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Zapowiadało się na upalny dzień. Było już gorąco. W jednym z okien opuściłem żaluzje, bo prażyło przez nie słońce. No, a potem wygarnąłem jej bez ogródek. - Wczoraj po południu wyszukałem pani męża w „Who’s Who”. Ma czterdzieści dwa lata, jest to jego pierwsze małżeństwo, nie ma dzieci. Jego rodzina pochodzi z Nowej Anglii, studiował w Andover i Princeton. Na wojnie spisywał się dobrze. Napisał dwanaście grubych historycznych powieści typu seks i szabla, z których każda : była na liście bestsellerów. Nielicho musiał na nich zarobić. Gdyby przestał kochać żonę, to taki mężczyzna jak on powiedziałby jej o tym i uzyskał rozwód. Jeśliby uganiał ‘ się za jakąś inną kobietą, to pani na pewno by o tym wiedziała, tak czy inaczej, nie miałby potrzeby upijać się, by zademonstrować” że ma wyrzuty sumienia. Skoro pani wyszła za mąż pięć lat temu, to musiał mieć wtedy trzydzieści siedem lat. Można przypuszczać, że już wiedział prawie wszystko, co warto wiedzieć o kobietach. Powiedziałem „prawie wszystko”, bo nikt nigdy nie jest w stanie wiedzieć wszystkiego. Przerwałem i spojrzałem na nią; uśmiechnęła się do mnie, widocznie nie sprawiłem jej przykrości. Ciągnąłem więc dalej: - Pan Spencer sugerował - nie mam pojęcia, na jakiej podstawie - że kłopoty pani męża są związane z czymś, co zdarzyło się na długo przedtem, nim państwo się pobrali. Spencer przypuszcza, że to szantaż. Czy wie pani coś na ten temat? Potrząsnęła wolno głową. - Jeśli się

pan pyta, czy wiem, by Roger wypłacał komuś duże ilości pieniędzy - to nie, nie jestem zorientowana w jego sprawach finansowych. Nie wtrącam się do tego. Mógł z powodzeniem wypłacić bardzo znaczną sumę bez mojej wiedzy.

- - Rozumiem. Nie znając pana Wade'a trudno mi powiedzieć, jak by zareagował na próby szantażu. Jeśli ma gwałtowne usposobienie, to mógłby kogoś ciężko pobić. Z kolei, jeśli by ta tajemnica - niezależnie od tego, jaka ona jest - miała zaszkodzić jego społecznej czy zawodowej pozycji bądź, przyjmując najgorszą ewentualność, spowodować wizytę przedstawicieli prawa, to mógłby płacić ~ przynajmniej przez jakiś czas. Ale te rozważania do niczego nie prowadzą. Pani jest zmartwiona, a raczej bardzo zaniepokojona, i chce go odnaleźć. Jak więc mam się do tego zabrać? Nie chcę od pani pieniędzy, w każdym razie nie w tej chwili.

- Sięgnęła do torebki i wyciągnęła parę poskładanych kartek żółtego papieru. Wyglądały jak przebitki; jedna była pomięta. Pani Wade rozprostowała je i wręczyła mi. - Jedną z tych kartek znalazłam na biurku Rogera - powiedziała. - Było bardzo późno, a właściwie bardzo wcześnie rano. Wiedziałam, że pił, bo nie przyszedł na górę do swego pokoju. Około drugiej w nocy zesłam na dół, by zobaczyć, czy wszystko w porządku, to znaczy względnie w porządku... czy zasnął na podłodze lub kanapie. Ale nie było go, Ta druga kartka zahaczyła się o kant biurka, kiedy ją wyrzucał do kosza od śmieci. Zacząłem oglądać pierwszą kartkę, tę nie zgniecioną. Znajdował się na niej krótki, napisany na maszynie tekst: „Nie mam ochoty kierować swych uczuć ku sobie, a nie ma już nikogo, komu mógłbym je ofiarować”. Poniżej widniał podpis: Roger (F. Scott Fitzgerald) Wade. PS. Właśnie z tej przyczyny nigdy nie skończyłem „Ostatniego z wielkich”.

- Mówi coś to pani?

- To takie pozerstwo. Zawsze był wielkim miłośnikiem Scotta Fitzgeralda. Twierdzi, że od czasu Coleridge'a Fitzgerald jest najlepszym pisarzem-pijakiem zażywającym narkotyki. Niech pan zwróci uwagę na charakter pisma. Wyraźny, równy, bez błędów.

- Przyjrzałem się. Większość ludzi nie umie nawet swego nazwiska napisać porządnie, kiedy jest na bani. Rozprostowałem pogniecioną kartkę. Jeszcze jedno zdanko napisane na maszynie, równiutko i bez błędów. Przeczytałem:

- „Nie lubię pana, doktorze V. Ale w tej chwili pana potrzebuję”. Kiedy czytałem tę kartkę, pani Wade odezwała się do mnie: - Nie mam pojęcia, kto to jest ten doktor V. Nie znamy żadnego doktora, którego nazwisko zaczynałoby się na „V”. Przypuszczam, że to jest ten lekarz, do którego zakładu Roger trafił ostatnim razem.

- - A kiedy ten kowboj przywiózł męża pani do domu? Czy nie wymieniał później jakichś nazwisk albo miejscowości?

- Pokręciła przecząco głową. - Żadnych. Próbowałam sama poszukać w książce telefonicznej. Są tam dziesiątki doktorów, których nazwiska zaczynają się na literę „V”. Poza tym, to nie musi być jego nazwisko.

- - Najprawdopodobniej nie jest w ogóle lekarzem - dodałem. - I tu dochodzimy do problemu gotówki. Uczciwy lekarz przyjmuje czeki, a szarlatan tego się boi, bo czek może stać się dowodem przeciwko niemu. Ludzie tego pokroju nie są tani. Mieszkanie i wyżywienie w ich zakładach kosztuje dużo. Nie mówiąc już o szpili.
- Na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. - Szpili?
- Wszyscy nielegalnie podają swoim klientom narkotyki. Jest to najłatwiejszy sposób dawania sobie z nimi rady. Wyłącza się ich z życia na dziesięć, dwanaście godzin, a po odzyskaniu przytomności zachowują się już bardzo grzecznie. Oczywiście za stosowanie narkotyków bez pozwolenia idzie się na państwowy wikt. I to na dłuższy czas.
- Rozumiem. Myślę, że Roger miał przy sobie paręset dolarów. Zawsze trzyma tyle w biurku. Nie mam pojęcia po co. Przypuszczam, że jest to po prostu takie przyzwyczajenie. W tej chwili w biurku nie ma żadnych pieniędzy.
- Dobrze - powiedziałem. - Spróbuję odnaleźć doktora V. Nie mam pojęcia jak, ale będę się starał. Proszę, niech pani zabierze ten czek.
- Ale dlaczego? Czyż pan nie jest uprawniony.
-
- Owszem, jestem, ale na czek jest jeszcze czas. Wolałbym wprawdzie otrzymać go od pana Wade'a. Bardzo zresztą wątpię, by mu się mogło podobać to, czym się teraz mam zajmować.
- Ale jeśli jest chory i nie może sobie dać rady...
- Mógł wezwać swego lekarza albo prosić, by pani to uczyniła. Ale nie zrobił tego. Widocznie nie chciał.
- Schowała czek do torebki i wstała. Wyglądała na bardzo zgnębioną. - Nasz lekarz odmówił leczenia go - oświadczyła z goryczą.
- Są przecież setki lekarzy, proszę pani, z których każdy mógłby udzielić mu jednorazowej pomocy, a większość na pewno zajmowałaby się nim przez pewien czas. Dzisiaj w medycynie istnieje silna konkurencja.
- Tak, oczywiście. Ma pan na pewno rację. - Ruszyła wolno, a ja jej towarzyszyłem. Otwierając drzwi, rzuciłem: - Mogła pani sama wezwać lekarza. Dlaczego nie zrobiła pani tego?
- Popatrzyła mi prosto w twarz. Oczy jej rozblęskły, pojawiło się w nich coś na kształt łez. Jakaż to była wspaniała kobieta, coś zupełnie wyjątkowego!

- Ponieważ kocham mego męża. Zrobiłabym wszystko, co tylko można, by mu pomóc, ale wiem dobrze, jakiego rodzaju jest mężczyzną. Gdybym wzywała lekarza za każdym razem, kiedy wypije za dużo, to wkrótce bym go utraciła. Nie można traktować dorosłego mężczyzny jak dziecka cierpiącego na ból gardła.
- Można, o ile jest pijakiem. Niestety zbyt często jest to wprost konieczne.
- Stała blisko mnie. Czuję jej perfumy. Przynajmniej wydawało mi się, że je czuję. A może sprawiał to ten letni dzień.
- - Przypuśćmy, że jest coś wstydliwego w jego przeszłości - powiedziała z ociąganiem, jakby sprawiała jej to przykrość. - Może jest to coś, co ma nawet kryminalny
- charakter. Nie miałyby to żadnego znaczenia dla mnie. Ale nie chcę, żeby przeze mnie wyszło na jaw.
- - Nie przeszkadzałoby pani jednak, gdyby Spencer wynajął mnie do zbadania tej sprawy?
- Uśmiechnęła się leciutko. - Czy pan naprawdę myśli, iż spodziewałam się, że udzieli pan Howardowi innej odpowiedzi - pan, człowiek, który poszedł do więzienia, by nie wydać przyjaciela?
- - Dziękuję za te słowa uznania, ale wsadzono mnie nie z tej przyczyny.
- Chwilę trwała cisza, po czym pokiwała głową, powiedziała: - Do widzenia - i zaczęła schodzić schodami z sekwojowego drzewa. Patrzyłem, jak wsiada do swego zgrabnego, szarego Jaguara, wyglądającego, jakby niedawno został nabyty. Dojechała do końca ulicy i zakręciła. Pomachała do mnie dłonią w rękawiczce i zaczęła zjeżdżać w dół. Po chwili jej mały wóz zniknął mi z pola widzenia. Przy frontowej ścianie domu rósł krzak kwitnącego, czerwonego oleandru. Usłyszałem dochodzące z niego trzepotanie skrzydeł i niespokojne popiskiwanie młodego przedrzeźniacza. Dostrzegłem go siedzącego niepewnie na jednej z górnych gałęzi i machającego rozpaczliwie skrzydłami, by utrzymać równowagę. Z cyprysu rosnącego przy rogu domu doszło mnie ostre, ostrzegawcze ćwierknięcie starego ptaka. Mały, tłusty przedrzeźniacz natychmiast się uspokoił. Wszedłem do domu i zostawiłem go jego losowi - niech kontynuuje lekcję latania. Ptaki też muszą się uczyć.

Rozdział piętnasty

Żeby nie wiem jak człowiek był sprytny, to jednak zawsze musi zacząć od czegoś: jakiegoś nazwiska, adresu,

- dzielnicy, środowiska, no i choćby najskromniejszego punktu zaczepienia. A ja dysponowałem jedynie pogniecioną, żółtą kartką z okropnie wypisanymi na maszynie zdaniem:

„Nie lubię pana, doktorze V. Ale w tej chwili pana potrzebuję”. Oto nitka, do której igły mogłem szukać w stogu siana, spędzając parę następnych tygodni na przekopywaniu się na przykład przez listy członkowskie kilkunastu okręgowych stowarzyszeń lekarskich. Z wynikiem ostatecznym - wielkie zero. W naszym mieście szarlatani rozmnażają się jak świnki morskie. W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od magistratu znajduje się osiem okręgów i w każdym z miast każdego z tych okręgów praktykują lekarze; większość z nich ma ukończoną medycynę, ale niektórzy są po prostu kanciarzami, posiadającymi jedynie uprawnienia do wycinania odcisków lub robienia masażu. Niektórym z autentycznych lekarzy powodzi się dobrze, innym kiepsko; niektórzy przestrzegają zasad etyki, inni nie są pewni, czy mogą sobie na taki luksus pozwolić. Dobrze nadziany pacjent z delirium tremens w początkowym stadium może być złotodajną kurą dla całej masy lekarzy bez skrupułów, zarabiających niewiele na wystawianiu recept na witaminy i antybiotyki. Ale nie mając żadnej wskazówki nie wiedziałem, gdzie zacząć. Nie miała jej także lub nie wiedziała, że ją ma, Eileen Wade. A nawet gdybym znalazł kogoś, kto by pasował do tego inicjału, to mogłoby się okazać, że cała sprawa jest mitomańską bujdą wymyśloną przez Rogera Wade'a. A z kolei ta druga historyjka mogła mu przyjść do głowy po tym, jak natankował. Tak jak aluzja do Scotta Fitzgeralda mogła być pewnego rodzaju formą pożegnania. W takiej sytuacji mały człowiek musi szukać rady dużego człowieka. Zadzwoiłem więc do znajomego faceta z Organizacji Carne'a, modnej agencji detektywistycznej na Beverly Hills, która specjalizowała się w ochronie transportu. Ochrona w tym wypadku oznaczała właśnie wszystko, co nie wykraczało wyraźnie poza prawo. Facet, który nazywał się George Peters, oświadczył, że może mi poświęcić dziesięć minut, jeśli się będę streszczał. Agencja zajmowała połowę drugiego piętra w jednym z tych czteropiętrowych budynków koloru różowego marce-panu, w których drzwi od windy otwiera fotokomórka, korytarze są chłodne i ciche, przy każdym miejscu na parkingu znajduje się tabliczka z nazwiskiem, a farmaceuta w aptece przy wejściu do budynku cierpi na chroniczny ból przegubu do napełniania buteleczek tabletkami nasennymi. Na szarych drzwiach do agencji widniał czyściusieńki napis z grubych metalowych liter: ORGANIZACJA CARNE'A, GERALD C. CARNE, PREZES, a poniżej nieco mniejszymi literami: WEJŚCIE. Robiło to wrażenie poważnej firmy inwestycyjnej. W środku znajdowała się mała i bardzo brzydka poczekalnia, ale brzydota ta była przemyślana i kosztowna. Meble zostały obite szkarłatnym i ciemnozielonym materiałem, a ściany pomalowane na jasnozielono, natomiast wiszące na nich obrazy miały ramy utrzymane w znacznie ciemniejszym odcieniu zielonego. Na obrazach faceci w czerwonych surdutach, dosiadający ogromnych koni, wprost wyłazili z siebie, żeby przeskoczyć wysokie płoty. Były jeszcze dwa lustra bez ram, zabarwione na ohydny, lekko różowy kolor. Na stole z polerowanego białego mahoni w przezroczystych plastikowych kopertach leżały najświeższe pisma. Facet, który zaprojektował ten pokój, na pewno nie odczuwał lęku przed kolorami. Sam prawdopodobnie nosił koszulkę w kolorze pieprzu, krótkie spodenki o - barwie kwiatu morwy, pasiaste buciczki i ciemnoszkarłatne kalessonki z wyszytymi na nich inicjałami w odcieniu mandaryńskiej żółci... Wszystko to było li tylko dekoracją. Klienci Organizacji Carne'a bulili minimum sto docłów dziennie, a polecenia wydawali u siebie w domu. Goście tego rodzaju nie zwykli

- wysiadywać w poczekalniach. Carne służył kiedyś jako pułkownik w żandarmerii

wojskowej; miał różowobiałą cerę i był twardy jak żelazo. Swego czasu zaproponował mi, bym pracował u niego, ale na szczęście nigdy nie przycisnęło mnie na tyle, bym musiał przyjąć jego ofertę. Istnieje sto pięćdziesiąt sposobów postępowania jak skurwysyn, no i trzeba przyznać bezstronnie, że Carne miał je wszystkie opanowane. Szybka z matowego szkła została odsunięta i wyjrzała zza niej recepcjonistka. Wyposażona była w stalowy uśmiech i oczy potrafiące przeliczyć pieniądze, które miałeś schowane w portfelu na piersiach.

- Dzień dobry. Czym mogę panu służyć?
- Chciałem się zobaczyć z George'em Petersem. Nazywam się Marlowe.

- Położyła na kontuarze oprawiony w zieloną skórę notatnik. - Czy pan Peters oczekuje pana? Nie widzę tu pana nazwiska.

- To sprawa osobista. Niedawno rozmawiałem z nim - przez telefon.
- Ach, tak. Czy może pan przeliterować mi swoje nazwisko, panie Marlowe? I czy mogę prosić pana o imię?

- Zrobiłem, o co prosiła. Zanotowała to na długim, wąskim formularzu, a następnie wsunęła jego brzeg do zegara kontrolnego.
- - Komu ma to zaimponować? - spytałem jej.

- Przykładamy u nas dużą wagę do tych wszystkich drobiazgów - wyjaśniła zimno. - Pułkownik Carne twierdzi, że nigdy nie wiadomo, kiedy pozornie mało znaczący fakt może okazać się niezmiernie ważny.
- Albo na odwrót. - Nie chwyciła jednak tego. Kiedy skończyła pisanie, uniosła głowę i powiedziała: - Dam znać panu Petersowi, że pan przyszedł.

- Oświadczyłem, że jestem bardzo wdzięczny. Minutę później w boazerii otworzyły się drzwi i Peters zaprosił mnie ruchem ręki, bym wszedł. W szarym korytarzu było pełno małych pokoików podobnych do cel. Jego pomieszczenie miało dźwiękochłonny sufit, biurko z szarej stali z dwoma odpowiednio dobranymi krzesłami, szary dyktafon na szarym stoliku oraz telefon i komplet na biurko tego samego koloru, co reszta pokoju. Na ścianach wisiało parę fotografii w ramkach. Na jednej z nich można było zobaczyć Carne'a w mundurze i białym hełmie, a na innej - w cywilu, siedzącego za biurkiem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Obok wisiał, też oprawiony w ramki, krótki mobilizujący tekst, wypisany stalowymi literami na szarym tle:

PRACOWNIK CARNE'A UBIERA SIĘ, MÓWI I ZACHOWUJE ZAWSZE I WSZĘDZIE JAK DŻENTELMEN. OD TEJ REGUŁY NIE MA WYJĄTKÓW. Peters przeszedł na drugą stronę pokoju i odchylił jeden z obrazków. Wmontowany w szarą ścianę widniał szary mikrofon. Wyciągnął go, rozłączył i z powrotem wsadził na miejsce. Następnie przesunął obraz na dawne miejsce. - Wyleciałbym za to natychmiast z pracy - powiedział - gdyby nie to, że ten skurwysyn właśnie wyszedł, by załatwić jakiemuś aktorowi oskarżenie o kierowanie wozem po pijanemu. Wszystkie przełączniki do mikrofonów są u niego w pokoju. Cały ten lokal jest na podsłuchu. Wczoraj rano zaproponowałem mu, żeby zainstalował miniaturowy aparat filmowy z podczerwonym oświetleniem za przezroczystym lustrem w recepcji. Nie przypadł mu ten pomysł do gustu. Może dlatego, iż nie był jego autorem. Usiadł na jednym z twardych, szarych krzeseł. Przyglądałem mu się. Był to długonogi, niezbyt zgrabny mężczyzna o dość kościstej twarzy i początkach łysiny. Miał ogorzałą cerę jak człowiek, który spędza dużo czasu na świeżym powietrzu w różnych warunkach klimatycznych. Obrazu dopełniały głęboko osadzone oczy i wydłużona warga. Kiedy się śmiał, dolna część jego twarzy ginęła w dwóch ogromnych brzdach przebiegających od nozdrzy do kącików szerokich ust.

- No i jak to znosisz? - spytałem.
- Siadaj, przyjacielu. Wypoczywaj, nie podnoś głosu i pamiętaj, że pracownik Carne'a w stosunku do takiego drugorzędnego detektywa jak ty, to jak Toscanini w stosunku do małej kataryniarki. - Przerwał i uśmiechnął się. - Znoszę to, ponieważ mam to w nosie. Carne płaci dobrze, ale gdyby tylko spróbował potraktować mnie na zasadzie faceta, który odbywa odsiadkę w zarządzanym przez niego w czasie wojny kryminale w Anglii, to natychmiast odebrałbym swoją należność i już by mnie nie było. A jakie ty masz kłopoty? Słyszałem, że niedawno miałeś trochę pod wiatr?
- Nie mam skarg. Chciałbym rzucić okiem na kartotekę zamkniętych zakładów leczniczych. Wiem, że taką macie. Powiedział mi o tym Eddie Dowst, kiedy przestał tu pracować.
- Potaknął głową. - Eddie był odrobinę za wrażliwy dla Organizacji Carne'a. Kartoteka, o której wspominasz, jest ściśle tajna. A nam pod żadnym pozorem nie wolno ujawniać jakichkolwiek poufnych informacji osobom z zewnątrz. Zaraz ją przyniosę. Wyszedł, a ja wpatrywałem się w szary kosz na śmieci, szare linoleum oraz narożniki z szarej skóry w bloku na biurku. Peters powrócił, niosąc w ręku kartotekę z szarej tektury.
- Chryste panie, czy nie macie czegoś, co nie byłoby szare?
- Wiesz, ten kolor symbolizuje ducha tej organizacji. Ale, owszem, posiadam coś, co nie jest szare.
- Wyciągnął z szuflady biurka dwudziestocentymetrowe cygaro. - To Upmann Thirty - powiedział. - Ofiarował mi je starszy Anglik, który mieszka w Kalifornii od czterdziestu lat.

Kiedy jest trzeźwy, zachowuje się jak dandys

- starej daty, z dużą dozą takiego powierzchownego wdzięku. To mi się jednak podoba, ponieważ większość ludzi tutaj, włączając w to Carne'a, nie posiada nie tylko powierzchownego, ale jakiegokolwiek wdzięku. Carne ma go mniej więcej tyle, ile gacie hutnika po nocnej zmianie. A kiedy ten Anglik się zaleje, to ma dziwny obyczaj wystawiania czeków na banki, które nigdy o nim nie słyssały. Zawsze jednak wywiązuje się z zobowiązań i przy mojej życzliwej pomocy udaje mu się uniknąć odsiadki. To właśnie on dał mi to cygaro. Może zapalimy je wspólnie, jak dwaj indiańscy wodzowie planujący masakrę?
- - Nie jestem w stanie palić cygar.
- Peters popatrzył ze smutkiem na ogromne cygaro, - Ja także - powiedział. - Miałem zamiar dać je Carne'owi, ale to nie jest cygaro dla jednego mężczyzny, nawet takiego jak on. - Zamyślił się. - Wiesz co, za dużo o nim gadam. To nerwowe. - Schował cygaro z powrotem do szuflady i popatrzył na otwartą kartotekę. - A właściwie co nam stąd potrzebne?
- - Szukam zamożnego alkoholika z kosztownymi zachciankami, na które go stać. Do tej pory nie pozwolił sobie jeszcze na wystawienie czeku bez pokrycia. W każdym razie nic o tym nie słyssałem. Zdolny jest do popełnienia gwałtownego czynu, a jego żona bardzo się o niego martwi. Sądzi, że skrył się w jakimś zakładzie dla alkoholików, ale nie jest tego pewna. Jedyna wskazówka, jaką dysponujemy, to notatka z nazwiskiem doktora V. Mamy tylko inicjał. Facet zniknął trzy dni temu.
- Peters popatrzył na mnie z namysłem. - To przecież nie tak dawno - powiedział. - Nie ma się jeszcze czym martwić.
- - Jeśli go odnajdę, zanim sam się pojawi, to otrzymam honorarium.
- Znowu spojrzał na mnie i pokiwał głową. - Nie rozumiem tego, ale to nie ma znaczenia. Poszukamy. - Zaczął przewracać karty. - To nie jest takie proste - oświadczył. - Faceci tego rodzaju nie siedzą nigdzie długo. Taka notatka to niewielka wskazówka. - Wyjął jakąś kartę, znowu zaczął przeglądać kartotekę, Wyciągnął drugą i w końcu trzecią. - No, mamy tu trzech podchodzących facetów - zakomunikował. - Doktor Amos Varley, osteopata. Ma duży zakład w Altadena. Za pięćdziesiąt dolarów przychodzi, a w każdym razie przychodził, na wizyty w nocy. Zatrudnia dwie siostry z dyplomami. Parę lat temu miał kłopoty ze Stanowym Wydziałem Narkotyków i zażądano od niego przedstawienia rejestru wydawanych recept. Te informacje są już nieco przestarzałe. Zapisałem nazwisko i adres doktora z Altadeny.
- A tu mamy doktora Lestera Vukanicha. Laryngolog, Stockwell Building na Hollywood Boulevard. O, to cwaniaczek. Przyjmuje głównie u siebie w gabinecie i specjalizuje się w chronicznym zapaleniu zatok. Operuje bardzo sprytnie. Przychodzisz do niego i skarżysz się na bóle głowy, a on przepłukuje ci zatoki. Naturalnie najpierw znieczulą przy pomocy nowokainy. A jeśli przypadniesz mu do gustu, to nie musi to być koniecznie nowokaina. Chwytasz?
- Jasne. - Zanotowałem.
- A to dobre! - Rzucił Peters, czytając dalej kartę. - Oczywiście największym jego problemem są dostawy. No i właśnie dlatego nasz doktor Vukanich bardzo często łowi ryby - koło Ensenada, dokąd się udaje własnym samolotem.

- Jeśli sam przewozi narkotyki, to go szybko złapią - zauważyłem.
- Peters chwilę się nad tym zastanowił, po czym potrząsnął głową. - Nie sądzę. Myślę, że może prosperować w nieskończoność, o ile nie będzie zbyt pazerny. Jedynym poważnym niebezpieczeństwem dla niego jest niezadowolony klient - przepraszam, miałem na myśli pacjenta – ale prawdopodobnie umie sobie dawać z tym radę. Od piętnastu lat przyjmuje w jednym i tym samym miejscu.
- Jak ulicha, zbieracie te wszystkie informacje? - spytałem.
- My jesteśmy organizacją, stary, a nie takim wilkiem samotnikiem, jak ty. Część tych informacji mamy od klientów, a część sami wygrzebujemy. Carne nie żałuje pieniędzy. Jak potrzeba, to umie trafić do różnych ludzi.
- Bardzo by mu się podobała nasza rozmowa.
- Mani go gdzieś. Ostatni to facet o nazwisku Verringer. Ten facet, który to zanotował, już dawno u nas nie pracuje. Jakaś poetka popełniła samobójstwo na ranczo Verringera w Sepulveda Canyon. Prowadzi tam coś w rodzaju pensjonatu dla pisarzy, artystów i tym podobnych ludzi, którzy szukają samotności i przyjemnej atmosfery. Opłaty umiarkowane. Wydaje się, że wszystko jest w porządku. Mówi o sobie, że jest doktorem, ale nie praktykuje. Może jest doktorem filozofii. W gruncie rzeczy nie bardzo wiem, dlaczego trafił do tej kartoteki. Chyba że coś tam było nie tak w sprawie tego samobójstwa. - Wziął do ręki kartę z przyklejonym do niej wycinkiem z gazety. - Tak, zbyt duża dawka morfiny. Nie sugerują jednak, jakoby Verringer cokolwiek o tym wiedział.
- A mnie się Verringer podoba - stwierdziłem. - I to nawet bardzo.
- Peters zamknął kartotekę. ~ Nigdy tego nie widziałeś - powiedział. Wstałem i zacząłem mu dziękować, ale tylko machnął ręką. - Słuchaj, stary - powiedział - ten twój Wadę może się znajdować w setkach różnych miejsc. Odparłem, że zdaję sobie z tego sprawę.
- - A przy okazji powiem ci, że usłyszałem coś o twoim przyjacielu Lennoxie, co cię może zainteresować. Pięć czy sześć lat temu jeden z naszych ludzi natknął się w Nowym Jorku na gościa, którego rysopis dokładnie odpowiada Lennpxowi. Twierdzi jednak, że ten gość nazywał się Marston, a nie Lennox. Naturalnie może się mylić. Ten Marston był większość czasu pijany, więc trudno było coś stwierdzić z pewnością.
- Wątpię, by to był on - odparłem. - Po co miałby zmieniać nazwisko? Istnieją przecież jego akta wojskowe z czasów wojny, do których zawsze można zajrzeć.
- Nie wiedziałem tego. Nasz człowiek jest w tej chwili w Seattle. Jeśli myślisz, że to ci coś może dać, możesz z nim porozmawiać, kiedy wróci., Nazywa się Ashterfelt.
- Bardzo ci dziękuję za wszystko, George. Te dziesięć minut mocno się przeciągnęły.
- Kiedyś może ja będę potrzebował czegoś od ciebie.

- Organizacja Carne'a - odparłem - nigdy nie potrzebuje niczego od nikogo.
- Zrobił ordynarny gest przedramieniem. Zostawiłem go w jego metalowoszarej celi i wyszedłem przez poczekalnię. Teraz zaczęła mi się podobać. Po tych więziennych wnętrzach ostre, żywe kolory nabierały sensu.

Rozdział szesnasty

Z boku autostrady przy wjeździe do Sepulveda Canyon tkwiły dwa kwadratowe, żółto pomalowane słupy. Na jednym z nich wisiała odchylona brama z żelaznych prętów. Nad nią można było dostrzec zawieszony na drucie napis: DROGA PRYWATNA. WEJŚCIE WZBRONIONE. Ciepłe i spokojne powietrze przesycone było zapachem eukaliptusów przypominającym kocia woń. Jechałem żwirowaną drogą prowadzącą najpierw grzbietem pagórka, a później łagodnym zboczem. Z drugiej strony wzniesienia schodziła ona do cienistej doliny, gdzie było o kilkanaście stopni cieplej niż na autostradzie. Droga kończyła się pętlą wokół kępy trawy obłożonej pobielanymi kamieniami. Po jej lewej stronie znajdował się pusty basen. Wokół niego, z trzech boków, widniały resztki trawnika, na którym stały tu i ówdzie podniszczone fotele z sekwoj owego drzewa z bardzo wypłowiałymi obiciami. Prawie pełen przekrój barw - od niebieskiego poprzez zielony, żółty, pomarańczowy do rdzawoczerwone-go. Z czwartego boku znajdowała się wysoka drucziana siatka, należąca do przylegającego kortu tenisowego. Miało się wrażenie, że trampolina nad pustym basenem utraciła całą swoją sprężystość. Mata, którą była obita, zwisała w strzępach, a metalowe okucia pokrywała rdza. Dojechałem do pętli i zatrzymałem się przed domem z sekwojowego drzewa, o spadzistym dachu i dużym ganku. U wejścia wisiały dwie siatkowe zasłony, na których drzemały wielkie, czarne muchy. Wśród wiecznie zielonych i zawsze zakurzonych kalifornijskich dębów widać było ścieżki wiodące w różnych kierunkach; pomiędzy drzewami na zboczu pagórka porozrzucane były tu i ówdzie domki campingowe, niektóre z nich prawie niewidoczne na tle zieleni. Te, które można było lepiej zaobserwować, robiły wrażenie dawno nie używanych, opuszczonych. Drzwi były pozamykane, a okna zasłonięte firankami z sukna czy czymś w tym rodzaju. Prawie że się czuło grubą warstwę kurzu zalegającą parapety. Wyłączyłem stacyjkę i siedziałem z rękami na kierownicy, nasłuchując. Było zupełnie cicho. Dom robił wrażenie całkowicie opustoszałego, z tym że coś się ruszało w ciemnościach pokoju znajdującego się za siatkowymi zasłonami. W pewnej chwili rozległ się cichy, ale wyraźny gwizd i w wejściu pojawiła się sylwetka mężczyzny; rozsunął zasłony i zaczął schodzić po schodkach. Był to niecodzienny widok. Na jego głowie tkwił płaski, czarny kapelusz, noszony przez gauczów, z ręcznie tkanym paskiem pod brodą. Miał na sobie nieskazitelnie czystą, białą, jedwabną koszulę, rozpiętą pod szyją, z rękawami ciasno spinanymi na przegubach i szerokimi na ramionach. Czarną chustkę na karku zawiązał sobie w ten sposób, że jeden jej koniec był krótki, a drugi zwisał mu aż na brzuch. W talii był przepasany szeroką, czarną szarfą. Zamiast spodni miał czarne pantalone, obcisłe w biodrach, przetykane z boku złotą nicią do miejsca, w którym zostały rozcięte i rozchodziły się luźno; po obydwu stronach przecięcia widniały złote guziki. Całość stroju dopełniały eleganckie, czarne lakierki. Zszedłszy ze schodów zatrzymał się, ciągle

jeszcze gwizdząc, i zaczął mi się przyglądać. Robił wrażenie niezwykle sprawnego i wprost tryskającego siłą. Spod długich, jedwabnych rzęs patrzyły na mnie największe i najbardziej puste szare oczy, jakie udało mi się w życiu widzieć. Miał Regularne i delikatne rysy, w których nie było jednak ani cienia słabości - nos prosty, dość cienki, usta interesująco wymodelowane; brodę przedzielał dołek, a małe uszy przylegały mu zgrabnie do głowy. Jego skóra posiadała ten ciemny odcień, którego słońce nigdy nie zmienia. Lewą rękę trzymał opartą na biodrze, a prawą zakreślił zgrabny łuk w powietrzu. - Witam - odezwał się. - Piękny dzień, nieprawdaz?

- Dla mnie tutaj jest za gorąco.
- Ja lubię gorąco - oświadczył spokojnym, stanowczym głosem, ucinając wszelką dalszą dyskusję na ten temat. Moje upodobania zupełnie go nie interesowały. Usiadł na stopniu, wyciągnął skądś pilnik i zaczął się zajmować swymi paznokciami.
- Pan z banku? - spytał, nie podnosząc głowy.
- Szukam doktora Verringera.

- Przestał piłować paznokcie i popatrzył na bok - w przestrzeń. - Kto to jest? - spytał obojętnym głosem.
- - Tu wszystko należy do doktora Verringera. Doskonale pan o tym przecież wie. No, nie jest pan bardzo gadatliwy.

- Znow zaczął piłować paznokcie. - Źle cię poinformowano, ptaku. Tu wszystko należy do banku. Zostało to zabezpieczone czy zajęte, czy coś w tym rodzaju. Nie pamiętam. Popatrzył na mnie jak człowiek, dla którego takie szczegóły nie mogły mieć żadnego znaczenia. Wysiadłem z samochodu i oparłem się o ścianę, a po chwili stanąłem w innym miejscu, by złapać trochę powietrza.

- A jaki to jest bank?
- Jeśli nie wiesz, to znaczy, że to nie oni cię wysłali. A jeśli nie oni cię wysłali, to nie masz czego tu szukać. Ruszaj w drogę, ptaku. No, odlatuj, ale szybko.
- Muszę odnaleźć doktora Verringera.
- Ta buda jest nieczynna. Przyjechałeś prywatną drogą, o czym bez trudu można się dowiedzieć z tablicy. Jakiś gamoń zapomniał zamknąć bramę wjazdową.
- A ty się opiekujesz tym wszystkim?
- Mniej więcej. Ale nie zadawaj mi więcej pytań, ptaku, bo mam wybuchowy temperament.
- A co robisz, jak się rozzłościł, tańczysz tango z jeżem?

- Wyprostował się szybkim, zgrabnym ruchem. Przez dłuższą chwilę widniał na jego twarzy

przyklepiony uśmiech. Po czym powiedział: - Wygląda na to, iż będę musiał cię wrzucić z powrotem do tego starego Oldsa.

- - Dobrze, ale za chwilę. Na razie chciałbym się dowiedzieć, gdzie się obecnie znajduje doktor Verringer.
- Wsadził pilnik do kieszeni koszuli, a w prawej ręce coś mu się pojawiło. Za chwilę miał już nasadzony na rękę mosiężny kastet. W jego wielkich, jakby zadymionych oczach, zapaliły się ogniki, a na policzkach napięła skóra. Ruszył w moim kierunku. Zrobiłem krok do tyłu, by mieć większą swobodę ruchu. W dalszym ciągu nie przerywał swego gwizdania, ale było ono teraz cieńsze i ostrzejsze.
- - Nie musimy się zaraz bić - zwróciłem się do niego. - Nie mamy o co walczyć. A poza tym mógłbyś sobie pognieść te śliczne pantalone.
- Skoczył ku mnie jak błyskawica i strzelił lewą. Miał niesamowitą szybkość. Uderzenia się spodziewałem, ale jednocześnie udało mu się złapać mnie za przegub prawej dłoni. Uchwyt miał jak z żelaza. Szarpnął mną tak, iż straciłem równowagę, i zamachnął się ręką uzbrojoną w kastet. Gdyby mnie trafił w tył głowy, byłbym od razu załatwiony. Gdybym ja go szarpnął, to trafiłby mnie w bok głowy albo w okolice stawu barkowego. Tak czy inaczej oznaczałoby to zmasakrowaną twarz bądź ramię. Podałem się więc jego szarpnięciu, a w przelocie zablokowałem mu od tyłu lewą stopę i chwyciłem za koszulę, która pękła z trzaskiem. Poczulem uderzenie w kark, ale nie był to metal. Odgiąłem się gwałtownie w lewo, a on poleciał na bok. Wylądował jak kot i nim zdążyłem odzyskać równowagę, już stał na nogach. Na twarzy pojawił mu się uśmieszek. Widać było, że mu się to wszystko bardzo podoba. Był w swoim żywiole. Znow ruszył na mnie. Nagle ktoś zawołał basowym głosem: - Earl! Natychmiast się uspokój! Natychmiast, słyszysz, co mówię? Gauczo w pantalonach stanął. Na twarzy błąkał mu się półuśmieszek. Błyskawicznym ruchem schował mosiężny kastet w szerokiej szarfie, którą był przepasany. Obróciłem się i zobaczyłem solidnie zbudowanego mężczyznę w jaskrawokolorowej, hawajskiej koszuli, spieszącego w naszym kierunku jedną ze ścieżek i wymachującego rękami. Nadszedł mocno zasapany.

- Zwariowałeś, Earl? - rzucił.
- Niech pan się nigdy w ten sposób do mnie nie odzywa - odparł Earl. Uśmiechnął się, ruszył w stronę domu i usiadł na schodkach werandy. Zdjął z głowy płaski kapelusz, wyciągnął grzebyk i zaczął rozczesywać gęste,
-
- ciemne włosy, tak jakby nic nie zaszło. Po chwili znow zaczął cicho gwizdać. Tęgi mężczyzna przystanął i wpatrywał się we mnie. Nie pozostałem mu dłużny.
- Co tu się dzieje? - warknął. - Kim' pan jest?
- Nazywam się Marlowe. Pytałem o doktora Verringera. Ten chłoptaś, którego pan nazywa Earlem, miał ochotę się ze mną pobawić. Wydaje mi się jednak, że jest na to za gorąco.

- - To ja jestem doktorem Verringerem - wyjaśnił z godnością tęgi mężczyzna. - Zrobił ruch głową. - Wejść do domu, Earl.
- Earl uniósł się wolno. Z namysłem popatrzył na doktora, a jego wielkie, zadymione oczy były całkowicie pozbawione wyrazu. Ruszył schodkami i otworzył drzwi. W powietrze uniosła się, bzycząc z irytacji, chmura much i z powrotem opadła na drzwi, kiedy zostały zamknięte.
- Marlowe? - Verringer znów się mną zajął. - Czym mogę panu służyć?
- Earl twierdzi, że pan już nie prowadzi tu zakładu.
- To prawda. Oczekuję tylko na załatwienie pewnych prawnych formalności, po czym się stąd wyprowadzam. Earl i ja jesteśmy tutaj sami.
- A to się zawiodłem - powiedziałem, przybierając odpowiednią minę. - Miałem wrażenie, że przebywa u pana człowiek o nazwisku Wade.
- Uniósł w górę brwi, które mogłyby zainteresować producenta szczotek. - Wade? Być może, iż znam kogoś o tym nazwisku, to w końcu dość pospolite nazwisko, ale dlaczego miałby u mnie przebywać?
- - Na kuracji.
- Zmarszczył się. Kiedy facet ma takie brwi, to zmarszczenie ich daje wspaniałe efekty. - Jestem lekarzem, ale obecnie nie praktykuję. Jaką kurację ma pan na myśli?
- -Facet ma lekkiego szmergla. Od czasu do czasu odbija mu szajba - i znika. Czasami wraca do domu własnym przemysłem, czasami go sprowadzają, a czasami trzeba się trochę namęczyć, by go odnaleźć. - Wręczyłem mu mój bilet wizytowy.
- Popatrzył na niego niechętnie.
- - A co się dzieje z tym pańskim Earlem? - zapytałem. ~ Wydaje mu się, że jest Rudolfem Valentino, czy co?
- Doktor Verringer znów zaczął pracować brwiami. To mnie fascynowało. Miały ze trzy centymetry długości i kręciły się w sposób naturalny? Uniósł swe mięsiste ramiona.
- Earl jest zupełnie nieszkodliwy, proszę pana. Czasami jest - no, powiedzmy - trochę dziwaczny. Można by powiedzieć, iż żyje w świecie wyimaginowanej rozrywki.

- To pan tak twierdzi, doktorze. Osobiście odnoszę wrażenie, że jego rozrywki mają niezbyt łagodny charakter.
- No, wie pan! Czy pan aby nie przesadza? Earl lubi się ubierać z pewną emfazą. Jest w tym trochę podobny do dziecka.
- Chce pan powiedzieć, że ma kota - odparłem. - O ile się nie mylę, pański zakład jest rodzajem sanatorium? Albo przynajmniej był nim?
- Skądże znowu. Znajdował się tu rodzaj pensjonatu dla artystów. Dostarczałem im dachu nad głową, posiłków, urządzeń sportowych, rozrywki, ale przede wszystkim - samotności. Za bardzo umiarkowaną opłatą. Artyści, jak panu na pewno wiadomo, są z reguły niezamożnymi ludźmi. Pod określeniem artyści rozumiem naturalnie pisarzy, muzyków i tak dalej. To za jęcie, dawało mi dużo satysfakcji.
- Powiedział to z melancholią. Brwi zwisały mu po obydwu stronach twarzy, stanowiąc jakby dopełnienie skrzywionych warg.
- - Wiem o tym - odparłem. - Te wiadomości znajdują się w kartotece. Jest tam też mowa o samobójstwie, które miało tu kiedyś miejsce. Zdaje się, że to była narkomanka?
- Nagle się z jeżył. - W jakiej kartotece? - spytał ostro.
- Mamy kartotekę facetów, których nazywamy specjalistami od zakratowanych okien. Prowadzą zakłady, z których człowiek nie może wyskoczyć przez okno, kiedy dostanie ataku. Takie małe, prywatne sanatoria, które zajmują się alkoholikami, narkomanami i lekkimi przypadkami manii.
- Prawo wymaga, by tego rodzaju zakłady posiadały specjalną licencję - powiedział surowo doktor Verringer.
- No, właśnie. W każdym razie w teorii. Czasami jednak ci, co je prowadzą, zapominają o tym.
- Wyprostował się sztywno. Umiał się zachowywać z godnością. - Pańskie insynuacje są obraźliwe, panie Marlowe. Nic mi nie wiadomo, by moje nazwisko miało się znajdować w jakiejś kartotece. Muszę pana poprosić, by się pan stąd wyniósł.
- Wróćmy do Wade'a. Czy jest możliwe, by się tu znajdował pod jakimś innym nazwiskiem?
- Tu nie ma nikogo poza Earlem i mną. Jesteśmy całkiem sami. A teraz, jeśli mi pan wybaczysz...
- Chciałbym się trochę rozejrzeć.

- Czasami można gościa doprowadzić do takiej wściekłości, że niebacznie coś powie. Ale nie odnosiło się to do doktora Verringera. W dalszym ciągu zachowywał się z godnością. Pomagały mu w tym również jego brwi. Spojrzałem w kierunku domu. Ze środka dochodziły dźwięki tanecznej muzyki. I - prawie niedosłyszalnie - pstrykanie palców.
- Założyłbym się, że on tam tańczy - rzuciłem. - Brzmi to jak tango. Jestem pewien, że tańczy solo. To interesujący chłopak.
- Czy pan nie zamierza się stąd ruszyć? Jeśli tak, to będę musiał poprosić Earla, by pomógł mi w usunięciu pana z mojej posiadłości.
- - W porządku, odjeżdżam. Mam nadzieję, że się pan na mnie nie gniewa, doktorze? Były tylko trzy nazwiska zaczynające się na V i pan wydał mi się najbardziej obiecujący. To jedyna wskazówka, którą posiadaliśmy - doktor V. Nabazgrolił to na kawałku papieru, nim zniknął. Doktor V.
- - Lekarzy, których nazwiska zaczynają się na V, jest na pewno dziesiątki - odparł spokojnie Verringer.
- - Na pewno. Ale nie w naszej kartotece. Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu, doktorze. Wie pan, Earl mnie trochę niepokoi.
- Podszedłem do wozu i wsiadłem. Nim zatrzasnąłem drzwi, doktor Verringer znalazł się przy mnie. Nachylił się w moją stronę z grzecznym wyrazem twarzy.
- Nie ma potrzeby, byśmy się mieli kłócić, proszę pana. Zdaję sobie sprawę, że w pańskim zawodzie musi pan być nieraz trochę wścibski. Proszę, niech pan mi powie, co takiego niepokoi pana w Earlu?
- Widać od razu, że gra on fałszywą rolę. A tam, gdzie się natrafi na jeden fałsz, można się spodziewać i innych. O ile się nie mylę, panie doktorze, to cierpi on na zaburzenia o charakterze maniakalno-depresyjnym? W tej chwili ma właśnie przyływ dobrego samopoczucia.
- Wpatrywał się we mnie w milczeniu. Wyraz twarzy miał poważny i uprzejmy. - Proszę pana, wielu interesujących i utalentowanych artystów przebywało w moim zakładzie. Nie wszyscy z nich byli tak zrównoważeni, jak pan. Utalentowani ludzie są często neurotykami. Nie mam tu jednak możliwości, by zajmować się lunatykami czy alkoholikami, zakładając nawet, że tego rodzaju praca by mi odpowiadała. Nie mam żadnego personelu poza Earlem, a on nie jest człowiekiem, który by się nadawał do opieki nad chorymi.

- -A do czego on się według pana nadaje, pomijając oczywiście samotne tańce i tym podobne rzeczy?
- Oparł się o drzwi. Zaczął mówić cichym głosem, tak jakby zwierzał mi się z poufnych spraw. - Rodzice Earla byli moimi wielkimi przyjaciółmi. Ktoś musi się Earlem opiekować, a oni obydwójce już nie żyją. Earl musi prowadzić spokojne życie, z dala od hałasu i pokus wielkiego miasta. Jest niezrównoważony, lecz w zasadzie nieszkodliwy. Potrafię nim kierować bez najmniejszych trudności, jak pan zresztą miał okazję się przekonać.
- - Jest pan bardzo odważnym człowiekiem - powiedziałem.
- Westchnął. Brwi zadrgały mu delikatnie, jak czułki jakiegoś zaniepokojonego owada. - Oczywiście wymagało to poświęcenia - ciągnął dalej. - Dużo poświęcenia. Miałem nadzieję, że Earl będzie mógł mi pomóc w mojej pracy. Gra świetnie w tenisa, pływa, wspaniale nurkuje i może też tańczyć całą noc. Przeważnie jest bardzo miły. Ale od czasu do czasu zdarzały się... incydenty. - Pomachał ręką, jakby pragnął odsunąć od siebie bolesne wspomnienia. - W końcu doszło do tego, iż musiałem się zdecydować, czy wyrzekam się Earla, czy rezygnuję z prowadzenia zakładu. Podniósł ręce do góry i opuścił je z powrotem. Wydawało się, że ma oczy mokre od powstrzymywanych łez.
- - Wszystko sprzedałem - powiedział. - Ta spokojna, mała dolina zostanie rozparcelowana na działki budowlane. Pojawią się tu chodniki, latarnie uliczne i dzieci na skuterach z ryczącymi aparatami radiowymi. No i będzie też - wydał z siebie żalosne westchnienie - telewizja. - Jego ręka zatoczyła wielki łuk. - Chciałbym, żeby oszczędzili drzewa, ale boję się, że będzie inaczej. Zamiast nich pojawią się anteny telewizyjne. Mam jednak nadzieję, że Earl i ja będziemy wtedy daleko stąd. - Do widzenia, doktorze. Współczuję panu. Wyciągnął do mnie rękę. Była wilgotna, ale uścisk miał nader krzepki. - Cenię sobie pańską sympatię i zrozumienie. Żałuję bardzo, iż nie mogłem panu pomóc w poszukiwaniu pana Slade'a.
- Wade'a - poprawiłem go.
- Niech pan mi wybaczy. Naturalnie, Wade'a. Do widzenia i powodzenia.
- Zapaliłem motor i ruszyłem tą samą zwirowaną drogą,* którą przyjechałem. Byłem zasmucony, ale nie w takim stopniu, w jakim pragnąłby tego doktor Verringer. Wyjechałem przez bramę i zatrzymałem się za zakrętem głównej drogi, tak by nie można było mnie zobaczyć z wejścia. Wsiadłem i ruszyłem brzegiem drogi aż do miejsca, z którego mogłem dostrzec zarys bramy w płocie. Stałem pod drzewem eukaliptusowym i czekałem. Po jakichś pięciu minutach na prywatnej drodze pojawił się samochód, rozpryskując żwir. Zatrzymał się w miejscu, którego nie mogłem zobaczyć stąd, gdzie stałem. Cofnąłem się głębiej w zarośla. Usłyszałem dźwięk przekręcanej zamki i metaliczny brzęk łańcucha. Motor zwiększył obroty i wóz ruszył z powrotem pod górę. Kiedy już go nie było słyhać, wróciłem do mojego Oldsa i zawróciłem w stronę miasta. Przejeżdżając koło wejścia na prywatną drogę doktora Verringera zobaczyłem, że brama była zamknięta łańcuchem z kłódką. Widocznie na dalszych gości nie miał już dziś ochoty.

Rozdział siedemnasty

Przejechałem te trzydzieści parę kilometrów dzielących mnie od miasta i udałem się na lunch: W trakcie jedzenia zacząłem rozmyślać o całej tej sprawie i poczułem się głupio. Nie odnajduje się ludzi w sposób, w jaki ja się do tego zabrałem. Można oczywiście spotkać tak interesujące postacie, jak Earl czy doktor Verringer, ale nie natrafi się na człowieka, którego się szuka. Marnuje się opony, benzynę, elokwencję i energię w rozrywkach nie przynoszących żadnych rezultatów. Z równym powodzeniem mogłem szukać mego człowieka mając trzy nazwiska zaczynające się na literę V, co starać się przechytrzyć ruletkę w Monte Carlo. Pierwsza próba bywa często nieudana - tym razem okazała się po prostu ślepą uliczką; obiecujący trop, który poprowadził donikąd. Ale dlaczego powiedział Slade zamiast Wade? To inteligentny człowiek. Nie mógł zapomnieć tego nazwiska, ale jeśli by już je zapomniał - to całkowicie. Może tak, a może nie. Nie znałem go na tyle. Przy kawie począłem zastanawiać się nad doktorem Vukanichem i doktorem Varleyem. Tak czy nie? Te rozmyślenia zabrałyby mi pewnie większość popołudnia. No, ale z drugiej strony mogło się okazać, że gdy zadzwonię do domu Wade'ów, w Idle Valley, to mi powiedzą, iż głowa domu wróciła do domowych pieleszy i wszystko jest, jak na razie, w najlepszym porządku. Jeśli chodziło o Vukanicha, to sprawa była prosta. Miałem do niego niedaleko. Ale Varley wyjechał i znajdował się gdzieś wśród wzgórz Altadeny. Kawał nudnej drogi w upale. Jechać czy nie? Ostatecznie odpowiedź wypadła na tak. Z trzech przyczyn. Po pierwsze, człowiek nigdy nie wie dość o tym paśmie cienia oddzielającego uczciwe życie od przestępstwa i o ludziach, którzy się na tym obszarze poruszają. Po drugie, jakiegokolwiek wiadomości, które mógłbym dodać do kartoteki przyniesionej mi przez Petersa, byłyby mile widziane i umocniłyby życzliwość dla mojej osoby. Po trzecie, nie miałem nic innego do roboty. Zapłaciłem rachuriek i ruszyłem piechotą do Stockwell Building. Był to budynek starszy i znacznie brudniejszy od tego, w którym ja urzędowałem. W wejściu znajdował się kiosk z cygarami; ręcznie obsługiwana winda szarpała i nie miała ochoty stawać równo z piętrami. Korytarz na szóstym piętrze był wąski, a drzwi miały szyby z mrożonego szkła. Budynek przelewał się od lekarzy, dentyстів i tego rodzaju adwokatów, o których się myśli, że byłoby dobrze, gdyby ich miała strona przeciwna. Miejscowi lekarze i dentyści zapewne ledwo wiązali koniec z końcem. Byli nie za bardzo sprawni, nie za bardzo czyści, nie za bardzo bystrzy, to będzie trzy dolary, zechce je pan wpłacić siostrze; zmęczeni, zniechęceni ludzie, którzy się doskonale orientowali, jaka jest ich sytuacja, na jakich pacjentów mogą liczyć i ile pieniędzy można z nich wycisnąć. Nie Udzielam Kredytu, Lekarz Przyjmuje, Lekarz Jest Nieobecny. No, bardzo się panu rusza ten kieł, panie Kazinski. Jeśli pan chce plombę z akrylu, w niczym nie ustępującą złotej koronce, to mogę ją panu zrobić za czternaście dolarów. Jeśli pan życzy sobie nowokainy, to dojdzie jeszcze dodatkowo dwa dolary. ' W tego rodzaju budynku znajdzie się zawsze paru facetów zarabiających prawdziwe pieniądze, ale nie wyglądających na to. Wtapiają się w to nieciekawe tło, które stanowi dla nich kolor ochronny. Pokątni adwokaci, prowadzący na boku ciemne interesy; różne typy wykonujące skrobanki w lokalach stwarzających wrażenie, że zajmują się uprawianiem szanowanych zawodów; handlarze narkotykami udający, że są urologami, dermatologami lub przedstawicielami jeszcze innych specjalizacji medycznych, które wymagają częstych zabiegów i miejscowego stosowania anestetyków. Doktor Lester Vukanich miał małą i mamie umeblowaną poczekalnię, w której siedziało z dziesięć osób, z niewyraźnymi minami.

Nie było jednak na nich widać żadnych charakterystycznych śladów. Zresztą nic nie wyróżnia

- dobrze prowadzonego narkomana od księgowego-wegetarianina. Musiałem poczekać trzy kwadransy. Pacjenci wchodzili przez dwoje drzwi. Sprawny laryngolog może zajmować się czterema pacjentami naraz, jeśli dysponuje pomieszczeniem dostatecznej wielkości. Wreszcie dostałem się przed oblicze doktora Vukanicha. Zostałem posadzony na brązowym, skórzanym krześle obok przykrytego białym ręcznikiem stołu, na którym leżały narzędzia lekarskie. Przy ścianie gotował się sterylizator. Doktor Vukanich, w białym fartuchu i z okrągłym lustrem przymocowanym do czoła, wszedł energicznym krokiem. Usiadł przede mną.
- - Ból zatok, co? Bardzo pana boli? - Rzucił okiem na kartę, którą mu podała siostra.
- Powiedziałem, że okropnie. Zwłaszcza zaraz po wstaniu rano. Pokiwał głową ze zrozumieniem.
- - Typowe - powiedział i założył szklaną pokrywkę na rzecz, która wyglądała jak pióro wieczne.
- Wepchnął mi to w usta. - Proszę, niech pan zamknie wargi, ale nie zaciska zębów. - Mówiąc to, wyciągnął rękę i zgasił światło. W pokoju nie było okna. Skądś dochodził dźwięk wentylatora. Po chwili wyciągnął przyrząd i zapalił światło. Spojrzał na mnie uważnie.

- Nie ma pan żadnego zagęszczenia. Jeśli pan cierpi na bóle głowy, to nie są one spowodowane zatokami. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że nigdy w życiu nie cierpiał pan na zatoki. Miał pan natomiast kiedyś operację septum.
- Tak, doktorze. Kopnięto mnie w trakcie gry w piłkę nożną.

- Pokiwał głową. - Powinni byli wyciąć jeszcze kawałek kości. Na szczęście nie ma tego tyle, by mogło to panu przeszkadzać w oddychaniu. Objął rękami kolano i zapytał: - Czego właściwie pan oczekuje ode mnie? - Miał szczupłą, nieprzyjemnie bladą twarz. Wyglądał jak biały, gruźliczy szczur.

- Chciałem porozmawiać z panem na temat mojego przyjaciela pisarza. Jest z nim niedobrze. Ma dużo pieniędzy, ale znajduje się w złym stanie nerwów. Potrzebuje pomocy. Całymi dniami żyje tylko na środkach. Brak mu czegoś dodatkowego, co by mogło mu przynieść ulgę. Jego własny doktor odmówił dalszej współpracy.
- A co pan właściwie rozumie pod słowem „współpraca”? - spytał.
- Po prostu mój przyjaciel potrzebuje od czasu do czasu zastrzyku, ażeby się uspokoić. Pomyślałem, że moglibyśmy coś wymyślić. Dobre honorarium byłoby zapewnione.
- Bardzo mi przykro, proszę pana. Nie zajmuję się tego rodzaju sprawami. - Wstał. - Pozwoli - pan sobie powiedzieć, iż pańskiej propozycji brak finezji. Naturalnie pański przyjaciel może przyjść do mnie po poradę. Ale tylko wtedy, jeśli ma rzeczywiście jakąś dolegliwość wymagającą leczenia. Jest pan winien dziesięć dolarów.

- - Dajmy temu spokój, doktorze. Jest pan w kartotece. Doktor Vukanich oparł się o ścianę i zapalił papierosa.
- Dawał mi trochę czasu. Wydmuchiwał dym i przyglądał się smugom. Wręczyłem mu wobec tego mój bilet wizytowy, żeby mu się przyjrzał. Zrobił to.
- - O jakiej kartotece pan mówi? - spytał.
- O takiej, w której znajdują się specjaliści od zakratowanych okien. Myślę, iż niewykluczone, iż mój przyjaciel już jest u pana. Nazywa się Wadę. Może trzyma pan go gdzieś w czystym, białym pokoju. Facet zniknął z domu.
- Jest pan durniem - oświadczył doktor Vukanich. - Nie bawię się w groszowe sprawy typu czterodniowych kuracji antyalkoholowych. Są one w gruncie rzeczy bezwartościowe. Nie posiadam czystych, białych pokojów i nie znam pańskiego przyjaciela, którego nazwisko pan wymienił, przyjmując oczywiście, że on w ogóle istnieje.
-
- Płaci pan dziesięć dolarów, gotówką, na miejscu. Albo może pan woli, bym wezwał policję i poskarżył się, iż namawia mnie pan do sprzedaży narkotyków.
- To świetny pomysł - odparłem. - Powinien pan tak zrobić.
- Jest pan podrzędnym kombinatorem i niech się pan stąd wynosi.
- Podniosłem się z krzesła. - Musiałem się pomylić, doktorze. Ostatnim razem, kiedy facet, o którego mi chodzi, dał dyla, ukrywał się u jakiegoś doktora, którego nazwisko zaczyna się na V. Cała ta historia została przeprowadzona całkowicie potajemnie. Zabrali go późnym wieczorem, a kiedy mu minął atak, odwieźli go w ten sam sposób. Nawet nie zczekali, by zobaczyć, jak wchodzi do domu. Więc kiedy znów wyrwał się z domowego ogniska i przez dłuższy czas go nie było, zajrzeliśmy do naszej kartoteki, by zobaczyć, czy nie ma tam czegoś, co mogłoby naprowadzić nas na ślad. Znaleźliśmy trzech doktorów, których nazwiska zaczynają się na V.
- - To ciekawe - powiedział doktor Vukanich z kwaśnym uśmiechem. Ciągle jeszcze dawał mi czas. - A na jakiej zasadzie została dokonana ta selekcja?
- Przyglądałem mu się uważnie. Prawą ręką gładził sobie lewe ramię. Twarz miał lekko spoconą.

- Przykro mi, doktorze. Nie ujawniamy tego rodzaju rzeczy.
- Bardzo przepraszam, ale będę musiał na chwilę wyjść. Mam innego pacjenta, który...

- Nie dokończył zdania i wyszedł. Przez drzwi ukazała się głowa siostry. Popatrzyła na mnie i zniknęła z powrotem. Po chwili wmaszerował doktor Vukanich - wyraźnie odprężony. Miał rozjaśnione oczy i pogodny uśmiech.
- - Co? Jeszcze pan tutaj? - Wyglądał albo może tylko udawał, iż jest bardzo zdziwiony. - Wydawało mi się, że nasze spotkanie dobiegło końca.

- Właśnie wychodzę. Sądziłem, że pragnął pan, bym poczekał.
- Zaśmiał się. - Wie pan co? Żyjemy w niezwykłych czasach. Za marne pięćset dolarów mógłbym spowodować, by pan znalazł się w szpitalu z połamanymi kośćmi. To zabawne, nie sądzi pan?
- Można umrzeć ze śmiechu - odparłem. - Strzelił pan sobie w żyłę, doktorze, co? Poweselał pan jak cholera.

- Ruszyłem. - Hasta luego, amigo - pożegnał mnie pogodnie doktor. - Niech pan nie zapomni o moich dziesięciu dolarach. Przyjmie je siostra. Kiedy wychodziłem, stał przy interkomie i coś mówił. W poczekalni siedziało te same albo takie same dwanaście osób z niewyraźnymi minami. Siostra nie zasypiała gruszek w popiele.
- - Czy mogę pana poprosić o dziesięć dolarów? Pobieramy honorarium w gotówce na miejscu.
- Pomaszerowałem wzdłuż szeregu stłoczonych nóg w stronę drzwi. Zerwała się z krzesła i obleciała biurko. Otworzyłem drzwi.

- A co się stanie, jak pani tych pieniędzy nie dostanie? - spytałem.
- Przekona się pan - odpowiedziała ze złością.
- Jasne. Pani tylko wykonuje swoją pracę..Tak samo, jak ja. Niech pani zerknie na bilet wizytowy, który zostawiłem, i zobaczy pani, czym się zajmuję.

- Wyszedłem. Pacjenci w poczekalni przyglądali mi się z wyrazem dezaprobaty w oczach. Jak można tak traktować doktora!

-

Rozdział osiemnasty

Doktor Amos Varley - to było zupełnie coś innego. Posiadał duży, stary dom w dużym, starym ogrodzie z dużymi, starymi dębami, które go ocieniały. Ta masywna budowla miała szereg werand, nad którymi znajdowały się ażurowe ozdoby. Balustrady wokół werand były zbudowane z kolumniek podobnych do nóg staromodnych fortepianów. Parę starszych i mizernie wyglądających osób, otulonych w koce, siedziało na leżakach. Szerokie drzwi wejściowe ozdabiała witraże. Hall był przestronny i chłodny, a na wyfroterowanym parkiecie nie można było dostrzec ani jednego chodnika. Altadena jest w lecie bardzo gorąca. Leży tuż obok wzgórz i oceaniczna bryza przechodzi ponad nią. Jeszcze nie tak dawno temu ludzie umieli budować domy dostosowane do tego klimatu. Siostra w szeleszczącym, białym stroju wzięła mój bilet wizytowy i po pewnym czasie dowiedziałem się, że doktor Amos Varley łaskawie się zgodził, by się ze mną zobaczyć. Był to duży, łysy facet z pogodnym uśmiechem. Jego długi, biały kitel był nieskazitelnie czysty; chodził bezszelestnie w butach na podszewkach ze słoniny..

- Czym mogę panu służyć? - spytał. Miał głęboki, miękki głos, którym uśmierzał ból i napełniał otuchą stroskane serca. Jest przy was doktor, nie ma się czym martwić, wszystko będzie dobrze. Ten uspokajający sposób bycia tryskał z niego jak z fontanny. Był znakomity - i twardy jak płyta pancerna.
- Doktorze, szukam człowieka o nazwisku Wade, zamożnego alkoholika, który zniknął ze swego domu. Na podstawie uprzednich doświadczeń należy przypuszczać, że zaszył się w jakimś dyskretnym zakładzie, gdzie się nim umiejętnie zajmują. Jediną wskazówką, jaką dysponuję, jest pisemna wzmianka o jakimś doktorze V. Pan jest trzecim doktorem V, z którym nawiązuję kontakt i zaczynam już odczuwać zniechęcenie.
- Uśmiechnął się z wyrozumiałością. - Zaledwie trzecim? Z pewnością w Los Angeles i jego okolicach jest ze stu doktorów, których nazwiska zaczynają się na V.
- Nie wątpię, ale niewielu z nich ma do swej dyspozycji pokoje z zakratowanymi oknami. Zauważyłem, że jest tu parę takich okien z boku domu.
- Starzy ludzie - powiedział doktor Varley ze smutkiem w głosie, ale był to głos pełen namaszczenia - samotni, starzy ludzie, przygnębieni i nieszczęśliwi, starzy ludzie... Czasami...; - zrobił wymowny ruch ręką, następnie zatoczył nią łuk, zatrzymał przez chwilę w powietrzu, po czym łagodnie opuścił ruchem, przypominającym opadanie martwego liścia na ziemię. - Nie leczę tu alkoholików - dodał sucho. - A teraz, jeśli pan pozwoli...
- Przykro mi, doktorze. Po prostu znalazł się pan, nie wiem dlaczego, w naszej kartotece. Zapewne przez pomyłkę. Zdaje się, że chodziło o jakieś kłopoty parę lat temu, związane z Biurem Kontroli Narkotyków.
- Co takiego? - Wyglądał na zdziwionego, po czym coś jakby sobie przypomniał. - A tak,

owszem, miałem tu takiego asystenta, którego niepotrzebnie zatrudniłem. Pracował zresztą bardzo krótko. Poważnie nadużył mego zaufania. Przykra sprawa.

- Mam inne wiadomości na temat tej sprawy - oświadczyłem. - Być może jestem mylnie poinformowany.
- A co panu powiedziano? - Ciągle jeszcze grał na pełny regulator, włącznie z uśmiechem i namaszczonym tonem.
- Że żądano od pana książki kontrolnej recept na narkotyki.

- To go trochę ruszyło. Nie żeby się skrzywił, ale odpadło z niego tych pierwszych parę warstw wdzięku. W jego stalowoniebieskich oczach pojawił się zimny błysk. - Z jakiego źródła pochodzą te fantastyczne wiadomości?

- Od dużej agencji detektywistycznej, która ma możliwości gromadzenia tego rodzaju danych w swych kartotekach.
- Jakaś banda nędznych szantażystów.
- Nie takich nędznych, doktorze. Ich podstawowa stawka wynosi sto dolarów dziennie. A wszystkim kieruje były pułkownik żandarmerii. To nie pętał szukający paru groszy. Ma bardzo mocną pozycję.
- Powiem mu, co o tym myślę - doktor Varley oświadczył z niesmakiem. - Jak się nazywa? - Gdzieś nagle zniknęły jego wielkoświatowe maniery. Wieczór robił się chłodny.
- To są, doktorze, poufne sprawy. Ale niech pan sobie z tego nic nie robi. Po prostu samo życie. Nazwisko Wadę nic panu zapewne nie mówi, co?
- Jestem przekonany, że trafi pan sam do wyjścia, panie Marlowe.

- Za jego plecami otworzyły się drzwi małej windy. Wyszła z niej siostra, popychając przed sobą fotel na kółkach. Tkwiło w nim to, co zostało ze złamanego, starego człowieka. Siedział z zamkniętymi oczyma, a jego skóra miała sinawe zabarwienie. Był dobrze opatulony. Siostra przetoczyła go bezszelestnie po wyfroterowanej podłodze i zniknęła za bocznymi drzwiami. Varley powiedział ściszym głosem:

- - Starzy ludzie. Chorzy, starzy ludzie. Samotni, starzy ludzie. Niech pan się tu więcej nie pojawia. Mogłoby to mnie zirytować. A zirytowany staję się raczej nieprzyjemny. Dodam, że nawet bardzo nieprzyjemny.
- ~ Rozumiem, doktorze. Dziękuję za czas, który mi pan poświęcił. Ten pański dom to niezła umieralnia.

- Co pan powiedział? - Zrobił krok w moim kierunku, zupełnie już przestał pozorować ugrzecznienie; rysy twarzy wyraźnie mu stężały.
- Czym pan tak się zdenerwował? Widać przecież, że nie ma tutaj człowieka, o którego mi chodzi. Nie szukam nikogo, kto byłby za słaby, by się móc oprzeć. Chorzy, starzy ludzie.

Samotni, starzy ludzie. Pan to sam powiedział, doktorze. Niepotrzebni, starzy ludzie, ale posiadający pieniądze i chciwych spadkobierców. Na pewno w większości wypadków sąd postanowił, że są niezdolni do zajmowania się swoimi sprawami.

- Zaczynam się irytować - przerwał Varley.
 - Lekka dieta, łagodne środki uspokajające, ściśle określone zabiegi terapeutyczne. Wystawia się ich na słońce, a potem pakuje z powrotem do łóżka. Zakłada się kraty w niektóre okna na wypadek, gdyby zostało w nich jeszcze trochę energii i chęci życia. Na pewno wszyscy bez wyjątku uwielbiają pana, doktorze. Umierają, trzymając pana za rękę i widząc smutek w pańskich oczach. Oczywiście jest on autentyczny.
 - Niewątpliwie tak - warknął niskim głosem. Ręce zacisnęły mu się w pięści. Powinienem być dać już spokój, ale przyprawiał mnie o mdłości.
 - Jasne - ciągnąłem. - Kto ma ochotę stracić dobrze płacącego klienta. Zwłaszcza takiego, o którego nie trzeba się nawet specjalnie starać.
 - Ktoś musi to robić - odparł doktor. - Ktoś się musi zajmować tymi smutnymi, starymi ludźmi.
 - Ktoś musi też czyścić kloaki. W gruncie rzeczy, to nawet uczciwa, przyzwoita praca. Kiedy moje zawodowe zajęcia sprawiają, że poczuję się jak łobuz, pomyślę o panu. Doda mi to na pewno otuchy.
 - Ty wstrętny bydlaku - zasyczał Varley, zaciskając swoje piękne, białe zęby. - Powinienem skrócić ci kark. Zajmuję się uczciwym działem uczciwej profesji.
 - Tak - popatrzyłem na niego ze znużeniem. - Tylko że to cuchnie śmiercią.
-
- Nie uderzył mnie, więc ruszyłem do wyjścia. Kiedy doszedłem do drzwi, spojrzałem za siebie. Nadal stał w tym samym miejscu. Czekало go poważne zadanie - musiał znów wrócić do swojej poprzedniej roli.

Rozdział dziewiętnasty

Pojechałem do Hollywood, czując się zupełnie wypluty. Było za wcześnie i za gorąco, by jeść. Włączyłem wiatrak w biurze. Powietrze nie zrobiło się dzięki temu chłodniejsze, tyle że nie stało w miejscu. Na zewnątrz, na bulwarze, trwał nieustający ruch. Natomiast wewnątrz mej głowy myśli były tak lotne, jak muchy na lepie. Trzy próby i trzy niewypały. Po prostu miałem do czynienia ze zbyt wielką ilością doktorów. Zadzwoiłem do Wade'ów. Ktoś z meksykańskim akcentem podniósł słuchawkę i powiedział, że pani Wade nie ma w domu. Zapytałem o pana Wade. Również go nie było. Zostawiłem swoje nazwisko. Zostało prawidłowo powtórzone. Człowiek po drugiej stronie powiedział, że jest służącym. Zadzwoiłem do George'a Petersa z Organizacji Carne'a. Może wiedział o jeszcze jakichś innych lekarzach. Nie było go. Zostawiłem nieprawdziwe nazwisko i prawdziwy numer telefonu. Minęła godzina z szybkością chorego zółwia. Czułem się jak ziarnko piasku na pustyni zapomnienia. Albo jak kowboj przed

walką - bez amunicji. Trzy próby i trzy niewypały. Nienawidzę tych trójkowych sekwencji. Udajesz się do pana A-nic. Udajesz się do pana B - nic. Udajesz się do pana C - rezultat podobny. A po tygodniu okazuje się, że trzeba było udać się do pana D. Tyle że nie wiedziałeś, iż on w ogóle istnieje, a w momencie, gdy go wreszcie wykryłeś, klient zmienił zdanie i wycofał się ze sprawy.

- Doktor Vukanich i doktor Varley zostali skreśleni. Varley zarabiał za wiele szmalu, by zawracać sobie głowę alkoholikami, a Vukanich był normalnym, dużo ryzykującym łobuzem, prowadzącym działalność w swym gabinecie. Jego pomocnica musiała być w tym zorientowana. Niektórzy pacjenci musieli też wiedzieć. Do wykończenia go wystarczył tylko jeden niezadowolony człowiek i jeden telefon. Wadę, obojętnie czy pijany, czy trzeźwy, trzymałby się od takiego typu z dala, jak od zarazy. Może nie był najinteligentniejszym facetem na świecie - wielu ludzi, którym się wiedzie w, życiu, nie należy do intelektualnej elity - ale nie mógł być na tyle głupi, by zadawać się z Vukanichem. Mógł to być jedynie doktor Verringer. Dysponował dwoma walorami: jego zakład leżał na uboczu i było tam dużo przestrzeni. Miał też chyba dostateczną ilość cierpliwości. Ale do Sepulveda Canyon było od Idle Valley bardzo daleko. Gdzie więc znajdował się ten punkt przecięcia? Na jakiej zasadzie się poznali? A jeśli Verringer był właścicielem tej posiadłości i miał na nią kupca, to wkrótce powinien stać się całkiem zamożnym człowiekiem. To mi podsunęło pewien pomysł. Zadzwoń do znajomego gościa w Urzędzie do Spraw Nieruchomości, by dowiedzieć się, jak wygląda sprawa z posiadłością Verringera. Nikt jednak nie podnosił słuchawki. Urząd już skończył urzędowanie. Wobec tego i ja zakończyłem i pojechałem do La Cienaga do „Bar-B-Q”, knajpy Rudy’ego. Podałem swoje nazwisko szefowi sali i zacząłem czekać na ten podniosły moment, kiedy siądę na stołku barowym ze szklanką czystej whisky w ręce i posłucham walców Marka Webera. Po pewnym czasie zostałem wpuszczony za aksamitny sznur i zabrałem się do jednego ze „światowej sławy” steków Salisbury, które były specjalnością Rudy’ego. Jest to po prostu hamburger na kawałku opalonego drzewa z przyrumienionym piure kartoflanym, obłożony plasterkami przysmażonej cebuli, z dodatkiem surówki, którą mężczyźni zjadają w restauracjach bez słowa skargi; gdyby dostali coś takiego od żony, toby natychmiast zaczęli protestować. Zjadłem i pojechałem do domu. Kiedy otwierałem drzwi, zadzwonił telefon.

- Tu Eileen Wadę. Chciał pan, żebym do pana zadzwoniła.
- Po prostu pragnąłem się dowiedzieć, czy nic się u pani nie wydarzyło. Cały dzień rozmawiałem z doktorami, ale jakoś z żadnym z nich się nie zaprzyjaźniłem.
- Nie, nic. Bardzo mi przykro. Mąż się nie pojawił, jak na razie. Niepokoję się coraz bardziej. Pewnie i pan nie ma mi nic do powiedzenia. - Mówiła cichym, zgaszonym głosem.
- To duży, gęsto zaludniony kraj, proszę pani.
- Dziś wieczorem będzie cztery dni.
- To prawda, ale to nie jest tak dużo.
- Dla mnie to dużo. - Przez chwilę milczała. - Wiele rozmyślałam i starałam się coś sobie przypomnieć, jakąś uwagę czy aluzję, która by mogła panu pomóc. Roger bardzo dużo rozprawia na różne tematy.

- Czy nazwisko Verringer nic pani nie mówi?
- Nie, obawiam się, że nie. A czy powinno?
- Wspomniała pani, że mąż został kiedyś odstawiony do domu przez wysokiego mężczyznę w kowbojskim stroju. Czy poznałaby pani tego wysokiego mężczyznę, gdyby go pani teraz zobaczyła?
- Może by mi się to udało - odparła z wahaniem - pod warunkiem, że okoliczności byłyby podobne. On mi tylko mignął przed oczyma. Czy nazywa się Verringer?
- Nie, proszę pani. Verringer to mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, który prowadzi, a - mówiąc dokładnie - prowadził rodzaj pensjonatu na swym ranczo w Sepulveda Canyon. Zatrudnia tam takiego przebierańca, który ma na imię Earl. Verringer każe się nazywać doktorem.

- To znakomicie - powiedziała. - Jest pan chyba na właściwym tropie.
- Mogę się bardziej wygłupić niż kominiarz na plaży. Zadzwonię do pani, kiedy będę wiedział coś bliższego. Chciałem się po prostu upewnić, że Roger nie wrócił i że pani nie przypominała sobie czegoś bardziej konkretnego.
- Zdaję sobie sprawę, że niewiele panu pomogłam - zauważyła melancholijnie. - Proszę, niech pan mi da znać, gdy się pan czegoś dowie, niezależnie od pory.

- Obiecałem jej to i zakończyliśmy rozmowę. Wziąłem broń i dużą latarkę. Używałem małego rewolweru kalibru 32, o krótkiej lufie i płasko ściętych pociskach. Earl mógł mieć jeszcze inne zabawki oprócz mosiężnego kastetu. A jeśli tak, to miał dostatecznie pomieszane w głowie, by się nimi pobawić. Wjechałem na autostradę i przycisnąłem gaz prawie do deski. Noc była bezksiężycowa i spodziewałem się, że gdy dotrę do wjazdu na posiadłość doktora Verringera, będzie już ciemno. Tego mi było potrzeba. Brama była ciągle zamknięta kłódką na łańcuchu. Pojechałem dalej i zaparkowałem wóz z dala od autostrady. Pod drzewami było jeszcze dość widno, ale już wkrótce miało się ściemnić. Przelazłem przez bramę i ruszyłem w górę zboczem pagórka, rozglądając się za jakąś ścieżką. Wydawało mi się, że z głębi doliny doszedł mnie głos skowronka. Gdzieś melancholijnie zagruchał gołąb, protestując przeciwko smutkom życia. Jakoś nie mogłem znaleźć ścieżki, może zresztą jej nie było, więc zszedłem na dół i pomaszerowałem brzegiem drogi. Eukaliptusy ustąpiły miejsca dębom i wkrótce znalazłem się po drugiej stronie pagórka. W dali widać było parę świateł. Zeszło mi ze trzy kwadransy, nim dotarłem do basenu i kortu tenisowego, skąd już mogłem zobaczyć główny budynek na końcu drogi. Był jasno oświetlony; dochodziły z niego dźwięki muzyki. Nieco dalej wśród drzew dostrzegłem światło w jednym z domków. Ruszyłem teraz ścieżką, gdy nagle na tyłach tego domku został zapalony reflektor. Stałem jak wryty. Reflektor skierowany był jednak tak, by oświetlić tylny ganek i przylegający teren. Drzwi na ganek otworzyły się z trzaskiem i wyszedł z nich Earl. Natychmiast zorientowałem się, że dotarłem do właściwego miejsca. Earl był dziś kowbojem, a to właśnie kowboj odwiózł Rogera Wade'a do domu. Teraz bawił się lassem. Ubrany był w czarną koszulę wystębnowaną białymi nićmi, a wokół szyi luźno zawiązał chustę w kropki. Z szerokiego, skórzanego pasa, bogato nabijanego srebrem, zwisały mu dwa olstra, z których wyglądały oprawione w kość słoniową rękojeści rewolwerów. Na nogach miał

eleganckie spodnie do konnej jazdy i nowe, lśniące buty, ozdobnie przesyte białym, krzyżkowym ścięciem. Na tył głowy nasadził białe sombrero; na koszuli zwisało mu coś, co wyglądało jak srebrne sznury. Stał samotnie w białym świetle reflektora, wchodząc i wychodząc z kręgu wirującego lasso. Aktor bez widowni. Wysoki, szczupły i przystojny kowboj na niby, dający pokaz dla siebie samego i - rozkoszujący się tym. Dwuręczny Earl, Postrach Nevady. Pasował do jednego z tych pseudorancz przyjmujących gości, w których wszystko jest tak pod znakiem konia, że nawet dziewczyna obsługująca centralkę telefoniczną nosi w pracy buty do konnej jazdy. Nagle usłyszał, czy tylko udawał, że usłyszał, jakiś hałas. Upuścił lasso, wyciągnął rewolwery z olster i kciukami odciągnął kurki. Wpatrywał się w ciemność. Nie śmiałem się ruszyć. Te przeklęte rewolwery mogły być naładowane. Był jednak oślepiiony światłem reflektora i nic nie widział. Wpuścił rewolwery z powrotem do olstrów, zebrał niedbale lasso i wszedł do domu. Światło zgasło, a ja ruszyłem dalej. Idąc między drzewami dotarłem do domku na zboczu, w którym paliło się światło. Nie dochodził z niego żaden dźwięk. Zajrzałem do środka przez szparę w okiennicach. Wnętrze było oświetlone lampą stojącą na nocnym stoliku. Jakiś facet leżał na wznak w łóżku, całkiem rozluźniony, z rękami na kołdrze; szeroko rozwartymi oczyma wpatrywał się w sufit. Sprawiał wrażenie dużego mężczyzny. Twarz miał częściowo w cieniu, ale mogłem dostrzec, że był blady i miał spory zarost. Rozpostarte palce zwisały mu po obu stronach łóżka. Musiał już tak leżeć bez ruchu wiele godzin. Usłyszałem kroki - ktoś nadchodził ścieżką z drugiej strony domku. Skrzypnęły drzwi i ukazała się masywna postać doktora Verringera. Trzymał w ręku coś, co wyglądało jak duża szklanka soku pomidorowego. Zapalił stojącą lampę. W jej świetle zabłysła jego żółta, hawajska koszula. Facet w łóżku nawet nie spojrzał na niego. Doktor postawił szklankę na stoliku nocnym, przysunął sobie krzesło i usiadł. Wziął mężczyznę za rękę i zaczął szukać pulsu. - Jak się pan teraz czuje, panie Wadę? - spytał uprzejmym, współczującym głosem. Człowiek na łóżku zachowywał się tak, jakby go nie usłyszał. Bez słowa wpatrywał się w sufit.

- No, proszę pana, nie ma sensu się dąsać. Pański puls jest tylko trochę przyspieszony. Jest pan słaby, ale poza tym...
- Tedzy - człowiek w łóżku niespodziewanie się odezwał - powiedz mu, że skoro wie, jak się czuję, to sukinsyn nie musi się wysilać, by mnie o to pytać. - Miał przyjemny, czysty głos, ale brzmiała w nim gorycz.
- Kto to jest Tedzy? - cierpliwie spytał Verringer.
- - Mój rzecznik. Znajduje się tam, w górnym rogu. Doktor uniósł wzrok. - Widzę tylko małego pająka - powiedział. - Niech pan przestanie grać. Nie potrzebuje pan tego robić w stosunku do mnie. - Tegenaria domestica, zwykły domowy pająk, przyjacielu. Lubię pająki. Prawie nigdy nie noszą hawajskich koszul.
- Doktor Verringer zwilżył wargi. - Nie mam czasu na żarciki, proszę pana.
- - Tedzy nie jest żadnym żartem. - Wadę z wolną obrócił głowę tak, jakby mu ogromnie ciążyła, i patrzył z pogardą na lekarza. - Tedzy jest śmiertelnie poważna. Podkrada się do człowieka i kiedy ten nie patrzy, wykonuje błyskawiczny, bezszelestny skok. Po chwili jest całkiem blisko. Jeszcze jeden skok i - zostaje pan wyssany, doktorze. Całkowicie. Tedzy pana

nie zjada. Po prostu wysysa tak długo, aż zostaje tylko skóra i kości. Jeśli ma pan zamiar nadal nosić tę koszulę, to czym szybciej to nastąpi, tym lepiej.

- Doktor Verringer wyciągnął się w krześle. - Potrzebuję pięciu tysięcy dolarów - powiedział spokojnie. - Kiedy mógłbym je otrzymać?
- Dostał pan sześćset pięćdziesiąt dolców - rzucił ze złością Wadę. - I wszystkie drobne, które miałem. No, ileż mam jeszcze dopłacić za ten burdel?
- To, co pan wpłacił, stanowi zaledwie zaliczkę - odparł doktor. - Powiedziałem panu, że opłaty poszły w górę.
- Ale nie powiedział pan, iż weszły na orbitę.
- Niech pan przestanie spierać się ze mną - sucho przerwał mu Verringer. - Nie znajduje się pan w sytuacji, w której mógłby pan sobie pozwolić na tego rodzaju żarty. A ponadto nadużył pan mego zaufania.
- - Nie wiedziałem, że pan coś takiego posiada. Doktor Verringer zabębnił palcami w oparcie fotela. - Zadzwoił pan do mnie w środku nocy. Był pan zdesperowany i oświadczył mi pan, że pan się zabije, jeśli nie przyjadę. Nie chciałem tego zrobić z wiadomej panu przyczyny. Nie mam zezwolenia uprawniającego do praktykowania medycyny w tym stanie. Staram się pozbyć tej posiadłości w taki sposób, by jej w całości nie utracić. Muszę się opiekować Earlem, a wygląda na to, że wchodzi w gorszy okres. Powiedziałem, iż kuracja będzie pana kosztowała dużo pieniędzy. Pan w dalszym ciągu nalegał, więc w końcu przyjechałem. A teraz chciałbym otrzymać moje pięć tysięcy dolarów.
- Byłem na bani - powiedział Wadę. - Nie może pan żądać, bym się wywiązał z umowy zawartej w takim stanie. Przecież, do cholery, to, co pan otrzymał, stanowi już i tak więcej niż pańskie honorarium.
- A poza tym - ciągnął wolno doktor Verringer - wymienił pan moje nazwisko. Powiedział pan swojej żonie, że przyjeżdżam po pana.
- Wadę wydawał się zdziwiony. - Nie zrobiłem nic podobnego - odparł. - Nawet się z nią nie widziałem, bo już spała.
- No, więc musiało to mieć miejsce przy jakiejś innej okazji. Przyjechał tu prywatny detektyw i rozpytywał o pana. Gdyby mu nie powiedziano, nie potrafiłby sam tu trafić. Wyprawiłem go z kwitkiem, ale może się jeszcze pojawić. Musi pan wrócić do domu. Ale najpierw chciałbym otrzymać moje pięć tysięcy dolarów.
- Pan nie należy do najbystrzejszych, doktorku. Gdyby moja żona wiedziała, gdzie jestem, to

po co byłby jej detektyw? Mogłaby sama przybyć - zakładając oczywiście, że naprawdę by jej na tym zależało. Mógłby też z nią pojechać Candy, nasz służący. Zanim pański amant zdecydowałby się, w jakim filmie gra w danym momencie, Candy zrobiłby z niego gulasz po węgiersku.

- Ma pan paskudny język, Wadę. I taki sam umysł.
- Posiadam też paskudne pięć tysięcy dolarów. Niech pan spróbuje się do nich dobrać, doktoru.
- Wypisze mi pan czek - powiedział stanowczym głosem doktor Verringer. - Teraz, zaraz. A później proszę się ubrać, Earl zawiezie pana do domu.
-
- - Czek? - Wadę o mało się nie roześmiał. - Świetnie, dam panu czek. No i co panu z niego przyjdzie?
- Verringer lekko się uśmiechnął. - Panu się wydaje, że nie dopuści pan do wypłaty. Ale to się panu nie uda. Zapewniam pana, że nie.
- - Ty spasiony oszuście! - wrzasnął Wadę.
- Doktor potrząsnął głową. - W niektórych sprawach, tak. Ale nie we wszystkich. Mam złożony charakter, jak większość ludzi. Earl zawiezie pana do domu.
- - Nie ma mowy. Na widok tego chłoptasia dostaję wysypki.
- Verringer spokojnie wstał, nachylił się i poklepał go po ramieniu. - Dla mnie, panie Wadę, Earl jest całkiem nieszkodliwy. Znam sposoby, jakimi należy go poskramiać.
- Niech pan wymieni choćby jeden - powiedział jakiś obcy głos i w drzwiach pojawił się Earl w kowbojskim ubiorze. Doktor obrócił się w jego stronę z uśmiechem na twarzy.
- Niech ten psychopata nie podchodzi do mnie! - krzyknął Wadę, po raz pierwszy okazując strach.
- Earl oparł ręce na swym ozdobnym pasie. Twarz miał całkiem bez wyrazu. Z ust dobywał mu się cichy, syczący dźwięk. Wolno wszedł do pokoju. - *i* Nie powinien był pan tego mówić - rzucił Verringer i obrócił się w stronę Earla. - W porządku, Earl. Panem Wadę zajmę się sam. Pomogę mu się ubrać, a ty w tym czasie podstaw wóz jak najbliżej domku. Pan Wadę jest bardzo słaby.
- I będzie jeszcze znacznie słabszy - odparł Earl świszczącym głosem. - Z drogi, grubasie.
- Słuchaj, Earl... - Verringer złapał za ramię przystojnego młodzieńca - chyba nie chcesz wrócić do Camarillo, co? Jedno słowo i...

- Tylko tyle zdążył powiedzieć. Earl wyrwał mu się, a jednocześnie zamachnął się prawą ręką, w której błysnął mosiężny kastet. Trafił doktora w szczękę. Ten runął, jak podcięty. Cały domek zatrzęsł się od jego upadku. Zacząłem biec. Dopadłem drzwi i rozwarłem je z rozmachem. Earl okręcił się na pięcie i lekko pochylony do przodu patrzył w moją stronę, nie poznając mnie. Z ust wydobywały mu się nieartykułowane dźwięki. Ruszył błyskawicznie w moim kierunku. Wyszarpnąłem rewolwer. Nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Albo jego własne rewolwery nie były nabite, albo całkiem o nich zapomniał. Zupełnie mu wystarczył kastet. Ciągle szedł w moim kierunku. Strzeliłem przez otwarte okno - ponad łóżkiem. Huk wystrzału wypełnił pokój. Earl stanął jak skamieniały. Obrócił głowę i popatrzył na dziurę w okiennicy. Po czym przeniósł wzrok na mnie. Powoli jego twarz nabrała wyrazu - zaczął się uśmiechać.

- Co tu się zdarzyło? - spytał przytomniejąc.
- Rzuć kastet - powiedziałem, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.
- Ze zdumieniem spojrzął na swoją rękę. Zdjął kastet i rzucił go niedbale w róg.
- A teraz pas z rewolwerami. Nie dotykaj rewolwerów, tylko rozepnij pas.
- Nie są naładowane - powiedział z uśmiechem. - Przecież to nie są prawdziwe rewolwery, tylko atrapy teatralne.
- No, zrzucaj pas. Szybko.
- Popatrzył na mój krótkolufy 32 - To prawdziwe? No, naturalnie, że tak. Okiennica. Jasne, okiennica. Wade'a już nie było na łóżku. Stał za Earlem. Szybkim ruchem wyciągnął mu z olstra jeden z błyszczących rewolwerów. Earlowi bardzo się to nie spodobało. Można to było wyczytać z jego twarzy.
- - Niech go pan zostawi w spokoju - rzuciłem zirytowany.
- Powiedział prawdę - stwierdził Wade. - To są atrapy. - Cofnął się i położył rewolwer na stole. - Chryste, jestem słaby jak mały kociak.
- Zdejmij pas - nakazałem Earlowi po raz trzeci. Kiedy się zaczyna coś z takim typem jak on, to trzeba to doprowadzić do końca. Wszystko musi być powiedziane prosto i nie należy zmieniać decyzji.

- Wreszcie zrobił to, co mu kazałem, bez najmniejszej zresztą niechęci. Po czym, trzymając pas, podszedł do stołu, wziął drugi rewolwer, schował go do olstra i nałożył z powrotem pas. W tym właśnie momencie Earl dostrzegł doktora Verringera na podłodze pod ścianą. Westchnął z przejęciem, szybkim krokiem przeszedł pokój, przyniósł z łazienki dzbanek z wodą i chlusnął ją na głowę leżącego. Doktor prychnął parę razy i przewrócił się na bok. Zaczął jęczeć i chwycił się za szczękę. Powoli się podnosił. Earl mu w tym pomagał.
- - Bardzo mi przykro, doktorze. Widocznie uderzyłem pana odruchowo.
- . - Nie ma co robić tragedii, nic nie jest złamane - odparł Verringer, nakazując mu ruchem ręki, by szedł. - Przyprowadź tu wóz, Earl. I nie zapomnij wziąć klucza do kłódki przy bramie.
- - Mam przyprowadzić wóz tutaj, dobrze. Zaraz się zrobi. Klucz do kłódki. Rozumiem. Już się robi, doktorze.
- Wyszedł z pokoju, pogwizdując. Wadę siedział na brzegu łóżka; wyglądał marnie. - Pan jest tym detektywem, o którym Verringer wspominał? - spytał mnie. - Jak pan mnie odnalazł?
- - Po prostu szukam wiadomości u ludzi, którzy się w tych sprawach orientują - odparłem. - Jeśli pan chce wracać do domu, to niech pan się ubiera.
- Doktor Verringer stał oparty o ścianę i masował sobie szczękę. - Pomogę mu - powiedział. - Staram się pomagać ludziom, a oni w podzięcie wymierzają mi kopniaki. Powiedziałem, że świetnie go rozumiem, i wyszedłem, zostawiając ich samych.

Rozdział dwudziesty

Kiedy wyszli, wóz znajdował się w pobliżu, ale Earla nie było. Przyprowadził wóz, zgasił światła i pomaszerował do dużego domu bez słowa. Słysząc było, jak gwizdał, starając się przypomnieć sobie jakąś melodię. Wadę ostrożnie umiejscowił się z tyłu, a ja usiadłem obok niego. Prowadził Verringer. Niczym nie dał poznać po sobie, że rwie go szczeka i boli cała głowa. Przejechaliśmy grzbiet i zbliżaliśmy się do końca zwirowanej drogi. Earl musiał być przed nami, bo brama była otwarta. Powiedziałem doktorowi, gdzie zostawiłem swój wóz. Podjechaliśmy do Oldsa i Wadę się przesiadł. Patrzył przed siebie, nie odzywając się ani słowem. Verringer podszedł do niego i zagadnął spokojnym głosem:

- - Wracając do moich pięciu tysięcy. Obiecał mi pan czek.
- Wadę poprawił się na siedzeniu i wsparł głowę o oparcie. - Pomyślę o tym - odparł.
- Pan mi przecież obiecał te pieniądze! Ja ich potrzebuję.
- Pod przymusem. To była obietnica złożona pod groźbą. Teraz nie. muszę się niczego obawiać.
- Karmiłem i myłem pana - nalegał doktor. - Przyjechałem nocą. Zaopiekowałem się panem i wykurowałem, przynajmniej doraźnie.

-
- -To nie jest warte pięciu tysięcy - odparł z szyderstwem Wadę. - Wygarnął pan zresztą ze mnie sporo forsy.
- Lekarz nie ustępował. - Mam na Kubie pewne kontakty, a pan jest zamożnym człowiekiem. Powinien pan pomagać innym, kiedy znajdują się w potrzebie. Muszę się opiekować Earlem. Potrzebuję pieniędzy, aby móc wykorzystać tę szansę na Kubie. Zwrócę je panu w całości. Zacząłem się wiercić. Chciałem zapalić, ale bałem się, że dym zaszkodzi Wade'owi.
- - Zwróci pan na święty nigdy - odrzekł Wadę znużonym głosem. - Po prostu nie zdąży pan, bo którejś nocy pański pieszczoł załatwi pana we śnie.
- . Verringer odszedł. Nie widziałem jego wyrazu twarzy, ale głos miał teraz twardy. - Można umrzeć w znacznie bardziej przykry sposób. Zapewne będzie pan miał okazję przekonać się o tym. Wsiadł do swego wozu, przejechał przez bramę i znikł nam z oczu. Zawróciłem i ruszyłem w kierunku miasta. Po jakimś czasie Wadę mruknął:
- Dlaczego miałbym dawać pięć tysięcy dolarów temu paskudnemu grubasowi?
- Niech pan się nie przejmuje.
- No, to dlaczego czuję się jak świnia, że mu nie dałem?
- Niech pan się nie przejmuje.
- Obrócił głowę na tyle, by móc mi się przyjrzeć. - Zajmował się mną jak dzieckiem - ciągnął. - Prawie mnie nie opuszczał, bo się bał, by Earl mnie nie pobił. Wyciągnął mi też wszystkie pieniądze z kieszeni.
- Pewnie powiedział mu pan, żeby to zrobił.
- Pan jest po jego stronie?
- Niech pan da sobie spokój - odrzekłem/- Dla mnie to po prostu praca, nic więcej.
- Przejechaliśmy w milczeniu dobre kilka kilometrów. Kiedy byliśmy na jednym z przedmieść, Wadę znów się odezwał:
- Może dam mu tę forszę. Jest bez grosza. Posiadłości nie wolno mu sprzedać. Nie dostanie za nią złamanego szeląga. A wszystko przez tego psychopatę. Dlaczego, do cholery, zajmuje się nim?

- Nie mam pojęcia.
 - Jestem pisarzem - ciągnął Wadę. - Powinienem podobno rozumieć motywy ludzkiego postępowania. A ja nie mam o tym zielonego pojęcia.
-
- Wjechałem na przełęcz; kiedy znaleźliśmy się nieco wyżej, zobaczyliśmy morze światła aż po horyzont wypełniające rozciągającą się przed nami dolinę. Zjechałem na drogę tącą na północny zachód - do Ventury. Niebawem przejechaliśmy Encino. Zatrzymałem się, by zapalić papierosa. Spojrzałem w stronę światła wysoko na wzgórzu, gdzie znajdowały się wielkie rezydencje. W jednej z nich mieszkali Lennoxowie. Ruszyliśmy dalej.
 - - Zjazd już jest całkiem niedaleko - powiedział Wadę.
 - - Ale pan pewnie zna tę drogę?
-
- Owszem.
 - Do tej pory nie wiem, jak pan się nazywa? ~ Filip Marlowe.
 - Ładne nazwisko. - Nagle zmienionym głosem spytał:
-
- - Chwileczkę, to pan jest tym facetem, zamieszonym w sprawę Lennoxów?
 - - Tak.
 - Zaczął mi się przypatrywać. Mijaliśmy ostatnie budynki na głównej drodze z Encino.
 - - Znałem ją - odezwał się Wadę. - Niezbyt dobrze. Jego nigdy nie widziałem. To dziwna sprawa. Podobno policja ostro się za pana brała?
 - Nie odpowiedziałem.
-
- Nie ma pan ochoty o tym mówić?
 - Możliwe. Ale dlaczego miałoby to pana interesować?
 - Do licha, jestem przecież pisarzem. To na pewno świetna historia.
 -
-
- Niech pan dzisiaj sobie odpuści. Musi się pan przecież czuć bardzo słabo.
 - Dobra, Marlowe, dobra. Pan mnie nie lubi. Rozumiem.
-
- Dojechaliśmy do bocznej drogi prowadzącej do Idle Valley; skręciłem między niskie pagórki.
 - - Nie jestem w stanie powiedzieć, czy pana lubię, czy nie lubię - odrzekłem. - Po prostu nie

znam pana. Pańska żona zwróciła się do mnie, bym pana odnalazł i sprowadził do domu. Kiedy pana tam dostarczę, moje zadanie będzie wykonane. Dlaczego akurat wybrała mnie, nie potrafię powiedzieć. Jak już panu mówiłem, dla mnie jest to normalna praca.

- Ominęliśmy jakiś pagórek i znaleźliśmy się na szerszej, lepszej drodze. Powiedział, że dom jego znajduje się półtora kilometra dalej, z prawej strony. Podał mi numer, który już uprzednio znałem. Jak na faceta w takim stanie, gadał bardzo dużo.

- Ile ma pan za to dostać? - spytał.
- Nie uzgadnialiśmy tego.
- Ile by nie było, to i tak mało. Należy się panu ode mnie ogromne podziękowanie. Spisał się pan znakomicie, przyjacielu. Nie byłem tego wart.
- Tak panu się w tej chwili wydaje.

- Zaśmiał się. - Wie pan co? Mógłbym pana polubić. Pan ma w sobie coś z zimnego drania, tak jak ja. Dojechaliśmy do domu. Był to dwupiętrowy, kryty dachówką budynek z małym podcieniem na kolumnach. Między wejściem a gęstym pasmem krzewów ciągnących się wzdłuż białego płotu znajdował się długi trawnik. W podcieniu paliło się światło. Skręciłem na wjazd i zatrzymałem się w pobliżu garażu.

- - Wejdzie pan sam, bez pomocy?
- - Naturalnie. - Wsiadł z wozu. - Nie wstąpi pan na drinka?

- - Dziękuję, może przy innej okazji. Poczekam tutaj, dopóki pan nie wejdzie do domu.
- Stał, ciężko oddychając. - Dobrze - powiedział krótko. Obrócił się na pięcie i ostrożnie ruszył wyłożoną kamieniami ścieżką w kierunku drzwi wejściowych. Przez chwilę stał wsparty o białą kolumnę, po czym nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się. Wszedł do środka. Plama światła padła na zielony trawnik. Nagle z wewnątrz przyplęły odgłosy ożywionej rozmowy. Zacząłem wyjeżdżać tyłem. Ktoś mnie zawołał. Obróciłem głowę i zobaczyłem Eileen Wade, stojącą w otwartych drzwiach. Zaczęła biec w moją stronę, więc musiałem się zatrzymać. Zgasilem światła i wyszedłem z wozu. Kiedy podeszła, powiedziałem:

- Powinienem był zadzwonić do pani, ale obawiałem się zostawić go samego.
- Naturalnie. Miał pan dużo kłopotu?.
- No... trochę.
- Bardzo proszę, niech pan wejdzie i opowie mi o tym.
- Pani mąż powinien pójść do łóżka. Jutro rano będzie się czuł całkiem dobrze.
- Candy położy go do łóżka - odparła. - Dzisiaj już nie będzie pił, jeśli to ma pan na myśli.
- Nawet przez głowę mi to nie przeszło. Dobranoc pani.

- - Musi pan być zmęczony. Nie napiłby się pan drinka? Zapaliłem papierosa. Miałem uczucie, jakbym od paru
- tygodni nie zaznał smaku tytoniu. Wchłaniałem z lubością dym.
- Mogę się raz zaciągnąć? - spytała Eileen.
- Naturalnie. Wydawało mi się, że pani nie pali.
- Zdarza mi się to bardzo rzadko. - Podałem jej papierosa. Pociągnęła i zaczęła kaszleć. Śmiejąc się, oddała mi go. - Jestem pełnym amatorem, jak pan widzi.
- Pani znała Sylwię Lennox? - spytałem. - Czy dlatego wynajęła mnie pani?
-
- Znałam kogo? - w jej głosie zabrzmiało zdziwienie.
- Sylwię Lennox. - Zaciągałem się papierosem raz po raz.
- Och - powiedziała - już wiem. To ta dziewczyna, którą... zamordowano. Nie, nie znałam jej osobiście. Wiem, kto to był. Nie wspominałam panu o tym?
- Przepraszam, zapomniałem już, co pani mi powiedziała.
- Stała nadal obok mnie w białej sukni, spokojna, szczupła i wysoka. Jej włosy połyskiwały matowo w świetle dochodzącym z otwartych drzwi.
- Dlaczego pan mnie zapytał, czy to miało coś wspólnego z tym, że chciałam, jak pan to wyraził, wynająć pana? - Kiedy na to nic nie odparłem, dodała: - Czy Roger panu powiedział, że ją znał?
- Napomknął coś o Sylwii Lennox, kiedy dowiedział się, jak się nazywam. W pierwszej chwili nie skojarzył mnie z tą sprawą, ale później przypomniał sobie. Był tak gadatliwy, że nie pamiętam nawet połowy tego, o czym mówił.
- Rozumiem. Muszę już iść, proszę pana, i zobaczyć, czy mój mąż czegoś nie potrzebuje. Szkoda, że pan nie chce wpaść...
- - Zostawię pani coś - powiedziałem. Przyciągnąłem ją do siebie, przechyliłem głowę do tyłu
- i mocno pocałowałem w usta. Nie broniła się, ale i nie odwzajemniła tego pocałunku. Odsunęła się spokojnie i stała, patrząc na mnie. - Nie powinien był pan tego robić - powiedziała. - To niewłaściwe - przytaknąłem. - Ale byłem przez cały dzień takim miłym,

wiernym, dobrze ułożonym psem myśliwskim, że zostałem namówiony do jednego z najgłębszych przedsięwzięć w moim życiu. I coś mi się wydaje, że ktoś to wszystko starannie zaplanował. Wie pani, odnoszę wrażenie, że pani przez cały czas wiedziała, gdzie mąż się znajduje - a przynajmniej знаła nazwisko doktora Verringera, Pani chciała, bym się z nim zetknął, zapoznał z jego kłopotami i, wzruszony, zajął się jego losem. Ale może ja gadam bzdury?

- Oczywiście, że pan mówi bzdury - odparła zimno. - Jeszcze w życiu nie słyszałam takich bzdur. - Zabierała się do odejścia.
- Chwileczkę - powiedziałem. - Wbrew temu, co pani się może wydawać, ten pocałunek nie zostawi blizny. I niech mi pani nie mówi, że jestem sympatycznym człowiekiem. Wolę być draniem.
- Spojrzała na mnie. - Dlaczego?
- Gdybym nie był sympatyczny dla Terry'ego Lennox, toby żył dzisiaj.
- Tak? - powiedziała spokojnie. - Skąd ta pewność? Dobranoc. Bardzo panu dziękuję... prawie za wszystko.
- Ruszyła w kierunku domu, idąc brzegiem trawnika. Odprowadziłem ją wzrokiem. Wreszcie drzwi się za nią zamknęły, a na ganku zgasło światło. Pomachałem ręką w powietrzu - do nikogo w szczególności, i odjechałem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Następnego ranka pozwoliłem sobie na późne wstanie ze względu na duże honorarium zarobione poprzedniego wieczoru. Wypiłem dodatkową filiżankę kawy, wypaliłem dodatkowego papierosa i zjadłem dodatkowy plasterk kanadyjskiego bekonu; po raz trzeci przysięgłem sobie, że nigdy więcej nie użyję elektrycznej maszynki do golenia. I w tym momencie dzień wrócił do normy. W biurze pojawiłem się o dziesiątej, zabrałem korespondencję, porzcinałem koperty i wysypałem ich zawartość na biurko. Szeroko otworzyłem okna, by pozbyć się nocnego zaduchu, który czuć było w kątach pokoju, w fałdach zasłon. Na rogu biurka siedziała martwa ćma z rozpostartymi skrzydłami. Po parapecie czołgała się pszczoła z połamanymi skrzydłami, brzęcząc monotennie i beznadziejnie, tak jakby wiedziała, że jest bez szans, że jest wykończona, bo odbyła za dużo lotów i nie powróci już nigdy do ula. Czulem, że będzie to jeden z tych zwariowanych dni. Przydarzają się one każdemu. To takie dni, kiedy wszystko leci z rąk, kiedy wiewiórki nie są w stanie odnaleźć schowanych

przez siebie orzechów, mechanicy zapominają o ważnym trybie w skrzyni biegów, a o tym, co się zdarza profesorom uniwersytetu, nie warto nawet wspominać. Jako pierwszy pojawił się potężny, grubo ciosany wieśniak o fińskim nazwisku Kuissenen czy jakimś podobnym. Upuścił swoje masywne cielsko w fotel dla klientów, położył dwie wielkie, gruzłowate łapy na biurku i powiedział, iż jest kierowcą koparki, mieszka w Culver City, a przeklęta baba, która jest jego sąsiadką, chce mu otruć psa. Każdego ranka nim wypuści psa, by sobie pobiegał po podwórzu z tyłu domu, musi je przeszukiwać wzdłuż i wszerz. Znalazł już dziewięć pulpetów z mięsa, nafaszerowanych zielonkawym proszkiem, o którym wiedział, że jest arsenikowym preparatem do niszczenia chwastów.

- Ile bym żądał za złapanie jej? - Wpatrywał się we mnie, jak ryba, bez zmrużenia powiek.
- Dlaczego pan się sam do tego nie weźmie?
- Muszę zarabiać na utrzymanie. Tracę cztery dolary dwadzieścia pięć centów za każdą godzinę, kiedy nie ma mnie w pracy - tak, jak teraz.
- Zwracał się pan do policji?
- Owszem. Obiecywali, że zabiorą się do tego gdzieś w przyszłym roku. Teraz mają na głowie ważniejsze sprawy.
- To może warto się skontaktować z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami?
-
- Tak, wiedział o tym towarzystwie. Mogli mu wskoczyć z rozbiegu. Nie interesowało ich nic mniejszego od konia.
- Na drzwiach jest napisane, że pan jest detektywem - oświadczył zaczepnie. - No to, do cholery, niech pan się tym zajmie. Daję pięćdziesiąt dolarów, żeby pan ją złapał.
- Bardzo mi przykro - odparłem. - Jestem mocno zajęty. A zresztą siedzenie w jakiejś kryjówce na pańskim podwórku to robota nie dla mnie, nawet za pięćdziesiąt dolarów.
- Podniósł się rozzłoszczony. - Wielki mi waźniak - rzucił. - Nie potrzebuje pan tych pieniędzy, co? Nie obchodzi pana życie maleńkiego pieska. Może pan się wypchać, waźniaku.
- I ja mam swoje kłopoty, panie Kuissenen.
- Skręcę jej kark, jak ją złapię - powiedział. Nie wątpił, że był w stanie to zrobić. Mógł bez trudu wyrwać tylną nogę słoniowi. - Dlatego właśnie chcę, by kto inny ją złapał. A wszystko dlatego, że moje maleństwo szczeka, kiedy koło domu przejeżdża samochód. Wstrętna, stara krowa.

- Ruszył do drzwi. - Czy jest pan pewien, że ona chce otruć psa? - rzuciłem za nim.
- - Naturalnie, że jestem pewien. - Był w połowie drogi do drzwi, kiedy to do niego dotarło. Obrócił się błyskawicznie. - Niech pan to powtórzy, cwaniaku.
- Pokręciłem przecząco głową. Nie chciałem się z nim bawić. Mógł mnie uderzyć w głowę moim własnym biurkiem. Sapnął i wyszedł, prawie że razem z drzwiami. Po nim weszła jakaś kobieta, ani stara, ani młoda, biedna, zaniedbana i niezbyt schludna, mało rozgarnięta i bez końca biadoląca. Dziewczyna, z którą dzieliła pokój - w jej kręgach każda pracująca kobieta jest dziewczyną - wyciąga jej pieniądze z torebki. Raz dolara, raz kilkadziesiąt centów, ale z tego robi się suma. Oblicza, że zginęło jej w sumie około dwudziestu dolarów. Nie stać jej na to. Nie mogła też pozwolić sobie na przeniesienie się gdzie indziej. Wynajęcie detektywa jest również zbyt kosztowne dla niej, ale pomyślała, że może będę po prostu mógł postraszyć jej towarzyszkę przez telefon, bez wymieniania jakichkolwiek nazwisk. Trwało ze dwadzieścia minut, nim mi to wszystko powiedziała. Przez cały czas bez przerwy miętoszyła swoją torbę.
- Przecież zadzwonić, proszę pani, może ktokolwiek.
- Tak, ale pan jako detektyw...
- Nic mnie nie upoważnia do tego, bym groził ludziom, których nie znam.
- Wspomnę jej, że byłam u pana, nie mówiąc, że to o nią chodzi. Po prostu powiem, że pan zajął się tą sprawą.
- Nie robiłbym tego na pani miejscu. Kiedy się dowie mojego nazwiska, to może tu zadzwonić, a jeśli to zrobi, to będę musiał jej powiedzieć, jak sprawa naprawdę wygląda.
- Wstała i zatrasnęła swoją podniszczoną torbę. - Pan nie jest dżentelmenem - powiedziała piskliwie.
- - A gdzie jest napisane, że muszę nim być? Wyszła, mrużąc coś pod nosem.
- Po lunchu pojawił się pan Simpson W. Edelweiss. Tak było napisane na bilecie wizytowym. Był kierownikiem przedsiębiorstwa wynajmu maszyn do szycia. Mały człowieczek o zmęczonej twarzy, jakieś czterdzieści osiem, pięćdziesiąt lat, drobne ręce i stopy. Miał na sobie brązowe ubranie z przydługimi rękawami, sztywny, biały kołnierzyk, z którego wynurzał się fioletowy krawat z czarnymi diamentami. Siedział bez ruchu na brzeжку krzesła i patrzył na mnie ciemnymi, smutnymi oczyma. Miał czarne, gęste i twarde włosy, bez najmniejszego śladu siwizny oraz krótko przycięte wąsy o czerwonorudym odcieniu. Gdyby nie dłonie, można by go wziąć za trzydziestopięcioletniego mężczyznę.
- - Na imię mi Simp - zaproponował. - Wszyscy mnie tak nazywają. Jestem Żydem, który się ożenił z piękną dwudziestoczteroletnią gojką. Już przedtem uciekała parę razy ode mnie.

- Pokazał mi jej fotografię. Dla niego mogła być piękna, ale na mnie sprawiła wrażenie wielkiej, zaniedbanej krowy o nieprzyjemnych ustach.
- - Na czym polegają pańskie kłopoty, panie Edelweiss? Nie zajmuję się sprawami rozwodowymi. – Próbowałem mu zwrócić zdjęcie. Kiwnął ręką, że go nie chce. – Do klientów zawsze się zwracam per „pan” - dodałem. - Przynajmniej, dopóki nie przekonam się parę razy, że mnie okłamują.
- Uśmiechnął się. - Kłamstwa są mi niepotrzebne. To nie jest sprawa rozwodowa. Chcę po prostu, żeby Mabel wróciła do mnie. Ale ona wraca dopiero wtedy, kiedy ją odnajdę. Prowadzi chyba taki rodzaj gry w stosunku do mnie. Opowiadał mi o niej, cierpliwie, bez złośliwości. Piła, zabawiała się, z jego punktu widzenia pewnie nie była zbyt dobrą żoną, lecz niewykluczone, że wyniósł z domu zbyt surowe zasady. Miała bardzo obszerne serce, ale on ją kochał. Nie uważał siebie za wymarzonego kochanka, był po prostu solidnym pracownikiem, przynoszącym do domu całą pensję. Mieli wspólne konto bankowe. Wyciągnęła z niego wszystko, ale tego się spodziewał. Orientował się całkiem dobrze, z kim wywiała, i spodziewał się, że ten facet wyczyści ją z pieniędzy i zostawi na bruku.

- Nazywa się Kerrigan, Monroe Kerrigan. Nie mam nic przeciwko katolikom. Złych Żydów jest też pełno. Ten Kerrigan, kiedy pracuje, jest fryzjerem. Nie żebym coś miał przeciwko fryzjerom, ale wielu z nich to nieroby i kanciarze. Ludzie niesolidni.
- Czy ona się nie zwróci do pana, kiedy zostanie bez grosza?
-

- Okropnie się wtedy wstydzi. Może zrobić sobie coś złego.
- Proszę pana, to jest zadanie dla policyjnego Biura Zaginionych Osób. Powinien pan pójść do nich i złożyć zameldowanie.
- Nie. Nie mam nic przeciwko policji, ale nie chcę tego tak załatwić, bo Mabel byłaby upokorzona. - Świat był pełen ludzi, co do których pan Edelweiss nie miał zastrzeżeń. Położył parę banknotów na biurku.
- Dwieście dolarów - powiedział. - Zadatek. Wolę tę sprawę załatwić po swojemu. ‘
- To się powtórzy - powiedziałem.
- Na pewno. - Ruszył wymownie ramionami i rozpostarł łagodnie ręce. - Ma dwadzieścia cztery lata, a ja prawie pięćdziesiąt. Czy może być inaczej? Uspokoi się po jakimś czasie. Bieda w tym, że nie ma dzieci. Nie może mieć dzieci, a Żydzi lubią rodzinę. Mabel wie o tym i czuje się upokorzona.
- Pan jest człowiekiem, który umie wybaczać.
- Cóż, ja nie jestem chrześcijaninem - odparł. - Pan mnie rozumie, nie mam nic przeciwko chrześcijanom, ja nie tylko mówię, że wierzę, ale praktykuję moją wiarę. Och, o mało co nie zapomniałem o najważniejszej sprawie.

- Wyciągnął jakąś widokówkę i położył przede mną na biurku. - Przyniosła to z Honolulu.

Pieniądże idą tam szybko. Jeden z moich wujów prowadził w Honolulu firmę jubilerską. Obecnie jest na emeryturze i mieszka w Seattle. Wziąłem ponownie fotografię jego żony do ręki.

- Będę musiał ją rozesać w parę miejsc - oświadczyłem mu. - Trzeba ją będzie skopiować.

- - Jeszcze przed przyjściem byłem pewny, że pan mi to powie, i odpowiednio się przygotowałem. - Wyjął kopertę, w której było jeszcze pięć odbitek. - Mam i Kerrigana, ale to amatorskie zdjęcie. - Sięgnął do drugiej kieszeni i wręczył mi jeszcze jedną kopertę. Trzy odbitki Kerrigana.
- Przyjrzałem się Kerriganowi - miał gładką, nie wzbudzającą zaufania twarz, co mnie specjalnie nie zdziwiło. Pan Simpson W. Edelweiss dał mi jeszcze jeden bilet wizytowy, na którym znajdował się jego adres domowy i telefon. Powiedział, że ma nadzieję, że nie będzie to kosztowało zbyt dużo, ale na żądanie wpłaci mi natychmiast dalszą kwotę. Czeka na wiadomości ode mnie.
- Dwie stowy powinny chyba wystarczyć, o ile jest nadal w Honolulu - odparłem. - Potrzebuję teraz dokładnych rysopisów obydwójga celem przesłania ich telegraficznie. Wzrost, waga, wiek, cera, większe blizny bądź inne znaki charakterystyczne, jak była ubrana i co wzięła ze sobą, ile pieniędzy było na koncie. Skoro pan miał z tym uprzednio do czynienia, to wie pan, czego mi potrzeba.
- Mam jakieś dziwne uczucie, jeśli chodzi o tego Kerrigana, z nim jest coś nie w porządku.
- Następne pół godziny spędziłem na wyciąganiu od niego i notowaniu różnych szczegółów. Kiedy skończyliśmy, spokojnie wstał, uściśnął mi rękę i równie spokojnie wyszedł.
- - Niech pan poinformuje Mabel, że wszystko jest w porządku - poprosił, wychodząc.
- Sprawa okazała się całkiem prosta. Wysłałem telegram do znajomej agencji detektywistycznej w Honolulu, a w ślad za nim list lotniczy ze zdjęciami i informacjami, których nie mogłem przesłać telegraficznie. Okazało się, że Mabel pracuje jako pomocnica pokojówki w luksusowym hotelu, szoruje wanny i podłogi w łazienkach i spełnia inne tego rodzaju prace. Kerrigan zachował się zgodnie z przewidywaniami pana Edelweissa - ukradł Mabel wszystkie pieniądze, kiedy spała, i ulotnił się, zostawiając jej do zapłacenia rachunek hotelowy. Zastawiła pierścioneł, którego Kerrigan nie byłby w stanie zabrać bez użycia siły. Otrzymała za niego akurat tyle, że mogła wyrównać swoją należność w hotelu, ale nie dość, by zapłacić za bilet powrotny do domu. Wobec tego pan Edelweiss złapał najbliższy samolot i poleciał do Honolulu. Był dla niej zbyt dobry. Wysłałem mu rachunek na dwadzieścia dolarów i dodałem opłatę za długi telegram. Na dwustu dolarach położyła rękę agencja z Honolulu. Mając portret Madisonsa w biurowym sejfie mogłem sobie pozwolić na wzięcie tak minimalnego honorarium. I tak oto minął jeden dzień w życiu prywatnego detektywa. Może nie w pełni typowy, ale też i nie odbiegający zbyt daleko od przeciętnej. Bóg jeden wie, dlaczego człowiek nie rzuca tego zawodu. Nie dochodzi się przecież do majątku i nieczęsto odczuwa jakąś większą satysfakcję. Czasami człowieka pobijają, czasami do niego strzelają, a czasami wpakują do kryminału. No i

zdarza się, iż wbrew swojej woli jest się zmuszonym wachać kwiatki od spodu. Co pewien czas człowiek dochodzi do wniosku, że trzeba z tym wreszcie skończyć i znaleźć jakieś sensowne zajęcie, dopóki się jeszcze chodzi o własnych siłach i nie ma zaburzeń nerwowych. Ale znów odzywa się dzwonek, otwiera się więc drzwi do poczekalni i widzi nową twarz z nowym problemem, nową porcją kłopotów i zmartwień, no - i małą ilością gotówki. „Niech pan wejdzie, panie Smith. W czym mogę panu pomóc?” Coś w tym jednak musi być. Trzy dni później zadzwoniła Eileen Wadę i zaprosiła mnie, bym następnego wieczoru przyszedł do nich na drinka. Miało być paru przyjaciół. Roger chciał się ze mną zobaczyć i podziękować mi jak należy. I czy mógłbym przesłać rachunek?

- Nie jest mi pani nic winna. Otrzymałem zapłatę za swoją pracę.
- Musiałam wyglądać bardzo śmiesznie z tą swoją wiktoriańską wstrzemięźliwością -' odparła. - Pocałunek nie oznacza dziś zbyt wiele. Przyjedzie pan, mam nadzieję?
- Pewnie tak. Wbrew rozsądkowi.
- Roger czuje się całkiem dobrze i - pracuje.
- To świetnie.
- Jest pan dzisiaj ogromnie sztywny i oficjalny. Wyobrażam sobie, że musi pan traktować życie bardzo poważnie.
- Od czasu do czasu. Dlaczego?
- Zaśmiała się lekko, powiedziała: do widzenia i odwiesiła słuchawkę. Siedziałem przez dłuższą chwilę, próbując traktować życie bardzo poważnie. A później usiłowałem pomyśleć o czymś zabawnym, tak bym rriógł się rzeczywiście serdecznie pośmiać. Ani jedno, ani drugie mi nie wychodziło, więc wyciągnąłem pożegnalny list Terry'ego Lennox z sejfu i przeczytałem go raz jeszcze. Przypomniało mi się, że nigdy nie poszedłem do „Wiktora” na tego kielicha, którego - zgodnie z jego życzeniem - miałem wypić za niego. Była to pora dnia, kiedy bar jest cichy i nastrojowy; odpowiadałoby mu to, gdybyśmy się mogli razem wybrać. Wspominałem go ze smutkiem, ale nie pozbawionym gorzkości. Kiedy znalazłem się koło „Wiktora”, przeszło mi przez głowę, by nie zatrzymywać się i iść dalej. Ale była to tylko taka myśl. Miałem zbyt dużo jego pieniędzy. Zrobił ze mnie durnia, ale suto za ten przywilej zapłacił.

Rozdział dwudziesty drugi

U „Wiktora” było tak cicho i chłodno, że się prawie słyszało, jak opada słupek rtęci w termometrze. Na stołku

- barowym, paląc papierosa w długiej cygarniczce z nefrytu, siedziała kobieta w czarnym szytym na zamówienie kostiumie. O tej porze roku mógł to być jedynie kostium zrobiony z jakiegoś sztucznego włókna, np. orlonu. Przed nią stał jasnozielony drink. Jej twarz miała taki specyficzny, napięty wyraz, który czasami cechuje neurotyków, czasami oznacza głód płciowy, a czasami jest po prostu spowodowany intensywnym uprawianiem diety. Usiadłem dwa stołki dalej; barman kiwnął mi głową, ale bez uśmiechu.
- - Poproszę gimlet - powiedziałem. - Ale bez angostury. Położył przede mną małą serwetkę, ale nie odchodził. - Wie pan co - odezwał się - słyszałem kiedyś, jak pan i pański przyjaciel dyskutujecie, jak ten drink trzeba przyrządzać, i postarałem się o butelkę soku cytrynowego Rose'a. A później już was nigdy nie widziałem; otworzyłem ją dziś po raz pierwszy. - Mój przyjaciel wyjechał z miasta - odparłem. - Podwójnego, o ile można prosić. I dziękuję, że pan zadał sobie tyle trudu.
- Odszedł. Kobieta w czarnym kostiumie rzuciła mi szybkie spojrzenie, po czym zaczęła się wpatrywać w swą szklankę. - Bardzo niewielu ludzi pije gimlety w tych stronach - powiedziała tak cicho, że w pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, iż mówi do mnie. Znów spojrzała w moją stronę. Miała bardzo duże, ciemne oczy i zupełnie nieprawdopodobnie czerwone paznokcie. Ale nie sprawiała wrażenia podfruwajki, a w jej głosie nie było zachęty.
- Polubiłem gimlety dzięki pewnemu facetowi - odparłem.
- To musiał być Anglik.
- Dlaczego?
- Ze względu na sok cytrynowy. To jest tak angielskie, jak gotowana ryba z tym strasznym sosem z sardeli, który wygląda tak, jakby kucharz doprawiał go własną krwią.
-
- Wydawało mi się, że gimlet to drink z tropików, że pija się go w gorącym klimacie. Na Malajach i w innych tego rodzaju stronach.
- Może ma pan rację.
- Barman postawił drinka przede mną. Kiedy do gimleta doleje się soku cytrynowego, to przybiera on jasny, zielonożółty, nieco zamglony kolor. Spróbowałem go. Był jednocześnie słodkawy i ostry. Kobieta w czarnym kostiumie obserwowała mnie. Uniosła szklankę w moim kierunku. Napiliśmy się obydwój. Zorientowałem się, że pijemy to samo. Następne pociągnięcie samo się narzucało, więc go nie uczyniłem. - Nie był Anglikiem - powiedziałem po jakimś czasie. - Zdaje się, że przebywał w Anglii w czasie wojny. Zachodziliśmy tu czasami, ale dość wcześnie - tak, jak dzisiaj - nim jeszcze zacznie się kłębić tłum.
- - Tak, to przyjemna pora - odrzekła. - Właściwie jedyna przyjemna pora w barze. - Dopija swojego drinka. - Być

może znałam pańskiego przyjaciela. Jak się nazywał?

- Nie odpowiedziałem jej od razu. Zapaliłem papierosa i przyglądałem się jak wystukuje niedopałek ze swojej nefrytowej cygarniczki, by wsadzić następnego papierosa. Dałem jej ognia. - Lennox - powiedziałem. Podziękowała i rzuciła mi przenikliwe spojrzenie. Pokiwała głową. - Owszem, znałam go bardzo dobrze. Może aż za dobrze. Pojawił się barman i rzucił wzrokiem na moją szklaneczkę. - Jeszcze dwa drinki - zamówiłem. - Proszę je przynieść do łoży. Zsunąłem się ze stołka i czekałem. Mogła, ale nie musiała mi odmówić. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Od czasu do czasu w tym stanowczo zbyt silnie zerotyżowanym kraju mężczyzna powinien się móc spotkać i porozmawiać z kobietą bez podtekstów łóżkowych. Właśnie
- tak jak teraz, ale mogła też oczywiście pomyśleć, że się do niej przystawiam. Jeśli tak, to gwizdałem na to. Zawahała się, ale tylko przez chwilę. Zabrała parę czarnych rękawiczek wraz z czarną zamszową torbą, która miała zamek i okucia ze złota, i usiadła bez słowa w narożnej łoży. Zająłem miejsce po drugiej stronie małego stolika.
- - Nazywam się Marlowe.
- -- A ja Linda Loring - powiedziała spokojnie. - Pan jest chyba trochę sentymentalny?
- Bo przyszedłem tu, by wypić gimleta? No, a pani?
- Ja po prostu lubię to pić.
- Ja również. Ale byłby to zbyt dziwny zbieg okoliczności.
- Uśmiechnęła się niewyraźnie. Nosiła szmaragdowe kolczyki oraz szmaragdową szpilkę w klapie kostiumu. Sądząc z ich szlifu - płaskiej powierzchni ze ściętymi brzegami - były prawdziwe. Nawet w przytłumionym świetle baru widać było, jak się jarzyły do wewnątrz. Barman przyniósł gimlety. Kiedy odszedł, powiedziałem: - Znałem Terry'ego Lennox, lubiłem go, i od czasu do czasu chodziłem z nim na drinka. To była taka niewiele znacząca przypadkowa przyjaźń. Nigdy nie odwiedziłem go w domu i nie znałem jego żony. Widziałem ją tylko raz na parkingu. Sięgnęła po drink. Na palcu błysnął jej szmaragd w wianuszkach z diamentami. Znajdująca się obok cienka platynowa obrączka wskazywała, iż jest mężatką. Dawałem jej nie więcej niż trzydzieści parę lat.
- Ale to chyba nie wszystko, co?
- Być może - odparłem. - Facet intrygował mnie. I nadal nie wiem, co o nim myśleć. A pani?
- Oparła się na łokciu i spojrzała na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. - Powiedziałam, że znałam go aż za dobrze. Za dobrze, by przejmować się tym, co mu się mogło

- przytrafić..Miał bogatą żonę, która dostarczała mu wszelkich luksusów. W zamian chciała jedynie, by się do jej spraw nie mieszał.
- To brzmi dość rozsądnie.
- Niech pan się nie sili na sarkazm. Niektóre kobiety są takie. Nie mogą nic na to poradzić. Orientował się w tym zresztą od samego początku. Jeśli już chciał się ująć honorem, to drzwi były otwarte. Nie musiał jej zabijać.
- Zgadzam się z panią.
- Wyprostowała się i popatrzała na mnie ostro. Na jej ustach pojawił się grymas. - A on uciekł i, o ile to, co słyszę, jest prawdą, to pan mu w tym pomógł. Prawdopodobnie czuje się pan z tego dumny.
- Skądże znowu. Mnie chodziło tylko o pieniądze.
- To nie jest zabawne, proszę pana. Mówiąc prawdę, nie bardzo wiem, dlaczego tu siedzę i popijam z panem.
- To można bardzo łatwo zmienić, proszę pani. - Sięgnąłem po kieliszek i wychyliłem go do dna. - Pomyślałem, że pani będzie mogła mi powiedzieć o Terry' m coś, czego nie wiem. Nie mam ochoty zastanawiać się, dlaczego Terry Lennox zmasakrował twarz swojej żonie.
- Pan jest bardzo brutalny - rzuciła gniewnie.
- Pani się nie podoba to, co powiedziałem. I mnie też nie. Nie piłbym tu gimleta, gdybym sądził, że był w stanie zrobić coś podobnego.
- Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym powiedziała: - Zabił się i przyznał się na piśmie do winy. Czegoż jeszcze więcej pan chce?
- - Miał przy sobie rewolwer. W Meksyku to mogła być dostateczna przyczyna, by jakiś nerwowy policjant nafaszerował go ołowiem. Wielu amerykańskich policjantów dopuściło się podobnych zabójstw - w niektórych wypadkach nawet poprzez zamknięte drzwi, które się według nich niedostatecznie szybko otwierały. A jeśli chodzi o jego przyznanie się, to ja go nie widziałem.
- Zapewne meksykańska policja je sfalszowała - zauważyła zgryźliwie.
- Nie wiedzieliby, jak to zrobić, w każdym razie nie w takiej małej dziurze jak Otatoclan. Nie, przyznanie się jest prawdopodobnie autentyczne, ale nie stanowi ono dowodu na to, iż zabił żonę. W każdym razie nie dla mnie. Osobiście sądzę, iż dowodzi jedynie, że nie widział dla

siebie wyjścia. W takiej sytuacji pewien typ mężczyzny - jeśli to panią bawi, to niech go pani określi jako słabego, miękkiego bądź sentymentalnego - może chcieć zaoszczędzić innym ludziom dużo bardzo bolesnych przeżyć.

- To nieprawdopodobne - powiedziała. - Człowiek ani nie zabija się sam, ani świadomie nie daje się zabić, aby nie dopuścić do jakiegoś tam skandalu. Sylwia przecież już nie żyła. A jeśli chodzi o jej siostrę i ojca - to potrafiliby dać sobie z tym radę. Ludzie, którzy mają dużo pieniędzy, zawsze są w stanie skutecznie się bronić.
- Dobrze, a więc myślę się co do motywu. Być może nie mam w ogóle racji. Przed chwilą była pani na mnie wściekła. Czy chce pani, żebym się zabrał i dał pani w spokoju wypić gimlet?
- Nagle się uśmiechnęła. - Bardzo mi przykro. Zaczynam myśleć, że pan rzeczywiście tak sądzi. Wydawało mi się przedtem, iż próbuje pan usprawiedliwić bardziej siebie niż Terry'ego. Ale tak chyba nie jest.
- Nie. Zrobiłem głupstwo i dostałem dobrą nauczkę. No, w jakimś sensie. Nie będę zaprzeczał, że jego przyznanie się uratowało mnie od znacznie poważniejszych kłopotów. Gdyby go sprowadzono i postawiono przed sądem, to i ja znalazłbym się na ławie oskarżonych. W najlepszym wypadku kazaliby mi zapłacić więcej pieniędzy, niż posiadam.
- Nie wspominając o pańskiej licencji - dodała sucho.
- Być może.. Był taki okres, kiedy każdy glina na kacu mógł człowieka załatwić. Obecnie jest nieco inaczej.
-
- Składa się zeznania przed komisją wyznaczoną przez stanowy urząd do spraw licencji. Jej członkowie nie odnoszą się ze szczególnym zachwytem do miejskiej policji. Popiła i powiedziała wolno: - Biorąc to wszystko pod uwagę, czy nie uważa pan, że dobrze się stało, jak się stało? Nie było procesu, nie było sensacyjnych tytułów w prasie, nie było obsmarowywania, bez jakichkolwiek względów dla prawdy, przyzwoitości i uczuć niewinnych ludzi.
- - Przecież to samo ja powiedziałem! A pani stwierdziła, że to nieprawdopodobne.
- Odchyliła się do tyłu i oparła głowę na miękkim obiciu łoża. - Nieprawdopodobne jest to, by Terry Lennox popełnił samobójstwo w tym celu. Ale łatwo można pojąć, że było z korzyścią dla wszystkich, iż proces się nie odbył.
- Muszę się jeszcze napić - stwierdziłem i skinąłem na kelnera. - Czuję na karku mroźny powiew. Czy pani przypadkiem nie jest spokrewniona z rodziną Potterów?
- Sylwia Lennox była moją siostrą - odparła. - Myślałam, że pan o tym wie.

- Pojawił się kelner; zamówiłem dla siebie jeszcze jeden gimlet. Pani Loring kiwnęła przecząco głową i oświadczyła, że nie chce nic więcej. Kiedy kelner odszedł, powiedziałem: - Stary Potter - pani mi wybaczy, pan Harlan Potter - tak zatuszował całą sprawę, że tylko przez przypadek mógłbym się był dowiedzieć, że żona Terry'ego miała siostrę.
- - Mocno pan przesadza. Mój ojciec nie jest ani tak potężny, ani na pewno nie aż tak bezwzględny. Posiada, być może, bardzo staromodne poglądy na temat swego prywatnego życia. Nigdy nie udziela wywiadów nawet swoim własnym gazetom. Nigdy nie daje się fotografować, nie wygłasza mów, podróżuje głównie samochodem albo własnym samolotem z własną załogą. Ale z tym wszystkim jest bardzo ludzki. Lubił Terry'ego. Mawiał, że Terry jest dżentelmenem dwadzieścia cztery godziny na dobę, a nie tylko przez piętnaście minut między przybyciem gości a momentem, kiedy pierwszy cocktail zacznie działać...
- - W końcu trochę się załamał. Myślę o Terry'm - przerwałem jej.
- Pojawił się kelner z trzecim gimletem. Posmakowałem go, a później dotknąłem palcem stopki kieliszka.
- Proszę pana, śmierć Terry'ego była dla mego ojca poważnym ciosem. A pan znów przybiera sarkastyczny ton. Proszę, niech pan tego nie robi. Ojciec zdawał sobie sprawę, iż śmierć Terry'ego będzie się wydawała niektórym ludziom zbyt wygodnym zbiegiem okoliczności. Jego zniknięcie byłoby mu daleko bardziej na rękę. Gdyby Terry poprosił go o pomoc, myślę, że byłby mu jej udzielił.
- Co to, to nie, proszę pani. Zamordowano jego własną córkę.
- Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką i popatrzyła na mnie zimno.
- - Obawiam się, że to, co powiem, zabrzmie dość brutalnie. Ojciec dawno już machnął ręką na moją siostrę. Kiedy się spotykali, prawie się do niej nie odzywał. Gdyby chciał powiedzieć, co myśli - czego nie zrobił i nie zrobi - jestem przekonana, że miałby takie same wątpliwości co do roli Terry'ego jak pan. Ale skoro Terry nie żyje, to jakie miałyby to znaczenie? Terry mógł z równym powodzeniem zginąć w katastrofie lotniczej, pożarze czy wypadku samo chodowym. Jeśli z kolei przyjąć, że była jej pisana śmierć, to przyszła ona w najlepszym momencie. Za dziesięć lat stałaby się erotomanką, jedną z tych potwornych bab, które się widuje na przyjęciach w Hollywood, a w każdym razie widywało jeszcze parę lat temu.
- Nagle, bez żadnego powodu, zrobiłem się wściekły. Wstałem i zajrzałem ponad przepierzeniem. Sąsiednia loża była ciągle pusta. W następnej jakiś samotny facet czytał spokojnie gazetę. Usiadłem, odsunąłem swój gimlet i pochyliłem się nad stołem. Miałem jeszcze dość rozsądku, by mówić cicho:

- Na litość Boską, o czym próbuje pani mnie przekonać? Że Harlan Potter jest tak miłym, cudownym człowiekiem, iż nie przyszyłoby mu do głowy, by użyć swych wpływów w Prokuraturze Okręgowej - ten urząd, jak wiadomo, ma charakter polityczny - i doprowadzić do przerwania śledztwa w sprawie morderstwa, tak by to morderstwo nie zostało nigdy wyświetlone? Że miał wątpliwości co do winy Terry'ego, ale nie pozwolił nikomu ruszyć palcem, by wyjaśnić, kto naprawdę był mordercą? Że nie skorzystał z politycznego wpływu swych gazet, swego konta bankowego i tego tysiąca facetów, którzy zrobiliby wszystko, by odgadnąć, czego sobie życzy, zanim mu to jeszcze samemu przyszło do głowy? Że to nie z jego inicjatywy potulny prawnik, a nie na przykład ktoś z Prokuratury Okręgowej czy z policji, udał się do Meksyku, by stwierdzić, że to Terry strzelił sobie w głowę, a nie zrobił tego po prostu dla rozrywki jakiś Indianin? Pani ojciec jest oceniany na sto milionów dolarów. Nie wiem dokładnie, jak doszedł do tych pieniędzy, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie zdobył ich bez stworzenia odpowiednio rozbudowanej organizacji. Nie jest mięczakiem, tylko twardym człowiekiem. W naszych czasach tylko taki człowiek może dojść do takich pieniędzy. I musi nieraz załatwiać sprawy z dziwnymi ludźmi. Może się z nimi nie spotyka ani nie wita, ale oni krążą na jego orbicie i zawierają z nim układy i transakcje.
- Jest pan głupcem - rzuciła zagniewana. - Mam pana dość.
- No, na pewno. Ja nie nucę melodii, która by pani przypadła do gustu. Pozwoli pani, że coś powiem. Terry rozmawiał z pani ojcem tej samej nocy, kiedy Sylwia umarła. O czym? Co mu powiedział pani ojciec? Pojeżdż, chłopcze, do Meksyku i zastrzel się. Niech to zostanie w rodzinie. Wiem, że moja córka jest puszczałska i że każdy z tych kilkunastu pijusów mógł dostać amoku i spaskudzić nieodwracalnie jej śliczną twarzyczkę. Ale to tylko przy okazji. Facetowi będzie przykro, kiedy wytrzeźwieje. Ty, chłopcze, cały czas miałaś dobrze, a teraz trzeba się odwdzięczyć. Chcemy, by godne nazwisko Potterów pozostało tak niezbrukane, jak górski potok. Wyszła za ciebie za męża, bo potrzebowała kogoś, kto by to wszystko firmował. A teraz, kiedy nie żyje, potrzebuje tego jeszcze bardziej. Ty się do tego świetnie nadajesz. Jeśli uda ci się zniknąć bez śladu, to świetnie. Ale jeśli cię odnajdę, to - wysiadka. Do zobaczenia w kostnicy.
- - Czy pan naprawdę sądzi - powiedziała kobieta w czarnym kostiumie lodowatym głosem - że mój ojciec mówi w ten sposób?
- Zaśmiałem się nieprzyjemnie. - Moglibyśmy trochę podciągnąć dialog, gdyby to się okazało potrzebne. Zabrała swoje rzeczy i przesunęła się wzdłuż siedzenia.
- - Chciałabym pana ostrzec - wycedziła powoli. - Jeśli pan myśli, że mój ojciec jest tego rodzaju człowiekiem, i jeśli pan będzie rozpowszechniał tego rodzaju poglądy, jakie tu przed chwilą usłyszałam, pańska kariera w tym mieście, w pańskim obecnym czy jakimkolwiek innym zawodzie może być bardzo krótka i zakończyć się nagle.
- - Znakomicie, absolutnie znakomicie. To samo słyszę od przedstawicieli prawa, gangsterów i fachowców od transportu. Wyrażają to w różny sposób, ale sens zawsze jest ten sam. „Zostaw to w spokoju” - mówią. Przyszedłem tu, by wypić gimlet, o co poprosił mnie przyjaciel. A teraz, proszę, jestem już prawie w parku sztywnych.
- Wstała i kiwnęła głową. - Trzy gimlety, podwójne. Być może jest pan pijany. Zostawiłem na stole duży napiwek i stanąłem obok niej.
- - Pani wypila półtora gimleta. Dlaczego aż tyle? Czy ktoś panią o to prosił, czy był to pani

własny pomysł? Mam wrażenie, że również i pani język się trochę rozwiązał.

- -Kto wie, proszę pana. Kto wie? Kto wie cokolwiek? Tam przy barze siedzi jakiś mężczyzna, który nas obserwuje. Czy nie jest to przypadkiem ktoś z pańskich znajomych?
- Obróciłem się, zdziwiony, że zauważyła taką rzecz. Jakiś szczupły, ciemny typ siedział na ostatnim stolku, tuż przy drzwiach.
- Nazywa się Chick Agostino - wyjaśniłem. - To obstawa. Damy mu w mordę i zobaczymy, jak wygląda rozłożony na podłodze.
- Pan jest niewątpliwie pijany - powiedziała i szybko ruszyła. Poszedłem za nią. Człowiek na stolku barowym obrócił się i patrzył przed siebie - na bar. Kiedy znalazłem się na jego wysokości, szybko sięgnąłem mu pod ramiona. Może rzeczywiście byłem trochę pijany.
- Obrócił się z wściekłością i zsunął ze stołka.
- Uważaj na zakrętach, kozaku - warknął. Kątem oka zauważyłem, że kobieta w czarnym kostiumie zatrzymała się przed drzwiami i zerknęła do tyłu.
- Co, nie nosi pan rewolwerów, panie Agostino? Okropnie nierozważnie z pańskiej strony. Przecież jest już prawie ciemno. Może się pan nadziać na jakiegoś zaczepnego liliputa.
- Spływaj - warknął.
- Tę odzywkę musiał pan zaczerpnąć z „New Yorkera”, panie Agostino.
- Usta mu latały, ale nie drgnął. Zostawiłem go, ruszyłem za panią Loring i wyszedłem na dwór. Na chodniku pod markizą stał siwy szofer i rozmawiał z chłopcem z parkingu. Zasalutował i po chwili podjechał eleganckim Cadillakiem. Pani Loring wsiadła. Otwierał i zamykał drzwi tak, jakby chodziło o kasetkę z kosztownościami. Pani Loring odkręciła okienko i spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem. - Dobranoc panu. Było przyjemnie, ale pan jest może innego zdania?
- Mocno się pokłóciliśmy.
- Pan chce powiedzieć, że pan się kłócił - i to głównie ze sobą.
- Tak zwykle bywa. Dobranoc pani. Pani nie mieszka w tych stronach, prawda?
- Nie. Mieszkam w Idle Valley. Po drugiej stronie jeziora. Mój mąż jest doktorem.

- ~ Czy przypadkiem nie zna pani ludzi o nazwisku Wade? Zmarszczyła się. - Owszem, znam Wade'ów. Dlaczego?
- Dlaczego pytam o to? To jedyni ludzie, których znam w Idle Valley.
- Rozumiem. No, to dobranoc jeszcze raz.
- Cofnęła się, a Cadillac zamruczał uprzejmie i włączył się w ruch na Stripie. Obracając się, o mało nie wpadłem na Chicka Agostino.
- Kto to jest ta lalka? - spytał kpiąco. - A następnym razem zmyj się, nim powiesz coś dowcipnego.
- Nikt, kto by miał ochotę cię poznać.
- Dobra, cwaniaku. Zanotowałem numer rejestracyjny jej wozu. Mandy lubi wiedzieć takie drobiazgi.
- W tym momencie drzwi wozu, który właśnie nadjechał, otworzyły się gwałtownie i jakiś człowiek o wzroście dobrze ponad dwa metry i szerokości w barach gdzieś metr dwadzieścia, wyskoczył na chodnik. Rzucił tylko okiem na Agostino, uczynił krok w jego kierunku i jedną ręką chwycił go za gardło.
- - Ile razy mam wam mówić, nędzne typy, żebyście się nie kręcili tam, gdzie *ja*. jadam! - zahuczał.
- Potar mosił Agostino i rzucił nim o ścianę domu. Chick upadł i zaczął kaszleć.
- - Następnym razem - olbrzym ryknął - załatwię cię odpowiednio i możesz mi wierzyć, chłopcze, że postaram się, by złapali cię z rewolwerem w ręku!
- Chick potrząsnął głową, ale nic nie powiedział. Olbrzym mrugnął do mnie okiem i uśmiechnął się. - Przyjemny dziś wieczór - powiedział i wszedł: do środka. Patrzyłem, jak Chick się podnosi i doprowadza do porządku. - Któż to jest, ten twój przyjaciel? - spytałem go.
- Wielki Willie Magoon - powiedział z niechęcią. - Z Wydziału do Walki z Prostytycją. Wydaje mu się, że jest twardy.
- Chcesz powiedzieć, że nie ma co do tego pewności? - zapytałem go grzecznie.
- Patrzył na mnie pustym wzrokiem i odszedł. Odszukałem swój wóz i pojechałem do domu. W Hollywood wszystko się może zdarzyć, absolutnie wszystko.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nisko zawieszony Jaguar wynurzył się zza pagórka i zwolnił, by nie opylić mnie kurzem z tych paruset metrów zaniedbanej, granitowej jezdni przy wjeździe do Idle Valley. Pozostawiono celowo ten wjazd w takim stanie, by zniechęcić niedzielnych kierowców, rozpaskudzonych jeżdżeniem po autostradach. Mignęła mi czerwona chustka i para okularów słonecznych. Pomachano do mnie beztrąsą ręką, niby sąsiad do sąsiada. Kurz wionął na drugą stronę drogi i opadł gęstym, białym całunem na krzaki i spaloną słońcem trawę. Dalej jezdnia poprawiła się i wszystko było bardzo porządne i zadbane. Wzdłuż drogi rosły kępy dębów, jakby przyglądając się, kto przyjeżdża, a wróble skakały, dziobiąc Coś, co tylko wróble mogły uznać za wartość dziobania. Potem zobaczyłem zarośla bawełniane, ale bez drzew eukaliptusowych, a następnie ścianę topól przesłaniającą

- biały dom. W tym momencie obok drogi pojawiła się dziewczyna prowadząca konia. Ubrana była w spodnie i jaskrawą koszulę i żuła gałązkę. Od czasu do czasu coś łagodnie mówiła do konia, który był zgrzany, ale nie pokryty pianą. Za murem z kamienia polnego ogrodnik z kosiarką wędrował po ogromnym trawniku, który dochodził aż do portyku wielkiej, luksusowej rezydencji, utrzymanej w kolonialnym stylu. Ktoś grał ćwiczenia na lewą rękę na koncertowym fortepianie. Wreszcie dotarłem do błyszczącego w słońcu jeziora; zacząłem przyglądać się numerom na bramach wjazdowych. Dom Wade'ów widziałem tylko raz, i to w ciemności. Nie wydawał się teraz tak duży, jak wtedy. Podjazd był pełen wozów, więc zaparkowałem z boku drogi i ruszyłem piechotą. Otworzył mi drzwi szczupły, przystojny meksykański lokaj w białej marynarce, która leżała na nim bardzo elegancko. Wyglądał na takiego, któremu płacą pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, bez obarczania go zbyt ciężkimi obowiązkami.
- Buenas tardes, señor - pozdrowił mnie i uśmiechnął się, jakby udał mu się dobry kawał. - Su nombre de usted, por favor?
- Marlowe - odpowiedziałem. - Kogo chcesz nabrać, Candy? Rozmawialiśmy przez telefon, nie pamiętasz?
- Wykrzywił twarz w uśmiechu, a ja wszedłem do środka. Była to normalna cocktail-party - wszyscy kurczowo trzymali swoje szklaneczki i mówili zbyt głośno, choć właściwie nikt naprawdę nie słuchał tego, co mówią inni; mieli oczy rozjaśnione, a policzki zaróżowione lub blade i spocone, zależnie od ilości wypitego alkoholu i możliwości danej osoby. Obok mnie pojawiła się Eileen Wade w jakimś jasnoniebieskim czymś, co wyraźnie nie psuło jej urody. W ręku trzymała szklaneczkę, ale stanowiła ona J3 wypadku rodzaj dekoracji.
- - Tak się cieszę, że pan przyjechał - powiedziała po-

- ważne. - Roger chciałby się z panem zobaczyć w swoim gabinecie. Nie znosi cocktaili. Pracuje.
- Przy tym hałasie?
- To mu jakoś nigdy nie przeszkadza. Candy przyniesie panu drinka, a może woli pan pójść do barku...
- Chyba tak. Przepraszam za to, co zdarzyło się poprzednim razem.
- Uśmiechnęła się. - Już mnie pan uprzednio przeprosił. To naprawdę nic ważnego.
- - Nic ważnego? Tego bym nie powiedział.
- Cały czas uśmiechając się, kiwnęła mi głową i odeszła. Dostrzegłem barek w rogu przy wielkich balkonowych drzwiach z drugiej strony pokoju. Był to taki interes na kółkach, który można przetaczać. Byłem już na środku pokoju, starając się nie zderzyć z nikim, kiedy usłyszałem znajomy głos: - O, pan Marlo we. Obróciłem się i zobaczyłem panią Loring na kanapie, obok jakiegoś przesadnie ubranego mężczyzny w okularach bez oprawy i ze śmiesznym zarostem, który miał imitować kozią bródkę. Siedział bez ruchu ze skrzyżowanymi ramionami i nachmurzoną twarzą. Pani Loring trzymała w ręku kieliszek i wyglądała na znudzoną. Podeszedłem do nich. Uśmiechnęła się do mnie i podała mi rękę. - To mój mąż, doktor Loring. Pan Filip Marlowe, Edwardzie. Facet z kozią bródką rzucił mi przelotne spojrzenie i ledwie skinął głową. Żadnego innego ruchu nie wykonał. Wydawało się, że rezerwuje swą energię dla ważniejszych spraw.
- Edward jest bardzo zmęczony - powiedziała Linda Loring. - Zawsze jest bardzo zmęczony.
- Doktorzy często bywają zmęczeni - wtrąciłem. - Czy mogę przynieść pani coś do picia albo panu, doktorze?.
- Wypiła już dość - odparł, nie patrząc na żadne z nas. -
-
- A ja nie piję. Im więcej patrzę na ludzi, którzy piją, tym bardziej jestem zadowolony, że do nich nie należę.
- - Ach, jak z tobą cudownie się pije, koteczku – pani Loring powiedziała rozmarzonym głosem.
- Obrócił się gwałtownie i chwycił ją za rękę. Ulotniłem się i pomaszerowałem do barku. W towarzystwie swego męża Linda Loring wydawała się być inną osobą. W jej głosie brzmiało napięcie, a twarz miała szyderczy wyraz, którego nie przybierała w stosunku do mnie, nawet kiedy była zła. Za barkiem stał Candy. Spytał mnie, czego się napiję.
- - W tej chwili nic, dziękuję. Pan Wade chce się ze mną zobaczyć. - Es muy ocupado,

seftor. Bardzo zajęty. Odniosłem wrażenie, że Candy nie pozyska sobie mojej

- sympatii. Ale kiedy bez słowa popatrzyłem na niego, dodał:
- - Ale pójdę, zobaczę. De pronto, señor.
- Bardzo zgrabnie prześliznął się przez tłum i powrócił prawie natychmiast. - W porządku, przyjacielu, chodźmy - rzucił wesoło. Ruszyłem za nim w kierunku jakichś drzwi, które otworzył przede mną prawie bezszelestnie. Znalazłem się w dużym, narożnym pokoju, chłodnym i cichym, posiadającym urządzenie klimatyzacyjne zainstalowane między jednym z okien i szklanymi drzwiami. Na zewnątrz widać było krzaki róż, a na horyzoncie - jezioro. Wadę leżał wyciągnięty na długim, obitym jasną skórą tapczanie. Na dużym, drewnianym biurku znajdowała się maszyna do pisania, a obok niej stos żółtego papieru.

- To bardzo miło, że pan zechciał przyjść - odezwał się leniwie. - Niech pan się rozgości. Czy dano panu coś do picia?
- Jeszcze nie. - Usiadłem i popatrzyłem na niego. Ciągle jeszcze wyglądał niezdrowo. - Jak idzie praca?
- Nieźle, z tym że się zbyt szybko męczę. Szkoda, że po trzydniówce człowiek z takim trudem dochodzi do siebie, zwykle najlepiej mi się pracuje po pierwszej. W-moim zawodzie bardzo łatwo jest utracić łatwość pisania, stać się sztywnym, drewnianym. Wtedy to, co się robi, jest do niczego. A kiedy jest dobre, to przychodzi jakby samo z siebie. Cokolwiek innego, co by pan słyszał czy czytał na ten temat, to zawracanie głowy.
- Jest to rzecz dość indywidualna - odparłem. - Flaubertowi nie przychodziło łatwo, a pisał dobre rzeczy.
- Rozumiem - rzucił Wadę, siadając. - Czytał pan Flauberta i w związku z tym jest pan intelektualistą, krytykiem i znawcą literatury. - Pogładził się po czole. - Ja należę do tego świata i nie znoszę go. Nie znoszę ludzi ze szklaneczkami w ręku. Muszę brać w tym udział i uśmiechać się do tych śmierdzieli. Każdy z nich świetnie wie, że jestem alkoholikiem, no i zastanawia się, przed czym ja uciekam. Jakiś freudowski gówniarz roztrąbił to odkrycie i dzisiaj każdy wie, że alkoholizm to ucieczka. Gdybym miał - nie daj Bóg - dziesięcioletniego syna, to szczeniak pewnie by mnie pytał: „Przed czym uciekasz, tatusiu, kiedy się upijasz?”
- Zgodnie z tym, co wiem, to pański alkoholizm trwa od niedawna?
- Ostatnio po prostu się pogorszyło, ale zawsze miałem pociąg do butelki. Kiedy człowiek jest młody i w dobrej kondycji, to może sporo wypić bez większego skutku. Ale kiedy przekroczy się czterdziestkę, to z kaca nie wychodzi się już tak łatwo.

- Zapaliłem papierosa. - O czym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Jak panu się wydaje, przed czym uciekam?
- Nie mam pojęcia. Nie jestem na tyle zorientowany. Każdy zresztą przed czymś ucieka.
-

- Ale nie każdy się upija. A przed czym pan ucieka? Przed młodością, poczuciem winy czy świadomością, że jest pan małym człowiekiem zajmującym się małymi sprawami?
- Rozumiem. Panu jest potrzebny ktoś, kogo mógłby pan obrazić. Niech pan się nie krępuje, przyjacielu. Powiem panu, kiedy zacznie mi to sprawiać przykrość.
- Uśmiechnął się i przejechał ręką po swych gęstych, kręcących się włosach. Stuknął się palcem w pierś: - Patrzy pan na małego człowieka, zajmującego się małymi sprawami. Wszyscy pisarze to gnojki, a ja jestem jednym z największych gnojków wśród nich. Napisałem dwanaście bestsellerów i jeśli kiedykolwiek zakończę ten śmierdzący maszynopis na biurku, to będzie ich prawdopodobnie trzynaście. I żaden z nich nie jest wart papieru, na którym został napisany. Mam piękny dom w bardzo ekskluzywnej okolicy, która należy do bardzo ekskluzywnego multimilionera. Mam piękną żonę, która mnie kocha, i pięknego wydawcę, który mnie kocha, a najbardziej sam się kocham. Jestem egoistycznym sukinsynem, literacką prostytutką czy alfonsem - wybór należy do pana - i w ogóle draniem. I w związku z tym, w czym mi pan może pomóc?
- Właśnie, w czym?
- Dlaczego się pan nie obraża?
- Bo nie widzę powodu. Po prostu słucham, jak pan z nienawiścią rozprawia o sobie. To nudne, ale to nie rani moich uczuć.
- Zaśmiał się głośno. - Podoba mi się pan - powiedział. - Napijmy się czegoś.
- - Nie tutaj, przyjacielu. I nie we dwójkę. Nie mam ochoty patrzeć, jak pan wpuszcza w siebie pierwszego drinka. Nikt pana od tego nie może powstrzymać i nie przypuszczam zresztą, by ktoś miał na to ochotę. Ale ja nie muszę panu pomagać.
- Wstał. - Nie musimy pić tutaj. Chodźmy stąd i popatrzmy na tę znakomitą galerię postaci, które się poznaje, kiedy zarabia się tyle tych zasranych pieniędzy, aby mieszkać tam, gdzie oni mieszkają.
- Niech pan da temu spokój. Są tacy sami, jak i cała reszta..
- Może - odparł z niechęcią - ale powinni być inni. A jeśli nie są, to jaki z nich pożytek? Powinni reprezentować jakiś poziom, a są nie lepsi od kierowców ciężarówek śmierdzących tanią whisky. A może nawet gorsi.
- Niech pan da temu spokój - powtórzyłem. - Chce pan się powściekać, to niech pan się po wścieka. Ale niech pan nie składa winy za wszystko na ludzi, którzy jak się wściekają, nie

muszą udawać się na kuracje do doktora Verringera ani im nie odbija tak, by zrzucić własną żonę ze schodów.

- Tak - nagle się uspokoił i zamyślił. - Pan się nadaje, przyjacielu. A może by pan pomieszkał tu jakiś czas z nami? Sama pańska obecność bardzo by mi pomogła.
- Nie widzę, w czym mógłbym panu pomóc.
- Ale ja widzę. Po prostu przez sam fakt swojej obecności. Czy tysiąc miesięcznie odpowiadałby panu? Staję się niebezpieczny, kiedy się upiję. Nie chcę być niebezpieczny i nie chcę się upijać.
- Nie mógłbym panu w tym przeszkodzić.
- Niech pan spróbuje przez trzy miesiące. Skończyłbym tę przeklętą książkę, a później wyjechał gdzieś daleko. Zaszyłbym się gdzieś w szwajcarskich górach i doprowadził do porządku.
- Książka, co? Potrzebuje pan tych pieniędzy?
- Nie. Po prostu muszę skończyć to, co zacząłem. Jeśli tego nie zrobię, to koniec ze mną. Proszę pana jak przyjaciela. Zrobił pan więcej dla Lennox.

- Wstałem, podszedłem do niego i z bliska spojrzałem mu ostro w twarz.

- Przeze mnie zabili Lennox - powiedziałem. - Przeze mnie go zabili.
- Bujda. Niech pan nie próbuje grać na moich uczuciach. - Przyłożył rękę bokiem do szyi. - Potąd mam tego litowania się.

- - Litowania się? Może po prostu życzliwości? Cofnął się i potknął o kant tapczanu, nie tracąc jednak równowagi.

- Niech pana szlag trafi - skomentował całkiem spokojnie - nie. - Sprawa odpada. Naturalnie nie mam o to do pana pretensji. Jest jednak coś, czego pragnąłbym się dowiedzieć, co po prostu muszę wiedzieć. Pan nie wie, co to jest, a ja sam też nie jestem pewien, czy wiem. Mogę tylko powiedzieć, że jest coś takiego i że muszę to wiedzieć.

- O kim? O swojej żonie?

- Wessał wargi. - Myślę, że dotyczy to mnie. No, chodźmy na tego drinka. Podszedł do drzwi, otworzył je na oścież i wyszliśmy. Jeśli zmierzał do tego, by mnie poruszyć, to osiągnął swój cel w całej pełni.

Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy otworzył drzwi, uderzył w nas hałas z living-roomu. Wydawało się, że jest jeszcze głośniejsze niż uprzednio. Byli już o dwie kolejki dalej. Wade pozdrowił parę osób. Wydawało się, że goście odnoszą się do niego serdecznie. Ale na tym etapie powitano go serdecznie Kubę Rozpruwacza. Życie zamieniło im się w jeden wielki wodewil. W drodze do barku natknęliśmy się na doktora Loringa i jego żonę. Doktor wstał i podszedł do Wade'a. Na jego twarzy malowała się wprost chorobliwa nienawiść.

- Cieszę się, że pana widzę, doktorze - pozdrowił go uprzejmie Wade. - Cześć, Linda. Co się ostatnio z tobą działo? Przepraszam, to głupie pytanie. Chciałem...
- Proszę pana - Loring przerwał mu drżącym głosem - chcę panu coś powiedzieć. Coś bardzo prostego i całkowicie jednoznacznego. Niech pan się trzyma z dala od mojej żony.
- Wade popatrzył na niego ze zdziwieniem. - Doktorze, pan musi być zmęczony. I nie ma pan drinka. Zaraz go panu przyniosę.
- Nie piję. Doskonale pan o tym wie. Przyszedłem tu, by panu coś zakomunikować. I chyba rozumie pan, o co mi chodzi.
- No, wydaje mi się, że rozumiem, o co panu chodzi - odrzekł Wade ciągle grzecznym tonem. - Ale ponieważ jest pan gościem w moim domu, nie mam nic do powiedzenia poza tym, iż sądzę, że skierował pan tę uwagę pod niewłaściwym adresem.
- Naokoło zrobiło się cicho. Wszyscy nasłuchiwali. Oczekiwali na tak zwaną wielką scenę. Doktor Loring wyjął z kieszeni rękawiczki, rozpostarł je, wziął jedną z nich za palec i uderzył nią Wade'a w twarz. Ten ani drgnął. - Pistolety i kawa nad ranem? - spytał spokojnie. Spojrzał na Lindę Loring. Poczerwieniała z gniewu. Wolno wstała i obróciła się w stronę drzwi.
- - Mój Boże, jakim ty jesteś nędznym aktorem, kochanie. I przestań się zachowywać jak idiota, mój drogi, dobrze? A może wolisz tu zostać i poczekać, aż tobie da ktoś w twarz?
- Loring zwrócił się ku niej i uniósł rękawiczki. Wade zagroził mu drogę. ~ Niech pan się uspokoi, doktorze. W tych stronach bijamy nasze żony tylko wtedy, kiedy nikt tego nie widzi.
- - Jeśli pan ma na myśli siebie, to mam podstawy, by przypuszczać, że tak jest naprawdę - zadrwił Loring. - A poza tym nie potrzebuję lekcji dobrych manier od pana. - Ja przyjmuję tylko obiecujących uczniów – odparł Wade. - Szkoda, że pan już musi iść. - Podniósł głos: - Candy! Que el Doctor Loring salga de aqui en el acto! - Odwrócił się do Loringa. - Jeśli pan nie zna

hiszpańskiego, doktorze, to oznacza to, iż drzwi znajdują się tam. Zrobił ruch ręką.

- Loring stał bez ruchu i wpatrywał się w niego. - Wade, ostrzegłem pana - powiedział lodowatym głosem. - I sporo ludzi mnie usłyszało. Następnego ostrzeżenia już nie będzie.
- - Nie będzie potrzebne - odparł krótko Wade. - Ale o ile ta historia miałaby się powtórzyć, to na jakimś neutralnym terenie. Pozwoli mi to na swobodniejsze zachowanie. Przykro mi, Lindo. Ale to twój mąż. - Potarł lekko policzek w miejscu, gdzie trafił go koniec rękawiczki. Linda Loring uśmiechała się gorzko. Wzruszyła ramionami.
- - Wychodzimy - oświadczył Loring. - Chodź, Lindo. Usiadła/z powrotem i wzięła do ręki swoją szklaneczkę.
- Rzuciła mężowi spojrzenie pełne cichej pogardy. - Tak, ty musisz wyjść. Masz jeszcze parę wizyt u pacjentów.
- - Idziesz ze mną - rzucił z furją.
- Odwróciła się do niego tyłem. Złapał ją gwałtownie za rękę. Wade chwycił go za ramię i obrócił dookoła.

- Spokojnie, doktorze. Nie zawsze pańskie może być na wierzchu.
- Niech pan mnie nie dotyka!
- Nie ma obawy, niech się pan nie denerwuje. Mam pewien pomysł, może by pan się wybrał do dobrego doktora?

- Ktoś wybuchnął śmiechem. Loring sprężył się w sobie, jak zwierzę gotowe do skoku. Wade wyczuł to, obrócił się tyłem i odszedł. Postawiło to doktora w głupiej sytuacji.

- Gdyby rzucił się na Wade'a, wyglądałby jeszcze bardziej idiotycznie niż w tej chwili. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyjść - co też zrobił. Wpatrzony przed siebie, szybkim krokiem ruszył w kierunku otwartych drzwi, które trzymał Candy, i wyszedł. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Candy zamknął za nim drzwi i wrócił do barku. Podeszedłem i poprosiłem go o Scotcha. Wade gdzieś zniknął. Nie zauważyłem, dokąd poszedł. Nie było też Eileen. Obróciłem się tyłem do pokoju i piłem Scotcha; nie interesowało mnie to, co się działo za moimi plecami. Niewysoka dziewczyna o płowych włosach i przepasce na czole pojawiła się obok mnie, postawiła szklanke na barku i coś tam pisnęła. Candy kiwnął głową i przygotował jej drinka. Obróciła się do mnie i spytała: - Czy pan się interesuje komunizmem? - Szklily jej się oczy; małym, czerwonym językiem oblizywała sobie wargi, jakby spodziewała się znaleźć na nich okruch czekolady. - Uważam, że każdy powinien się tym interesować - ciągnęła. - Ale kiedy tutaj zahacza się w tej sprawie jakiegokolwiek mężczyznę, to zaraz się pcha z łapami. Pokiwałem głową i popatrzyłem znad szklanki na jej zadarty nos i spaloną słońcem twarz.

- Nie żebym się oburzała, kiedy to jest robione w miły sposób - poinformowała mnie,

sięgając po drinka. Wypiła z połowę na raz, ukazując mi przy okazji swój żąb mądrości,

- Niech pani nie liczy na mnie.
- Jak się pan nazywa?
- Marlowe.

- Z „e” na końcu czy bez?
- Z „e” na końcu.

- Ach, Marlowe. Takie piękne nazwisko. - Odstawiła prawie pustą szklanę, zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu, podniosła obie ręce do góry, o mały włos nie trafiając
- mnie w oko, i głosem nabrzmiąłym od wzruszenia wyrecytowała: To dla ciebie kwiat Grecji stanął w zbroi, Tysiąc okrętów z Marsa ruszyło ładunkiem. I spalone zostały dumne wieże Troi! Heleno, daj nieśmiertelność twym pocałunkiem. Otworzyła oczy, chwyciła za szklanę i mrugnęła do mnie.

- To mocna rzecz, przyjacielu. Pisał pan ostatnio jakieś wiersze?
- Niewiele.
- Może mnie pan pocałować, jeśli ma pan ochotę - rzuciła zalotnie.

- Za jej plecami pojawił się facet w marynarce z szantungu, i w koszuli bez krawata i uśmiechnął się do mnie ponad jej głową. Miał krótkie, ryże włosy; jego twarz przypominała przekłuty balonik. Był to jeden z najbrzydszych facetów, jakich w życiu widziałem. Poklepał dziewczynę po głowie.
- - Chodź, kotku, czas już iść do domu. Zaatakowała go z furją. - Chcesz powiedzieć, że musisz podlać te begonie? - krzyknęła.

- Ależ, słuchaj, kotku...
- Nie dotykaj mnie, ty wstrętny zboczeńcu! - wrzasnęła i chlusnęła mu resztką drinka w twarz. Nie było tego więcej niż parę łyków i dwie kostki lodu.
- Na litość Boską, dziecko, przecież ja jestem twoim mężem! - ryknął chwytając za chusteczkę, by wytrzeć twarz. - Dociera to do ciebie? Twoim mężem!

- Zaszlochła spazmatycznie i rzuciła mu się w ramiona. Obszedłem ich naokoło i ruszyłem dalej. Każde cocktailowe przyjęcie jest podobne do siebie i nawet dialogi są takie same.
- Goście żegnali się i zaczęli już wychodzić. Z zewnątrz dochodził warkot zapuszczanych motorów. Głosy ludzkie milkły. Wyszedłem przez oszklone drzwi na kamienny taras. Teren obniżał się w stronę jeziora, które leżało ciche, jak śpiący kot. Stała łódka, przywiązana liną do małego, drewnianego pomostu. W stronę niezbyt oddalonego drugiego brzegu płynęła kurka wodna, wykonując leniwie półkola, jak łyżwiarz. Robiła to tak cicho, że nie było słycać najmniejszego pluśnięcia. Wyciągnąłem się na aluminiowej, miękko wyściełanej leżance i paląc spokojnie fajkę zastanawiałem się, co ja tu właściwie robię. Wyglądało na to, iż Roger Wadę dostatecznie panuje nad sobą, by odpowiednio się zachować, jeśli mu na tym rzeczywiście zależy. W zajściu z Loringiem spisał się bardzo dobrze. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby strzelił go w ten mały, wystający podbródek. Może pogwałciłby w ten sposób niepisany kod postępowania, ale przecież postępowanie Loringa było w najwyższym stopniu prowokujące. Jeśli zasady postępowania w ogóle jeszcze coś dziś znaczą, to na pewno to, że w pokoju pełnym ludzi mężczyzna nie powinien grozić innemu i bić go po twarzy rękawiczką ani oskarżać stojącej obok żony, że przyprawia mu rogi. Jak na człowieka, który się jeszcze nie otrząsnął na dobre ze skutków trzydniówki, Wadę zachował się więcej niż dobrze. Naturalnie nie widziałem go, kiedy był pijany. Nie wiadomo, jak by postąpił w takim stanie. W gruncie rzeczy nie wiedziałem nawet, czy rzeczywiście jest alkoholikiem. A to bardzo istotne. Człowiek, który czasami wypije za dużo, jest ciągle tym samym człowiekiem, jakim był po trzeźwemu. Alkoholik, prawdziwy alkoholik, kiedy się Upije, staje się zupełnie kimś innym. Nie można o nim powiedzieć nic pewnego poza tym, że będzie się zachowywał całkiem inaczej niż po trzeźwemu. Z tyłu za mną słycać było lekkie kroki; Eileen Wadę przeszła przez taras i usiadła obok mnie, na brzegu leżanki.

- No, i co pan o tym sądzi? - zapytała cicho.
- O dżentelmenie z rękawiczkami?
- Nie. - Zmarszczyła się, a potem zaśmiała. - Nie znoszę ludzi, którzy urządzają takie teatralne sceny. Trzeba przyznać jednak, że jest doskonałym lekarzem. Odegrał tę scenę z połową mężczyzn w naszej dolinie. Linda nie jest puszczalska. Nie mam pojęcia, dlaczego doktor Loring postępuje w ten sposób.
- Może jest wyleczonym pijakiem - odparłem. - Wielu z nich zachowuje się w okropnie purytański sposób.
- To możliwe. - Popatrzyła w stronę jeziora. - To bardzo ciche miejsce. Można by sądzić, że pisarz powinien być tu szczęśliwy - o ile oczywiście pisarz może być gdziekolwiek szczęśliwy. - Obróciła się w moim kierunku. - Więc pan się nie da namówić na to, o co Roger pana prosił?
- To nie miałyby sensu. Nie byłbym w stanie w niczym mu pomóc. Mówiłem już o tym uprzednio. Nie ma żadnej gwarancji, że znalazłbym się na miejscu wtedy, kiedy byłbym potrzebny. Ataki szału następują całkiem niespodziewanie. Musiałbym więc być na miejscu cały czas, a to jest niemożliwe, nawet gdybym nie miał nic innego do roboty. Nie dostrzegam jednak żadnych objawów, które by wskazywały, że może wpaść w szal. Wydaje mi się, że od tej strony

wszystko jest w porządku.

- Opuściła głowę. - Gdyby mógł skończyć tę książkę, to myślę, że wszystko by się bardzo poprawiło.
- - Nie mogę mu w tym pomóc.
- Popatrzyła na mnie, oparła ręce o brzeg leżanki i pochyliła się lekko do przodu. - Może pan, skoro on tak sądzi. A to najważniejsze. A może panu przeszkadza to, iż przebywałby pan w naszym domu jako gość i otrzymywał za to pieniądze?

- - Proszę pani, on potrzebuje psychiatry. Oczywiście dobrego psychiatry, a nie jakiegoś szarlatana.
- Wyglądała na zaskoczoną. - Psychiatry? Dlaczego? Wystukałem popiół z fajki i czekałem, aż się cybuch ostudzi, by ją odłożyć.
- - Jeśli pani chce usłyszeć opinię laika, to proszę. Pani mąż myśli, że gdzieś w jego podświadomości tkwi zagadka, której nie może rozszyfrować. Może to być coś, co świadczy źle o nim samym bądź o kimś innym. Sądzi, że pije właśnie dlatego, iż nie może poznać tej tajemnicy. Prawdopodobnie wyobraża sobie również, że to coś wydarzyło się, jak był pijany, i że będzie w stanie dojść do tego upijając się na umór, tak jak mu się to zdarza. Tym się powinien zająć psychiatra.
- Gdyby ta hipoteza nie odpowiadała prawdzie, to należy przyjąć, iż się upija, bo ma na to ochotę albo nie może nic na to poradzić. A ten pomysł z tajemnicą stanowi pewnego rodzaju wymówkę. Nie potrafi napisać tej książki, a w każdym razie nie może jej skończyć, ponieważ się upija. Ale może być również odwrotnie.

- Och, nie. Roger jest bardzo utalentowany. Jestem przekonana, że nie napisał dotąd swojej najlepszej książki.
- Powiedziałem pani, że jest to zdanie laika. Poprzednio zastanawiała się pani, czy nie przestał pani kochać. To wydaje mi się jeszcze jedną sprawą, która może przedstawiać się akurat odwrotnie.

- Spojrzała w stronę domu, a później obróciła się do niego tyłem. Skierowałem wzrok w tym samym kierunku. W drzwiach stał Wadę i obserwował nas. Po chwili wszedł za barek i sięgnął po butelkę.
- - Nie ma sensu się wtrącać - rzuciła szybko. - Nigdy tego nie robię. Nigdy. Prawdopodobnie ma pan rację. Nie można mu nic pomóc i trzeba czekać, aż sam da sobie z tym radę.
- Fajka już ostygła i mogłem ją odłożyć. - Skoro poruszamy się w gruncie rzeczy na oślep, to wróćmy jeszcze do tej ostatniej sprawy, która może przedstawiać się akurat na odwrót.
- - Kocham mego męża - odpowiedziała po prostu. - Może nie tak, jak kocha młoda

dziewczyna. Ale kocham go.

Kobieta jest młodą dziewczyną tylko raz w życiu. Mężczyzna, którego wtedy kochałam, nie żyje. Zginął na wojnie. To dziwne, ale miał te same inicjały, co pan. To nie ma znaczenia dzisiaj - tyle że czasami nie jestem w stanie uwierzyć, iż nie żyje. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Taki zresztą był los wielu mężczyzn.

- Popatrzyła na mnie przenikliwie. - Czasami - to się oczywiście zdarza rzadko - kiedy wchodzę do cichej sali cocktailowej czy do westybulu dobrego hotelu w spokojnej porze albo kiedy idę pokładem statku pasażerskiego wcześniej rano bądź późno wieczorem, wydaje mi się, że go ujrzę czekającego na mnie w jakimś zacienionym kącie. - Przerwała i spuściła oczy. - To bardzo głupie. Wstydzę się tego. Byliśmy bardzo zakochani - to była tajemnicza, nieprawdopodobna miłość od pierwszego wejrzenia, która zdarza się tylko raz w życiu. Przeszła mówić i siedziała w milczeniu, jakby w transie, patrząc na jezioro. Spojrzałem na dom. Wadę stał ze szklanką w ręku za otwartymi drzwiami. Przeniosłem wzrok za Eileen. Dla niej przestałem w ogóle istnieć. Wstałem i ruszyłem w stronę domu. Wadę zagradzał mi drogę, a jego oczy miały dziwny wyraz.
- Jak panu idzie z moją żoną? - powiedziane to było szyderczym głosem.
- Nie dobieierałem się do niej, jeśli o to panu chodzi.
- Tak - właśnie o to mi chodzi. Poprzedniego wieczoru pocałował ją pan. Wydaje się panu, że jest pan szybkim Billem, ale, przyjacielu, marnuje pan czas. Nawet gdyby dysponował pan właściwą ogładą.
- Chciałem go wyminąć, ale zagroził mi drogę swym
- masywnym ramieniem. - Nie odchodź, przyjacielu - powiedział. - Cieszymy się, gdy jesteś z nami. Tak mało prywatnych detektywów bywa w naszym domu.
- - Ja należę do tych, którzy tu nie powinni bywać. Podniósł szklankę i napił się, po czym odjął ją od ust i popatrzył na mnie szyderczo.
- Powinien pan z tym zaczekać, by wzmocnić odporność organizmu - odezwałem się. - Sądzi pan, że to puste słowa, co?
- Wspaniale, mentorze. Widzę, że, z pana wyśmienity znawca charakteru. Ale powinien pan wiedzieć, że pijaków nie da się wychować. Nieuchronnie rozpadają się na kawałki. Część tego procesu jest jednak nad wyraz przyjemna. - Napił się ponownie, wypróżniając szklankę prawie do dna. - A inna z kolei jest makabryczna. Lecz jeśli wolno mi zacytować błyskotliwe powiedzenie zacnego doktora Loringa, sukinsyna nad sukinsyny, niech pan zostawi moją żonę w spokoju. Jestem pewien, że się panu podoba. Tak jak wszystkim mężczyznom. Ma pan ochotę się z nią przespać. Inni też. Chciałby pan z nią przeżywać, przyjacielu - a tu nic, nic, nic. Człowiek

zostaje sam w ciemnościach.

- Dopił i postawił szklanę do góry dnem.
- - Tam jest pusto, Marlowe. Tam nic nie ma. Ja wiem, co mówię.
- Postawił szklanę na brzegu barku i ruszył sztywno w stronę schodów. Pokonał kilkanaście stopni, trzymając się poręczy, przystanął i spojrzał na mnie z kwaśnym uśmiechem.

- Niech mi pan wybaczy ten niezbyt dowcipny sarkazm. Pan jest sympatycznym gościem. Nie chciałbym, by się panu coś przytrafiło.

- Na przykład co?

- Być może nie zdążył pan jeszcze usłyszeć o niezapomnianej magii jej pierwszej miłości - o tym facecie, który zaginął w Norwegii. Nie chciałby pan zginąć, przyjacielu, co? Jest pan moim własnym, prywatnym detektywem. Odnajduje pan mnie zagubionego w pięknym, dzikim Sepulveda Canyon. - Pociągnął dłonią po wypolerowanej poręczy. - Byłoby dla mnie bardzo bolesne, gdyby pan zaginął. Jak ten facet, który przebywał wśród Anglików. Tak się zagubił, że człowiek się czasem zastanawia, czy on w ogóle istniał. A może go wymyśliła, by mieć coś do zabawy?

- - Skąd mógłbym to wiedzieć?
- Popatrzył na mnie. Między oczami rysowały mu się głębokie bruzdy, a wykrzywione usta miały gorzki wyraz.
- - Skąd ktokolwiek może to wiedzieć? Może ona sama nie wie. Dziecko jest zmęczone. Dziecko za długo się bawiło połamanymi zabawkami. Dziecko chce powiedzieć: pa-pa.
- Ruszył w górę schodami. Pozostałem na miejscu aż do momentu, kiedy Candy wszedł i zaczął robić porządki wokół barku, zbierając szklanki na tacę i sprawdzając, czy coś nie zostało w butelkach. Wydawało mi się, że nie zwracał na mnie uwagi. Niespodziewanie odezwał się: - Señor, jest jeszcze jeden drink. Szkoda byłoby go zostawić. - Podniósł butelkę do góry.

- Wypij sam.
- Gracias, señor, no me gusta. Un vaso de cerveza, mas. Szklanka piwa to wszystko, czym jestem zainteresowany.
- Bardzo rozsądnie.
- Jeden moczomorda w domu, to dość - powiedział, wpatrując się we mnie. - Mówię dobrze

po angielsku, nie?

- Naturalnie, bardzo dobrze.
- Ale myślę po hiszpańsku. Czasami przy pomocy noża. Szef nie potrzebuje żadnej pomocy, hombre. Ja się nim zajmuję, rozumiesz?
- Wspaniale wywiązujesz się z tego obowiązku, gnojku.
-
- -Hijo de la flauta - warknął, a białe zęby błysnęły mu jak u wilka. Podniósł naładowaną tacę i oparł na ramieniu i na dłoni, tak jak robią to chłopcy roznoszący napoje w autobusach.
- Wyszedłem na dwór, zastanawiając się, w jaki sposób wyrażenie oznaczające „syna fletu” mogło się stać obrazą w języku hiszpańskim. Zastanawiałem się jednak niezbyt długo, bo miałem zbyt dużo innych problemów na głowie. Kłopot z rodziną Wade’ów polegał nie na alkoholu. Alkohol był tylko reakcją na inne sprawy. Później tego samego wieczoru, między dziewięcią trzydziestą i pięćdziesiątą, zatelefonowałem do Wade’ów. Po ośmiu sygnałach odwiesiłem słuchawkę; ale ledwie zdjąłem rękę z aparatu, zadzwoniono do mnie. Była to Eileen Wade.
- Ktoś przed chwilą dzwonił - powiedziała. - Przyszło mi do głowy, że to może być pan. Właśnie szykowałam się, by wziąć prysznic.
- Tak, to ja dzwoniłem, ale to nic ważnego. Roger mówił trochę bez ładu i składu, kiedy wychodziłem, no i pomyślałem sobie, że zadzwonię. Wygląda na to, iż zaczynam odczuwać coś w rodzaju odpowiedzialności za niego.
- Wszystko w porządku - odparła. - Poszedł do łóżka i twardo śpi. Wydaje mi się, że doktor Loring zdenerwował go bardziej, niż to okazywał. Na pewno naopowiadał panu masę głupstw.
- Oświadczył, że jest zmęczony i chce iść do łóżka. Wydawało mi się to bardzo sensownym pomysłem.
- Jeśli to wszystko, co panu powiedział, to tak. No, dobranoc, i dziękuję, że pan zadzwonił.
- - Nie twierdziłem, że to wszystko, co powiedział. Nastąpiła chwila ciszy, po czym: - Każdy z nas wpada
- od czasu do czasu na jakieś fantastyczne pomysły. Niech pan nie traktuje Rogera zbyt poważnie. Ma bardzo bujną wyobraźnię. To zrozumiałe. Nie powinien być pić po swoich ostatnich przygodach. Niech pań o tym wszystkim zapomni. Prawdopodobnie zachowywał się też niegrzecznie w stosunku do pana. - Nie był dla mnie niegrzeczny. Mówił całkiem do rzeczy. Pani mąż jest facetem, który potrafi spojrzeć na siebie i prawidłowo ocenić to, co widzi. To rzadka umiejętność. Większość ludzi przechodzi przez życie, zużywając masę energii, by bronić godności, której nigdy nie posiadali. Dobranoc pani. Powiesiła słuchawkę, a ja rozłożyłem szachownicę. Napelniłem fajkę, poustawiałem figurki, sprawdziłem, jak się prezentują, i rozegrałem partię Gorczakow - Meninkin - z turnieju mistrzów - remis po siedemdziesięciu dwu ruchach. Jest to klasyczny przykład zmagania żywiołowego ataku z upartą obroną; taka bitwa bez

broni, bezkrwawa wojna, a jednocześnie wyszukane marnotrawstwo ludzkiej inteligencji, które można porównywać tylko z pracą w agencji reklamowej.

Rozdział dwudziesty piąty

Przez cały tydzień nie wydarzyło się nic; zajmowałem się prowadzeniem biura, w którym zresztą było niewiele do roboty. Któregoś ranka zadzwonił George Peters z Organizacji Carne'a i powiedział, że był w okolicy Sepulveda Canyon i z ciekawości zajrzał do zakładu doktora Verringera. Doktora już tam nie było. Kilka zespołów mierniczych przygotowywało teren do parcelacji. Ci, z którymi rozmawiał, nie słyszeli nawet o Verringerze. - Biednego frajera wystawili do wiatru - powiedział Peters. - Sprawdziłem. Dali mu tysiąc dolarów za akt zrzeczenia się, po prostu by zaoszczędzić sobie czasu i wydatków, a teraz ktoś będzie co roku wyciągał milion ze

- sprzedaży działek budowlanych. Różnica między zbrodnią i interesem polega na tym, że do interesu trzeba mieć kapitał. Czasami myślę, że to jest jedyna różnica. ~ Dość cyniczna uwaga - zauważyłem - ale przecież działalność kryminalna na wielką skalę też wymaga kapitału.
- - A skąd on pochodzi, przyjacielu? Nie od facetów, którzy napadają na sklepy z napojami alkoholowymi. Cześć. Do zobaczenia.
- W czwartek za dziesięć jedenasta zadzwonił do mnie Wadę. Głos miał niewyraźny, prawie że bełkotał, ale poznałem go. Z telefonu dochodził jego krótki, świszczący oddech.
- - Kiepsko się czuję. Bardzo kiepsko. Chyba wysiadam. Niech pan tu przyjedzie jak najszybciej.
- ~ Dobrze, ale przedtem chciałbym jeszcze porozmawiać chwilę z pana żoną. Pominął to milczeniem. Usłyszałem taki dźwięk, jakby coś ciężkiego upadło, po czym nastąpiła zupełna cisza, a po chwili doszły mnie odgłosy jakby przewracanych mebli. Krzyknąłem coś do słuchawki, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Po jakimś czasie słuchawka została odłożona. Parę minut później byłem już w drodze. Dojazd zabrał mi niewiele więcej niż pół godziny i do dziś nie wiem, jak mi się to udało. Przejechałem przełęcz jak na skrzydłach i kiedy dotarłem do Ventura Boulevard, miałem czerwone światła, skręciłem więc w lewo, poslalomowałem między ciężarówkami, zachowując się oczywiście jak skończony idiota. Przejechałem Encino z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, oświetlając ręcznym reflektorem końce masek zaparkowanych wozów, co miało powstrzymać tych, którzy by chcieli nagle ruszyć z miejsca. Sprzyjało mi szczęście, jak to zwykle bywa, gdy człowiek z niczym się nie liczy. Żadnych glin, syren czy sygnałów czerwonym światłem.
- W wyobraźni jawiły mi się obrazy tego, co mogło się dzieć w rezydencji Wadę'ów ~ niezbyt przyjemne obrazy. Znajdowała się samotnie w domu z pijanym maniakiem, leżała przy schodach ze złamanym karkiem, zamknięta w pokoju drżała ze strachu, a ktoś za drzwiami szalał i starał się włamać do środka, uciekała boso po oświetlonej księżycem drodze przed potężnym

Murzynem z tasakiem w ręku. Nic z tych rzeczy. Kiedy skręciłem z drogi na wjazd do Wade'ów, dom był cały oświetlony, a Eileen stała w drzwiach z papierosem w ustach. Wsiadłem i po wykładanej kamieniami ścieżce ruszyłem w jej kierunku. Była ubrana w szorty i sportową koszulkę. Patrzyła na mnie z zupełnym spokojem. Jeśli ktoś tu był zdenerwowany, to tylko ja. Pierwsza rzecz, którą powiedziałem, była tak samo bezsensowna, jak i całe moje zachowanie. - Wydawało mi się, że pani nie pali.

- - Co? Rzeczywiście, zdarza mi się to rzadko. – Wyjęła z ust papierosa, rzuciła na ziemię i przydeptała. - Roger dzwonił do doktora Verringera.
- Było to powiedziane równym, całkowicie spokojnym głosem.
- - Nie mógł tego zrobić - odparłem - bowiem doktor Verringer już się wyprowadził. Pani mąż zadzwonił do mnie.
- - Co pan mówi? Słyszałam tylko, jak telefonował i prosił kogoś, by szybko przyjechał. Myślałam, że to był doktor Verringer.

- Gdzie pani mąż?
- Upadł - odrzekła. - Musiał przechylić krzesło zbyt & silnie do tyłu. Zdarzało mu się to już uprzednio. Skaleczył sobie głowę. Trochę krwawi, ale niezbyt mocno.

- - To dobrze. Nie chcielibyśmy przecież, żeby było pełno krwi. Pytałem panią, gdzie się teraz znajduje.

- Popatrzyła na mnie z powagą. Po czym wskazała ręką. - Gdzieś tam. Koło drogi albo w krzakach przy ogrodzeniu. Pochyliłem się do przodu, by lepiej jej się przyjrzeć. - Na litość Boską, nie szukała go pani? - Doszedłem w tym momencie do wniosku, że znajdowała się w szoku. Obróciłem się i zlustrowałem spojrzeniem trawnik. Niczego na nim nie było, ale koło ogrodzenia dostrzegłem coś ciemnego. - Nie, nie szukałam - odparła całkiem spokojnie. - Niech go pan sam poszuka. Więcej nie jestem w stanie wytrzymać. Przebrała się miarka. Niech go pan sam poszuka. Obróciła się i weszła do domu, zostawiając drzwi otwarte. Nie uszła daleko. Ledwie je przekroczyła, osunęła się na podłogę i leżała bez ruchu. Podniosłem ją i ułożyłem na jednej z kanap stojących przy stoliku cocktailowym. Wziąłem ją za rękę i zmierzyłem puls. Nie wydawał się słaby czy nierówny. Oczy miała zamknięte, a powieki niebieskie. Zostawiłem ją i wyszedłem. Wade'a rzeczywiście odnalazłem tam, gdzie powiedziała. Leżał na boku w cieniu hibiskusa. Puls miał przyspieszony i oddychał chrapliwie. Włosy z tyłu głowy były lepkie. Zacząłem do niego mówić i lekko nim potrząsałem, po czym parę razy uderzyłem go po twarzy. Coś tam mamrotał, ale nie odzyskał przytomności. Posadziłem go, a następnie przerzuciłem jego lewą rękę przez ramię i chwytając go jeszcze za nogę spróbowałem unieść na plecach. Bez powodzenia. Obydwaj usiedliśmy na trawie. Był ciężki jak kamień młyński. Chwilkę odpocząłem i spróbowałem jeszcze raz. Udało mi się nareszcie przewiesić go sobie przez ramię

i ruszyłem na trzęsących się nogach w kierunku domu. Wydawało mi się, że przechodzę Afrykę po równiku, a dwa stopnie ganku - to był Everest. Zatoczyłem się w kierunku kanapki, uklęknąłem i zdjąłem go z pleców. Kiedy się wyprostowałem, miałem takie wrażenie, jakby mi pękł kręgosłup przynajmniej w trzech miejscach. W pokoju nie zastałem nikogo. Eileen musiała już wyjść. Byłem tak zmordowany, że nie interesowałem się zupełnie tym, gdzie znajdowali się inni domownicy. Usiadłem i - przypatrując się Wade'owi - próbowałem złapać oddech. Głowę miał usmarowaną krwią, która zlepiła mu włosy. Nie wydawało mi się to jednak specjalnie groźne, choć przy ranach głowy nigdy nie ma pewności. Niespodziewanie pojawiła się Eileen i zaczęła spokojnie przyglądać się swojemu mężowi z takim samym wyrazem chłodu, jak poprzednio.

- Przykro mi, że zemdlałam - oświadczyła. - Sama nie wiem, jak to się stało.
- Myślę, że trzeba będzie sprowadzić doktora.
- Zadzwoń do doktora Loringa. On jest moim lekarzem, wie pan, ale nie chciał przyjść.
- No, to niech pani spróbuje kogoś innego.
- Loring przyjdzie. Początkowo nie chciał, ale w końcu obiecał, że przyjdzie, jak tylko będzie mógł.
- A gdzie jest Candy?
- Dziś ma wolne. Czwartek. Kucharka i Candy mają dziś wolne. W tych stronach to jest ogólnie przyjęte. Czy będzie pan mógł zatańczyć go na górę?
- Potrzebuję pomocy. Niech pani się postara o jakiś pled czy koc. Noc jest ciepła, ale przy tego rodzaju sprawach bardzo łatwo dostać zapalenia płuc.

- Powiedziała, że się tym zajmie. Pomyślałem, że to bardzo ładnie z jej strony, ale byłem tak nieludzko zmordowany, że mózg nie funkcjonował mi zbyt sprawnie. Przykryliśmy go ciepłym pledem; po piętnastu minutach zjawił się Loring, w sztywnym kołnierzyku i okularach bez oprawek. Miał wyraz twarzy człowieka, którego poproszono, by posprzątał po psie, który zwymiotował. Obejrzał głowę Wade'a. - Powierzchowne przecięcie

- i stłuczenia - zaopiniował. - Nie zachodzi obawa o wstrząs mózgu. Sądzę, że jego oddech wskazuje dość wyraźnie na stan, w jakim się znajduje. Włożył kapelusz i sięgnął po swoją czarną torbę lekarską.

- Trzeba go trzymać w ciepłe. Może pani delikatnie obmyć mu głowę z krwi. Jak się prześpi, to poczuje się lepiej.
- Nie jestem w stanie przenieść go sam na górę, doktorze - wtrąciłem się.
- To proszę go zostawić tu, gdzie się znajduje. - Popatrzył na mnie bezbarwnym wzrokiem.
- Dobranoc pani. Jak pani wie, nie zajmuję się alkoholikami. A nawet gdybym się zajmował, to pani mąż nie byłby moim pacjentem. Jestem pewien, że pani to rozumie...

- Nikt pana nie prosi, by podjął się pan jego kuracji - powiedziałem. - Proszę o pomoc, by móc go zanieść do sypialnego, gdzie go będę mógł rozebrać.
- A właściwie kim pan jest? - spytał lodowato doktor.
- Nazywam się Marlowe. Byłem tu na cocktailu tydzień temu. Pańska żona przedstawiła mnie panu.
- To ciekawe. Skąd pan zna moją żonę?
- A cóż to ma za znaczenie, do cholery? Po prostu chcę...
- Nie jestem ciekaw, czego pan chce - przerwał mi. Zwrócił się do Eileen, lekko skłonił i ruszył ku wyjściu. Stałem między nim i drzwiami.
- Chwileczkę, doktorze. Zapewne musiało już upłynąć sporo czasu od momentu, kiedy pan ostatni raz miał do czynienia z przysięgą Hipokratesa. Wade wezwał mnie telefonicznie, a ja mieszkam dość daleko stąd. Odniosłem wrażenie, iż jest z nim źle, i złamałem wszystkie przepisy drogowe tego stanu, starając się przybyć tu jak najszybciej. Znalazłem go leżącego na ziemi i przyniosłem tu, może mi pan wierzyć, że nie jest piórkiem. Służący ma wychodne i nikt nie może pomóc wnieść Wade'a na górę. Co mi pan teraz powie?

- Niech mnie pan przepuści - wycedził przez ściśnięte zęby. - Albo zadzwonię do szeryfa i poproszę, żeby przysłał kogoś. Jako lekarz...
- Jako lekarz, to pan nadaje się jedynie do zakładów oczyszczania miasta - przerwałem mu, cofając się nieco, by mógł przejść. Jego twarz zaczęła się powoli pokrywać rumieńcem. Zakrztusił się własną zółcią. Otworzył drzwi i wyszedł. Zamknął je za sobą bardzo starannie. Ale nim to zrobił, popatrzył na mnie. Było to jedno z najpaskudniej-szych spojrzeń, jakim mnie w życiu obdarzono. Jego twarz też pozostawiała wiele do życzenia w tym względzie.

- Wracając od drzwi zobaczyłem, jak Eileen się uśmiecha.

- Co tu zabawnego? - warknąłem.
- Pan. Pan się nie liczy z tym, co pan mówi ludziom. Nie wie pan, kim jest doktor Loring?
- Owszem - wiem również, czym jest.

- Spojrzała na zegarek. - Candy powinien być już w domu. Zobaczę, czy nie ma go w jego pokoju za garażem. Wyszła, a ja usiadłem i przypatrywałem się potężnemu ciału chrapiącego Wade'a. Miał twarz spoconą, ale nie zdjąłem z niego pledu. Po chwili Eileen wróciła; przyprowadziła Candy'ego.

Rozdział dwudziesty szósty

Candy miał na sobie biało-czarną koszulę w kratę, czarne szorty bez paska oraz czarno-białe buty z cielęcej skóry, idealnie czyste. Jego gęste, czarne włosy, błyszczące od jakiegoś olejku czy brylantyny, były zaczesane do góry.

- Señor - powiedział i wykonał ukłon, szyderczo się uśmiechając.
- Candy, pomóż panu Marlowe'owi zanieść mego męża. na górę. Przewrócił się i trochę skaleczył. Przykro mi, że zatrudniam cię dzisiaj.
- De nada, señora - odparł Candy z uśmiechem.

- - A teraz powiem panu dobranoc - powiedziała Eileen.
- - Jestem ogromnie zmęczona. Candy zaraz zajmie się panem.
- Zaczęła wolno wchodzić schodami. Candy i ja odprowadzaliśmy ją wzrokiem.

- Niezła lalka, co? - powiedział z przekonaniem. - Zostanie pan na noc?
- Raczej nie.
- Es lastima. Jest bardzo samotna.
- Masz niezdrowy błysk w oku, chłopcze. Połóżmy to ciało do łóżka.
- Pobrecito - wymamrotał; wydawało się, że rzeczywiście tak myśli. - Borracho como una cuba.

- - Pijany jest na pewno, ale mały to nie. Weź go za nogi. Podnieśliśmy go, ale nawet dźwigany przez nas dwóch
- wydawał się ciężki jak ołowiana trumna. Weszliśmy po schodach i ruszyli otwartym balkonem. Candy wskazał podbródkiem jakieś drzwi.
- - La señora - szepnął. - Niech pan lekko zapuka, może pana wpuści.
- Pozostawiłem to bez odpowiedzi, ponieważ był mi potrzebny. Wnieśliśmy Wade'a przez następne drzwi i ułożyli na łóżku. Chwyciłem Candy'ego za ramię przy stawie barkowym, w miejscu, które przy mocnym chwycie jest bolesne. Mój chwyt był mocny. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu, a potem stężała.

- Jak się nazywasz, cholo?
- Niech pan mnie natychmiast puści - warknął. - proszę mnie nie nazywać cholo. Ja nie jestem żadnym pętakiem. Nazywam się Juan Garcia de Soty y Sotomayor i jestem Chilijczykiem.

- - Dobra, Don Juanie. Nie próbuj mi tylko podskakiwać. A kiedy mówisz o swoich

pracodawcach, wyrażaj się we właściwy sposób.

- Wyrwał się i cofnął parę kroków; w czarnych oczach rozblęła wściekłość. Sięgnął pod koszulę i wyciągnął długi, cienki nóż. Balansował nim prawie bez patrzenia, opierając go ostrym końcem o przegub. W pewnej chwili opuścił rękę i w powietrzu złapał nóż za trzonek. Było to zrobione bardzo szybko i bez jakiegokolwiek wysiłku. Następnie podniósł rękę na wysokość ramienia i wyprostował do przodu, a nóż pozęglował przez pokój i wbił się w drewnianą ramę okienną.
- - Cuidado, señor - zaszydził. - I niech pan łapy trzyma przy sobie. Ze mną nie ma żartów.
- Sprężystym krokiem przeszedł pokój, wyrwał nóż z ramy, podrzucił go do góry, obrócił się na palcach i złapał go za plecami. W sekundę później zniknął mu z powrotem pod koszulą.
- - Zgrabne - powiedziałem - ale takie bardziej na pokaz.
- Podszedł do mnie uśmiechając się kpiąco.
- - A przy okazji - ciągnąłem - można zarobić złamanie łokcia. O tak.
- Chwyciłem go za prawy nadgarstek, szarpnąłem, stanąłem za nim nieco z boku, podstawiłem zgięte ramię pod jego staw łokciowy i używając swego ramienia jak dźwigni - zacząłem wyginać mu rękę.
- - Jedno szarpnięcie - rzuciłem - i twój staw łokciowy trzaska. To wystarcza, abyś wysiadł na parę miesięcy jako specjalista od noża. Nieco mocniejsze szarpnięcie i jesteś wykończony na dobre. Zdejmij buty pana Wade'a.

- Puściłem go; uśmiechnął się do mnie i powiedział: - To dobry trik. Zapamiętam go sobie. Obrócił się do leżącego, sięgnął po jeden z jego butów i nagle się zatrzymał. Na poduszce znajdowała się plama krwi.

- Kto tak urządził szefa?
- Nie ja, przyjacielu. Upadł i rozciął sobie głowę. Nie-głęboko. Doktor go już widział.

- Candy wolno wypuścił powietrze z płuc. - Pan widział, jak on padał?
- - To miało miejsce, nim się tu pojawiłem. Lubisz swego szefa, co?
- Nie odpowiedział. Zdjął Wade'owi buty. Po czym powoli rozebraliśmy go, a Candy wyciągnął z komody zielonosre-brzystą piżamę. Nałożyliśmy mu ją, zapakowali do łóżka i dobrze okryli. Ciągle jeszcze był spocony i chrapał. Candy spojrzał na niego ze smutkiem i wolno pokiwał głową.

- Ktoś powinien się nim zaopiekować. Ja na razie pójdę się przebrać.
- Prześpij się, a ja się nim zajmę. Gdy będę cię potrzebował, to cię zawołam.

- Spojrzał na mnie. - Niech pan się nim zaopiekuje dobrze - powiedział spokojnie. - Bardzo dobrze. Wyszedł. Udałem się do łazienki, namoczyłem myjkę i wziąłem ręcznik kąpielowy. Lekko obróciłem Wade'a, przykryłem poduszkę ręcznikiem i delikatnie starłem mu krew z głowy. Miał ostre, ale płytkie przecięcie, nie dłuższe niż jakieś pięć centymetrów. Nie wyglądało na nic poważnego. Doktor Loring miał rację przynajmniej na tyle. Zapewne nie zaszkodziłoby je zeszyć, ale w gruncie rzeczy nie było to konieczne. Znalazłem nożyczki i wystrzygłem włosy naokoło rany, by można było przylepić leukoplast. Po czym obróciłem Wade'a na plecy i umyłem mu twarz. To był chyba błąd.
- Otworzył oczy. W pierwszej chwili miał wzrok mętny i nie bardzo widział, co się wokół niego dzieje. Później oczy zrobiły się przytomniejsze i dostrzegł mnie obok łóżka. Podniósł rękę do głowy i wymacał leukoplast. Coś tam zamamrotał niewyraźnie, a po chwili głos mu się wzmocnił.
- Kto mnie uderzył? Pan? - Pomacał ręką leukoplast.
- Nikt pana nie uderzył. Przewrócił się pan.
- Przewróciłem się? Kiedy? Gdzie?
- Tam, skąd pan telefonował. Zadzwoił pan do mnie. Słyszałem, jak pan pada. Przez telefon.
- Dzwoniłem do pana? - Twarz mu się wykrzywiła w uśmiechu. - Zawsze można na pana liczyć, co? Która to godzina?
- Już po pierwszej.
- Gdzie jest Eileen?
- Poszła spać. Miała ciężki dzień.
- Chwilę się nad tym zastanawiał. W oczach miał wyraz bólu. - Czy ja... - przerwał i zmarszczył się.
- Nie wyrządził pan jej najmniejszej krzywdy, o ile to pan ma na myśli. Wyszedł pan po prostu z domu i stracił przytomność koło płotu. Niech pan przestanie gadać i dobrze się prześpi.
- Sen - powiedział spokojnie i cicho, jak dziecko powtarzające lekcje. - A cóż to takiego?

- Może jakiś środek pomógłby panu? Ma pan coś?
 - Jest w nocnym stoliku.
- Wyciągnąłem szufladę i znalazłem w niej plastikową buteleczkę z czerwonymi tabletkami. Seconal. Recepta była wystawiona przez doktora Loringa. Dla pani Wade. Wysypałem dwie tabletki, schowałem buteleczkę z powrotem do szuflady i nalałem do szklanki wody z termosu stojącego na nocnym stoliku. Oświadczył, - że jedna tabletka wystarczy. Połknął ją, popił i leżał na plecach, wpatrując się w sufit. Czas mijał.
- Siedziałem na krześle i obserwowałem go. Nie robił wrażenia sennego. W pewnym momencie odezwał się: - Coś mi się przypomniało. Czy pan mi może wyświadczyć przysługę? Napisałem takie różne bzdury i nie chcę, by-je Eileen zobaczyła. Znajdują się na maszynie do pisania, pod pokrywą. Niech pan je podrze.
- Dobrze. I to wszystko, co panu się przypomniało?
 - Z Eileen wszystko w porządku? Jest pan tego zupełnie pewien?
 - Tak. Jest po prostu zmęczona. Niech pan się niczym nie przejmuję. I przestanie rozmyślać. Nie powinienem był odzywać się do pana.
 - Przestań rozmyślać, powiada pan. - Głos teraz miał już lekko senny. Brzmiało to tak, jakby mówił sam do siebie. - „Przestań myśleć, przestań marzyć, przestań kochać, przestań nienawidzić. Dobranoc, słodki książę”. Wezmę tę drugą tabletkę.
- Dałem mu ją razem z wodą do popicia. Znów się wyciągnął na wznak, tym razem z głową obróconą tak, by mógł na mnie patrzeć. - Marlowe, napisałem coś takiego, co nie chciałbym, by wpadło Eileen do ręki.
- Już pan mi to mówił. Zajmę się tym, kiedy pan zaśnie.
 - Bardzo dziękuję. Cieszę się, że pan jest ze mną. Bardzo się cieszę.
- Nastąpiła znów dłuższa cisza. Zaczynały mu ciężać powieki.
- Zabił pan kiedyś człowieka?

- Tak.
- To chyba okropne uczucie, co?

- - Niektórym ludziom sprawia to przyjemność. Zamknęły mu się oczy. Ale zaraz otworzył je ponownie, choć wzrok miał już mętny. - Czy to możliwe?
- Nie odpowiedziałem. Powieki opuszczały mu się powoli jak kurtyna w teatrze. Zaczął chrapać. Poczekiałem jeszcze chwilę, przyciemniłem światło w pokoju i wyszedłem.

Rozdział dwudziesty siódmy

Zatrzymałem się przed drzwiami pokoju Eileen i zacząłem nasłuchiwać. Nie dochodziły żadne odgłosy ze środka, więc nie zapukałem. Jeśli chciała wiedzieć, jak czuje się jej mąż, to mogła się sama przekonać. Living-room na dole był jasno oświetlony i pusty. Zgasiłem parę świateł, stanąłem w pobliżu drzwi wejściowych i spojrzałem na balkon. Środkowa część living-roomu sięgała pełnej wysokości domu; w górze przechodziły belki, które podtrzymywały balkon. Sam balkon był szeroki i miał z obydwu stron wysokie, solidne metalowe kraty. Poręcz i pręty, o kwadratowym przekroju, harmonizowały kształtem z belkami w living-roomie. Do jadalnego wchodziło się przez podwójne, rozsuwane drzwi. Powyżej znajdowały się prawdopodobnie pokoje służby. Do tej części pierwszego piętra można było się dostać innymi schodami, prowadzącymi od strony kuchni. Sypialnia Wade'a znajdowała się w kącie ponad jego gabinetem. Na wysokim suficie odbijało się dochodzące stamtąd światło; mogłem też dostrzec górną część otwartych drzwi. Zgasiłem wszystkie światła z wyjątkiem stojącej lampy i wszedłem do gabinetu. Drzwi były zamknięte, ale paliła się lampa przy obitym skórą tapczanie oraz lampa z abażurem na biurku. Maszyna do pisania stała na solidnym stoliku; blat biurka pokryty był niedbale porzrzuconymi kartkami żółtego papieru. Usiadłem na wyściełanym krześle i zacząłem się uważnie rozglądać po pokoju. Chciałem dojść do tego, w jaki sposób rozciął sobie głowę. Przesiadłem się z kolei w fotel stojący za biurkiem, mając telefon po lewej ręce. Odchyłał się do tyłu, ale sprężyna była naciągnięta bardzo słabo. Gdybym przechylił się do tyłu i wywrócił, mógłbym się uderzyć głową o kant biurka. Namoczyłem chusteczkę i potarłem drewno. Nie było na nim krwi. Na biurku znajdowała się masa różnych rzeczy, włączając w to sporo książek ustawionych między dwoma brązowymi słoniami oraz szklany staromodny kałamarz. Na przedmiotach nie było żadnych śladów. Nie należało się zresztą spodziewać niczego, bowiem jeśli Wade został uderzony przez kogoś, to przedmiot użyty do tego celu nie musiałby się przecież znajdować w tym pokoju. No, a poza tym nie było nikogo, kto mógłby tego dokonać. Wstałem i zapaliłem boczne światła. Kąty pokoju zostały teraz oświetlone i okazało się, że odpowiedź jest całkiem prosta. Przy ścianie, przewrócony na bok, leżał metalowy kosz na śmiecie, a obok walały się papiery, które z niego wypadły. Ponieważ nie mogłem się sam przenieść, więc należało przypuszczać, że został tam przez kogoś rzucony bądź kopnięty. Przetarłem chusteczką ostre kandy kosza. Tym razem pojawiła się na niej czerwień.

Nie było żadnej tajemnicy. Wadę musiał przewrócić się do tyłu i uderzyć głową o ostry kant kosza - prawdopodobnie niezbyt mocno; po czym podniósł się i kopnął draństwo na drugą stronę pokoju. Proste. A później nalał sobie drugiego drinka. Na cocktailowym stoliku przed tapczanem stała jedna pusta i jedna rozpoczęta butelka, termos z wodą i srebrna miska z lodem, w której teraz była woda. Dostrzegłem tylko jedną dużą szklankę. Po wypiciu drinka poczuł się widocznie trochę lepiej. Zauważył, być może, że słuchawka jest odłożona, ale nie bardzo już pamiętał, w jakim celu używał telefonu. Przeszedł więc pokój i umieścił słuchawkę z powrotem na widelkach. Telefon wywiera wprost hipnotyczny wpływ na współczesnego człowieka. Zakochany w różnych wynalazkach, ma do niego stosunek uczuciowy - jednocześnie nienawidzi i boi się go. A z zasady ma do niego szacunek, nawet kiedy jest pijany. Telefon stał się fetyszem. Każdy normalny człowiek powiedziałby coś do tubki

- przed jej odłożeniem - na wszelki wypadek. Może z wyjątkiem faceta, który za dużo wypił i przed chwilą się wywrócił. Zresztą nie miało to znaczenia. Słuchawkę mogła też odłożyć jego żona; usłyszała najpierw, jak padał, a później, jak kopnięty przez niego kosz uderzył o ścianę - i weszła do gabinetu. W tym momencie ostatni drink zadziałał i - Wadę wytoczył się z domu, jakoś przebrnął trawnik i stracił przytomność, tam, gdzie go znalazłem. Ktoś miał do niego przyjechać. Ale nie pamiętał już kto. Może poczciwy doktor Verringer. Do tej pory wszystko trzymało się kupy. Ale jak się zachowuje jego żona? Nie potrafi dać sobie z nim rady, a do tego prawdopodobnie boi się bliższego z nim kontaktu. Jest więc zmuszona zwrócić się do kogoś z prośbą o pomoc. Ponieważ służba była nieobecna, należało przypuszczać, że skorzysta z telefonu. No, i tak się stało - zadzwoniła do tego przemilego doktora Loringa. Przyjąłem, że zrobiła to po moim przybyciu, ale przecież nie powiedziała kiedy to nastąpiło. Od tego momentu jednak sprawy się nieco skomplikowały. Można było przypuszczać, że będzie go szukać i znalazłszy, zainteresuje się, co mu jest. Nic by mu się zapewne nie stało, gdyby w gorącą, letnią noc poleżał trochę na ziemi. Nie mogła go ruszyć. Samemu mi to przyszło z najwyższym-trudem. Ale było dziwne, że stała w otwartych drzwiach z papierosem w ręku, nie bardzo właściwie wiedząc, gdzie się jej mąż znajduje. A może nie było to takie dziwne? Nie wiedziałem, jakie miała z nim doświadczenia, na ile był niebezpieczny w tym stanie i na ile bała się podejść do niego. Kiedy przyjechałem, powiedziała: - Niech go pan sam poszuka. - A później weszła do domu i zemdląła. Ciągłe nie dawało mi to spokoju, ale na razie nie byłem w stanie nic mądrzejszego wymyślić. Musiałem przyjąć, że w podobnej sytuacji znajdowała się już wiele razy i wiedziała, że nic na to nie może poradzić - jakakolwiek interwencja była bezcelowa. Niech leży na ziemi, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto będzie w stanie nim się zająć. Ale nadal to mnie nie zadowalało. A poza tym, dlaczego poszła do swego pokoju, zostawiając Candy'ego i mnie, byśmy zataszczyli go na górę do łóżka. Powiedziała, że kocha faceta. Wyszła za niego za mąż, ich małżeństwo trwało już pięć lat, a on po trzeźwemu był naprawdę sympatycznym gościem - tak sama powiedziała. Kiedy się upił, stawał się kimś innym, kogo należało unikać, bo był niebezpieczny. No dobra, dajmy temu spokój. Ale jednak ciągle nie dawało mi to spokoju. Jeśliby naprawdę się bała, to nie stałaby w otwartych drzwiach paląc papierosa. Jeśli zaś była rozczarowana i zniechęcona, to nie zemdląłaby. Musiało być jeszcze coś innego. Może jakaś kobieta. Ale jeśli tak, to dowiedziała się o tym niedawno. Linda Loring. Może. Podobnie sądził doktor Loring i dał temu publicznie wyraz. Przestałem o tym rozmyślać i zdjąłem

przykrywę z maszyny do pisania. Jego notatki rzeczywiście leżały na wierzchu - parę stron maszynopisu na żółtym papierze. Miałem je zniszczyć, by Eileen ich nie zobaczyła. Wziąłem je na tapczan i doszedłem do wniosku, że należy mi się drink przy czytaniu. Przy gabinecie znajdowała się łazienka z prysznicem. Wypłukałem dużą szklankę, nalałem sobie dobrą miarkę i zasiadłem do lektury. To było coś niebywałego. Oto ten tekst:

Rozdział dwudziesty ósmy

„Są jeszcze cztery dni do pełni księżyca, a kwadratowa płachta poświęty ze ściany patrzy na mnie jak wielkie, ślepe, mleczone oko - oko ze ściany. To żart, beznadziejnie głupie porównanie. Pisarstwo. Każdą rzecz trzeba porównywać z czymś innym. Głowę mam tak lekką jak bity krem, ale nie tak słodką. Jeszcze jedno porównanie. Zbiera mi się na wymioty, kiedy myślę o tym obrzydliwym kancie. Mógłbym zresztą zwymiotować i bez tego. I pewnie tak się stanie. Nie przyciskaj mnie. Daj mi trochę czasu. Robaki w splocie słonecznym poruszają się, poruszają, poruszają. Czułbym się lepiej w łóżku, ale wtedy pod łóżkiem zaczęłoby się kręcić i szurać to czarne zwierzę, aż wreszcie wyprężyłoby grzbiet i wyrzuciło łóżko od spodu; wydałbym wtedy okrzyk, którego by nikt poza mną nie słyszał. Okrzyk ze snu, z koszmarnego snu. Nie ma się czego bać, i ja się nie boję, bo nie ma się czego bać, ale kiedyś właśnie tak leżałem w łóżku i to czarne zwierzę dawało mi się we znaki, uderzając w łóżko od dołu, a ja miałem wytrysk. To wywołało we mnie większe obrzydzenie, niż jakakolwiek z tych obrzydliwych rzeczy, które robiłem. Jestem brudny. Muszę się ogolić. Trzęsą mi się ręce. Poce się okropnie. Okropnie pachnę. Mam mokrą koszulę pod pachami, na piersiach i na plecach, a rękawy są przepecone w fałdach na łokciach. Szklanka na stole stoi pusta. Gdybym chciał do niej nalać w tej chwili, to musiałbym to zrobić obydwoma rękami. Może jeszcze jeden zrobiłby mi dobrze. Smak Scotcha jest jednak przeraźliwy. I nic by mi to w końcu nie dało. Nie będę nawet mógł usnąć i cały świat będzie mi jęczał w torturze udręczonych nerwów. To dobre, co, Wade? To dobre przez pierwsze dwa, trzy dni, a później jest źle. Cierpi się i popija, i na krótko jest lepiej, ale przez cały czas trzeba płacić coraz wyższą i wyższą cenę, a otrzymuje się za nią coraz mniej i mniej. A później następuje taki moment, kiedy nie ma już nic, tylko nudności. Wtedy wzywa się Verringera. A więc, doktorze, niech pan mnie oczekuje. Ale już nie ma Yerringera. Pojechał na Kubę albo nie żyje. Królowa go zabiła. Biedny, stary Verringer, cóż za marny los - umrzeć w łóżku z królową, tego rodzaju królową. No, wstawaj, Wade, pójdziemy sobie w świat. Do takich miejsc, w których nigdy nie byliśmy, a do tych, w których byliśmy, nigdy już nie powrócimy. Czy to ostatnie zdanie ma sens? Nie. Dobra, nie proszę przecież, by mi za nie zapłacono. Tutaj następuje krótka przerwa na długą reklamę. No i poszło. Cóż ze mnie za wspaniały mężczyzna. Podszedłem do tapczana, ukląknę przy nim i trzymając głowę w rękach, rozplakałem się. A później zacząłem się modlić - i pogardzałem sobą za tę modlitwę. Do kogo się modlisz, idioto? Kiedy modli się człowiek, który się dobrze czuje, to jest to wiara. A kiedy chory człowiek się modli, to jest po prostu wystraszony. Modlitwa to bzdura. Żyjesz w świecie, który sam stworzyłeś i który sam tworzysz przy niewielkiej pomocy z zewnątrz - też będącej twoim dziełem. Przestań się modlić, kretynie, zwlecz się z łóżka i naley sobie tego drinka. Już jest za późno na cokolwiek: innego. No i nalałem sobie. Obydwoma rękami. Nic prawie nie wylewając. Teraz sztuka polega na tym, by go nie zwymiotować. Może dodać trochę wody? A

teraz trzeba go ostrożnie podnieść i pić powoli, niewielkimi łykami. Robi mi się ciepło, gorąco. Gdybym się tak nie pociał. Szklanka jest pusta. Znów stoi na stole. Księżyc jest przesłonięty chmurami, ale mimo to stawiam tę szklankę na stole ostrożnie, bardzo ostrożnie, jakbym wkładał pęk róż do wysokiego, wysmukłego wazonu. Kwiaty róż uginają się pod ciężarem rosy. Może jestem różą. Chryste, jaki ja jestem pełen tej rosy. No, a teraz trzeba się dostać na górę. Może strzelimy sobie jeszcze jednego na drogę. Nie? Dobra, jak sobie życzysz. Wypiję na górze, kiedy się tam znajdę. Jeśli się tam znajdę - tą nadzieją powinienem żyć. Za wejście na górę będzie mi się należała nagroda. Wyrazy uznania ode mnie dla mnie. Tak pięknie kocham sam siebie i ~ jakaż radość - nie mam rywali. Podwójny odstęp w maszynopisie. Byłem na górze i zszedłem na dół. Nie podobało mi się na górze. Wysokość powoduje, że serce bije mi jak młotem. Ale nie odchodzę od maszyny do pisania. Jakim magikiem jest podświadomość! Żeby tylko pracowała regularnie. Na górze też była poświata. Prawdopodobnie ten sam księżyc. Jest dziwnie monotony. Przychodzi i odchodzi, jak mleczarz, a mleko z księżyca jest zawsze takie samo. Mleko z księżyca jest zawsze - chwileczkę, przyjacielu. Coś ci się poplątało. To nie pora, by zajmować się historią księżyca. Znasz przecież dość historyjek związanych z tą przeklętą doliną. Spała cicho na boku, z podciągniętymi kolanami. Wydawało mi się, że za cicho. Ja zawsze wydaję jakieś dźwięki; kiedy śpię. Może to nie jest sen, tylko starania, by usnąć. Gdybym podszedł bliżej, to mógłbym się zorientować. A przy okazji upaść. Jedno z jej oczu otworzyło się, ale może mi się tylko tak wydawało. Popatrzyła na mnie, ale pewnie to było złudzenie. Tak. Mogłaby usiąść i spytać: Czy jesteś chory, kochanie? Tak, jestem chory, kochanie. Ale zupełnie się tym nie przejmuj, kochanie, bo ta choroba to moja choroba, a nie twoja choroba; śpij spokojnie i uroczo i niczym się nie przejmuj; niech nic brudnego nie przejdzie ode mnie do ciebie, a wszystko, co jest przykre, szare i brzydkie, niech cię omija. Jesteś grafomanem, Wadę. Trzy przymiotniki, ty zakichany twórco. Nie możesz nawet pisać strumieniem świadomości, grafomane, bez władowania trzech przymiotników? Zszedłem znów na dół, trzymając się poręczy. Przy każdym kroku wydawało mi się, że wypadną mi kiszki; trzymały się w ciele jedynie na słowo honoru. Pokonałem wszystkie trzy etapy: zejście na parter, dotarcie do gabinetu i ułożenie się na tapczanie; czekałem, żeby mi się uspokoiło serce. Butelka była pod ręką. Trzeba przyznać,

że Wadę umie to organizować bezbłędnie - butelka jest zawsze pod ręką. Nikt jej nie chowa, nikt nie zamyka pod kluczem. Nikt też nie mówi: Czy nie sądzisz, kochanie, że to już dość? Przecież to ci szkodzi, kochanie». Nikt tego nie mówi. Dałem Candy'emu zbyt dużo pieniędzy. Błąd. Powinienem był rozpocząć od paczki fistaszków i dojść do banana. A potem dawać mu trochę prawdziwych pieniędzy, od czasu do czasu i nie za dużo; trzeba, żeby mu bardzo zależało na forsie. A jak na początek dało mu się taki duży zastrzyk, to wkrótce będzie uważał, że powinien mieć w tym udział. W Meksyku mógłby żyć przez miesiąc, nie żałując sobie niczego, za pieniądze, które tu wydaje przez jeden dzień. No, a co zrobił, kiedy otrzymał ten udział? Ale czy człowiek ma kiedykolwiek dość pieniędzy, jeśli uważa, iż jest w stanie uzyskać ich więcej? Może to jest w porządku, a może powinienem zabić tego sukinsyna o błyszczących oczach. Skoro z mojej winy umarł porządny człowiek, to dlaczego śmierć nie miałyby osiągnąć karalucha w białej marynarce? Zresztą mniejsza o Candy'ego. Jest zawsze sposób na stępienie igły. Tej drugiej nigdy nie zapomnę. Wyrzyła się ognistymi literami na mojej wątrobie. Trzeba zatelefonować. Zaczynam wysiadać. Czuję, jak skaczą, skaczą, skaczą. Trzeba będzie szybko do kogoś zadzwonić, nim te różowe stworzenia zaczną mi chodzić po twarzy. Trzeba zadzwonić, zadzwonić, zadzwonić. Zadzwonić do Sue z Sioux City. Halo, poproszę centralę zamiejscową.

Halo, zamiejskowa, proszę mnie połączyć z Sue z Sioux City. Jaki jest jej numer? Nie mam numeru, tylko imię. Odnajdzie ją pani spacerującą po zacienionej stronie Dziesiątej Ulicy pod wysokimi zbożowymi drzewami, z których wyrastają rozłożyste kłosa... Dobrze, proszę pani, dobrze. Niech pani wszystko odwoła i niech pani pozwoli, bym pani coś powiedział, a właściwie o coś się pani spytał. Kto zapłaci za te wszystkie eleganckie przyjęcia, które Gifford urządza w Londynie, jeśli pani odwoła moją międzymiastową? Pani nie ma powodu, by obawiać się o swoją pracę? To pani się tylko tak wydaje. Wie pani co, myślę, że powinienem porozmawiać bezpośrednio z Giffordem. Niech pani mnie z nim połączy. Służący przyniósł mi właśnie herbatę. Jeśli nie może rozmawiać, to wyślemy kogoś, kto będzie mógł. Właściwie po co to wszystko napisałem? O czym to starałem się nie myśleć? Trzeba zadzwonić. Zaraz. Jestem w bardzo złym stanie, naprawdę w bardzo...

* * *

To było wszystko. Złożyłem tych parę kartek i wsadziłem je do wewnętrznej kieszeni marynarki, za portfel. Podeszedłem do oszklonych drzwi, otworzyłem je szeroko i wyszedłem na taras. Światło księżyca już nie było takie piękne. Ale w Idle Valley trwało lato, a lato nigdy nie może całkowicie stracić swego uroku. Stałem, patrząc na zastygłe w bezruchu i wyprane z barwy jezioro i rozmyślałem. Nagle usłyszałem strzał.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Na balkonie widać było światło dochodzące z dwojga otwartych drzwi - z pokoju Eileen i Rogera. Jej pokój był pusty. Z jego sypialni dochodziły odgłosy zmagania. Jednym skokiem znalazłem się w środku i zobaczyłem Eileen nachyloną nad łóżkiem i zmagającą się z mężem.

W górze błysnął czarny rewolwer, trzymany przez dwie ręce: dużą - męską i małą - kobietą. Roger siedział w łóżku i napierał ciałem do przodu. Eileen była ubrana w jasnoniebieski, pikowany szlafrok; włosy przysłaniały jej twarz. W tym momencie chwyciła rewolwer drugą ręką i szybkim ruchem wyszarpnęła go, co, choć był osłabiony, musiało wymagać zdumiewająco dużo siły. Obsunął się na łóżko, ciężko dysząc i sapiąc, a ona cofnęła się do tyłu i wpadła na mnie. Stała tak, opierając się o mnie i przyciskając rewolwer obydwoma rękami do ciała. Trzęsła się od spazmatycznego płaczu. Objąłem ją w pół i położyłem rękę na rewolwerze. Obróciła się, jakby dopiero teraz dostrzegła mnie. Oczy jej się rozszerzyły i poczułem, jak zwisa mi na rękę. Puściła rewolwer. To była ciężka, nieporęczna broń - Webley bez kurka. Lufa była ciepła. Podtrzymawałem Eileen jedną ręką, a drugą wpuściłem rewolwer do kieszeni, patrząc na Wade'a ponad jej głową. Nikt się nie odzywał. Po chwili na jego ustach pojawił się ten znany i już zmęczony uśmiech. - Nikomu się nic nie stało - wymamrotał - Po prostu przypadkowy strzał w sufit. Poczulem, jak Eileen wraca do siebie - wyprostowała się i stanęła o własnych siłach. Wzrok już miała normalny. - Roger - wyszeptwała zdławionym głosem - czy musiało się tak stać? Wpatrywał się w nią z napięciem, polizął wargi, ale nie odpowiedział. Podeszła do toaletki, oparła się o nią i machinalnie odgarnęła włosy z twarzy. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz; pokiwała parę razy głową. - Roger - szepnęła ponownie. - Biedny Roger. Biedny, nieszczęsny Roger. Wade zaczął się znów

wpatrywać w sufit. - Miałem koszmarny sen - powiedział wolno. - Ktoś z nożem w ręku

- pochylał się nad moim łóżkiem. Nie mam pojęcia kto. Był trochę podobny do Candy'ego. Ale to przecież nie mógł być on.
- Naturalnie, że nie, kochanie - powiedziała łagodnie, siadając na brzegu łóżka. Wyciągnęła rękę i zaczęła go gładzić po czole. - Candy poszedł już dawno spać. I po cóż byłby mu nóż?
- To Meksykanin. Oni wszyscy noszą noże - odparł Roger tym samym beznamiętnym, bezbarwnym głosem. - Po prostu przepadają za nożami. A on mnie nie lubi.
- - Nikt pana nie lubi - rzuciłem brutalnie. Odwróciła głowę w moją stronę. - Bardzo pana proszę, niech pan do niego tak nie mówi. On nie wiedział. Miał jakąś zmurę...
- Gdzie był rewolwer? - warknąłem, nie zwracając na Wade'a żadnej uwagi, tylko pilnie obserwując Eileen.
- W szufladzie w stoliku nocnym. - Obrócił głowę i nasze oczy się spotkały, W szufladzie nie było rewolweru; zdawał sobie sprawę z tego, że ja wiem o tym. Leżały w niej tabletki i różne drobiazgi, ale rewolweru nie było.
- Albo może pod poduszką - dodał. - Nie bardzo sobie przypominam. Strzeliłem raz - podniósł z wysiłkiem rękę i wskazał - o tam.
- Spojrzałem w górę. Rzeczywiście w suficie można było zauważyć dziurę. Podeszedłem bliżej, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Tak, mogła pochodzić od pocisku. Jeśli został wystrzelony z rewolweru Wade'a, to przebił sufit i utkwiał gdzieś na strychu. Podeszedłem znów do łóżka i popatrzyłem zimno na niego.
- - Bzdura. Pan chciał się zabić. Nic koszmarnego panu się nie śniło. Zaczął się pan okropnie litować nad sobą. Nie miał pan rewolweru pod ręką - ani w szufladzie, ani pod poduszką. Więc musiał pan wstać, by go wziąć. Po czym położył, się pan z powrotem i szykował, by skończyć z sobą, ale chyba nie starczyło panu odwagi. Strzelił pan na ślepo, nie mierząc do niczego konkretnego. W tym momencie nadbiegła pańska żona - to właśnie było panu potrzebne. Pragnął pan po prostu współczucia i sympatii. I nic więcej. Nawet zapasy były w gruncie rzeczy udawane. Żona nie mogłaby panu zabrać rewolweru, gdyby pan rzeczywiście nie chciał go oddać.
- Jestem chory - odparł. - Być może, że ma pan rację. Ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Owszem, ma. Mogliby pana wsadzić na oddział dla psychopatów. Ludzie, którzy tam pracują, są tak samo sympatyczni - może mi pan wierzyć - jak strażnicy w więzieniach o zastrzonym reżimie.
- Eileen nagle się poderwała. - Niech pan przestanie - rzuciła ostro. - On jest chory, pan dobrze o tym wie.
- On chce być chory. Uświadamiam mu po prostu, jakie mogą być konsekwencje.
- Nie pora na to.
- Proszę wrócić do swego pokoju.
- Jej niebieskie oczy zabłyśły. - Jak pan śmie...
- - Niech pani wraca do swego pokoju. Chyba iż chce pani, bym zawołał policję. O tego rodzaju historiach należy ich zawiadamić.
- Wadę uśmiechnął się lekko. - Jasne, trzeba zawołać policję. Tak jak pan to zrobił w wypadku Terry'ego Lennox. Nie podjąłem tego tematu. Ciągle przyglądałem się Eileen. Robiła wrażenie zmęczonej i wyczerpanej, ale wyglądała prześlicznie. Gniew już jej minął. - Wszystko w porządku - powiedziałem. - Więcej już tego nie robi. Niech pani wraca do łóżka. Popatrzyła na męża przeciągle i wyszła z pokoju. Kiedy zniknęła za drzwiami, usiadłem na brzegu łóżka na opróżnionym przez nią miejscu.
- Chce pan wziąć coś na sen?
- Nie, dziękuję. Nie muszę spać. Czuję się o wiele lepiej.
-
- Czy miałem rację z tym strzałem? To była tylko taka zagrywka..
- Coś w tym rodzaju - odwrócił głowę. - Chyba nie bardzo wiedziałem, co robię.
- Nikt nie jest w stanie powstrzymać pana od popełnienia samobójstwa, jeśli rzeczywiście ma pan na to ochotę. Zdaje pan sobie z tego sprawę tak samo dobrze, jak i ja.
- Tak.,- Ciągle spoglądał na bok. - Czy pan zrobił to, o co pana prosiłem? - spytał. - Chodzi mi o te zapiski w maszynie.
- Owszem. Dziwię się, że pan o tym pamięta. To dość zwariowany tekst. Ale czysto napisany.

- Ja zawsze piszę starannie - obojętnie czy po pijanemu, czy na trzeźwo - w każdym razie do jakiegoś momentu.
 - Niech pan się nie przejmuj Candy - ciągnąłem. - Nie ma pan racji z tym, że on pana nie lubi. Nie jest też prawdą to, co ja powiedziałem - że nikt pana nie lubi. Chciałem tylko wytrącić z równowagi i rozzłościć pańską żonę.
 - Dlaczego?
 - Już raz udawała dzisiaj zemdloną.
-
- Pokiwał przecząco głową. - Eileen nigdy nie mdleje.
 - - No, to odegrała zemdenie. To mu było bardzo nie w smak.
 - - Co to było z tym człowiekiem, który jakoby poniósł śmierć przez pana?
 - Zmarszczył się, rozmyślając nad tym. - Takie bzdury. Wspomniałem już panu, iż śniło mi się...
 - - Mam na myśli tę historię, którą pan napisał na maszynie.
 - Spojrzał na mnie, obracając na poduszce głowę, jakby była z ołowiu. - A to jeszcze inny sen.
-
- No, to spróbujmy od innej strony. Czy Candy wie coś, co by mogło pana skompromitować?
 - Daj pan temu spokój - powiedział i opuścił powieki.
 -
-
- Wstałem i zamknąłem drzwi. - Czy chce pan wiecznie uciekać? Candy może z powodzeniem być szantażystą, a przy tym zachowywać się w miły sposób, to znaczy okazywać panu sympatię, a jednocześnie wyciągać pieniądze od pana. Co się za tym kryje - kobieta?
-
- Pan uwierzył temu durniowi Loringowi - odparł z zamkniętymi oczyma.
 - No, może niezupełnie. A jak właściwie wygląda ta sprawa z siostrą jego żony - tą, która nie żyje?
-
- To był strzał w ciemno, ale okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Rozwarł szeroko oczy, a na ustach pojawiła mu się ślina.
-
- Czy dlatego... pan tu się znalazł? - zapytał szeptem.

- Sam pan wie; Zaproszono mnie. To przecież pan sam mnie zaprosił.
- Zaczął kręcić głową na poduszce, tam i z powrotem. Mimo seconalu zjadały go nerwy. Twarz miał pokrytą potem;
- - Nie jestem jedynym kochającym mężem, który przespał się z czyjąś żoną. Niech pan da mi spokój, do cholery.
- Wziąłem ręcznik z łazienki i wytarłem twarz. Uśmiechnąłem się do niego szyderczo. Zachowywałem się jak skończony drań. Wiadomo, należy poczekać, aż facet znajdzie się w dołku, i wtedy dać mu kopniaka, a później - jeszcze jednego. Jest przecież słaby, nie może się bronić ani oddać.
- Będziemy musieli wkrótce obszerniej o tym pogadać.
- Znam lepsze pomysły.
- To panu się tylko tak wydaje.
- Żyję w piekle.
- Nie wątpię. To widać. Ale powstaje pytanie dlaczego? Proszę, niech pan to weźmie. - Wyjąłem jeszcze jeden seconal z szufladki stoliczka nocnego i podałem mu razem ze szklanką wody. Uniósł się na łokciu i wyciągnął rękę po szklankę, ale rozminął się z nią o dobre dziesięć centymetrów. Wetknąłem mu ją do ręki. Udało mu się trochę popić i przełknąć tabletkę. Opadł z powrotem na plecy i leżał bez ruchu, z twarzą pozbawioną wyrazu. Można by przypuścić, że nie żyje. Tego wieczoru nie zanosiło się, by miał kogoś zrzucić ze schodów. W gruncie rzeczy nie wyglądało na to, by taka sytuacja mogła się kiedykolwiek powtórzyć.
- Kiedy powieki zaczęły mu opadać, wyszedłem z pokoju. Webley obciągał mi kieszeń; czułem jego wagę na biodrze. Zszedłem na dół. Drzwi do pokoju Eileen były otwarte. Wewnątrz było ciemno, ale światło księżyca było na tyle jasne, by można było dostrzec jej sylwetkę tuż za drzwiami. Zawołała - zabrzmiało to jak imię. Ale nie moje. Podeszedłem do niej.
- - Niech pani mówi ciszej - poprosiłem. - Wreszcie zasnął.
- - Byłam zawsze pewna, że wrócisz - wyszeptała. - Choć minęło już dziesięć lat. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Ktoś z nas dwojga miał źle w głowie.
- - Zamknij drzwi - dodała pieszczotliwym tonem. - Przez te wszystkie lata żyłam myślą o tobie.
- Zrobiłem to. Wydało mi się to w tym momencie słusznym posunięciem. Kiedy podeszedłem do niej, zaczęła padać w moją stronę. Złapałem ją. Po prostu nie było wyjścia. Przyłgnęła do mnie całym ciałem, a jej włosy zakryły mi twarz. Podesunęła usta do pocałunku. Cała drżała. Opuściła ręce i jednym pociągnięciem rozpięła cały szlafrok. Stała goła, tak jak ją stworzyła matka natura. Z tym że do natury doszło jeszcze zaproszenie.
- - Połóż mnie na łóżku - szepnęła.

- Zrobiłem to. Obejmując ją, czułem jej ciepłą, gładką skórę - ciało spragnione pieśczoły. Uniosłem ją i złożyłem na łóżku. Trzymała mnie za szyję. Jej oddech stał się świszczący. Zaczęła się więc i pojękiwać. Oblało mnie warem. Byłem jak ogier w ogniu. Zacząłem tracić panowanie nad sobą. Nie otrzymuje się tego rodzaju zaproszeń dla tego rodzaju kobiety zbyt często. Uratował mnie Candy. Usłyszałem ciche skrzypnięcie i odwróciwszy się zdążyłem jeszcze dostrzec obracającą się klamkę w drzwiach. Oderwałem się od Eileen i wyskoczyłem na zewnątrz. Zobaczyłem, jak Candy gna hallem, a później zlatuje na dół. W połowie schodów stanął, obrócił się w moim kierunku i wykrzywił twarz w szyderym uśmiechu. W następnym momencie już go nie było. Wróciłem do drzwi - z łóżka dochodziły mnie dziwne dźwięki. Takie to na mnie sprawiało teraz wrażenie - dziwne dźwięki. Czar prysnął. Tym razem zamknąłem drzwi od zewnątrz. Szybko zszedłem na dół, udałem się do gabinetu i chwyciłem butelkę Scotcha. Kiedy już miałem dość, oparłem się dysząc o ścianę i czekałem, aż mnie przepali w środku i dojdzie do głowy. Minęło już dużo czasu od kolacji - to znaczy od ostatniego fragmentu wydarzeń, który by można uznać za normalny. Whisky zaczęła uderzać do głowy; piłem tak długo, aż cały pokój wydał mi się jakby za mgłą; meble pozamieniały miejsca, a światło lampy raz wyglądało jak ognisko w lesie, a raz jak zygzak błyskawicy na letnim niebie. Uwaliłem się jak długi na skórzanej kozetce, starając się utrzymać butelkę na piersiach. Miałem wrażenie, iż jest pusta. Stoczyła się i uderzyła o podłogę. To była ostatnia rzecz, którą zarejestrowałem.

Rozdział trzydziesty

Promień słońca połaskotał mnie w nogę. Otworzyłem oczy i zobaczyłem koronę drzewa łagodnie poruszającą się na tle błękitnego nieba, powleczonego leciutką mgiełką.

- Przewróciłem się na bok i dotknąłem policzkiem skóry. Miałem wrażenie, jakby ktoś rozwalil mi głowę toporem. Uniosłem się. Zrzuciłem pled, którym byłem przykryty, i postawiłem nogi na podłodze. Spojrzałem z niechęcią na zegar. Pokazywał szóstą dwadzieścia dziewięć. Zacząłem wstawać. Wymagało to sporo charakteru, nie mówiąc już o silnej woli. Wysilek był poważny, bowiem nie miałem już tych sił, co kiedyś. Dobrze mnie przemełły twarde, trudne lata. Udało mi się dojść do łazienki, zdjąłem krawat i koszulę i obydwoma rękami chlusnąłem zimną wodą na twarz i głowę, po czym, ociekający wodą, zacząłem się energicznie nacierać ręcznikiem. Ubrałem się i sięgnąłem po marynarkę. Rewolwer w kieszeni zadzwieczał uderzony o ścianę. Wyjąłem go, odciągnąłem cylinder na bok i wysypałem pociski na rękę. Pięć pełnych i jedna poczerniała łuska. Pomyślałem, że to i tak nie ma znaczenia, bo przecież pociski można zawsze bez trudu dostać, i wsadziłem je z powrotem do cylindra. Rewolwer schowałem do szuflady biurka. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że w drzwiach stoi ubrany bardzo czysto i starannie Candy. Biała marynarka elegancko kontrastowała z jego czarnymi, błyszczącymi włosami, zaczesanymi do tyłu. Tylko w oczach miał wyraz goryczy.
- Czy życzy pan sobie kawy?

- Chętnie.
- Zgasilem światła. Z szefem wszystko w porządku. Śpi. Zamknąłem drzwi do jego pokoju.

Dlaczego pan się spał?

- Musiałem.
- Nie wyszło panu z nią, co? - zadrwił. - Wyrzuciła pana na zbity łeb.
- Niech ci będzie.
- Coś nie jest pan taki twardy dzisiejszego ranka. Zmięła panu rura.
-

- Przynieś wreszcie tę przeklętą kawę! - ryknąłem na niego.
- Hijo de la puta!

- Podskoczyłem i chwyciłem go za ramię. Nawet się nie ruszył. Popatrzył tylko na mnie wzgardliwie. Zaśmiałem się i puściłem go. - Masz rację, Candy, zmięła mi rura. Obrócił się i wyszedł. Wkrótce pojawił się z powrotem ze * srebrną tacą, na której znajdował się srebrny imbryk, cukier, śmietanka i ładna, w trójkąt złożona serwetka. Postawił tacę na stoliku cocktailowym i zabrał pustą butelkę oraz parę innych drobiazków. Podniósł jeszcze jedną butelkę z podłogi.

- - Kawa jest świeża, przed chwilą zrobiona – powiedział i wyszedł z pokoju.
- Wypiłem dwie filiżanki, nie dolewając sobie śmietanki. Później spróbowałem papierosa. W porządku. Ciągle jeszcze należałem do człowieczej rodziny. Candy pojawił się ponownie.

- Chce pan śniadanie? - spytał ponuro.
- Nie, dziękuję.
- To dobra, niech pan się stąd zmywa. Nie chcemy pana tu widzieć.
- My, to znaczy kto?

- Otworzył pudełko z papierosami i wyjął jednego. Zapalił go i wyzywająco puścił kłęb dymu w moją stronę.

- Opiekuję się szefem - powiedział.
- I nieźle z niego ciągniesz?

- Zmarszczył się, a po chwili kiwnął głową. - O tak, dobrze zarabiam.

- A ile masz na boku - za trzymanie języka za zębami?
- No entendido - rzucił po hiszpańsku.
- Doskonale rozumiesz. No, ile? Zakładam się, że więcej niż dwie paczki.
- Co to znaczy dwie paczki?
-
- - Dwieście dolców.
- Wykrzywił twarz w uśmiechu. - Niech pan mi da dwie paczki, panie detektyw, bo inaczej powiem szefowi, że widziałem, jak pan wychodził wczoraj wieczorem z pokoju jego żony.
- - Za te pieniądze można kupić parę pęczków takich gówniarzy jak ty.
- Nie zareagował na to. - Szef robi się bardzo gwałtowny, kiedy wpada we wściekłość. Radzę panu zapłacić.
- - Niczym nie gardzisz - powiedziałem ironicznie. – Ale w ten sposób nie dochodzi się do dużych pieniędzy. Wielu mężczyzn ma ochotę na figle, jak sobie podpije. Tak czy owak, ona doskonale wiedziała, co robi. Nie masz nic do sprzedania.
- W oku Candy'ego pojawił się błysk. - No i niech pan tylko się tu więcej nie pojawia, kozaku.
- - Właśnie zbieram się do drogi.
- Wstałem i obszedłem stół naokoło. Candy zmienił pozycję i był teraz zwrócony w moim kierunku. Obserwowałem jego rękę, ale widocznie tego ranka nie zabrał z sobą noża. Kiedy znalazłem się przy nim, trzasnąłem go w twarz.
- - Gnojku jeden, żaden służący nie będzie mnie bezkarnie nazywał skurwysynem. Mam tu sprawy do załatwienia i będę przyjeżdżał, ile razy będę miał na to ochotę. Uważaj od tej chwili na to, co mówisz, bo mogę ci sprawić tęgie lanie. I na zawsze zdefasonuję ci tę twoją śliczną buzię.
- Nie zareagował zupełnie, nawet na policzek, choć musiał on stanąć, w połączeniu z nazwaniem go gnojkiem, śmiertelną obrazę. Stał bez ruchu z drewnianym wyrazem twarzy. Po chwili wziął bez słowa tacę z kawą i wyszedł.
- - Dziękuję za kawę - powiedziałem do jego pleców. Nie zatrzymał się. Po jego wyjściu pomacałem zarost na
- brodzie, otrząsnąłem się i doszedłem do wniosku, że trzeba ruszać. Na razie miałem całkiem dość rodziny Wade'ów. Kiedy przechodziłem przez living-room, zobaczyłem, jak Eileen, ubrana w białe szorty, sandały i jasnoniebieską koszulę, schodzi na dół. Popatrzyła na mnie z ogromnym zdziwieniem. - Nie wiedziałam, że pan tu jest - odezwała się, jakby mnie z tydzień nie widziała, a ja byłbym przypadkowym znajomym, który wpadł kiedyś na herbatkę.
- Schowałem rewolwer do biurka - rzuciłem.
- Rewolwer? - Po chwili, jakby przypomniała sobie coś: - Och, wczorajszy wieczór był rzeczywiście zwariowany, prawda? Ale zdawało mi się, że pan pojechał do domu.

- Podszedłem do niej. Miała na szyi cienki, złoty łańcuszek i oryginalny złoty wisiorek, ozdobiony białą i niebieską emalią. Niebieski fragment wyglądał jak para zwiniętych skrzydeł. Na tle białej emalii umieszczony był złoty sztylecik, który przebijał zwój z tekstem. Nie mogłem odczytać słów. Był to jakiś wojskowy emblemat.
- Spiłem się - odparłem. - Całkiem świadomie i bardzo nieelegancko. Doskwierała mi trochę samotność.
- Z pańskiej własnej winy - odparła, a oczy miała czyste, jak strumień górski. Nie było w nich nawet cienia przewrotności.
- Można mieć różne zdania na ten temat - odrzekłem. - Odjeżdżam i nie jestem pewien, czy jeszcze tu wrócę. Słyszała pani, co powiedziałem na temat rewolweru?
- Że pan go wsadził do biurka. Może byłoby lepiej schować go gdzie indziej. Nie miał chyba zamiaru popełnić samobójstwa?
- Nie mam pojęcia. Ale następnym razem, kto wie, jak to może być.
- Potrząsnęła głową. - Nie myślę. Jestem przekonana, że tego nie zrobi. Ogromnie mi pan wczoraj pomógł. Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować.
- - Wczoraj pani wiedziała. Spasowała. Po chwili się zaśmiała.
- - Miałam bardzo dziwny sen - powiedziała wolno, spoglądając ponad moim ramieniem. - Był w tym domu ktoś, kogo kiedyś znałam. Zginął dziesięć lat temu. - Dotknęła palcami wisiorka. - Dlatego właśnie włożyłam go dzisiaj. To prezent od niego.
- - Ja też miałem dziwny sen. Ale nie opowiem pani. Chciałbym wiedzieć, jak się Roger będzie czuł. Proszę mi dać znać, gdyby potrzebna była moja pomoc.
- Opuściła wzrok i popatrzyła mi prosto w oczy. - Powiedział pan, że pan już tu nie przyjedzie.
- - Powiedziałem, że nie jestem pewien, czy przyjadę. Mam nadzieję, że nie będzie to potrzebne. W tym domu dzieje się coś bardzo niedobrego. I picie Rogera to tylko część tego.
- Wpatrywała się we mnie, marszcząc się. - Co pan chce przez to powiedzieć?
- - Myślę, że dobrze pani wie, o czym mówię.
- Widać było, że się nad tym zastanawia. Palcami ciągle delikatnie obracała wisiorek. Po chwili cicho westchnęła:
- - Zawsze jest jakaś inna kobieta - powiedziała spokojnie. - Trzeba tylko dobrze poszukać. To zresztą nie musi być przegrana sprawa. Ale my rozmawiamy ze sobą mając zupełnie różne punkty widzenia. Być może, mówimy też o różnych rzeczach.
- - Niewykluczone. - Nadal stała na trzecim schodku od dołu i trzymała wisiorek w palcach. Wyglądała jak postać z sennego marzenia. - Zwłaszcza jeśli pani sądzi, że tą inną kobietą jest Linda Loring.
- Opuściła rękę i zeszła jeden stopień niżej.
- - Doktor Loring ma w tej sprawie podobne zdanie, co ja - odparła obojętnie. - Musi mieć jakieś podstawy, by tak

twierdzić.

- Powiedziała pani przecież, że doktor odegrał tę scenę z poławą mężczyzn w Idle Valley.
- Tak powiedziałam? No, w takim momencie moje odezwanie miało po prostu konwencjonalny charakter. - Znów zeszła o jeden stopień niżej.
-
- - Jestem nie ogolony - rzuciłem.
- To ją zaskoczyło w pierwszej chwili. Po czym się zaśmiała. - Nie oczekiwałam, że będzie pan uprawiał ze mną miłość. - Ale właściwie czego pani ode mnie oczekiwała, na początku, kiedy pani namówiła mnie, bym wziął się za tę sprawę? Dlaczego wybrała pani sobie akurat mnie? Czym sobie na to zasłużyłem?
- - Pan okazał się wierny - odparła cicho. - W sytuacji, w której to nie było łatwe.
- - Jestem wzruszony, ale nie sądzę, by to było przyczyną. Zeszła z ostatniego stopnia i spojrzała mi w twarz. - A co było przyczyną?
- - Jeśli się nie mylę, to przyczyna była bardzo nieciekawa. Jedną z najmniej sympatycznych, jakie można sobie wyobrazić.
- Leciutko się zmarszczyła. - Dlaczego? ‘ ~ Ponieważ tego, co zrobiłem, tego dotrzymania wierności, nawet głupiec nie robi dwa razy.
-
- Wie pan - rzuciła lekko - nasza rozmowa staje się okropnie enigmatyczna.
- Pani jest bardzo enigmatyczną osobą. Do widzenia i wszystkiego najlepszego. Jeśli pani rzeczywiście choć trochę zależy na Rogerze, to niech się pani szybko postara dla niego o właściwego lekarza.’
-
- Znów się zaśmiała. - Och, nic. Powinien go pan zobaczyć, jak ma ostry atak. Dziś jeszcze wstanie z łóżka i będzie pracował po południu.
- - To niemożliwe. - Zapewniam pana, że tak będzie. Znam go dobrze. Wymierzyłem ostatni cios - prosto między oczy. Zabrzmiało to bardzo paskudnie:
-
- Przecież tak naprawdę, to pani nie pragnie go uratować. Chce pani tylko stworzyć takie pozory.
- Jak pan mógł mi powiedzieć coś tak wstrętnego!
-

- Minęła mnie i poszła do jadalnego. Wielki pokój był teraz zupełnie pusty. Ruszyłem do wyjścia. Na zewnątrz wspaniały letni ranek napełniał światłem całą tę jasnozieloną dolinę. Leżała z dala od miasta i nie dochodził tu smog, a niskie góry osłaniały ją od oceanicznej wilgoci. I tu w ciągu dnia robiło się gorąco, ale w przyjemny sposób; to nie był brutalny upał pustyni czy lepka, wilgotna spiekota miasta. Idle Valley było idealnym miejscem do mieszkania. Absolutnie idealnym. Przyjemni ludzie z przyjemnymi domami, przyjemne samochody, przyjemne^ konie i psy, a może nawet i przyjemne dzieci. Ale jedyną rzeczą, której pragnął facet o nazwisku Marlowe, to było zniknąć - i to jak najszybciej.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Pojechałem do domu, wziąłem prysznic, ogoliłem się, zmieniłem ubranie i poczułem, że jestem znów czysty. Zrobiłem sobie śniadanie, pozmywałem, zamiotłem kuchnię i ganek przed wejściem do domu. Pomyślałem, że właściwie nie ma sensu jechać do biura. Zobaczyłbym tam po prostu jeszcze jedną martwą ćmę i nową warstwę kurzu. Co prawda w sejfie był portret Madisonsa. Mógłbym mu się przyjrzeć, no i pobawić się tymi pięcioma świeżutkimi studolarówkami, ciągle jeszcze pachnącymi kawą. Mógłbym, ale nie miałem na to ochoty. Coś mi się w środku przekręciło. W gruncie rzeczy te pieniądze nie należały do mnie. Do czegoż mnie właściwie zobowiązywały? E, do diabła, patrzyłem na życie, jak gość z kacem. To był jeden z tych tępych, nudnych ranków, które trwają bez końca. Wydawało się, że wolno toczące się - minuty spadają w pustkę z cichym brzęczeniem, jak rakiety, którym skończyło się paliwo. Ptaki ćwierkały w krzakach przed domem, a wozy nieustannie przejeżdżały Laurel Canyon Boulevard. Normalnie, w ogóle bym tego nie słyszał. Ale miałem zły nastrój - byłem podrażniony i pobudzony. Postanowiłem, że należy wybić klin klinem. Normalnie nigdy rano nie piję. Klimat południowej Kalifornii nie pozwala na to. Metabolizm człowieka jest tu zwolniony. Zrobiłem sobie sporego drinka z lodem, zasiadłem w fotelu w rozpiętej koszuli i wziąłem do ręki magazyn. Zacząłem czytać jakąś zwariowaną historyjkę o facecie, który prowadził dwa życia i miał dwóch psychiatrów - jeden był człowiekiem, a drugi owadem. Facet chodził od jednego do drugiego. Było to zupełne wariactwo, ale w jakiś specyficzny sposób zabawne. Popijałem wolno - od czasu do czasu łyczek - i przyglądałem się sobie. Gdzieś koło południa odezwał się telefon. - Tu mówi Linda Loring. Dzwoniłam do pańskiego biura, ale obsługa telefoniczna powiedziała, że pana nie ma. Chciałam się z panem zobaczyć.

- W jakim celu?
- Wolałabym to wyjaśnić osobiście. Pan pewnie bywa od czasu do czasu w biurze?
- Owszem. Od czasu do czasu. Czy będę mógł coś zarobić przy tej okazji?
- Nie zastanawiałam się nad tym od tej strony. Ale nie mam nic przeciwko temu, by panu zapłacić, jeśli pan sobie tego życzy. Mogłabym być w pańskim biurze gdzieś za godzinę.
- Cudownie.
- Co się z panem dzieje? - spytała ostro.
- Kac. Ale nie jestem unieszkodliwiony. Będę tam, chyba że woli pani przyjechać tu.
- Spotkajmy się raczej w pańskim biurze.

-
- Mam tu bardzo przyjemne, spokojne mieszkanie. Jednokierunkowa ulica, w pobliżu nie ma sąsiadów.,
- Zawarta w tym sugestia nie odpowiada mi, o ile odczytuję prawidłowo pańskie intencje.
- Nikt nie odczytuje prawidłowo moich intencji, proszę pani. Jestem enigmatyczny. A więc dobrze, zaraz jadę.
- - Bardzo dziękuję. - Odwiesiła słuchawkę. Upłynęło jednak trochę czasu, nim się pojawiłem, bo po drodze wstąpiłem jeszcze coś przegryźć. Przewietrzyłem biuro, włączyłem dzwonek i wyjrzałem przez drzwi do poczekalni. Pani Loring już tam siedziała, na tym samym krześle, które kiedyś zajmował Menendez, i przeglądała prawdopodobnie to samo czasopismo, co i on. Ubrana była w brązowy, gabardynowy kostium i wyglądała bardzo elegancko. Odłożyła czasopismo, spojrzała na mnie z powagą i oświadczyła:
 - - Pańską paproć trzeba podlać. I należałoby ją przesadzić, bo korzenie już rosną do góry.
 - Dużo mnie ta paproć obchodziła. Przytrzymałem drzwi, by mogła wejść, i podsunąłem jej krzesło dla klientów. Zasiadłem z drugiej strony biurka, a ona zaczęła się rozglądać po moim gabinecie.
- Trudno powiedzieć, by to było luksusowe wnętrze - zauważyła. - Czyżby pan nie miał nawet sekretarki?
 - Prowadzę dość nędzny tryb życia, ale jestem do tego przyzwyczajony.
 - I chyba nie przynosi to panu zbyt dużych dochodów - rzuciła.
 - No, czy ja wiem. To zależy. Chciałaby pani zobaczyć portret Madisona?
 - Co takiego?
 - Papierek o nominale pięć tysięcy dolarów. Zaliczka. - Otworzyłem sejf i wyciągnąłem z wewnętrznej szuflady kopertę z banknotem. Wyjąłem go i położyłem przed nią. Patrzyła nań ze zdumieniem.
-
- -Niech panią nie wprowadza w błąd wygląd mego biura - ciągnąłem. - Pracowałem kiedyś dla starszego jegomościa, który był wart dwadzieścia milionów. Nawet pani ojciec powiedziałby mu dzień dobry. Jego biuro różniło się tylko tym, że ponieważ był trochę głuchy, kazał pokryć sufit dźwiękochłonnym materiałem. Ale na podłogę nie było dywanu tylko brązowe linoleum.
- Wzięła portret Madisona, obróciła go w palcach i położyła z powrotem na stole.

- Dostał pan to od Terry'ego, prawda?
 - No proszę, dla pani nie ma żadnych tajemnic. Zmarszczyła się i odsunęła od siebie Madisona, *f* - Terry
-
- miał taki banknot. Nosił go stale przy sobie od chwili, kiedy pobrali się po raz drugi z Sylwią. Mówił o nim, że to jego wariacka gotówka. Nie znaleziono tego banknotu przy nim.
 - - Przyczyn mogło być wiele.
 - - Na pewno. Ale ilu ludzi nosi przy sobie banknot o takim nominale? A czy ci, których byłoby stać, by dać komuś tyle pieniędzy, daliby je w takiej postaci?
 - Nie warto było na to odpowiadać. Po prostu pokiwałem głową. Ciągnęła dalej dość ostrym tonem:
 - - A co pan miał zrobić za te pieniądze? Mógłby mi pan to powiedzieć? W czasie jazdy do Tijuana Terry miał dużo czasu, by z panem porozmawiać. Poprzednim razem powiedział mi pan, że absolutnie nie wierzy w jego przyznanie się do winy. Czy dał panu listę kochanków swej żony, by mógł pan poszukać wśród nich mordercy?
 - Również i na to nie odpowiedziałem, ale z innej przyczyny.
 - - I czy na tej liście nie było przypadkiem nazwiska Rogera Wade'a? Jeśli Terry nie zabił swej żony, to jej mordercą mógłby być tylko jakiś gwałtowny, niezrównoważony człowiek, może lunatyk lub pijak-awanturник. Tylko tego rodzaju mężczyzna mógł, by użyć pańskiego obrzydliwego określenia, zmasakrować jej twarz na miazgę. Czy to dlatego stara się pan tak przysłużyć Wade'om? Niczym poczciwa niańka jeździ pan tam, by roztoczyć nad nim opiekę, kiedy się upije, odszukać go, kiedy się zawieruszy, i przywieźć do domu, kiedy sam nie może dać sobie rady?
 - - Jeśli pani pozwoli, to wyjaśnię pani parę spraw. Być może Terry mi dał, a być może nie dał portretu Madisona, ale na pewno nie wręczył mi żadnej listy ani nie wymieniał żadnych nazwisk. Nie prosił też, bym cokolwiek zrobił dla niego, poza tym, o czym pani wspomniała, to znaczy zawiezieniem go do Tijuana. To, że się zetknąłem z Wade'ami, było zasługą nowojorskiego wydawcy, któremu ogromnie zależało, by Roger skończył swoją książkę. To znów wymagało, by znajdował się w stanie względnej trzeźwości, a to z kolei pociągało za sobą konieczność dowiedzenia się, czy jest jakaś specjalna przyczyna, dla której się upija. Jeśli istnieje taka przyczyna i można ją bliżej ustalić, to należy spróbować ją usunąć. Spróbować, bowiem nigdzie nie jest powiedziane, że to się da zrobić. Można tylko próbować.
-
- Mogę panu w paru słowach wyjaśnić, dlaczego się upija - odparła pogardliwym tonem. - Z powodu tej anemicznej blond lalki, która jest jego żoną.
 - No, nie wiem. Na mnie nie robi wrażenia anemicznej.
-
- - Doprawdy? To bardzo ciekawe. - Jej oczy błysnęły. Wziąłem do ręki portret Madisona. -

Nie ma sensu, żeby pani tak się tym interesowała. Nie sypiam z panią Wade. Przykro mi, jeśli rozczarowałem panią.

- Podszedłem do sejfu, schowałem banknot do wewnętrznej szuflady, zamknąłem drzwiczki i przekręciłem tarczę.
- - W gruncie rzeczy, jak się nad tym zastanawiam - powiedziała do moich pleców - to wydaje mi się bardzo wątpliwe, by ktokolwiek z nią sypiał.
- Usiadłem na rogu biurka. - Staje się pani złośliwa.

- Dlaczego? Czyżby była pani zainteresowana naszym alkoholicznym przyjacielem?
- - Nie znoszę uwag tego rodzaju - odparła. - Po prostu nie znoszę. Sądzi pan prawdopodobnie, że ta idiotyczna scena, którą urządził mój mąż, daje panu prawo do obrażania mnie. Nie, nie jestem ani nigdy nie byłam zainteresowana Rogerem Wade'em - nawet wtedy, kiedy jeszcze się nie rozpił i zachowywał się normalnie. Tym bardziej teraz, kiedy jest w takim stanie.

- Usiadłem na krześle, sięgnąłem po zapalki i przypatrywałem się jej. Zerknęła na zegarek.
- - Wy, ludzie zamożni, jesteście świetni - powiedziałem. - Wydaje się wam, że to, co mówicie, żeby nie wiem jak było paskudne, jest zawsze w porządku. Pani czyni szydercze uwagi na temat Wade'a i jego żony wobec człowieka, którego pani prawie nie zna, a kiedy ja odpłacam podobną monetą, to stanowi to obrazę. Dobrze, porozmawiajmy inaczej. Każdy pijak w końcu nawiąże rozmowę z jakąś łatwą kobietą. Wade jest pijakiem, ale pani nie jest łatwą kobietą. To, co mówi wytworny mąż pani, to po prostu

takie żartobliwe sugestie dla ubawienia gości na cocktailu. On sam w to nie wierzy, chce tylko rozśmieszyć innych. Wobec tego wykluczamy panią i szukamy łatwej kobiety gdzie indziej. Nie musimy chyba szukać daleko, by znaleźć kogoś, kto na tyle panią obchodzi, że przyszła pani tutaj i doszło do tej wymiany drwin? Musi to być ktoś specjalny, prawda - bo inaczej dlaczego miałoby to w końcu panią interesować?

- Wpatrywała się we mnie bez słowa. Minęło długie pół minuty. Pobiegały jej kąciuki ust; ręce trzymała na gabardynowej torebce, doskonale pasującej do jej kostiumu;
- - Widać, że nie zmarnował pan czasu - odezwała się w końcu. - Ten wydawca miał dobry pomysł, by pana zatrudnić! Ale Terry nie podał panu żadnego nazwiska. Ani jednego nazwiska. Nie miało to jednak większego znaczenia, pański instynkt jest bezbłędny. Czy mogę zapytać, co pań ma zamiar czynić dalej w tej sprawie?

- Nic.
- Mój Boże, cóż za marnowanie talentu! Jak pan to godzi z pańskim zobowiązaniem związanym z portretem Madisona? Przecież musi być coś takiego, co pan mógłby zrobić.
- Między nami - odparłem - to dowcip pani nie jest najlepszej marki. A więc Wade znał pani siostrę. Dziękuję, że pani to potwierdziła, choć tak okrężną drogą. Domyślałem się tego zresztą. No, ale niewiele z tego wynika. Był po prostu jednym z dość licznej galerii. I tyle. A teraz zajmijmy się tym, dlaczego pani chciała się ze mną zobaczyć. W zamieszaniu ta sprawa jakoś uciekła nam z pola widzenia, prawda?

- Wstała. Znów spojrzała na zegarek. - Mam na dole wóz. Czy mogłabym pana nakłonić, by pojechał pan ze mną do domu na herbatę?
- Niech pani mówi dalej - odparłem. - Może się wreszcie dowiem, o co naprawdę chodzi.
- Czy to, co mówię, jest takie podejrzane? W moim domu czeka ktoś, kto chciałby pana poznać.
- Pani stary?
- - Nie nazywam go tak - odparła spokojnie. Wstałem i pochyliłem się nad biurkiem. - Kotku, pani
- ma czasami wprost znakomite pomysły. Naprawdę. Czy pani nie będzie przeszkadzało, że wezmę ze sobą rewolwer?
- - Nie obawia się pan przecież starego człowieka? - Skąd ta pewność. Założę się, że pani go się boi - i to bardzo.
- Westchnęła. - Tak, to prawda. Zawsze się go bałam. Potrafi wzbudzać strach.
- - To może zabiorę dwa rewolwery – zaproponowałem i już w następnej chwili pożałowałem tego.

Rozdział trzydziesty drugi

Był to najdziwniejszy dom, jaki w życiu widziałem. Wysokie na trzy piętra, szare, kwadratowe pudełko, ze spadzistym dachem, w którym tkwiło dwadzieścia czy trzydzieści podwójnych okien okolonych tortowymi dekoracjami. Drzwi frontowe miały z każdej, strony po dwie kamienne kolumny, ale szczytem wszystkiego była spiralna klatka schodowa z kamienną poręczą, usytuowana na zewnątrz budynku. U góry znajdowało się pomieszczenie, z którego na pewno można było zobaczyć jezioro w całej jego rozciągłości. Parking przed domem był wybrukowany kamieniami. Powinien tu jeszcze być paręsetmetrowy podjazd wysadzany topolami, park z jeleniami, ogród, trypoziomowy taras, kilkaset róż pod oknami biblioteki oraz panoramiczny, pełen zieleni widok z każdego okna, zamknięty linią lasu, ciszą i niebem. Zamiast tego widniał mur z polnego kamienia otaczający jakieś dziesięć czy piętnaście arów, co stanowi nie najmniejszą posiadłość w naszym małym i zatłoczonym kraju. Podjazd obsadzony był kulisto przycinanym żywopłotem. Na całym terenie porozrzucano kępy ozdobnych drzew, które nie pochodziły z Kalifornii. Importy. Ten, kto wybudował tę posiadłość, pragnął przenieść wybrzeże atlantyckie ponad Górami Skalistymi. Bardzo się starał, ale mu nie wyszło. Amos, czterdziestoletni kolorowy szofer, łagodnie zatrzymał Cadillaka przed wejściem z kolumnami, wyskoczył i podbiegł do drzwiczek samochodu. Uprzedziłem go i sam je przytrzymałem.

Pomogłem wysiąść pani Loring. Od momentu, kiedy wsiedliśmy pod moim biurem, prawie się do mnie nie odzywała. Robiła wrażenie zmęczonej

- i zdenerwowanej. Może to idiotyczne architektoniczne monstrum działało na nią tak przygnębiająco. Śmiejąca się hiena też by dostała czkawki z wrażenia.
- - A któż to wybudował? - spytałem ją. - I przeciwko czemu chciał zaprotestować?
- Wreszcie się uśmiechnęła. - Nie widział pan tego?
- - Nigdy nie zapuszczałem się tak daleko w tę dolinę. Poprowadziła mnie drugą stroną podjazdu i wskazała ręką na miejsce, na którym stałem. - Człowiek, który to wybudował - oświadczyła - wyskoczył z pokoiku na szczycie klatki schodowej i wylądował właśnie tu, gdzie pan stoi. Był to francuski hrabia o nazwisku La Tourelle i - w odróżnieniu od innych francuskich hrabiów - posiadał masę pieniędzy. Jego żona nazywała się Ramona Desborough i też nie cierpiała na brak gotówki. W okresie niemego kina zarabiała trzydzieści tysięcy dolarów tygodniowo. La Tourelle wybudował ten dom dla nich. Ma to być miniatura Chateau de Blois. Ale to pan sani wie, oczywiście.
- - Czyż mógłbym tego nie wiedzieć - odparłem. - Przypomina mi się teraz. To była jedna z tych historii z niedzielnych gazet. Rzuciła go, a oh się zabił. Uczynił jakiś dziwaczny testament, o ile dobrze pamiętam?
- Kiwnęła głową. - Zostawił swej byłej żonie parę milionów na benzynę, a reszta - zgodnie z jego wolą - miała posłużyć do stworzenia trustu. Posiadłość miała być utrzymywana w niezmienionym stanie. Nie zgadzał się na żadne innowacje, co wieczór miano nakrywać do stołu z całą pompą, a na teren posiadłości nie wolno było wchodzić nikomu poza służbą i prawnikami. Testament ten nie został oczywiście wykonany. Część posiadłości odsprzedano, a kiedy wysłałem za męża za doktora Loringa, mój ojciec dał mi ten dom wraz z ogrodem na prezent ślubny. Musiał wydać majątek, by doprowadzić wszystko do stanu używalności. Od początku nie znosiłam tego miejsca.
- -Przecież nie musi pani chyba tu mieszkać? Wzruszyła ramionami z rezygnacją. - Owszem, tak.
- W każdym razie okresami. Przynajmniej jedna z córek Harlana Pottera musi sprawiać wrażenie, że jest ustabilizowana. Mojemu mężowi tu się podoba.
- - Przypuszczam. Facet, który potrafił urządzić taką scenę u Wade'ów, na pewno dobrze się czuje nosząc piżamę ze spodniami od fraka.
- Uniosła brwi. - Bardzo panu dziękuję, że pan wykazuje tak żywe zainteresowanie moim mężem. Wydaje mi się jednak, że na ten temat zostało już dostatecznie dużo powiedziane. Chodźmy do domu. Mój ojciec nie lubi wyczekiwać. Przeszliśmy podjazd i ruszyliśmy kamiennymi schodami do góry. Wielkie podwójne drzwi otworzyły się bezszelestnie; stał przy nich jakiś wyniośle i arogancko wyglądający fagas. Hall był większy niż całe moje mieszkanie. Podłoga została wyłożona kafelkami, a w głębi widać było witrażowe okna, które przepuszczały tak niewiele światła, że nic więcej nie można było dostrzec. Przez podwójne, rzeźbione drzwi przeszliśmy do ciemnego pokoju, który miał dobre dwadzieścia parę metrów długości. Siedział tam w milczeniu, przyglądając się nam zimno, jakiś mężczyzna.

- - Czy spóźniłam się, ojcze? - spytała zaniepokojona pani Loring. - To jest pan Filip Marlowe. Pan Harlan Potter.
 - Pan Potter tylko popatrzył na mnie i opuścił nieco podbródek.
 - - Zadzwoń po herbatę - powiedział. - Niech pan siada, panie Marlowe.
 - Usiadłem i popatrzyłem na niego. Obserwował mnie tak, jak entomolog, który przygląda się jakiemuś owadowi. Nikt nic nie mówił. Panowała kompletna cisza, aż do momentu kiedy przyniesiono herbatę na wielkiej srebrnej tacy i postawiono ją na chińskim stoliku. Linda usiadła przy nim i zaczęła nalewać.
-
- Dwie filiżanki - powiedział Potter. - Ty się możesz napić w innym pokoju.
 - Dobrze, ojcze. Jak pan pija herbatę?
 - Wszystko jedno. - Mój głos, brzmiący cicho i samotnie, ginał w tym wnętrzu.
-
- Naląła najpierw ojcu, a później mnie, bezszelestnie wstała i wyszła. Wiodłem za nią wzrokiem. Popiłem herbaty i wyciągnąłem papierosa.
 - - Proszę, niech pan nie pali. Mam astmę.
 - Schowałem papierosa. Zacząłem się bliżej przypatrywać Harlanowi Potterowi. Nie mam pojęcia, jak się czuje człowiek, który ma sto milionów dolarów, ale nie robi wrażenia, by czerpał z tego wiele przyjemności. Był to ogromny mężczyzna - ponad dwa metry wzrostu - ale zbudowany proporcjonalnie. Miał na sobie szare, tweedowe ubranie bez wkładek w ramionach. Nie potrzebował ich. Do tego dochodziła biała koszula i ciemny krawat. W górnej kieszonce marynarki tkwił czarny futerał na okulary. Buty też miał w tym kolorze. Włosy miał ciemne, bez cienia siwizny, zaczesane na bok. Takiego samego odcienia były jego gęste brwi. Kiedy mówił, wydawało się, że głos dochodzi z dużej odległości. Pił herbatę tak, jakby jej nie znośił.
-
- Zaoszczędzimy czasu, jeśli od razu wyjaśnię panu, o co mi chodzi. Odnoszę wrażenie, że pan się miesza do moich spraw. Jeśli tak jest, to mam zamiar położyć temu kres.
 - Nie znam na tyle pańskich spraw, proszę pana, bym się mógł do nich mieszać.
 - Nie zgadzam się z panem.
-
- Popił herbaty i odstawił filiżankę. Odchylił się do tyłu w swym wielkim krześle i świdrował mnie stalowoszarymi oczyma.
-
- Wiem, oczywiście, kim pan jest. I jak pan zarabia na życie - o ile to można nazwać życiem - oraz w jaki sposób związał się pan z Terryem Lennoxem. Doniesiono mi, że pomógł pan Terry'emu w wydostaniu się za granicę, że ma pan wątpliwości co do jego winy i że nawiązał pan kontakt z mężczyzną, którego znała moja nieżyjąca córka. Nie wyjaśniono mi, w jakim celu.

Pragnę, by uczynił pan to sam.

- Jeżeli mężczyzna ten ma nazwisko, to niech pan zechce je wymienić.
- Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, ale nie był to uśmiech, z którego można by wnosić, że zapalał do mnie sympatią. - Wade. Roger Wade. O ile wiem, to zajmował się pisaniem książek. Książek, jak mnie poinformowano, o raczej łózkowym charakterze, nie będących w moim guście. Ten człowiek jest podobno alkoholikiem, zdolnym do gwałtownych czynów. Mogło to panu nasunąć pewne skojarzenia.
- - Może byłoby dobrze, gdyby pan zezwolił mi na luksus moich własnych skojarzeń. Nie są one naturalnie ważne, ale to wszystko, co posiadam. Po pierwsze, nie wierzę, by Terry zabił swoją żonę, ze względu na sposób, w jaki to zostało dokonane, jak również i dlatego, iż nie sądzę, by do czegoś takiego był zdolny. Po drugie, nie nawiązałem kontaktu z Wade'em. Poproszono mnie, bym zamieszkał w jego domu i uczynił wszystko, co możliwe, by powstrzymać go od picia, w czasie gdy kończył książkę. Po trzecie, choć się mówi, że jest niebezpiecznym alkoholikiem, tonie zauważyłem nic, co by na to mogło wskazywać. Po czwarte, zetknąłem się z nim na prośbę jego nowojorskiego wydawcy i nie miałem wtedy pojęcia, że w ogóle znał pańską córkę. Po piąte, odrzuciłem propozycję, by zamieszkać w jego domu, i dopiero później pani Wade zwróciła się do mnie, bym odnalazł jej męża, który gdzieś się ukrył i przechodził kurację. Odnalazłem go i zawiozłem z powrotem do domu.
- Bardzo metodyczne - zauważył sucho.
- Jeszcze nie skończyłem swej metodycznej wypowiedzi, proszę pana. Po szóste - zdaje się, że to prawidłowa kolejność - pan czy ktoś z pańskiego polecenia przysłał adwokata o nazwisku Sewell Endicott, celem wydostania mnie z więzienia. Endicott nie ujawnił, kto go przysłał, ale nie mógł to być nikt inny. Po siódme, kiedy wyszedłem z więzienia, pewien bandzior o nazwisku Mendi Menendez próbował mnie nastraszyć. Ostrzegał mnie też, bym się nie mieszał do nie swoich spraw, i opowiedział wzruszającą historyjkę o tym, jak Terry uratował życie jemu i pewnemu szulerowi z Las Vegas o nazwisku Randy Starr. Historyjka ta zresztą mogła być prawdziwa. Menendez udawał, iż jest zły, że Terry zwrócił się o pomoc przy wyjeździe do Meksyku do takiego gówniarza jak ja, a nie do niego. On mógłby dokonać tego - tak twierdził - bez najmniejszego wysiłku i z o wiele lepszym wynikiem.
- Chyba pan nie przypuszcza - przerwał mi Harlan Potter, z cieniem uśmiechu na wargach - że zaliczam panów Menendeza i Starra do moich przyjaciół?
- Trudno mi cokolwiek na ten temat powiedzieć, proszę pana. Nie wiem, w jaki sposób można dojść do takich pieniędzy, jakimi pan dysponuje. Kolejną osobą, która mnie ostrzegała, bym się trzymał z dala od maszyny prawa, była pańska córka, pani Loring. Spotkaliśmy się przypadkowo w barze i wdaliśmy się w rozmowę, gdyż obydwójce zamówiliśmy gimlety, ulubiony drink Terry'ego, rzadko pijany w tych stronach. Dopóki mi nie wyjaśniła, nie wiedziałem, z kim rozmawiam. Powiedziałem jej, co z grubsza sądzę o sprawie Terry'ego, a ona dała mi do zrozumienia, że - jeśli rozgniewam pana, to moja kariera będzie krótka i niezbyt udana. Czy pan się rozgniewał?
-

- Kiedy się rozgniewam - odparł zimno - to nie będzie pan miał co do tego żadnych wątpliwości.
- Tak przypuszczałem. Spodziewałem się nawet, że jakieś typy zaczną się koło mnie kręcić, ale, jak dotąd, jeszcze nikogo nie zauważyłem. Nie miałem również kłopotów z policjantami. A mogliby mi bardzo utrudnić życie. Sądzę, że pan po prostu pragnie spokoju. Czy zrobiłem coś, by go panu zakłócić?
- Uśmiechnął się. Był to kwaśny uśmiech, ale zawsze uśmiech. Założył nogę na nogę i wyciągnął się wygodnie w krześle.
- - Pozwoliłem, by przedstawił pan swój punkt widzenia, co pan w interesujący sposób uczynił. Teraz proszę posłuchać mnie. Ma pan całkowicie rację, że to, czego pragnę, to spokój. Całkiem możliwe, że pańskie powiązanie z Wade'ami jest przypadkowe i nie ma znaczenia. To bardzo dobrze. Jestem człowiekiem o silnym poczuciu więzów rodzinnych w czasach, kiedy tego rodzaju więzy nic nie znaczą. Jedna z moich córek wyszła za mąż za bostońskiego bufona, a druga zawarła szereg głupich małżeństw. Jej ostatnim głupstwem było wyjście za mąż za golca, który niczym się nie przejmował i pozwolił jej prowadzić bezwartościowy, niemoralny tryb życia. A następnie, niespodziewanie, nie wiadomo z jakiej przyczyny, stracił panowanie nad sobą i zamordował ją. Pan uważa, że z tą teorią nie można się zgodzić ze względu na brutalność, z jaką to morderstwo zostało dokonane. Myli się pan. Zastrzelił ją z mauzera, z tego samego pistoletu, który zabrał ze sobą do Meksyku. A potem zmasakrował jej głowę tak, by nie można było dostrzec rany od pocisku. Zgadzam się, że to było bardzo brutalne, ale niech pan pamięta, że był na wojnie, odniósł ciężką ranę, wiele przecierpiał i widział, jak inni cierpią. Może nie miał zamiaru jej zabić. Może wynikła przedtem jakaś szarpanina, ponieważ pistolet należał do mojej córki. Był to niewielki, ale ostro bijący pistolet o kalibrze 7.65. Model ten nazywa się P.P.K. Pocisk przebił głowę i utkwiał w ścianie za firanką. Nie odnaleziono go od razu, a później odkrycie to nie zostało opublikowane. Przyjrzyjmy się więc tej sprawie, wiedząc, co zaszło. - Przerwał i wpatrywał się we mnie. - Czy pan aż tak potrzebuje papierosa?
- Przepraszam pana. Wyjąłem go bezwiednie. Siła przyzwyczajenia. - Schowałem papierosa po raz drugi.
- Terry właśnie zabił swoją żonę. Miał dostateczny powód z nieco, być może, zawężonego punktu widzenia policji. Lecz miał również znakomitą obronę - że pistolet znajdował się w jej posiadaniu, że próbował go odebrać, co mu się nie udało, i że sama się z niego zastrzeliła. Dobry obrońca miałby tu świetne pole do popisu. Terry zostałby prawdopodobnie uniewinniony. Gdyby w tej sytuacji porozumiał się ze mną, pomógłbym mu. Ale postępując tak brutalnie, by zatrzeć ślad po pocisku, przekreślił tę szansę. Musiał uciekać - ale i to zrobił po partacku.
- Niewątpliwie, ale zatelefonował do pana z Pasadeny, prawda? Tak mi przynajmniej powiedział.

- Pokiwał głową. - Poradziłem mu, żeby zniknął, a zobaczę, co będę mógł zrobić. Nie chciałem wiedzieć, gdzie się znajduje. To była sprawa o podstawowym znaczeniu. Nie mogłem osłaniać kryminalisty.
- Jasne.
- Czy to ma być sarkazm? Zresztą to bez znaczenia. Kiedy dowiedziałem się szczegółów, stało się oczywiste, że nie da się nic zrobić. Nie mogłem jednak dopuścić do rozprawy takiego rodzaju, jaką pociągnęłyby za sobą to morderstwo. Mówiąc szczerze, byłem bardzo zadowolony, kiedy się dowiedziałem, że Terry zastrzelił się w Meksyku i zostawił oświadczenie, w którym przyznaje się do winy.
- Nietrudno to zrozumieć.
- Zmarszczył brwi. - Niech pan uważa, młody człowieku. Nie lubię ironii. Rozumie pan już teraz zapewne, że nie
- mogę się zgodzić, by ktokolwiek, z jakichkolwiek przyczyn, kontynuował dochodzenie. I dlatego użyłem wszystkich swoich wpływów, aby śledztwo prowadzono jak najkrócej i jak najmniej omawiano je w prasie.
- Naturalnie, zakładając jednak, że jest pan przekonany, iż to Terry ją zabił.
- W tej sprawie nie ma dwóch zdań. Wątpliwości mogą istnieć tylko co do jej motywów. Ale w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Nie jestem i nie mam zamiaru być postacią publiczną. Zawsze usilnie się starałem unikać wszelkiej publicity. Mam wpływy, ale ich nie nadużywam. Prokurator okręgowy w Los Angeles jest człowiekiem ambitnym i ma zbyt dużo zdrowego rozsądku, by popsuć sobie karierę dla przemijającej popularności. Widzę błysk w pańskim oku. Jest nie na miejscu. Żyjemy w ustroju, który nazywa się demokracją, czyli rządem większości. To piękny ideał, ale w praktyce nie do zrealizowania. Naród wybiera, ale aparaty partyjne mianują. A żeby działać skutecznie, potrzebują bardzo dużej ilości pieniędzy. Ktoś im te pieniądze musi dać, a ten ktoś, niezależnie od tego, czy jest to jednostka, grupa finansistów, związek zawodowy czy cokolwiek innego, spodziewa się, że otrzyma coś w zamian. Ja i ludzie mego pokroju oczekują, że zostanie uszanowane ich życie prywatne. Jestem właścicielem gazet, ale nie lubię prasy. Uważam, że stanowi ona stałe zagrożenie tego, co się nam jeszcze zostało z prywatnego życia. Bezustanne ujadanie na temat wolności prasy oznacza - z paroma honorowymi wyjątkami - wolność zajmowania się skandalami, zbrodnią i seksem oraz pogoń za sensacją, szerzenie nienawiści, obmowę i wykorzystywanie propagandy dla celów politycznych i finansowych. Gazeta to przedsiębiorstwo, które chce zrobić pieniądze na reklamie. Związane to jest z wysokością jej nakładu, a sam pan wie, od czego ten ostatni zależy.

- Wstałem i obszedłem naokoło swoje krzesło. Przyglądał mi się z zimną uwagą. Usiadłem. Potrzebne mi było szczęście. Cholernie dużo szczęścia. - Dobrze, proszę pana, co dalej? i Nie słuchał mnie. Zmarszczył się zamyślony. - Pieniądze mają to do siebie - ciągnął - że w dużych ilościach zaczynają żyć własnym życiem, a nawet mają coś w rodzaju sumienia. Potęga pieniądza staje się trudna do opanowania. Człowiek zawsze był sprzedajnym zwierzęciem. Wzrost ludności, wielki koszt wojen, presja ciągle wzrastającego opodatkowania - wszystko to robi go coraz bardziej sprzedajnym. Przeciętny człowiek jest zmęczony i przestraszony; taki człowiek nie może sobie pozwolić na ideały. Musi kupować jedzenie dla swej rodziny. W naszych czasach jesteśmy świadkami przerażającego upadku moralności. Nie można oczekiwać jakości od ludzi, których całe życie stoi pod znakiem braku jakości. Nie można mieć jakości przy masowej produkcji. Jakości się zresztą nie pragnie, bo trwa za długo. Wobec tego zastępuje się ją stylizacją, będącą li tylko handlowym szwindlem, mającym na celu sztuczne produkowanie rzeczy przestarzałych. Wytwory produkcji masowej byłyby zresztą nie do zbycia, gdyby się nie udało doprowadzić do takiej sytuacji, że rzeczy sprzedawane jednego roku stają się niemodne w następnym. Mamy najbielsze i najbardziej błyszczące kuchnie na całym świecie. Ale w prześlicznej, białej kuchni przeciętna amerykańska gospodyni domowa nie potrafi przygotować posiłku, który nadawałby się do jedzenia, a prześliczna, błyszcząca łazienka jest głównie przechowalnią dezodorantów, środków przeczyszczających, tabletek nasennych i produktów oszustwa, które nazywa się przemysłem kosmetycznym. Produkujemy najlepsze opakowania na świecie, ale w środku znajduje się przeważnie nic niewarta tandeta. - Wyjął dużą, białą chusteczkę i dotknął nią skroni. Siedziałem z otwartymi ustami, zastanawiając się, jak on żyje. Nienawidził wszystkiego.

- W tych stronach jest dla mnie trochę za gorąco - powiedział. - Jestem przyzwyczajony do zimniejszego klimatu. To, co powiedziałem* robi zapewne wrażenie artykułu wstępnego, którego autor zapomniał, o co mu chodziło.

- Doskonale zrozumiałem, o co panu chodzi. Nie podoba się panu kierunek, w którym świat zmierza, w związku z czym wykorzystuje pan swoje możliwości, by stworzyć sobie prywatny zakątek, w którym mógłby pan żyć w sposób jak najbardziej zbliżony do tego, w jaki się żyło pięćdziesiąt lat temu, przed epoką produkcji masowej. Ma pan sto milionów dolarów i przynoszą one jedynie kłopoty.

- Rozprostował chusteczkę, a później zmiął ją i schował do kieszeni.

- I co dalej? - spytał krótko.

- To wszystko, nie ma nic więcej. Pana nie obchodzi, kto zamordował pańską córkę. Już dawno zrezygnował pan z niej jako z nieudanej sprawy. Nawet jeśli Terry Lennox jej nie zabił,

a prawdziwy morderca znajduje się na wolności, to pana to nie wzrusza. Nie pragnie pan, by go złapano, ponieważ to znów zwróciłoby publiczną uwagę na skandal z tym związany. Musiałaby się odbyć rozprawa i obrońcy z pewnością grzebaliby się w pańskim prywatnym życiu. Oczywiście o ile ten prawdziwy morderca nie byłby na tyle uprzejmy, by popełnić samobójstwo jeszcze przed rozprawą. Najlepiej na Tahiti, w Gwatemali lub na środku Sahary, w każdym razie w takim miejscu, do którego Prokuratura Okręgowa nie zdecydowałaby się wysłać kogoś dla zbadania sprawy, ze względu na wysokie koszty z tym związane.

- Nagle uśmiechnął się szeroko, otwarcie w sposób nawet dość przyjacielski.
- Czego pan oczekuje ode mnie?
- Jeśli ma pan na myśli pieniądze, to niczego. Nie zaprosiłem się tutaj. Przywieziono mnie. Powiedziałem panu, w jaki sposób zetknąłem się z Rogerem Wade'em. Znał pańską córkę i mówi się o nim, że jest zdolny do gwałtownych czynów, aczkolwiek nic takiego sam nie widziałem. Wczoraj wieczór próbował się zastrzelić. Cięży mu coś na sumieniu. Ma silny kompleks winy. Gdybym rozglądał się za kimś, kto mógłby wystąpić w charakterze podejrzanego, to byłby on dobrym kandydatem. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że jest on jednym z wielu możliwych, ale tak się składa, że to jedyny, z którym się zetknąłem.
- Wstał. Wyprostowany robił wrażenie rzeczywiście ogromnego mężczyzny. I twardego. Podeszedł do mnie.
- Wystarczyłby jeden telefon, by pozbawić pana licencji. Niech pan nie próbuje szermierki ze mną. Ja na to nie pójdę.
- Dwa pańskie telefony i mógłbym się obudzić w rynsztoku z głową, w której brakowałoby tylnej części.
- Zaśmiał się szorstko. - Nie działałem w ten sposób. Prawdopodobnie w pańskim, bardzo specyficznym, zawodzie ten sposób rozumowania jest całkiem naturalny. Poświęciłem panu zbyt dużo czasu. Zadzwońię po lokaja, by pana wyprowadził.
- - To niepotrzebne - odparłem i wstałem. - Otrzymałem lekcję. Dziękuję za cenny czas, który mi pan poświęcił.
- Wyciągnął rękę. - A ja dziękuję, że pan przyszedł. Myślę, że jest pan uczciwym człowiekiem. Niech pan jednak nie będzie bohaterem, młody człowieku. Korzyści z tego są niewielkie. Uścisnęliśmy sobie ręce. Miał uchwyt jak z żelaza. Uśmiechnął się do mnie łaskawie. Teraz był Wielkim Człowiekiem, zwycięzcą - sytuacja całkowicie opanowana.
- - Być może, zwrócę się do pana w jakiejś sprawie - powiedział. - I niech pan nie odchodzi

z wrażeniem, że kupuję polityków czy przedstawicielei prawa. Nie muszę. Do - widzenia panu. I jeszcze raz dziękuję za przybycie.

- Stał i patrzył, jak wychodzę z pokoju. Miałem już rękę na klamce drzwi wyjściowych, kiedy niespodziewanie pojawiła się Linda Loring.
- No i jak panu poszło z ojcem? - spytała.
- Znakomicie. Wyjaśnił mi, co to jest cywilizacja. To znaczy, co cywilizacja oznacza dla niego. Pozwoli jej trwać jakiś czas, ale niech się ma na baczności i nie przeszkadza mu w życiu prywatnym. Gdyby to się jednak zdarzyło, to niewykluczone, iż zadzwoni do Pana Boga i wycofa zamówienie.
- Pan jest beznadziejny.
- Ja jestem beznadziejny? Droga pani, proszę się przyjrzeć swemu staremu. W porównaniu z nim jestem niebieskookim niemowlęciem z nowiuteńką grzechotką.
- Wyszedłem. Przed domem czekał na mnie Amos z Cadil-lakiem. Odwiózł mnie z powrotem do Hollywood. Chciałem mu wręczyć dolara, ale go nie przyjął. Zaproponowałem, że mu kupię wiersze T. S. Eliota. Oświadczył, iż już je ma.

Rozdział trzydziesty trzeci

Przez cały następny tydzień Wade'owie się nie odzywali. Powietrze było gorące i lepkie, a smog dotarł aż na Beverly Hills. Ze szczytu Mulholland Drive można było zobaczyć, jak gryzący całun, leżący nisko nad ziemią, rozciąga się nad całym miastem. Kiedy człowiek znajduje się w smogu, to czuje jego zapach i smak, a w oczach stają mu łzy.

- Wszyscy się na to teraz skarżyli. W Pasadenie, dokąd ekskluzywni milionerzy przenieśli się, kiedy na Beverly Hills nastąpiła inwazja ludzi filmu, radni miejscy wprost wściekali się ze złości. Wszystko zwalano na smog. Że kanarek nie chciał śpiewać, że spóźniał się mleczarz, że pekińczyk miał pchły, że jakiś staruch w ciasnym, wykrochmalonym kołnierzyku miał atak serca w drodze do kościoła - wszystko to było winą smogu. Tam, gdzie mieszkałem, powietrze było czyste wczesnym rankiem i prawie zawsze wieczorem. Od czasu do czasu trafiał się też cały dzień bez smogu; nikt nie umiał powiedzieć dlaczego. Właśnie takiego dnia - był to czwartek - Roger Wade zadzwonił do mnie. - Co słyszeć u pana? Tu mówi Wade. - Głos miał pogodny.
- Wszystko w porządku. A co u pana?
- Niestety jestem trzeźwy. W pocie czoła zarabiam dolary. Powinniśmy pogadać. Poza tym jestem panu winien pieniądze.

- Ani centa.
- A gdybyśmy się spotkali dziś na lunchu? Mógłby pan przyjechać do mnie gdzieś koło pierwszej?
- Myślę, że tak. A jak trzyma się Candy?
- Candy? - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. Widocznie niewiele pamiętał z tego, co zdarzyło się tamtej nocy. - Ach tak, on pomógł panu w położeniu mnie do łóżka.
- Tak. To bardzo pomocny facecik, czasami. A jak się ma pani Wade?
- - Dziękuję, doskonale. Pojechała do miasta na zakupy. Skończyliśmy rozmowę. Zacząłem się bujać w moim
- sprężynowym krześle. Powinienem być zapytać go, jak mu idzie książka. Pewnie zawsze należy pytać o to pisarza. A swoją drogą może mieć tego pytania po dziurki w nosie. Niebawem znów zadzwonił telefon. Odezwał się jakiś dziwny głos:
- Tu mówi Roy Ashterfeldt. George Peters poprosił mnie, bym do pana zadzwonił.
- A, tak. Bardzo dziękuję. Pan jest tym gościem, który znał Terry'ego Lennox w Nowym Jorku. Mówił wtedy, że się nazywa Marston.
- Tak jest. Był ciągle na gacie. Ale to na pewno ten sam facet. Trudno byłoby pomylić go z kimś innym. Któregoś wieczora widziałem go tutaj, w knajpie „Chasena”, razem z żoną. Byłem z klientem, który ich znał. Niestety, nie mogę panu podać jego nazwiska.
- Rozumiem. To nie ma zresztą obecnie większego znaczenia. Jakie przybrał sobie wtedy imię?
- Chwileczkę, niech się zastanowię. Już wiem, Feliks. Feliks Marston. Mam jeszcze coś, co może pana zainteresować. Nosił pamiątkową odznakę Armii Brytyjskiej. Wie pan, przebita kaczka.
- Aha. A co mu się tam przytrafiło?
- Nie mam pojęcia. Pojechałem na Zachód. Następnym razem spotkałem go już tu, był mężem tej nieco swawolnej córki Harlana Pottera. Ale tę sprawę pan zna.
- Obydwoje już nie żyją. Ale dzięki za te wiadomości.
- Nie ma za co. Byłoby mi miło, gdybym mógł być w czymś pomocny. Czy to coś panu dało?
- Niestety, niewiele - odparłem. Było to kłamstwo. - Nigdy nie pytałem Terry'ego o sprawy osobiste. Sam mi jednak powiedział kiedyś, że wychował się w sierocińcu. Czy jest pan pewny, że nie popełnił pan pomyłki?
- Z tymi białymi włosami i blizną na twarzy? Wykluczone. Nie twierdzę, że pamiętam twarze wszystkich ludzi, których spotykam, ale tę trudno byłoby zapomnieć.
- Czy poznał pana u „Chasena”?
- Jeśli mnie poznał, to nie okazał tego. Nie można się temu dziwić. Mógł mnie zresztą w ogóle nie pamiętać. Jak wspomniałem panu, w Nowym Jorku stale chodził na bańce.
-

- Podziękowałem mu jeszcze raz. Odparł, że będzie mu miło, jeśli się na coś przyda, i zakończyliśmy rozmowę. Przez jakiś czas zastanawiałam się nad tym, co usłyszałem. Hałas dochodzący z bulwaru stanowił swoiste obbligo dla mych myśli. Zbyt głośne. W czasie letnich upałów wszystko jest zbyt głośne. Zamknąłem dolną połowę okna i zadzwoniłem do sierżanta detektywa Greena z Centralnego Wydziału Zabójstw.
- Wie pan - zacząłem przywitawszy się z nim - doszło mnie coś na temat Terry'ego Lennox, co mnie zastanawia. Ktoś go znał w Nowym Jorku pod innym nazwiskiem. Czy sprawdzaliście, co się z nim działo w czasie wojny?
- Taki facet jak pan nigdy niczego się nie nauczy - odparł ostro Green. - Po prostu nie może pan usiedzieć spokojnie po swojej stronie ulicy. Ta sprawa jest ostatecznie zakończona, przewiązana sznurkiem i zalakowana. Czy pan tego nie może zrozumieć?
- W zeszłym tygodniu spędziłem większą część popołudnia z Harlanem Potterem w domu jego córki w Idle Valley. Może pan sprawdzić.
- Przypuśćmy, że panu wierzę. No i co pan tam robił? - spytał mnie kwaśno.
- Zostałem zaproszony na rozmowę. Stary Potter polubił mnie. Przy okazji powiedział mi, że jego córka została zastrzelona z mauzera 7.65, model P.P.K. Wiedział pan coś o tym?
- Niech pan mówi dalej.
- To był jej własny pistolet, przyjacielu. To chyba nieco zmienia wygląd sprawy, co? Niech pan mnie źle nie zrozumie. Nie szukam dziury w całym. Interesuję się tym z osobistych względów. Skąd mu się wzięła ta blizna na policzku?
- Green się nie odzywał. Usłyszałem, jak ktoś zamykał drzwi gdzieś w głębi jego biura. Po chwili powiedział
- cicho: - Prawdopodobnie otrzymał ją w czasie jakiejś nożowej rozprawy w Meksyku.
- Do diabła, Green, miał pan przecież jego odciski. Przesłał je pan, jak zwykle, do Waszyngtonu. I musiał pan, jak zwykle, otrzymać jakieś dane. Chciałem się jedynie dowiedzieć czegoś na temat jego służby wojskowej.
- A skąd pan wie, że on w ogóle służył w wojsku?
- Powiedział mi o tym Mendy Menendez. Podobno Lennox uratował mu kiedyś życie i właśnie przy tej okazji został ranny. Niemcy wzięli go do niewoli i zoperowali mu później twarz.
- Menendez? Pan wierzy temu sukinsynowi? Lennox nigdy nie służył w wojsku. Nie figuruje w żadnej kartotece pod jakimkolwiek nazwiskiem. To panu wystarczy?
- Skoro pan tak twierdzi, sierżancie. Ale nie mogę zrozumieć, po co Menendez naopowiadał mi różnych bajeczek i ostrzegł, bym się nie mieszał do tej sprawy, bo Lennox był przyjacielem jego i Randy'ego Starra z Las Vegas, a oni nie chcieli, by ktoś inny się do tego wtrącał. Przecież

Lennox już wtedy nie żył. Po co Menendez zadał sobie tyle trudu?

- A któż może wiedzieć, co taki opryszek sobie kombinuje - zastanawiał się Green z goryczą.
- I o co mu właściwie chodzi? Może Lennox był ich współnikiem, zanim wzenił się w pieniądze i został szanowanym obywatelem. Przez jakiś czas był kierownikiem sali gry u Randy'ego Starra w Las Vegas. Smoking, uśmiech i ukłon. Należy dbać, by goście byli zadowoleni, i mieć oko na krupierów i graczy. Myślę, że nadawał się do tego. Właśnie tam spotkał swą przyszłą żonę.
- Miał dużo wdzięku - odparłem. - To jest coś, czym policja nie dysponuje w nadmiarze. Bardzo dziękuję, sierzancie. A cóż porabia kapitan Gregorius?
- Został przeniesiony na emeryturę. Nie czytuje pan gazet?
-
- - Nie przeglądam kolumny kryminalnej. To dla mnie zbyt okropne.
- Zacząłem się żegnać, ale mi przerwał. - A czego chciała od pana ta beczka pieniędzy?
- Piliśmy razem herbatę. Towarzyskie odwiedziny! Powiedział, że może będzie miał dla mnie jakieś zlecenie. Dał mi również do zrozumienia, że każdy glina, który mi będzie chciał bruździć, może nie oczekiwać radosnych niespodzianek.
- Nie on kieruje wydziałem policji - rzucił Green.
- To samo mi powiedział. Nawet nie kupuje komisarzy i prokuratorów okręgowych. Po prostu sami przychodzą i czekają, aż się obudzi z popołudniowej drzemki i poklepie ich po policzku.
- Idź pan do diabła - powiedział Green i odłożył słuchawkę.
- Być policjantem to niełatwa sprawa. Nigdy człowiek nie wie, komu może bezpiecznie wymierzyć kopniaka.

Rozdział trzydziesty czwarty

Nad pełnym wybojów odcinkiem drogi prowadzącym od asfaltowej szosy do zakrętu na pagórku wisiał południowy upał, a zarośla po obu stronach były białe od granitowego kurzu. Zapach chwastów mógł przyprawić o mdłości. Wiał lekki, ale gryzący wiatr. Zdjąłem marynarkę i podwinąłem rękawy, lecz drzwi samochodu były zbyt nagrzane, by było można oprzeć o nie rękę. Spętany koń drzemał zmęczony pod kępą dębów. Jakiś Meksykanin, spalony

na ciemny brąz, siedział na ziemi i jadł coś z gazety. Powój wił się w poprzek drogi, by zakończyć swoją wędrówkę na wystającej kostce granitu; znajdująca się tam przed chwilą jaszczurka zniknęła - nie wiadomo w jaki sposób - bez śladu. Kiedy minąłem pagórek, krajobraz się całkowicie zmienił. Pięć minut później wjeżdżałem na podjazd domu Wade'ów. Zaparkowałem, dotarłem kamienną ścieżką do drzwi i zadzwoniłem. Otworzył mi Wade. Ubrany był w białą koszulę w brązową kratę, z krótkimi rękawami, jasnoniebieskie szorty z drelichu i ranne pantofle. Był opalony i wyglądał dobrze. Na rękę miał plamę od atramentu, a na nosie ślad popiołu z papierosa. Zaprowadził mnie do swego gabinetu i zasiadł za biurkiem. Leżała na nim gruba sterta żółtych, zapisanych kartek. Położyłem marynarkę na krześle i usiadłem na tapczanie.

- - Cieszę się, że pan przyszedł. Napije się pan czegoś? Czuję, że mam taki wyraz twarzy, jaki się ma, kiedy pijak zaprasza na drinka. Wykrzywił twarz w uśmiechu.
- Ja będę pił coca-cole - oświadczył.
- Pan szybko dochodzi do siebie - zauważyłem. - Nie mam w tej chwili ochoty na nic mocniejszego. Napiję się z panem coca-coli.
- Nacisnął coś nogą i po chwili pojawił się Candy, bez białej marynarki. Minę miał skrzywioną. Ubrany był w niebieską koszulę i pomarańczową chustkę, czarno-białe buty i eleganckie spodnie z gabardyny. Wade kazał mu przynieść dwie coca-cole. Candy rzucił mi ostre spojrzenie i wyszedł.
- To książka? - spytałem, wskazując na stos papierów.
- Tak. Nic niewarta.
- Nie wierzę w to. Ile już pan zrobił?
- Jakieś dwie trzecie. Ale to do niczego. Pisarz sam się orientuje, kiedy mu nie wychodzi.
- Nie umiem nic powiedzieć na temat pisarzy. - Nabiłem fajkę.
- Koniec następuje, kiedy się zaczyna czytać swoje
-
- stare rzeczy w poszukiwaniu pomysłów. To niezawodny znak. Mam tu pięćset stron maszynopisu, to znaczy dobrze ponad sto tysięcy słów. Publiczność lubi długie książki. Myślą, że jak jest dużo stron, to musi to być dobre. Boję się to czytać. Nie pamiętam ani połowy tego, co się w niej dzieje. Po prostu nie mam odwagi, by przyjrzeć się bliżej temu, co piszę.
- Ale wygląda pan dobrze - odparłem. - Pamiętam pana z tamtej nocy i nie przypuszczałbym nigdy, że tak pan się z tego wyciągnie. Myślę, że ma pan więcej charakteru, niż pan sądzi.

- W tej chwili potrzeba mi jednak czegoś więcej niż charakteru. Czegoś, do czego sama chęć nie wystarcza. Wiary w siebie. Jestem rozbałamucenym pisarzem, który przestał wierzyć w siebie. Mam piękny dom, piękną żonę i piękne nakłady moich książek. A jedyne, czego pragnę, to upić się i zapomnieć o wszystkim.
- Oparł podbródek na rękach i wpatrywał się przed siebie.
- Eileen powiedziała, że chciałem się zastrzelić. Czy naprawdę aż do tego doszło?
- Niczego pan nie pamięta?
- Niewiele ze mną rozmawiała w ciągu ostatniego tygodnia. Wyobrażam sobie, że ma wszystkiego potąd. - Przyłożył otwartą dłoń do podbródka. - Ten numer, który wyciął Loring, też był nie bez wpływu.
- Pani Wadę powiedziała, że to było tylko takie gadanie.
- No, a cóż miała innego powiedzieć. Akurat tak się składa, że to prawda. Nie przypuszczam jednak, by wierzyła w to, co mówiła. Facet jest nienormalnie zazdrosny. Człowiek wypije drinka czy dwa z jego żoną, pośmieje się trochę i pocałuje ją na pożegnanie, a on od razu jest przeświadczony, że się z nią sypia. Może dlatego, że sam tego nie robi.
-
- -Podoba mi się to w Idle Valley - przerwałem mu - że tu wszyscy prowadzą takie przyjemne, normalne życie.
- Zmarszczył się i w tym momencie otworzył się drzwi, wszedł Candy i nalał nam dwie coca-cole. Nie patrząc w moją stronę, postawił jedną przede mną.
- Chciałbym, żeby lunch był za pół godziny - powiedział Wadę. - A gdzie masz białą marynarkę?
- Mam dzisiaj wolne - odparł Candy, z twarzą całkowicie bez wyrazu. - Nie jestem kucharzem, szefie.
- Kucharza dziś nie ma, Candy. Trochę zimnego mięsa, kanapki i piwo nam wystarczą - oświadczył pisarz. - Zaprosiłem na obiad przyjaciela.
- Pan myśli, że to pański przyjaciel? - w głosie Candy'ego zabrzmiało szyderstwo. - Niech pan się lepiej spyta swojej żony.
- Wadę poprawił się w krześle i lekko uśmiechnął. - Uważaj, co mówisz, mały człowieczku. Masz tutaj dobrze. Chyba nie proszę cię często o przysługi? Candy wpatrywał się w podłogę. Po chwili podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Dobrze, szefie, nałożę białą marynarkę i przygotuję lunch. Obrócił się cicho i wyszedł. Wadę czekał, aż się za nim zamkną drzwi. Wzruszył

ramionami i popatrzył na mnie. - Nazywaliśmy ich kiedyś służącymi. Teraz nazywa się ich pomocą domową. Ciekaw jestem, kiedy zaczniemy im przynosić śniadania do łóżka. Płacę mu za dużo. Rozpuścił się.

- W formie pensji czy na boku?
- Co pan ma na myśli? - spytał ostro.

- Wstałem i wręczyłem mu parę złożonych w czworo żółtych kartek. - Niech pan to przeczyta. Widocznie nie pamięta pan, że prosił pan, bym to podarł. Były schowane pod przykrywą maszyny do pisania. Rozpostarł kartki, poprawił się w krześle i zaczął je czytać. Ze stojącej na biurku szklanki coca-coli uchodził gaz. Czytał wolno, zmarszczony. Kiedy doszedł do końca, złożył kartki i przesunął palcem po ich krawędzi.

- Czy Eileen to widziała? - spytał z nutą niepokoju w głosie.
- Nie mam pojęcia. Może widziała.
- Dość. zwariowane, co?
- Mnie się podobało. Specjalnie ten fragment o przyzwoitym człowieku, który zginął przez pana.

- Ponownie rozprostował kartki, podarł je ze złością na długie paski i wrzucił do kosza.

- Pijany człowiek mówi, pisze i robi, cokolwiek mu wpadnie do głowy - powiedział wolno. - To nie ma żadnego sensu. Candy mnie nie szantażuje. On mnie lubi.
- Powinien pan się znowu upić, to może przypomniałby pan sobie, o co panu wtedy chodziło, i może też jeszcze wiele innych spraw. Już raz mieliśmy podobną historię - tej nocy, kiedy strzelał pan z rewolweru. Wtedy pewnie seconal pozbawił pana pamięci. Bo mówił pan całkiem do rzeczy. A teraz udaje pan znów, że nie pamięta, jak pan pisał to, co oddałem. Nic dziwnego, że nie jest pan w stanie napisać tej książki. To cud, że pan się jeszcze trzyma przy życiu.

- Wysunął szufladę biurka. Pogrzebał w niej i wyciągnął książeczkę czekową. Otworzył ją i sięgnął po pióro.
- - Jestem panu winien tysiąc dolarów - powiedział spokojnie. Zaczął wypełniać czek, a później duplikat. Następnie wyrwał czek, obszedł z nim biurko i położył go przede mną. - Czy to pana zadowala?
- Poprawiłem się w krześle i spojrzałem na niego, nie ruszając czeku. Nie odezwałem się

ani słowem. Miał ściągniętą twarz, a w oczach wyraz pustki.

- - Pewnie pan myśli, że to ja ją zabiłem i pozwoliłem, by tą zbrodnią obciążono Lennox. Ona na pewno się puszczała, ale z tej przyczyny nie masakruje się kobiecie głowy. Candy wie, że bywałem u niej od czasu do czasu. Zabawne,
- ale wątpię, by o tym komuś powiedział. Mogę się oczywiście mylić, ale nie sędzę.
- To, czy powiedział, czy nie, nie miałyby żadnego znaczenia - odparłem. - Nawet gdyby powiedział, to i tak przyjaciele Harlana Pottera nie dawaliby mu wiary. A poza tym nie została zabita tą brązową figurką. Strzelono jej w głowę z jej własnego pistoletu.
- Może i miała pistolet - powiedział jakimś sennym głosem. - Ale nie wiedziałem, że została zastrzelona. Nie podano tego do wiadomości.
- Nie wiedziałem czy nie pamiętam? - spytałem go. - Tak, tego nie podano do wiadomości.
- Czego pan właściwie ode mnie chce? - Głos miał ciągle senny, prawie łagodny. - Co mam zrobić? Powiedzieć mojej żonie? Policji? Co by to dało?
- Powiedział pan, że przez pana zginął przyzwoity człowiek.
- Miałem na myśli jedynie to, że gdyby śledztwo zostało przeprowadzone porządnie, to doszliby do tego, że byłem jednym - ale tylko jednym z wielu - możliwych sprawców. Wykończyłoby mnie to kompletnie.
- Nie przyszedłem tu, by oskarżyć pana o morderstwo. Pan się zagryza tym, że pan nie jest pewien, czy pan tego nie zrobił. Wiadomo, że zdarzyło się panu użyć siły w stosunku do własnej żony. Kiedy pan się upije, traci pan przytomność. To żaden argument, że nie miażdży się kobiecie głowy tylko dlatego, że jest puszczałska. Ktoś to przecież zrobił. Facet, którego o to obwiniono, znacznie mniej pasował do roli takiego mordercy niż pan.
- Podszedł do otwartych oszklonych drzwi i stanął przy nich wpatrując się w leciutką mgiełkę, która drgała w upalnym powietrzu nad jeziorem. Nie odpowiedział mi. Nie ruszył się też ani nie odezwał ani jednym słowem, kiedy parę minut później usłyszeliśmy lekkie pukanie do drzwi i wszedł Candy popychając przed sobą stoliczek na
- kółkach, przykryty białym obrusem. Znajdowały się na nim przykryte srebrnymi pokrywami talerze, dzbanek kawy i dwie butelki piwa.
- Otworzyć piwo, szefie? - spytał.
- Przynieś mi butelkę whisky - odparł Wadę, nie zmieniając pozycji.

- - Bardzo mi przykro, szefie, ale nie ma whisky. Wadę obrócił się na pięcie i wrzasnął na niego, ale Candy
- się nie ugiął. Zauważył czek leżący na stoliku cocktailowym i z wysiłkiem przekręcił głowę, by go odczytać. Spojrzał na mnie i coś syknął. Po czym zwrócił wzrok na Wade'a.
- - Idę już. Dziś mam wychodne.
- Wadę się roześmiał. - A więc sam ją przyniosę - powiedział ostro i wstał. Podniosłem jedną z pokryw i zobaczyłem starannie przygotowane trójkątne kanapki. Nalałem sobie piwa, wziąłem kanapkę i zjadłem na stojąco. Wadę wrócił z butelką i szklanką. Usiadł na tapczanie, nalał sobie sporą ilość i wypił do dna. Słysząc było warkot odjeżdżającego wozu. Musiał to być Candy, który ruszył służbowym podjazdem. Wziąłem jeszcze jedną kanapkę.

- Niech pan siada i rozgości się - powiedział Wadę. - Przed nami jest całe popołudnie. - Whisky musiała już zacząć działać, bowiem głos miał bardziej dźwięczny i pogodny. - Pan mnie nie lubi, Marlowe, co?
- Z tym pytaniem mieliśmy już kiedyś do czynienia.
- Wie pan co? Z pana to dość bezwzględny sukinsyn. Idzie pan na wszystko, żeby się dowiedzieć tego, co panu jest potrzebne. Zabrałby się pan nawet do mojej żony, nie zważając na to, że ja leżę kompletnie pijany w sąsiednim pokoju.
- Pan wierzy w to wszystko, co panu opowiada ten nożownik?

- Nalał sobie whisky i podniósł szklankę do światła. - Nie, nie we wszystko. Ta whisky ma piękny kolor, prawda? Utopić się w złotej powodzi - to brzmi nieźle. „By o północy odejść - bez mąk - w pokój wieczny”. Jak to idzie dalej? A, przepraszam, pan tego na pewno nie zna. To zbyt literackie. Pan jest jakimś detektywem czy czymś takim, prawda? Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan tu robi? Znów łyknął whisky i uśmiechnął się do mnie. W tym momencie zauważył leżący na stole czek. Wziął go do ręki i przeczytał.

- Wystawiony jest na kogoś o nazwisku Marlowe. Zastanawiam się dlaczego, po co? A jednak go podpisałem. Bardzo nierozsądnie z mojej strony. Jestem łatwowiernym facetem.
- Niech pan przestanie się zgrywać - rzuciłem ostro. - Gdzie jest pańska żona?

- Podniósł głowę z uprzejmym wyrazem twarzy. - Moja żona będzie wkrótce w domu. Niewątpliwie wtedy już wysiądę i będzie mogła się swobodnie panem zająć. Wszystko będzie należało do pana.
- - Gdzie jest rewolwer? - spytałem nagle.
- Na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia. Powiedziałem, że schowałem go do biurka. - Ale z całą pewnością nie ma go tam teraz - odparł. - Niech pan szuka, jeśli ma pan na to ochotę. Ale proszę, niech pan nie podwędzi recepturek, które tam leżą. Podszedłem do biurka i przeszukałem je. Rewolweru nie było. To dobrze. Może Eileen go gdzieś ukryła.

- - Panie Wadę - zapytałem - gdzie jest pańska żona? Myślę, że powinna być tutaj. Nie ze względu na mnie, przyjacielu, ale na pana. Ktoś się musi panem zajmować, ale niech mnie szlag trafi, jeśli to będę ja.
- Przypatrywał mi się wzrokiem bez wyrazu. Ciągłe trzymał w ręku czek. Postawił szklankę i przedarł go w poprzek, potem jeszcze raz i jeszcze raz, pozwalając, by kawałki posypały się na podłogę.
- Widocznie suma była zbyt mała - zauważył. - Pańskie usługi są bardzo kosztowne. Nawet tysiąc dolarów i moja żona nie zadowolają pana. Żałuję, ale nie mogę dołożyć nic więcej. Chyba żebym coś dołożył z tego, ale sobie. - Poklepał butelkę.
- Wychodzę - przerwałem mu.
- Dlaczego? Chciał pan przecież, bym sobie coś przypomniał. Właśnie w tej butelce jest zakorkowana moja pamięć. Niech pan się stąd nie rusza, przyjacielu. Kiedy się dobrze zakropię, opowiem panu wszystko o tych kobietach, które zamordowałem.
- Dobrze. Posiedzę jeszcze trochę, ale nie tu. Kiedy pan będzie mnie potrzebował, niech pan po prostu rozbije krzesło o ścianę.
- Wyszedłem, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Przeszedłem living-room i dotarłem do patio, gdzie ustawiłem jedną z leżanek w cieniu domu, i wygodnie się na niej wyciągnąłem. Nad jeziorem, na tle wzgórz, unosiła się błękitna mgiełka. Oceaniczna bryza zaczęła się już przedostawać przez niskie pasmo pagórków od zachodniej strony. Powietrze się oczyściło i upał zelżał. Idle Valley przeżywała pełnię cudownego lata. Ktoś to musiał planować. Może bardzo elitarna Spółka Akcyjna „Raj”. Tylko najlepsze sfery. Żadnych typów ze środkowej Europy. Wyłącznie śmietanka towarzyska, ludzie z górnej szuflady - przemili, wspaniali ludzie. Tacy jak Loringowie i Wadę’o wie. Czyste złoto.

Rozdział trzydziesty piąty

Leżałem tak przez pół godziny, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Miałem ochotę pozwolić mu się dobrze upić i zobaczyć, co z tego wyniknie. Nie sądziłem, by mogło mu się przytrafić coś złego w jego własnym domu. Co najwyżej przewróciłby się jeszcze raz, ale na to było jeszcze grubo za wcześnie. Facet mógł dużo wypić. A poza tym pijacy jakoś nigdy nie robią sobie krzywdy. Zresztą niewykluczone, że znów poczuje się winny. Najbardziej prawdopodobne jednak było, że po prostu zaśnie. A jednocześnie coś mi mówiło, żeby zabrać się stąd i nie wracać. Tego głosu jednak nigdy nie słucham. Bo gdybym go chociaż raz

posłuchał, to zostałbym w mieście, w którym się urodziłem, i pracował w sklepie z galanterią metalową; wziąłbym za żonę córkę szefa, miał z nią pięcioro dzieci, czytał im w niedzielę rano komiksy, przykładał w tyłek, kiedy by łobuzowały, sprzeczał się z żoną w sprawie ich kieszonkowego oraz programów radiowych i telewizyjnych, które im wolno słuchać i oglądać. Mógłbym nawet stać się zamożnym człowiekiem - na skalę małego miasteczka: ósmiopokojowy dom, dwa wozy w garażu, co niedziela kurczę, „Reader’s Digest” na stole w living-roomie, żona z bardzo trwałą trwałą, a ja z mózgiem jak worek cementu Portland. Wy możecie na to pójść, przyjaciele, ja wolę wielkie miasto - zmęczone, brudne i nieuczciwe. Wstałem i udałem się do gabinetu. Wadę siedział, wpatrzony tępo przed siebie. Butelka Scotcha była wypita do połowy; twarz miał lekko zmarszczoną, a w oczach matowy połysk. Popatrzył na mnie jak koń na przeszkodę.

- Czego pan chce?
- Niczego. Jak pan się czuje?
- Niech mi pan nie przeszkadza. Mam na ramieniu małego człowieczka, który opowiada mi różne historyjki.

- Wziąłem kanapkę ze stolika do herbaty i jeszcze jedno piwo. Wsparty o jego biurko, zacząłem jeść i popijać.
- - Wie pan co? - spytał nagle, a głos jego zabrzmiał dużo wyraźniej. - Miałem kiedyś sekretarza, któremu dyktowa-

- łem. Zwolniłem go. Przeszkadzał mi, jak tak siedział i czekał na to, co stworzę. Błąd. Powinienem był go zatrzymać. Zaczęliby mówić o mnie, że jestem pedałem. Szybko dowiedzieliby się o tym ci błyskotliwi faceci pisujący recenzje książkowe, ponieważ nie potrafią nic innego, i zaczęliby dobrze się o mnie wyrażać. Wie pan, popiera się ludzi podobnych upodobań. Ci recenzenci to pederasty, co do jednego. A pederasta, przyjacielu, jest w naszych czasach arbitrem sztuki. Dzisiaj zboczeniec jest górą.
- - To ciekawe. Ale zboczeńcy zawsze istnieli.
- Nie patrzył na mnie. Po prostu mówił. Ale usłyszał, co powiedziałem.
- - Naturalnie, od tysiącleci. Specjalnie w czasie wielkich okresów sztuki. Ateny, Rzym, renesans, epoka elżbietańska, romantyzm we Francji - było ich wtedy wszędzie pełno. Czy czytał pan „Złotą gałąź”? Nie, to pewnie za długie dla pana? Ale jest skrócona wersja. Powinien pan ją przeczytać. Autor udowadnia, że nasze obyczaje seksualne są czystą konwencją - tak jak noszenie czarnego krawata do smokingu. Ja jestem pisarzem seksu - z różnymi ozdobnikami, ale nie zboczonego.
- Spojrzał na mnie i zadrwił: - Wie pan co? Jestem kłamcą. Moi bohaterowie mają po dwa i pół metra, a bohaterkom robią się odciski na zadkach od leżenia w łóżku z podciągniętymi nogami. Koronki i falbanki, szable i powozy, elegancja i zabawy, pojedynki i rycerska śmierć. Wszystko kłamstwo. Używali perfum zamiast mydła, zęby im gniły, bo ich nigdy nie myli, a

paznokcie pachniały zjeżdżałym sosem. Szlachta francuska załatwiała się pod ścianami w marmurowych korytarzach Wersalu i kiedy się w końcu ściągnęło parę sztuk bielizny z uroczej markizy, to pierwszą rzeczą, która człowiekowi się nasuwała, było to, że przydałaby się jej kąpiel. Powinienem być to w ten sposób napisać.

- - No, to dlaczego pan tego nie zrobił?
- Zaśmiał się. - Naturalnie, i żył w pięciopokojowym domu w Compton, jakby dobrze poszło. - Schylił się i poklepał butelkę whisky. - Jesteś, przyjaciółko, samotna. Potrzebujesz towarzystwa. Wstał i dość pewnym krokiem wyszedł z pokoju. Czekałem, nie myśląc o niczym. Po jeziorze mknęła motorówka. Kiedy się zbliżyła, zobaczyłem, że dziób ma mocno uniesiony do góry, bo ciągnie deskę surfingową, na której stał krępy, opalony chłopak. Podeszedłem do balkonowych drzwi i przyglądałem się, jak zatacza wielki łuk. Jechała tak szybko, że o mało nie miała wywrotki. Chłopak zatańczył na jednej nodze, usiłując złapać równowagę, i runął do wody. Motorówka zatrzymała się, a on podpłynął do niej wolno czałkiem, a potem przesunął się wzdłuż liny i wlaź na deskę. Nadszedł Wadę z butelką whisky. Motorówka przyspieszyła i wkrótce-zniknęła mi z oczu. Postawił butelkę obok tej, którą już przedtem wypił. Usiadł i zamyślił się nad czymś.
- - Na litość Boską, nie ma pan chyba zamiaru wypić tego wszystkiego?
- Spojrzał na mnie. - Niech pan stąd znika, rozrabiaczu - powiedział - i zajmie się zmywaniem podłogi w łazience czy czymś takim. Zasłania mi pan światło. - Głos mu znów zgrubiał. Musiał sobie już dobrze pociągnąć w kuchni.
- Kiedy będzie mnie pan potrzebował, niech pan zawoła.
- Niemożliwe, żebym upadł tak nisko, by pana potrzebować.
- Dzięki za szczerłość. Będę w pobliżu aż do powrotu pani Wadę. Czy zetknął pan się kiedyś z nazwiskiem Feliks Marston?
- Głowa mu się powoli uniosła. Zmagał się ze swymi oczyma. Widać było, jak walczy, by się opanować. Udało mu się - przynajmniej tym razem. Twarz miał znów pozbawioną wyrazu. - Nigdy - odrzekł bardzo wolno. - A kto to jest? Kiedy zajrzałem następnym razem do niego, spał. Miał usta otwarte, język suchy i spieczony, włosy mokre od potu; cały pachniał Scotchem. Rozchylone wargi nadawały jego twarzy dziwny wyraz. Jedna z butelek była pusta, a z drugiej ubyła ćwiartka. Szklanka na stole była do połowy opróżniona. Postawiłem pustą butelkę na stoliku do herbaty i wytoczyłem go z pokoju, a później zamknąłem balkonowe drzwi i zapuściłem żaluzje. Motorówka mogła zawrócić i obudzić go. Zamknąłem też drzwi wejściowe. Zabrałem stolik do kuchni, przestronnej i pustej, malowanej na niebiesko i biało. Ciągle byłem głodny. Zjadłem jeszcze jedną kanapkę, wypilem resztkę piwa i nalałem sobie filiżankę kawy. Piwo zwietrzało, ale kawa była jeszcze gorąca. Wypilem ją i poszedłem do patio. Minęło już sporo czasu od chwili, kiedy motorówka po raz ostatni nawróciła w stronę domu. Dochodziła czwarta, kiedy usłyszałem, jak jej odległy warkot zamienia się w ogłuszający ryk. Powinno to

być zabronione. Może zresztą i jest, tyle że facet w motorówce miał to w nosie. Sprawiało mu przyjemność, że mógł uprzykrzyć życie innym; nie był w tym zresztą osamotniony. Zszedłem na brzeg jeziora.. Tym razem mu się udało. Zwolnił dostatecznie na zakręcie, a opalony chłopak mocno się wychylił, by zrównoważyć siłę odśrodkową. Deska surfingowa dotykała wody tylko jednym kantem. Motorówka znów ruszyła prosto, a chłopak zdołał utrzymać równowagę. Wrócili tą samą drogą, którą przyjechali, i tyle ich było widać. Wywołane przez motorówkę fale dotarły do brzegu jeziora i łamały się u moich stóp. Zawróciłem do domu.

- W momencie, kiedy dotarłem do patio, usłyszałem dźwięk gongu dochodzący od strony kuchni. Po chwili rozległ się jeszcze raz. Pomyślałem, że gong mógł być tylko przy drzwiach wejściowych. Otworzyłem je i zobaczyłem Eileen Wade, stojącą tyłem do domu. Obracając się, powiedziała: - Bardzo mi przykro, ale zapomniałam swojego klucza. - W tym momencie zobaczyła mnie: - Och... myślałam, że to Roger lub Candy.
- - Candy'ego nie ma. Dziś jest czwartek.
- Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła białe pekary i położyła jakąś paczkę na stoliku między dwiema półkami. Zachowywała się spokojnie i z rezerwą.

- Czy stało się coś złego?
- No, trochę sobie popiliśmy. Nic groźnego. Śpi. natapczanie w gabinecie.
- Ściągnął tu pana?
- Tak, ale nie z tego powodu. Zaprosił mnie na lunch. Ale sam go, niestety, nie zjadł.
- Och. - Usiadła z wolna na jednym z foteli. - Niech pan sobie wyobrazi, że kompletnie zapomniałam, że dziś jest czwartek. Kucharz też wyszedł. Ależ jestem gapa.
- Candy przygotował lunch przed wyjściem. No, muszę uciekać. Mam nadzieję, że mój wóz nie zablokował pani przejazdu?

- Uśmiechnęła się. - Nie. Miałam dość miejsca. Nie napije się pan herbaty? Zaraz będę ją parzyła.
- - Chętnie. - Sam nie wiem, dlaczego przyjąłem to zaproszenie. Wcale nie miałem ochoty na herbatę, po prostu tak mi się powiedziało.
- Zdjęła żakiet. Nie miała na głowie kapelusza. - Zajrzę tylko na chwilę do Rogera - rzuciła - i zobaczę, czy wszystko w porządku. Patrzyłem, jak idzie do gabinetu i otwiera drzwi. Stała w nich chwilę, po czym zamknęła je i wróciła.

- - Ciągle śpi. Bardzo mocno. Muszę na chwilę pójść na górę, ale zaraz będę z powrotem; Wzięła żakiet, rękawiczki i torbę i ruszyła schodami do I swego pokoju. Zamknęły się za nią drzwi. Wszedłem do gabinetu Wade'a, by zabrać butelkę whisky. Skoro ciągle spał, to nie była mu potrzebna. Rozdział trzydziesty szósty Zamknięcie balkonowych drzwi spowodowało, że gabinet był duszny, a opuszczone weneckie żaluzje pogrążyły go w półmroku. W powietrzu

unosił się jakiś ostry zapach. Panowała kompletna cisza. Od drzwi do tapczanu było jakieś pięć metrów i wystarczyło, że przeszedłem połowę tego dystansu, by zorientować się, że Wade nie żyje. Leżał na boku, twarzą w stronę ściany; jedną rękę zgiętą miał pod sobą, a przedramię drugiej przesłaniało mu oczy. Na wysokości piersi widać było kałużę krwi, w której leżał rewolwer marki Webley. Policzek miał zalany krwią. Nachyliłem się, by przyjrzeć się jego szeroko otwartemu oku oraz nagiemu ramieniu, w zgięciu którego mogłem dostrzec osmolony otwór w głowie, lekko napuchnięty dookoła; ciągle jeszcze ciekła z niego krew. Nadgarstek miał ciepły, ale nie było wątpliwości, że nie żył. Zostawiłem go tak, jak go znalazłem, i zacząłem się rozglądać, czy nie było jakiegoś listu lub notatki. Ale poza stosem kartek na stole niczego nie zauważyłem. Samobójcy nie zostawiają listów. Maszyna stała odkryta. To chyba nie miało znaczenia. Poza tym wszystko wyglądało normalnie. Samobójcy przygotowują się w najrozmaitszy sposób - jedni piją whisky, inni zjadają wystawną kolację z szampanem. Niektórzy mają na sobie wieczorowe ubranie, inni w ogóle nic. Zabijają się w rowach, łazienkach, w wodzie, na wodzie, ponad wodą; wieszają się w stodołach i zagazowują w garażach. Ten wypadek wydawał się całkiem prosty. Nie słyszałem wystrzału, ale musiał on nastąpić, kiedy nad jeziorem przyglądałem się harcom motorówki. Hałas był okropny. Nie wiadomo dlaczego Wade'owi musiało zależeć, by nie było słyhać strzału. Może zresztą stało się tak zupełnie przypadkowo. Może zdecydował się strzelić akurat w momencie, kiedy motorówka przyspieszyła. Nie bardzo mi się to podobało, ale nie było na to rady. Strzępki czeku leżały na podłodze; nie ruszyłem ich. Zabrałem natomiast podarte paski maszynopisu znajdujące się w koszu. Wybrałem je bardzo starannie, sprawdzając, czy jakiegoś nie przeoczyłem, i wsadziłem do kieszeni. Było to o tyle proste, iż kosz był prawie pusty. Nie miało sensu zastanawiać się, gdzie schowano pistolet. Możliwości było zbyt dużo. Mógł być w krześle, pod jedną z poduszek w tapczanie, za książkami na podłodze, w najróżniejszych zresztą miejscach. Zamknąłem drzwi i zacząłem nasłuchiwać. Z kuchni dochodziły jakieś odgłosy. Kiedy dotarłem tam, czajnik zaczynał właśnie gwizdać, a Eileen, ubrana w niebieski fartuch, przykręcała ogień. Obracając się, rzuciła mi przelotne, pozbawione wyrazu spojrzenie.

- Jak pan pija herbatę?
- Proszę sobie nie zawracać głowy, wypiję taką, jaką pani robi.
- Oparłem się o ścianę i wyjąłem papierosa, by czymś zająć palce. Naciągałem go i ugniatałem, aż się złamał w pół; jedną z połówek rzuciłem na podłogę. Powiodła za nią wzrokiem. Podniosłem ją i obydwie połówki zgniotłem w kulkę.
- Zalała herbatę. - Zawsze piję z cukrem i śmietanką - powiedziała, nadal odwrócona tyłem. - To dziwne, bo kawę pijam bez niczego. Nauczyłam się picia herbaty w Anglii. Używali sacharyny zamiast cukru. Kiedy wybuchła wojna, nie mieli oczywiście śmietanki. ~ Pani mieszkała w Anglii?

- Pracowałam tam. Przez cały okres Blitzu. Spotkałam mężczyznę, ale o tym już panu opowiadałam..
 - A gdzie pani poznała Rogera?
 - W Nowym Jorku.
 - I tam pani wyszła za mąż?
-
- Obróciła się, z grymasem na twarzy. – Nie, nie pobraliśmy się w Nowym Jorku. Dlaczego?
 - - To tylko taka gadanina, podczas gdy herbata się naparza.
 - Spojrzała przez okno ponad zlewem. Miała stamtąd widok aż do samego jeziora. Oparła się o zlew i zaczęła bawić się sitkiem do herbaty.
 - - Będę musiała położyć temu koniec, ale sama nie wiem jak. Może trzeba go będzie oddać do odpowiedniej instytucji. Nie wyobrażam sobie jednak, bym się umiała na to zdobyć. Musiałabym coś podpisać, prawda?
 - Mówiąc to, zwróciła się do mnie.
 - - Może to zrobić sam - odparłem. - To znaczy mógł do niedawna.
 - W tym momencie zadzwonił czasomierz do herbaty. Eileen odwróciła się ponownie do zlewu, przelała herbatę do drugiego dzbanka i umieściła go na tacy. Uprzednio przygotowała już na niej filiżanki. Zaniósłem tacę do living-roomu i postawiłem na stole pomiędzy dwoma fotelami. Usiadła naprzeciwko mnie, i rozlała herbatę do filiżanek. Wziąłem swoją i postawiłem przed sobą, by ostygła. Przyglądałem się, jak nalewa śmietankę i wrzuca do filiżanki dwie kostki cukru. Popróbowowała herbaty.
-
- Co miała oznaczać ta ostatnia uwaga? - spytała nagle. - Że mógł do niedawna... sam się zgłosić do jakiegoś zakładu, czy to pan miał na myśli?
 - Nie miałem nic specjalnego na myśli. Pani schowała wtedy ten rewolwer, o którym pani wspomniałem?
 - Schowałam go? - powtórzyła, marszcząc się. - Nie, nigdy nie robię tego rodzaju rzeczy. Nie wierzę w to. Dlaczego pan pyta?
 - Zapomniała pani dziś kluczy do domu?
 - Już mówiłam panu, że zapomniałam.
 - Ale nie zapomniała pani kluczy do garażu. Zwykle w takim domu jak ten robi się zapasowe klucze.
 - Nie potrzebuję kluczy do garażu - odparła ostro. - Otwierają się przy pomocy przełącznika. Wyjeżdżając, trzeba go przesunąć do góry. Na zewnątrz jest inny przełącznik, który je otwiera. Często zostawiamy drzwi otwarte i Candy je zamyka.
 - Rozumiem.
 - Pan robi jakieś dziwne uwagi - stwierdziła cierpko. - Tak samo jak poprzednim razem.
 - W tym domu zetknąłem się z wieloma dziwnymi rzeczami. Rewolwery strzelają w nocy, pijacy leżą na trawniku przed wejściem, doktorzy przychodzą na wizytę, a później nie chcą w niczym pomóc, piękne kobiety biorą mnie w ramiona i zwracają się do mnie, jakby sądziły, że

jestem kimś innym, służący meksykańscy rzucają nożami. Ale wracając do tego rewolweru, to wielka szkoda, że pani go nie schowała. Pani w gruncie rzeczy nie kocha swego męża, prawda? Już się zresztą panią o to pytałem.

- Podniosła się powoli. Zachowywała się z całkowitym spokojem, tylko jej chabrowe oczy stały się bledsze i jakby bardziej zimne. Zaczęły jej drżeć usta.
- - Czy... czy stało się coś złego? - spytała bardzo wolno i popatrzyła w kierunku gabinetu.
- Nim zdążyłem kiwnąć głową, rzuciła się biegiem i w jednej sekundzie była przy drzwiach. Otworzyła je z impetem i wpadła do środka. Jeśli spodziewałem się rozdzierającego krzyku, to się zawiodłem. Nie usłyszałem nic. Poczułem się głupio. Nie powinienem był pozwolić jej tam pójść bez tego zwyczaj owego przygotowania: niech pani się przygotuje, bo mam złe wiadomości, może pani usiądzie, obawiam się, że zdarzyło się coś bardzo przykrego. Taka beznadziejna gadanina. A kiedy człowiek już to wszystko powie, to okazuje się, że nikomu niczego się nie zaoszczędziło. Często można w ten sposób tylko pogorszyć sytuację. Wstałem i poszedłem za nią. Klęczała obok tapczana, trzymając głowę męża przyciśniętą do piersi; umazana była krwią. Nie wydawała z siebie najmniejszego dźwięku. Oczy miała zamknięte. Kołysała się rytmicznie na kolanach, przyciskając go do siebie. Wyszedłem do telefonu. Znalazłem numer najbliższego posterunku szeryfa i zadzwoniłem. Udałem się następnie do kuchni, otworzyłem kran, wyjąłem paski żółtego papieru z kieszeni i wrzuciłem do elektrycznej maszynki do mielenia śmieci. Potem wsypałem do niej fusy herbaciane z dzbanka w kuchni. W parę sekund wszystko zostało przemielone i zniknęło. Zakręciłem wodę, wyłączyłem maszynkę, wróciłem do living-roomu i wyszedłem na zewnątrz. Jakiś zastępca szeryfa musiał przejeżdżać w pobliżu, bo w sześć minut po telefonie już był na miejscu. Kiedy zaprowadziłem go do gabinetu, ciągle jeszcze klęczała przy tapczanie. Podszedł do niej natychmiast, mówiąc:
 - - Bardzo mi przykro, proszę pani, rozumiem, co pani czuje, ale nie powinna pani niczego dotykać.
 - Obróciła głowę i podniosła się. - To mój mąż. Został zastrzelony. Zdjął czapkę, położył ją na biurku i sięgnął po telefon.
 - - Nazywa się Roger Wade - powiedziała wysokim, nienaturalnym głosem. - Jest słynnym powieściopisarzem.
- - Orientuję się, proszę pani - odparł zastępca szeryfa i zaczął nakręcać numer.
- Popatrzyła na swoją bluzkę. - Czy mogę pójść na górę, by się przebrać?
- Naturalnie - skinął głową. Rozmawiał chwilę, odwiesił słuchawkę i obrócił się do niej. - Powiedziała pani, że został zastrzelony. Czy to oznacza, że ktoś go zastrzelił?
- Sądzę, że zamordował go ten człowiek - odparła, nie patrząc w moją stronę, i szybko wyszła z pokoju.

- Zastępca szeryfa spojrział na mnie. Wyciągnął notes. Coś w nim zapisał. - Zanotuję chyba pańskie nazwisko - oświadczył od niechcienia - i adres. Czy pan jest tym człowiekiem, który zadzwonił?

- Tak. - Podałem mu moje dane.
- Niech pan pozostanie tu, dopóki nie przyjedzie porucznik Ohls.
- Bernie Ohls?
- Tak. Pan go zna?
- Naturalnie. Od dawna. Pracował w swoim czasie w Prokuraturze Okręgowej.
- Teraz już go tam nie ma - odparł. - Jest zastępcą szefa Wydziału Zabójstw w Urzędzie Szeryfa w Los Angeles. Pan jest przyjacielem rodziny, panie Marlowe?
- Z tego, co powiedziała pani Wade, raczej trudno by tak sądzić.

- Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął. - Niech pan się nie przejmuj. Nie ma pan przy sobie rewolweru, co?

- Dzisiaj go nie wziąłem.
- Muszę się upewnić. - Zrobił to. Po czym popatrzył na tapczan - - W tego rodzaju sytuacji nie można oczekiwać, by żona zmarłego zachowywała się sensownie. Poczekajmy na dworze.
-
-

Rozdział trzydziesty siódmy

Ohls był tęgim mężczyzną średniego wzrostu, z krótko przystrzyżonymi, spłowiałymi włosami i wyblakłymi, niebieskimi oczyma, nad którymi znajdowały się szczeciniaste, białe brwi. W czasach gdy jeszcze nosił kapelusz, człowiek był zawsze lekko zaskoczony, kiedy Ohls go zdejmował - ukazywało się bowiem znacznie więcej głowy, niż można się było spodziewać. Twardy, surowy glina, o pesymistycznym poglądzie na życie, był w rzeczywistości bardzo przyzwoitym facetem. Powinien już dawno zostać kapitanem. Ze sześć razy zdawał wymagany egzamin, zawsze na jednym z trzech pierwszych miejsc. Ale szeryf go nie lubił, a on nie lubił szeryfa. Schodził teraz ze schodów, pocierając sobie szczękę. Od dłuższego czasu słyhać było, jak w gabinecie strzelają flesze. Jacyś ludzie wchodzili i wychodzili. A ja siedziałem w living-roomie w towarzystwie ubranego po cywilnemu policjanta i czekałem. Ohls usiadł na brzegu krzesła z opuszczonymi rękami. W ustach obracał nie zapalone cygaro. Patrzył na mnie w zamyśleniu.

- - Pamiętasz te czasy, kiedy w Idle Valley była budka strażnicza przy wejściu i prywatna

policja?

- Skinąłem głową. -I kasyno gry.
- Tak jest. Na to nie można nic poradzić. W dalszym ciągu cała dolina jest w prywatnych rękach. Tak jak kiedyś Arrowhead i Emerald Bay. Po raz pierwszy od dłuższego czasu trafia mi się sprawa, koło której nie kręcą się dziennikarze. Szeryf owi Petersonowi musiano coś szeptać na ucho. No i wobec tego nic nie poszło przez telex.
- To niezwykle uprzejmie - odparłem. - Jak się czuje pani Wadę?
- Jest nienaturalnie spokojna. Musiała chyba zażyć jakieś tabletki. Ma ich kilka rodzajów - łącznie z demerolem. To niebezpieczny środek. Ostatnio twoi przyjaciele mają złą passę, co? Coraz to któryś umiera. Trudno mi było coś sensownego na to odpowiedzieć.
- Zawsze mnie interesowały samobójstwa popełnione przy pomocy broni - rzucił Ohls od niechcienia. - Tak łatwo można je sfingować. Pani Wadę twierdzi, że to ty go zabiłeś. Co to ma znaczyć?
- Tego nie należy rozumieć dosłownie.
- Kiedy tu nie było nikogo innego. Powiada, że wiedziałeś, gdzie jest rewolwer, i że on się upija. Strzelił podobno z rewolweru parę dni temu, a ona musiała z nim walczyć, by mu go odebrać. Przecież ty też tu byłeś. Jakoś niewielki z ciebie był pożytek.
- Dziś po południu przeszukałem jego biurko i nie znalazłem rewolweru. Uprzednio już powiedziałem jej, gdzie się znajduje, i radziłem, by go schowała. Mówi teraz, że nie wierzy w chowanie czegokolwiek.
- „Teraz”, to niby kiedy? - spytał.
- Po jej przyjeździe do domu, ale jeszcze przed moim telefonem na posterunek.
- Mówisz, że przeszukałeś biurko. Dlaczego? - Ohls uniósł ręce i opuścił je na kolana. Patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby to, co powiem, nie miało najmniejszego znaczenia.
- Tankował na potęgę. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli rewolwer znajdzie się poza jego zasięgiem. Chociaż poprzednim razem nie chciał się zabić. Była to tylko taka demonstracja.
- Pokiwał głową. Wyjął z ust przeżute cygaro, wrzucił do popielniczki i zabrał się do następnego.
- - Przestałem palić - powiedział. - Bardzo już kaszałem. Ale to draństwo nie daje mi spokoju. Nie mogę się uspokoić, dopóki nie poczuję cygara w ustach. - Miałeś się opiekować tym facetem, kiedy pozostawał sam?
- Nic podobnego. Zaprosił mnie do siebie na lunch. Żalił się, że nie szło mu pisanie. Po czym postanowił się zabrać do butelki. Sądziysz, że powinienem był mu ją odebrać?
- Nic na razie nie sędzę. Chcę się po prostu zorientować w tym, co tu się działo. Wypiłeś

dużo?

- Piłem piwo.
- Miałeś pecha, że się tutaj znalazłeś. Co to był za czek? Ten, który Wadę wypełnił, podpisał i podarł?
- Wszyscy chcieli, bym tu zamieszkał i zajął się nim. Wszyscy, to znaczy on, jego żona i jego wydawca, który nazywa się Howard Spencer. Mieszka w Nowym Jorku. On to ci potwierdzi. Nie zgodziłem się na tę propozycję. Później pani Wadę przyszła do mnie do biura i oświadczyła, że jej mąż poszedł w kurs i zniknął bez śladu. Była tym zmartwiona i chciała, bym go odnalazł i sprowadził do domu. Zrobiłem to. W czasie następnej odsłony musiałem go wnieść z trawnika przed domem i ułożyć w łóżku. Od początku na żaden z tych figli nie miałem ochoty. Zostałem w to wplątany w jakiś dziwny sposób.
- To nie miało nic wspólnego ze sprawą Lennox, hm?
- A idź do diabła. Nie ma przecież żadnej sprawy Lennox.
- Święta prawda - stwierdził sucho Ohls. Ścisnął sobie kolana rękami. Jakiś mężczyzna wszedł frontowymi drzwiami, pomówił chwilę z drugim detektywem i podszedł do Ohlsa.
- Poruczniku, na dworze jest niejaki doktor Loring. Mówi, że został wezwany. Jest lekarzem pani Wadę.
- Wpuść go.

- Detektyw odszedł, a po chwili wkroczył Loring ze swoją elegancką, czarną torbą w rękę. Był pewny siebie i wyglądał bardzo dystyngowanie w ubraniu z wełnianego tropiku. Przeszedł obok mnie, tak jakbym w ogóle nie istniał.
- - Czy pani Wadę jest na górze? - spytał Ohlsa.

- - Tak, w swoim pokoju. - Ohls podniósł się. - Po co dał jej pan demerol, doktorze?
- Loring zmarszczył się. - Przepisuję moim pacjentom to, co uważam za potrzebne - odparł zimno. - Nie muszę się z tego tłumaczyć. A kto twierdzi, że dałem demerol pani Wadę?

- Ja. Na butelce jest pańskie nazwisko. Pani Wadę ma w łazience całą aptekę. Być może pan nie wie, doktorze, że my mamy pełen zestaw tych tabletek w naszej policyjnej kolekcji. Demerol jest z nich najgorszy. Zażywał go podobno Góring. Kiedy go złapali, brał osiemnaście sztuk dziennie. Lekarze wojskowi pracowali przez trzy miesiące, by go odzwyczaić.
- O jakich tabletkach pan mówi? - spytał lodowatym głosem doktor Loring.
- Pan nie wie? Szkoda. O sodium amytału, seconalu, nembutalu i różnych barbituranach z dodatkiem benzydryny. Demerol jest syntetycznym narkotykiem, powodującym silne przyzwyczajenie. A pan nim tak szafuje, hm? Czy pani Wadę cierpi na jakąś poważną chorobę?
- Mąż pijak może być przyczyną bardzo poważnych dolegliwości u wrażliwej kobiety - odparł Loring.
- Ale nie udało się panu nim zająć, hm? Szkoda. Pani Wadę jest na górze, doktorze. Dziękuję za pańskie wyjaśnienia.

- Pań się zachowuje impertynencko. Złożę na pana zażalenie.
- Koniecznie - odrzekł Ohls. - Ale nim pan to zrobi, niech pan przestanie dawać pani Wadę jakiegokolwiek środki odurzające czy oszołamiające. Chciałbym jej zadać parę pytań.
- Zrobię to, co będę uważał za stosowne w jej stanie zdrowia. Pan chyba nie wie, kim ja jestem? I żeby nie było żadnych nieporozumień, to mogę pana poinformować, że
-
- Wadę nie był moim pacjentem. Nie zajmuję się alkoholikami.
- - Tylko ich żonami, hm? - warknął Ohls. - Owszem, wiem, kim pan jest, doktorze. Ze strachu będę miał na pewno wypróżnienie. Nazywam się Ohls. Porucznik Ohls.
- Loring ruszył na górę. Ohls usiadł i uśmiechnął się do mnie.
- - Trzeba umieć postępować dyplomatycznie z takimi facetami ~ powiedział.
- Jakiś chudy, poważnie wyglądający mężczyzna w okularach, z czołem intelektualisty, wyszedł z gabinetu i podszedł do Ohlsa.
-
- Poruczniku.
- Gadaj.
- Rana jest typu kontaktowego, o typowo samobójczym charakterze, dość znacznie wybrzuszona od uderzenia gazu. Oczy mają, charakter egzoftalmiczny - z tej samej przyczyny. Nie „sądzę, żeby na rewolwerze były jakieś odciski, bo wyciekło na niego zbyt dużo krwi.
- Czy to mogło być zabójstwo, przyjmując, że facet się upił i zasnął bądź stracił przytomność?
- Naturalnie, ale nic na to nie wskazuje. Rewolwer - to Webiey Hammerless. W tej broni spust odchodzi bardzo twardo, a zwalnia się gc bardzo lekko. Jej stan wskazuje, że oddano z niej strzał. Na razie nie ma żadnych danych, które nie zgadzałyby się z teorią samobójstwa. Przypuszczam, że będzie miał wysoki procent alkoholu we krwi. Jeśli będzie rzeczywiście bardzo wysoki - przerwał i wzruszył ramionami - to zacznę wątpić, czy to było samobójstwo.
- Dziękuję. Czy ktoś wezwał koronera?
-
- Facet kiwnął głową i odszedł. Ohls ziewnął i rzucił okiem na zegarek. Potem spojrzał na mnie.
- - Chcesz pryskać do domu?
-
- Naturalnie, jeśli się zgodzisz. Sądziłem, że jestem podejrzany.
- Może jeszcze nie sprawimy ci w tym względzie zawodu. Na razie bądź pod telefonem, tak byśmy mogli cię bez trudu znaleźć. Byłeś kiedyś detektywem, więc wiesz, jak to bywa.. Czasami trzeba działać szybko, zanim materiał dowodowy nie zniknie człowiekowi sprzed nosa. Ale ta sprawa jest całkiem inna. Jeśli to zabójstwo, to komu mogło zależeć na tym, żeby zginął? Jego

żonie? Była nieobecna. Tobie? Przypuśćmy - wiedziałeś, gdzie jest rewolwer, i byłeś sam w domu. Znakomicie. Wszystko się zgadza, tylko brak motywu, a poza tym trzeba jeszcze wziąć pewną poprawkę na twoje zawodowe doświadczenie. Myślę, że gdybyś chciał kogoś zabić, to pewnie zrobiłbyś to w mniej rzucający się w oczy sposób.

- - Dziękuję, Bernie. Nie wykluczam, że masz rację.
- Służby nie było, wyszła. A więc musiał to być ktoś z zewnątrz, kto się orientował, gdzie był schowany rewolwer, i kto znalazł Wade'a tak pijanego, iż ten albo spał, albo był nieprzytomny. Ten ktoś musiał pociągnąć za spust akurat w momencie, gdy motorówka robiła dostatecznie dużo hałasu, by zagłuszyć strzał. A do tego musiał się ulotnić, zanim ty wróciłeś do domu. Na podstawie tego, co wiem w tej chwili, nie wierzę w to. Jedyne rozwiązanie, które miało dostęp do rewolweru i sposobność, nie wykorzystałby tego, z tego prostego względu, że był właśnie jedynym.
- Dobra, Bernie. Będę w domu cały wieczór.
- , - Jest jeszcze coś - ciągnął Ohls. - Ten Wade był znanym pisarzem. Masa forsy i duża popularność. Mnie się nie podoba ten rodzaj pisarstwa. W burdelu można znaleźć znacznie sympatyczniejszych ludzi od tych, których opisywał. Jest to oczywiście kwestia gustu i nie moja sprawa jako gliny. Mając tyle szmalu mógł sobie pozwolić na ten śliczny dom w jednym z najładniejszych zakątków naszego okręgu. A oprócz tego miał piękną żonę, masę przyjaciół i ~ żadnych kłopotów. Chciałbym wiedzieć, jaka była przyczyna, że wszystko to wydało mu się tak ciężkie do zniesienia, iż pociągnął za spust? Musiała być jakaś przyczyna. Jeśli wiesz coś na ten temat, to przygotuj się, by mi to powiedzieć. Do zobaczenia. Ruszyłem do drzwi. Człowiek stojący przy nich spojrzał na Ohlsa, otrzymał odpowiedni znak i wypuścił mnie. Wsiadłem do wozu i z konieczności ruszyłem trawnikiem, by wyminąć policyjne wozy, które zablokowały podjazd. Przy bramie jeszcze jeden zastępca szeryfa złustrował mnie, ale nie odezwał się. Nałożyłem ciemne okulary i pojechałem w stronę asfaltowej szosy. Po drodze nie spotkałem nikogo; było cicho i spokojnie. Starannie utrzymane trawniki i wielkie, ekskluzywne rezydencje kąpały się w słońcu. Znany pisarz umarł w kałuży krwi we własnym domu, ale to nie mąciło leniwej, popołudniowej ciszy w Idle Valley. A jeśli chodzi o prasę, to mogło się wydawać, że wszystko zdarzyło się w Tybecie.. Na zakręcie drogi, w miejscu gdzie schodziły się mury dwóch posiadłości; stał zaparkowany ciemnozielony wóz szeryfa. Wsiadł z niego jeden z zastępców i uniósł do góry rękę. Stałem. Podszedł do mnie.
- - Czy mogę pana prosić o okazanie prawa jazdy? Podałem mu rozłożony portfel.
- - Tylko prawo jazdy. - Nie wolno mi dotykać pańskiego portfela.
- Wyjąłem je i wręczyłem mu. - A co się właściwie stało? - spytałem. Zajrzał do środka wozu, a następnie oddał mi prawo jazdy.
- - Nic się nie stało. Normalna kontrola. Przepraszam, że pana niepokoję.

- Machnął ręką, żebym odjeżdżał, i wrócił do swego wozu. Typowy glina. Nigdy nie powie, dlaczego coś robi. W ten sposób nie można się zorientować, że sam nie wie. Pojechałem do domu, zrobiłem sobie parę drinków z lodem, zjadłem kolację na mieście, wróciłem, otworzyłem okna, rozpiąłem koszulę i czekałem, by się coś zdarzyło. Zeszło mi na tym sporo czasu. Była już dziewiąta, kiedy zadzwonił Bernie Ohls i powiedział, żebym zaraz przyjechał i nie wahał po drodze kwiatów.

Rozdział trzydziesty ósmy

Usadowiono Candy'ego na twardym krześle pod ścianą w przedpokoju Urzędu Szeryfa. Kiedy przechodziłem obok niego, dostrzegłem w jego oczach bezbrzeżną nienawiść. Zostałem zaprowadzony do wielkiego pokoju, w którym urzędował szeryf Peterson, otoczony przez wdzięczną ludność dowodami uznania za dwadzieścia lat pełnej poświęcenia służby dla dobra ogółu. Ściany były obwieszane fotografiami koni, przy których z reguły pojawiał się szeryf Peterson. Rogi jego rzeźbionego biurka przyozdabiały końskie łby. Kałamarz był zrobiony z oprawionego i wypolerowanego kopyta, a pióra sterczały w identycznym kopycie, tyle że wypełnionym piaskiem. Złote tabliczki na tych przedmiotach miały jakieś teksty z datami. W środku nieskazitelnie czystego arkusza bibuły leżał woreczek tytoniu Buli Durham i paczka brązowych bibulek do papierosów. Peterson sam robił sobie papierosy. Potrafił je zwijać jedną ręką, siedząc na koniu. Robił to nawet dość czysto, zwłaszcza kiedy prowadził paradę na wielkim, białym wierzchowcu. Używał wtedy meksykańskiego siodła, bogato dekorowanego pięknymi meksykańskimi ozdobami ze srebra, i nosił płaskie meksykańskie sombrero. Jeździł pięknie, a jego rumak wiedział, kiedy ma się zachowywać spokojnie, a kiedy trochę pobrykać, tak aby szeryf ze swym spokojnym, nieprzeniknionym uśmiechem mógł go skontrolować jedną ręką. Był to jego pokazowy numer. Szeryf miał piękny, orli profil, nieco zepsuty - minęła mu już pięćdziesiątka - obwisłym trochę podbródkiem, ale wiedział, jak trzymać głowę, aby nie było to zbyt widoczne. Bardzo się zawsze starał, żeby mu zrobiono zdjęcie. Jego ojciec, bogaty Duńczyk, zostawił mu dużo pieniędzy. Ale szeryf nie wyglądał na Duńczyka, gdyż miał ciemne włosy i śniadą cerę, a z wyrazu twarzy przypominał raczej Indianina z kiosku z cygamami; odnosiło się to zresztą i do jego inteligencji. Nikt nigdy jednak nie powiedział o nim, że jest nieuczciwy. Wśród-jego personelu zdarzali się kombinatory, którzy potrafili nabrać i jego, i społeczeństwo, ale z tego brudu nic się nie przyklepiło do szeryfa Petersona. Wybierano go bez żadnego z jego strony wysiłku, prowadził parady na białym koniu i w obecności fotografujących go reporterów przesłuchiwał podejrzanych. Tak przynajmniej podawały gazety. W rzeczywistości nie zadawał żadnych pytań. Nie wiedział bowiem, jak to robić. Siedział po prostu przy biurku, patrząc surowo na podejrzanego z profilem obróconym do aparatu. Strzelały flesze, fotoreporterzy z szacunkiem dziękowali szeryfowi, podejrzany zostawał zabrany nie powiedziawszy ani słowa, a szeryf odjeżdżał na swoje ranczo w San Fernando Valley. Można się tam było z nim skontaktować. A jeśli się go akurat nie zastało, to zawsze można było porozmawiać z jednym z jego koni. Co pewien czas, w okresie wyborów, jakiś niezbyt dobrze zorientowany polityk próbował ubiegać się o posadę szeryfa Petersona. Mówiąc o nim używał

takich określeń jak „ten facet z utwardzonym profilem” albo „nie bójcie się otwierać przy nim okna, bo ten orzeł nie wyleci”. Ale nie dawało to żadnych rezultatów. Szeryf Peterson zostawał ponownie wybrany i stanowił żywy dowód, iż w naszym kraju można w nieskończoność sprawować ważny urząd publiczny, nie posiadając do tego żadnych kwalifikacji poza orlim nosem, fotogeniczną twarzą i małomównością. Jeśli do tego wygląda się dobrze na koniu, to nie ma siły, żeby człowiek przegrał. Kiedy Ohls i ja znaleźliśmy się w jego gabinecie, szeryf Peterson stał już za biurkiem, a fotoreporterzy wchodzili bocznymi drzwiami. Szeryf miał na głowie białego stetsona. Skręcał jedną ręką papierosa. Za chwilę miał odjeżdżać do domu. Popatrzył na mnie surowo.

- Kto to jest? - spytał głębokim barytonem.
- Nazywa się Filip Marlowe, szefie - odparł Ohls. - Był jedyną osobą w domu, kiedy Wade się zastrzelił. Chce pan, żeby zrobiono zdjęcie?
- Szeryf zmierzył mnie wzrokiem. - To niepotrzebne - odparł i zwrócił się do potężnego mężczyzny o siwiejących skroniach i zmęczonym wyrazie twarzy. - Gdyby mnie pan potrzebował, kapitanie Hernandez, to będę na ranczo.
- - Tak jest, sir.
- Peterson potarł zapałkę o kciuk i zapalił papierosa. Nie potrzebował zapalniczki. Widać było od razu, że należy do kategorii mocnych, polegających na sobie mężczyzn, którzy sami robią sobie papierosy i zapalają je jedną ręką. Szeryf Peterson powiedział dobranoc i ruszył. Jakiś facet o zimnych, czarnych oczach i twarzy pozbawionej wyrazu - chyba jego ochrona osobista - podążył w ślad za nim. Kiedy wyszli, kapitan Hernandez usiadł w ogromnym krześle szeryfa, a stenotypista siedzący w rogu pokoju odsunął swój pulpit od ściany, by mieć większą swobodę przy pisaniu. Ohls, który usiadł z boku biurka, wyglądał na ubawionego.
- - Dobra - powiedział energicznym głosem. - Zaczynamy.
- A dlaczego to nie zrobiono mi zdjęcia?
- Słyszałeś, co powiedział szeryf.
- Tak, ale dlaczego? - rzuciłem żalonym głosem. Ohls się zaśmiał. - Świetnie wiesz, dlaczego.
- Myślisz, że dlatego, iż jestem wysoki, ciemnowłosy i przystojny?
- Dość tego - przerwał Hernandez. - Niech pan zaczyna swoje zeznanie. Od początku.

- Zacząłem więc od początku - od mojej rozmowy z Howardem Spencerem i spotkania z Eileen Wade. Powiedziałem, jak się do mnie zwróciła, bym odszukał Rogera, jak go odnalazłem, jak mnie zaprosiła do domu, czego chciał Wade, jak go znalazłem nieprzytomnego w pobliżu krzewu hibiskusa i tak dalej. Stenotypista wszystko to notował. Nikt mi nie przerywał. Wszystko, co mówiłem, było prawdą. Prawdą i tylko prawdą. Ale nie całą prawdą. To, czego nie powiedziałem, było moją sprawą.
- Świetnie - rzekł Hernandez, kiedy skończyłem. - Ale to nie wszystko. - Ten Hernandez to był opanowany, sprawny i niebezpieczny facet. Musiał być ktoś taki w Urzędzie Szeryfa. - Tego wieczoru, kiedy Wade strzelił z rewolweru w swojej sypialni, wszedł pan do pokoju pani Wade, zamknął za sobą drzwi i spędził tam trochę czasu. Co pan tam robił?
- Poprosiła, żebym wszedł, i zapytała, jak się czuje jej mąż.
- Dlaczego zamknął pan drzwi?
- Wade drzemał i nie chciałem, by się obudził. A poza tym służący Candy kręcił się i widać było, że ma zamiar podsłuchiwać. Sama mnie zresztą poprosiła, żebym je zamknął. Nie zdawałem sobie sprawy, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie.
- Jak długo był pan u niej?
- Nie wiem. Może trzy minuty.
- A ja myślę, że pan tam spędził parę godzin - powiedział zimno Hernandez. - Chyba jasne, co mam na myśli?
- Popatrzyłem na Ohlsa. Miał wzrok utkwiony w próżni. Przeżuwał, jak zwykle, nie zapalonego papierosa. ~ Pan jest źle poinformowany, kapitanie.
- To się okaże. Po wyjściu z pokoju udał się pan na dół do gabinetu i spędził noc na tapczanie. Należałoby to określić jako pozostałą część nocy, gdybyśmy chcieli być dokładni.
- Była za dziesięć jedenasta, kiedy zadzwonił do mnie do domu. A do gabinetu wszedłem po raz ostatni tej nocy dobrze po drugiej. Jeśli to panu odpowiada, to niech pan to określa jako pozostałą część nocy.
- Sprowadźcie tu Candy'ego.,
- Ohls wyszedł i przyprowadził Candy'ego. Usadowiono go w krześle. Hernandez najpierw ściągnął od niego dane personalne, a potem spytał:
- - A więc Candy, będziemy cię tak nazywać dla uproszczenia sprawy, co się zdarzyło po tym, jak pomogłeś Marlowe'owi w położeniu Rogera Wade'a do łóżka?
- Wiedziałem z grubsza, co teraz nastąpi. Candy złożył swoje zeznanie cichym, ale pełnym zaciętości głosem, z ledwie dostrzegalnym akcentem. Widocznie potrafił, zależnie od okoliczności, mówić z akcentem lub bez. Oświadczył, że kręcił się na dole, aby być pod ręką,

gdyby go potrzebowano; jakiś czas przebywał w kuchni, gdzie coś przegryzł, a potem w living-roomie. Siedząc w living-roomie koło drzwi zobaczył panią Wade w drzwiach jej pokoju; widział też, jak się rozbierała. Nałożyła na siebie szlafrok, pod którym nie miała nic; ja wszedłem do jej pokoju, zamknąłem drzwi i przebywałem tam przez dłuższy czas; sądził, że parę godzin. Podczas tego on poszedł na górę i nasłuchiwał. Dobiegło go skrzypienie sprężyn w łóżku. Słyszał też szepty. Jego insynuacje nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Kiedy skończył, przeszył mnie miazdzącym spojrzeniem; usta miał zaciśnięte w grymasie nienawiści. - Zabierzcie go - rozkazał kapitan.

- Chwileczkę - wtrąciłem się - chcę mu zadać parę pytań.
- Tutaj ja zadaję pytania - rzucił ostro Hernandez.
- Pan nie wie, o co należy go pytać, kapitanie. Pana przecież tam nie było. On kłamie i wie o tym tak samo dobrze, jak ja.

- Hernandez oparł się plecami o krzesło, wziął do ręki jedno z długich, ostro zakończonych piór szeryfa, zrobionych z usztywnionego włosia końskiego, i odgiął je do tyłu. Kiedy je puścił, odskoczyło z powrotem.
- - Niech pan pyta - zezwolił w końcu.
- Zwróciłem się do Candy'ego: - Gdzie się znajdowałaś, kiedy zobaczyłaś, jak pani Wade się rozbiera?

- Siedziałem w krześle koło drzwi wejściowych - odparł złym głosem Candy.
- Pomiedzy drzwiami i dwoma stojącymi naprzeciwko siebie fotelami?

- - Tak, mówiłem już to poprzednio.

- A gdzie się znajdowała pani Wade?
- Tuż obok drzwi swego pokoju. Drzwi były otwarte.
- Jak był oświetlony living-room?
- Jedną wysoką lampą, którą nazywają brydżową.
- A jak oświetlony był balkon?
- Nie było tam żadnego oświetlenia, dochodziło tylko trochę światła z jej pokoju.
- Jakiego rodzaju światła?
- Trochę światła, może z lampki nocnej.
- Ale nie z sufitu?
- Nie.
- Kiedy rozebrała się - stojąc tuż obok drzwi, jak powiedziałeś - włożyła szlafrok. Jaki to

był szlafrok?

-
- Niebieski szlafrok. Długi, jak suknia domowa. Przewięzała go szarfą.
- Skoro nie widziałeś, jak się rozbierała, to skąd możesz wiedzieć, co miała pod spodem?
- Wzruszył ramionami. Był lekko stropiony. - Si, to prawda. Ale widziałem, jak zdejmowała odzież.
- - Jesteś kłamcą. Nie ma takiego miejsca w living-roomie, z którego mógłbyś zobaczyć, jak rozbierała się w drzwiach, a co dopiero wewnątrz pokoju. Musiałaby stać na skraju balkonu. Gdyby się tam jednak znalazła, to zobaczyłaby ciebie.
- Spoglądał na mnie z wściekłością. Zwróciłem się do Ohlsa. - Ty widziałeś ten dom. Kapitan Hernandez go nie widział - a może tam był? Ohls zaprzeczył głową. Hernandez zmarszczył się i nic nie powiedział.
- - Kapitanie, nie ma takiego miejsca w living-roomie, z którego Candy mógł zobaczyć choćby czubek głowy pani Wade, przyjmując, iż znajdowała się w drzwiach swego pokoju czy nawet wewnątrz - nawet gdyby stał, sam mówi, że siedział. Jestem dziesięć centymetrów wyższy od niego i kiedy znalazłem się tuż przy wejściu do domu, mogłem dostrzec tylko górną część otwartych drzwi. Byłby w stanie zaobserwować to, co twierdzi, że widział, tylko wtedy, gdyby stanęła na skraju balkonu. Ale po cóż miałyby tak robić. Nie mówiąc o tym, że nie było powodu, by rozbierała się w drzwiach swego pokoju. To przecież nie ma sensu!
- Hernandez patrzył na mnie bez słowa. Po czym przeniósł wzrok na Candy'ego. - A jak wygląda kwestia czasu? - spytał, adresując to pytanie do mnie.
- - Mamy tu dwie różne wersje. Z tym że ja mówię o rzeczach, które mogą być udowodnione.
- Hernandez zaczął tak szybko mówić do Candy'ego po hiszpańsku, że nie byłem w stanie go zrozumieć. Candy wpatrywał się w niego naburmuszony.
- - Zabierzcie go - rzucił wreszcie kapitan.
- Ohls otworzył drzwi i zrobił ruch kciukiem. Candy wyszedł. Hernandez wyjął pudełko z papierosami, wziął jednego i zapalił go złotą zapalniczką. Ohls wrócił do pokoju. Hernandez oświadczył spokojnie: - Przed chwilą mu powiedziałem, że gdyby była rozprawa, a on by wystąpił jako świadek z tą historyjką, to bardzo łatwo złapałby odsiadkę za krzywoprzysięstwo - od roku do trzech lat. Nie wywarło to na nim specjalnego wrażenia. Jasne jest, co nim powoduje. Staromodna zazdrość. Gdyby się wtedy znajdował w domu, a my mielibyśmy podstawę, by podejrzewać morderstwo, toby pasował idealnie - z tym zastrzeżeniem, że użyłby noża. Odniosłem jednak wrażenie, że przejął się śmiercią Wade'a. Czy chcesz zadać jakieś pytania, Ohls? Ohls pokręcił przecząco głową. Hernandez spojrzał na mnie i powiedział: - Niech pan się pojawi rano i podpisze swoje zeznanie. Będzie już wtedy przepisane na maszynie. Powinniśmy mieć o dziesiątej wyniki sekcji zwłok, no, w każdym razie wstępne. Czy w tym

wszystkim jest coś, co się panu nie podoba?

- Wolałbym, żeby to pytanie było sformułowane inaczej. W pańskim ujęciu sugeruje ono, że w tym jest coś, co mi się podoba.
- Dobra - odparł Hernandez znużonym głosem. - Niech pan się zbiera. Ja idę do domu.

- Wstałem.

- Naturalnie ani przez chwilę nie wierzyłem w to, co nam Candy chciał tu sprzedać - powiedział na odchodnym. - Wykorzystałem to po prostu, by wyjaśnić sytuację. Mam nadzieję, że nie czuje pan do mnie pretensji.
- Skądże znowu, kapitanie. Jestem wyprany z jakichkolwiek uczuć.

- Patrzyli, jak zabieram się do wyjścia, ale nie powiedzieli mi dobranoc. Ruszyłem długim korytarzem w stronę wyjścia, wsiałem do samochodu i pojechałem do domu. Wyprany z uczuć - to doskonale oddawało mój stan. Byłem zmartwiały i pusty, jak przestrzeń kosmiczna. Kiedy znalazłem się w domu, zrobiłem sobie sporego drinka i stanąłem przy oknie living-roomu. Popijając, słuchałem szumu samochodów przejeżdżających Laurel Canyon Boulevard i patrzyłem na światła wielkiego, złego miasta, rozpostartego na pagórkach, przez które ta arteria została przebita. Z daleka dochodził jękliwy głos policyjnej czy strażackiej syreny, która raz odzywała się, raz milkła - ale tylko na krótko. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zawsze ktoś ucieka, a ktoś inny próbuje go złapać. Każdej z takich nocy tysiąca zbrodni umierają gdzieś ludzie - zostają okaleczeni, zranieni odłamkami rozbitego szkła, zmiażdżeni przez kierownice lub ciężkie opony samochodowe. Inni są bici, rabowani, duszeni, gwałceni i mordowani. A jeszcze inni są głodni, chorzy, znudzeni, a także okrutni, rozgorączkowani, wstrząsani płaczem, cierpiący z powodu samotności, wyrzutów sumienia, strachu. To miasto nie było gorsze od innych. Bogate, pełne życia i dumy, a jednocześnie zagubione, przegrane, samotne. Wszystko zależy od tego, gdzie się człowiek znajduje i jaka jest jego sytuacja. To mnie nie dotyczyło. Było mi to zresztą obojętne. Dopilem drinka i poszedłem do łóżka.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Rozprawa przed sądem koronera była niewypałem. Obawiając się, by przedwcześnie nie wygasło zainteresowanie publiczności, koroner nazaczył ją, nim jeszcze ukończono badania lekarskie. Niepotrzebnie się tego oba-

- wiał. Śmierć pisarza - nawet głośnego pisarza - ma wartość jako sensacyjna wiadomość niesłychanie krótko.. A konkurencja tego lata była silna. Jakiś król abdykował, inny został zabity. W ciągu jednego tylko tygodnia wydarzyły się trzy katastrofy samolotowe. Szef wielkiego przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego w Chicago został postrzelany jak sito we własnym samochodzie. Dwudziestu czterech więźniów zginęło w pożarze więzienia. Tak, koroner okręgu Los Angeles nie miał szczęścia. Naprawdę dobre rzeczy jakoś go omijały. . Kiedy opuszczałem miejsce dla świadków, zobaczyłem Candy'ego. Na jego twarzy widniał wredny, złośliwy uśmiech - nie wiedziałem dlaczego - i jak zwykle był trochę za bardzo wystrojony. Ubranie z gabardyny w kolorze kakao, biała, nylonowa koszula i jasnoniebieska muszka. Zeznawał spokojnie i wywarł dobre wrażenie. Tak, szef ostanio często upijał się. Tak, pomagał w położeniu go do łóżka tej nocy, kiedy na górze strzelano z rewolweru. Tak, w dniu śmierci szef zażądał od niego przyniesienia whisky, ale odmówił. Nie, nie był zorientowany w pracy literackiej pana Wade'a, ale wiedział, że szefowi ostanio nie szło. Wyrzucał papiery do kosza, a później je stamtąd wyjmował. Nie, nigdy nie słyszał pana Wade'a kłócącego się z kimkolwiek. I tak dalej. Koroner ciągnął go za język, ale nie wносиło to wiele nowego do sprawy. Ktoś musiał Candy'ego dobrze przeszkolić. Eileen Wade miała na sobie dwa kolory - czarny i biały. Była blada i mówiła niskim, wyraźnym głosem, którego nawet wzmacniacz nie był w stanie zniekształcić. Koroner obchodził się z nią niezmiernie delikatnie. Mówił do niej tak, jakby miał kłopoty z powstrzymaniem się od łkania. Kiedy opuściła miejsce dla świadków, wstał i uklonił się, a ona obdarzyła go leciutkim, pełnym smutku uśmiechem, na którego widok o mało nie zakrztusił się własną śliną.
- Przechodząc obok, ledwie spojrzała w moją stronę; w ostatniej chwili nieznacznie obróciła głowę i lekko mi skinęła, tak jakbym był kimś, z kim się zetknęła bardzo dawno temu i kogo ledwie pamiętała. Wychodząc z rozprawy spotkałem Ohlsa. Stał na schodach wejściowych i przyglądał się albo tylko udawał, że się przygląda ruchowi ulicznemu.
- Ładna babka - powiedział, nie odwracając głowy. - Gratuluję.
- Dobrze przygotowałeś Candy'ego.
- To nie ja, chłopie. Prokurator okręgowy doszedł do wniosku, że ten seksualny numer nie ma nic wspólnego ze sprawą.
- O jakim seksualnym numerze mówisz?
- Spojrzał na mnie. - Cha, cha, cha - zaśmiał się sztucznie. - Nie mam na myśli ciebie. - Wyraz jego twarzy uległ zmianie. - Już za długo przyglądam się babkom. To nuży człowieka. To jest amatorska sztuka. Do zobaczenia, frajerze. Odezwij się do mnie, kiedy zaczniesz nosić koszule po dwadzieścia dolarów. Wpadnę i potrzymam ci marynarkę. Obok nas przewijała się masa ludzi, wchodzących i wychodzących z budynku. A myśmy stali w miejscu. Ohls wyjął z kieszeni papierosa, popatrzył na niego, rzucił na ziemię i roztarł butem na miazgę.

- Marnotrawstwo - zauważyłem.
 - To tylko papieros, przyjacielu. Nie życie. Za jakiś czas pewno się z nią ożenisz, co?
 - Wiesz, co możesz zrobić?
-
- Roześmiał się kwaśno. - Rozmawiałem z właściwymi ludźmi, ale o niewłaściwych sprawach - powiedział kpiąco. - Masz coś przeciw temu?
 - - Absolutnie nic, poruczniku - odparłem i ruszyłem na dół. Powiedział coś za moimi plecami, ale się nie zatrzymałem.
 - Poszedłem do knajpy sprzedającej tylko dania z wołowiny. Odpowiadała memu nastrojowi. Na ordynarnym szyldzie nad wejściem widniał napis: „Tylko mężczyźni. Nie wpuszcza się psów i kobiet”, Obsługa była mniej więcej na tym samym poziomie. Kelner, który z hałasem stawiał przed człowiekiem talerz, był nie ogolony i sam sobie doliczał napiwek. Jedzenie natomiast, choć proste, było bardzo dobre; mieli też ciemne szwedzkie piwo, mocne tak, jak Martini. Kiedy wchodziłem do biura, dzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos Ohlsa: - Będę przejeżdżał koło ciebie. Mam ci do powiedzenia parę rzeczy. Musiał być gdzieś w pobliżu, bo pojawił się u mnie niecałe dwadzieścia minut później. Usadowił się w krześle dla klientów, założył nogę na nogę i burknął:
 - - Zachowałem się głupio. Przepraszam cię. Nic sobie z tego nie rób.
 - ~ Dlaczego? Wprost przeciwnie, otwórzmy tę ranę.
-
- Jak chcesz. Ale nich to zostanie między nami. Niektórzy uważają, że ty jesteś lewy facet. Ja nie pamiętam, byś kiedykolwiek zrobił coś wyraźnie nieuczciwego.
 - Co miała znaczyć ta odzywka o koszulach po dwadzieścia dolarów?
 - Byłem po prostu zły. - wyjaśnił Ohls. - Chodziło mi o starego Pottera. No, że kazał sekretarce, żeby powiedziała adwokatowi, aby ten przekazał prokuratorowi okręgowemu Springerowi, że ma poinformować kapitana Hernandeza, iż jesteś jego osobistym przyjacielem.
 - Dlaczego miałby sobie zadać tyle trudu?
 - Spotkałeś się przecież z nim. Odbyliście dłuższą rozmowę.
-
- - Spotkałem się z nim, i tyle. Nie podobał mi się, ale może to była tylko zazdrość. Przeprowadzono mnie do
 - niego, bo chciał mi udzielić pewnej rady. To twardy człowiek, przyzwyczajony do narzucania swej woli. Nie myślę jednak, by był nieuczciwy.
-
- -Nie ma sposobu, by uczciwie zarobić sto milionów dolarów - oświadczył Ohls. - Może taki facet na górze myśli, że ma czyste ręce, ale gdzieś po drodze ludzie, dopychani są do ściany, tracą pracę, a małe, przyzwoite firmy zostają wykończone i muszą wyprzedawać się za grosze.

Tak, spekuluje się nieuczciwie akcjami na rynku, a pięcioprocentowcy i duże firmy prawnicze otrzymują honoraria idące w setki tysięcy dolarów za ominięcie jakiegoś przepisu prawnego potrzebnego społeczeństwu, a niewygodnego dla bogaczy, bowiem uniemożliwia im to osiągnięcie takich zysków, jakich pragną. Wielki pieniądz to wielka potęga, a wielka potęga używana jest często do złych celów. Taki jest nasz system. Może jest on najlepszy, na jaki nas stać, ale ja się nim nie zachwykam.

- Mówisz, jak czerwony - powiedziałem, żeby go rozzłościć.
- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł pogardliwie. - Jak. na razie nie byłem jeszcze poddany badaniom. Ucieszyłeś się, że koroner nie uważa tego za morderstwo, co?
- A cóż to mogło być innego?
- ‘ - Któż to może wiedzieć. - Położył swoje mocne, grube ręce na biurku i wpatrywał się w widniejące na nich wielkie, brązowe plamy. - Starzeję się. Te plamy to keratosis. Człowiek dostaje ich dopiero po pięćdziesiątce. Ja jestem starym gliną, a stara glina jest starym sukinsynem. Nie podoba mi się parę rzeczy związanych ze śmiercią Wade’a.
- Na przykład? - Zasiadłem głębiej i przyglądałem się kurzym łapkoms wokół jego oczu.
- Z czasem człowiek czuje instynktownie, kiedy coś jest nie w porządku, chociaż się wie, że nic na to nie można poradzić. Wtedy zaczyna się gadać tak, jak ja teraz. Nie podoba mi się, że nie zostawił żadnego listu.
-
- - Przecież Wade był pijany. Prawdopodobnie strzeliło mu coś idiotycznego do głowy.
- Ohls uniósł wzrok i opuścił ręce. - Przeszukałem jego biurko. Pisał listy sam do siebie. Pisał i pisał. Pijany czy trzeźwy, walił na maszynie. Część z tego jest zwariowana, część zabawna, a część smutna. Faceta coś gryzło. Robi aluzje, ale nigdy nie pisze wprost, o co mu właściwie chodzi. Gdyby miał zamiar załatwić się odmownie, napisałby przynajmniej dwustronicowy list.
- Był pijany - powtórzyłem.
- W jego wypadku to nie miało znaczenia - odparł Ohls znużonym głosem. - Następną rzecz, która mi się nie podoba, to to, że zabił się w swoim gabinecie, wiedząc, że znajdzie go tam żona. Rozumiem, był pijany, ale mnie się to nie podoba. I dalej, pociągnął za spust akurat w momencie, kiedy warkot motorówki mógł zagłuszyć strzał. Dlaczego miałoby mu na tym zależeć? Znowu przypadek, hm? I jeszcze jeden zbieg okoliczności: żona zapomniała kluczy akurat w dniu, w którym służba miała wolne, i musiała zadzwonić do drzwi, żeby się dostać do

domu.

- Mogła przecież wejść od tyłu - zauważyłem.
- Tak, wiem. Ale mnie chodzi o konkretną sytuację. Drzwi nie mógł otworzyć nikt inny poza tobą, a ona zeznała, iż nie wiedziała, że tam byłeś. A Wade nie usłyszałby przecież dzwonka, gdyby żył i pracował w swym gabinecie. Drzwi do gabinetu są dźwiękochłonne. Niebyło służby, bo to był czwartek. No, ale zapomniała o tym. Tak jak zapomniała o kluczach.
- Sam o czymś zapominasz, Bernie. Mój wóz stał zaparkowany na podjeździe. Wiedziała więc, iż jestem, no, w, każdym razie, że ktoś jest, zanim zadzwoniła.

- Uśmiechnął się. - Myślisz, że zapomniałem o tym? No, dobrze, a teraz powiem ci, jak to mogło wyglądać. Ty byłeś nad jeziorem, motorówką robiła masę hałasu - nawiasem mówiąc dwóch gości z Lakę Arrowhead przywiozło ją tam na przyczepie - a Wade albo spał, albo leżał nieprzytomny na tapczanie; ktoś już uprzednio wyjął rewolwer z biurka, a ona wiedziała[^] że tam go położyłeś, bo sam jej o tym powiedziałeś poprzednim razem. A teraz przypuśćmy, że nie zapomniała kluczy, weszła do domu, dostrzegła cię nad jeziorem, zajrzała następnie do gabinetu i zobaczyła śpiącego Wade'a, wyjęła rewolwer, poczekała na odpowiedni moment, kropnęła go, rzuciła rewolwer w miejscu, gdzie był później znaleziony, wyszła na zewnątrz domu, poczekała, aż motorówka odjedzie, zadzwoniła do drzwi i czekała, aż jej otworzysz. Co o tym sądzisz?

- Jaki miałyby w tym cel?
- Tak - odparł z kwaśną miną. - To jest słaby punkt. Jeśli pragnęła go wydoić, to mogła to zrobić bardzo łatwo. Wiadomo było, że jest alkoholikiem i że użył siły w stosunku do niej. Sąd przyznałby jej wysokie alimenty i dużą część majątku. Nie miała motywu. No i trzeba wziąć też pod uwagę czynnik czasu. Pięć minut wcześniej już by nie mogła tego dokonać, zakładając oczywiście, że ty nie byłeś współnikiem.

- Zacząłem coś mówić, ale podniósł rękę do góry. - Nie denerwuj się. Nie oskarżam nikogo, po prostu rozważam całą sprawę. Pięć minut później sytuacja byłaby taka sama. Miała więc dziesięć minut czasu.
- - Dziesięć minut - odparłem zirytowany - których nie można było przewidzieć, już nie mówiąc o zaplanowaniu.
- Wyciągnął się w krzesło i westchnął. - Wiem. Masz odpowiedź na wszystko. Ja też. Ale ciągle mi się to nie podoba. Cóż, do diabła, miałeś wspólnego z tymi ludźmi? Facet wypisuje ci czek na tysiąc dolarów, a później go drze. Powiadasz, że się rozzłościł na ciebie. Twierdzisz, że nie chciałeś tego czeku i że i tak byś go nie wziął. Możliwe; Czy Wade sądził, że sypiasz z jego żoną?
- - Daj temu spokój, Bernie.

- Nie zapytałem cię, czy tak było. Chcę jedynie wiedzieć, czy on tak sądził.
 - Mówię ci, daj temu spokój.
 - Dobra, spróbujmy z innej strony. Czy ten Meksykanin wiedział coś kompromitującego na temat Wade'a?
 - O niczym takim nie wiem.
 - Ma za dużo pieniędzy. Ponad półtora tysiąca dolarów w banku, nowego Chevroleta i pełną szafę ubrań.
-
- - Może handluje narkotykami - zasugerowałem. Ohls podniósł się z fotela i popatrzył na mnie z irytacją.
 - - Ty masz dużo szczęścia. Dwa razy udało ci się wymigać w bardzo przykrew sytuacji. Możesz stać się zbyt pewny siebie. Oddałeś wiele przysług tym ludziom, ale nie zarobiłeś ani grosza. Bardzo pomogłeś, jak słyszałem, facetowi o nazwisku Terry Lennox. Również iw tym wypadku nic nie zarobiłeś. Skąd bierzesz pieniądze na życie, przyjacielu? Odłożyłeś sobie tyle, że już nie musisz pracować?
 - Wstałem, obszedłem naokoło biurko i stanąłem przed nim. - Ja jestem romantykiem, Bernie. Słyszę dziwne głosy w nocy i ruszam, by zobaczyć, co się stało. Z tego nie ma pieniędzy. Jeśli człowiek ma dobrze w głowie, to zamyka okna i puszcza głośniejszą telewizję. Albo dodaje gazu i szybko odjeżdża. Należy stronić od ludzkich kłopotów. Zajmowanie się nimi przynosi jedynie obmowę. Kiedy spotkałem się z Terryem Lennoxem po raz ostatni, wypiliśmy w moim domu kawę, którą sam przyrządziłem, i wypaliliśmy po papierosie. Dowiedziawszy się o jego śmierci, zrobiłem dla niego kawę i zapaliłem mu papierosa. A kiedy kawa ostygła i papieros się wypalił, powiedziałem mu dobranoc. Z tego nie ma pieniędzy. Ty byś się tak nie zachował. Dlatego ty jesteś dobrym gliną, a ja prywatnym detektywem. Eileen Wade martwiła się swym mężem, więc zacząłem go szukać, odnalazłem go i sprowadziłem do domu. Przy innej okazji, kiedy źle się czuł i poprosił mnie, bym przyjechał do niego, znalazłem go na trawniku przed domem i zaniósłem do łóżka. Znów nic nie zarobiłem. Nie mam zysku. W ogóle nic, jeśli nie liczyć tego, że czasami zdemolują mi facjatę, zamkną w kryminale albo postraszy mnie jakiś szybko bogacący się bandzior, taki jak Mendi Menendez. Nie ma z tego wszystkiego żadnego szmalu. Trzymam w sejfie banknot opiewający na pięć tysięcy dolarów, ale nie wydam z niego nawet pięciu centów, dostał się bowiem w moje ręce w sposób, który wzbudza moje wątpliwości. Początkowo lubiłem się nim bawić i jeszcze nadal od czasu do czasu wyciągam go, by na niego popatrzeć. Ale i na tym koniec.
-
- Pewnie fałszywy - zauważył sucho Ohls - choć tego nominału nie fałszują. Ale do czego ta cała gadanina zmierza?
 - Do niczego. Powiedziałem ci, że jestem romantykiem.
 - Słyszałem. I że grosza przy tym nie zarabiasz.
 - Ale zawsze mogę powiedzieć glinie, żeby się wynosił do diabła. Wynos się, do diabła,

Bemie.

- Nie odezwałbyś się tak, bracie, gdybyś siedział pod lampą w tylnym pokoju komisariatu.
 - Możemy to sobie kiedyś sprawdzić.
-
- Podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem. - Wiesz co, bracie? Wydaje ci się, żeś bardzo sprytny, a ty jesteś po prostu głupi. Przepracowałem w policji dwadzieścia lat i wiem, kiedy facet mi nie mówi prawdy i próbuje mnie nabrać. Cwaniak nigdy nie oszuka nikogo poza sobą. Możesz mi wierzyć, bracie. Ja się na tym znam. Zamknął za sobą drzwi. Słysząc było, jak idzie korytarzem. Jeszcze dochodził mnie odgłos jego kroków, kiedy zadzwonił telefon na biurku. Odezwała się telefonistka:
-
- Nowy Jork do pana Filipa Marlowe'a.
 - Filip Marlo we przy telefonie.
 - Dziękuję. Chwileczkę, panie Marlowe. Rozmówca już jest na linii.
 -
-
- Znałem głos, który się odezwał. - Tu Howard Spencer. Doszła nas wiadomość o śmierci Rogera Wade'a. To duży cios. Nie znamy szczegółów, ale pańskie nazwisko jest zdaje się wymieniane w związku z tą sprawą.
-
- Byłem na miejscu, kiedy to się zdarzyło. Upił się i strzelił do siebie. Pani Wade wróciła do domu nieco później. Służby nie było - w czwartek mają wychodne.
 - Pan był z nim sam?
 - Nie byłem z nim. Byłem na zewnątrz domu, czekając na przyjazd jego żony.
 - Rozumiem. Będzie zapewne rozprawa przed sądem koronera?
 - Już się odbyła. Jako przyczynę śmierci orzeczenie podaje samobójstwo. Gazety prawie się nie zajmowały tą sprawą.
 - Co pan mówi! To ciekawe. - W głosie jego nie odczuwało się zawodu, a raczej zaciekawienie i zdziwienie. - Był bardzo znany i można by sądzić - zresztą to nieważne. Będę musiał chyba tam polecieć, ale niestety nie zdołałem się wyrwać przed końcem tygodnia. Wyślę telegram do pani Wade. Może będę mógł być jej w czymś pomocny... no i zajmę się książką. Mam na myśli to, że jest tak zaawansowana, iż moglibyśmy znaleźć kogoś, kto by ją skończył. Przyjmuję, że pan przyjął tę propozycję wtedy?
 - Nie. Chociaż Wade prosił mnie o to osobiście. Powiedziałem mu wprost, że nie jestem w stanie powstrzymać go od picia.
 - Zdaje się, że pan nawet nie próbował.
 - Dlaczego nie zaczeka pan ze swymi wnioskami do momentu, kiedy będzie pan lepiej zorientowany? Przecież nie ma pan zielonego pojęcia o tym, co tu się działo. Może nawet i

obarczam siebie pewną winą, ale to naturalne, kiedy coś takiego się zdarza, a człowiek jest tym, który był na miejscu-

- Oczywiście - odparł. - Przepraszam za tę zupełnie niepotrzebną uwagę. Czy Eileen Wade jest teraz w domu... ale może pan się w tym nie orientuje?
- Rzeczywiście, nie jestem zorientowany. Dlaczego pan po prostu do niej nie zadzwoni?
- Sądzę, że jeszcze nie ma ochoty z nikim rozmawiać - powiedział wolno.
- Czemuż by nie? Odpowiadała koronerowi na pytania i nawet jej głos nie zadrżał.
- Chrząknął. - Nie wykazuje pan zbyt wiele sympatii.
- Roger Wade nie żyje. Był to kawałek sukinsyna, ale miał chyba w sobie coś z geniusza. To zresztą za skomplikowane dla mnie. Był też egoistą i pijakiem, który sam siebie nie znosił. Miałem przez niego wiele zawracania głowy, a na końcu przysporzył mi bardzo poważnych kłopotów. Dlaczego, u diabła, mam okazywać sympatię?
- Miałem na myśli panią Wade - rzucił krótko Spencer.
- Ja też.
- Zadzwonię do pana, kiedy przylecę - przerwał mi. !nagle. - Do widzenia.
- Odwiesił słuchawkę. Zrobiłem to samo. Przez parę mi-, nut wpatrywałem się w telefon, nie ruszając się z miejsca. Po czym położyłem książkę telefoniczną na biurku i zacząłem szukać numeru.

Rozdział czterdziesty

Zadzwoniłem do biura Sewella Endicotta. Ktoś mnie poinformował, że jest w sądzie i że spodziewają się go w biurze późno po południu. Czy nie zechciałbym zostawić nazwiska? Nie zechciałem. Nakręciłem numer lokalu Mendy Menendez na Stripie. Tego roku nazywał się „El Tapado” - całkiem niezła nazwa. W amerykańskiej hiszpańszczyźnie słowo to oznacza między innymi zakopany skarb. W przeszłości lokal ten miał sporo innych nazw. Poprzedniego roku umieszczono tylko niebieski, neonowy numer na gładkiej, wysokiej ścianie od południowej strony, która wychodziła na Strip. Od tyłu „El Tapado” przytykał do pagórka, a z boku miał podjazd, który zaraz skręcał, tak że nie było go widać z ulicy. Bardzo ekskluzywny lokal. Niewielu ludzi o nim wiedziało poza policjantami z Wydziału do Walki z Prostytycją, zamożnymi kryminalistami i ludźmi, których stać było na wydanie trzydziestu na dobrą kolację i przegranie w dużym, cichym pokoju na górze sum idących w tysiące dolarów. Najpierw odezwała się jakaś kobieta, która w ogóle nic o niczym nie wiedziała, a później kierownik

lokalu. Zapytał mnie z meksykańskim akcentem: - Pan pragnie porozmawiać z panem Menendezem? Czy mogę pana prosić o nazwisko?

- Żadnych nazwisk, amigo. To sprawa prywatna.
- Un momento, por favor.

- Nastąpiła dłuższa przerwa. Tym razem słuchawkę podniósł jakiś twardy charakter. Sprawiał wrażenie, jakby mówił przez szczelinę w samochodzie pancernym. Była to prawdopodobnie szczelina w jego twarzy.

- O co chodzi? Kto chce z nim mówić?
- Nazywam się Marlowe.
- Kim pan jest, Marlowe?
- Czy to Chick Agostino?
- Nie, to nie Chick. No, podaj pan hasło.
- Pocałuj mnie w sam środek.

- Słysząc było krótki rechot. - Niech pan poczeka. W końcu odezwał się jeszcze jeden głos: - Cześć, tande-ciarzu. Jak ci leci?

- Jesteś sam?
- Mów, o co ci chodzi, tandeciarzu. Miałem-próbe programu kabaretowego.
- Podetnij sobie gardło - to dopiero będzie dobry numer.
- A co bym wtedy zrobił na bis?

- Zaśmialiśmy się obaj. - Nie wsadzałeś nosa w nie swoje sprawy? - spytał.

- Nic nie słyszałeś? Zaprzyjaźniłem się z jeszcze jednym facetem, który popełnił samobójstwo. Zaczną mnie teraz nazywać Aniołem Śmierci.
- To ma być-śmieszne?
- Nie, to nie jest śmieszne. Któregoś popołudnia byłem na herbacie u Harlana Pottera.
- Świetnie. Ja osobiście nigdy nie pijam herbaty.
- Powiedział, że byłoby dobrze, gdybyś był dla mnie uprzejmy.
- Nigdy się z nim nie zetknąłem i nie myślę, by to miało nastąpić.

- Potter rzuca duży cień. Chciałem od ciebie tylko parę informacji, Mendy. O Feliksie Marstonie.
 - Nigdy o nim nie słyszałem.
 - Za szybko to powiedziałeś. Terry Lennox używał tego nazwiska przez pewien czas w Nowym Jorku, zanim przeniósł się na Zachód,
 - No i co z tego?’
 - Sprawdzono jego odciski palców w kartotekach FBI. Nie ma ich. To znaczy, że nigdy nie służył w wojsku.
 - No i co z tego?
 - Mam ci wszystko wyłożyć jak na tacy? Albo ta historia w okopie była bujdą na resorach, albo zdarzyło się to gdzie indziej.
 - Nie. Powiedziałem ci przecież, tandeciarzu, gdzie to się zdarzyło. Posłuchaj dobrej rady i zapomnij o całej tej sprawie. Ostrzeżono cię i będzie dobrze, jeśli postarasz się o tym pamiętać.
-
- Przyjmuję, Mendy, że jeśli zrobię coś, co ci nie będzie odpowiadało, to wypłynę na pełny ocean z ładunkiem przywiązany do nóg. Nie próbuj mnie straszyć. Miałem do czynienia z zawodowcami. Byłeś kiedy w Anglii?
 - Bądź rozsądny, tandeciarzu. W tym mieście człowiekowi mogą się przydarzyć różne rzeczy. Nawet tak roslemu i silnemu mężczyźnie jak Wielki Willie Magoon. Zajrzyj do popołudniowej gazety.
 - Zrobię to, skoro mi tak radzisz. Może tam nawet będzie moja fotografia. No, ale co z tym Magoonem?
 - Już ci powiedziałem, różne rzeczy mogą się zdarzyć. Nie wiem nic więcej ponad to, co wyczytałem w gazecie. Magoon próbował ustawić czterech chłopców siedzących w wozie z numerem rejestracyjnym z Nevady. Wóz był zaparkowany tuż przy jego domu. Numer był wyższy od tych, które używają w Nevadzie. Pewnie jakiś żart. Tyle że Magoon nie miał się z czego śmiać - obydwie ramiona w gipsie, szczeka ściągnięta drutem w trzech miejscach i noga na wyciągu. Magoon już nie jest twardy. Coś podobnego mogłoby się i tobie przydarzyć.
 - Przeszkadzał ci, co? Widziałem, jak rzucił twoim Chickiem Agostino o ścianę przed wejściem do „Wiktora”. Czy mam zadzwonić do przyjaciela w Biurze Szeryfa i powiedzieć mu o tym?
 - Powinieneś to zrobić, tandeciarzu - wycedził. - Powinieneś to zrobić.
 - A przy okazji dodam, że widziałem tę scenę, kiedy wyszedłem z „Wiktora” po wypiciu tam drinka z córką Harlana Pottera. Byłby to w pewnym sensie materiał uzupełniający, nie sądzisz? Ale może masz zamiar i ją wykończyć?
 - Posłuchaj mnie uważnie, tandeciarzu...
 -
-
- - Czy byłeś kiedy w Anglii, Mendy? Ty, Randy Starr i Feliks Marston alias Terry Lennox czy jak on się tam nazywał. Służyliście w Armii Brytyjskiej? Prowadziliście pewnie jakieś brudne interesy w Soho, zaczęło się koło was robić gorąco i doszliście do wniosku, że w wojsku będzie wam nieco chłodniej? - Poczekaj. Czekałem. Nic się nie działo poza, tym, że

trwało to

- bardzo długo i rozbolała mnie ręka od trzymania słuchawki. Przełożyłem ją do drugiej. Wreszcie wrócił.
- - Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli będziesz rozgrzebywał sprawę Lennox, to zginiesz. Terry był moim przyjacielem,
- a ja nie jestem pozbawiony uczuć. Jak i ty. Powiem ci tylko tyle, że to była jednostka komandosów. Brytyjska. Wszystko wydarzyło się w listopadzie 1942 roku w Norwegii, na jednej z tych przybrzeżnych wysp. Jest ich tam chyba z milion. No i czy wreszcie uspokoisz się i dasz odpocząć swemu zmęczonemu umysłowi?

- Dziękuję ci, Mendy. Zrobię, jak mi radzisz. Twój sekret jest bezpieczny. Nie powiem o tym nikomu poza ludźmi, których znam.
- Kup gazetę, tandeciarzu. Przeczytaj i zapamiętaj. Wielki, twardy Willie Magoon. Pobity przed swoim własnym domem. Okropnie się zdziwił, kiedy odzyskał przy - I tomność! - Odwiesił słuchawkę.

- Wyszedłem na ulicę i kupiłem gazetę. Było dokładnie tak, jak Menendez powiedział. Zamieszczono zdjęcie Wiel-, j kiego Willie'ego Magoona w łóżku szpitalnym. Można było] dostrzec połowę twarzy i jedno oko. Cała reszta była i w bandażach. Stan był poważny, ale jego życiu nie zagra - I żało niebezpieczeństwo. Chłopcy pracowali bardzo sta - I rannie. Nie chcieli, żeby umarł. Pomimo wszystko był 1 glina. W naszym mieście gangi nie zabijają glin. Zostawia - I ją to młodocianym. A poza tym żywy glina, tak spreparowany, stanowi dużo lepszą reklamę. W końcu dochodzi do siebie i wraca do pracy. Ale od tego momentu już nie jest tym, kim był, brak mu czegoś, co u policjanta decyduje o wszystkim. Stanowi chodzącą lekcję, iż nie wolno zbyt mocno przyciskać gangsterów - zwłaszcza kiedy pracuje się w Wydziale do Walki z Prostyucją, jada w najlepszych restauracjach i jeździ samochodem marki Cadillac. Przez jakiś czas siedziałem i rozmyślałem nad tym wszystkim. Później nakręciłem numer Organizacji Carne'a i poprosiłem do telefonu Petersa. Nie było go. Podałem swoje nazwisko i powiedziałem, że sprawa jest pilna. Miał być około wpół do szóstej. Pojechałem do Biblioteki Publicznej w Hollywood, ale nie mieli tego, czego szukałem. Ruszyłem więc do Centralnej Biblioteki, którą znajdowała się w innej części miasta. Znalazłem potrzebne mi wiadomości w wydanej w Anglii małej książeczce w czerwonej oprawie. Wynotowałem to, co było mi potrzebne, i wróciłem do domu. Zadzwoiłem jeszcze raz do Organizacji Carne'a. Petersa ciągle nie było, więc poprosiłem, żeby zadzwonił do mnie do domu, kiedy wróci. Postawiłem szachownicę na stoliku do kawy i ustawiłem figury do zadania, które nazywało się Sfinks. Było zamieszczone na wewnętrznej stronie okładki książki o szachach, napisanej przez cudownego angielskiego szachistę Blackburna. Ten chyba najbardziej dynamiczny gracz w historii tej gry nie osiągał jednak nadzwyczajnych rezultatów w tych zimno wojenny eh szachach, w które się obecnie grywa. Sfinks jest jedenastochodówką i w pełni zasługuje na swoją nazwę. Zadania szachowe zwykle nie mają więcej jak cztery lub pięć ruchów. Czym więcej ruchów, tym bardziej wzrasta - prawie w geometrycznym postępie - stopień trudności. Jedenastochodówką to mała tortura. Od czasu do czasu, kiedy jestem zły, zasiadam do tego i szukam nowego

rozwiązania. To przyjemny i kulturalny sposób, by dostać kota.

- George Peters zadzwonił o piątej czterdzieści. Wymieniliśmy uprzejmości i wyrazy ubolewania.
- Jak widzę, znów się wpakowałeś w jakąś kabałę - stwierdził pogodnie. - Dlaczego nie weźmiesz się za jakąś miłą, spokojną pracę, na przykład balsamowanie?
- Za długo trzeba się tego uczyć. Słuchaj, chcę zostać klientem waszej agencji, jeśli to nie będzie zbyt dużo kosztowało.
- To zależy od tego, o co ci chodzi. Musiałbyś najpierw porozmawiać z Carne'em.
- Nie.
- No, ale o co ci konkretnie chodzi?
- - Londyn jest pełen takich facetów jak ja, ale nie mam żadnej orientacji w tej sprawie. Nazywają ich prywatnymi agentami. Ta twoja Organizacja ma na pewno jakieś kontakty, a ja strzelałbym na ślepo i mógłbym trafić jak kulą w płot. Potrzebuję informacji w pewnej sprawie. Nie powinny być one trudne do uzyskania, ale chcę ich szybko. Muszę to mieć przed końcem przyszłego tygodnia.
- Słucham cię.
- Chcę wiedzieć, jaki był dokładny przebieg służby wojskowej Terry'ego Lennox'a alias Feliksa Marstona, bo nie wiem, jakiego nazwiska wtedy używał. Służył w Anglii w komandosach. Ranny, został wzięty do niewoli w listopadzie 1942 roku w czasie wypadu na jedną z wysp norweskich. Chcę wiedzieć, do jakiej jednostki został przydzielony i co mu się przytrafiło. Brytyjskie Ministerstwo Wojny będzie miało te wszystkie dane. Nie sądzę, by to były tajne informacje. Można im powiedzieć, że chodzi tu o sprawę spadkową.
- Do tego nie trzeba prywatnego agenta. Po prostu napisz do nich.
- Wypchaj się, George. Odpowiedzieliby mi pewnie za trzy miesiące, a ja chcę to mieć za pięć dni.
- Może masz i rację, przyjacielu. Masz coś jeszcze?
-
- Owszem. Z drugiej strony oceanu przechowują wszystkie ważne dokumenty w instytucji, która nazywa się Somerset House. Chcę się dowiedzieć, czy jego nazwisko występuje tam z jakiegokolwiek okazji, urodzin, małżeństwa, naturalizacji i tak dalej.
- Po co ci to?
- Nie rozumiem tego pytania. Kto tu płaci rachunek?

- A gdy się okaże, że nie ma tam ani Terry'ego Lennox, ani Feliksa Marstona?
- To kłops. Ale jeśli choć jedno z tych nazwisk się znajdzie, to chcę otrzymać uwierzytelnione kopie wszystkich dokumentów, które wasz człowiek odszuka. Ile chcecie ze mnie wycisnąć?
- Muszę się zapytać Carne'a. Może się na to w ogóle nie zgodzić. Unikamy tego typu rozgłosu, jaki się wiąże z twoją osobą. Jeśli Carne zezwoli, bym się tym zajął, a ty obiecasz, że nas nigdy nie wymienisz, to myślę, że będzie cię to kosztowało jakieś trzysta dolców. Faceci z drugiej strony oceanu nie zarabiają dużo w porównaniu z nami. Przyślą nam pewnie rachunek na dziesięć gwinei, co wyniesie mniej niż trzydzieści dolarów. Do tego mogą dojść jeszcze wydatki ekstra. Powiedzmy, że w sumie pięćdziesiąt dolców, no a Carne nie rusza niczego bez dwustu pięćdziesięciu dolców jako wstępne honorarium.
- Nawet w wypadku kogoś z tej samej branży?
- Cha, cha. Nie rozśmieszaj mnie.
- Zadzwoń do mnie, George. A może zjadłbyś ze mną kolację?
- U „Romanoffa”?
- Dobrze - mruknąłem - o ile tylko uda mi się załatwić rezerwację, w co wątpię.
- Możemy skorzystać ze stolika Carne'a. Wiem, że dziś go ktoś zaprosił. Zazwyczaj jada u „Romanoffa”. To się opłaca, gdy się prowadzi agencję dla najlepszych sfer. W naszym mieście Carne ma duże chody.
-
- Nie wątpię w to. Ale znam kogoś, osobiście, kto mógłby Carne'a karmić z ręki.
- To świetnie, bracie. Zawsze wierzyłem, że ty z każdego zwarcia wyjdiesz z ciosem. Do zobaczenia w barze u „Romanoffa” o siódmej. Powiedz szefowi sali, że czekasz na pułkownika Carne'a. Zaraz zrobi ci tyle miejsca, by się nie ocierali o ciebie żadni śmieciarze typu scenarzystów czy aktorów telewizyjnych.
- Do siódmej więc.
- Skończyliśmy rozmowę i wróciłem do szachownicy, ale Sfinks przestał mnie jakoś interesować. Wkrótce Peters odezwał się ponownie i powiedział, że Carne wyraża zgodę pod warunkiem, że jego agencja nie będzie wymieniana w jakimkolwiek kontekście mającym związek z moimi problemami. Jeszcze tego samego dnia mieli wysłać list do Londynu nocną pocztą.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Następnego ranka, to znaczy w piątek, zadzwonił Howard Spencer. Zatrzymał się w „Ritz-Beverly” i zaproponował, bym wpadł do baru na drinka.

- Spotkajmy się, lepiej w pańskim pokoju - powiedziałem.
- Proszę bardzo, jeśli pan woli. Mieszkam w pokoju numer osiemset dwadzieścia osiem. Rozmawiałem przed chwilą z Eileen Wadę. Pogodziła się już z losem. Przeczyta - ' \ ła maszynopis Rogera i sądzi, że będzie można go zakończyć bez trudu. Jest znacznie krótszy niż inne jego książki, ale na pewno będzie się cieszyć powodzeniem jako ostatnia rzecz, którą napisał. Pewnie pan sądzi, że my, wydawcy, jesteśmy bardzo merkantylnie nastawieni. Eileen będzie w domu przez całe popołudnie. Oczywiście chce się ze mną zobaczyć. Ja też pragnę się z nią widzieć.
- - Będę u pana za pół godziny.
- Miał ładny, duży apartament w zachodniej części hotelu. Wysokie okna living-roomu wychodziły na wąski balkon z żelazną balustradą. Meble były obite materiałem w ciemnoczerwone pasy, co w połączeniu z dywanem o kwiatowym wzorze nadawało całości dość staromodny wygląd. Wszystko jednak, na czym można było postawić szklankę, miało szklane blaty, a naokoło stało chyba ze dwadzieścia popielniczek. To, jak pokój hotelowy jest urządzony, stanowi bardzo dobrą wskazówkę co do obyczajów gości. „Ritz-Beverly” widocznie nie oczekiwał od nich zbyt wiele. Uścisnęliśmy sobie ręce.
- Niech pan siada - powiedział Spencer. - Czego się pan napije?
- O, cokolwiek... Ale właściwie nie mam ochoty na drinka.
- A ja napiłbym się kieliszek Amontillado. Picie latem w Kalifornii nie wychodzi człowiekowi na dobre. W Nowym Jorku można wypić cztery razy więcej, a kac jest dwa razy mniejszy.
- No, to poproszę whisky.
- Podszedł do telefonu i zamówił. Po czym usiadł na krześle, zdjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką. Nałożył je starannie z powrotem i spojrzał na mnie uważnie.
- Ciekaw jestem, dlaczego chciał się pan spotkać ze mną w pokoju, a nie w barze? - spytał.
- Zawiozę pana do Idle Valley. Ja też chciałbym się zobaczyć z panią Wadę.
- Wyglądało na to, iż nie jest z tej propozycji zbyt zadowolony. - Nie wiem, czy ona ma ochotę się z panem widzieć - powiedział.
- Jestem, nawet pewien, że nie. Ale chcę skorzystać z pańskiej wizyty.

- To nie byłoby zbyt dyplomatyczne z mojej strony, nie sądzi pan?
- Czy powiedziała panu, że nie chce mnie widzieć?
- No nie, w każdym razie nie wprost. - Odchrząknął. - Odnoszę wrażenie, iż uważa pana za winnego śmierci Rogera.
- Tak, owszem. Wyraźnie to powiedziała zastępcy szeryf a, który pojawił się u nich tego popołudnia, kiedy Roger zmarł. Zdaje się, że powtórzyła to samo porucznikowi z Wydziału Zabójstw, prowadzącemu śledztwo. Koronerowi jednak nic na ten temat nie wspomniała.
- Poprawił się w krześle i zaczął wolno drapać się palcem po wewnętrznej części dłoni.
- A w jakim celu chciałby się pan z nią zobaczyć? To j stanowiło dla niej okropne przeżycie. Od pewnego czasu miała bardzo ciężkie życie. Po co do tego wracać? Chce jej pan udowodnić, że zrobił pan wszystko, co do pana należało?
- Powiedziała zastępcy, że go zabiłem.
- Na pewno nie traktowała tego dosłownie. Gdyby tak 1 było... - Odezwał się dzwonek. Wszedł kelner z drinkami i postawił je z taką miną, jakby serwował kolację z siedmiu I dań. Spencer podpisał rachunek i wręczył mu dwadzieścia I centów, wziął swój kieliszek sherry i odszedł parę kroków. I Wyglądało na to, że nie ma zamiaru wręczyć mi mojego fl drinka. Nie ruszyłem go.
- Bo gdyby tak było? - zapytałem go.
- Bo gdyby tak było, toby coś powiedziała koronerowi, I prawda? - Zmarszczył się. - Myślę, że zajmujemy się i bzdurami. O czym chciał pan ze mną porozmawiać?
- To pan chciał się ze mną widzieć.
- - Tylko dlatego - odparł chłodno - iż kiedy zadzwoniłem z Nowego Jorku, powiedział pan, że wyciągam zbyt pochopnie wnioski. Zrozumiałem to w ten sposób, że chce mi pan coś wyjaśnić. O co panu chodziło?
- Chciałbym to zrobić w obecności pani Wade.
- Nie jestem zachwycony tym pomysłem. Myślę, że powinien pan sam się tym zająć. Mam wiele uznania dla pani Wade. Jako człowiek interesu chciałbym uratować książkę Rogera, o ile jest to tylko możliwe. Jeśli Eileen ma taki stosunek do pana, jak pan wspomniał, to nie chcę, by przy mojej pomocy dostał się pan do jej domu. Mam nadzieję, że pan mnie rozumie?
- Owszem, rozumiem pana - odparłem. - Nie ma sprawy. Mogę się z nią zobaczyć w każdej chwili bez trudu. Chciałem jednak mieć kogoś z sobą w charakterze świadka.
- Świadka czego? - prawie że warknął na mnie.
- Dowie się pan tego w jej obecności albo w ogóle nie.
- W takim razie nie mam ochoty dowiedzieć się tego w ogóle.

- Wstałem. - Prawdopodobnie postępuje pan słusznie. Chce pan tej książki Wade'a, jeśli będzie można coś z niej zrobić. A jednocześnie pragnie pan zachować się jak sympatyczny facet. Obydwie intencje są godne pochwały. Ja ich osobiście nie podzielam. Życzę panu powodzenia i... do widzenia. Poderwał się niespodziewanie i ruszył w moim kierunku. - Chwileczkę. Nie bardzo to wszystko rozumiem, ale wygląda na to, iż panu o coś chodzi. Czy istnieje jakaś tajemnica dotycząca śmierci Wade'a?
- Nie ma żadnej tajemnicy. Został zabity strzałem w głowę z rewolweru Webiey Hammerless. Nie czytał pan sprawozdania z rozprawy w sądzie koronera?
- Oczywiście, że czytałem. - Stał teraz obok mnie i wyglądał na przejętego. - To, co znalazło się w prasie wschodniego wybrzeża, a parę dni później znacznie pełniejsze sprawozdanie w gazecie z Los Angeles. Był sam w domu,
-
- chociaż pan znajdował się niedaleko. Służba: Candy i kucharz byli nieobecni, a Eileen wybrała się do miasta na zakupy i wróciła do domu tuż po wypadku. W momencie kiedy to się zdarzyło, motorówka hałasująca na jeziorze zagłuszyła huk wystrzału, tak że nawet pan go nie usłyszał.
- - Zgadza się - odparłem. - Następnie motorówka odjechała, a ja, wróciwszy znad jeziora do domu, usłyszałem dzwonek przy drzwiach wejściowych. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem panią Wade, która stwierdziła, że za - pomniała kluczy. Roger już wtedy nie żył. Eileen zajrzała do gabinetu męża, wydało jej się, że leży uśpiony na tapczanie, i poszła do kuchni zrobić herbatę. W chwilę później ja zajrzałem do gabinetu, ale nie usłyszałem jego oddechu i stwierdziłem przyczynę. Następnie wezwałem policję.
- Nie widzę w tym żadnej tajemnicy - powiedział już spokojnym głosem Spencer. - Ten rewolwer należał do Rogera i zaledwie tydzień temu strzelił z niego w swym własnym pokoju. Kiedy pan tam wszedł, zastał pan Eileen, która starała się odebrać mu broń. Jego ogólny stan psychiczny, zachowanie oraz depresja spowodowana tym, że nie był w stanie pisać, zostały ujawnione na rozprawie.
- Eileen powiedziała panu przecież, że to, co pisze Roger, jest dobre. Dlaczego więc miałby popadać z tego powodu w depresję?
- Ona tak sądziła, wie pan. W rzeczywistości książka może być bardzo kiepska. Ale też mogło mu się wydawać gorsze, niż jest naprawdę. Ale niech pan mówi dalej. Nie jestem głupcem. Domyślałem się, że ma pan coś w zanadrzu.
- Detektyw z Centralnego Wydziału Zabójstw, który prowadził sprawę, jest moim starym przyjacielem. To uparty, wytrwały i doświadczony glina. Nie podoba mu się parę rzeczy. Na przykład, dlaczego Roger nie zostawił żadnego listu, chociaż wiadomo, że bez przerwy o

wszystkim pisał? Dlaczego zastrzelił się w taki sposób, by pierwszą osobą, która znalazłaby go po śmierci, była jego żona?

-
- Dlaczego wybrał akurat taki moment, w którym nie mogłem usłyszeć wystrzału? Dlaczego Eileen zapomniała kluczy do domu i trzeba było, by ją ktoś wpuścił? Dlaczego zostawiła go samego w dniu, w którym służba miała wolne? Pamięta pan, że stwierdziła, iż nie wiedziała, że ja tam będę. - Mój Boże - jęknął Spencer - chce pan mi powiedzieć, że ten głupi glina podejrzewa Eileen?, - Na pewno by ją podejrzewał, gdyby mógł znaleźć jakiś motyw.
- - To śmieszne. A dlaczego na przykład nie podejrzewa pana? Miał pan do dyspozycji całe popołudnie, a ona miała zaledwie parę minut, a do tego zapomniała swych kluczy. - Jaki ja mógłbym mieć motyw?
- Chwycił moją whisky i wypił ją jednym haustem. Postawił szklanekę, wyjął chusteczkę i starannie wytarł wargi i palce w miejscach, gdzie oziębiona szklanka zostawiła mokre ślady. Schował z powrotem chusteczkę i zaczął się we mnie wpatrywać.
-
- Czy śledztwo trwa nadal?
- Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne, wiedzą już, czy wypił dostatecznie dużo, by stracić przytomność. Jeśli tak było, to mogą być jeszcze kłopoty.
-
- - A pan chce z nią rozmawiać - wycedził - w obecności świadka.
-
- Tak.
- To może oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy. Albo jest pan bardzo przestraszony, albo sądzi pan, że ona powinna się bać.
-
- Skinąłem głową.
-
- Więc jak to jest? - spytał ponurym głosem.
- Nie jestem przestraszony.
- Spojrzał na zegarek. - Chciałbym, żeby to, co pan sugeruje, okazało się bzdurą. Popatrzeliśmy na siebie w milczeniu.

Rozdział czterdziesty drugi

Na północ od Coldwater Canyon zrobiło się gorąco. Kiedy osiągnęliśmy szczyt wzniesienia i zaczęli zjeżdżać na dół do San Fernando Valley, spiekota była taka, że trudno było oddychać. Popatrzyłem z boku na Spencera. Choć miał na sobie marynarkę, nie wydawało się, by potworny upał mu przeszkadzał. Był całkowicie pogrążony w swych myślach. Patrzył przed siebie i nie odzywał się ani słowem. Nad doliną rozpościerała się gęsta warstwa smogu. Z góry wyglądało to jak unoszący się z ziemi opar. ^

- Mój Boże, myślałem, że południowa Kalifornia ma dobry klimat - przerwał Spencer milczenie. - Cóż oni tu" robią, spalają stare opony samochodowe?
- W Idle Valley tego nie będzie - odparłem uspokajająco. - Dociera tam bryza znad oceanu.
- Cieszę się, że dociera tam coś jeszcze poza dostawami) alkoholu - rzucił. - Znam dobrze to towarzystwo z bogatych przedmieść i uważam, że Roger Wade popełnił fatalną pomyłkę osiedlając się tam. Pisarz potrzebuje podniety, ale nie tej, która jest zakorkowana w butelce. Tu wszędzie-" dokoła człowiek ma do czynienia z opalonym na brąz, kacem. Mam oczywiście na myśli ludzi z górnej sfery.
- Skręciłem w boczną drogę i zwolełem trochę na pokrytym kurzem odcinku prowadzącym do wjazdu do Idle Valley. Po chwili znalazłem się na asfaltowej drodze, gdzie" już było czuć bryzę docierającą tu przez przełęcz między pagórkami po drugiej stronie jeziora. Nad wielkimi, gładko wystrzyżonymi trawnikami obracały się wysokie nawadniacze, z których z szumem spadała woda. O tej porze większość zamożnych ludzi była nieobecna, bowiem okna' ich domów były pozasłaniane, a wozy ogrodników stały na środku podjazdów. Dojechawszy do domu Wade'ów, skręciłem w bramę i zatrzymałem się za Jaguarem Eileen.
- Spencer wysiadł, pomaszerował kamienną ścieżką w stronę ganku. Zadzwoił i drzwi otworzyły się prawie natychmiast, pojawiła się ciemna, przystojna twarz Candy'ego o ostrych, czarnych oczach; ubrany był znów w białą marynarkę. A więc wszystko w porządku - po staremu. Spencer wszedł do środka. Candy omiół spojrzeniem i zamknął mi drzwi przed nosem. Czekałem chwilę, ale na ^próżno. Nacisnąłem solidnie dzwonek. Drzwi rozwarły się na oścież i wyszedł z nich rozwścieczony Candy.
- - Spływaj! I to zaraz! Chcesz mieć nóż w brzuchu? - Przyjechałem, by się zobaczyć z panią Wade.
- - Nie ma najmniejszej ochoty widzieć się z tobą. - Z drogi, wieśniaku, mam tutaj sprawę do załatwienia!

- - Candy! - Jej głos zabrzmiał ostro.
- Rzucił mi mordercze spojrzenie i wycofał się w głąb domu. Wszedłem i zobaczyłem Eileen stojącą przy jednym z dwóch foteli, obok niej znajdował się Spencer. Wyglądała wspaniale. Miała na sobie białe szorty, białą sportową koszulkę z krótkimi rękawami oraz liliową chusteczkę, wystającą z górnej kieszonki.
- Candy nabiera ostatnio dyktatorskich manier - powiedziała do Spencera. - Cieszę się, że cię widzę, Howardzie. To ładnie z twojej strony, że zdecydowałeś się na tę długą podróż. Nie wiedziałam, że przywieziesz kogoś z sobą.
- To Marlo we mnie tu przywiózł - odparł Spencer. - Chciał się z tobą zobaczyć.
- , - Nie mam pojęcia, w jakiej sprawie - powiedziała chłodno. Wreszcie zwróciła wzrok na mnie, ale nie było to spojrzenie, które wskazywałoby, że moja tygodniowa nieobecność została boleśnie przez nią odczuta. - O cóż chodzi?, - To zabierze trochę czasu - wyjaśniłem. Usiadła powoli. Ja umieściłem się w drugim fotelu. Spencer stał zmarszczony. Zdjął okulary i zaczął je przecierać. Mógł się teraz marszczyć w sposób bardziej naturalny.
- Myślałam, że przyjedziesz na lunch - zwróciła się do niego Eileen z uśmiechem.
- Innym razem, dziękuję.
- Nie? No, cóż, skoro jesteś taki zajęty. Chcesz na pewno zobaczyć ten maszynopis.
- Jeśli można.
- Naturalnie. Candy! Och, gdzieś zniknął. Maszynopis znajduje się na biurku w gabinecie Rogera. Zaraz go przyniosę.
- . Spencer wstał. - Pozwolisz, że ja pójdę. - Po paru krokach zatrzymał się i popatrzył na mnie pełnym niepo koju wzrokiem. Eileen wreszcie odwróciła głowę i omiotła] mnie chłodnym spojrzeniem, bez wyrazu.
- O czym pan chce ze mną porozmawiać? - spytała bez jakiegokolwiek wstępu.
- O tym i o owym. Widzę, że pani znów nosi ten wisiołek.
- Noszę go często. Otrzymałam go bardzo dawno temu od bardzo bliskiego przyjaciela.
- Tak. Już mi pani o tym mówiła. To jest jakaś brytyjska oznaka wojskowa, prawda?
- Wyciągnęła wiszący na cienkim łańcuszku wisiołek w moją stronę. - To jest kopia ze złota i emaliowana przez jubilera. Mniejsza od oryginału. Spencer wrócił, usiadł i położył przed

sobą, na rogu cocktailowego stolika, gruby plik żółtych kartek. Spojrzał-na nie przelotnie, a później zaczął się wpatrywać w Eileen.

- - Czy mógłbym go obejrzeć z bliska? - spytałem ją. Przekręciła łańcuszek tak, by móc dostać się do zamka.
- Zdjęła wisiołek i wręczyła mi go. Następnie złożyła ręce na podołku i siedziała z wyrazem grzecznego zainteresowania na twarzy. - Co pan chce wiedzieć? To jest oznaka pułku” który się nazywa Artists Rifles i wchodzi w skład Territońal Army Mężczyzna który mi to dał, wkrótce potem zginął. Pod Andalsnes w Norwegii, wiosną 1940 roku - to był straszny rok. - Uśmiechnęła się i wykonała dłonią lekki ruch. - Był we mnie zakochany.
- - Eileen była przez całe bombardowanie w Londynie - oświadczył Spencer drewnianym głosem. - Nie mogła się stamtąd wydostać.
- Oboje zignorowaliśmy jego uwagę. - A pani w nim - odpowiedziałem. Spojrzała na podłogę, a później podniosła głowę i nasze oczy się spotkały. - To było bardzo dawno temu - odparła.
- - W czasie wojny. Zdarzają się wtedy bardzo dziwne rzeczy.

- Myślę, że to nie jest cała historia. Być może, zapomniała pani, że już sporo słyszałem o nim od pani. „To była szalona, tajemnicza, nieprawdopodobna miłość, która zdarza się tylko raz w życiu”. Tak pani powiedziała. W pewnym sensie nadal się pani w nim kocha. To niesłychanie uprzejmie z mojej strony, że mam te same inicjały. Przypuszczam, że z tego względu wybrała pani właśnie mnie.
- Jego nazwisko brzmiało zupełnie inaczej niż pańskie - odparła zimno. - A on nie żyje, nie żyje, nie żyje. Wręczyłem wisiołek Spencerowi. Wziął go niechętnie. - Widziałem to już dawniej - mruknął.

- - Niech pan sprawdza, czy podaję prawidłowo opis tego wisiora - powiedziałem. - Przedstawia on emaliowany na biało sztylet o szerokim ostrzu skierowanym w dół, obwiedziony złotą linią. Pod nim znajduje się emaliowana na niebiesko para zwisających skrzydeł. Następnie ostrze przechodzi nad pergaminem, na którym znajduje się napis: ŚMIAŁY ZWYCIĘŻA.

- Zgadza się - stwierdził Spencer. - Ale jakie to ma znaczenie?
- Eileen twierdzi, że jest to oznaka Artists’ Rifles i że otrzymała ją od mężczyzny, który służył w tej brytyjskiej jednostce i zginął pod Andalsnes w czasie kampanii norweskiej wiosną 1940 roku.

- Słuchali tego, co mówię, z uwagą. Spencer nie spuszczał oczu z mej twarzy. Wiedział, że nie jest to taka sobie gadanina. Rozumiała to i Eileen. Jej zmarszczone brwi wyrażały zdumienie, które mogło być autentyczne, lecz wyraz jej twarzy nie wskazywał na przyjacielskie uczucia.

- - To jest oznaka na rękaw. Została wprowadzona, ponieważ pułk Artists' Rifles został wcielony do Special Air Service Outfit. Początkowo była to jednostka piechoty należąca do Territorial Army. Przed 1947 rokiem oznaka ta w ogóle nie istniała. I z tej prostej przyczyny nikt nie mógł jej dać pani Wade w 1940 roku. Poza tym pułk ten nie wylądował w tym roku pod Andalsnes. Zostali tam wysłani Sherwood Foresters i Leicestershires, dwie inne jednostki Territorial Army. Mówię pewnie przykre rzeczy?
- Spencer położył wisiołek na stole i podsunął go Eileen, nie odzywając się ani słowem.
- Czy pan sądzi, że ja opowiadam jakieś głupstwa? - Eileen spytała mnie pogardliwie.
- A czy pani sądzi, że brytyjskie Ministerstwo Wojny jest źle poinformowane? - odwzajemniłem się jej.
- Niewątpliwie musiała gdzieś zająć pomyłkę - wtrącił się Spencer.
- Obróciłem się i popatrzyłem na niego zimno. - Można to i tak ująć.
- - Można też powiedzieć, że ja kłamię - rzuciła Eileen lodowatym tonem. - Nigdy nie znałam nikogo o nazwisku Feliks Marston, nigdy nie kochałam jego ani on mnie. Nigdy nie dał mi kopii swej oznaki pułkowej i nigdy nie zaginął w akcji, bowiem nigdy nie istniał. Kupiłam tę oznakę w Nowym Jorku, w sklepie, który specjalizuje się w luksusowych towarach brytyjskiego pochodzenia - wyrobach skórzanych, ręcznie robionych butach, krawatach pułkowych i szkolnych, swetrach do krykieta, różnych drobnych przedmiotach z herbami, i tak dalej. Czy to wyjaśnienie panu wystarcza?
- Ostatnia część, tak, pierwsza - nie. Prawdopodobnie ktoś pani powiedział, że to jest oznaka Artists' Rifles, ale nie wiedział o niej nic bliższego. Pani natomiast знаła Feliksa Marstona, który służył w tej jednostce i zaginął w czasie akcji w Norwegii. Ale nie było to w 1940 roku, lecz w 1942 roku. Marston służył wtedy w komandosach i rzecz" cała wydarzyła się nie pod Andalsnes, lecz na małej przybrzeżnej wysepce, na którą komandosi dokonali wypadu.
- Nie ma powodu, by pan zaraz przybierał taką wojowniczą postawę - powiedział Spencer autorytatywnym głosem. Przewracał leżące przed nim żółte kartki. Nie byłem pewny, czy stara się mi w jakiś sposób pomóc, czy jest po prostu zły. Wziął dużą partię manuskryptu i ważył ją na dłoni.
- Będzie pan to kupował na wagę? - spytałem.
- W pierwszej chwili się zdziwił, a później uśmiechnął się z wysiłkiem.
- - Eileen przeżywała ciężkie chwile w Londynie - rzucił. - Pamięć ludzka jest zawodna.
- Wyjąłem z kieszeni złożony papier. - Oczywiście - odparłem. - Czy można na przykład pamiętać, za kogo się wyszło za mąż? Oto uwierzytelniony odpis aktu małżeństwa. Oryginał znajduje się w Caxton Hall Register Office w Londynie. Małżeństwo to zostało zawarte w

sierpniu 1942 roku. Jako strony wymienieni są Feliks Edward Marston i Eileen Victoria Sampsell. W pewnym sensie pani Wade ma rację. Feliks Edward Marston nie istniał. To było zmyślane nazwisko, ponieważ w wojsku trzeba mieć zgodę na to, by się ożenić. Trzeba było więc podać fałszywe nazwisko. W wojsku człowiek ten nosił inne. Mam tu pełny

- przebieg jego służby. Zawsze się dziwię, że ludziom nie przychodzi do głowy, że w takich sprawach wystarczy się po prostu zapytać. Spencer siedział bez słowa. Wpatrywał się w Eileen. Odwzajemniła mu się łagodnym, na pół rozbijającym, na pół uwodzicielskim uśmiechem, w którym kobiety celują.
- On już nie żył, Howardzie. Zginął dużo wcześniej, nim poznałam Rogera. Cały czas używałam zresztą swego panińskiego nazwiska. Musiałam tak robić, bo paszport miałam właśnie na to nazwisko. A potem, kiedy zginął... - zamilkła na chwilę, westchnęła lekko i miękkim, wolnym ruchem opuściła ręce na kolana. - Wszystko się skończyło, zamknęło, przepadło.
- Czy jesteś pewna, że Roger o tym wiedział? - zapytał ją wolno.
- Musiał coś wiedzieć - powiedziałem. - Bowiem nazwisko Feliks Marston nie było mu obce. Kiedy je wymówiłem przy jakiejś okazji, w jego oczach pojawił się dziwny wyraz. Ale nie odezwał się.
- Eileen nie zareagowała na to. Zwróciła się do Spencera:
- - Naturalnie, że Roger doskonale się we wszystkim orientował.
- Uśmiechała się teraz do Spencera z wyrazem wyrozumiałości na twarzy, tak jakby miała do czynienia z niezbyt pojętym dzieckiem. No, kobiety taką sprawę umieją świetnie rozegrać.
- No, to po co było kłamać na temat daty? - spytał sucho Spencer. - Po co mówiłaś, że zginął w 1940 roku, kiedy to miało miejsce w 1942 roku? Po co nosisz wisiorek, którego nie mógł ci dać, i mówisz, że to od niego?
- Może przeżywałam coś w rodzaju złudy sennej - odparła cicho. - A raczej koszmarnego snu. Dużo przyjaciół zginęło w czasie bombardowań. W tamtych czasach, kiedy się mówiło dobranoc, człowiek się starał, by nie zabrzmiało to jak pożegnanie. Ale często było to właśnie pożegnanie. A rozstawanie się z żołnierzami było jeszcze gorsze. Zawsze giną ludzie dobrzy, o łagodnym sercu.
- Spencer nic na to nie odpowiedział. Ja się też nie odzywałem. Spojrzała na wisiorek, który leżał przed nią na stole. Nawlekła go z powrotem na łańcuszek i z pogodną twarzą wyciągnęła się wygodniej w fotelu.

- Zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa cię przesłuchiwać, Eileen - wolno powiedział Spencer. - Zostawmy tę sprawę w spokoju. Marlowe rozdmuchał bardzo historię oznaki i aktu ślubu. W pierwszej chwili sam zacząłem mieć wątpliwości.
 - Pan Marlowe - odezwała się Eileen spokojnym głosem - chętnie z igły robi widły. Ale kiedy w grę wchodzi rzeczywiście poważna sprawa, jak na przykład uratowanie ludzkiego życia, to akurat znajduje się nad brzegiem jeziora i obserwuje głupią motorówkę.
 - A pani już nigdy później nie spotkała się z Marstonem? - spytałem.
 - Jak to się mogło stać, skoro nie żył.
 - Pani jednak nie wiedziała, że nie żył. Czerwony Krzyż nie podał wiadomości o jego śmierci. Mógł się przecież dostać do niewoli.
-
- Wzdrygnęła się nagle. - W październiku 1942 roku - powiedziała wolno - Hitler wydał rozkaz, by wszyscy jeńcy-komandosi zostali przekazani gestapo. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, co to oznacza. Tortury i bezimienną śmierć w jakiejś gestapowskiej katowni. - Znów się wzdrygnęła. A potem zwróciła się do mnie ostrzejszym tonem: - Pan jest człowiekiem pozbawionym uczuć. Chce pan, żebym to przeżywała na nowo, by mnie ukarać za to, iż prowadzę zbyt prozaiczne życie. Przypuśćmy, że ktoś, kogo pan kochał, dostał się w ich ręce, a pan się orientował, co ta osoba mogła przeżywać. Czy jest w tej sytuacji dziwne, że starałam się stworzyć w mej pamięci inny, może i fałszywy obraz?
-
- - Mam ochotę się napić - rzucił Spencer. - Czy mógłbym coś dostać?
 - Eileen klasnęła w dłonie i Candy zjawił się - jak zwykle - nie wiadomo skąd. Ukłonił się Spencerowi.
-
- Czego chciałby się pan napić, señor Spencer?
 - Scotcha bez niczego, ale za to dużo.
-
- Candy udał się do narożnika pokoju i otworzył barek w ścianie. Wyjął butelkę, nalał solidną miarkę, postawił szklankę przed Spencerem i zaczął się zabierać do odejścia.
 - - Candy - zwróciła się do niego Eileen - być może pan Marlowe ma też ochotę się napić.
 - Zatrzymał się i spojrzał na nią; na jego ciemnej twarzy malował się wyraz uporu.
 - - Nie, dziękuję - powiedziałem. - Nie mam ochoty na drinka.
 - Candy chrząknął pogardliwie i odszedł. Zapanowało milczenie. Spencer odstawił do połowy wypitą szklankę i zapalił papierosa. Zwrócił się do mnie, nie patrząc w moją stronę: - Myślę, że pani Wade albo Candy będą mogli mnie odwieźć do Beverly Hills. Mogę zresztą wziąć taksówkę. Chyba powiedział pan już to, co pan miał do powiedzenia. Złożyłem z powrotem uwierzytelnioną kopię aktu małżeństwa i schowałem ją do kieszeni. - Myśli pan, że

powinniśmy zakończyć tę rozmowę? - spytałem go.

- Wygląda na to, iż wszyscy tego pragniemy.
- Świetnie. - Wstałem. - Widzę, że głupio postąpiłem, próbując rozegrać całą tę sprawę w ten sposób. Jako poważny wydawca obdarzony niezbędną do tego inteligencją - o ile to zajęcie rzeczywiście wymaga inteligencji - chyba nie spodziewał się pan, że przyjechałem tu, by się zgrywać. Nie wracałbym do starych historii i nie wydawał pieniędzy celem ustalenia faktów tylko po to, by zawrócić komuś głowę. Zająłem się osobą Feliksa Marstona nie dlatego, że zamordowało go gestapo, ani dlatego, że pani Wade nosiła niewłaściwą oznakę i poplątały jej się daty, ani też dlatego, że zawarła z nim pospieszne wojenne małżeństwo. Kiedy zacząłem się interesować Marstonem, nie wiedziałem o żadnej z tych spraw. Znałem jedynie jego nazwisko. A jak pan przypuszcza, skąd je znałem?
- Prawdopodobnie ktoś panu powiedział -,odparł Spencer krótko.
- Ma pan rację. Ktoś, kto po wojnie poznał go w Nowym Jorku, a później spotkał go wraz z żoną tutaj, u” Chasena”.
- Marston to dość pospolite nazwisko - stwierdził Spencer, popijając whisky. Obrócił głowę na bok i lekko przymrużył oko. Usiadłem więc z powrotem. - Nawet połączenie imienia Feliks z nazwiskiem Marston nie jest niczym rzadkim - kontynuował. - W książce telefonicznej Nowego Jorku jest z dziewiętnastu Feliksów Marstonów. A czterech z nich nie posiada inicjału drugiego imienia.
- Owszem. Ale ilu Feliksów Marstonów, według pana, mogło mieć połowę twarzy poharataną przez pocisk z mózdzierza i blizny po operacji plastycznej?
- Spencerowi wygięła się dolna warga. Sapnął głośno. Wyjął chusteczkę i zaczął wycierać czoło.
- - Ilu Feliksów Marstonów mogło uratować życie dwóm szulerom - Mandy Menendezowi i Randy Starrowi? Obydwaj cieszą się nadal zdrowiem i odznaczają się całkiem dobrą pamięcią. Mogą złożyć odpowiednie zeznania, kiedy zajdzie potrzeba. Feliks Marston i Terry Lennox to jedna i ta sama osoba. Można to udowodnić bez najmniejszych trudności.
- Nie oczekiwałem, że się zerwą z okrzykiem, no i nie miało to miejsca. Ale istnieje pewien rodzaj milczenia głośniejszego od krzyku. Słyszałem, jak w kuchennych rurach płynie woda. Dobięgl mnie też odgłos gazety rzuconej ha ganek, a następnie ciche, nieco fałszywe gwizdanie chłopca odjeżdżającego na rowerze. Poczulem w tym momencie coś w rodzaju lekkiego ukłucia w kark, szarpnąłem głowę i odwróciłem się. Z tyłu stał Candy z nożem w ręku. Jego ciemna twarz była pozbawiona wyrazu, ale w oczach miał wyraz, którego nie widziałem przedtem.
- Jesteś zmęczony, amigo - powiedział cicho. - Zrobię ci drinka?

- Bourbon z lodem - odparłem.
 - De pronto, señor.
- Zatrzasnął nóż, wpuścił go do bocznej kieszeni marynarki i odszedł bezszelestnie. Spojrzałem na Eileen. Siedziała pochylona do przodu, z mocno zaciśniętymi rękoma. Ponieważ głowę spuściła, trudno było powiedzieć, jaki ma wyraz twarzy. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał metalicznie, jak taśma w telefonie, która podaje czas. Jeśli nie odłożyć słuchawki, to podaje on coraz to inną liczbę sekund, bez najmniejszej zmiany intonacji.
- Spotkałam się z nim raz, Howardzie. Jeden jedyny raz. Nie odezwałam się do niego ani słowem. Ani on do mnie. Był okropnie zmieniony. Posiwiął, a jego twarz... to nie była ta sama twarz. Ale naturalnie poznałam go i on mnie rozpoznał. Popatrzyliśmy na siebie. To wszystko. Potem wyszedł z pokoju, a następnego dnia zniknął z domu. Któregoś popołudnia spotkałam jego i ją u Loringów. Ty też tam byłeś, Howardzie. I Roger. Przypuszczam, że i ty musiałeś go poznać.
- Przedstawiono nas - odparł Spencer. - Wiedziałem, z kim jest żonaty.
- Linda Loring powiedziała mi, że po prostu zniknął, nikomu nie mówiąc, dlaczego. Nie było żadnej kłótni. No i po jakimś czasie ta kobieta się z nim rozwiodła. A później, jak słyszałam, odnalazła go. Znajdował się w nędzy i był w bardzo złym stanie psychicznym. Pobrali się ponownie. Prawdopodobnie nie miał pieniędzy, a reszta przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Wiedział, że wyszłam za mąż za Rogera. Byliśmy dla siebie całkowicie straceni.
- - Dlaczego? - spytał Spencer.
- Candy postawił przede mną drinka, bez słowa. Popatrzył na Spencera, który potrząsnął przecząco głową - i zniknął. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Był podobny do tego faceta w chińskiej sztuce, który ustawia przedmioty na scenie, a zarówno aktorzy, jak i publiczność zachowują się tak, jakby w ogóle nie istniał.
- - Dlaczego? - powtórzyła. - Tego nie będziesz w stanie zrozumieć. Przepadło to, co nas łączyło. Nie mogło już nigdy wrócić. Nie został zamordowany przez gestapo. Widocznie znaleźli się jacyś przyzwoci hitlerowcy, którzy nie posłuchali rozkazu Hitlera. Przeżył więc i - powrócił. Łudziłam się, że odnajdę go jeszcze, ale takiego, jakim był kiedyś - młodego, pełnego życia i nie zepsutego. Ale kiedy zobaczyłam, że jest żonaty z tą rudą prostytutką... to było obrzydliwe. Wiedziałam już wtedy, że odwiedza ją Roger. Jestem pewna, że Feliks też się w tym orientował. A także Linda Loring, która również prowadzi dość swobodne życie, ale nie aż tak. Zresztą wszystkie kobiety z tego środowiska są podobne. Pytasz mnie, dlaczego nie zostawiłam Rogera i nie wróciłam do Feliksa. Po tym, jak trzymała go w swych ramionach ta kobieta! Użyczała ich zresztą równie chętnie Rogerowi. Nie, dziękuję, to nie dla mnie. Potrzebuję czegoś więcej. Rogerowi mogłam przebaczyć. Pił, nie bardzo wiedział, co robi.

Przejmował się swą pracą i nienawidził sam siebie za to, że stał się zwykłym skomercjalizowanym wyrobnikiem. Był słabym, sfrustrowanym i skłóconym ze sobą człowiekiem, ale można go było zrozumieć. Był po prostu mężem. Feliks natomiast oznaczał znacznie więcej, albo - nic. W końcu stał się i niczym.

- Pociągnąłem łyk. Spencer skończył swego drinka. Skubał palcami obicie fotela. Zupełnie zapomniał o leżącym przed nim maszynopisie.
- - Nie sądzę, by był niczym - wtrąciłem.
- Podniosła oczy, popatrzyła na mnie bez wyrazu i znów je opuściła.
- - Mniej niż niczym - ciągnęła, a w jej głosie zabrzmiała nuta sarkazmu. - Wiedział, jaka jest, ale ożenił się z nią. A następnie, ponieważ była taka, jaka była, zabił ją. Później uciekł i sam się zabił.
- - Dobrze pani wie, że jej nie zabił - odparłem. Wyprostowała się pełnym gracji ruchem i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Spencer wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk.

- Zabił ją Roger - ciągnąłem - i o tym również pani wie.
- Powiedział to panu? - spytała cicho.

- - Nie potrzebował. Parokrotnie robił aluzje na ten temat. W końcu musiałby o tym powiedzieć mnie czy komuś innemu... Nie byłby w stanie wytrzymać. Okropnie się z tym męczył.
- Pokręciła przecząco głową. - Nie. Męczył się nie dlatego. Roger nie zdawał sobie sprawy, że ją zabił. Kiedy to się stało, stracił kompletnie świadomość. Wiedział, że coś jest nie w porządku, starał się to sobie przypomnieć, ale nie był j w stanie. Szok pozbawił go pamięci. Być może, że z czasem i by doszedł do tego. Niewykluczone, że w ostatniej chwili życia wróciła mu pamięć. Ale nie przedtem, nie przedtem, Spencer odezwał się nienaturalnym głosem: - Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości, Eileen.
- - Owszem, zdarzają się - odparła. - Znam osobiście dwa podobne wypadki. W jednym był to pijak, który zabił a poderwaną w barze kobietę. Udusił ją chusteczką, która była spięta ozdobną sprzączką. Poszła z nim do jego domu i nie wiadomo, co się dalej stało, poza tym, że została zabita. Kiedy policja go aresztowała, miał tę sprzączkę na swoim krawacie, ale nie był w stanie powiedzieć, skąd ją ma.

- W danym momencie, taka później? - spytał Spencer.
- Nigdy się do niczego nie przyznał. A teraz nie można go o to zapytać, bo już nie żyje. Został zagazowany. W drugim przypadku przyczyną była rana głowy. Człowiek, o którym mówię, mieszkał z bogatym zbrojeńcem, jednym z tych, co to zbierają pierwsze wydania, gotują wyszukane potrawy i posiadają niezwykle kosztowną biblioteczkę ukrytą w schowku w ścianie. Doszło między nimi do walki. Bili się w całym domu, przechodząc z pokoju do pokoju - wszystko zostało zdewastowane - i w końcu ten bogaty gość został załatwiony odmownie. Kiedy złapano mordercę, był posiniaczony na całym ciele i miał złamany palec. Wiedział jedynie, że

boli go głowa i nie jest w stanie znaleźć drogi do Pasadeny. Kręcił się w kółko i ciągle zatrzymywał wóz przed tą samą stacją benzynową, prosząc, by wskazali mu drogę. Obsługujący go człowiek doszedł do wniosku, że jest to wariat, i zawiadomił policję. Kiedy podjechał następnym razem, już czekali na niego.

- Nie wierzę, by coś podobnego miało miejsce w wypadku Rogera - powiedział Spencer. - Absolutnie nie był psychopata.
- Tracił świadomość, kiedy się upijał - zauważyłem.
- Byłam przy tym i widziałam, jak to się stało - powiedziała spokojnie Eileen.

- Uśmiechnąłem się do Spencera. No, był to dość swoisty uśmiech, nie z gatunku tych pogodnych, ale starałem się zmusić swą twarz do wykonania właściwego grymasu.

- Teraz już opowie nam wszystko - zwróciłem się do Spencera. - Niech pan słucha. Będzie mówiła, bo nie jest w stanie się powstrzymać.
- Tak, to prawda - odparła poważnie. - Są rzeczy, których człowiek nie opowiada o swoim wrogu, a cóż dopiero o własnym mężu. I jeśli będę musiała składać zeznania jako świadek, to nie będzie ci się to podobało, Howardzie. Twój znakomity, utalentowany, niezwykle popularny i dochodowy autor wypadnie bardzo marnie. Mówiło się o nim, że to łózkowy pisarz, prawda? Na kartach swoich powieści, owszem. Ale jakżeż ten biedaczysko starał się podtrzymać swą reputację w prywatnym życiu? Ta kobieta była dla niego po prostu jeszcze jednym trofeum. Śledziłam ich. Powinna się tego wstydzić. To należy do dobrego tonu. Ale ja nie wstydzę się niczego. Byłam świadkiem tej całej obrzydliwej sceny. Ten dom dla gości, którego używała do swoich amorów, stoi na uboczu, ma własny garaż i wejście od ocienionej dużymi drzewami bocznej ulicy, kończącej się ślepo. Nadszedł moment - to zawsze ma miejsce u takich ludzi jak Roger - że okazał się niezadowolający jako kochanek. Był trochę za bardzo spity. Chciał odjechać, ale wyszła za nim kompletnie naga, wrzeszcząc i wymachując jakąś figurką. Używała tak plugawego i zdeprawowanego języka, że nie jestem w stanie tego powtórzyć. Próbowала go uderzyć tą figurką. Jesteście obydwaj mężczyznami i wiecie, że nic tak bardzo nie szokuje mężczyzny jak to, kiedy pozornie dobrze wychowana kobieta używa języka publicznego ustępu. Jak wypił, bywał zdolny do rękoczynów, no *i* wtedy właśnie dostał jednego ze swych ataków. Wyrwał jej figurkę z ręki. Reszty możecie się domyślić.
- Musiało być dużo krwi - powiedziałem.
- Krwi? - zaśmiała się gorzko. - Trzeba go było zobaczyć, gdy wrócił do domu. Kiedy ruszyłam biegiem do swego wozu, leżała na ziemi, a on wpatrywał się w nią. Potem nachylił się, wziął ją w ramiona i zaniósł do środka. Zorientowałam się, że przeżyty szok musiał go częściowo otrzeźwić. Wrócił do domu gdzieś po godzinie. Był bardzo spokojny. Przejął się, kiedy zobaczył, że czekam na niego.

-

- Alkohol wywietrzył mu całkowicie z głowy, ale był jakby otępiały... Miał krew na twarzy,

na włosach i całej koszuli. W łazience przy gabinecie rozebrałam go i oczyściłam na tyle, że mogłam go zabrać pod prysznic na górze. Potem położyłam go do łóżka. Zeszłam na dół, zebrałam pokrwawioną odzież i wsadziłam do starej walizki. Obmyłam umywalnię, wytarłam podłogę, a następnie wzięłam mokry ręcznik i wyczyściłam dokładnie wóz. Odstawiłam go do garażu i wyprowadziłam mego Jaguara. Pojechałam do Chatsworth Reservoir, no i możecie się domyślić, co zrobiłam z tą walizką pełną pokrwawionej odzieży i ręczników. Zamilkła. Spencer drapał się w lewą dłoń. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i kontynuowała:

- W czasie mojej nieobecności wstał i wypił ogromną ilość whisky. A następnego ranka nie pamiętał nic. To znaczy nie odezwał się ani słowem na ten temat. Zachowywał się tak, jakby nic mu nie dokuczało poza kacem. Ja nie poruszałam, tej sprawy.
- Musiał jednak zauważyć, że zniknęła jego odzież - zauważyłem.
- Skinęła głową. - Myślę, że tak, ale nic o tym nie wspomniał. W tym czasie wydarzyło się masę rzeczy. Gazety rozpisywały się o morderstwie, następnie zniknął Feliks, którego znaleziono później martwego w Meksyku. Nie wiadomo było, co się jeszcze może zdarzyć, Roger był moim mężem. Popęłnił straszną rzecz, ale była to straszna kobieta. A poza tym nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Ale nagle gazety przestały się zajmować tą sprawą. Na pewno zadziałał tu ojciec Lindy. Roger naturalnie czytywał gazety i robił także uwagi, jakich się można spodziewać od człowieka stojącego z boku wydarzeń, ale znającego ludzi związanych ze sprawą.
- Nie bałaś się? - spytał cicho Spencer.
- Byłam przerażona, Howardzie. Jeśli pamiętał, to należało się liczyć z tym, że może chcieć mnie zabić. Był któregoś człowiek nie opowiada o swoim wrogu, a coś dopiero o własnym mężu. I jeśli będę musiała składać zeznania jako świadek, to nie będzie ci się to podobało, Howardzie. Twój znakomity, utalentowany, niezwykle popularny i dochodowy autor wypadnie bardzo marnie. Mówiło się o nim, że to łózkowy pisarz, prawda? Na kartach swoich powieści, owszem. Ale jakżeż ten biedaczysko starał się podtrzymać swą reputację w prywatnym życiu? Ta kobieta była dla niego po prostu jeszcze jednym trofeum. Śledziłam ich. Powinnam się tego wstydzić. To należy do dobrego tonu. Ale ja nie wstydzę się niczego. Byłam świadkiem tej całej obrzydliwej sceny. Ten dom dla gości, którego używała do swoich amorów, stoi na uboczu, ma własny garaż i wejście od ocienionej dużymi drzewami bocznej ulicy, kończącej się ślepo. Nadszedł moment - to zawsze ma miejsce u takich ludzi jak Roger - że okazał się niezadowolający jako kochanek. Był trochę za bardzo spity. Chciał odjechać, ale wyszła za nim kompletnie naga, wrzeszcząc i wymachując jakąś figurką. Używała tak plugawego i zdeprawowanego języka, że nie jestem w stanie tego powtórzyć. Próbowала go uderzyć tą figurką. Jesteście obydwaj mężczyznami i wiecie, że nic tak bardzo nie szokuje mężczyzny jak to, kiedy pozornie dobrze wychowana kobieta używa języka publicznego ustępu. Jak wypił, bywał zdolny do rękoczynów, no i wtedy właśnie dostał jednego ze swych ataków. Wyrwał jej

figurkę z ręki. Reszty możecie się domyślić.

- Musiało być dużo krwi - powiedziałem.
- Krwi? - zaśmiała się gorzko. - Trzeba go było zobaczyć, gdy wrócił do domu. Kiedy ruszyłam biegiem do swego wozu, leżała na ziemi, a on wpatrywał się w nią. Potem nachylił się, wziął ją w ramiona i zaniósł do środka. Zorientowałam się, że przeżyty szok musiał go częściowo otrzeźwić. Wrócił do domu gdzieś po godzinie. Był bardzo spokojny. Przejął się, kiedy zobaczył, że czekam na niego.
-
- Alkohol wywietrzył mu całkowicie z głowy, ale był jakby otępiały... Miał krew na twarzy, na włosach i całej koszuli. W łazience przy gabinecie rozebrałam go i oczyściłam na tyle, że mogłam go zabrać pod prysznic na górze. Potem położyłam go do łóżka. Zeszłam na dół, zebrałam pokrwawioną odzież i wsadziłam do starej walizki. Obmyłam umywalnię, wytarłam podłogę, a następnie wzięłam mokry ręcznik i wyczyściłam dokładnie wóz. Odstawiłam go do garażu i wyprowadziłam mego Jaguara. Pojechałam do Chatsworth Reservoir, no i możecie się domyślić, co zrobiłam z tą walizką pełną pokrwawionej odzieży i ręczników. Zamilkła. Spencer drapał się w lewą dłoń. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i kontynuowała:
- W czasie mojej nieobecności wstał i wypił ogromną ilość whisky. A następnego ranka nie pamiętał nic. To znaczy nie odezwał się ani słowem na ten temat. Zachowywał się tak, jakby nic mu nie dokuczało poza kacem. Ja nie poruszałam, tej sprawy.
- Musiał jednak zauważyć, że zniknęła jego odzież - zauważyłem.
- Skinęła głową. - Myślę, że tak, ale nic o tym nie wspomniał. W tym czasie wydarzyło się masę rzeczy. Gazety rozpisywały się o morderstwie, następnie zniknął Feliks, którego znaleziono później martwego w Meksyku. Nie wiadomo było, co się jeszcze może zdarzyć, Roger był moim mężem. Popułnił straszną rzecz, ale była to straszna kobieta. A poza tym nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Ale nagle gazety przestały się zajmować tą sprawą. Na pewno zadziałał tu ojciec Lindy. Roger naturalnie czytywał gazety i robił także uwagi, jakich się można spodziewać od człowieka stojącego z boku wydarzeń, ale znającego ludzi związanych ze sprawą.
- - Nie bałaś się? - spytał cicho Spencer.
- - Byłam przerażona, Howardzie. Jeśli pamiętał, to należało się liczyć z tym, że może chce mnie zabić. Był dobrym aktorem - tak jak większość pisarzy - i niewykluczone, że czekał tylko na okazję. Mógł również - było to też możliwe - zapomnieć na dobre o wszystkim. A Feliks nie żył.

- Jeśli nigdy nie odezwał się na temat odzieży, którą pani wrzuciła do Chatsworth Reservoir, to jest to jednak dowód, że czegoś się domyślał - powiedziałam. - Niech pani sobie przypomni, że w tej historii, którą zostawił na maszynie poprzednim razem, kiedy strzelił z rewolweru, ja ja zastałem panią mocującą się z nim, by mu go odebrać, napisał, że zginął przez niego dobry człowiek.
 - Tak napisał? - Oczy jej się rozszerzyły akurat na tyle, ile trzeba,} aby okazać zdumienie.
 - Na maszynie. Zniszczyłem to, zgodnie z jego życzeniem. Myślę, że musiała już to pani widzieć uprzednio.
 - Nigdy nie czytywałam tego, co pisał w swym gabinecie.
 - Przeczytała pani jednak tę notatkę, którą zostawił, kiedy Verringer zabrał go do siebie. Wyciągnęła pani nawet coś z kosza do śmieci.
 - To było zupełnie co innego - odparła spokojnie. - Staralam się znaleźć coś, co by mi wskazało, gdzie mógł być.
 - Rozumiem - powiedziałam i wyciągnąłem się wygod - j niej w fotelu. - Chce pani jeszcze coś dodać?
- Wolno zaprzeczyła głową, a twarz miała pełną smutku. - j Chyba nie. Na ostatek tego popołudnia, kiedy się zabił, i mógł sobie wszystko przypomnieć. Nigdy tego nie będzie-1 my wiedzieli. Ale czy rzeczywiście chcemy wiedzieć? Spencer chrząknął. - A jaka miała być rola pana Marlowe'a w tym wszystkim? To był twój pomysł, by go tu ściągnąć. Namówiłaś mnie do tego. ' - Okropnie się bałam. Bałam się Rogera i bałam się - o niego. Pan Marlowe był przyjacielem Feliksa i jedną z ostatnich bliskich mu osób, z którą się widział przed śmiercią. Feliks mógł mu coś powiedzieć. Chciałam się o tym przekonać. Gdyby się okazało, że jest niebezpieczny, starałabym się go przeciągnąć na moją stronę. A nawet w wypadku, gdyby znał całą prawdę, mogłoby się znaleźć jakieś wyjście, by uratować Rogera. Spencer nagle pochylił się do przodu i, z zupełnie dla mnie niejasnego powodu, stał się agresywny.
- Chciałbym to dobrze zrozumieć, Eileen. Chodzi tu o prywatnego detektywa, który ma kłopoty z policją. Już go raz potrzymani w więzieniu. Miał podobno pomagać Feliksowi - nazywam go tak, ponieważ i ty to robisz - w ucieczce do Meksyku. Jeśli Feliks był mordercą, to stanowiło to przestępstwo. Rozumiem, że gdyby w tej sytuacji doszedł prawdy, a był wynajęty przez ciebie, toby milczał. Czy o to ci chodziło?
 - Bałam się, Howardzie. Czy nie możesz tego zrozumieć? Przeształam w jednym domu z mordercą, który mógł okazać się maniakiem. Dużą część czasu spędzałam z nim sam na sam.
 - Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Spencer, nadal tym samym tonem - lecz Marlowe nie przyjął twojej propozycji i w dalszym ciągu byłaś sama. A później Roger strzelił z rewolweru i przez cały następny tydzień znów nie było nikogo poza tobą. Natomiast, kiedy Roger się zabił, to się tak jakoś szczęśliwie złożyło, że to Marlowe był z nim sam na sam.
 - To prawda - odrzekła. - Ale co z tego? Czy mogłam coś na to poradzić?
 - No, dobrze - ciągnął Specner. - Być może, rzeczywiście sądziłaś, iż Marlowe odkryje prawdę, i pamiętając, że już raz padł strzał z tego rewolweru, wręczy go Rogerowi ze słowami: Jest pan mordercą, o czym wiem ja i pańska żona. To bardzo sympatyczna kobieta. Wycierpiała

się już dość. Nie będę tu już wspominał męża Sylwii Lennox. Jedyne przyzwoite wyjście, które panu zostało, to pociągnąć za spust, wszyscy pomyślą, że pan się znów spił - tak jak uprzednio. Ja pójdę nad jezioro na papierosa. Oto naładowany rewolwer, niech pan z niego użytek.

- Mówisz wstrętne rzeczy, Howardzie. Nic podobnego nie przyszło mi do głowy.
- Powiedziałaś zastępcy szeryfa, że Marlowe zabił Rogera. Co to miało oznaczać?

- Popatrzyła na mnie przez chwilę, jakby z zażenowaniem. - Postąpiłam bardzo źle. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mówię.
- - A może rzeczywiście myślałaś, że go zastrzelił? - spytał Spencer.
- Oczywiście się zwięzły. - Ależ nie, Howardzie. Dlaczego pan Marlowe miałby coś takiego zrobić? To obrzydliwa sugestia.
- - Dlaczego? Cóż w tym takiego obrzydliwego? Policja podobnie się na to zapatruje. Candy dostarczył im motyw. Oświadczył, że Marlowe spędził dwie godziny w twoim pokoju tej nocy, kiedy Roger strzelił w sufit, po tym jak dostał tabletki nasenne.
- Oblała się pąsem. Patrzyła na niego zmaltretowana.
- - Byłaś całkowicie rozebrana - brutalnie kontynuował Spencer. - Tak zeznał Candy.
- - Przecież na rozprawie... - zaczęła łamiącym się głosem. Spencer jej przerwał:

- Policja nie uwierzyła Candy'emu. I dlatego nie powtórzył tego na rozprawie.
- Och. - Zabrzmiała w tym ulga.
- A poza tym - ciągnął zimno Spencer - policja podejrzewała ciebie, i nadal cię podejrzewa. Potrzeba im tylko i motywu. Wydaje mi się, że teraz będą w stanie go znaleźć, o

- Podniosła się. - Proszę, żebyście obydwaj opuścili mój dom - rzuciła rozgniewana. - I to jak najszybciej.
- - No więc, czy to ty dokonałaś tego? - zapytał spokojnie Spencer. Sięgnął po szklankę z whisky - ale była pusta.

- Dokonałam czego?
- No, czy to ty zabiłaś Rogera?

- Stała bez ruchu, wpatrując się w niego. Już nie miała rumieńców. Na białej, ściągniętej twarzy malował się gniew.
- - Zadaję ci takie pytania, jakie otrzymałabyś w sądzie.
- - Wyszłam z domu. Przez zapomnienie nie wzięłam moich kluczy. Musiałam zadzwonić, żeby dostać się do środka. Kiedy weszłam, już nie żył. Co ci, na litość Boską, przyszło do głowy?

- Wyjął chusteczkę i wytarł sobie wargi. - Eileen, byłem u was chyba ze dwadzieścia razy i nie pamiętam, by dom był kiedykolwiek zamknięty w ciągu dnia. Nie twierdzę, że go zastrzeliłaś. Po prostu pytam cię o to. I nie mów, że to było niemożliwe. W okolicznościach, które zaistniały, mogłaś to zrobić bez trudu.
- Miałabym zabić własnego męża? - powiedziała wolno, pełnym zdumienia głosem.
- Przyjmując - ciągnął Spencer tym samym tonem - że był twoim mężem. Miałaś innego męża, kiedy wychodziłaś za niego.
- Dziękuję ci, Howardzie. Bardzo ci dziękuję. Masz ostatnią książkę Rogera przed sobą na stole. Zabierz ją i idź. Zgłoś się do policji i powiedz im, co o tym wszystkim sądzisz. To będzie wzruszające zakończenie naszej przyjaźni. Wyjątkowo urocze. Dowidzenia, Howardzie. Jestem bardzo zmęczona i boli mnie głowa. Pójdę do mojego pokoju, by odpocząć. A jeśli chodzi o pana Marlowe'a - przypuszczam, że to on ci to wszystko podsunął - to mogę tylko tyle powiedzieć, że jeśli nie zabił Rogera w sensie dosłownym, to z całą pewnością doprowadził do jego śmierci.
- Obróciła się, by odejść. Powiedziałem ostro: - Chwileczkę. Doprowadźmy tę rozmowę do końca. Po cóż się unosić.
- Wszyscy staramy się postępować tak, jak uważamy za słuszne. Czy ta walizka, którą pani wrzuciła do Chats-worth Reservoir, była ciężka? Popatrzyła na mnie. - Już wspomniałam, że była to stara walizka. Bardzo ciężka.
- A jak ją pani przerzuciła przez ten wysoki druciany płot okalający zbiornik?
- Co? Płot? - Wzruszyła bezradnie ramionami. - W potrzebie człowiek potrafi wykrzesać z siebie niezwykłą siłę, by zrobić to, co jest konieczne. Jakoś mi się to udało. To wszystko.
- Ale tam nie ma płotu - powiedziałem.
- Nie ma płotu? - powtórzyła bezdźwięcznie.
- A na ubraniu Rogera nie było krwi. Również Sylwia Lennox nie została zabita koło domu dla gości, lecz wewnątrz - na łóżku. Nie było prawie krwi, bo już przedtem nie żyła, została zastrzelona z rewolweru, i kiedy zmasakrowano jej twarz figurką, to była to twarz nieżyjącej kobiety. A trupy, proszę pani, bardzo niewiele krwawią.
- Spojrzała na mnie pogardliwie. - Pan pewnie tam był, co? Ruszyła w kierunku schodów. Patrzyliśmy, jak wchodzi wolno, poruszając się z właściwą sobie, pełną wdzięku elegancją. Weszła do swego pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi.

- Co to za historia z tym drucianym płótem? - spytał mnie cichym głosem Spencer. Głowa mu się trzęsła, do spoconej twarzy nabiegła krew.
- Taki trik - odparłem. - Nigdy nie widziałem Chats-worth Reservoir z bliska i nie mam pojęcia, jak naprawdę wygląda - czy tam jest płót, czy nie.
- Rozumiem - powiedział ponurym głosem. - Chodzi o to, że ona też nie wie.
- Naturalnie, że nie. Zabiła ich oboje.
-
-

Rozdział czterdziesty trzeci

Coś się cicho ruszyło i przy kanapce pojawił się Candy. Patrzył się na mnie, trzymając w ręku sprężynowy nóż. Nacisnął sprężynę i wyskoczyło ostrze. Znow naciśnął i ostrze schowało się. W ciemnych oczach pojawił mu się niebezpieczny błysk.

- Milion de perdones, señor - powiedział. - Pomyliłem się co do pana. To ona zabiła szefa. Myślę, że... - przerwał i ostrze znow wyskoczyło.
- Nie. - Wstałem i wyciągnąłem rękę w jego kierunku. - Daj mi ten nóż, Candy. Jesteś sympatycznym meksykańskim chłopcem. Nie miałoby żadnych skrupułów, by cię w to wrobić. Ucieszyliby się, że nasunęła im się taka gratka. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć, ale ja dobrze wiem, o czym mówię. Tak całą sprawę spaskudzili, że teraz nie są w stanie z tego wybrnąć, przyjmując oczywiście, że im by na tym zależało. A tak nie jest. Wycisnęliby z ciebie przyznanie się do winy, zanim byś zdążył zmówić pacierz. I trzy tygodnie później już być odsiadywał dożywocie w San Quentin.
- Mówiłem już panu poprzednio, że nie pochodzę z Meksyku. Jestem Chilijczykiem z Vina del Mar koło Valparaiso.
- Wiem o tym. Daj mi nóż, Candy. Jesteś wolny. Zaoszczędziłeś sobie trochę pieniędzy. Masz pewnie z ośmiorgo rodzeństwa w domu. Nie bądź głupi i wracaj, skąd przyjechałeś. Twoje zajęcia tutaj już się skończyło.
- Tu jest pełno pracy - odparł spokojnie. Oddał mi nóż. - Robię to dla pana.
- Schowałem go do kieszeni. Candy spojrzał w kierunku balkonu. - La señora... co teraz zrobimy?
- - Nic. Po prostu nic. Señora jest bardzo zmęczona. Żyła w wielkim napięciu. Nie chce, żeby ją niepokojono.

- - Musimy wezwać policję - szorstko powiedział Spencer.

- Dlaczego?
- Jak to, oczywiście, że musimy.
- Jutro. Niech pan zabierze ten nie dokończony manuskrypt i chodźmy.

- - Jest w końcu taka rzecz jak prawo. Trzeba wezwać policję.
- - Wcale nie ma potrzeby. Dowody, które posiadamy, nie wystarczyłyby, żeby skrzywdzić muchę. Niech wymiar sprawiedliwości sam się nad tym pomęczy. Pozwólmy, by prawnicy trochę wzięli to w ręce. Ustanawiają prawa, aby inni prawnicy mogli je komentować przed obliczem jeszcze innych prawników, którzy nazywają się sędziami. A potem znów inni sędziowie stwierdzają, że ci pierwsi nie mieli racji, a Sąd Najwyższy orzeka z kolei, że to ci drudzy pobłądzili. Oczywiście, istnieje coś takiego jak prawo. Siedzimy w nim po dziurki od nosa. Jest ono głównie po to, by prawnicy mieli z czego żyć. Jak długo mogłyby prosperować te wielkie rekiny przestępczego świata, gdyby prawnicy nie uczyli ich, jak mają postępować? Spencer odparł ze złością: - To nie ma z tym nic wspólnego. W tym domu został zabity człowiek. Był to wzięty i wybitny pisarz... zresztą to też nie ma z tą sprawą nic wspólnego. No, był to człowiek i obydwaj wiemy, kto go zabił. Musi istnieć jakaś sprawiedliwość.

- Jutro.

- Postąpi pan równie źle jak ona, jeśli pozwoli pan, by nie spotkała jej kara. Zaczynam mieć co do pana wątpliwości. Mógłby pan uratować mu życie, gdyby wykazał pan więcej przytomności. W pewnym sensie umożliwił jej pan dokonanie tego. Zastanawiam się, czy ta cała scena przed chwilą... no, czy nie był to rodzaj przedstawienia.

- - Jasne. Zakamuflowana scena miłosna. Niewątpliwie zauważył pan, że Eileen szaleje za mną. Kiedy wszystko się uspokoi, mamy zamiar się pobrać. Ma zapewne sporo pieniędzy. Nie zarobiłem ani dolca na rodzinie Wade'ów zaczynam się trochę niecierpliwić.
- Zdjął okulary i zaczął je przecierać. Wytarł twarz, nałożył z powrotem okulary i wbił wzrok w podłogę. Przepraszam - powiedział. - Dostałem dziś potężną dawkę. Świadomość, że Rogor się zabił, była ciężka do zniesienia, a ta druga wersja sprawia, iż czuję się poniżony sam fakt, że o tym wiem. - Spojrzał na mnie. - Czy mogę panu zaufać? _ W jakiej sprawie?
- - Że pan postąpi... no, jak należy. - Wziął żółty manuskrypt i wsadził go pod pachę. - Nie, nie to miałem na myśli. Sądzę że pan wie, co pan robi. Jestem niezłym fachowcem jako wydawca, ale to są sprawy, na których się nie znam. W gruncie rzeczy jestem dość nadętym facetem.

- Ruszył w kierunku wyjścia. Candy przepuścił go, a następnie szybko podszedł i otworzył drzwi. Spencer minął go, skinąwszy lekko głową. Ruszyłem w ślad za nim. Zatrzymałem się obok Candy'ego i popatrzyłem w jego ciemne, błyszczące oczy.
- Żadnych numerów, amigo - powiedziałem.
- Señora jest bardzo zmęczona - odparł cicho. - Poszła do swojego pokoju. Nie chce, by jej przeszkadzano. Nic więcej nie wiem, señor. No me acuerdo de nada... A sus ordenes, señor.
- Wyjąłem nóż z kieszeni i podałem mu. Uśmiechnął się.
- Nikt nie ma do mnie zaufania, Candy, ale ja mam zaufanie do ciebie.
- Lo mismo, señor. Mućhas gracias.
- Spencer, siedział już w wozie. Wsiadłem, zapaliłem, cofnąłem się trochę do tyłu na podjeździe i ruszyłem do Beverly Hills. Zatrzymałem się przy bocznym wejściu do hotelu.
- - Całą drogę rozmyślałem - powiedział Spencer, wysiadając. - Ona nie jest całkiem normalna. Chyba nie będą mogli jej skazać.
- - Nawet nie będą próbowali - odparłem. - Ale ona o tym nie wie. Przez chwilę układał manuskrypt, który miał pod pachą, a kiedy go już uporządkował - skinął mi głową na pożegnanie. Patrzyłem, jak wchodzi do hotelu. Zwolniłem hamulec i Olds odjechał od na biało pomalowanego krawężnika. Z Howardem Spencerem nie spotkałem się już nigdy więcej. * * *
Dotarłem do domu późno, zmęczony i przygnębiony. Była to jedna z tych nocy, kiedy powietrze jest ciężkie, a wszystkie dźwięki dochodzą jakby z wielkiej odległości. Księżyc, który znajdował się wysoko, za mgłą, był jakiś nijaki. Zacząłem spacerować po pokoju, a później puściłem parę płyt, ale nie bardzo wiedziałem, co gram. Wydawało mi się, że coś tyka, ale w całym domu nie było nic takiego, co by mogło tykać. Tykało mi w głowie. Rozmyślałem nad kolejnymi spotkaniami z Eileen Wadę. W pewnym momencie coś w niej przestało pasować do obrazu, jaki sobie wytworzyłem. Stała się jakaś nierzeczywista. Morderca z reguły staje się nierzeczywisty, kiedy się wie, że jest mordercą. Istnieją ludzie, którzy zabijają z nienawiści, strachu lub zachłanności. Istnieją także przebiegli mordercy, którzy planują wszystko i sądzą, że nie zostaną wykryci. Istnieją również rozwścieczeni mordercy, którzy w ogóle nie myślą. Istnieją jeszcze inni, którzy zakochani są w śmierci, dla których morderstwo jest w jakiś sposób podobne do samobójstwa. Pod pewnym względem wszyscy mordercy są nienormalni, ale nie w takim sensie, jaki miał na myśli Spencer.
- Zaczęło już prawie świtać, kiedy wreszcie poszedłem do łóżka. Ostry dźwięk telefonu wyrwał mnie z ciemnej studni snu. Obróciłem się na łóżku, zacząłem szukać pantofli i zdałem

sobie sprawę, że spałem tylko parę godzin. Czułem się jak wypluty. Oczy miałem zalepione, a w ustach pełno piasku. Wstałem z ogromnym trudem, powlokłem się do living-roomu i powiedziałem do telefonu: - Proszę czekać. Odłożyłem słuchawkę, wszedłem do łazienki i oblałem sobie twarz zimną wodą. Zza okna doszedł mnie dźwięk, jaki wydają nożyce ogrodnicze. Spojrzałem i zobaczyłem pozbawioną wyrazu żółtą twarz. Był to przychodzący raz na tydzień japoński ogrodnik, którego nazywałem Hard - Hearted Harry. Przycinał drzewko tekowe w taki sposób, w jaki to robią japońscy ogrodnicy. Prosi się go ze cztery razy, żeby przyszedł, a on odpowiada: „w następnym tygodniu” i pojawia się któregoś dnia o szóstej nad ranem, i zabiera się do drzewa rosnącego koło twojej sypialni. Wytarłem twarz i wróciłem do telefonu.

- Tak?
- Tu mówi Candy, señor.
- Dzień dobry, Candy.
- La señora es muerta.

- Zmarła. Jakież to zimne, czarne i głuche słowo w każdym języku.

- Mam nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z tobą?
- Myślę, że to z powodu tego lekarstwa. Nazywa się demerol. W buteleczce było czterdzieści albo pięćdziesiąt pastylek. Teraz jest pusta. Wieczorem nie jadła kolacji, więc dziś rano wszedłem na drabinę i zajrzałem do środka. Była ubrana tak, jak wczoraj po południu. Zerwałem roletę i wszedłem. La señora es muerta. Fria como agua de nieve.
- Zimna jak lód. Powiadomiłeś kogo?
-

- Si. El Doctor Lóring. A on wezwał policję. Jeszcze ich nie ma.
- Doktora Loringa, co? Ten zawsze przychodzi za późno.
- Nie pokazałem mu listu.
- Listu do kogo?
- Do señora Spencera.
- Wręcz go policji, Candy. Nie pozwól, by zabrał go doktor Loring. Musi się znaleźć w rękach policji. I jeszcze jedna sprawa. Nie staraj się nic zataić, nie opowiadaj im żadnych łągarstw. Niech wiedzą, że byliśmy tam. Mów prawdę. Tym razem prawdę i, całą prawdę.

- Milczał przez chwilę, po czym odezwał się: - Si. Rozumiem. Hasta la vista, amigo. - Odłożył słuchawkę. Zadzwoiłem do hotelu „Ritz-Beverly” i poprosiłem o połączenie mnie z

panem Howardem Spencerem.

- - Proszę chwilkę poczekać. Połączę pana z recepcją. Usłyszałem męski głos: - Recepcja. Słucham.
- Prosiłem o połączenie mnie z panem Howardem Spencerem. Jest bardzo wcześnie, ale to bardzo pilna sprawa.
- Pana Spencera już nie ma. Poleciał wczoraj wieczorem o ósmej do Nowego Jorku.
- Przepraszam. Nie wiedziałem.
- Poszedłem do kuchni, by zrobić sobie kawy - dużo kawy. Pachnącej, mocnej, gorzkiej, gorącej, pobudzającej. To jedyny ratunek dla zmęczonych ludzi. Jakies parę godzin później zadzwonił do mnie Bernie Ohls.
- - Dobra, mądralo - powiedział - przyjeżdżaj tu zaraz. Zobaczymy, jak będziesz śpiewał. -
-

Rozdział czterdziesty czwarty

Wszystko wyglądało właściwie tak samo jak za pierwszym razem, z tą jednak różnicą, że był dzień i że znajdowaliśmy się w pokoju kapitana Hernandeza, bowiem szeryf pojechał do Santa Barbara, gdzie miał wziąć udział w otwarciu Fiesty. Obecni byli kapitan Hernandez, Bernie Ohls, jakiś człowiek z biura koronera, doktor Loring, który wyglądał tak, jakby go złapano na dokonywaniu skrobanki, oraz jeden z zastępców prokuratora okręgowego - wysoki, chudy człowiek, o twarzy bez wyrazu; o jego bracie krążyły plotki, że robi lewe interesy w okolicach Central Avenue. Hernandez miał przed sobą parę arkuszy jasnoróżowego papieru w obwódce, zapisanych ręcznie zielonym atramentem. - To jest nieoficjalna konferencja - oświadczył, kiedy już wszyscy usadowili się w twardych, niewygodnych krzesłach. - Nie ma stenotypisty ani żadnej aparatury nagrywającej. Możecie, panowie, mówić całkiem swobodnie. Doktor Weiss reprezentuje koronera, który ma zdecydować, czy rozprawa przed jego sądem będzie potrzebna. Doktor Weiss? Doktor Weiss, pogodny grubas, sprawiał wrażenie dobrego fachowca. - Myślę, że rozprawa będzie niepotrzebna - powiedział. - Wszystkie zewnętrzne oznaki wskazują na zatrucie narkotykami. Kiedy przyjechała karetka, jeszcze oddychała, choć bardzo słabo. Znajdowała się w głębokiej zapaści i właściwie już na nic nie reagowała. W takim stanie udaje się uratować jednego na stu ludzi. Skórę miała już zimną, a oddech można było stwierdzić tylko przy dokładnym badaniu. Służący sądził, że już nie żyje. Umarła mniej więcej godzinę później. O ile wiem, pani Wade miała ostre ataki astmy bronchialnej. Demerol został jej przepisany przez doktora Loringa właśnie na wypadek takich ataków.

- Czy pan posiada, doktorze Weiss, jakieś informacje albo chce się z nami podzielić swoimi wnioskami w sprawie ilości zażytego demerolu?
- Śmiertelna dawka - odparł doktor, leciutko się uśmiechając. - Nie ma żadnego sposobu, by nie znając historii choroby ani nabytej czy naturalnej tolerancji można było szybko ustalić konkretną ilość. Jeśli przyjąć to, co napisała, to zażyła dwadzieścia trzy stumiligramowe tabletki, to jest trzy albo cztery razy więcej niż śmiertelna dawka dla nienałogowców. - Spojrzał z pytaniem w oczach na doktora Loringa.
- Pani Wadę nie była nałogowcem - oświadczył zimno Loring. - Przepisałem jej, zależnie od potrzeby, jedną lub dwie pięćdziesięciomiligramowe tabletki, które miała przyjmować trzy, a maksymalnie cztery razy w ciągu doby.
- - Ale dał jej pan buteleczkę, w której było pięćdziesiąt sztuk - zauważył kapitan Hernandez. - Nie uważa pan, że ten środek w takiej ilości mógł stanowić niebezpieczeństwo? Jaki był stan tej astmy bronchialnej, doktorze?
- Doktor Loring uśmiechnął się pogardliwie. ~ Tak jak to, bywa przy astmie, ataki przychodziły od czasu do czasu. Nie był to jednak stan, który określamy jako status asthmaticus, a w którym atak jest tak gwałtowny, że pacjent może się udusić.
- Czy chciałby pan coś dorzucić, doktorze Weiss?
- No - wolno zaczął Weiss - gdyby nie istniało to oświadczenie i gdybyśmy nie mieli innych wskazówek co do tego, ile tabletek zażyła, można by uznać, iż jest to przypadkowe przedawkowanie. Margines bezpieczeństwa przy demerolu jest niewielki. Jutro będziemy wiedzieli na pewno. Kapitanie, czy pan ma zamiar nie podawać informacji o tym oświadczeniu?
- Hernandez wpatrywał się ponuro w swoje biurko. - Właśnie się nad tym zastanawiałem - odparł. - Nie wiedziałem, że narkotyki mogą być używane jako środek leczniczy w wypadku astmy. Codziennie człowiek dowiaduje się czegoś nowego. Loring się zaczerwienił. - Powiedziałem, kapitanie, że ma to brać tylko w wypadku ostrego ataku. Lekarz nie zawsze może być pod ręką, a ataki astmy następują często niespodziewanie. Hernandez rzucił mu przelotne spojrzenie i zwrócił się do Lawforda. - Jaka byłaby reakcja pańskiego urzędu, gdybym prasie pokazał ten list? Zastępca prokuratora okręgowego popatrzył na mnie swymi pustymi oczyma. - Co ten facet tu robi? - spytał.
- Zaprosiłem go - odparł Hernandez.
- Skąd pan wie, że nie powtórzy tego, o czym się tu ' mówi, jakiemuś dziennikarzowi?
- Tak, to prawda, jest okropnie gadatliwy. Przekonaliście się o tym sami, kiedy go zamknęliście.

- Lawford uśmiechnął się i odchrząknął. - Przeczytałem to rzekome wyznanie - powiedział ostrożnie. - I absolutnie w nie nie wierzę. Mamy tu do czynienia z wyczerpaniem nerwowym, żalobą, używaniem środków typu narkotycznego, stanem napięcia spowodowanym życiem w Anglii w czasie wojny - pod bombami, potajemnym małżeństwem, powrotem pierwszego męża, i tak dalej. Niewątpliwie zrodziło się w niej poczucie winy i w ten sposób zapragnęła się od niego uwolnić. Przerwał i rozejrzał się dookoła, ale zobaczył jedynie twarze bez wyrazu. - Nie mogę się wypowiadać w imieniu prokuratora okręgowego, ale w moim przekonaniu to wyznanie nie mogłoby stanowić podstawy do wyroku, nawet gdyby ta kobieta żyła.
- - A ponieważ uwierzyliście w jedno wyznanie, to nie mielibyście ochoty uwierzyć w następne, które zaprzecza poprzedniemu - zauważył ironicznie Hernandez.

- - Niech pan nie wyciąga zbyt daleko idących wniosków, kapitanie. Każda instytucja wymiaru sprawiedliwości musi się liczyć z opinią publiczną. Gdyby gazety wydrukowały to wyznanie, mielibyśmy kłopoty. To pewne. Pełno różnych stowarzyszeń reformatorskich tylko czeka na tego rodzaju okazję, żeby nas zaatakować. Mamy też Ławę Przysięgłych, która jest okropnie podniecona tym, w jaki sposób Wasz porucznik z Wydziału do Walki z Prostyucją został załatwiony w zeszłym tygodniu.
- Hernandez oświadczył: - No, to już wasza sprawa. Niech pan pokwituje mi odbiór tego wyznania. Pozbierał różne kartki. Lawford podpisał pokwitowanie, a następnie złożył kartki na pół, schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł. Doktor Weiss wstał. Widać było, że ten sympatyczny człowiek nie jest skłonny ulegać naciskom. - Ostatnia rozprawa przed sądem koronera odbyła się za szybko - powiedział. - Wygląda na to, że rozprawa tym razem w ogóle się nie odbędzie. Skinął głową Ohlsowi i Hernandezowi, ucisnął rękę Loringowi i wyszedł. Loring-chciał też już wyjść, ale chwilę się zawahał i spytał oficjalnym tonem: - Rozumiem, że będę mógł poinformować pewną zainteresowaną osobę, że w tej sprawie nie będzie dalszego śledztwa?

- Przykro mi, że zabraliśmy panu tyle czasu, doktorze, ze szkodą dla pańskich pacjentów.
- Pan nie odpowiedział na moje pytanie - rzucił ostro Loring. - Chciałbym pana ostrzec...
- Znikaj, Jasiu - warknął Hernandez.

- Loringa zupełnie zatkało z wrażenia. Po chwili obrócił się i szybko wyszedł z pokoju. Upłynęło dobre pół minuty, nim ktoś się odezwał. Hernandez wzdrygnął się i zapalił papierosa. Po czym spojrzał na mnie.

- No, więc? - powiedział.
- Więc co?
-

- Na co pan czeka?
- To znaczy, że to już koniec? To wszystko?
- Powiedz mu, Bernie.
- Tak, to już koniec - powiedział Ohls. - Chciałem już wziąć ją na przesłuchanie. Wadę się nie zastrzelił. Miał za dużo alkoholu we krwi. Ale, jak już wspominałem, brak było motywu. Jej wyznanie może się nie zgadzać w szczegółach, ale widać z niego, że śledziła go. Znała rozkład domu dla gości w Encino. Sylwia Lennox odebrała jej obydwu mężczyzn. W tym domu odbywało się wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Zapomniałeś się zapytać Spencera o jedną rzecz: czy Wadę posiadał mauzera P.P.K. Owszem, miał małego mauzera. Skontaktowaliśmy się dziś telefonicznie ze Spencerem. Wadę upijał się do utraty przytomności. Ten nieszczęśnik albo przypuszczał, że zabił Sylwię Lennox, albo rzeczywiście ją zabił. Nie jest też wykluczone, iż miał jakieś podstawy, by sądzić, że zabiła ją jego żona. Tak czy owak, w końcu wystąpiłby z tym. Zapewne, pił już od dawna, ale był to prawdziwy mężczyzna, który poślubił piękną lalkę. Candy jest w tym dobrze zorientowany. Ten mały sukinsyn wie prawie wszystko. To była księżycowa kobieta. Jedna część jej osobowości przebywała na ziemi, z nami, a druga bujała w obłokach. A jeśli już czasem miała ochotę, to nie na swojego męża. Czy mówię dość jasno dla ciebie?

- Nic nie odpowiedziałem.
- - Zdaje się, że o mały włos nie zostałeś szczęściarzem, co?
- I na to nic nie odpowiedziałem. Ohls i Hernandez uśmiechnęli się kwaśno. - My tutaj nie jesteśmy znów takimi tumanami - ciągnął Ohls. - Wiedzieliśmy, że coś musiało być w tym, że się rozebrała. Zaskoczyłeś Candy'ego, a on nie umiał ci się przeciwstawić. Był urażony i zmieszany - lubił Wadę'a i nie miał w tej sprawie pewności. Gdyby był pewny, to użyłby swego noża. Była to

- kwestia jego osobistego honoru. Nigdy nie oszukiwał Wadę^'. Robiła to natomiast jego żona, która celowo gmatwała sprawy, aby mąż nie mógł się w tym wszystkim zorientować. To było dobrze pomyślane. A na koniec zaczęła się go bać. Choć Wadę nigdy nie zrzucił jej ze schodów. Po prostu potknęła się, a on próbował ją złapać. Candy widział również i tę scenę.

- Ale to ciągle nie wyjaśnia, dlaczego chciała, bym mieszkał z nimi razem.
- Było jej to wygodne z paru powodów. Jeden z nich jest stary jak świat. Każdy glina spotyka się z nim setki razy. Ty byłeś tym facetem, co do którego nie było pewności. Byłeś przyjacielem Lennox, pomogłeś mu w ucieczce i - być może - zwierzył ci się z różnych rzeczy. Co wiedział sam i o czym mówił z tobą? Zabrał rewolwer, z którego została zabita, choć był świadkiem, że z niego strzelano. Mogła myśleć, że zrobił to dla niej. Ale jeśli tak, to musiał się

orientować, że to ona zamordowała. Kiedy* się zabił, uzyskała co do tego pewność. A teraz jeśli chodzi o ciebie. Ty ciągle stanowiłeś znak zapytania. Chciała się zorientować, co ty wiesz. Miała wiele wdzięku i znakomitą sytuację, w której mogła się do ciebie zbliżyć. A gdyby zaistniała potrzeba znalezienia ofiary, na którą można by wszystko zrzucić, to ty się idealnie do tego nadawałeś. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że specjalizowała się w wyszukiwaniu takich facetów.

- Przypisujesz jej zbyt wielką przebiegłość - powiedziałem.
- , Ohls złamał papierosa na pół i zaczął przeżuwać jedną z połówek. Drugą zatknął sobie za ucho.
- Drugi powód był taki, iż pragnęła mężczyzny - dużego, silnego faceta, który by ją porwał w ramiona i stanowił odskocznię dla jej marzeń.
- Nie znosiła mnie - odparłem. - Tego pomysłu nie kupię.
-
- Naturalnie - wtrącił się sucho Hernandez. ~ Pan nie zareagował na jej zaloty. Ale to by panu jeszcze darowała. Tylko że później wszystko pan jej wygarnął w obecności Spencera.
- Musieliście się ostatnio konsultować z psychiatrami, co?
- Szlak to trafi - odparł Ohls - nic nie słyszałeś? Siedzą nam na głowie cały czas. Dwóch mamy na etacie. To przestaje być zawód dla policjanta, zamieniamy się w specjalistyczny dział medycyny. Pełno tych psychiatrów w więzieniach, sądach, pokojach przesłuchań. Piszą piętnastostronicowe opracowania, wyjaśniające, dlaczego jakiś młodociany gówniarz obrabował sklep alkoholowy, zgwałcił uczennicę albo sprzedawał narkotyki kolegom z wyższej klasy. Za jakieś dziesięć lat tacy faceci jak Marty czy ja będziemy ćwiczyli testy Rohrschacha i asocjacje słowne, zamiast walkę wręcz i strzelanie do celu. A wyjeżdżając na akcje, będziemy zabierali ze sobą małe czarne torby z podręcznymi aparatami do wykrywania kłamstwa oraz buteleczkami zawierającymi serum prawdy. Szkoda, że nie złapaliśmy tych czterech drani, którzy załatwili Wielkiego Willie'ego Magoona. Moglibyśmy zająć się ich resocjalizacją i zachęcać, by kochali swoje mamusie.
- Mogę już iść?
- Co do czego ma pan jeszcze jakieś wątpliwości? - spytał Hernandez, bawiąc się strzelaniem z gumki.
- Nie mam żadnych wątpliwości. Sprawa się zakończyła. Ona nie żyje, oni wszyscy nie żyją. Do załatwienia są jedynie zwykłe, proste formalności. Nie pozostaje nic innego, jak tylko pójść do domu i zapomnieć, że to się kiedykolwiek zdarzyło. No, i właśnie chyba to zrobię.
- Ohls wyjął zza ucha połówkę papierosa, popatrzył na nią, jakby się zdziwił, skąd się tam wzięła, i wyrzucił przez ramię.

- - No i co pan próbuje zasugerować? - rzucił Hernandez.
- - Gdyby nie to, że już nie miała więcej rewolwerów, to mogłaby jeszcze kogoś kropnąć.
- Można też dla jasności wspomnieć - wtrącił się Ohls - że wczoraj był czynny telefon.
- No, na pewno - odparłem. - Nie ulegało wątpliwości, że coś zainstalujecie, ale usłyszeliście jedynie pogmatwaną opowieść, zawierającą parę głupich kłamstw. A tego ranka, jak przypuszczam, mieliście już pełne wyznanie. Nie daliście mi go przeczytać, ale nie zaprosilibyście przedstawiciela Prokuratury Okręgowej, gdyby był to jedynie bilecik miłosny. Gdyby w swoim czasie zajęto się solidnie sprawą Lennox, to ktoś dotarłby do dokumentów związanych z jego służbą wojskową i dowiedziałby się, gdzie został ranny i tak dalej. Przy okazji wyszłoby też na jaw jego powiązanie z Wade'ami. Roger Wade wiedział, kim był Feliks Marston. Orientował się w tym również pewien prywatny detektyw, z którym się skomunikowałem.
- -. Możliwe - odparł Hernandez - ale policja nie pracuje w ten sposób. Nie można się zabawiać w wypadku oczywistej sprawy, nawet gdy nie ma nacisku, by ją jak najszybciej zakończyć i zapomnieć o wszystkim. Zajmowałem się setkami zabójstw. Niektóre z nich są proste, jasne, podręcznikowe. Większość jednak zgadza się tylko w niektórych elementach, a w innych - nie. Ale kiedy ma się motyw, środki, sposobność, ucieczkę, pisemne wyznanie i natychmiast potem samobójstwo, to tego się nie rusza. Żadna policja na świecie nie ma dość ludzi i czasu, by podawać w wątpliwość to, co jest oczywiste. Jedyнным argumentem przemawiającym przeciwko winie Lennox była czyjaś opinia o nim, że był sympatycznym facetem, który by czegoś takiego nie zrobił, i że tego morderstwa mogli dokonać również inni, ale inni nie przyznali się i nie strzelili sobie w głowę. A jeśli chodzi o to, że był sympatycznym facetem, to myślę, że sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent morderców, którzy kończą w komorze gazowej, na krześle elektrycznym lub na szubienicy, to ludzie, o których sąsiedzi sądzili, że są tak nieszkodliwi, jak pielęgniarki Czerwonego Krzyża. Tak nieszkodliwi, spokojni i dobrze wychowani, jak pani Wade. Chce pan przeczytać, co napisała w tym liście? Proszę bardzo, niech pan czyta. Muszę wyjść na chwilę. Wstał, otworzył szufladę i położył na biurku dużą kopertę. - Tu jest pięć fotokopii. Byłoby źle, gdybym złapał pana na czytaniu tego. Ruszył w kierunku drzwi i w pewnym momencie obrócił głowę i powiedział do Ohlsa: - Chcesz pewnie pójść ze mną do Peshorka? Ohls kiwnął głową i wyszedł za nim. Kiedy zostałem sam, otworzyłem kopertę i - dotykając tylko ich brzegów - przeliczyłem fotokopie. Było sześć kompletów, każdy składający się z paru stron spiętych spinaczem. Wziąłem jeden z nich, zwinąłem i schowałem do kieszeni. Następnie przeczytałem komplet leżący na wierzchu i - czekałem. Po dziesięciu minutach pojawił się Hernandez, bez Ohlsa. Usiadł za biurkiem, rzucił okiem na kopertę i schował ją do szuflady. Popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu. - Jest pan zadowolony?

- Czy Lawford wie, że pan je ma?
- Nic mu na ten temat nie powiedziałem. Od Bernie'ego też się nie dowie. To on je zrobił. Dlaczego?
- - Co by się stało, gdyby jeden komplet fotokopii zginął? Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - To niemożliwe. Ale gdyby coś takiego się zdarzyło, to nie mógłby to być nikt z Biura Szeryfa. Kopiarke mają także u prokuratora okręgowego.
- - Pan, zdaje się, nie przepada za prokuratorem Springerem, kapitanie?
- Zrobił zdziwioną minę. - Ja? Ja lubię wszystkich, nawet pana. Niech się pan, do cholery, wynosi stąd. Mam dużo roboty. Wstałem i już chciałem ruszyć w kierunku wyjścia, gdy niespodziewanie się odezwał: - Czy pan nosi przy sobie broń?
- Czasami.
- Wielki Willie Magoon miał przy sobie dwa rewolwery. Zastanawiam się, dlaczego ich nie użył?
- Pewnie sądził, iż wszyscy się go boją.
- Możliwe - odparł Hernandez. Wziął gumkę i rozciągnął ją między kciukami. Napinał ją coraz mocniej. Wreszcie pękła z trzaskiem. - Każdą strunę można przeciągnąć. Nie ma mocnych. Do zobaczenia.
- Szybko opuściłem budynek.

Rozdział czterdziesty piąty

Kiedy znalazłem się w moim biurze na szóstym piętrze Cahuenga Building, zabrałem się do codziennej zabawy z poranną pocztą. Ze skrzynki - na biurko i - do kosza. Następnie zrobiłem trochę miejsca i rozłożyłem fotokopie. Przeczytałem wyznanie Eileen jeszcze raz. Zawierało tyle szczegółów i napisane zostało w taki sposób, że nie powinno wzbudzać niczyjej wątpliwości. Eileen Wade zabiła żonę Terry'ego w napadzie zazdrości, a później, kiedy nadarzyła się ku temu odpowiednia okazja, zabiła Rogera, gdyż była przekonana, iż mąż wie o wszystkim. Strzał w sufit w jego pokoju stanowił część przygotowań. Nadal jednak bez odpowiedzi pozostawało pytanie, dlaczego Roger pozwolił jej na to i jakoś nie zareagował. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, o co tu chodziło. Widocznie pogodził się z losem i nie zależało mu na życiu. Zajmował się słowami, chciał je znaleźć dla określenia prawie

wszystkiego, ale w tym wypadku mu ich zabrakło. „Mam czterdzieści sześć tabletek demerolu, które mi zostały z ostatniej recepty - napisała. - Zażyję je teraz i położę się na łóżku. Drzwi są zamknięte. Wkrótce nikt nie będzie w stanie mnie uratować. Moją decyzję, Howardzie, trzeba uszanować. Piszę w obliczu śmierci. Każde słowo jest prawdziwe. Nie żałuję niczego, z wyjątkiem może tego, że nie udało mi się ich nakryć we dwójkę i zabić razem. Nie odczuwam też żalu z powodu Feliksa, który, jak słyszałaś, występował pod nazwiskiem Terry'ego Lennox. Był tylko cieniem tego mężczyzny, którego kochałam i za którego wyszłam za mąż. Nic dla mnie już nie znaczył. Kiedy zobaczyłam go w tym lokalu po raz pierwszy i ostatni od czasu jego powrotu z wojny, to z początku nawet go nie poznałam. Później zorientowałam się, kim jest; on od razu mnie rozpoznał. Powinien był umrzeć za młodu w śniegach Norwegii, ten mój kochanek, którego oddałam śmierci. Wrócił jako przyjaciel szulerów, mąż bogatej ladacznicy, zepsuty, zmarnowany mężczyzna, który prawdopodobnie już uprzednio wstąpił na drogę przestępstwa. Czas powoduje, że wszystko staje się marne, nędzne, pospolite. Tragedią życia, Howardzie, jest nie to, że piękne rzeczy umierają za młodu, lecz że, starzejąc się, stają się odpychające. Mnie się to nie przydarzy. Do widzenia, Howardzie”. Schowałam fotokopie w biurku i zamknąłem je na klucz. Była już pora lunchu, ale nie miałem ochoty na jedzenie. Wyciągnąłem butelkę z głębokiej szuflady, nalałem sobie i odszukałem w książce telefonicznej numer „Joumalu”. Zadzwoiłem i poprosiłem telefonistkę, żeby mnie połączyła z Lonnie'em Morganem. - Pan Morgan przychodzi dopiero koło czwartej. Niech pan spróbuje magistrat - pokój dla prasy.

- Rzeczywiście złapałem go tam. Przypomni mi sobie od razu. - Słyszę, że jest pan ostatnio bardzo aktywny - powiedział.
- Mam coś dla pana, o ile oczywiście będzie to panu odpowiadało. W co bardzo wątpię.
- Tak? A co to jest?
- Fotokopie dokumentu będącego przyznaniem się do dwóch morderstw.
- Gdzie pan jest?
- Powiedziałem mu. Pragnął dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej sprawy. Nie chciałem mu podawać żadnych szczegółów przez telefon. Oświadczył na to, że nie zajmuje się tym działem. Zareplikowałem, że jest jednak dziennikarzem i do tego pracuje w jedynej niezależnej gazecie w mieście. Ciągle jednak miał zastrzeżenia.
- Skąd pan to ma? Bardzo wątpię, czy będę mógł tego użyć.
- Oryginał posiada Prokuratura Okręgowa. Nie chcą tego dokumentu udostępnić prasie, bowiem rzuca on nowe światło na parę spraw, które pragną utrzymać w tajemnicy.
- Zadzwonię do pana. Muszę porozumieć się z moimi szefami.

- Skończyliśmy rozmowę. Udałem się do pobliskiego barku, zjadłem kanapkę i napiłem się kawy. Kawa była lurowata, a kanapka miała smak starej podeszwy. Amerykanie zjedzą wszystko, o ile tylko jest to podane na grzance, przekłute paroma wykałaczkami, a z boku wystaje sałata, najlepiej jak trochę zwiędnięta. Gdzieś koło wpół do czwartej pojawił się Lonnie Morgan. Wyglądał tak samo, jak tej nocy, kiedy mnie odwiózł do domu z więzienia - wysoki, chudy, o zmęczonej, pozbawionej wyrazu twarzy. Uścisnął mi dłoń nerwowym ruchem i zaczął grzebać w wymiętoszonej paczce papierosów.
- Pan Sherman, to nasz sekretarz redakcji powiedział, żebym pana odwiedził i zapoznał się z tym, co pan ma.
- To nie jest do publikacji, chyba że pan się zgodzi na moje warunki. - Wręczyłem mu fotokopie. Przeczytał te cztery strony szybko, a później jeszcze raz - wolniej. Sprawiał wrażenie tak podnieconego, jak przedsiębiorca pogrzebowy, u którego się zamawia tanią trumnę.
- Niech pan mi da telefon.
- Podsunąłem aparat. Nakręcił numer, chwilę czekał, po czym odezwał się: - Tu mówi Morgan. Proszę mnie połączyć z panem Shermanem. - Gdy rozmówca zgłosił się, poprosiłaby oddzwonił z innego aparatu. Po chwili telefon odezwał się. Podniósł słuchawkę i rozpoczął: - To brzmi tak. - Czytał wolno i wyraźnie. Kiedy skończył, chwilę^ trwała cisza. Po czym powiedział: - Chwilkę. - Opuścił słuchawkę i spojrzał na mnie. - Chce wiedzieć, jak pan wszedł w posiadanie tego dokumentu? Sięgnąłem przez biurko po fotokopie. - Może mu pan powiedzieć, że to nie jego zakichany interes. Skąd pochodzą - to inna sprawa. Wyjaśnia to pieczętka na odwrocie każdej strony.
- - Panie Sherman, okazuje się, że to jest oficjalny dokument z Biura Szeryfa w Los Angeles. Myślę, że moglibyśmy bez trudności stwierdzić jego autentyczność. W grę wchodzi też pewne warunki.
- Chwilę słuchał, a później odparł: - Tak jest. Znajduje się obok. - Przysunął mi telefon. - Chce z panem rozmawiać. Usłyszałem szorstki, stanowczy głos: - Jakie są pańskie warunki, panie Marlowe? Niech pan pamięta, że poza „Journalem” żadne inne pismo w Los Angeles nawet by tego nie tknęło.
- Nie bardzo się pan zajął sprawą Lennox, panie ‘ Sherman.
- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale wtedy chodziło tylko o skandal, a nie o wykrycie winnego. To, z czym mamy do
-
- czynienia teraz, to, o ile pański dokument jest prawdziwy, całkiem inna historia. Jakie są pańskie warunki?

- Wydrukuj pan ten dokument w całości - w formie fotografii. Albo w ogóle nie.
 - Będzie musiał być sprawdzony. Rozumie pan to chyba?
 - Nie bardzo wyobrażam sobie, w jaki sposób. Gdyby pan pokazał go prokuratorowi okręgowemu, to albo by zaprzeczył jego autentyczności, albo udostępnił wszystkim gazetom w mieście. Nie miałyby innego wyboru. A jeśli się pan zwróci z nim do Biura Szeryfa, to odeśle pana do Prokuratury Okręgowej.
 - Niech pan się tym nie martwi. Mamy swoje sposoby. Wróćmy jednak do pańskich warunków.
 - Podałem je panu przed chwilą.
 - Och, to nie oczekuje pan zapłaty?
 - Owszem, ale nie pieniędzmi.
 - Cóż, sądzę, że pan wie, co pan robi. Może mi pan dać jeszcze Morgana?
-
- Wręczyłem słuchawkę Lonnie'emu. Mówił krótko. - Zgadza się - oświadczył. - Mam zabrać te fotokopie, a on je sprawdzi. Zrobi tak, jak pan prosił. Zmniejszone do połowy, zajmą połowę kolumny. Wręczyłem mu je. Zaczął pocierać czubek swego długiego nosa. - Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, kiedy powiem, że robi pan bardzo głupio. „- Zgadzam się z panem.
-
- Może pan jeszcze zmienić decyzję.
 - Nie. Pamięta pan ten wieczór, kiedy odwoził mnie pan do domu z tej miejskiej Bastylji? Powiedziałem panu wtedy, że mam przyjaciela, z którym powinienem się pożegnać. Właściwie nigdy tego nie zrobiłem. Opublikowanie tych fotokopii będzie moim pożegnaniem. Czekałem na to długo, bardzo długo.
 - Rozumiem, przyjacielu. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale nadal myślę, że robi pan bardzo głupio. Czy mam panu powiedzieć dlaczego?
-
- Jeśli to konieczne.
 - Wiem o panu więcej, niż pan myśli. To jest właśnie ta męcząca strona pracy w dziennikarstwie. Zawsze się wie o wiele więcej, niż można wydrukować. Człowiek staje się cyniczny. Jeśli ten dokument ukaże się w „Journalu”, to masę ludzi będzie wściekłych - prokurator okręgowy, koroner, ludzie szeryf a, pewien ustosunkowany i wpływowy obywatel o nazwisku Potter i dwa nie przebierające w środkach ciemne typy - Menendez i Starr. Prawdopodobnie wyląduje pan w szpitalu albo znów w więzieniu.
 - Nie sądzę.
 - Naturalnie, to pańska sprawa, przyjacielu. Ja mówię tylko to, co myślę. Prokurator okręgowy będzie wściekły, bo zamknął przedwcześnie sprawę Lennox'a. Przyjmując nawet, że samobójstwo Lennox'a i jego przyznanie się do winy usprawiedliwiały decyzję prokuratora,

wielu ludzi będzie chciało wiedzieć, jak to się stało, że Lennox, niewinny człowiek, napisał takie oświadczenie, jak zginął, czy naprawdę popełnił samobójstwo czy też mu w tym pomóżono, dlaczego nie przeprowadzono bardziej wnikliwego śledztwa, jak również dlaczego cała sprawa została tak szybko zakończona. A jeśli ma oryginał tych fotokopii, to będzie sądził, że oszukali go ludzie szeryfa.

- Nie musicie przecież reprodukować tego znaczka na odwrocie.
- Tego oczywiście nie zrobimy. Jesteśmy w dobrych stosunkach z szeryfem. Uważamy, że to uczciwy człowiek. Nie mamy mu za złe, że nie może sobie dać rady z takimi facetami jak Menendez. Nikt nie jest w stanie zwalczać hazardu tak długo, jak gry tego rodzaju są legalne we wszystkich formach w niektórych stanach, a w niektórych formach we wszystkich stanach. Pan to ukradł z Biura Szeryfa. Nie chce mi pan powiedzieć, jak się to panu udało?

- Nie.
- Trudno. Koroner będzie wściekły, bo się wygłupił przy tym rzekomym samobójstwie Wade'a. Inna rzecz, że pomógł mu w tym prokurator okręgowy. Harlan Potter będzie wściekły, ponieważ wraca się do sprawy, w której zakończenie włożył wiele wysiłku. Menendez i Starr będą wściekli z przyczyny, która nie jest dla mnie jasna, ale wiem, że otrzymał pan od nich ostrzeżenie. A kiedy te typy mają kogoś na wątrobie, to dają mu lanie. Ma pan wszelkie szanse, że załatwią pana tak, jak Wielkiego Willie'ego Magoona.

- Magoon prawdopodobnie za ostro sobie poczynął.
- Dlaczego? - ciągnął dalej Morgan. - Ponieważ te typy muszą podtrzymywać swoją reputację. Jeśli już powiedzą panu, żeby pan się do czegoś nie mieszał, musi pan ich usłuchać. A jeśli pan ich nie usłucha i ujdzie to panu na sucho, powstaje wrażenie, że są słabi. A ci twardzi goście na górze, którzy wszystkim kierują, to wielkie szyszki - członkowie rad dyrektorskich - nie potrzebują słabych facetów. Stanowią oni bowiem niebezpieczne ogniwo. No, i jest jeszcze Chris Mady.

- Słyszałem, że on kręci prawie wszystkim w Nevadzie.
- Zgadza się, przyjacielu. Mady to sympatyczny gość, który wie dobrze, czego Nevada potrzebuje. Te bogate rekiny podziemia, które działają w Reno i Las Vegas, bardzo uważają, by nie zirytować Mady'ego. Bo gdyby tak się stało, to ich podatki wzrosłyby bardzo szybko, a stosunki z policją uległy znacznemu pogorszeniu. W tej sytuacji ci goście ze Wschodniego Wybrzeża, którzy znajdują się na samej górze, doszliby do przekonania, że potrzebne są zmiany. Gość, który nie potrafi sobie ułożyć stosunków z Chrisem Madym, jest nieprzydatny. Trzeba się go jak najszybciej pozbyć i wsadzić kogoś innego na jego miejsce. A pozbycie się oznacza tylko jedną rzecz - drewniany pieróg.

- - Przecież oni w ogóle nie wiedzą, że ktoś taki jak ja istnieje - odparłem.
- Morgan zmarszczył się i wruszył kilkakrotnie ramionami. - Nie muszą. Posiadłość Mady'ego, leżąca nad Tahoe po stronie Nevady, sąsiaduje z posiadłością Harlana Pottera. Przypuszczam, że od czasu do czasu mówią sobie „halo”. Powiedzmy, że jakiś typ zatrudniony

przez Mady'ego usłyszy od innego typa zatrudnionego przez Pottera, że facet o nazwisku Marlowe szumi zbyt głośno na temat spraw, które nie powinny go obchodzić. Powiedzmy, że ta informacja zostanie przekazana telefonicznie do pewnego mieszkania w Los Angeles i specjaliście od takich spraw dadzą do zrozumienia, żeby przewietrzył siebie i dwóch czy trzech kolegów. Takim typom nie trzeba wyjaśniać dlaczego. Dla nich to chleb powszedni. Nie angażują się emocjonalnie. Niech pan siedzi spokojnie, a my złamiemy panu ramię. Chce pan, żebym panu zwrócił te fotokopie? Wyciągnął je w moim kierunku.

- - Pan wie, czego ja chcę - odparłem.
- Morgan wstał wolno i schował fotokopie do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Być może, nie mam racji - powiedział. - Może pan wie o tym wszystkim więcej niż ja. Nie mam na przykład pojęcia, jak taki człowiek, jak Potter, zapatruje się na tego rodzaju sprawy.
- Patrzy na nie bez przyjemności - odparłem. - Rozmawiałem z nim. Ale nigdy nie zatrudniłby specjalistów od mokrej roboty. Byłoby to sprzeczne z jego zasadami.
- Jeśli chodzi o moje poglądy - rzucił ostro Morgan - to wstrzymanie przez telefon śledztwa w sprawie morderstwa, zamiast uniemożliwienia go przez zabicie świadków, to nic więcej jak zastosowanie innej metody. Obydwie śmierdzą. Do zobaczenia - mam nadzieję.
- Zniknął z biura, jakby go wiatr wywiał.
-

Rozdział czterdziesty szósty

Pojechałem do „Wiktora” z zamiarem, by napić się gimleta i czekać tam na ukazanie się popołudniowego wydania gazet. Bar był jednak zatłoczony i atmosfera w nim nie była przyjemna. Znajomy barman odezwał się do mnie po nazwisku:

- O ile pamiętam, panie Marlowe, to pan lubi, żeby drinka zakropić angosturą, prawda?
- No, nie zawsze, ale dzisiaj niech pan doda trochę więcej.
- Jakoś nie widziałem ostatnio pańskiej znajomej. Tej ze szmaragdami.
- Ja też nie.
- Odszedł i po chwili przyniósł mi drinka. Sącyłem go wolniutko, żeby dłużej trwał. Nie

miałem ochoty na solidne picie. Po jakimś czasie zamówiłem jeszcze jednego. Tuż po szóstej do baru wszedł chłopak z gazetami. Któryś z barmanów wrzasnął, żeby zmiatał, ale nim kelner go wyrzucił, zdążył odbyć małą rundkę. Wśród klientów byłem i ja. Otworzyłem „Journal” i zobaczyłem, że zrobili tak, jak się umówiliśmy. Pełen tekst. Zmniejszyli fotokopię tak, by wszystko się zmieściło na górnej połowie pierwszej kolumny. Na innej kolumnie znajdował się krótki, cięty wstępniak redakcyjny, a jeszcze dalej - półkolumnowe omówienie całej sprawy, podpisane przez Lonnie’ego Morgana. Dopilem drinka, pojechałem do innej knajpy, by zjeść kolację, i wróciłem do domu. W swoim materiale Lonnie Morgan rzeczowo podsumowywał fakty związane ze sprawą Lennox’a i „samobójstwem” Rogera Wade’a - to znaczy te z nich, które zostały podane do wiadomości publicznej. Nie dodawał, nie sugerował, nie próbował też wyciągać wniosków. Wstępniak natomiast był całkiem inny. Stawiał pytania - tego rodzaju, jakie gazeta stawia przedstawicielom władzy, kiedy zostają przyłapani na niekompetencji i nieudolności. Około wpół do dziesiątej odezwał się telefon. Bernie Ohls powiedział, że wpadnie do mnie po drodze do domu.

- - Czytałeś „Journal”? - spytał z głupia frant i nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę.
- Kiedy się pojawił, zaczął narzekać na schody i spytał, czy nie zrobiłbym mu filiżanki kawy. W czasie kiedy byłem tym zajęty, łaził bezustannie po całym domu.
- Mieszkaś dość samotnie, jak na faceta, w stosunku do którego niektórzy ludzie mogą odczuwać zniechęcenie - zauważył. - Co tam się znajduje za tym pagórkem?
- Ulica. Czemu pytasz?
- Ot, tak sobie. Powinieneś trochę poprzycinać krzewy koło domu.
- Kiedy przyniosłem kawę do lving-roomu, usadowił się i zaczął ją popijać. Zapalił mojego papierosa, zaciągnął się parę razy - i zgasił go. - Przestają mi już smakować - stwierdził. - Może to z powodu tych ogłoszeń w telewizji. Człowiek zaczyna po prostu nie znosić wszystkiego, co reklamują. Muszą myśleć, że ludzie to banda osłów. Za każdym razem kiedy ten palant w kitlu i ze stetoskopem wiszącym na szyi pokazuje jakąś pastę do zębów, paczkę, papierosów, butelkę piwa, płyn do przemywania ust, szampon czy ten preparat, który powoduje, że spasiony zapaśnik pachnie jak krokus górski - postanawiam, że nigdy tego nie kupię. Taka reklama zniechęciłaby mnie nawet do rzeczy, którą bym lubił. Przeczytałeś „Journal”, hm?
- Powiedział mi o tym pewien przyjaciel, dziennikarz.
- Masz przyjaciół? - spytał ze zdziwieniem. - Ale nie powiedział ci, jak dostał ten materiał?
- Nie. W tym stanie nie ma możliwości prawnych, by go do tego zmusić.
-

- - Springer kipi z wściekłości. Lawford, jego zastępca, który otrzymał ten dokument, dziś rano, twierdzi, że zaniósł go prosto do swego szefa, ale czy to można wiedzieć. To, co wydrukował „Journal”, wygląda jak fotokopia oryginału.
- Popijałem kawę i nic się nie odzywałem.
- Dobrze tak Springerowi - ciągnął Ohls. - Powinien był zająć się tym osobiście. Nie sądzę, aby ten przeciek pochodził od Lawforda. To przecież też polityk. - Patrzył na mnie z drewnianą twarzą.
- Po co tu przyjechałeś, Bernie? Nie lubisz mnie. Byliśmy co prawda kiedyś przyjaciółmi, przynajmniej na tyle, na ile można się przyjaźnić z twardym gliną. Ale coś się tu popsło.
- Pochylił się do przodu i uśmiechnął - takim trochę wilczym uśmiechem. - Żaden glina nie lubi, by za jego plecami prywatny obywatel zastępował policję. Gdybyś mi powiedział wtedy, kiedy został zabity Wade, co łączyło, go z żoną Lennox, to dałbym sobie z tym radę. I dalej, i gdybyś mi powiedział, co łączyło panią Wade i Terry'ego i Lennox, to miałbym ją teraz w ręku - ale żywą. Gdybyś od początku grał w otwarte karty, to Wade mógłby dziś żyć. Już nie mówiąc o Lennoxie. Wydaje ci się, że jesteś wielkim spryciarzem, hm?
- Co mam na to powiedzieć?
- Nic. Jest za późno. Już ci raz powiedziałem wyraźnie i jasno, że cwaniak nie oszuka nikogo oprócz siebie. Ale to | nie dało rezultatu. W tej chwili mądrze byś zrobił, gdybyś J wyjechał z miasta. Nikt cienie lubi, a paru z tych facetów,] którzy cię nie lubią, mają zwyczaj wyciągania wniosków i z tego rodzaju uczuć. Miałem na ten temat wiadomości od | naszego informatora.
- Nie jestem aż tak ważny. Przestańmy warczeć na J siebie. Przecież po śmierci Wade'a w ogóle nie brałeś j udziału w śledztwie. A później nie wyglądało na to, by tobie, koronerowi, prokuratorowi okręgowemu czy komukolwiek innemu na tym zależało. Ale prawda wyszła na jaw. Powiadasz, że mógłbyś ją aresztować wczoraj po południu - na jakiej podstawie?
- Na podstawie tego, co mogłeś nam o niej powiedzieć.
- Ja? Ten prywatny obywatel, który zastępuje policję? Wstał gwałtownie. Miał czerwoną twarz. - Dobrze,
- mądralo. Mogłaby żyć. Można ją było zwinąć na zasadzie podejrzenia. Ale ty, draniu, chciałeś, żeby nie żyła. Dobrze o tym wiesz.

- Chciałem, żeby się długo i dobrze sobie przyjrzała - w spokoju. A jakie wnioski z tego wyciągnęła, to już jej sprawa. Chciałem też oczyścić pamięć niewinnego człowieka. Obojętne mi było, jak to zrobię, nie mam sobie nic do zarzucenia. Jestem do twojej dyspozycji, kiedykolwiek byś zapragnął wyciągnąć z tego jakieś konsekwencje w stosunku do mojej osoby.
- Zajmą się tobą specjaliści od mokrej roboty. Ten kłopot mi odpadnie. Myślisz, że jesteś na to za mało ważny. Jako prywatny detektyw o nazwisku Marlowe - tak. Ale jako facet, któremu powiedziano, żeby się nie wtrącał do nie swoich spraw, a który publicznie zrobił z nich durniów w gazecie - o, to już inna sprawa. W grę wchodzi zraniona duma.
- To przygnębiające - odparłem. - Samo myślenie o tym przyprawia mnie o bicie serca.
- Podszedł do drzwi, otworzył je i stał tak przez chwilę. Patrzył na sekwojowe schody i na drzewa rosnące na pagórku po drugiej stronie i na zboczu przy końcu ulicy.
- - Przyjemnie tu i cicho - powiedział. - Tak, jak trzeba. Zszedł, wsiadł do wozu i odjechał. Gliny nigdy nie mówią do widzenia. Zawsze mają nadzieję, że cię jeszcze ujrzą u siebie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Następnego dnia wydawało się już, że sprawy ruszą naprzód, ale było to tylko złudzenie. Wcześniej rano prokurator okręgowy Springer zwołał konferencję prasową i złożył oświadczenie. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o czarnych brwiach i przedwczesnej siwiźnie, tryskający energią; ludzie tego pokroju z zasady osiągają powodzenie w polityce. „Przeczytałem dokument - powiedział - mający być wyznaniem tej nieszczęśliwej i godnej współczucia kobiety, która niedawno odebrała sobie życie. Jest to dokument, co do którego nie mamy pewności, czy jest prawdziwy, ale jeśli tak jest, to stanowi on wytwór zmaconego umysłu. Chcę wierzyć, że «Journal» opublikował go w dobrej wierze, mimo wielu nonsensów i nielogiczności, które zawiera, a wyliczaniem których nie będę państwu nużył. Jeśli Eileen Wade była autorką tego listu - a moje biuro przy współpracy z urzędem mego szanownego kolegi szeryfa Petersena szybko ustali, czy tak było rzeczywiście - to pragnę państwu powiedzieć, że nie uczyniła tego w stanie pełnej świadomości. Przecież upłynęło zaledwie kilka tygodni od momentu, kiedy ta nieszczęsna kobieta znalazła swego męża w kałuży krwi ze śmiertelnej rany, którą sam sobie zadał. Wyobraźcie sobie wstrząs, rozpacz i przytłaczającą samotność, którą pociągnęła za sobą ta okropna tragedia! A teraz i ona sama zaznała goryczy śmierci. Jaki pożytek będzie z tego, moi przyjaciele, jeżeli będziemy niepokoić prochy zmarłych? Być może zwiększy to o parę egzemplarzy nakład «Journalu», który tego bardzo potrzebuje. I cóż więcej, moi przyjaciele, cóż więcej? Zostawmy jednak tę sprawę na boku. Eileen Wade, jak Ofelia w tym wielkim, mistrzowskim dramacie - w «Hamlecie», pióra nieśmiertelnego Williama Szekspira, nosiła swoją rutkę inaczej. Moi przeciwnicy polityczni pragną rozdmuchać tę sprawę, ale moi przyjaciele i ci, co głosują tak jak ja, nie dadzą się wyprowadzić na manowce. Wiedzą bowiem, że biuro, którym kieruję, od dawna dąży do tego, by działanie prawa było

rozważne i w pełni przemyślane, by sprawiedliwości nieobce było współczucie, a praca organów administracji opierała się na solidnych, stabilnych, konserwatywnych zasadach. Nie wiem, jakie zasady przyświecają «Journalowi», ale to, co reprezentuje na co dzień, nie spotyka się z moją aprobatą. Zresztą niech oświecona część opinii publicznej sama to osądzi. „Journal” wydrukował tę mętną tyradę we wczesnym wydaniu, a jego redaktor Henry Sherman rozprawił się ze Springerem w podpisany przez siebie komentarzu. „Pan prokurator okręgowy był dzisiejszego ranka w doskonałej formie. Kiedy tak wymownie gestykulując przemawiał ze zwykłą sobie emfazą, sprawiał doskonałe wrażenie, a jego głębokiego barytonu słuchało się z niekłamaną przyjemnością. Nie byliśmy też znużeni - trzeba to przyznać - żadnymi faktami. Kiedy tylko pan prokurator zapragnie, by udokumentować autentyczność omawianego przez niego dokumentu, «Journal» będzie całkowicie na jego usługi. Nie oczekujemy, by pan prokurator zechciał podjąć kroki celem wznowienia sprawy, którą sam prowadził i która została oficjalnie zamknięta na jego wniosek. Zapytuje pan prokurator, co można osiągnąć niepokojąc prochy zmarłych? Proponujemy, by ująć to pytanie inaczej, choć może mniej elegancko: czemu może służyć wykrycie sprawcy morderstwa, kiedy on już nie żyje? Oczywiście niczemu - poza sprawiedliwością i prawdą. W imieniu nieżyjącego Williama Szekspira «Journal» pragnie podziękować panu prokuratorowi za jego pochwałę «hamleta» i za jego zasadniczo poprawne, acz niecałkowite ściśle, nawiązanie do Ofelii: «...ale ty swoją rutkę musi: Wnosić trochę inaczej...». - To zdanie zostało powiedziane nie do Ofelii, lecz przez nią. Co miała na myśli, nie jest zresztą dla nas, którzy nie jesteśmy aż tak błyskotliwymi interpretatorami Szekspira, zbyt jasne. Ale dajmy temu spokój. W końcu cytat brzmi dobrze i pomaga w zagmatwaniu całej sprawy. Ale niech i nam też będzie wolno zacytować z tego samego dramatu, aprobowanego przez pana prokuratora, dobre zdanie, którego autorem był zły człowiek: «Gdzie zaś jest wina, tam niech kara spadnie»,,. Koło południa zadzwonił do mnie Morgan i spytał, jak mi się podoba to, co napisał „Journal”. Odparłem, że nie sędzę, by reputacja Springera miała doznać poważnego uszczerbku.

- - Może tylko u jajogłowych - powiedział Morgan - a u nich i tak już dawniej podpadł... Co słysząc u pana?
- - Nic specjalnego. Siedzę w biurze i czekam, żeby mi wpadło do kieszeni parę dolców..
- Nie to miałem na myśli.
- Cieszę się dobrym zdrowiem. Niech pan przestanie mnie straszyć. Gdyby Lennox żył, mógłby pójść do Springera i napluć mu w twarz.,
- Zrobił to pan za niego. I Springer już się w tym teraz orientuje. Mają sto sposobów, żeby ugotować faceta, który im się nie podoba. Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego pan się tym zajął. Lennox nie był znów aż taką klasą.
- A cóż to ma za znaczenie w tej sprawie?
- . Przez chwilę milczał. Potem powiedział: - Przepraszam, to była głupia odzywka. Powodzenia. Na tym skończyliśmy rozmowę. Gdzieś około drugiej po południu odezwała się Linda Loring. - Niech pan nie operuje żadnymi nazwiskami - powiedziała - właśnie przyleciałam z Północy. Ktoś tam

- wścieka się z powodu tego, co ukazało się wczoraj wieczorem w „Journalu”. Mój, niedługo, eks-mąż dostał prosto między oczy. Biedaczysko płakał, kiedy odjeżdżałam. Kazano mu zgłosić się celem złożenia wyjaśnień.
- Co to znaczy niedługo eks-mąż?
- Niech pan nie udaje głuptasa. Tym razem ojciec pochwała moją decyzję. Paryż jest świetnym miejscem do otrzymania cichego rozwodu. Wkrótce więc tam się udam. I jeśli ma pan choć trochę rozsądku, to mógłby pan uszczknąć nieco z tego oryginalnego portretu, który mi pan kiedyś pokazał, i też wybrać się w jakąś dłuższą podróż.
- A co to ma wspólnego ze mną?
- To już drugie głupie pytanie, które mi pan zadaje. Nikogo nie nabierze pan poza sobą. Wie pan, jak się poluje na tygrysy?
- Skąd bym miał to wiedzieć?
- Przywiązują kozę do palika, a myśliwi chowają się do kryjówki. Los kozy jest nie do pozazdroszczenia. Lubię pana. Nie mam pojęcia dlaczego, ale lubię pana. Myśl, że miałby pan stać się kozą, nie daje mi spokoju. Tyle włożył pan wysiłku i starań, by postąpić słusznie... w pańskim przekonaniu.
- Miło mi, że właśnie od pani to słyszę - odparłem. - Jeśli nadstawiam głowy, a ktoś mi ją utnie, to w końcu jednak to moja głowa.
- Niech pan nie będzie takim idiotycznym bohaterem - rzuciła ostro. - Dlatego tylko, że ktoś, kogo znaleźliśmy, zgodził się poświęcić siebie, ma pan iść w jego ślady.
- Zapraszam panią na drinka, o ile tylko zdążymy przed pani wyjazdem.
- Chętnie wypiję go z panem w Paryżu. Paryż jest cudowny jesienią.
- I na to też miałbym ochotę. Mówią, że jest jeszcze piękniejszy na wiosnę. Trudno mi powiedzieć, czy tak jest, bo nigdy tam nie trafiłem.
-
- Jeśli będzie się pan tak zachowywał jak teraz, to nigdy pan tam nie trafi.
- Do widzenia, Lindo. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.
- Do widzenia - odparła chłodno. - Zawszę znajduję to, czego szukam. Ale kiedy znajduję, to już więcej tego nie pragnę.
- Odwiesiła słuchawkę. Pozostała część dnia była pusta. Zjadłem kolację i zostawiłem Oldsa w warsztacie samochodowym czynnym całą dobę, żeby sprawdzili hamulce. Do domu wróciłem taksówką. Jak zwykle, na mojej ulicy nie było żywej duszy. W drewnianej skrzynce na pocztę znalazłem darmowy kupon na mydło. Zacząłem powoli wchodzić schodami pod górę. Noc była ciepła, lekko mglista. Nie było najmniejszego powiewu. Przekręciłem klucz w zamku, lekko uchyliłem drzwi i - zatrzymałem się. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk i było całkiem

ciemno. Miałem jednak uczucie, że w pokoju ktoś się znajduje, Może doszło mnie lekkie skrzypięcie sprężyny fotela czy też zauważyłem białą plamę marynarki gdzieś w głębi. Może w taką ciepłą, cichą noc w pokoju było zimniej niż na zewnątrz. Może wreszcie w powietrzu unosił się zapach jakiegoś człowieka. A może byłem przewrażliwiony. Zszedłem z ganku na ziemię i spojrzałem ponad krzakami w stronę okna. Nic - cisza. Nie zapaliło się światło i nie usłyszałem żadnego ruchu. Pod lewym ramieniem miałem policyjny rewolwer 38. Wyciągnąłem go - ale niewiele mi to dało. Dalej było cicho. Doszedłem do wniosku, że to wszystko moja imaginacja. Już miałem z powrotem wejść na ganek, gdy zza zakrętu wyjechał jakiś wóz i prawie bezszelestnie stanął przy schodach. Była to duża, czarna maszyna, przypominająca Cadillaka. Mogła, należeć do Lindy Loring, ale jakoś nikt nie otwierał drzwi, a szyby po mojej stronie były podniesione. Przylepiony do krzaków czekałem i nasłuchiwałem, ale nic się nie działo. Ciemny samochód stał bez ruchu z wygaszonym motorem. Po chwili został włączony czerwony reflektor z przodu wozu. Jego światło padło parę metrów od rogu domu. Wielki wóz cofnął się wolno do tyłu, by reflektor mógł objąć cały budynek. Policjanci nie używają Cadillaków. Takimi wozami jeżdżą różne ważne osoby - burmistrzowie i komisarze policji, może prokuratorzy okręgowi. A także zamożne rzezimieszki. Reflektor zaczął szperać. Wyciągnąłem się płasko na ziemi, ale i tak mnie szybko odnalazł i trzymał w kręgu światła. Dalej jednak nic się nie działo - nikt nie wysiadał z wozu, a dom pozostawał ciemny i milczący. Nagle zaczęła cicho wyc syrena - trwało to sekundę czy dwie - i zamilkła. Na ten sygnał w domu zapaliły się światła i jakiś człowiek w białej, wieczorowej marynarce wyszedł na schody i zaczął przyglądać się krzakom rosnącym pod oknami.

- - Wejść do środka, tandeciarzu - odezwał się Menendez. - Masz gości.
- Mógłbym zastrzelić go bez trudu. Ale cofnął się już za próg - i okazja minęła. W tym momencie w wozie została opuszczona szyba i z pistoletu maszynowego oddano serię, parę metrów obok mnie.
- - Wejść, tandeciarzu - powtórzył Menendez z progu. - Nie masz przecież dokąd pójść.
- Podniosłem się więc i ruszyłem, a reflektor cały czas mi towarzyszył. Schowałem rewolwer, wspiąłem się na ganek, wszedłem do środka i stanąłem tuż przy drzwiach. W pokoju pod drugą ścianą na fotelu siedział jakiś mężczyzna ze skrzyżowanymi nogami; na udzie miał położony bokiem rewolwer. Robił wrażenie twardego, fizycznie sprawnego faceta, sądząc z koloru jego skóry, musiał żyć w południowym klimacie. Jego ciemnobrązowa, gabardynowa wiatrówka była rozpięta prawie do pasa. Patrzył na mnie bez najmniejszego wyrazu - jego oczy w ogóle się nie poruszały. Był tak kamienny, jak gładka ściana w świetle księżyca.

Rozdział czterdziesty ósmy

Patrzyłem na niego zbyt długo. Coś mignęło mi z boku i poczułem przeszywający ból w barku. Całe ramię aż po czubki palców miałem bezwładne. Obróciłem się i zauważyłem wielkiego, wąsatego Meksykanina, o paskudnej twarzy. Właśnie opuścił rękę z bronią. Przyglądał mi się uważnie, bez cienia uśmiechu. Masę czarnych, tłustych włosów miał zaczesaną z czoła aż na sam kark. Sombrero zsunął na tył głowy; dwa skórzane paski pękniętej

podpinki zwisały mu na zapoconą, pozszywaną koszulę. Nie ma nic twardszego nad twardego Meksykanina, tak jak nie ma | nic łagodniejszego nad łagodnego Meksykanina i nic bardziej uczciwego nad uczciwego Meksykanina, ani - i może przede wszystkim - nic smutniejszego nad smutnego Meksykanina. Ten niewątpliwie należał do pierwszej kategorii. Twardzi Meksykanie - to klasa sama w sobie. Roztarłem ramię. Trochę jakby wracało do życia, ale ciągle jeszcze bolało i było zdrętwiałe. Gdybym spróbował wydobyć rewolwer, to najprawdopodobniej wypadłby mi ' z ręki. Menendez wyciągnął rękę w kierunku Meksykani-na. Ten, nie patrząc w jego kierunku, rzucił mu bronie Menendez ją schwyciła stanął przede mną. - Gdzie chciałbyś dostać, tandeciarzu? - Oczy mu latały, a twarz błyszczała od potu. Patrzyłem na niego bez słowa. Cóż można odpowiedzieć na takie pytanie. - Zadałem ci pytanie, tandeciarzu.

- Zwilżyłem wargi językiem i sam strzeliłem pytaniem: - A co się stało z Agostino? Wydawało mi się, że to twoja obstawa.
- Chick zrobił się za miękki.
- Zawsze był miękki, tak jak jego szef.
- Człowiek na fotelu zamrugął oczyma. O mały włos byłby się uśmiechnął. Meksykanin, który sparaliżował mi ramię, nie drgnął nawet; nie odezwał się też ani jednym słowem. Czulem jednak jego obecność. Nosem.
- Ktoś trącił cię w ramię, tandeciarzu?
- Przewróciłem się o enchiladę.
- Niedbale, prawie na mnie nie patrząc, Menendez rąbnął mnie w twarz lufą rewolweru.
- - Nie sil się na dowcipy, tandeciarzu. Nie pora na to. Otrzymałeś ostrzeżenie - i to grzeczne. Skoro już zadałem sobie tyle trudu, by przyjść osobiście i powiedzieć ci, żebyś się nie mieszał do nie swoich spraw - to znaczy, że miałeś się nie mieszać. A jeśli nie usłuchałeś - to znaczy, że sam wybrałeś sobie drogę do parku sztywnych.
- Czulem, jak krew ścieka mi po twarzy. Rozbity policzek zaczął mi narywać. Po chwili rozboleła mnie cała głowa. Cios, który otrzymałem, nie był silny, ale to, czym go zadano, było dostatecznie twarde. Nadal jednak mogłem mówić; nikt nie starał się mnie powstrzymać.
- Jak to, Mendy, teraz bijesz już osobiście? Sądziłem, że czarna robota jest dla takich typów jak ci, którzy pobili Wielkiego Willie'ego Magoona.

- To kwestia ambicji - odparł. - Miałem osobistą powody, by udzielić ci ostrzeżenia. A Magoon to normalka. Zaczęło mu się wydawać, że może bezkarnie mną pomiatać - mną, który kupował mu ubrania, samochody, dbał o jego konto bankowe i spłacał raty za jego dom. Te cwaniaki z Wydziału do Walki z Prostyucją są wszyscy podobni do siebie. Płaciłem nawet chesne za jego syna w szkole. Można by sądzić, że sukinsyn będzie się czuł w jakimś stopniu zobowiązany. A jak postąpił? Przyszedł do mnie do biura i nałożył mi po pysku w obecności mojej sekretarki.
- Ale dlaczego? - spytałem, mając cichą nadzieję, że i skieruję jego złość na kogoś innego.
- Ano dlatego, że jakiś dziany facet powiedział, iż używamy do gry spreparowanych kości. Chodziło w gruncie rzeczy o pewną dziewczynę, z którą sypiał, a którą kazałem usunąć z klubu. Dostała zresztą całą sumę, z którą j siadła do gry.
- Rozumiem - odparłem. - Magoon powinien był wiedzieć, że żaden zawodowy szuler nie prowadzi nieuczciwej gry. To mu niepotrzebne. Ale co ja ci zawiniłem?
- Uderzył mnie jeszcze raz - wolno, z rozmysłem. ~ Zrobiłeś ze mnie durnia. W mojej branży nie mówi się niczego gościowi dwa razy. Nawet najtwardszej sztuce. Musi robić to, co mu się każe, bo inaczej traci się kontrolę nad sytuacją. A jak się traci kontrolę, to człowiek przestaje j się liczyć.
- - Mam wrażenie, że chodzi tu jednak o coś więcej - powiedziałem. - Pozwolisz, że sięgnę po chusteczkę do nosa.
- Kiedy ją wyciągnąłem i zacząłem wycierać krew z twarzy, Menendez trzymał wycelowany we mnie rewolwer. ~ Tylko tani cwaniak - powiedział wolno - myśli, że Mendy Menendeza można wystrychnąć na dudka, że można go ośmieszyć - mnie, Menendeza. Powiniennem załatwić cię nożem, tandeciarzu. I pociąć na kawałki jak surowe! mięso.
- - Lennox był twoim przyjacielem - przerwałem mu, obserwując wyraz jego twarzy. - Został zabity. Pochowali go jak psa, nawet nie było nazwiska na jego grobie. No, a ja w jakimś stopniu przyczyniłem się do tego, by wykazać jego niewinność. Czy dlatego uważasz, że zrobiłem z ciebie durnia? Uratował ci życie, ale stracił własne. To było jednak bez żadnego znaczenia dla ciebie. Jedyne rzecz, która cię interesuje, to zgrywanie się na wielkiego ważniaka. Poza tobą nikt cię w najmniejszym stopniu nie obchodzi. Nie masz w sobie nic... robisz po prostu dużo hałasu.
- Twarz mu stężała; odgiął ramię do tyłu, by uderzyć mnie po raz trzeci - tym razem z całym rozmachem. Zanim zdążył to uczynić, zrobiłem pół kroku do przodu i kopnąłem go w żołądek. Działąłem bez najmniejszego namysłu, całkowicie spontanicznie. Nie zastanawiałem się, jakie mam szanse - i czy je w ogóle mam. Miałem po prostu dość jego gadaniny, wszystko mnie bolało, krwawiłem i chyba byłem już trochę zamroczony. Zgiął się wpół, chrapliwie łapiąc powietrze - i wypuścił z ręki rewolwer. Starał się go podnieść, wydając jednocześnie z gardła jakieś dziwne jęki. Rąbnąłem go w twarz kolaniem. Zaczął rzezić. Człowiek z fotela wstał, trzymając rewolwer w ręku - i zaśmiał się. To mną wstrząsnęło.
- - Niech go pan nie zabija - powiedział całkowicie wypranym z uczucia głosem. - Chcemy

go użyć jako żywej przynęty.

- W tym momencie w ciemnym przedpokoju rozległ się jakiś hałas i do pokoju wkroczył spokojnie Ohls. Twarz miał pozbawioną wyrazu. Spojrzał na klęczącego Menendeza, który oparł głowę o podłogę.
- Miękki facet - rzucił. - Miękki jak wata.
- Nie jest miękki - odparłem. - Otrzymał ciężkie uderzenie. Może się to przytrafić każdemu mężczyźnie. Czy Wielki Willie Magoon był miękki?
- Ohls spojrział na mnie. To samo zrobił człowiek z fotela. Twardy Meksykanin stał nadal przy drzwiach bez najmniejszego ruchu.
- - Wyjmij z ust tego przeklętego papierosa – warknąłem na Ohlsa. - Albo go zapal, albo wyrzuc. Nie można na
- ciebie patrzeć. Mam cię w ogóle dość. I dość wszystkich glin. To go zaskoczyło. Po czym się uśmiechnął.
- - Zastawiliśmy pułapkę, chłopcze - powiedział pogodnie. - Bardzo cię skrzywdzili? Ten wstrętny człowiek uderzył cię w buzię? No, jeśli mam powiedzieć, co myślę, to dawno ci się już to należało. Taka nauczka dobrze ci zrobi.
- - Popatrzył na Menendeza, który podciągnął kolana i sto - j pniowo się podnosił, ciężko przy tym sapiąc.
- Cóż to za gadatliwy facet - mówił dalej Ohls i pode - i rwał go na nogi. Menendez, który krwawił, wyjął chusteczkę z białej, wieczorowej marynarki i przyłożył do nosa. Nie I odzywał się słowem.
- Nabrali cię, kochasiu. Tak się znów strasznie Magoonem nie przejmuję. Można było oczekiwać, że coś takiego go spotka. Ale Magoon jest gliną i takim mętym jak ty nie I wolno tykać glin - nigdy i pod żadnym pozorem.
- Menendez opuścił rękę i popatrzył na Ohlsa, potem na mnie, a wreszcie na człowieka w fotelu. Następnie obrócił! się i zerknął na Meksykanina przy drzwiach. Wszyscy mu się przypatrywali. Nagle błysnął nóż i Menendez rzucił się na Ohlsa. Ten odsunął się na bok, jedną ręką chwycił! napastnika za gardło, a drugą - prawie że niedbałymi ruchem - wybił mu nóż z dłoni. Menendez runął na podłogę. Ohls rozstawił nogi, schylił się i podniósł go za kark do góry. Przeprowadził następnie przez pokój, trzepnął o ścianę i - upuścił na podłogę.
- - Dotknij mnie choćby małym palcem, a zabiję cię. Słyszysz?

- Mendy uśmiechnął się z pogardą, popatrzył na swoją chusteczkę, złożył ją w taki sposób, by nie było widać śladów krwi, i ponownie przyłożył do nosa. Rzucił okiem na rewolwer, którym mnie uderzył. Człowiek z fotela powiedział spokojnym głosem: - Nawet gdyby ci się udało go schwycić, to nic to ci nie da, bo nie jest naładowany.
- Jaka znów pułapka? - zwrócił się nagle Mendy do Ohlsa. - Teraz dotarło do mnie to, co pan powiedział.
- Zamówiłeś sobie trzech rzezimieszków - odparł Ohls. - Otrzymałeś natomiast trzech zastępców szeryfa z Nevady. Komuś w Vegas nie spodobało się, że zapomniałeś się w tej sprawie z nim porozumieć. Ten ktoś chciałby z tobą porozmawiać. Masz do wyboru: albo pojedziesz z zastępcami, albo zabiorę cię z sobą do nas i zawieszę skutego kajdankami na drzwiach. Paru chłopców chciałoby ci się przyrzec z bliska.
- Niech Bóg ma w opiece Nevadę - mruknął cicho Mendy, patrząc na twardego Meksykanina stojącego przy drzwiach, i ruszył do drzwi. Meksykanin poszedł za nim. Drugi facet, ten o wyglądzie człowieka z pustyni, podniósł rewolwer i nóż i też wyszedł. Ohls czekał bez ruchu. Słychać było trzask zamykanych drzwiczek i po chwili wóz ruszył.
- Jesteś pewny, że te typy są zastępcami? - spytałem Ohlsa.
- Obrócił się, jakby zdumiony, że mnie widzi. - Mają gwiazdy - odparł krótko.
- - Świetnie, Bernie. Wspaniale. Myślisz, że Mendy dojedzie żywy do Vegas, ty sukinsynie bez serca?
- Poszedłem do łazienki, namoczyłem ręcznik w zimnej wodzie i przyłożyłem do twarzy. Przypatrzyłem się sobie w lustrze. Napuchnięty policzek nabrał niebieskawego koloru i narywał. W paru miejscach miałem szarpane rany od uderzenia lufą rewolweru. Pod lewym okiem zaczął mi się tworzyć krwawy wylew. Wyglądało na to, że przez parę dni nie będę wyglądał zbyt atrakcyjnie. W lustrze pojawiła się sylwetka Ohlsa. Obracał między wargami swego przekłętego papierosa; wyglądał jak, kot, który zachęca półżywą mysz, żeby jeszcze raz spróbowała, czy nie uda jej się uciec.
- - Następnym razem nie staraj się przechytrzać glin - powiedział twardo. - Myślałeś, że pozwoliliśmy ci ukraść te fotokopie dla kawału? Spodziewaliśmy się, że Mendy będzie chciał się za ciebie zabrać. Przycisnęliśmy więc Starra. Powiedzieliśmy mu, że choć nie jesteśmy w stanie zakazać hazardu, to jednak możemy mu tak utrudnić życie, że mu znacznie spadną dochody. Żadnemu opryszkowi w naszym okręgu nie może ująć na sucho pobicie policjanta, nawet tak marnego jak Magoon. Starr przekonał nas, że nie miał z tym nic wspólnego; jego ludzie byli wściekli i miało to zostać przekazane Menendezowi. No, więc kiedy Mendy zwrócił się do nich, by przysłali mu paru chłopców, nie znanych w naszych stronach, celem załatwienia ciebie, Starr wysłał mu - swym wozem i na własny koszt - trzech ustawionych przez siebie facetów. Starr pełni funkcje komisarza policji w Vegas.
- Obróciłem się i popatrzyłem na Ohlsa. - Dziś wieczorem szakale na pustyni będą miały co jeść. Gratuluję ci. Praca w policji jest wspaniała, idealistyczna i umoralniająca, Bernie. Jedyna kiepska sprawa - to same gliny.
- - Strasznie mi przykro, bohaterze - warknął w nagłym

- przypląwie wściekłości. - Tylko z trudem powstrzymałem się od śmiechu, kiedy wmaszerowałeś, by we własnym living-roomie dostać lanie. Pierwszorzędny numer. To brudna sprawa i musiała być w brudny sposób załatwiona. Kiedy się chce, żeby takie typy coś powiedziały, trzeba im dać poczucie władzy. Nie zrobili ci w końcu wielkiej: krzywdy, ale musieliśmy im pozwolić, żeby cię trochę poturbowali.
- - Przykro mi - odparłem. - Bardzo mi przykro, że musiałeś się tak wycierpieć.
- Twarz miał ściągniętą i złą. ~ Nienawidzę szulerów - rzucił ostrym głosem. - Nienawidzę ich tak samo, jak handlarzy narkotykami. To, czym się zajmują, jest tak samo groźną chorobą, jak narkomania. Myślisz, że te pałace w Reno i Vegas służą nieszkodliwej zabawie? Akurat. Przeznaczone są dla małych ludzi, takich naiwniaków, co to chcieliby dostać coś za nic. Zjawiają się z tygodniową wypłatą w kieszeni i przegrywają pieniądze przeznaczone na domowe wydatki. Bogaci gracze tracą czterdzieści tysięcy, obracają to w żart i - przyjeżdżają ponownie. Ale te naprawdę duże pieniądze nie pochodzą od bogaczy, lecz od tych, co grają po dziesięć, dwadzieścia pięć centów czy pół dolara, a od czasu do czasu za dolara czy nawet pięć. Ich gotówka płynie jak woda z kranu w twojej łazience - taki nieustający potok. Ktokolwiek chce rąbnąć szulera - ma moje najlepsze życzenia. Po prostu sprawia mi to satysfakcję. Przyjmując pieniądze od domów gry i nazywając to podatkami władze stanowe po prostu pomagają kierującym nimi gangom. Fryzjer i dziewczyna z salonu kosmetycznego stawiają po dwa dolary. Z tego właśnie żyje syndykat, z tego ciągnie podstawowe zyski. Ludzie chcą, żeby policja była uczciwa, tak? Po co? Żeby ochraniała bogatych ludzi, dla których hazard jest formą rozrywki? Mamy w tym stanie wyścigi końskie, które trwają okrągły rok. Działają całkowicie zgodnie z prawem; władze stanowe dostają swoją dolę. Ale na każdego dolara wydanego na bilet przypada pięćdziesiąt postawionych u bukmacherów. W programie jest osiem czy dziewięć biegów, ale w połowie z nich dzieją się różne cuda, których nikt nie zauważa. Wystarczy, by ktoś komuś coś szepnął i już jakiś kant jest załatwiony. Dżokej może wygrać tylko w jeden sposób, a przegrać w dwadzieścia. Można postawić kontrolera co dwieście metrów, ale i tak niewiele to pomoże, jeśli dżokej zna się na rzeczy. To jest legalny hazard, przyjacielu, czysty, uczciwy interes, aprobowany' przez władze stanowe. A więc wszystko w porządku, co? Dla mnie nie. Bo to hazard, a hazard rodzi hazardzistów. A kiedy się zastanowić nad tym wszystkim, to jest tylko jeden rodzaj hazardu - szkodliwy.
- - Pomogło ci? - spytałem go, zalewając sobie rany białą jodyną. - Jestem starym, wysłużonym gliną. Wiem tylko, że wściekłość mnie ogarnia, kiedy na to patrzę. Obróciłem się i spojrzałem na niego. - Jesteś doskonałym gliną, Bernie, ale jednocześnie wszystko ci się pokręciło w głowie. W pewnym sensie wszystkie gliny są takie same. Upatrują winy nie tam, gdzie trzeba. Jeśli facet przegrywa w kości zarobione pieniądze, to należy zabronić hazardu. Jeśli się upija - to zabronić sprzedaży alkoholu. Jeśli zabije kogoś w wypadku samochodowym - to zakazać produkcji samochodów. Jeśli zostaje złapany z dziewczyną w pokoju hotelowym - to zabronić stosunków seksualnych. Jeśli spadnie ze schodów - to przestać budować domy.
- Zamknij się, do jasnej cholery!
- Oczywiście, mam milczeć. Jestem po prostu prywatnym obywatelem. Przestań się

wyglupiać, Bernie. Nie dlatego istnieją u nas gangi, syndykaty zbrodni i specjaliści od mokrej roboty, ponieważ mamy nieuczciwych polityków, a ci posiadają swych ludzi we władzach miejskich i legislaturze. Zbrodnia nie jest chorobą, lecz symptomem. Gliny są jak lekarz, który daje pacjentowi aspirynę na raka mózgu, z tym że raczej woleliby leczyć go pałką. Jesteśmy dużym, nieokrzesanym narodem, a zbrodnia jest ceną, którą za to płacimy. Zorganizowana zbrodnia zaś jest ceną, którą płacimy za organizacje. Będzie istniała jeszcze długo. Zorganizowana zbrodnia - to brudna strona zarobionego bez skrupułów dolara.

- A jak wygląda czysta strona? - spytał Ohls.
- Nigdy jej nie widziałem. Być może Harlan Potter mógłby ci coś na ten temat powiedzieć. Napijmy się.
- Byłeś dobry, kiedy wszedłeś przez te drzwi - powie? dział.
-
- Byłeś jeszcze lepszy, kiedy Menendez rzucił się na ciebie z nożem - odparłem.
- Łapa - rzucił i wyciągnął rękę.
- Napiliśmy się i Ohls ruszył w kierunku tylnych drzwi, przez które włamał się poprzedniej nocy, by zorientować się w układzie mieszkania. Są one łatwe, jeśli otwierają się na zewnątrz i jeżeli drewno zdążyło się już wysuszyć i skurczyć. Wybija się bolce z zawiasów, a reszta jest prosta. Ohls pokazał mi ślad swej roboty na drzewie i ruszył przez pagórek w stronę wozu, który zostawił na sąsiedniej ulicy. Mógłby z równym powodzeniem dostać się przez drzwi frontowe, ale wymagałoby to złamania zamka. Nie można tego zrobić bez pozostawienia łatwo dostrzegalnych śladów. Patrzyłem, jak idzie wśród drzew, przyświecając sobie latarką, by wreszcie zniknąć za wzniesieniem. Zamknąłem drzwi, zrobiłem sobie jeszcze jednego, niezbyt mocnego drinka, wróciłem do living-roomu i usiadłem. Spojrzałem na zegarek. Było całkiem wcześnie. Wydawało mi się jednak, że upłynęło bardzo dużo czasu od momentu, kiedy znalazłem się w domu. Podeszedłem do telefonu i nakręciłem numer Loringów. Lokaj spytał mnie o nazwisko i odszedł, by zobaczyć, czy pani Loring jest w domu. Była.
- Rzeczywiście użyto mnie jako kozy - powiedziałem. - Ale tygrysa złapali żywcem. Jestem trochę pokiereszowany.
- Musi mi pan o tym opowiedzieć przy okazji. - W jej głosie wyczuwało się taki dystans, jakby już była w Paryżu.
- Mógłbym to zrobić przy drinku, jeśli ma pani czas.
- Jeszcze dziś wieczorem? Och, przygotowuję się do wyjazdu i pakuję rzeczy. Obawiam się, że nasze spotkanie nie będzie możliwe.
-

- Rozumiem. Pomyślałem, że może będzie pani miała ochotę dowiedzieć się, co się zdarzyło. Jestem pani wdzięczny za to, że mnie pani ostrzegła. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z pani starym.
- Jest pan pewien?
- Absolutnie.
- Chwileczkę. - Nie było jej przez jakiś czas, po czym wróciła i powiedziała już cieplejszym tonem: - No, może udałoby mi się wygospodarować trochę czasu na drinka. Gdzie byśmy się spotkali?
- Gdzie ma pani ochotę. Nie mam dziś wozu, ale mogę wziąć taksówkę.
- - To bez sensu. Przyjadę po pana, ale dopiero za jakąś godzinę. Jaki jest pański adres?
- Powiedziałem jej. Skończyliśmy rozmowę. Zapaliłem światło na ganku i stanąłem w otwartych drzwiach, wdychając nocne powietrze. Zrobiło się znacznie chłodniej. Po jakimś czasie wróciłem do domu i spróbowałem dodzwonić się do Lonnie'ego Morgana. Nie było go. A później, sam nie wiem dlaczego, zadzwoniłem do Randy Starra w „Terrapin Club” w Las Vegas. Nie spodziewałem się, że osobiście podejmie telefon, ale tak się stało. Mówił spokojnym, opanowanym głosem człowieka interesów.
- - Miło mi, że pan do mnie zadzwonił. Każdy przyjaciel Terry'ego jest moim przyjacielem. Czym mogę panu służyć?
- Mendy jest w drodze.
- W drodze dokąd?
- - Do Vegas, z trzema opryszkami, których pan wysłał po niego w wielkim, czarnym Cadillaku z czerwonym, reflektorem i syreną. To pewnie pański wóz?
- Zaśmiał się. - W Vegas, jak napisał pewien dziennikarz, używamy Cadillaców jako przyczep. O co właściwie chodzi? - Mendy zasadził się w moim domu z paroma twardymi chłopcami. Mówiąc delikatnie, miał zamiar dać mi dobre lanie, za pewien kawałek, który się ukazał w gazecie z mojej - jak sądził - winy.
- A czy rzeczywiście tak było?
- Nie jestem właścicielem żadnej gazety, proszę pana.
- A ja nie mam na składzie żadnych twardych chłopców rozjeżdżających się Cadillacami.
- To może byli to zastępcy szeryfa?
- Trudno mi na to odpowiedzieć. Co więcej?
- Uderzył mnie parę razy rewolwerem. Kopnąłem go w żołądek i potrąciłem kolanem w nos. Wydawał się być z tego niezadowolony. Mam jednak nadzieję, że dojedzie do Vegas żywy.

- Jestem pewien, że tak będzie, jeśli wyruszył w tym kierunku. Obawiam się, że będę musiał zakończyć naszą rozmowę.
- Chwileczkę, Starr. Czy brał pan udział w tej zabawie w Otatoclan, czy też Mendy sam się tym zajmował?
- Niech pan to powtórzy.
- Niech pan nie udaje. Mendy nie był zły na mnie z powodu, który podał, w każdym razie nie na tyle, by zasadzić się w moim własnym domu i potraktować mnie tak, jak potraktował Wielkiego Willie'ego Magoona. Nie było po temu dostatecznej przyczyny. Owszem, ostrzegł mnie, bym pilnował swego nosa i nie zajmował się sprawą Lennox. Zrobiłem inaczej, bo tak się sprawy potoczyły. No, a on postąpił... jak postąpił. Ale naprawdę, to przyczyna musiała być inna.
- Rozumiem - odparł wolno Starr, ciągle spokojnym głosem. - Pan przypuszcza, że ze śmiercią Terry'ego było coś nie tak? Że nie sam się zastrzelił, lecz zrobił to ktoś inny?
- Myślę, że pewne szczegóły mogą to zagadnienie wyjaśnić. Jego przyznanie się do winy okazało się nieprawdziwe. Napisał do mnie list, który został wysłany pocztą.
-
- Kelner bądź boy miał go wynieść ukradkiem i wrzucić do skrzynki. Terry siedział w pokoju hotelowym i nie mógł wyjść na zewnątrz. Do listu był załączony banknot o wysokim nominale. List zakończył zaś w momencie, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Chciałbym wiedzieć, kto to był?
- Dlaczego?
- Bo jeśli to był boy albo kelner, to Terry napisałby jeszcze parę słów. A gdyby to był glina, to list nie zostałby wysłany pocztą. Więc kto to był - i dlaczego Terry ten list napisał?
- - Nie mam pojęcia. Nie mam najmniejszego pojęcia.
- Przepraszam, że zawracam panu głowę.
- To drobnostka, miło mi, że pan się odezwał. Spytałem Mendy'ego, czy nie ma czegoś do powiedzenia na ten temat.
- - Właśnie, o ile oczywiście zobaczy go pan jeszcze żywego. A jeśli nie, to niech pan i tak spróbuje się zorientować w tej sprawie. Zanim to zrobi ktoś inny.

- Pan? - Głos mu stwardniał, ale ciągle mówił spokojnie.
 - Nie, nie ja. Ktoś, kto mógłby pana wykurzyć z Vegas przy pomocy paru słów. Niech mi pań wierzy. Naprawdę, niech mi pan wierzy. W tym nie ma żadnej blagi.
 - Będę się widział z Mendym. O to niech się pan nie martwi.
- - Spodziewałem się, że ta sprawa jest panu dobrze

Rozdział czterdziesty dziewiąty

- Kiedy wóz stanął przed domem, wyszedłem na zewnątrz, ale zatrzymałem się na szczycie schodów, bo Amos już trzymał otwarte drzwiczki. Po czym ruszył za nią znana. Dobranoc panu.
- schodami na górę, niosąc niewielki neseser. Czekałem spokojnie. Gdy znalazła się na górze, odezwała się do Amosa: - Pan Marlowe odwiezie mnie do hotelu. Bardzo ci dziękuję za pomoc. Zadzwoń do ciebie rano.
- Tak jest, proszę pani. Czy mogę zadać panu Marlowe'owi pytanie?
- Naturalnie.
- Postawił neseser w hallu, a ona minęła nas i weszła do środka.
- -„Starzeję się... starzeję... Niedługo mankiety u spodni podwinę”. Co to znaczy, proszę pana? - Absolutnie nic. To po prostu brzmi dobrze. Uśmiechnął się. - To jest z „Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka”. Albo to: „W salonie, gdzie kobiet przechadza się wiele, rozmowa o Michale Aniele”. Czy panu coś to mówi, sir?
- Owszem - że ten facet niewiele wiedział o kobietach.
- Mam identyczne odczucie, sir. Mimo to ogromnie cenię, T.S. Eliota.
- Czy powiedziałeś „mimo to”?
- Tak jest, proszę pana. Czy to nieprawidłowo?
- Nie, ale nie wyraż się tak w obecności jakiegoś milionera. Mógłby pomyśleć, że się z niego nabijasz.
- Uśmiechnął się smętnie. - Nie przyszłoby mi to nawet do głowy. Czy pan miał wypadek, sir?

- Nie. To było zaplanowane. Dobranoc, adios.
 - Dobranoc, sir.
-
- Zawrócił do wozu, a ja wszedłem z powrotem do domu. Linda Loring stała na środku living-roomu, rozglądając się dokoła.
 - - Amos jest absolwentem Uniwersytetu w Howard - powiedziała. - Nie mieszka pan w szczególnie bezpiecznym miejscu, jak na człowieka, który obcuje z niebezpieczeństwem na co dzień.
-
- Nie ma bezpiecznych miejsc.
 - Mój Boże, a co z tą biedną pańską twarzą? Kto pana tak urządził?
-
- - Mandy Menendez.
-
- A co pan mu zrobił?
 - Nic specjalnego. Dałem mu mocnego kopniaka. Dostał się w pułapkę. W tej chwili jedzie do Nevady w towarzystwie paru twardych zastępców tamtejszego szeryfa.. Nie ma co się nim zajmować.
-
- Usiadła na kanapie.
 - - Czego by się pani napiła? - spytałem. Podsunąłem jej pudełko z papierosami. Powiedziała, że nie ma ochoty palić i że napije się czegokolwiek.
 - - Może szampana? - zaproponowałem. - Nie mam wiaderka z lodem, ale jest zimny. Przechowywałem go przez parę lat. Dwie butelki. Cordon Rouge. To zdaje się dobry gatunek. Ale ja się na tym nie znam.
 - - Przechowywał pan, po co?
 - - Dla pani. Uśmiechnęła się, nadal wpatrując się w moją twarz. - Jest pan cały pokaleczony. - Dotknęła lekko palcami mego i policzka.- Przechowywał go pan dla mnie? To nie brzmi j zbyt prawdopodobnie. Poznaliśmy się przecież zaledwie j parę miesięcy temu.
-
- No, to może przechowywałem go na nasze spotkanie.) Przyniosę go. - Wziąłem jej neseser i ruszyłem przez pokój.
 - A gdzież pan z tym idzie? - spytała ostro. - Niech go pan zostawi i wróci tu.

- Zrobiłem tak, jak chciała. Miała rozjaśnione a jednocześnie senne oczy.
- - To coś nowego - powiedziała powoli. - Coś zupełnie nowego.
- W jakim sensie?
- Nigdy nie dotknął mnie pan nawet palcem. Żadnego podrywania, żadnych dwuznacznych uwag, pchania się
-
- z łapami - nic. Wydawało mi się, że jest pan twardy, sarkastyczny, sprytny i zimny.
- Chyba jestem... czasami.
- A teraz, kiedy znajduję się tutaj, ma pan zamiar - po wypiciu odpowiedniej ilości szampana - rzucić mnie na łóżko. Czy mam rację?
- Prawdę mówiąc - odparłem - coś takiego chodzi mi po głowie.
- Czuję się pochlebiona, ale przypuśćmy, że nie mam na to ochoty? Podoba mi się pan. Nawet bardzo. Ale z tego jeszcze nie wynika, że chcę iść z panem do łóżka. Czy pan przypadkiem nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków z faktu, że przywiozłam ze sobą neseser?
- Być może, pomyliłem się - odrzekłem. Wziąłem neseser \ postawiłem go przy drzwiach. - Pójdę po szampan.
- Nie chciałam urazić pańskich uczuć. Może pan ma ochotę zachować szampana na jakąś bardziej uroczystą okazję.
- To przecież tylko dwie butelki - odparłem. - Naprawdę uroczysta okazja wymagałaby dwunastu.
- A, rozumiem - powiedziała, nagle zła. - Ja mam spełniać rolę zastępczyni, dopóki nie pojawi się ktoś piękniejszy i bardziej atrakcyjny. Bardzo panu dziękuję. Tym razem dotknął mnie pan, ale dobrze jest wiedzieć, że jestem tu bezpieczna. Jeśli pan myśli, że butelka szampana zrobi ze mnie puszczalską, to mogę pana zapewnić, iż bardzo się pan myli.
- Już się przyznałem do pomyłki.
- To, że powiedziałam panu, że mam zamiar rozwieść się z moim mężem, i że Amos przywiózł mnie tu z neseserem, nie oznacza, że jestem od razu do wzięcia.
- Do diabła z tym neseserem! Niech go szlag trafi! Jeśli pani jeszcze raz o nim wspomni, to zrzucę go ze schodów. Poprosiłem panią na drinka. Idę teraz do kuchni, by go przynieść. To wszystko. Nie miałem najmniejszego zamiaru, by panią upić. Nie chce pani pójść ze mną do łóżka. Świetnie to rozumiem. Nie ma powodu, by miała pani chcieć. Ale możemy chyba wypić parę kieliszków szampana, co? I nie musi to zmienić się w spór, kto ma być uwiedziony, kiedy, gdzie i po jakiej ilości szampana.

- Nie musi się pan tak zaraz irytować - odrzekła, rumieniąc się.
- To jeszcze jedna zagrywka. Znam ich z pięćdziesiąt i żadna mi się nie podoba. Są wszystkie fałszywe i szyte, że tak powiem, grubymi nićmi.

- Wstała i podeszła do mnie blisko; czubkami palców delikatnie dotknęła poranionych i spuchniętych miejsc mej twarzy. - Przepraszam. Jestem zmęczoną i niezadowoloną z życia kobietą. Niech pan będzie wyrozumiały dla mnie. Nikomu nie mogę się podobać.
- - Nie jest pani zmęczona ani nie jest pani bardziej niezadowolona z życia niż większość ludzi. Wszystko wskazuje na to, że powinna pani być płytką, zepsutą, amoralną podfruwajką, jaką była pani siostra. Ale jakimś cudem tak nie jest. Ma pani w sobie uczciwość i wiele z siły charakteru, typowej dla pani rodziny. Nie potrzebuje pani wyrozumiałości od nikogo.
- Obróciłem się i ruszyłem przez hall do kuchni. Wyjąłem szampana z lodówki, odkorkowałem, szybko nalałem dwa kieliszki i jeden z nich wychyliłem. Napełniłem go ponownie i oba kieliszki razem z butelką zabrałem na tacy do living-roomu. Nie zastałem jej. Nie było też neseseru. Postawiłem tacę i wyrząłem przez drzwi wejściowe. Nie słyszałem, żeby były otwierane, a poza tym nie miała przecież wozu. Zresztą nie słyszałem w ogóle żadnego hałasu. Niespodziewanie odezwała się za moimi plecami: - Głuptasie, czy pan myślał, że uciekłam? Zamknąłem drzwi i obróciłem się w jej stronę. Rozpuściła włosy; miała na sobie jedwabną suknię w kolorze

- zachodzącego słońca, w japoński wzór. Podeszła do mnie wolno, z nieoczekiwane nieśmiałym uśmiechem. Podałem jej kieliszek. Wzięła go, popiła i oddała mi z powrotem.

- Bardzo dobry - powiedziała. Po czym bardzo spokojnie i bez cienia afektacji zbliżyła się do mnie, pocałowała w usta i rozchyliła wargi. Poczulem jej język. Po dłuższej chwili odgięła głowę do tyłu, ale ciągle trzymała mnie ramionami za szyję. Jej oczy błyszczały.
- Cały czas pragnęłam tego - powiedziała. - Sama nie wiem, dlaczego tak się poprzednio zachowywałam. Może po prostu nerwy. W gruncie rzeczy nie jestem w najmniejszym stopniu kobietą swobodnych obyczajów. Czy to źle?
- Gdybym myślał, że jest inaczej, tobym spróbował poderwać cię za pierwszym razem, kiedy poznaliśmy się u „Wiktora”.

- Pokiwała wolno głową i uśmiechnęła się. - Nie sędzę. I właśnie dlatego jestem tutaj.

- No, być może, nie wtedy - odparłem. - Tamten wieczór był poświęcony czemu innemu.
- Myślę, że w ogóle nie podrywasz kobiet w barach.
- Nie za często. Oświetlenie jest kiepskie.

- Ale przecież bardzo dużo kobiet chodzi do baru tylko po to, by je poderwano.
- Bardzo dużo kobiet już rano wstaje z tym samym pragnieniem.
- Alkohol jednak, jak powiadają, pobudza popęd płciowy.
- Lekarze go zalecają.

- - Kto tu mówi o lekarzach? Chcę się napić szampana. Zacząłem ją całować. Było to miłe, przyjemne zajęcie.

- Chcę cię pocałować w policzek - oświadczyła. Nie stawiałem przeszkód. - Jest rozpalony.
- Ale cała reszta jest zimna.
- Co to, to nie. Chcę szampana.
- Dlaczego?

- Wywietrzeje, jak go nie będziemy pili. Poza tym lubię ten smak.
- Dobrze.

- ~ Czy mnie bardzo kochasz? A może mnie pokochasz, jeśli pójdę z tobą do łóżka?

- Niewykluczone.
- Wiesz przecież, że nie musisz iść ze mną do łóżka. Nie mam w tym względzie żadnych kategoriycznych żądań.

- ~ Jestem ci wdzięczny. ~ Chcę się napić szampana.

- Ile masz pieniędzy?
- Wszystkich razem? Skąd mam to wiedzieć? Pewnie około ośmiu milionów dolarów.
- Myślę, że pójdę z tobą do łóżka.
- Jesteś sprzedajny.
- Za tego szampana musiałem przecież zapłacić.
- Do diabła z szampanem.

-

Rozdział pięćdziesiąty

Godzinę później wyciągnęła gołe ramię, połaskotała; mnie w ucho i spytała: - Czy nie chciałbyś się ze mną ożenić?

- To by nie trwało sześciu miesięcy.
- No, powiedzmy, że by nie trwało. Ale i tyle mogłoby być dobre. Czego oczekujesz od życia ~ pełnego zabezpieczenia przed każdym ryzykiem?
- 'Mam czterdzieści dwa lata. Jestem zepsuty przez niezależność. Ty jesteś trochę zepsuta ~ no, na szczęście nie tak bardzo - przez pieniądze.

- ~ Ja mam trzydzieści sześć. To, że się posiada pieniądze, nie przynosi wstydu, tak samo jak i wżenie się w pieniądze. Większość z tych, którzy je mają, nie zasługuje na nie i nie wie, co z nimi robić. Ale ten stan rzeczy nie będzie trwał długo. Przyjdzie następna wojna, a jak się skończy, nikt nie będzie miał pieniędzy - poza oszustami i kombinatorami. Wszyscy pozostali zostaną tak opodatkowani, że nic im nie zostanie. Pogładziłem ją i nawinałem sobie pasemko jej włosów na palec. - Niewykluczone, że masz rację.

- Moglibyśmy polecieć do Paryża, tam byłoby nam cudownie. - Uniosła się na łokciu i spojrzała na mnie. W oczach miała błysk, ale nie byłem w stanie odczytać wyrazu jej twarzy. - Czy masz jakieś zastrzeżenia co do małżeństwa? - spytała.
- Dla dwojga ludzi na sto jest to cudowna sprawa. Reszta pcha po prostu wózek do przodu. Po dwudziestu latach facetowi zostaje tylko warsztat w garażu. Amerykańskie dziewczęta są wspaniałe, ale amerykańskie żony za bardzo się rozprzestrzeniają. Poza tym...
- Daj mi szampana.
- Poza tym - ciągnąłem - dla ciebie byłby to po prostu incydent. Tylko pierwszy rozwód jest ciężkim przeżyciem. Później staje się to jedynie problemem ekonomicznym. Przestaje być przeżyciem emocjonalnym. Za dziesięć lat przechodząc ulicą mogłabyś się zastanawiać, skąd, u licha, mnie znasz. O ile w ogóle byś mnie zauważyła.
- Ależ z ciebie samowystarczalny, zadufany i zadowolony z siebie sukinsyn, całkowicie nieprzystępny. Chcę szampana.
- W ten sposób będziesz mnie pamiętała.
- Jesteś również zarozumiała. I to jak. Trochę w tej chwili poobijany. Myślisz, że będę cię pamiętała? Że niezależnie od tego, za ilu mężczyzn wyjdę za mąż czy z iloma będę spała, będę cię pamiętała? Niby dlaczego?
- Wycofuję się. Przeszarżowałem. Przyniosę ci szampana.
-

- Ależ jesteśmy mili i rozsądni! - zauważyła sarkastycznie. - Jestem bogatą kobietą, kochanie, i będę jeszcze dużo, dużo bogatszą. Mogłabym ci kupić cały świat, gdybyś był tego wart. Bo cóż masz teraz? Pusty dom, nawet bez psa czy kota, małe, duszne biuro, w którym siedzisz i czekasz. Nawet gdybym się z tobą rozeszła, nie zgodziłabym się, byś miał do tego wrócić.
- Jak byś mnie powstrzymała? Ja nie jestem Terrym Lennoxem.
- No, dobrze. Nie mówmy o nim. Ani o tym złotym soplu lodu - żonie Wade'a. Ani o jej biednym, rozpitym i zagubionym mężu. Chcesz być jedynym mężczyzną, który powiedział mi: „nie”. Cóż to za rodzaj dumy? Powiedziałam ci największy komplement, na jaki mnie stać. Poprosiłam cię, byś się ze mną ożenił.
- - Uczyniłaś mi jeszcze większy komplement. Zaczęła płakać. - Ty głupcze, ty beznadziejny głupcze! - Miała mokre policzki. Czuję jej łzy. - Przypuśćmy, że to by trwało sześć miesięcy albo rok czy dwa. Co byś na tym I stracił poza kurzem w twoim biurze i samotnością twego w końcu pustego życia?
- Czy masz jeszcze ochotę na szampana?
- Owszem.
- Przytuliłem ją mocniej, by mogła się wyplakać na moim ramieniu. Nie była we mnie zakochana, o czym wiedzieliśmy obydwój. Nie płakała z mojego powodu. Nadszedł po prostu moment, kiedy musiała uronić parę łez. Po chwili uspokoiła się, wstała i poszła do łazienki, by doprowadzić twarz do porządku. Przyniosłem szampana. Kiedy wróciła, była już uśmiechnięta.
- - Przepraszam cię za to moje mazgajstwo - powiedziała. - Za sześć miesięcy nie będę pamiętała nawet twojego nazwiska. Weźmy szampana do living-roomu. Tam jest widniej.
- Usiadła na kanapie tak, jak poprzednio. Postawiłem przed nią szampana. Patrzyła na kieliszek, ale go nie dotykała.
- Pozwolisz, że ci się przedstawię, a później wypijemy - zaproponowałem.
- Tak, jak przedtem?
- Już nigdy tak nie będzie.
- Uniosła kieliszek, trochę upiła, obróciła się i chlusnęła mi resztą w twarz. Potem znów się

rozpłakała. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem twarz najpierw sobie, a później jej.

- - Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam - oświadczyła. - Ale na litość Boską nie mów tylko, że kobieta nigdy nie wie, dlaczego coś robi.
- Nalałem jej szampana i zacząłem się śmiać. Wypiła go powoli, obróciła się i wyciągnęła na moich kolanach.
- - Jestem zmęczona - stwierdziła. - Tym razem będziesz musiał mnie zanieść.
- Po jakimś czasie usnęła. Rano, kiedy wstałem, żeby zrobić kawy, ciągle jeszcze spała. Wziąłem prysznic ogoliłem się i ubrałem. W tym momencie otworzyła oczy. Śniadanie zjedliśmy razem. Zamówiłem taksówkę i zaniósłem na dół jej neseser. Powiedzieliśmy sobie do widzenia. Patrzyłem, jak odjeżdżała. Wszedłem do domu i zasłałem łóżko. Na jednej z poduszek znalazłem długi ciemny włos. Czułem się tak, jakbym miał w żołądku ołowianą kulę. Francuzi mają na to określenie. Te sukinsyny mają na wszystko określenie, i to doskonale oddające istotę rzeczy. Żegnać się, to tak, jakby trochę umierać.

•

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Sewell Endicott oświadczył, że będzie pracował do późna i że bym wobec tego wpadł do niego do biura około wpół do ósmej wieczorem. Urzędował w narożnym pokoju, w którym znajdował się wielki niebieski dywan, biurko z czerwonego mahoniu z rzeźbionymi rogami, bardzo stare i na pewno niezmiernie cenne, oszklone szafy biblioteczne z prawniczymi książkami w musztardowych oprawkach, karykatury słynnych angielskich sędziów, wykonane przez Spya, oraz duży portret sędziego Olivera Wendella Holmesa, wiszący samotnie na południowej ścianie. Fotel Endicotta był obity czarną skórą. Obok niego znajdowało się biureczko z żaluzjowym zamknięciem. Był to pokój, którego nie udało się spaskudzić żadnemu dekoratorowi wewnątrz. Endicott siedział w koszuli i wyglądał na zmęczonego, ale już taka była jego powierzchowność. Palił jednego ze swych pozbawionych smaku papierosów. Popiół spadł mu na rozluźniony krawat. Czarne miękkie włosy miał w całkowitym nieładzie. Usiadłem, a on przypatrywał mi się w milczeniu. Wreszcie powiedział: - Pan jest najbardziej upartym sukinsynem, jakiego udało mi się spotkać. I niech pan mi nie mówi, że pan ciągle grzebie się w tych brudach. - Jest pewna sprawa, która mnie trochę niepokoi. Czy można obecnie przyjąć, że kiedy mnie pan odwiedził w kiciu, to reprezentował pan Harlana Pottera? Skinął głową. Delikatnie dotknąłem twarzy czubkami palców. Wszystko już się zagoiło i opuchlizna zniknęła, ale jedno z uderzeń musiało mi uszkodzić nerw. W części policzka ciągle nie miałem czucia. Bezustannie go dotykałem. Wiedziałem jednak, że za jakiś czas mi to minie. - I że kiedy pan poleciał do Otatoclan, to został pan

- upoważniony do występowania jako przedstawiciel Prokuratury Okręgowej?

- Tak, ale niech mnie pan nie przyciska. To było dla mnie ważne zlecenie. Być może, przykładałem do niego zbyt wielką wagę.
- Mam nadzieję, że nie utracił pan klienta?
- Kiwnął głową. - Owszem. To skończone. Pan Potter załatwia swoje sprawy prawne przez firmy w San Francisco, Nowym Jorku i Waszyngtonie.
- - Przypuszczam, że musi mnie nie znosić, jeśli w ogóle nad tą sprawą rozmyśla.
- Endicott uśmiechnął się. - Niech pan sobie wyobrazi, że całą winą obarcza swego zięcia, doktora Loringa. Taki człowiek jak Potter musi zawsze kogoś obarczać winą. W żadnym wypadku nie może sam popełnić błędu. Uważa, że gdyby Loring nie faszerował tej kobiety niebezpiecznymi lekami, to żadna z tych rzeczy by się nie zdarzyła.
- Nie ma racji. Pan widział ciało Terry'ego Lennox w Otatoclan, prawda?
- Naturalnie. Na zapleczu zakładu meblarskiego. Nie mają tam kostnicy. W tym samym zakładzie zrobiono zresztą dla niego trumnę. Ciało było zimne jak lód. Miał ranę w skroni. Nie miałem żadnych zastrzeżeń co do jego tożsamości, o ile chodzi panu o tę stronę zagadnienia.
- Nie, proszę pana. Nie mam żadnych wątpliwości w tej sprawie, bo w jego wypadku taka możliwość po prostu nie wchodzi w rachubę. Ale był nieco ucharakteryzowany, prawda?
- Twarz i ręce miał ciemnobrązowe, a włosy pofarbowane na czarno. Blizny na twarzy były jednak bardzo wyraźne. A odciski palców sprawdzono bez trudu, porównując je z tymi, które znajdowały się na jego rzeczach w domu.
- Jakiego rodzaju policję mają w tamtych stronach?
- Prymitywną. Jefe umiał zaledwie czytać i pisać. Ale wiedział, co to są odciski palców. Było gorąco. Bardzo gorąco. - Zmarszczył się, wyjął z ust papierosa i wrzucił go niedbale do ogromnego naczynia z czarnego bazaltu. - Musieli przynieść lód z hotelu - dodał. - Masę lodu. - Popatrzył znów na mnie. - Tam nie ma balsamiarzy. Trzeba wszystko szybko załatwiać.
- Czy pan mówi po hiszpańsku?
- Znam parę słów. Recepcjonista hotelowy służył za tłumacza. - Uśmiechnął się. - Taki dobrze ubrany cwaniak. Wyglądał na twardego, ale był grzeczny i pomocny. Wszystko zostało załatwione bardzo szybko.
- Otrzymałem list od Terry'ego. Przypuszczam, że pan Potter wie o nim. Powiedziałem o nim jego córce, pani Loring. Pokazałem jej zresztą ten list. Był w nim portret Madisonsa.

- Co takiego?
- Banknot opiewający na pięć tysięcy dolarów. Uniósł brwi. - Coś podobnego! No, niewątpliwie stać go,
- było na to. Żona dała mu ciepłą rączką dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, kiedy się pobrali po raz drugi. Wydaje i mi się, że i tak miał zamiar pojechać do Meksyku. Nie j wiem, co

się stało z tymi pieniędzmi. Nie zostałem o tym poinformowany.

- - A oto list Terry'ego, jeśli ma pan ochotę się z nim zapoznać.
- Przeczytał go starannie, tak jak robią to wszyscy prawnicy. Położył na biurku i poprawił się w fotelu.

- Trochę to literackie, co? - zauważył. - Zastanawiam się, dlaczego to uczynił?

- Co uczynił: popełnił samobójstwo, przyznał się do winy czy napisał ten list?

- - Przyznał się i zabił, naturalnie - odparł ostro Endicott. - List jest zrozumiały. Przynajmniej otrzymał pan przyzwoitą rekompensatę za to, co pan zrobił dla niego wtedy - no, i później.

- ~ Nie daje mi spokoju ta skrzynka pocztowa - powiedziałem. - Ten fragment, gdzie mówi, że na ulicy pod jego oknem znajduje się skrzynka, a kelner z hotelu ma przed wrzuceniem podnieść list do góry tak, by Terry mógł się przekonać, że zostaje wysłany. Oczy Endicotta jakby zmatowiały. - Dlaczego? - spytał obojętnym głosem. Z kwadratowego pudełka wyjął papierosa z filtrem. Podałem mu ogień.

- W takiej miejscowości jak Otatoclan nie mogło być skrzynki na listy - odparłem.
- Tak pan myśli?
- Z początku mnie to nie uderzyło. A później zasięgnąłem informacji o tej miejscowości, To prawie wieś. Nie ma tam więcej niż tysiąc czy tysiąc dwieście mieszkańców. Jedna ulica, częściowo wybrukowana. Miejscowy jefe ma Forda model A, który jest jego służbowym wozem. Urząd pocztowy znajduje się w kącie większego sklepu. Jest jeszcze urząd gminny, hotel, parę gospód i małe lotnisko. W okolicznych górach znajdują się tereny myśliwskie - bardzo rozległe. Dlatego właśnie zrobiono lotnisko. Jest to jedyny rozsądny sposób, w jaki można się do Otatoclan dostać.
- Niech pan mówi dalej. O tych terenach myśliwskich wiem.
- No, więc skrzynki na listy na ulicy można się tam spodziewać z równym powodzeniem jak toru wyścigowego, pola golfowego czy parku z kolorową fontanną i podium dla orkiestry.
- To znaczy, że się pomylił - rzucił zimno Endicott. - Może to było coś, co wyglądało jak skrzynka na listy, na przykład pojemnik na śmieci.

- Wstałem. Wziąłem list, złożyłem go i schowałem z powrotem do kieszeni.

- - Pojemnik na śmieci - powiedziałem. - O, właśnie. Pomalowany na meksykańskie kolory - zielony, biały,
- czerwony, z dużym, drukowanym napisem: DBAJCIE O CZYSTOŚĆ NASZEGO MIASTA. Naturalnie po hiszpańsku. A wokoło niego siedem wychudzonych psów.
- Niech pan nie będzie taki dowcipny.
- Przykro mi, jeśli zbyt wyraźnie demonstruję swoją inteligencję. Jest jeszcze jeden drobiazg, o którym już mówiłem z Randym Starrem. Jak to się stało, że list został w ogóle wysłany? Terry napisał, że metoda jego wyekspediowania została uprzednio uzgodniona. Więc ktoś musiał mu powiedzieć o tej skrzynce pocztowej. To znaczy nakłamać. A później - mimo wszystko - list z pięcioma tysiącami został do mnie przez kogoś wysłany. Intrygujące, nie sądzi pan?
- Wydmuchiwał dym i patrzył, jak się rozchodzi w powietrzu.
- - Do jakiego wniosku pan dochodzi i dlaczego zwrócił się pan z tym do Starra?
- Starr i pewien łobuz o nazwisku Menendez, którego już wśród nas nie ma, byli przyjaciółmi Terry'ego w Armii Brytyjskiej. Są to w pewnym sensie - a właściwie w każdym prawie sensie - ciemne typy, ale nie pozbawione poczucia dumy i tego, co się z tym łączy. Wyreżyserowano całą tę historię na miejscu dla zatarcia śladów, z przyczyn całkiem oczywistych. Coś podobnego miało miejsce w Otatoclan - ale z zupełnie innego powodu.
- Do jakich dochodzi pan wniosków? - spytał mnie powtórnie, znacznie ostrzejszym tonem.
- - A pan?
- Nie odpowiedział. Podziękowałem mu za czas, który mi poświęcił - i wyszedłem. Kiedy otwierałem drzwi, siedział zamyślony; robił wrażenie, jakby rzeczywiście zastanawiał się nad tą zagadką. A może próbował przypomnieć sobie, co znajdowało się na zewnątrz hotelu i czy była tam skrzynka na listy? Stanowił jeszcze jedno koło, które chciałem puścić w ruch - i tyle. Obracało się zresztą przez dobry miesiąc, nim się coś wydarzyło. Rano - a był to piątek - zastałem w biurze jakiegoś nieznanego mężczyznę, sprawiającego wrażenie Meksykanina bądź kogoś z Ameryki Południowej. Siedział przy otwartym oknie, paląc brązowego, mocno pachnącego papierosa. Był wysoki, szczupły i bardzo elegancki. Miał starannie przystrzyżone ciemne wąsy i także włosy, które nosił nieco dłuższe, niż jest to u nas w zwyczaju; jego beżowy, doskonale skrojony garnitur był zrobiony z jakiegoś rzadko tkanego materiału. Przypatrywał mi się zza zielonych okularów słonecznych. Wstał bardzo grzecznie i powiedział: - Senor Marlowe?

- - Czym mogę panu służyć?
 - Wręczył mi złożoną kartkę. UN AVISO DE PARTE DEL SENOR STARR EN LAS VEGAS, SENOR. HABLA UD ESPAGNOL?
 - - Owszem, ale nie za szybko. Wolałbym rozmawiać po angielsku.
 - - To mówmy po angielsku. Dla mnie jest to bez różnicy. Przeczytałem kartkę. „Doręczyciel niniejszego nazywa się Cisco Maioranos i jest moim przyjacielem. Sądzę, że się panu przyda S. - Wejdźmy do środka, señor Maioranos.
- Trzymałem otwarte drzwi. Kiedy mnie mijał, poczułem zapach perfum. Brwi miał też niezwykle starannie wypielęgnowane. Prawdopodobnie nie był jednak tak delikatnym człowiekiem, na jakiego wyglądał, ponieważ na obydwu policzkach widniały szramy od noża.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Usiadł w krześle dla klientów i skrzyżował nogi. - Mówiono mi, że pan chciałby uzyskać informacje na temat señora Lennox.

- Tylko na temat ostatniej odsłony w tej sprawie.
- Byłem tam wtedy, señor. Pracowałem w miejscowym hotelu. - Wzruszył ramionami. - Było to nieważne i naturalnie czasowo tylko zajmowane przeze mnie stanowisko. Zostałem zatrudniony jako dzienny recepcjonista. - Mówił doskonale po angielsku, ale z hiszpańską intonacją. Hiszpański, to znaczy język amerykański w hiszpańskim wydaniu, ma kadencję nie związaną dla naszego ucha z treścią tego, co się mówi. Podobne jest to trochę do ruchu oceanicznej fali - wznoszącej się i opadającej.
- Pan nie wygląda na recepcjonistę - powiedziałem.
- Człowiek miewa trudności.
- Kto miał ten list do mnie?
- Wyciągnął paczkę papierosów. - Może pan spróbuje? Zaprzeczyłem ruchem głowy. - Za mocne dla mnie. Lubię kolumbijskie papierosy, ale kubańskie - to morderstwo. Uśmiechnął się lekko, zapalił papierosa, zaciągnął się i wydmuchał dym. Facet był takim przeklętym elegancikiem, że zaczął mnie irytować.

- Wiem o tym liście. Mozo bał się pójść do pokoju tego seftora Lennox, kiedy guarda - jak wy mówicie, glina - został tam postawiony. Sam więc wziąłem list na correo. już po strzale, oczywiście.
- Powinien był pan zajrzeć do środka. Znajdował się w nim pojedynczy banknot opiewający na bardzo dużą sumę.
- - List był zalepiony - odparł zimno. - El honor no sei meuve de lado como les congrejos, señor. To znaczy: honor nie porusza się w bok jak krab.
- Proszę mi wybaczyć. Niech pan mówi dalej.
- Kiedy wszedłem do pokoju, señor Lennox miał w lewym ręku banknot stupensowy, a w prawym pistolet. Ten list leżał przed nim na stole. Był tam jeszcze jakiś papier, którego nie przeczytałem. Odmówiłem przyjęcia banknotu.
- Zbyt dużo pieniędzy - powiedziałem, ale nie zareagował na ten sarkazm.
- Nalegał, więc w końcu wziąłem ten banknot i dałem go później mozo. List schowałem pod serwetką na tacy z kawą, którą przyniosłem uprzednio. Guarda ostro na mnie popatrzył, jak wychodziłem, ale nic nie powiedział. Byłem w połowie schodów, kiedy usłyszałem strzał. Szybko schowałem list i pobiegłem na górę. Guarda próbował wywalić nogą drzwi. Otworzyłem je moim kluczem. Señor Lennox nie żył.
- Końcami palców delikatnie pociągnął po kancie biurka i westchnął. - Resztę na pewno pan już zna.
- Czy w hotelu było dużo gości?
- Nie. Tylko parę osób.
- Amerykanów?
- Dwóch Americanos del norte. Myśliwych.
- Prawdziwych gringos czy mieszkających w Stanach Meksykanów?
- Pociągnął czubkiem palca po nogawce spodni nad kolaniem. - Myślę, że jeden z nich mógł być hiszpańskiego pochodzenia. Mówił pogranicznym dialektem. Bardzo nie-eleganckim.
- - Czy ci Amerykanie kręcili się koło pokoju Lennox? Gwałtownie uniósł głowę. - A dlaczegóż mieliby się tam
- kręcić, señor? Kiwnąłem głową. - To ogromnie uprzejmie z pańskiej strony, señor Maioranos, że pan mnie odwiedził i opowiedział o tym wszystkim. Zechce pan powiedzieć Randy'emu, że jestem mu ogromnie wdzięczny, dobrze?

- No hay que, señor. To drobiazg.
 - A później, jeśli znajdzie na to czas, to niech mi przyśle] kogoś, kto naprawdę coś o tym wie.
 - Señor? - Jego głos był miękki, lecz lodowaty. - Pan I podaje moje słowa w wątpliwość?
 - Wy zawsze dużo gadacie o honorze. Honor to czasami przebranie złodzieja. Niech pan tylko nie wpada we 1 wściekłość. Proszę siedzieć spokojnie, a ja panu opowiem 1 tę historyjkę w inny sposób.
-
- Rozsiadł się wygodnie, ze złośliwym wyrazem twarzy.
 - - Zgaduję tylko. Mogę się mylić. Ale również dobrze mogę mieć rację. Tych dwóch Amerykanów wybrało się do Otatoclan w określonym celu. Przylecieli samolotem. Udawali, że są myśliwymi. Jeden z nich, o nazwisku Menendez, był szulerem. Niewykluczone, że zarejestrował się w hotelu pod innym nazwiskiem. Tego nie wiem. Lennox orientował się, że tam są. I wiedział, w jakim celu. Napisał do mnie ten list, bo miał nieczyste sumienie. Wystawił mnie do wiatru, ale był zbyt sympatycznym człowiekiem, by nie miało go to gnębić. Włożył banknot - pięć tysięcy dolarów - do listu, ponieważ miał bardzo dużo pieniędzy i wiedział, że ja nie mam ich w nadmiarze. W liście umieścił też pewną drobną wskazówkę z nadzieją, że może zwrócę na nią uwagę. Był tego rodzaju człowiekiem, co to chce dobrze, ale zawsze jakoś mu nie wychodzi. Powiada pan, że zabrał pan ten list na correo. Dlaczego nie wrzucił go pan do skrzynki naprzeciw hotelu?
-
- Skrzynki, señor?
 - Skrzynki na listy. - Cajon cartero - zdaje się, że tak to nazywacie?
-
- Uśmiechnął się. - Otatoclan to nie Mexico City, señor. To bardzo prymitywna miejscowość. Skrzynka na listy w Otatoclan? Nikt by tam nie wiedział, do czego ma służyć.
-
- - No, mniejsza z tym. Nie przynosił pan żadnej kawy na tacy seniorowi Lennoxowi. I w ogóle nie wchodził pan do jego pokoju. Ale w tym pokoju znaleźli się ci dwaj Americanos. Głina pilnujący pokoju został przekupiony. Tak samo, jak paru innych ludzi. Jeden z Amerykanów ogłuszył Lennox od tyłu. Wziął jego mauzera, wyjął pocisk z jednego z naboí i wsadził nabój do lufy. Przystawił pistolet Lennoxowi do skroni i pociągnął za spust. Rana wyglądała paskudnie, ale Lennox nie został zabity. Wyniesiono go na noszach, starannie zakrytego. A kiedy przyjechał amerykański prawnik, Lennox został najpierw głęboko uśpiony, a następnie obłożony lodem i położony w ciemnym kącie carpinteria, gdzie właściciel zakładu

już przygotowywał trumnę. Tam obejrzał go amerykański prawnik i stwierdził, że ma krwawą szerniałą ranę na skroni i że jest zimny jak lód. Znajdował się oczywiście w głębokim letargu i na pewno wyglądał na martwego. Następnego dnia trumna, do której włożono kamienie, została spuszczone do grobu. Amerykański prawnik odleciał do domu z odciskami palców i dokumentem, który był absolutną lipą. Co pan o tym sądzi, señor Maioranos?

- Wzruszył ramionami. - Coś takiego mogłoby się wydarzyć, señor. Trzeba by jednak mieć do tego dużo pieniędzy i wpływy. Byłoby to możliwe, gdyby ten señor Menendez był blisko spokrewniony z ważnymi ludźmi w Otatoclan - alkaadem, właścicielem hotelu i tak dalej.
- - Całkiem możliwe. To by wyjaśniało, dlaczego wybrali taką zabita deskami dziurę jak Otatoclan.
- Przez twarz przeleciał mu uśmiech. - To może señor Lennox nadal żyje, co?
- - Na pewno. Samobójstwo musiało być tak wyreżyserowane, aby w szczegółach było zgodne z przyznaniem się do winy. Należało wszystko przeprowadzić na tyle zgrabnie, by nabrał się na to prawnik, który sprawował kiedyś urząd prokuratora okręgowego. Gdyby ta sprawa się wydała, to urzędujący obecnie prokurator okręgowy wyszedłby na zupełnie nieprawdopodobnego durnia. Ten Menendez nie jest taki twardy, jak mu się wydaje, ale był dostatecznie dziarski, by grzotnąć mnie parę razy pistoletem w twarz za to, że zajmowałem się nie swoimi sprawami. Musiała być po temu jakaś poważna przyczyna. Otóż gdyby ta mistyfikacja wyszła na jaw, to znalazłby się w centrum międzynarodowego skandalu. Meksykanie nie lubią - tak samo jak my - kiedy policja zamieszana jest w brudne sprawy.
- - Wszystko to możliwe, señor; dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Pan mi jednak zarzucił kłamstwo. Powiedział pan, że nie poszedłem do pokoju, w którym znajdował się señor Lennox, i nie wziąłem listu.
- - Już tam byłeś, przyjacielu, i ty właśnie go napisałeś. Zdjął ciemne okulary słoneczne. Nikt nie jest w stanie na dobre zmienić człowiekowi koloru oczu.
- - Myślę, że jest jeszcze za wcześnie na gimleta - powiedział.
-

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Wspaniale go zoperowali w Mexico City. Nie było w tym nic dziwnego. Ich doktorzy, technicy, szpitale, malarze, architekci są tak samo dobrzy, jak nasi. A czasami nawet trochę lepsi. Nie mogli całkowicie poprawić twarzy Ter-ry'emu, ale zrobili wszystko, co było można. Przefasonowali mu nawet nos - wyjęli jakąś kość, co spowodowało, że był teraz bardziej płaski, mniej nordycki. Nie mogli usunąć wszystkich blizn, więc dodali mu parę po drugiej stronie twarzy. W krajach latynoskich blizny od noża nie są rzadkością.

- Nawet przeszczepili mi tutaj nerw - powiedział, dotykając martwej uprzednio części twarzy.
- Na ile moja rekonstrukcja wydarzeń odpowiada faktom?
- W większości jest prawdziwa. Parę szczegółów przedstawiało się inaczej, ale są one mało istotne. Wszystko odbywało się bardzo szybko i trzeba było niektóre rzeczy improwizować, tak że sam nie wiedziałem, co nastąpi dalej. Powiedziano mi, jak mam się zachowywać, żeby

zostawić za sobą wyraźny ślad. Mendy'emu się nie podobało, że chciałem do ciebie napisać, ale się uparłem. Trochę cię nie doceniał. Nie zwrócił na przykład uwagi na ten fragment ze skrzynką na listy.

- Wiedziałaś, kto zabił Sylwię?
- Nie odpowiedział mi wprost. - To bardzo trudna sprawa oddać kobietę w ręce policji, kiedy w grę wchodzi morderstwo, nawet jeśli ta kobieta nigdy dla człowieka wiele nie znaczyła.
- - Żyjemy w twardym świecie. Czy Harlan Potter orientował się w tym wszystkim?
- Uśmiechnął się ponownie. - Myślisz, że komukolwiek by o tym powiedział? Przypuszczam, że nie wiedział. Myśli zapewne, że nie żyję.
- O ile ty nie wyprowadziłeś go z błędu, to nikt inny tego nie mógł zrobić. No, ode mnie nie dowiedział się zbyt wiele. Co porabia Mendy, przyjmując, że w jego przypadku można zastosować czas teraźniejszy?
- Wszystko w porządku. Jest w Acapulco. Dał tam nurka ze względu na Randy'ego. Chłopcy z zasady są przeciwni ostrej obróbce glin. Mendy nie jest taki zły, jak sądzisz. Ma ludzkie odruchy.
- Szczególnie, kiedy trzyma pistolet w ręku.
- No, więc co będzie z tym gimletem?
- Nie odezwałem się; wstałem i podszedłem do sejfu. Wyciągnąłem kopertę z portretem Madisonsa oraz pięć
- pachnących kawą studolarówek i położyłem to wszystko na biurku. Wziąłem do ręki setki.
- - Tę forszę zatrzymuję. Tyle wyniosły moje koszty. A portretem Madisonsa bawiłem się z przyjemnością - powie
- działem. - Teraz znów wraca do ciebie.
- Rozpostarłem go przed nim na biurku. Patrzył na banknot, ale nie wziął go do ręki.
- Jest twój na zawsze - odparł. - Ja mam dużo pieniędzy. Mogłeś tej całej sprawy nie ruszać.
- Wiem. Gdyby się nie wykryło, że Eileen zabiła męża, to mogłaby się zająć jeszcze zabawniejszymi rzeczami. Roger oczywiście nie odgrywał żadnego znaczenia. Po prostu zwykła istota ludzka, posiadająca serce i uczucia. On też wiedział, co się naprawdę zdarzyło, i ogromnie walczył ze sobą, by utrzymać to w tajemnicy. Pisał książki. Być może słyszałeś o nich?
- Słuchaj, nie miałem wyboru - powiedział wolno. - Nie chciałem, by komukolwiek

przydarzyło się coś złego. Gdybym został tu, nie miałbym najmniejszej szansy. Człowiek nie jest w stanie w tak krótkim czasie wszystkiego przemyśleć. Byłem przerażony i - uciekłem. Jak uważasz, co, powinienem był zrobić?

- Nie wiem.
 - Eileen była nienormalna. Mogłaby go i tak zabić.
 - Niewykluczone.
 - No, rozchmurz się trochę. Chodźmy na drinka do jakiegoś chłodnego, cichego baru.
 - Nie mam w tej chwili czasu, señor Maioranos.
 - Byliśmy kiedyś dobrymi przyjaciółmi - powiedział smętnym głosem.
 - Niewiele z tego pamiętam. Wydaje mi się, że w grę wchodziło dwóch innych facetów.
- Zostaniesz na stałe w Meksyku?
- Naturalnie. Tutaj nie jestem legalnie. I nigdy nie byłem. Bowiem urodziłem się w Montrealu, a nie w Salt
 -
-
- Lakę City, jak ci kiedyś powiedziałem. Niedługo zresztą otrzymam obywatelstwo meksykańskie. Wymaga to jedynie dobrego prawnika. Zawsze lubiłem Meksyk. Moglibyśmy się bez zbytecznego ryzyka wybrać do „Wiktora” na tego gimleta.
-
- Niech pan zabierze swój banknot, señor Maioranos. Za dużo jest na nim krwi.
 - Ty przecież nie masz pieniędzy.
 - Skąd możesz to wiedzieć?
-
- Wziął banknot, rozpostarł go swymi wysmukłymi palcami i schował niedbale do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przygryzł wargę bardzo białymi zębami - takie teraz robiły wrażenie, w zestawieniu z jego ciemną skórą.
-
- Nie mogłem ci powiedzieć niczego więcej tego ranka, kiedy mnie zawiozłeś do Ti Juana. Sam ci przecież zaproponowałem, byś mnie oddał w ręce policji.
 - Nie myśl, że jestem zły na ciebie. Ty po prostu jesteś tego rodzaju facetem. Przez długi czas nie byłem w stanie cię rozszyfrować. Miałeś przyjemny sposób bycia i sympatyczne cechy, ale coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało. Miałeś zasady i starałeś się postępować zgodnie z nimi, ale były to zasady na twój prywatny użytek. Nie były związane z jakąkolwiek etyką - nie było w nich miejsca na skrupuły. Byłeś sympatyczny, ponieważ masz sympatyczne usposobienie. Ale czułeś się tak samo dobrze w towarzystwie ciemnych typów i kryminalistów, co i uczciwych ludzi. Pod warunkiem, że ci kryminaliści umieli posługiwać się przyzwoitą angielszczyzną i mieli odpowiednie maniery. Jesteś moralnym defetystą. Czasami myślę, że stałeś się taki dzięki wojnie, a czasami, że byłeś już-taki od urodzenia.
 - Nie rozumiem tego - powiedział. - Naprawdę tego nie rozumiem. Próbuję ci się

zrewanżować, a ty mi nie pozwalasz. Nie mogłem ci wtedy powiedzieć nic więcej. Nie przyjąłbyś tego do wiadomości.

-
- To chyba najprzyjemniejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziano.
- Cieszę się, że coś ci się we mnie podoba. Popadłem w okropne tarapaty. Znałem jednak ludzi, którzy wiedzą, jak sobie dawać radę z tego rodzaju kłopotami. Stali się i moimi dłużnikami w związku z pewnym wydarzeniem, które miało miejsce dawno temu - w czasie wojny. Był to j prawdopodobnie jedyny wypadek w moim życiu, kiedy bez j chwili wahania postąpiłem tak, jak trzeba. A kiedy ich j potrzebowałem, to natychmiast przyszli mi z pomocą. Za, darmo. Ty nie jesteś jedynym facetem na świecie, Marlowe, którego nie można kupić.
- Nachylił się nad biurkiem i wziął jednego z moich papierosów. Pod opalenizną na twarzy pojawiły mu się ceglaste plamy, dzięki czemu widać teraz było wyraźniej j szramy na policzkach. Patrzyłem, jak wyjmował z kieszeni elegancką gazową zapalniczkę. Doszła mnie lekka woń perfum.
- Znalazłeś we mnie dobrego kupca, Terry. Za uśmiech, w kiwnięcie głową, machnięcie ręką i parę drinków w cichych barach. Było to miłe - w swoim czasie. Bywaj, amigo. Nie będę się z tobą żegnał. Zrobiłem to wtedy, kiedy to jeszcze coś oznaczało.
- Wróciłem za późno - powiedział. - Te operacje plastyczne pochłaniają masę czasu.
- Nie pojawiłbyś się w ogóle, gdybyś się nie czuł do tego zmuszony.
- Nagle w jego oczach błysnęła łza. Szybko nałożył słoneczne okulary.
- Nie wiedziałem, jak postąpić - powiedział. - Nie mogłem się zdecydować. Nie chcieli, żebym ci cokolwiek powiedział. Po prostu nie mogłem się zdecydować.
- Nie przejmuj się tym, Terry. Zawsze się znajdzie ktoś, kto poweźmie decyzję za ciebie.
- Służyłem w komandosach, bracie. Tam nie przyjmują
-
- byle kogo. Zostałem ciężko ranny, a ci hitlerowscy lekarze - to też nie były przelewki. Wszystko to wywarło na mnie swój wpływ.

- Znam tę sprawę, Terry. Pod wieloma względami jesteś bardzo miłym gościem. Nie próbuję cię sądzić. Nigdy tego nie robiłem. Po prostu ciebie tutaj nie ma. Wyjechałeś już dawno temu. Masz piękne ubranie, perfumy i jesteś ‘ taki elegancki, jak wysokiej klasy prostytutka.
- To tylko taki fason - powiedział żałośnie.
- Ale sprawia ci to przyjemność, co?

Usta mu się wykrzywiły w gorzkim uśmiechu. Wzruszył wymownie ramionami, tak jak to czynią Latynosi.

- Naturalnie. Wszystko jest grą. Poza grą nie ma niczego. Tutaj - trącił się w piersi zapalniczką - nie ma nic. Jestem skończony, Marlowe. Skończyłem się już dawno. No - to tak, jakbyśmy zakończyli sprawy.

Wstaliśmy obydwaj. Wyciągnął szczupłą rękę. Uścisnąłem ją. Powodzenia, señor Maioranos. Nasza znajomość, chociaż krótkotrwała, była przyjemna.

- Do widzenia.

Odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia. Patrzyłem, jak zamyka za sobą drzwi. Słyszałem jego oddalające się kroki w korytarzu. Powoli cichły, a potem zupełnie zamilkły. Nasłuchiwałem jednak nadal. Dlaczego? Czy chciałem, żeby się zatrzymał i wrócił? Żeby mi coś powiedział, co by zmieniło mój stosunek do niego? Ale nie wrócił. Nie zobaczyłem go już nigdy.

Zresztą nikogo z nich już później nie spotkałem, poza - glinami. Jeszcze nie znalazł się sposób, by rozstać się z nimi na dobre.

„KB”